

Fern MICHAELS

ODNALEZIONA

Tytuł oryginalny
FINDERS KEEPERS

Scandalous

Prolog

Atlanta, Georgia

1957

Barnes Roland rozejrzał się po elegancko urządzonej gabinecie lekarskiej, a potem spojrzął na człowieka w białym fartuchu siedzącego za wytwornym biurkiem. Nie wiedzieć czemu czuł się winny i zdezorientowany. A przecież zawsze rozumieli się dobrze, bo Sloan i on byli przyjaciółmi od dzieciństwa.

Całkowicie ignorując żonę siedzącą naprzeciwko niego, Barnes w skupieniu usiłował zrozumieć przyczynę gniewu odbijającego się w oczach Sloana. Gniewu, który skierowany był przeciwko niemu. Bo przecież nie przeciw Thei, którą Sloan Simpson kiedyś kochał. Wygrał Barnes, bo był lepszy, a dzięki jego związkowi z Theą dokonała się największa fuzja bawełny i tytoniu na Południu Stanów.

- Na miłość boską, Sloan, po prostu wypisz receptę, żebyśmy mogli się stąd wynieść. To przecież żaden problem.

- Tak, recepta to żaden problem. Problemem jest twoje zachowanie wobec żony, Barnes. Kiedy ostatnio dobrze się jej przyjrzałeś? Kiedy ostatnio zwróciłeś na nią uwagę? A przecież przeszła piekło. I to sama. Gdyby nie zasiała, nie byłoby was tutaj. Proponuję umieścić Theę w szpitalu i zrobić jej kilka badań. Mój Boże, człowieku, przecież ona waży nie więcej niż czterdzieści pięć kilogramów. Zgodziłeś się przywozić ją na badania kontrolne według przyjętego harmonogramu. Zawiodłem się na tobie.

Barnes gestykulując energicznie spróbował odeprzeć zarzuty przyjaciela.

- Co miałem robić? Thea zamyka się w pokoju i płacze całymi dniami. Nawet przez sen. Nie mogę namówić jej do jedzenia. Nie mogę zmusić ani do kąpieli, ani do wychodzenia na dwór. Uwierzyłem, gdy mi powiedziałaś, że nie jestem winien śmierci córki, ale poczucie winy wciąż mnie zżera. Nigdy się od niego nie uwolnię. Na dodatek codziennie, gdy tylko nadarzy się okazja, Thea daje mi do zrozumienia, że to jednak była moja wina. Masz pojęcie, jak ja się

czuję? Podałem się. Miliony kobiet ma poronienia, miliony traci dziecko, a przecież nie odchodzą od zmysłów.

Przerwał, a po chwili dodał cicho:

- Sloan, nie mogę tego znieść.

- Thea wymaga leczenia psychiatrycznego. Nie chcę słyszeć bzdur w rodzaju, że to zaszkodzi waszej pozycji towarzyskiej w Atlancie. Połowa kobiet z tego miasta chodzi do psychiatry. Moim zdaniem tobie też przydałaby się taka pomoc. Wiem, jaki tryb życia prowadzisz, przyjacielu. Odcinasz tylko kupony. Pijesz do śniadania, rozgrywasz partię golfa, pijesz w czasie lunchu, uczynasz sobie drzemkę, budzisz się i dalej popijasz, a potem już czas na kolację i kolejne drinki. Jeden ze stewardów z klubu odwozi cię do domu koło północy i kładzie pijanego do łóżka. Posłuchaj mnie bardzo uważnie, Barnes. Nie obwiniam cię ani nigdy nie obwiniałem o śmierć córki, ale obciążam odpowiedzialnością za to, w jakim stanie jest twoja żona.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

- Powiedziałem, żebyś przyjrzał się swojej żonie. Zrób to teraz i powiedz mi, co widzisz.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Theę Roland. Zdenerwowało ją to.

- Przestańcie mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było. Chcę zapalić i napić się czegoś - odezwała się.

- Przecież nie palisz ani nie pijesz, Thea - powiedział Barnes zduszonym głosem.

- Skąd możesz wiedzieć, co robię, a czego nie robię?

By tego dowieść, wyciągnęła papierosa i zapaliła go złotą zapalniczką Dunhilla. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jej rękę pojawiła się także złota piersiówka - do kompletu. Pociągnęła solidny łyk, zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła duży kłęb dymu.

- Jestem pijaczką tak jak ty, Barnes. Jedyne różnica polega na tym, że ja upijam się w czterech ścianach mojego pokoju. Tylko to pozwala mi przebrnąć przez kolejne dni. Nigdy już nie będę miała dziecka, Barnes. Urodziłam troje dzieci, dwoje z nich było martwych. I kiedy wydawało się, że Bóg w końcu pobłogosławił mnie córeczką, zdecydował, że nie jestem tego godna i zabrał mi ją. Mam w sobie wielką pustkę. Nic we mnie nie zostało. Myślisz, że nie wiem, jak wyglądam? Wiem. Po prostu już mnie to nie obchodzi. Gdyby wystarczyło

mi odwagi, popełniłabym samobójstwo, aby być z moją córeczką. Może któregoś dnia, gdy się obudzę, zdobędę się na odwagę i zrobię to. Teraz chcę iść do domu. Zasiablam, bo nic nie jadłam. Wezmę jakieś witaminy i zajmę się ogrodem. To była twoja recepta, prawda, Barnes? A może ty mi to zaleciłeś, Sloan?

Sloan potarł skronie rękami. Piekły go oczy. Czy oni nie wiedzą, jaką bezcenną wartość ma życie?

- Może wybieriecie się w góry, Thea? Przyda ci się zmiana otoczenia, chłodniejsze powietrze. Pogoda w Atlancie jest teraz nieprzyjemna. Jedźcie do Smoky. Mam tam domek, z którego moglibyście skorzystać. Jest prymitywny, ale wygodny. Zastanówcie się nad tym, dobrze?

- Tutaj, tam czy gdziekolwiek indziej. Co za różnica? - mruknęła Thea.

- Potraktuj to jak wyzwanie, Barnes. Zostaw nożyczki i kupony za sobą. Żadnych trunków, żadnych papierosów. Powinieneś łowić ryby i jeść je.

- Wpakujesz mnie do szpitala, jeśli nie wybiorę się na zaleconą przez ciebie wycieczkę? - spytała Thea.

Sloan zignorował pytanie.

Thea wysączyła resztkę zawartości złotej piersiówki, a jej oczy na moment rozbiły się.

- Dobrze, wyjedziemy jutro. Potem się stąd wyprowadzę, Barnes. Po podróży chcę się przenieść gdzieś indziej. Miałam zamiar to zrobić po śmierci mojej córeczki, ale nie zgodziłeś się, bo przecież urodziliśmy się w Atlancie i tutaj umrzemy. Tak powiedziałeś, Barnes. Oboje pomrzemy w tym cholernym, trzystuletnim relikwie przeszłości, który nazywamy domem.

- Pomówimy o tym później, Thea. Wiesz, że tutaj toczy się nasze życie.

- Twoje życie. Ja nie mam żadnego. Wyprowadzę się bez ciebie. I oczekuję sprawiedliwego podziału majątku, jeśli się do mnie nie przyłączysz. Przepraszam, że narażam cię na wysłuchiwanie tego, Sloan, ale zawsze byłeś równie dobrym przyjacielem, jak lekarzem. Wiesz, Sloan, dzisiaj mała skończyłaby trzy latka. Barnes o tym zapomniał.

Głos jej złagodniał.

- Wystarczy, że zamknę oczy, a widzę ją. W ciszy słyszę jej dźwięczny śmiech. W snach wołam do niej, ale ona mi nie odpowiada. Odeszła i nigdy już nie wróci.

- Thea...

- Zamknij się, Barnes. Nawet nie pamiętałeś, że dzisiaj są jej urodziny. Ale założę się, że potrafisz z pamięci wyliczyć co do centa, jakie były ceny tytoniu i bawełny wczoraj, przedwczoraj i we wszystkie poprzednie dni. Nie zdziwiłabym się, gdyby okazało się, że liczby z całego roku wirują ci w głowie.

- Thea...

- Niech cię piekło pochłonie, Barnes.

- Już tam jestem - powiedział Barnes Roland, jednak jego słowa usłyszał tylko Sloan Simpson.

- Thea, nie odezwałaś się ani słowem, chociaż jesteśmy w drodze już od kilku godzin. Bardzo się martwię o ciebie i o twoje zdrowie. Chcę, żebyś mnie bardzo uważnie wysłuchała. To, co powiedziałaś wczoraj w gabinecie Sloana, to nieprawda. Kochałem naszą córeczkę tak samo jak ty. Po jej śmierci miałem poczucie winy, a ty je we mnie bez przerwy podsycalaś. Do pewnego stopnia zawsze będę czuł się winny, choć przecież nic nie mogłem poradzić. Nasza córka po prostu przestała oddychać. Chciałem, żeby przeprowadzono autopsję, ale się nie zgodziłaś. Może pozwoliliby to nam zrozumieć, co się stało i choćby w niewielkim stopniu pogodzić się ze stratą. Odepchnęłaś mnie, choć próbowałem ci pomóc, Thea. Nie ma dnia, żebym o niej nie myślał. Ale Sloan ma rację... musimy znowu zacząć żyć. Moglibyśmy zaadoptować dziecko, Thea. Dwoje dzieci, jeśli wolisz, chłopca i dziewczynkę. Niech nasze wspólne życie toczy się dalej... Jeśli chcesz, byśmy się gdzieś przeprowadzili, zgadzam się. Zrobię wszystko, co tylko będziesz chciała. Chcę po prostu, abyśmy byli razem.

Thea szczerzej owinęła szal wokół ramion.

- Mówiłam serio o tym, że chcę się gdzieś przenieść. Przykręć trochę klimatyzację, Barnes. Jeśli zobaczysz stację benzynową albo sklep, zatrzymaj się, dobrze? Napiję się czegoś zimnego.

- Już późno, prawie szósta. Czas na kolację. O, tam jest stacja obsługi. Widać chłodziarkę z napojami. Czego chcesz się napić?

- Przynies mi napój o smaku śmietankowym.

Thea przygarbiła się na siedzeniu, obejmując rękami szczupłe ramiona.

Wtedy ją zobaczyła. Złotowłosa dziewczynkę śpiącą w spacerowym wózku. Obok siedział płowozółty pies. Thea wyskoczyła z samochodu. Poruszała się

szybciej niż kiedykolwiek przedtem w swoim życiu. Biegiem okrążyła dystrybutor paliwa; szal zarzucony na ramiona łopotał, gdy pochylała się, by wyjąć z wózka ubrane w czerwony sweterek dziecko. Gdy pędziła z nim do samochodu, rozległo się gardłowe warczenie psa.

Silnik samochodu pracował na jałowym biegu. Barnes siedział w środku ze wzrokiem wlepionym w żonę. Wcisnął pedał gazu w chwili, gdy Thea zarzuciła szal na głowę dziecka i wskoczyła do samochodu. Krzyki dziecka szarpały mu nerwy, pot ściekał po twarzy. Samochód aż zakołysał się na boki, gdy ruszał ze stacji benzynowej. W lusterku wstecznym Barnes zobaczył, że pies zerwał sznurek i biegnie za samochodem.

Jedyne, co mógł zrobić, to mocno trzymać ręce na kierownicy, gdy toczyli się w dół wzgórza. Pot zalewał mu oczy utrudniając patrzenie na drogę. Przetarł je i spojrzął w lusterko wsteczne. W oddali zobaczył psa. Biegł ciągle wzdłuż drogi.

Z ust Thei wydobył się niekontrolowany, histeryczny krzyk:

- Znalazłam ją! Znalazłam! Jest moja! Zatrzymam ją, Barnes. Zatrzymam!

CZEŚĆ PIERWSZA

Scandalous

1

Ashton Falls, Tennessee

1957– 1965

Grace Larson pochyliła się, by pocałować męża w policzek i drocząc się z nim powiedziała:

– Spóźniłeś się dzisiaj, kolego.

– Mmm, ładnie pachniesz. Jak twoje przeziębienie?

– W porządku. Ale Hannah była trochę rozpalona dziś po południu. Śpi w wózku. Jelly jej pilnuje.

Ben Larson zamknął księgę handlową i włożył ją do szuflady. Nagle odwrócił się i podszedł do frontowych drzwi.

– Dlaczego, u licha, Jelly tak szczeka? Dystrybutory wyłączone, neon informujący, że stacja zamknięta – zapalony. Sprawdź, o co chodzi, a ja wszystko pozamykam i zgaszę światła.

– Wiesz, jaki jest Jelly. Szczeka z byle powodu.

Przez chwilę nasłuchiwała.

– Przestał szczekać. Klient chyba odjechał. Wyglądasz na zmęczonego, kochanie. Mam nadzieję, że nie zaraziłeś się ode mnie katarem. To okropne przeziębienie się latem. Przykro, że musisz pracować tu w czasie weekendów, Ben.

Ben westchnął.

– Wiem, Grace. Już o tym rozmawialiśmy. Przecież oszczędzamy na college dla Hannah. Jako pierwsza z rodziny Larsonów pójdzie do college'u To naprawdę bardzo ważne. Ty i Hannah jesteście dla mnie najważniejsze w świecie.

– Kocham cię, Benie Larsonie. Zakochałam się w tobie w przedszkolu, w dniu, w którym usiadłeś obok mnie i powiedziałaś: „Mam na imię Ben, a ty jak się nazywasz?” I wiesz co? Będę cię zawsze kochała, zawsze.

- Ja też będę cię zawsze kochał. I oboje będziemy zawsze kochać Hannah. Jak sobie poradzisz, gdy mała pójdzie do przedszkola? Co będzie, jeśli usiądzie obok chłopca i zakocha się w nim od razu pierwszego dnia?

- Jakoś to przeżyję, Ben. Pamiętaj, że jesteśmy rodziną. Jak długo będziemy razem, potrafimy dokonać wszystkiego. Prawda?

Ben objął żonę i powiedział:

- Zabierzmy małą i psa i jedźmy do domu.

Grace wzięła księgę i otworzyła drzwi. Nagle krzyknęła:

- Hannah zniknęła! Nie ma jej! Jelly też zniknęła!! Zerwał sznurek. Ben, poszukaj ich.

- Uspokój się, Grace. Hannah na pewno obudziła się i poszła do toalety. Wie, gdzie jest. Jelly nie pozwoliłby, aby cokolwiek jej się stało. A zerwał sznurek, bo był stary i postrzępiony.

Jednak mówiąc te słowa, pobiegł do pokoju wypoczynkowego, mieszczącego się na tyłach stacji.

- Nie ma jej tu, Ben. I gdzie jest Jelly? Och, Ben, ona zniknęła! Ktoś ukradł naszą małą dziewczynkę. Zadzwoń do szeryfa. Natychmiast zadzwoń do szeryfa! O, Boże, mój Boże! Pospiesz się, Ben. To dlatego Jelly tak czekał. Może zabrał ją twój ojciec, Ben? Nie, bzdury plotę, przecież Jelly nie czekałby na twój tatę.

Ben szarpał się z drzwiami, aż w końcu uprzytomnił sobie, że sam je zamknął. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że z trudem włożył klucz do zamka. W chwilę później rozmawiał z szeryfem Evansem. Wyrzucił z siebie wiadomość, że Hannah zniknęła i dodał:

- Szeryfie, musi pan tu natychmiast przyjechać. Natychmiast. Grace zupełnie się rozkleiła. Zadzwoń do probostwa i poproszę ojca Mitchella, żeby bił w dzwony. Wszyscy z miasta przyjdą na rynek, gdy je usłyszą. Musimy działać szybko, Elmo. Nie mów mi tylko, żebym się uspokoił. Zniknęła moja córka, a razem z nią pies. To jest spokojne miasteczko, więc nie wmawiaj mi, że ktoś stąd mógł zabrać Hannah. Pospiesz się, Elmo.

- Ben... co będzie, jeśli porwał ją ktoś obcy? Nie słyszałam samochodu, a ty? Hannah nigdzie by sama nie poszła. Boi się jezdni i samochodów. Zresztą Jelly zawróciłby ją. Golden retrievery są bardzo opiekuńcze. Dlatego kupiliśmy go dla Hannah. Boże, Ben, a co będzie, jeśli nigdy jej nie odzyskamy? Nie

mamy pieniądze, więc na pewno nie porwano jej dla okupu. Zrobił to jakiś wariat. Ja to czuję.

- Cicho, Grace. Postaraj się uspokoić. Nie wierzę, by ktoś tak po prostu podjechał i zabrał naszą córkę. To niedorzeczne. Jestem pewien, że Hannah obudziła się i postanowiła pójść na spacer. Jelly zdenerwował się, zerwał sznurek i pobiegł za nią. Tego się trzymajmy.

Jedyny wóz patrolowy w Ashton z piskiem opon zatrzymał się przed stacją. W chwili gdy szeryf Elmo Evans machał na Grace i Bena, by wsiedli do samochodu, rozległo się trzykrotnie złowieszcze uderzenie w dzwony kościelne - sygnał, że w mieście wydarzył się nagły wypadek. W ciągu kilku minut większość spośród siedmiu tysięcy mieszkańców Ashton wyległa na mały rynek miejski, by dowiedzieć się, co trzeba zrobić, aby pomóc jednemu ze swoich.

Grace rozplakała się, słysząc zgiełk głosów na rynku. Ludzie przybywali na piechotę i samochodami. W ciągu kilku minut szeryf zarządził poszukiwania i wyznaczył obszar, który miał być nimi objęty.

- Sądzimy, że pies jest z dziewczynką. Reaguje na imię Jelly. Nie straszcie, powtarzam nie straszcie psa. Mój zastępca da rakiety świetlne przywódcy każdej grupy. Wystrzelcie je, jeśli zobaczycie psa albo Hannah. Zaraz skontaktujcie się z policją stanową i dostaniemy dodatkową pomoc.

- Co z FBI, szeryfie? - krzyknął ktoś.

- Zastanowię się, Cyrus. Ruszajcie. Wygląda na to, że niedługo będzie padać. Nie chcemy, żeby mała zmokła i zmarła.

Grace szlochała, kurczowo trzymając się męża.

- Idź z matką, Grace. Ja pomogę w poszukiwaniach.

- Znajdziesz ją, Ben?

- Oczywiście.

Nienawidził siebie za to kłamstwo, ale nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

- Wrócę na stację benzynową i będę czekała. Jeżeli Jelly wróci... tam jest wózek Hannah. Idę, Ben. Jeśli zajdzie potrzeba, będę siedziała choćby całą noc.

- Rób to, co musisz, kochanie.

Zwracając się do pani Andrews, matki Grace, powiedział:

- Zostań z nią, Emmo.

- Oczywiście, Ben. Ojciec Mitchell oświetlił kościół, a Roy Clark zapalił wszystkie latarnie w mieście. Nie wiem, jak mu się to udało, ale dokonał tego. W ten sposób Hannah i Jelly nie powinni zablądzić w ciemnościach.

- Hannah boi się ciemności, mamó - zaszlochała Grace.

- Uspokój się. Nie będzie się bała, jeśli jest z nią Jelly. On ją ogrzeje, gdyby chciała się gdzieś położyć i przespać.

Ramiona Grace zdrzęzały.

- Hannah się przeziębi. Była rozpalona dziś po południu. Zasnęła w wózku i nie chciałam jej budzić. Boże, dlaczego jej po prostu nie zaniiosłam do sklepu? To moja wina, mamó. Nie powinnam zostawiać jej samej.

- Kochanie, to jest Ashton Falls. Skąd miałaś wiedzieć, że wydarzy się coś takiego? To jest spokojne, praworządne miasteczko. Wszystko będzie dobrze, Grace. Bóg nie pozwoli, by Hannah stała się jakaś krzywda.

- Więc gdzie ona jest, mamó? - krzyknęła Grace tak głośno, że Emma Andrews aż się wzdrygnęła.

Tuż przed dziesiątą zaczęło mżyć. Grace i jej matka skuliły się pod daszkiem garażu. Palce Grace zbieleły od kurczowego ściskania wózka i wystrzępionego sznurka Jelly'ego. O północy, gdy rozległy się grzmoty, a na niebie rozbłysły błyskawice, policja stanowa wstrzymała poszukiwania.

Policjant ubrany w żółty płaszcz nieprzemakalny podszedł do Grace.

- Mąż prosił, żebym zabrał panie do domu. Przekazał, że na drogach rozstawiono blokady, a wkrótce przybędzie FBI.

- Na co zdadzą się blokady dróg? Przecież upłynęło już pięć godzin. Ktokolwiek zabrał Hannah, dawno odjechał. Nie, nie, nie mogę stąd odejść. Jelly tu przyjdzie i nie będzie wiedział, co zrobić, jeśli mnie nie zastanie. Nie mogę wrócić do domu. Nie chcę wrócić do domu. Po prostu muszę tu zostać.

- Rozumiem, proszę pani. Ale pogoda się pogarsza. Może przynajmniej wejdzie pani do środka? Pan Delaney dał mi klucz od garażu. Może pani wyglądać przez okno.

- Zrób to, co mówi ten pan, Grace. Jesteś przeziębiona. Nie możesz sobie pozwolić na to, by złapać zapalenie płuc - powiedziała Emma.

W środku, poza zasięgiem deszczu, odgłos grzmotów wydawał się mniej złowieszczy.

- Czuję, że jej nie znajdują, mamo. Jestem pewna tak samo jak tego, że muszę oddychać, by żyć. Hannah nie wróci.

- Grace, nie chcę tego słuchać. Natychmiast przestań pleść głupstwa.

- Mamo, jeśli nie znaleźli jej w ciągu pięciu godzin, to znaczy, że ktoś wywiózł ją samochodem. To dlatego Jelly czekał. Ashton Falls to małe miasto. Wystarczą niespełna trzy godziny, by je przeszukać. Wiem, że jej tu nie ma i ty też to wiesz, mamo, więc przestań udawać. Moje dziecko zniknęło i nigdy go nie odzyskam. Nie wiem, co mam robić. Jak Ben i ja sobie z tym poradzimy? Hannah była całym naszym życiem.

- Posłuchaj, Grace, Bóg nigdy nie doświadcza nas bardziej niż jesteśmy w stanie znieść. Pamiętaj o tym.

- Nie mam ochoty wysłuchiwać tych religijnych frazesów. Co to za Bóg, który pozwala, by ktoś zabrał matce dziecko? Co za Bóg skazuje ją na tak straszne cierpienie? Tylko mi nie mów, że poddaje mnie próbie. Chcę odzyskać moje dziecko, mamo. Gdzie jest Ben?

- Nie wiem, Grace. Pewnie ze swoim ojcem i twoim tatą. Nie podda się.

- Mamo, idź do domu albo do matki Bena. Chcę zostać sama. Jeśli Ben zadzwoni, powiedz mu, że tu jestem.

- Nie chcę zostawiać cię samej.

- Nie odejdę stąd, mamo.

Kiedy Emma Andrews opuściła stację obsługi, Grace wyszła na zewnątrz i usiadła obok wózka, przyciskając do piersi postrzępiony sznurek. Wołała córeczkę po imieniu, dopóki zupełnie nie ochrypła. Płakała, a szloch wstrząsał całym jej ciałem.

Tuż przed świtem Ben, jego ojciec i ojciec Grace wrócili do garażu.

- Zabieram cię do domu, Grace. Masz gorączkę. Nie upieraj się. Jelly zna drogę. Jeśli... kiedy wróci, popędzi prosto do domu.

Grace pozwoliła poprowadzić się do samochodu.

- Ben, to wszystko, co robimy nie ma sensu. Ona zniknęła. Marnujemy czas przeczesując okolicę. Musimy wystąpić w telewizji i radiu. Od zniknięcia Hannah upłynęło już zbyt wiele czasu. Spóźniliśmy się. Czuję to, Ben.

Powinłam wyjść na dwór w chwili, gdy usłyszałam szczekanie Jelly'ego. Dlaczego tego nie zrobiłam, Ben?

- Ponieważ Jelly szczeka z byle powodu. To nie twoja wina, Grace.

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Ben. Przykro mi.

Ben objął żonę ramionami.

- Znajdziemy ją. Wiem, że tak. Hannah należy do nas. Musimy wierzyć, że do nas wróci.

Grace w to nie wierzyła. Wiedziała, że Ben też nie wierzy w to, co mówi. Stara się tylko ją pocieszyć. Ze względu na męża pokiwała głową i modliła się o to, by okazało się, że nie miała racji.

Przez następne trzy dni Larsonowie udzielali wywiadów radiowych i telewizyjnych, błagając osobę, która zabrała dziecko, aby je zwróciła. Dziennikarze pisali wzruszające, chwytające za serce artykuły o Hannah Larson i jej psie Jellym. Daremnie.

Cztery dni po zaginięciu Hannah Grace obudziła się z przekonaniem, że musi iść do garażu. Narzuciła na siebie ubranie i powiedziała:

- Ben, idę na stację. Chcę tam czekać... tak długo, jak będzie trzeba. Wszystko mi jedno. Nie mogę znieść przebywania w tym domu. Przed wyjściem zaparzę kawę.

Ben usiadł na brzegu łóżka trzymając głowę w dłoniach. Tak bardzo chciał móc zapłakać. Pragnął zejść na dół i usłyszeć, jak Hannah woła: „Tatusiu, tatusiu!” Pragnął, by żona przestała wpatrywać się w przestrzeń, by nie spała więcej w fotelu w pokoju Hannah. Pragnął ją objąć i poczuć ciepło jej ciała, bo zimno przenikało go całego. Czuł się tak, jakby żył z kimś, kogo dopiero co poznał i kto niespecjalnie go lubi. Westchnął. Może dzisiaj będzie lepiej? Może.

Jaki piękny ranek, pomyślała Grace.

Ptaki ćwierkały, a powietrze przesycał zapach sosen. Kropelki rosy połyskiwały w trawie zieleńszej niż szmaragdy. Hannah zawsze była rannym ptaszkiem. Latem wraz z Jellym wyskakiwała boso na dwór. Biegała po małym ogrodzonym podwórku i chichotała, czując na stopach dotyk mokrej trawy.

Dobry Boże, gdzie ona jest?

- Grace, co cię dziś tak wcześniej sprowadza na stację? - zapytał Jonah Delaney, zerkając na różowy wózek spacerowy, który wciąż stał oparty o jasnoczerwoną chłodziarkę do coca-coli.

- Musiałam przyjść, Jonah. Pozwolisz mi tu pobyc? Jeśli ci przeszkadzam, usiądę sobie z boku.

- Nie przeszkadzasz mi. Możesz zostać jak długo zechcesz. Przyniosę ci kawę, Grace. Masz ochotę na pączka albo tosta? Wyglądasz mizernie.

- Wystarczy kawa. Nie będę ci wchodzić w drogę.

Pochyliła się, by powąchać wózek.

- Wciąż pachnie talkiem i świeżością... zapachem Hannah. Wiesz, takim czystym. Myślisz, Jonah, że ten zapach zostanie, jeśli ona nie wróci?

- Na pewno.

Kiedy Grace spojrzała w górę na wiszący nad chłodziarką porzewiały zegar, zdziwiła się, że już trzecia. Gdyby Hannah była w domu, budziłaby się właśnie z drzemki. Przesiadła się z jednej ławki na drugą. Łzy napłynęły jej do oczu. Dostrzegłszy kątem oka jakiś ruch wytarła je rękawem sukienki. W chwilę później zerwała się z krzesła.

- Jelly! - krzyknęła. - Jonah, chodź szybko. Pomóż mi! To Jelly! Wrócił. Pospiesz się, Jonah. On prawie nie może chodzić.

Pies stracił przytomność, gdy do niego podbiegła. Zapało jej dech w piersiach na widok jego obtartych, krwawiących łap. Sierść miał splątana i brudna, oczy zaropiałe, pysk popękany i zakrwawiony. Jego skomlenie łamało serce.

- Szybko, Jonah, przynieś trochę wody i przyprowadź furgonetkę. Musimy go natychmiast zawieźć do weterynarza. Wszystko będzie dobrze, Jelly. Proszę, Boże, pomóż mi, spraw, żeby ten pies przeżył. Dla Hannah, gdy wróci. Dla mnie, bo jest wszystkim, co mi pozostało. Proszę, Boże, błagam Cię. Nie pozwól, by coś się stało temu psu. Proszę, proszę, pomóż mu... proszę.

Grace przysięgała później, że w chwili, gdy skończyła się modlić, Jelly poczuł przypływ sił, bo usiłował polizać jej rękę i machnąć ogonem.

- Dawaj mu pić po troszeczku, Grace - poinstruował Jonah. - Nie za dużo naraz. Możesz położyć go na skrzyni furgonetki?

- Tak, Jonah. Chcę, żebyś jechał bardzo szybko. Jak tylko dojedziesz do parkingu przed kliniką, zacznij trąbić.

- Jasne.

- Mój Boże, Grace, co się stało? - zawołał Charlie Zeback, który wybiegł z kliniki na dźwięk klaksonu.

- Rób wszystko, co trzeba. Nieważne, ile to będzie kosztowało. Zostaję z nim, niech ci nawet nie przyjdzie do głowy kazać mi wyjść.

Cztery godziny później Grace powiedziała:

- Zabiorę go do domu. Tam szybciej wyzdrowieje. Nie wiem, jak ci dziękować.

- Wciąż jest w ciężkim stanie. Wymaga nieustannej opieki. Przyjadę później sprawdzić, jak się czuje. Czy koło północy nie będzie za późno?

- Nie, w porządku. Chcę się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałam. A więc nawodniłeś go, a teraz może lizać kostki lodu i co godzinę ma dostawać łyżeczkę gotowanej wołowiny. Trzeba mu założyć pieluchę, żeby nie musiał wstawać. Nie powinien w ogóle wstawać. To żaden problem. Mogę go nosić. Mam maść do smarowania pyska i krople do oczu. Wyzdrowieje, prawda, Charlie? Chcę znać prawdę.

- Myślę, że wyjdzie z tego. Boże, jaka szkoda, że nie umie mówić.

Grace rozplakała się.

- Zagonił się prawie na śmierć, starając się uratować Hannah. Prawdopodobnie biegł za samochodem. Czy mogę ci zapłacić później, Charlie?

- Nie, nie możesz. Sam pokryję koszty. Nie potrafiłbym spojrzeć na siebie w lustrze, gdybym zażądał od ciebie pieniędzy. Zadzwoń, jeśli będzie jakiś problem. Widzę, że podjechał Ben. Chcesz, żebym zaniósł psa do samochodu?

- Sama go zaniosę. On potrzebuje mnie, a ja jego.

Kiedy przyjechali i Ben chciał wnieść Jelly do domu, Grace zaprotestowała.

- Ja to zrobię - powiedziała. - Możesz za to przygotować dla niego kilka hamburgerów. Ugotuj je i przynieś na górę z miską lodu i rzeczami, które dał mi Charlie.

- Na górę? Nie do kuchni?

- Nie.

Grace z trudem wniosła ciężkiego psa na górę. Oddychając jak koń wyścigowy po biegu weszła do małego, kolorowego pokoju Hannah. Trzymając

zwierzę w ramionach usiadła w bujanym fotelu. Jej lzy rozpryskiwały się na głowie psa, gdy zaczęła śpiewać mu kołysankę.

- Wiem, że bardzo się starałeś. Wszystko będzie dobrze - szeptala.- Wyzdrowiejesz. Zrobimy, co będziemy mogli. To znaczy, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Śpij teraz, Jelly. Jesteś bezpieczny. Dzięki ci, Boże.

Grace nie była pewna, ale zdawało jej się, że pies westchnął z ulgą. Po chwili już spał na jej kolanach. Bujała się dalej siedząc na fotelu i nucąc kołysanki, które zwykle śpiewała Hannah.

- Grace, jest już trzecia nad ranem. Nie przyjdiesz położyć się do łóżka? - powiedział Ben stając w drzwiach pokoju.

Usłyszał bolesny jęk psa - a może to Grace tak jęczała? Nie wiedział. W tej chwili zapragnął się pomodlić. Potrzeba była tak silna, że ugięły się pod nim kolana.

- Nie, Ben. Nie położę się. Będę tu z nim siedzieć, dopóki nie odzyska sił i nie zagoją mu się łapy, choćby to trwało nawet miesiąc. On jest moim jedynym łącznikiem z Hannah. Gdy wyzdrowieje, może doprowadzi nas do miejsca, gdzie zgubił naszą córkę. To cud, że wrócił. Upłynęły cztery dni! Ben! Cztery cholerne dni! Popatrz na niego! O mało nie zdechł, ale udało mu się dotrzeć do stacji. Mówiłam ci, że tak będzie. Wiedziałam, po prostu wiedziałam. Wracaj do łóżka. Porozmawiamy rano.

Jednak rano ze sobą nie rozmawiali. Nie rozmawiali też przez następne dni. Grace zmizerniała i była wycieńczona, Ben także.

Szóstego dnia Jelly zaczął wiercić się w ramionach Grace. Chciał, żeby zdjeli mu te szmaty owinięte wokół zadu, chciał zejść na dół. Położywszy go na podłodze Grace pobiegła do bielizniarki po stary ręcznik. Rzuciła go przy drzwiach. Chwiejąc się na obandażowanych łapach Jelly podszedł do ręcznika i unióś nad nim łapę.

- Wszystko w porządku, Jelly, po to jest ten ręcznik. Może byś coś zjadł? Coś dobrego, na przykład hamburgery zmieszane z jedzeniem dla psów.

W ciągu kilku sekund Jelly zjadł łapczywie wszystko, co podała mu Grace.

Widząc, jak pies wskakuje na łóżeczko Hannah, Grace rozplakała się głośno. Jelly patrzył na nią, jakby rozumiał jej ból. Zabandażowanymi łapami umościł sobie na łóżku legowisko.

- Może ona kiedyś wróci, Jelly. Nie wiem. Wszyscy robią, co mogą, a jednak nic to nie daje. Upłynie jeszcze miesiąc, a ci sami ludzie zapytają: „Hannah, a kto to taki?” Już się nie modłę. Staram się, ale słowa nie mogą mi przejść przez gardło. Prosiłam Boga, by zachował cię przy życiu. To była moja ostatnia modlitwa. Nie wiem nawet, czy jeszcze wierzę w Boga. Tak bardzo za nią tęsknię, Jelly. Już nie wiem, co mam robić.

Grace położyła się na łóżku obok psa. Płakała we śnie, a łzy płynęły jej po policzkach. Pies zlizywał je, wpatrując się w nią mądrymi oczami. Tylko tyle mógł zrobić.

Turyści opuścili Ashton Falls wraz z ostatnimi słonecznymi dniami lata. Niektórzy byli w miasteczku tylko przejazdem, w drodze do domu. Spieszyli, by przygotować dzieci do szkoły i urządzić w ogródkach pikniki, które z okazji Święta Pracy organizowano w całym kraju.

Choć upłynęło już dziesięć tygodni od zaginięcia Hannah, różowy wózek spacerowy z przyczepionym do niego postrzępionym sznurkiem stał jakby na warcie na stacji benzynowej Jonaha Delaney. Wisiał tam też plakat ze zdjęciem zaginionej dziewczynki.

W poszukiwaniach nie poczyniono żadnych postępów. Trafnie ujął to jeden z agentów federalnych: wygląda to tak, jakby ziemia rozstała się i pochłonięła dziewczynkę. Sprowadzono specjalnie tresowane psy tropiące. Dwukrotnie agenci wraz z Jellym i Larsonami przejechali trasę, którą – jak przypuszczali – przebiegł pies. Aby sprawdzić, czy zwierzy znajomy zapach, co kilka kilometrów zatrzymywali się i wysiadali z samochodu. Agenci byli zdumieni, kiedy dotarli do miejsca, w którym pies zawrócił, bo albo się poddał, albo nie mógł już nadażyć za samochodem wiozącym Hannah. Wierny pies przebiegł w sumie dwieście szesnaście kilometrów. W serwisie telegraficznym agencji AP o krajowym zasięgu podano informację o jego bohaterskim wyczynie. Nadal nosił buciki wyściełane wełną jagnięcą, bo poduszki łap goiły się powoli, choć Grace trzy razy dziennie smarowała je maścią.

Jedna z członkiń towarzystwa parafialnego przy kościele św. Gabriela podarowała Grace i Benowi gruba książkę z wycinkami prasowymi szczegółowo opisującymi zniknięcie Hannah, poszukiwania i heroiczny czyn Jelly'ego:

- Zajrzysz do niej, gdy Hannah wróci, Grace – powiedziała – Teraz ją odłóż, nie zadręczaj się oglądaniem.

Grace włożyła książkę do szuflady, w której trzymała rzeczy Hannah i przysięgła sobie, że nigdy jej nie otworzy.

W tym okresie Grace była bez pracy, bo do sklepu spożywczego, w którym przedtem była zatrudniona, nie pozwolono jej przynosić Jelly'ego. Nic ją to nie obchodziło. Miała co robić w domu. Przeniosła maszynę do szycia do pokoju Hannah i szyła sukienki i ubranka. Były to istne cacka z lamówkami, aplikacjami z koronki i kolorowymi wstążeczkami. Często pracowała przez pół nocy. Jelly siedział u jej boku, a Ben spał sam w ich pokoju. To też nic ją nie obchodziło.

Święta Bożego Narodzenia upłynęły w atmosferze cierpienia. Nie było ani bożonarodzeniowego drzewka, ani ładnie zapakowanych prezentów, ani świątecznych ciasteczek. Grace odmówiła udania się na pasterkę, więc Ben i jego rodzice poszli bez niej. Przez całe Boże Narodzenie robiła dla Hannah na drutach jaskrawoczerwony sweterek, choć nie sądziła, żeby dziewczynka kiedykolwiek go włożyła.

Gdy skończyła się zima, a w ogródku kielkowały pierwsze żonkile, Ben Larson spędzał więcej czasu kursując ze stacji do domu, by sprawdzić, co się dzieje z żoną, niż pracując. Odcinek z ostatnią wypłatą otrzymał dzień przed Wielkim Piątkiem. Grace spojrzała na różowy pasek papieru i wzruszyła ramionami. Dalej szyla i robiła na drutach.

W dniu, w którym Ben dostał ostatni zasiłek dla bezrobotnych, towarzystwo udzielające kredytów hipotecznych zajęło ich mały domek. Cyril Andrews i Nick Larson wraz z Benem wynieśli kopiającą i krzyczącą Grace z małej sypialni, która dawniej należała do Hannah.

Mieszkańcy miasta, mówiąc o Grace, kiwali głowami i szepotali:

- To załamanie nerwowe, nie ma się czemu dziwić. - I dodawali: - Czas uleczy jej rany.

Mylili się jednak. Po dwóch kolejnych latach sprawy w swoje ręce wziął ojciec Mitchell. Podczas porannej mszy ogłosił, że nadchodzący tydzień będzie poświęcony Grace i Benowi Larsonom. Oznaczało to, że dobrzy ludzie z Ashton Falls na ziemi podarowanej przez parafię wybudują dla nich dom. Ben dostał pracę dozorca w kościele pod wezwaniem Św. Gabriela, gdy poprzedni dozorca, siedemdziesięciosiedmioletni Malcolm Fortensky, odszedł na emeryturę. Panie

z towarzystwa parafialnego podjęły się odnowić meble Larsonów, przechowywane dotąd w piwnicach.

Grace płakała chodząc z Benem i Jellym po małym domku, bo był niemal identyczny jak ten, który nigdy nie posiadali.

Jak ujął to ojciec Mitchell, nadszedł czas, by Grace i Ben znowu zaczęli żyć.

Kiedy kładli się spać, Grace powiedziała:

– Chcę mieć dziecko, Ben. Upłynęły już trzy lata.

Dokładnie rok później urodził się ważący trzy i pół kilo chłopczyk, któremu dali na imię John. W tym samym roku przyszło na świat sześć szceniąt, potomków Jelly'ego. Wybranemu z całego miotu szczeniakowi nadano imię Jelly Junior.

2

Charleston, Południowa Karolina 1965

Mała dziewczynka obejrzała się tęsknie za koleżankami, które minęły ją w podskokach trzymając się za ręce. Żałowała, że nie może pobiec z nimi i śpiewać tak jak one, na całe gardło. Zwlekała jak mogła; nie chciała wsiąść do limuzyny, która przywoziła i odwoziła ją codziennie do szkoły – choć wiedziała, że matka siedzi na tylnym siedzeniu i obserwuje ją zza mocno przyciemnionych szyb. W chwili, gdy Thea Roland wysiadła i stanęła na krawężniku, dzieci przestały się bawić i wytrzeszczyły na nią oczy. Ubrana w powłóczystą kwiecistą suknię, dobrany pod kolor kapelusz z miękkim rondem i krótkie białe rękawiczki, podała córce żółtą różę. Jessie wzięła kwiat – był to element ustalonego przez matkę codziennego rytuału. Nienawidziła róż i wyglądu matki. Dlaczego nie mogła wyglądać jak inne, które w dżinsach albo rybaczkach, z włosami związanymi w koński ogon przyjeżdżały zwykłymi samochodami, by odebrać dzieci ze szkoły? Zanim Jessie usiadła na tylnym

siedzeniu limuzyny, musiała znieść obezwładniający uścisk i przyprawiający o mdłości pocałunek uwielbienia, którymi obdarzyła ją matka.

- A teraz powiedz mamusi, jak ci minął dzień, kochanie. Wyglądasz na zmęczoną. Dobrze się czujesz?

- To był przyjemny dzień, mamusiu. Na wszystkich pracach domowych mam wpisane na czerwono piątki. Sheila opowiadała w klasie, jak wspięła się na sam czubek drzewa. Marcy pływała kajakiem ze swoim ojcem. Tatusz Claire Marie zbudował jej domek na drzewie i urządziła w nim herbatkę. Zaprosiła na nią wszystkie dziewczynki. Pytała, dlaczego nie przyszedłam. Odpowiedziałam, że nie wiedziałam o zaproszeniu. Bardzo chciałam pójść, mamo.

- Ale ja nie chcę, żebyś łąziła po drzewach. To niegodne damy. W domu same urządzimy sobie herbatkę. Ellie upiekła dzisiaj ciasteczka specjalnie dla ciebie. Zobaczysz, jak będzie miło. A teraz usiądź mi na kolanach i opowiedz, co jeszcze wydarzyło się w szkole.

- Jestem za duża, by siadać ci na kolanach, mamusiu. I nie powinnaś trzymać mnie za ręką odprowadzając rano do szkoły. Dziewczynki śmieją się ze mnie i przezywają dzidziusiem.

- Jesteś moim dzidziusiem, Jessie. Zazdroszczą ci, bo ich matki są zbyt zajęte, by się nimi zajmować i nie mogą się wprost doczekać, by się ich pozbyć. A ja liczę godziny do chwili, gdy będę mogła odebrać cię ze szkoły. Powiedz, co chcesz robić po herbatce? Pojechać elektrycznym samochodziem czy na kucyku? Dziś rano Samuel skończył malować domek do zabawy. Powiedział, że farba wyschnie, zanim wrócisz ze szkoły. Za tydzień skończy się rok szkolny. A potem nadejdzie magiczny dzień - twoje urodziny. Czy pomyślałaś już, co chciałabyś dostać w prezencie?

- Tak. Chcę parę dzinsów, tenisówki i toczek. I jeszcze taki tornister, jak inne dziewczynki. Nie znoszę mojego. Nikt nie nosi tornistra w kwiatki. Chciałabym też psa. Wszyscy mają psy.

- Kochanie, ten tornister kosztował sto dolarów. Inne dziewczynki nośłyby takie jak twój, gdyby ich rodziców było na to stać. Mamusia ma alergię na zwierzęta, więc nie możesz dostać psa

- Mogłabym go trzymać w domku do zabawy. Takie tornistry, jakie mają inne dziewczynki, kosztują tylko pięć dolarów. Dlaczego nie mogę ubierać się tak jak one? Chcę psa.

Jessie odsunęła się od matki w róg siedzenia i wyrwała rękę z jej uścisku.

Thea Roland westchnęła, jakby ciężar całego świata spoczął na jej barkach.

- Kochanie, te dziewczynki tak się ubierają, bo ich rodziców nie stać na nic lepszego. To, co noszą, jest tandetne, choć one pewnie myślą, że modne. Ich rodzice muszą ciężko pracować, by zapłacić za naukę w szkole panny Primrose. A poza tym tatuś i ja nie chcemy, żebyś wyglądała jak obdartus.

Jessie powtórzyła z uporem:

- Ale ja chcę wyglądać, jak wszyscy. Gdybym była podobna do innych dziewczynek, mogłabym jadać lunch w ich towarzystwie i skakać przez gumę w czasie przerw. One mnie nie lubią, mamusiu.

- Mówię ci, Jessie, że to z zazdrości. Może chciałabyś przenieść się do innej szkoły?

- Mamusiu, to już moja czwarta szkoła. Nie chcę zaczynać wszystkiego od początku.

- Porozmawiajmy lepiej o tym, co będziemy robić w twoje urodziny. Tatuś chce urządzić wielkie przyjęcie i zaprosić wszystkie dzieci z twojej klasy.

- Czy mogę zaprosić Sophie?

Sophie była córką najlepszej przyjaciółki Thei mieszkającej w Atlancie. Dziewczynka była o rok starsza od Jessie i przyjeżdżała w odwiedziny dwa razy do roku. Jessie ją uwielbiała.

- Dlaczego nie? Dzisiaj wieczorem zadzwonię do jej matki.

- Będę mogła porozmawiać z Sophie?

- Zobaczymy.

- Tatuś obiecał, że zainstaluje telefon w moim pokoju, żebyśmy mogła zadzwonić do Sophie, kiedy będę miała na to ochotę. Powiedział, że w domku do zabawy też będzie telefon.

- Porozmawiam z tatą.

- Kiedy?

- W czasie kolacji.

- Obiecujesz?

- Tak, Jessie, obiecuję. A teraz chodź tu bliżej i mocno mnie pocałuj.

Jessie przysunęła się powoli, i choć zbierało jej się na płacz, powstrzymała się. Matka pomyślałaby, że jest chora i zabrałaby ją do lekarza albo dała

środek na przeczyszczenie i filizankę cuchnącej herbatki o smaku kurzu z podwórka.

Dziewczynka wyskoczyła z ogromnego samochodu w chwili, gdy zatrzymał się przed wejściem.

- Przebierz się, kochanie. Wszystko jest rozłożone na łóżku. Zaraz każę podać herbatę. Ellie zrobiła lody. Na pewno będą pasowały do tych pysznych ciasteczek.

Jessie z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Życzyła sobie tylko jednego: żeby mogła je zamknąć na klucz. Rozejrzała się po elegancko urządzonej sypialni połączonej z pokojem dziennym. Wcale jej się nie podobała.

Ozdobiona falbankami sukienka do zabawy, z dobranymi pod kolor skarpetkami i sandałami leżała na łóżku. Znowu zebrało jej się na płacz.

- Po prostu chcę mieć przyjaciela - szepnęła do siebie.

Oczy jej zwęziły się, gdy usłyszała głos matki stojącej u stóp schodów.

- Kochanie, nasza herbatka już gotowa.

Zamiast zejść na dół, Jessie w przypływie buntu usiadła na łóżku. Rozejrzała się wokół po tym, co jej ojciec nazywał sypialnią Księżniczki Jessie. Wyglądała niczym sklep z zabawkami MacNeala z ulicy King. Każda pojawiająca się na rynku nowość była dostarczana natychmiast, a potem Jessie musiała się nią bawić z rodzicami. Wszystko lśniło nowością, bo Jessie nie chciała tego w ogóle ruszać.

Wiedziała, że po odwiezieniu jej do szkoły matka spieszy do domu, by ułożyć wszystko zgodnie ze swoimi upodobaniami. Jessie opadła na poduszkę i wpatrywała się w baldachim nad głową. Zwisaly z niego udrapowane fałdy belgijskiej koronki.

- Jessie, kochanie, co tam robisz?

- Już idę, mamusiu.

Wytrzymała jakoś herbatkę i obowiązkową jazdę elektrycznym samochodzikiem po ogrodzie. Dwa razy zjechała ze zjeżdżalni i pozwoliła, by matka pobujała ją na huśtawce, zanim nastąpiła obowiązkowa przejażdżka na karuzeli, którą jej matka nazywała nie wiedzieć czemu kucykiem. Hałaśliwa muzyka zakłóciła ciszę ogrodu. Jessie westchnęła z ulgą, gdy karuzela stanęła.

- Może chciałabyś zagrać w jakąś grę, kochanie?

- Mam dużo pracy domowej, mamo. Zrobię ją w domku do zabawy.

- Na litość boską, będę musiała porozmawiać z panną Primrose. Zbliża się koniec roku. Nie powinna już wam niczego zadawać.

- Mamo, proszę cię, nie rozmawiaj z panną Primrose. Dzisiaj po raz ostatni mam lekcje do odrobienia. Chcę być pewna, że zrobię to doskonale.

Jessie wiedziała z doświadczenia, że jeśli uściśnie i pocałuje matkę mówiąc, że ją kocha, ta pozwoli jej zrobić niemal wszystko.

- Zuch dziewczyna. Mamusia kocha cię tak bardzo, że to aż boli. Zaczekam na ciebie na werandzie. Kiedy skończysz odrabiać lekcje, przejdziemy się po ogrodzie i zbierzemy trochę kwiatów do twojego pokoju.

- Dobrze, mamo. Nie zapomnij zapytać tatusia o telefon, dobrze?

- Czyż zawsze nie robię tego, co jest dla ciebie najlepsze?

- Tak, mamusiu.

W domku do zabawy, który składał się z trzech kompletnie wyposażonych pokojów i małej łazienki, Jessie udała się prosto do tego, który nazywała sypialnią. Rzuciła książki na wbudowane w ścianę piętrowe łóżko. Wszystko było tu schludne i uporządkowane, ale gry i zabawki wytarte i zużyte. Pokój sprawiał przytulne wrażenie. Stał tu niewielki, biały fotel bujany i regały na książki. Jessie uwielbiała jasne kolory. Zauważyła, że czegoś tu brakuje.

Sięgnęła na najniższą półkę i wyjęła ogromnego misia. Był częścią tego miejsca, a jednocześnie dziwnie do niego nie pasował. Usiadła na podłodze po turecku i czekała. Robiła tak codziennie, sama nie wiedząc dlaczego. Coś powinno było się wydarzyć, ale nigdy się nie zdarzyło. Co to mogło być? Zapomniała o pracy domowej, której właściwie nie było. Miała tylko wytrzeć gumką wszystkie znaki, które zrobiła ołówkiem w książkach w ciągu roku szkolnego. A że nie robiła żadnych znaków, nie było nic do wycierania. Odda książki w doskonałym stanie.

Jessie posiedziała na podłodze, a kiedy jak zwykle nic się nie stało, wzięła misia i zaczęła głaskać go po kosmatym łebku. Zasnęła na podłodze w ciągu kilku sekund, a miś leżał obok niej.

- Chuchnę i dmuchnę i zdmuchnę twój domek - obudził ją głos od strony niewielkich drzwi.

- Tatusiu! - pisała. - Wróciłeś wcześniej do domu?

- Wróciłem wcześniej, by zobaczyć się z moją księżniczką. Zrobiłaś już pracę domową?

- Wszystko gotowe. Tatusiu, przyrzekłeś mi, że będę mogła mieć telefon w pokoju i w domku do zabawy. Dotrzymasz obietnicy?

Barnes Roland cmoknął językiem.

- Jutro, jak wrócisz ze szkoły, aparaty będą już wisiały. Chcesz kolorowe czy takie staromodne, czarne telefony?

- Kocham jasne kolory. Czerwony. Kocham czerwony kolor.

- Więc będzie czerwony.

- Czy będę mogła dzwonić do Sophie tak często, jak będę chciała?

- Dopóki Sophie i jej matka nie będą miały nic przeciwko temu, myślę, że tak.

- Czy to jest szczerza, szczerza obietnica?

- Tak, to szczerza obietnica. Gdzie twoja matka?

- Powiedziała, że zaczeka na werandzie, aż skończę odrabiać lekcje.

- Nie było jej tam, gdy wróciłem do domu. Zapytajmy pannę Ellie, dokąd ona poszła.

W chwilę później potwierdziły się obawy Jessie.

- Pani Thea poszła na spotkanie z panną Primrose - oświadczyła kucharka.

Jessie rozplakała się.

- Tatusiu, teraz stanie się coś strasznego. Mamusia powie pannie Primrose, żeby kazała dziewczynkom przyjść na moje przyjęcie. A ja nie chcę! W ogóle nie chcę przyjęcia.

- Cóż, skoro tak, to go nie urządzimy. Cicho, nie płacz, kochanie. O co jeszcze chodzi?

- Tatusiu, w przyszłym roku idę do piątej klasy, a mamusia wciąż odprowadza mnie do samych drzwi szkoły. Dzieci się ze mnie wyśmiewają. Dlaczego nie mogę chodzić do szkoły piechotą? I nie mam żadnych przyjaciół, tatusiu. Sophie jest jedyną dziewczynką, którą mamusia lubi. Powiedziała, że dziewczynki ze szkoły to biała biedota. Zapytałam pannę Primrose, co to znaczy, ale nie chciała mi wytłumaczyć. Powiedziała tylko, że wszystkie jej uczennice to wytworne młode damy.

- Mój Boże, to długa lista skarg. Pomówię o tym z twoją matką dziś po południu. Aha, kupiłem ci prezent. Leży na schodach. Weź go, pobiegnij do

sypialni i rozpakuj. Potem zejdź i powiedz mi, czy ci się podoba. Matka z pewnością nie będzie zachwycona.

- Jesteś pewien, że nie spodoba się mamie?

- Najzupełniej.

- Zaczekasz na mnie przy schodach?

- Tak.

Po paru minutach Barnes usłyszał entuzjastyczny okrzyk:

- Ogrodniczki! Kocham cię, tatusiu! Poczekaj, aż mnie w nich zobaczysz!

- Wyglądasz jak córka farmera - roześmiał się Barnes. - Myślę, że mama nie pozwoli ci ich nosić w miejscach publicznych.

Jessie zarzuciła ojcu ręce na szyję i głośno go ucałowała.

Drzwi frontowe zamknęły się z trzaskiem za Theą Roland. Z zawiścią patrzyła, jak spontanicznie Jessie rzuca się ojcu na szyję. Spozobregła też drelichowe ogrodniczki, które córka miała na sobie.

- Chcę z tobą porozmawiać, Barnes. W bibliotece. Jessie, kochanie, biegnij na górę i przebierz się do kolacji. Lawendowa sukienka z białym kołnierzykiem będzie w sam raz.

- Nie. Chcę zostać w ogrodnickach. Tatus mi je podarował.

- Rób co mówię, Jessie. Zawsze przebieramy się do kolacji.

- No to zjem w kuchni z Ellie.

- Nie będziesz jadła ze służącą. A teraz idź na górę i przebierz się w lawendową sukienkę.

Jessie aż syknęła ze złości. Podskoczyła i krzyknęła na całe gardło:

- Nie! Nie! Nienawidzę tej sukienki. Nie! Zawsze będę nosiła te ogrodniczki. Będę w nich spała!

- Dobry Boże! Patrz, co narobiłeś, Barnes. Nasza córka wpadła w złość. Co masz zamiar z tym zrobić?

- Nic. Dzieciom, które mają apodyktyczne matki, czasami się to zdarza. Mówiłaś, że chcesz ze mną porozmawiać.

Thea ciężkim krokiem weszła do biblioteki. Barnes zatrzymał się przed drzwiami i mrugnął do córki.

- To był syczący atak złości, tatusiu.

- Tak, rzeczywiście.

Jessie usłyszała, jak ojciec chichocze wchodząc do biblioteki. Na twarzy dziewczynki malowała się radość. Pobieгла do kuchni.

- Jem dzisiaj z tobą w kuchni, Ellie, bo nie jestem odpowiednio ubrana, by usiąść do stołu w jadalni.

- Łaska boska.

To wszystko, co stara gosposia miała do powiedzenia.

- O co chodzi tym razem, Thea?

- O przyjęcie urodzinowe Jessie. Powiedziała, że koleżanki z klasy nie przyjdą więc poszłam do panny Primrose i zapytałam dlaczego. Nalegałam, by porozmawiała o tym z matkami innych dziewczynek. Odmówiła. A potem, Barnes... potem oznajmiła, że może byłoby lepiej, gdybym umieściła Jessie w innej szkole, skoro nie jestem zadowolona. Chodziło o następny semestr. Zrobiłabym to bez wahania, ale w okolicy nie ma innych szkół prywatnych. Mamy do wyboru dwa wyjścia, ale żadne z nich nie jest dobre - szkoła publiczna albo szkoła z internatem. Wobec tego chciałabym, żebyś jutro rozkręcił sprawę zakupu szkoły panny Primrose. Zatrudnimy nową dyrektorę i to my będziemy decydować o tym, kto odejdzie, a kto zostanie. Mówię całkiem serio, Barnes. Panna Primrose tym swoim wyniosłym tonem stwierdziła, że rozpieściłam Jessie. Czułam się bardzo upokorzona. Powiedziała, że Jessie jest bardzo dobrym dzieckiem, ale zbyt nieśmiałym i że powinna nawiązać więcej kontaktów z koleżankami z klasy. Powiedziała też, że mam na jej punkcie obsesję. Możesz w to uwierzyć, Barnes?

- Każdy medal ma dwie strony, Thea. Jestem pewien, że wersja Adele Primrose dotycząca tej rozmowy byłaby nieco inna od twojej. A co do zakupu: ta szkoła to całe jej życie, nie zgodzi się.

- Zgodzi się, jeśli cena będzie odpowiednia. Za pieniądze można kupić wszystko, Barnes.

- Jesteś pewna, że chcesz otworzyć tę puszkę Pandory? Trudno przewidzieć tego skutki. A co będzie, jeżeli Adele Primrose zechce się zemścić i zacznie węszyć? Mieszka w tym miejscu przez całe życie. Tutaj są jej korzenie. My przybyliśmy niedawno. Mogłaby zainteresować się tym, co robiliśmy w Atlancie albo w pierwszych latach pobytu w Kalifornii. Jeśli sama tego nie zrobi, zatrudni adwokata. Nie twierdzę, że tak się stanie, ale istnieje taka

możliwość. Trzeba wziąć pod uwagę, że ona ma oparcie w lokalnej społeczności, a my nie, bo mieszkamy w tej okolicy stosunkowo krótko. Jeśli będziesz za bardzo naciskać, nasze akta personalne mogą zostać poddane dokładnym oględzinom. Tak, wiem, są bardzo dobre, ale nie doskonałe, bo jednak sfalszowane. Nie, Thea, najlepiej byłoby przeprosić pannę Primrose. Gdybym był na twoim miejscu, kochanie, nie naruszałbym status quo.

Thea usiadła z impetem.

- A więc twierdzisz, że ta okropna baba mogłaby posunąć się aż do tego? Wszyscy wiedzą, że dokumenty adopcyjne są tajne.

- Na litość boską, Thea, Jessie nie została adoptowana. Posługujemy się tym określeniem już tak długo, że sami w to uwierzyliśmy. Sprawa nie jest zamknięta i nigdy nie będzie. Nie wywołuj wilka z lasu.

Głos Thei przeszedł w ledwie słyszalny szept.

- Osiem lat to szmat czasu, Barnes. Ona jest moja. Nigdy jej nie oddam. Żyję tylko dla niej.

- A więc jutro z samego rana zajmij się naprawianiem wyrządzonych szkód. Jeśli to nie odniesie skutku, wtedy ja się tym zajmę.

- Nie zrobiłaby tego.

- Zrobiłaby, Thea. Jeśli zechcesz zabrać Adeli Primrose jej szkołę, ona będzie walczyć. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. Są rzeczy, których nie można kupić za pieniądze.

- Skoro już mówimy o kupowaniu, o czym, na Boga, myślałeś, kupując te... te obrzydliwe drelichowe spodnie?

- O tym, by wywołać uśmiech na twarzy Jessie. Przestań ją zanudzać. Pozwól jej być dzieckiem. Ona potrzebuje przyjaciół, kumpli do zabawy. Zaprośmy Sophie na lato.

- To chyba nie jest dobry pomysł. Na całe lato, Barnes? A co, na Boga, ja będę w tym czasie robiła?

- Spróbuj robić na drutach. Pozwól Jessie być sobą i nawiązać kontakt z rówieśnikami. Tłamsisz ją, Thea. To ostatni tydzień roku szkolnego. Pozwól jej chodzić do szkoły pieszo. Zabierz ją na zakupy i pozwól wybrać to, co będzie chciała. Jeśli ty tego nie zrobisz, Thea, ja się tym zajmę.

- Nie mogę uwierzyć, że to mówisz, Barnes. Dobrze. Ale jest jeszcze jedna sprawa, o której musimy porozmawiać. Jessie powiedziała mi, że obiecałeś zainstalować telefon w jej pokoju. Chcę, żebyś odmówił.

- Nie złamię obietnicy, Thea. Zamówię go jutro i będzie miał oddzielny numer, tak żebyś nie mogła podsłuchiwać jej rozmów. Rozumiem, jak bardzo ją kochasz, ale to nie wyszłoby na zdrowie ani jej, ani tobie. Popuść trochę cugle, zanim będzie za późno.

Thea ukryła twarz w dłoniach.

- Barnes, nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś jej się stało. Może masz rację. Przez ostatnich siedem lat poświęcałam temu dziecku każdą minutę swego życia. Jak możesz oczekiwać, że nagle przestanę?

- Zrobisz to, co jest najlepsze dla Jessie. Jeśli naprawdę szczerze ją kochasz, powinnaś spróbować uczynić ją szczęśliwą. Kiedy ostatni raz uśmiechnęła się przy tobie?

- Nigdy się przy mnie nie uśmiecha. Jest zawsze taka poważna i posłuszna. Czasami mi się zdaje, że ona pamięta. Przysięgam, Barnes, myślę, że tak. Wszystkie złe sny, które prześladowały ją na początku, musiały wyrzeć na nią jakiś wpływ. Zawsze śni jej się to samo. Krzyczy przez sen: Jelly! Jelly!'. Może ci ludzie dawali jej do jedzenia dużo galaretki? A gdy ja jej naszykuje galaretkę, nie chce jej jeść. Nie wiem, co to znaczy. Sama myśl o tym przyprawia mnie o ból głowy. Powiedz Ellie, żeby przyniosła mi tacę z jedzeniem do pokoju. Niech Jessie zje w kuchni.

Barnes patrzył, jak żona opuszcza pokój. Ciężar, który przygniatał mu barki, stał się nagle lżejszy. Zadzwoił do firmy telekomunikacyjnej. Trzeba dotrzymać obietnicy. Potem poszedł do kuchni.

- Ellie, urządzimy sobie piknik na dworze - zarządził. - Proszę o hamburgera, trochę naprawdę tłustych frytek, żadnych warzyw, a Jessie i ja zjemy po dwa kawałki tego pachnącego ciasta rabarbarowego, które stoi na stole. Pani Thea nie przyłączy się do nas. Zje w swoim pokoju. Jej możesz podać gotowaną rybę i fasolkę.

* Jelly (ang.) - galaretką.

- Tatusiu, ale jesteś zabawny.

Jedenastoletnia Sophie Ashwood przywiozła do Charlestonu kostium bikini i zamykany na kluczyk pamiętnik pełen sekretów i imion chłodów. Przyjechała przejęta miesiączką i rosnącymi piersiami.

Dziewczynki natychmiast pobiegły do domku do zabawy, zostawiając Theę samą na osłoniętej werandzie. Barnes wstawił samochód do garażu, a potem usiadł obok żony. Zaszleścił trzymaną w rękę gazetą. Ścisnęło go w żołądku na widok napiętej twarzy żony.

- Zostaw dzieci w spokoju, Thea. Coś knujesz. Widzę to.

- Nic podobnego. Jestem tylko zła, że Sophie może tu zostać przez całe lato. Niepotrzebnie się na to zgodziłeś. To było niestosowne, Barnes. Janice i ten łobuz, z którym się teraz spotyka, pojechali do Europy, więc oczywiście mamy na karku jej dziecko do końca sierpnia. Co to za matka, co wyjeżdża z kraju zostawiając córkę pod cudzą opieką?

- Najwyraźniej Janice ci ufa. Zresztą, o ile wiem, Sophie wyjeżdża na obozy i nocuje poza domem od piątego roku życia. Jest niezależna i inteligentna. Jej towarzystwo dobrze zrobi Jessie. Jesteś po prostu zazdrosna i nie wiesz co począć. Nie chcę, żebyś się wtrącała do tego, co robią dziewczynki, Thea. Jessie dorasta i powinna przebywać z rówieśnikami. Ostatnie dwa tygodnie były wspaniałe. Od kiedy usłyszała, że przyjeżdża Sophie, stała się zupełnie inna. Na pewno to zauważyłaś.

- Zachowuje się tak w twojej obecności - powiedziała Thea. - Do mnie odnosi się z rezerwą. Robię, co w mojej mocy, aby była szczęśliwa, a ona tylko mi dziękuje. Oddałabym wszystko, żeby choć raz spontanicznie zarzuciła mi ramiona na szyję i przytuliła się. Robi to, jeśli ją poproszę, ale jest taka powściągliwa... Jakby się mnie bała. Barnes, to niemożliwe, żeby pamiętała. Była zbyt mała.

Barnes porządnie zwinął gazetę i położył ją na stole.

- Robisz dla niej wszystko z wyjątkiem oddychania za nią, a gdyby to było możliwe, robiłabyś i to. Czy nie widzisz, że ją zdominowałaś?

- Nic podobnego. Dlaczego wciąż mnie tym zdręczasz?

- Nie zdręczam cię. Pojedźmy do miasta na lunch, Thea. Weź kapelusz. Powiem dziewczynkom.

- Ja im powiem.

- Nie, Thea, ja to zrobię. Idź po kapelusz.

Oczy Thei napełniły się łzami.

- Dlaczego tak się do mnie odnosisz? A jeśli odmówię?

- Wtedy, będę zmuszony wziąć sprawy w swoje ręce. Zawiozę Jessie tam, skąd ją zabraliśmy. Jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje. Nie będę tego powtarzał, więc mam nadzieję, że wysłuchałaś mnie uważnie.

Thea z płaczem pobiegła do swojego pokoju. Wróciła po kilku minutach w kapeluszu na głowie i z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Słyszając wesołe pokrzykiwania męża skierowane do dziewczynek, wbiła w dłonie bardzo długie, szczupłe palce zakończone wypięłgnowanymi paznokciami.

- Jessie, mama i ja wyjeżdżamy na lunch. Bądźcie grzeczne i nie rozrabiajcie, gdy nas nie będzie. Ellie jest w kuchni, gdybyście czegoś potrzebowały.

- Tatusiu, czy możemy potelefonować?

- Oczywiście, kochanie. Przywieźć wam coś z miasta?

- Mógłbyś kupić mi pamiętnik zamykany na kluczyk? Taki jak ma Sophie. Mówi, że wszystkie dziewczynki w Atlancie je mają. W pamiętniku zapisuje się sekrety. Może ja też poznam kiedyś jakiś sekret. Pamiętnik Sophie jest już nimi prawie zapełniony.

- Pokaż mi, jak on wygląda, Sophie.

Sophie pobiegła do dziecięcego domku i wróciła niosąc brulion w kwiecistych okładkach.

- Myślę, że uda mi się znaleźć taki sam. A co zrobisz, jeśli nie będziesz miała żadnych sekretów do zapisania w pamiętniku?

- Poczekam. Może później jakieś się trafią. Czasami zapisuję sekrety innych ludzi, jeśli nie mam własnych - zwierzyła się Sophie.

Barnes z mądrą miną pokiwał głową. Pomyślał, że miało to sens.

- Zobaczymy się później. Bawcie się dobrze, dziewczynki.

- Dobrze, tatusiu.

- Dobry Boże, Barnes, dziewczynki są na bosaka. I nie mogę uwierzyć, że moja córka założyła toczek. Kupiłeś jej toczek, Barnes!

- Sophie też ma taki. Zdaje się, że wszystkie dziewczęta w Atlancie je noszą. I mają też pamiętniki zamykane na kluczyk. Thea, otwórz oczy. Dziewczynki świetnie się bawią. Tylko ty jesteś nieszczęśliwa. Mógłbym zacząć się do ciebie zalecać u Berlina, jeśli chcesz, chociaż prawdopodobnie wywołałoby to w

mieście szok. Dobrze byłoby znowu zacząć udzielać się towarzysko, Thea. Moglibyśmy zaprosić niektórych naszych starych przyjaciół z Atlanty. Brak mi naszych partyjek brydża. Przyjemnie byłoby kilka razy w tygodniu zjeść kolację w Jachtklubie. Ty i ja musimy zacząć coś robić razem.

Thea przetarła oczy.

- Czuję się taka zagubiona. Mam chyba mdłości.

- Musisz się z tym uporać. Pomyśl o tym, jak czują się matka i ojciec Jessie w Ashton Falls.

- Uzgodniliśmy, że nigdy nie będziemy o tym mówić, Barnes.

- To było kiedyś, a teraz jest teraz. Jeszcze z innego powodu chciałem, żebyś wyszła z domu. Lunch to tylko pretekst. Usiądźmy tutaj nad wodą i porozmawiajmy. Nikt nas nie usłyszy.

- Nie zniosę więcej złych wiadomości. Jeśli ta rozmowa ma dotyczyć Jessie, to nie jestem zainteresowana. Panna Primrose przyjęła moje przeprosiny i Jessie wróci do szkoły na semestr jesienny. Płaszczyłam się przed nią i wcale nie jestem z siebie dumna. Panna Primrose nie raczyła mnie przeprosić i z tym też musiałam się pogodzić. Nigdy w życiu nie czułam się taka upokorzona.

- Czy chcesz wrócić do Atlanty? - spytał Barnes.

- Dobry Boże, nie. Może, gdy Jessie będzie starsza. Przemyślę to. Charleston jest uroczy, to doskonałe miejsce dla dorastającej panienki. Powiedz mi, Barnes... co się takiego wydarzyło, aż musieliśmy wyjść z domu, żeby o tym porozmawiać?

- Zwróciłaś uwagę, jak Ellie się zmieniła?

- O jakiego rodzaju zmiany ci chodzi? Rzeczywiście, zrobiła się ostatnio zręczliwa. A skoro o tym wspomniałaś, to bywa też w stosunku do mnie dość szorstka. Myślałam, że dokucza jej artretyzm. Ma przecież sześćdziesiąt osiem lat. Całe życie pracuje dla mojej rodziny. A może ona chce odejść na emeryturę i wrócić do Atlanty? Czy to właśnie usiłujesz mi powiedzieć? Jak sobie damy radę bez niej?

- Myślę, że parę tygodni temu przypadkiem usłyszała naszą rozmowę. Od tamtej pory jej stosunek do nas zmienił się. Jest dobrą chrześcijanką, a teraz poznała nasz sekret i nie będzie umiała się z tym pogodzić. Sądzę, że szuka jakiegoś sposobu, żeby coś z tym zrobić.

- Zrobić? Barnes, wiesz tak samo dobrze jak ja, że Ellie nie umie czytać ani pisać. Nie ma żadnej rodziny poza kilkoma dalekimi kuzynami. Z tego co wiem, nigdy się z nimi nie kontaktowała. Nie dostaje poczty ani nikt do niej nie dzwoni. No, ale oczywiście rozumiem, o co ci chodzi. Co według ciebie powinniśmy zrobić?

- Ellie musi z nami zostać na wypadek jakichś... zmian. Uwielbia Jessie. Świadomie nie zrobi nic, co mogłoby wyrządzić jej krzywdę. A propos, jest jeszcze jedna sprawa, Thea. Co zrobiłaś z medalikiem, który Jessie miała na szyi, gdy ją zabraliśmy?

- Jest schowany w bezpiecznym miejscu. Nigdy nie wyrzuciłabym przedmiotu związanego z wiarą. Dlaczego pytasz?

- Pytam, bo Jessie była katoliczką, a my jesteśmy baptystami. Poza wszystkim innym ograbiliśmy ją też z jej wiary.

- Co cię napadło, Barnes? Przedtem nic sobie z tego nie robiłeś. Dlaczego teraz, tak nagle?

- Nie wiem, Thea. Mam okropne poczucie winy. Nie śpiam dobrze od... tamtego dnia.

- Musisz się z tym uporać! Mnie powtarzasz to bez przerwy. Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy prosić, bym ją oddała. Założyłeś już dla niej fundusz powierniczy?

- Zrobiłem to w zeszłym roku. Będzie dziedziczyć po nas obojgu. Fundusz powierniczy daje spory dochód. Kiedy skończy osiemnaście lat, będzie mogła z niego korzystać, jeśli zechce. Ale to nie jest w porządku. Chciałbym w jakiś sposób przekazać pieniądze jej rodzicom. Nie czytałaś gazet po... tej historii. Ja je czytałem, choć nie od razu. W rocznicę jej porwania w prasie ukazały się artykuły z najnowszymi wiadomościami. Wtedy zacząłem się tym interesować. Jej rodzice to prości, ciężko pracujący ludzie. Stracili dom, w którym urodziła się Jessie. Kościół, do którego należą, wybudował dla nich drugi. Mąż i rodzice musieli matkę wywlec siłą z domu, który stracili. Nie chciała go opuścić wierząc, że Jessie wróci do domu, a jeśli nikogo w nim nie zastanie, nie będzie wiedziała, co zrobić.

- Przestań, Barnes. Natychmiast przestań. Nie chcę o tym rozmawiać. Nigdy, przenigdy nie życzę sobie o tym mówić.

- Pewnego dnia coś może się jej przypomnieć. Może zobaczyć coś... doświadczyć czegoś, co przywoła wspomnienia.

- Kto będzie zwracał sobie głowę wspomnieniami dwulatki? Bądź realista, Barnes. Powiedziałam ci już, że nie chcę o tym rozmawiać. Ile pieniędzy włożyłeś na jej fundusz powierniczy?

- Pięć milionów dolarów.

- Tylko tyle?

- Za osiem lat, kiedy osiągnie pełnoletniość, kapitał się podwoi. Nie wydaje mi się, by dziesięć milionów dolarów było małą sumą.

- Mamy tak wiele - powiedziała Thea. - Czy mógłbyś znaleźć jakiś sposób, żeby anonimowo wysłać tym ludziom pieniądze?

Barnes pochylił się nad ławką, świdrując żonę wzrokiem.

- Jak sądzisz, Thea, ile jest warte ich dziecko?

Thea wybuchnęła płaczem.

- Nie ma na świecie takiej sumy, którą mogłabym naprawić krzywdę, jaką im wyrządziłam. Wiem o tym. Ale przecież mogliśmy spróbować. Wysłalibyśmy dużą sumę w gotówce, Barnes. Moglibyśmy to dobrze zapakować, nakleić tyle znaczków ile trzeba, by nie iść do okienka na poczcie, i wysłać z innego miasta. Mógłbyś także zwrócić medalik. W ten sposób zawiadomimy ich, że dziecko jest bezpieczne i w dobrych rękach.

Barnes zapytał ochryplym głosem:

- Ile to ma być, Thea? Nie będziemy się dzięki temu czuli lepiej. Wiesz o tym, prawda?

- Oczywiście, że wiem. Ale może pieniądze sprawia, że im będzie łatwiej. Mówiłeś, że są młodzi. Prawdopodobnie mają inne dzieci. To co, milion dolarów? Może być więcej, jeśli chcesz. Albo połowę tej sumy. Ile pieniędzy masz w sejfie?

- Cztery albo pięćset tysięcy.

- Od jak dawna je tam przechowujesz?

- Pięć czy dziesięć lat. Nie jestem pewien. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ nie możesz podjąć w bankach tyle pieniędzy nie wzbudzając podejrzeń. Mają sposoby wytropienia banknotów. Ale jeżeli pieniądze długo leżą w sejfie, będzie można z nich skorzystać. Kiedy już je wyślemy, możesz

pobrać jakąś sumę z banku. Potem, za parę lat, doślemy im jeszcze trochę. Nie wiem, jak oni się nazywają. A ty wiesz?

- Boże, oczywiście. Znam też ich adres.

- Pojedź do Richmond, by wysłać pieniądze, albo do Chattanooga. Możesz jechać jednego dnia, a wrócić następnego. Zatrzymaj się w jednym z tych tanich moteli. Ludzie w hotelach zapamiętują obcych. Dlaczego przechodzimy przez to po ośmiu długich latach? Dlaczego, Barnes?

- Ponieważ oboje czujemy się winni i boimy się, że Jessie coś sobie przypomni. I mamy nadzieję, że dzięki temu pocujemy się lepiej. Spróbujmy, choć to nic nie da. Jessie pozostanie mniej czasu na rozmyślanie, jeśli pozwolimy jej robić co chce. Może wtedy poczuje się szczęśliwa. Skoro będzie miała przyjaciół i dużo różnych zajęć, to niewykluczone, że przestaną ją męczyć koszmary. Zgadzasz się ze mną, Thea?

- Cóż innego nam pozostało?

- No to wracajmy do domu i bierzmy się do roboty. Wyjadę jutro. Powiemy dziewczynkom i Ellie, że wybieram się do Atlanty. Ale najpierw musimy pójść do sklepu z artykułami papierniczymi i kupić Jessie pamiętnik.

- Dobry Boże!

- Czy ty miałaś pamiętnik, Thea?

- Tak.

- I wpisywałaś do niego swoje tajemnice?

- Czasami. Zapisywanie własnych myśli przynosi niekiedy pociechę.

- Ciekaw jestem, co Jessie zapisze w swoim pamiętniku.

Ashton Falls, Tennessee

1973

- Dzień dobry, Grace. Dziś rano przyszła do ciebie paczka. Nie wiedziałem, że znasz kogoś w Chicago.

Stary naczelnik poczty podał Grace pakunek wielkości pudełka na buty.

- Nie musisz kwitować odbioru. Zdaje się, że dostajesz taką przesyłkę mniej więcej raz w roku.

Grace poczuła ściskanie w żołądku. Hiram miał rację. Przez ostatnie osiem lat paczki podobne do tej, jaką trzymała w ręku, przychodziły zawsze pod koniec lata. Zwykle w dniu, w którym turyści zaczynali zbierać się do wyjazdu. Pewnego roku zdarzyło się to akurat w rocznicę zniknięcia Hannah.

- Jakie to uczucie znowu mieszkać we własnym małym domku, Grace?

- Cudowne, Hiram. To był wspaniały dzień, kiedy przeprowadziliśmy się z powrotem do dawnego domu, gdzie urządziliśmy wszystko tak jak przedtem. Ale martwię się, że nie mogę przywyknąć do pokoju, który Ben zbudował dla chłopców na tyłach domu. Zrobił naprawdę dobrą robotę, ale ja stale myślę o Hannah. Wiesz, Hiram, w tym miesiącu przygotowywałyby się do wyjazdu do college'u.

- Wiem, Grace. Marie i ja co noc modlimy się za twoją małą dziewczynkę. Całe miasto to robi. Pewnego dnia, gdy będziesz się tego najmniej spodziewała, wejdzie do domu przez frontowe drzwi. Musisz w to wierzyć. A teraz powiedz mi, jak tam Jelly?

Ramiona Grace zadrżały. Walczyła ze łzami napływającymi jej do oczu.

- Zabiorę go dziś do domu z kliniki. Charlie wpadnie później i... i... uśpi go. Biedak! Artretyzm tak mu dokucza, że nie może chodzić. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy pogorszył się też stan jego serca. Nosiałam go, ale mój kręgosłup już tego nie wytrzyma. Ma osiemnaście lat, Hiram. Tyle ile Hannah. Kupiliśmy go w dniu, w którym przywieźliśmy ją ze szpitala. Wiem, co muszę zrobić. Nie wiem tylko, czy potrafię.

- Musisz, skoro to jest najlepsze dla Jelly'ego, Grace. Charlie powiedział mi wczoraj, że on bardzo cierpi. Choć to takie trudne, musisz się

zdecydować. Nadszedł jego czas. Jeśli Marie albo ja moglibyśmy ci jakoś pomóc, po prostu powiedz. A teraz zajmij się tą tajemniczą paczką, dobrze?

Grace przygryzła dolną wargą. Wiedziała, co jest w pudełeczku: pieniądze. Tysiące dolarów. Co roku, gdy przychodziła paczka nadawana zawsze z jakiegoś odległego dużego miasta, dzwoniła do FBI. I choć nie dawało to żadnych rezultatów, zabierano pieniądze, żeby je sprawdzić: szukano odcisków palców, notowano numery seryjne i robiono testy laboratoryjne. W końcu zwracano Grace pieniądze, a ona układała je w pudle na zabawki Hannah, które Ben własnoręcznie kiedyś zrobił, wkładając w to wiele miłości. Pudło na zabawki było pierwszą rzeczą, jaką wykonał dla córki. Ben nalegał, by teraz było zamykane na kłódkę. Tak jakby kiedykolwiek mieli wydać choć centa z tych zniechęconych pieniędzy. Zwróciliby je, ale na tajemniczej paczce nigdy nie było adresu zwrotnego.

Grace rzuciła paczkę na tył poobijanej furgonetki Bena. Miała teraz dużo ważniejsze rzeczy do zrobienia. Ważniejsze niż zajmowanie się pieniędzmi, które nigdy nie zostaną wydane.

Dziesięć minut później zaparkowała na parkingu na tyłach kliniki weterynaryjnej. Usiłowała zapanować nad oddechem.

Potrafę to zrobić. Zrobię to. Muszę to zrobić. Ja sama. Nikt inny, myślała.

- Na litość boską, Grace, pozwól, że ja zaniosę psa. Jest za ciężki. Mogłabyś go upuścić.

- Charlie, zamknij się. Jestem zdolna do wielu rzeczy, ale nigdy nie upuściłabym tego psa. Ten pies jest... Po prostu otwórz te cholerne drzwi, Charlie, a potem drzwiczki od samochodu. Ja zajmę się resztą.

Podczas krótkiej jazdy do domu Grace cały czas przemawiała do skomlącego psa, byle tylko się nie załamać i nie zacząć płakać.

- Dzisiaj przyszła kolejna z tych cholernych paczek z pieniędzmi, Jelly. Co o tym myślisz? Chyba mniej więcej to, co ja. Ludzie, którzy zabrali Hannah, chcą odkupić swoją winę. Co roku wysyłają coraz więcej i więcej. Mam nadzieję, że nigdy nie zazną spokoju. Modliłam się tak mocno, by jakoś, w jakiś sposób, Hannah odnalazła drogę do domu, zanim... przyjdzie pora na ciebie. Nigdy się nie poddam, tak jak ty nigdy się nie poddałeś. Nikomu już na tym nie zależy. Nawet gdy dzwonię do FBI, oni po prostu pytają: „Co, dostała pani kolejną paczkę?” Nic ich to nie obchodzi. Myślałam, że FBI zawsze

znajduje przestępcę. Gówno prawda, Jelly. Przez szesnaście lat nie natrafili na żaden ślad. Żaden.

Popatrz, staruszkule, jesteśmy w domu. Powrót do tego domu to było najlepsze, co kiedykolwiek zrobiliśmy z Benem. Tutaj jestem dużo spokojniejsza. Wiem, że chcesz... no wiesz... iść do miejsca, które na ciebie czeka. Pokój wygląda dokładnie tak samo jak w dniu, w którym wynieśli mnie z niego krzyczącą i kopiającą. Każda, nawet najmniejsza rzecz jest tam, gdzie przedtem. Wryło mi się to w pamięć i nigdy tego nie zapomnę. I wiesz co, Jelly? W pokoju są czterdzieści dwa czerwone sweterki. Ostatniej nocy zrobiłam jeszcze jeden. Nie cały, na razie dwa rękawy. Posiedzę dziś wieczorem i dokończę go. Nigdy dość swetrów. Chyba moja matka mi to powiedziała, ale nie jestem tego pewna.

Pójdę teraz do domu i otworzę drzwi. Wniosę cię po schodach na górę. Będzie tak, jak za starych dobrych czasów, Jelly. Tylko ty i ja. Twój szczeniak, który przecież nie jest już szczeniakiem, czeka na ciebie. Leży pod drzwiami, tak jak go nauczyłeś. Ale chłopców nie ma dziś w domu. Chciałam, żeby wszystko było tak jak dawniej. To był taki zły okres. Teraz ty masz Jelly'ego Juniora, a ja mam Johna i Josepha. Możesz... odejść wiedząc, że wszyscy jesteśmy w dobrych rękach. Wierzę, że jeśli sprawy ulegną kiedyś zmianie, będziesz o tym wiedział. To potrwa jeszcze tylko trochę, Jelly.

Grace pobiegła do domu i wspięła się po schodach do starego pokoju Hannah. Wystarczyła tylko chwila, by się upewnić, że wszystko jest tak, jak być powinno. Poszła do kuchni. Pozostało jej jedynie zanieść Jelly'ego na górę, by wszystko znów znalazło się na swoim miejscu. Łzy spływały jej po policzkach. Otarła je rękawem.

Nie był taki ciężki jak poprzednim razem, gdy wносиła go po tych schodach na górę. Powstrzymała szloch, choć wiedziała, że tego psa już nie będzie nosić.

- Popatrz, to JJ. Czeka na nas.

Jelly zaskamlał. Jelly Junior zawył, sierść na jego karku uniosła się. On wie, pomyślała Grace kładąc swojego najlepszego przyjaciela na małym łóżeczku Hannah. Jelly zamknął oczy usiłując złapać oddech.

- Gdzie jest Ben? Obiecał, że przyjdzie, gdy Jelly będzie już w domu - zastanawiała się na głos Grace.

Obróciła się i zobaczyła, że mąż stoi w drzwiach. Nawet z miejsca, w którym się znajdowała, widziała, że jego oczy są mokre od łez.

- O Boże, Ben. Nie potrafię podjąć decyzji. Kocham tego psa. Jest moim najlepszym przyjacielem. Był obrońcą naszej córki. Minęło osiemnaście lat, Ben. Najpierw Bóg zabrał mi Hannah, a teraz zabiera mojego psa. Psy mogą żyć do dwudziestu lat. Charlie tak powiedział. Powinniśmy byli zabrać go do tego specjalisty w Atlancie, o którym słyszeliśmy. Mogliśmy wydać na to te cholerne pieniądze.

- Przyszedł czas na Jelly'ego, Grace. Musimy się z tym pogodzić. Zostawia nam swojego syna.

- JJ nigdy, przenigdy nie wszedł do tego pokoju, Ben. Nigdy. Jakby wiedział, że to jest miejsce, w którym nie powinien przebywać. To zadziwiające, kiedy się o tym pomyśli.

- Wszedł teraz. Spójrz.

Larsonowie popatrzyli na młodszego psa, który wczłogał się do pokoju i zatrzymał przy łóżku. Skomlał i piszczał nie wiedząc, czy wolno mu położyć się obok Jelly'ego.

- Wskakuj, JJ - zachęciła go Grace.

- Mam zadzwonić po Charliego? - spytał ją mąż.

- Nie, Ben. Potrzebuję czasu. Jeszcze chwilę. Zejdź na dół i poczekaj na mnie. Zawołam cię.

- Jak mogę cię zostawić samą?

- Ponieważ kochasz nas oboje i chcesz tego samego co ja. Proszę cię, Ben. Muszę to zrobić po swojemu.

Kiedy za mężem zamknęły się drzwi, Grace opadła na kolana i zaczęła głaskać psa po głowie. Jelly tylko na chwilę otworzył oczy. JJ przesunął się trochę, by Grace mogła się położyć obok Jelly'ego. Zaczęła nucić stare kołysanki. Jelly machnął ogonem na znak, że je poznaje. Kiedy skończyła, przysunęła się bliżej psa.

- Mam uczucie, Jelly, że na coś czekasz. Ale nie wiem, o co ci chodzi. Chociaż... wiem, już wiem, Jelly. Nie ruszaj się.

Grace zeskoczyła z łóżka i pobiegła przez hol do swojego pokoju. Chwyciła wiszący na ścianie plakat z powiększonym zdjęciem Hannah i Jelly'ego, które

zostało zrobione, gdy jej córka skończyła dwa latka. Wróciła do pokoju i opadła na kolana. Mówiła teraz szeptem.

- Jelly, popatrz. Otwórz oczy. To Hannah i ty. Popatrz, jak imponująco wyglądasz. To był taki wspaniały dzień. Widzisz, Jelly, kiedy ona wróci... a wiem, że kiedyś wróci... powiem jej, jaki byłeś dzielny i opowiem o tej chwili. Będzie cię pamiętała, wiem, że tak. Kochała cię tak bardzo jak Ben i ja cię kochamy. - Głos Grace zabrzmiał surowo: - Nigdy o tym nie zapomnij, Jelly. Nigdy.

Pies poruszył się. Leżący u jego boku JJ pyskiem pomógł mu unieść głowę. Jelly machnął ogonem i resztkami sił głośno, przejmująco zaszczeakał, usiłując położyć łapę na zdjęciu małej dziewczynki, której bronił tak dawno temu. Grace utuliła go w ramionach, gdy wydawał ostatnie tchnienie - głębokie i pełne bólu. Odbiło się echem w całym domu. Ben słysząc to, upuścił trzymaną w rękę filiżankę z kawą i wbiegł na górę przeskakując po trzy stopnie na raz. Żal i ból, które odczuwał, dorównywały uczuciom jego żony. JJ zeskoczył z łóżka, by zająć swoją pozycję przy drzwiach.

Upłynęło sporo czasu, nim Grace się poruszyła, wciąż trzymając Jelly'ego w ramionach.

- Co powinniśmy zrobić, Ben? Czy mamy go pochować, czy poprosić Charliego, by dokonał kremacji? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Teraz też nie mam na to ochoty, ale muszę. Moglibyśmy przechowywać jego prochy w tym pokoju dla... dla mnie, dla nas, dla Hannah, jeśli kiedykolwiek do nas wróci, i dla JJ. To byłoby tak, jakby wciąż był z nami. Ale może to nie ma sensu. Nie wiem, co robić, Ben.

- To dobry pomysł. Myślę, że oboje tego chcemy. Przygotujemy miejsce specjalnie dla niego. Wszystko jedno, czy to właściwe, czy nie. Liczą się tylko nasze pragnienia. Dobre jest to, co pozwoli nam sobie z tym jakoś poradzić. Zadzwoń do Charliego, by wszystko zorganizował. Będziemy musieli wyjaśnić dzieciakom, o co chodzi.

Grace skinęła głową.

- To drugi najgorszy dzień w moim życiu, Ben. Nie rozumiem. Przecież staramy się być dobrymi ludźmi, dlatego więc Bóg nas tak doświadcza?

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, Grace. Czy tutaj pozostawimy wszystko tak, jak jest?

- Myślę, że prędzej umrę nim dotknę czegokolwiek. Ben, dzisiaj nadeszło jeszcze jedno pudełko z pieniędzmi. Rzuciłam je na tył furgonetki. Trzeba zadzwonić do FBI.

- Do diabła z FBI. Nie potrafiliby znaleźć psiego gówna, nawet gdyby w nie weszli. Daj sobie z tym spokój. Zamknę pieniądze w pudle na zabawki. Pewnego dnia będziemy musieli o tym porozmawiać

- Nie chcę rozmawiać o tych pieniądzach. Ani teraz, ani nigdy. Zostaw je tam, aż zgniją.

Następnego dnia postawili prochy Jelly'ego w pokoju Hannah na małej ozdobnej półeczce, którą Ben Larson robił w garażu przez całą noc. JJ obserwował ich poczynania położywszy głowę na łapach. Zaczekał, aż Grace i Ben wyjdą; podniósł się, odwrócił głowę, żeby na nich spojrzeć, wszedł do pokoju i zajął miejsce Jelly'ego na starym, wytartym kocu w nogach łóżka. Larsonowie spojrzeli po sobie i pokiwali głowami. Pies został sam. Był nowym strażnikiem sprawującym pieczę nad pamięcią Hannah w ich domu.

Charleston, Południowa Karolina

1973

Jessie Roland czekała, póki nie nabrała zupełnej pewności, że w domu panuje kompletna cisza. Było w pół do drugiej nad ranem. O tej porze rodzice z pewnością spali. Ukradkiem, na palcach zesłała po krętych schodach, przeszła przez jadalnię i kuchnię i wyszła na zewnątrz. W rękę ścisnęła kurczowo małą latarkę. To było wspaniałe uczucie - rosa z kłującej trawy na bosych stopach. Skierowała się do dzieciennego domku, w którym ukrywała wszystko, czego nie powinna zobaczyć jej matka. Codziennie dziękowała Bogu, że ani matka, ani Ellie nie mogły wejść do małego domku. Ona sama musiała przykucnąć i w tej pozycji poruszać się po niziutkich pokojach. Trzymała latarkę skierowaną w dół, by najmniejszy nawet promień światła nie przesaczył się przez nieduże okienka.

Jessie przez wiele lat wyprawiała się nocą do domku. Nauczyła się poruszać po nim bezszelestnie. Dotarła do pokoju, w którym mieściła się szafka,

gdzie kiedyś przechowywała zabawki. Teraz znajdowały się w niej pamiętniki, kosmetyki, portfel z pieniędzmi, liściki od chłopców ze szkoły średniej i najwyższa nagroda – świadectwo przyjęcia na uniwersytet w Nowym Jorku.

Jessie usiadła i opłotła ramionami kolana. Jutro będzie wolna, tak samo jak jej przyjaciółka Sophie. Plan obmyśliły razem rok temu, gdy rodzice Jessie odmówili zgody na jej naukę w college'u w innym stanie. Nalegali, by uczęszczała do college'u w Charlestonie, bo wtedy będzie mogła chodzić na zajęcia mieszkając w domu. Po raz pierwszy w życiu napad złości, który wychodził jej tak doskonale, nie poskutkował. Zgodziła się, bo nie miała wyboru. Postąpiła zgodnie ze wskazówkami Sophie, która stwierdziła, że trzeba czasu na opracowanie planu rozgrywki i na przygotowania. Teraz wszystko jest gotowe. Jutro rano nowiutkim BMW, który dostała w prezencie od rodziców z okazji ukończenia szkoły średniej, wyjeżdża do Atlanty, na organizowane przez Sophie przyjęcie. Tam sprzeda samochód i kupi drugi, zarejestrowany na nazwisko Sophie. Będzie potrzebny na podróż do Nowego Jorku. Podczas ostatniego tam pobytu Sophie wynajęła dla niej mieszkanie i zapłaciła z góry czynsz za sześć miesięcy. Jeszcze jeden dług zaciągnięty u najlepszej przyjaciółki. Od września cała jej korespondencja miała być wysyłana na adres Sophie. Jessie będzie już wtedy chodziła na zajęcia do Tulane. Te wszystkie skomplikowane fortele miały, jak uważała Sophie, zapewnić powodzenie ich przedsięwzięciu.

Na początek najlepsza przyjaciółka nie tylko pożyczyła jej dużo pieniędzy na mieszkanie, ale także na opłacenie czesnego za pierwszy rok nauki. Wzięła również na siebie załatwienie formalności związanych z zapisaniem Jessie na studia. Chodziło o to, by rodzice Jessie nie mogli jej odszukać za pośrednictwem uniwersytetu. Sophie, bywała w świecie, potrafiła dokonać wszystkiego i była taka życzliwa. Państwo Roland myśleli, że Jessie będzie uczęszczała do Georgia Tech, szkoły wyższej, do której także została przyjęta. Ze średnią ocen cztery mogła sobie wybrać uczelnię. W głębi duszy była przekonana, że gdy pojedzie do college'u, rodzice zaczną planować jej powrót do Atlanty. Wcale by jej nie zaskoczyło, gdyby okazało się, że już to zrobili. Ale się zdziwią!

Zwyczajnie i po prostu Jessie miała zniknąć. Dzięki planowi dokładnie opracowanemu przez Sophie będzie miała nad nimi tydzień przewagi. Rano przed wyjazdem do Atlanty pójdzie do banku i pobierze znaczną sumę ze

swojego funduszu powierniczego. Sophie powiedziała, że musi wziąć tyle pieniędzy, by starczyło na rok dobrego życia.

- Twoi rodzice przynajmniej przez miesiąc, czyli dopóki nie przyjdą następne wyciągi bankowe, nie będą zdawali sobie sprawy z tego, co zrobiłaś - powiedziała Sophie tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Możesz mi wierzyć.

Przez wiele dni Jessie, zgodnie ze wskazówkami Sophie, która wiedziała wszystko na każdy możliwy temat, kupowała ubrania, jakie nosili studenci w Nowym Jorku.

- Bez względu na to, co się stanie, Jessie, możesz na mnie liczyć - powiedziała Sophie.

To właśnie Jessie chciała usłyszeć. Postępowała zgodnie z planem. Jutro, jak określała to w myślach, zostanie zrealizowana pierwsza jego faza.

Wyciągnęła nogi przed siebie. Ucieknie od ogarniętej obsesją na jej punkcie, apodyktycznej matki. To prawda, będzie tęsknić za ojcem i na pewno odczuje brak Elli, ale nie matki. Gdy odjedzie, nie obejrzy się wstecz. I nigdy do nich nie wróci. Jest młoda, silna, zdrowa. Potrafi poradzić sobie sama. Zamierzała pracować podczas studiów. Tak czy inaczej da sobie radę. Miała głowę na karku i dowiodła tego, dostając się od razu na drugi rok studiów. Była teraz na tym samym poziomie co Sophie - także studentka drugiego roku Tulane.

To będzie cudowne życie... ale jeśli zaraz nie zaczną działać, coś może pójść nie tak. Powlokła swój ukryty skarb do małych drzwi wejściowych i wypchnęła go na zewnątrz. Cofając się zamknęła drzwi. Po kilku minutach jej rzeczy bezpiecznie spoczywały w bagażniku BMW razem z nowymi ubraniami zapakowanymi w reklamówki. Chociaż bagażnik był pełen, nie zabierała niczego, co kupili jej rodzice. Zerwie z nimi na dobre i nigdy nie obejrzy się za siebie.

Jessie wróciła do sypialni, wzięła prysznic i ubrała się. Tej nocy nie zaśnie. Posiedzi, poczyta, a może później zejdzie na dół i zrobi sobie filiżankę herbaty. Wcześniej rano będzie gotowa do drogi do Atlanty.

Jednak zamiast czytać, kołysała się w swoim ulubionym bujanym fotelu. Ogarnął ją przytłaczający smutek, choć nie wiedziała dlaczego. Przecież przed chwilą była rozradowana perspektywą wolności. Może ten smutek wywołało zdjęcie rodziców stojące na komodzie, które pojawiło się tam dzień po

dziesiątych urodzinach Jessie. Gdy rano otwierała oczy, jej wzrok od razu padał na tę fotografię. Kiedyś marzyła, by ktoś ją ukradł, ale wiedziała, że było to absurdatne życzenie i że nigdy się nie spełni.

Według ogólnie przyjętych kryteriów wiodła wspaniałe życie. Miała rodziców, którzy poza nią świata nie widzą, ogarnięci niemal obsesją na jej punkcie; wszystkie dobra materialne, jakie można kupić za pieniądze – piękny dom, wysokie kieszonkowe, fantastyczny fundusz powierniczy, własny samochód; jedyną przyjaciółkę i żadnego zwierzęcia domowego poza zmęczoną złotą rybką pływającą w niewielkim akwarium. Nie zadała sobie nawet trudu, by nadać rybce imię, bo pragnęła czegoś żywszego, czegoś, co mogłaby przytulić.

Jessie nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w zdjęcie rodziców. Ojciec to dobry człowiek, choć zdawał się poświęcać wiele uwagi temu, by wieść życie jak najbardziej beztrudnie. Był także wspaniałym rozjemcą w starciach z matką. Będzie go jej brakowało, ale nie na tyle, by chciała wrócić. To z powodu matki musiała opuścić dom. Wspominała swoje życia i wszystkie przykrości, jakich zaznała. Miała matce za złe wszystko, z kwiecistymi sukienkami, kapeluszami z miękkim rondem i nieskazitelnymi białymi rękawiczkami włącznie. Nie znosiła mdlącego zapachu jej perfum ani prasowanego pudru na policzkach. Nienawidziła, gdy matka nazywała ją „kochanie”, „kochane dziecko”, „najdroższa dziewczynka”. Nie cierpiała mrowienia na skórze, kiedy matka ją obejmowała, by zasypywać uściskami i pocałunkami. Miała wtedy wrażenie, że się dusi. Nawet teraz czuła tę mroczną aurę. Jej oddech stał się urywany. W tej krótkiej chwili uświadomiła sobie, że nienawidzi matki. Było w niej coś mrocznego, coś, czego nie potrafiła zrozumieć. Pewien szczególny ton w jej głosie przypominał Jessie o sprawach, których nawet nie umiała nazwać.

Jeszcze tylko kilka godzin i wyzwoli się od tego wszystkiego.

Barnes patrzył, jak Jessie przechodzi przez podwórko. Nie zobaczyłby jej, gdyby nie poświęcał księżycu. Poczł, jak napinają mu się mięśnie pleców. Włożył do ust cygaro. W pokoju, do którego został zesłany, mógł robić, co mu się podobało. Kilka lat temu Thea wypędziła go ze wspólnej sypialni, bo przeszkadzał jej spać, sam cierpiąc na bezsenność. „Cuchniesz dymem z cygar, a chrapiesz tak głośno, że mógłbyś obudzić sąsiadów” – powiedziała.

Odpowiadało mu to, bo mógł przez część nocy przemierzać pokój tam i z powrotem. Poczucie winy potrafi zgniebić człowieka. Niecierpliwie wyczekiwał dnia, gdy będzie mógł wysłać Larsonom kolejną paczkę pieniędzy. Przez kilka godzin miał wówczas wrażenie, że wymazuje swoją winę.

Rozważał teraz pomysły, by w następnym pudełku wysłać zdjęcie z promocji Jessiki. Poczul ściskanie w dołku na myśl o FBI idącym tropem zdjęcia. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Za kilka godzin Jessie pojedzie sama do Atlanty na doroczne przyjęcie Sophie. Te przyjęcia stanowiły przedmiot zazdrości wszystkich przyzwoitych panien w Atlancie, bo nie były nadzorowane przez rodziców. Kiedy zbliżał się termin, matka Sophie, Janice Ashwood, wyjeżdżała z zadymionego miasta tam, gdzie jej przyszła ochota poflirtować.

Thea rozchorowała się na wieść, że Jessie zamierza uczestniczyć w tym przyjęciu. Barnes pamiętał, jak poczerwieniała ze złości, gdy kilka dni wcześniej Jessie zapowiedziała, że nie wróci do college'u w Charlestonie. W życiu nie słyszał takiego pojedynku na wrzaski, jak tego dnia. Słowa Jessie wciąż rozbrzmiewały mu w uszach.

- Okłamałaś mnie. Powiedziałaś, że jeśli nie będzie mi odpowiadał ten college, pozwolisz mi chodzić do Georgia Tech. Obiecałaś, mam. Teraz łamiesz obietnicę. Wiedziałam, że tak będzie, więc wzięłam sprawy w swoje ręce. Zapisałam się i sama zapłaciłam chesne. Wyjeżdżam. Jeśli będziesz dalej ze mną walczyć, nigdy już tu nie wrócę. Muszę mieć własne życie. Mam osiemnaście lat. Wyprzedzam moich rówieśników, bo przez cały czas intensywnie się uczyłam. Chciałam, żebyś była ze mnie dumna. Robiłam to, co chciałaś. Zawsze robiłam to, co chciałaś, bo nauczyłaś mnie, że mam być posłuszna i pełna szacunku. Doprowadziłaś do tego, że moje życie stało się twoim. Teraz muszę wziąć życie we własne ręce. Nie chcę dłużej być do ciebie przykuta. Czuje, że nie mogę oddychać, gdy ty jesteś blisko.

Barnes zmrużył oczy przypominając sobie, jak Thea wyciągnęła ręce, doremnie usiłując złapać i przytrzymać Jessie, która zręcznie wywinęła się krzycząc:

- Nie dotykaj mnie! Nienawidzę tego!

Thea osunęła się bezwładnie na podłogę salonu. Jessie popatrzyła na nią i odeszła. No i tyle. Barnes był pewien, że Jessie wkrótce zacznie sobie coś

przypominać. Tak pewien, że poważnie rozważał możliwość wywiezienia Thei do jakiegoś kraju w Ameryce Południowej, gdzie FBI nigdy nie wpadłoby na jej trop.

Barnes zmarszczył brwi, gdy zobaczył, jak Jessie przenosi pudła z domku do samochodu zaparkowanego na tyłach domu. Szybko przeszedł przez pokój, zbiegł w dół po schodach i poszedł do biblioteki. Z tego okna lepiej widział poczynania córki.

Od dawna wiedział, że w dzieciнным domku Jessie ukrywa przed rodzicami różne rzeczy. Nie miał nic przeciwko temu i trzymał język za zębami. Thea niczego nie podejrzewała, chociaż codziennie przeszukiwała pokój Jessie. Co miała nadzieję znaleźć – na zawsze pozostanie jej tajemnicą. Może wskazówkę, że Jessie zaczyna sobie coś przypominać.

Barnes czekał. Gdy usłyszał kroki Jessie skradającej się na górę po schodach, nalał sobie kieliszek burbona i zapalił cygaro. Skończył pić i palić, podszedł do sejfu w ścianie i otworzył go. Była w nim rodowa biżuteria Thei, medalik Jessie – którego nigdy nie odesłał Larsonom, chociaż powiedział żonie, że to zrobił – i stos paczek banknotów. Dwa dni wcześniej, po wysłaniu z Chicago pieniędzy rodzicom Jessie, uzupełnił zapas gotówki. Zamknął sejf i ułożył na biurku paczki banknotów jedna obok drugiej. Bardzo chciał dołączyć do nich list. Zaprzagnął zwierzyć się tej dziewczynie, którą kochał z całego serca. W głębi duszy wiedział, że Jessie nigdy nie wróci do domu w Charlestonie. Pomyślał o żonie i o tym, co się z nią stanie. Tyle pieniędzy! Nalał sobie kolejny kieliszek burbona i zapalił świeże cygaro. Musiał jeszcze wyjąć dokumenty z wbudowanej w ścianę szafki. Ręce mu drżały, gdy przekładał segregatory bankowe, dopóki nie odnalazł tych, które dotyczyły funduszu powierniczego Jessie.

Dopił burbona, zacisnął zęby na grubym cygarze. Napisał krótki liścik, który zamierzał przekazać razem z pieniędzmi. Był ekspertem w porządnym pakowaniu paczek. W pudełku starannie ułożył całą gotówkę z sejfu, dokumenty funduszu i małe pudełeczko na biżuterię, zawierające medalik Jessie. Solidnie zawinął pudełko w papier i związał sznurkiem. Grubym czarnym flamastrem napisał na zewnętrznej stronie imię Jessie. Tam, gdzie powinien być napisany adres zwrotny, napisał „Tato”.

Pogrzebawszy w szufladzie biurka znalazł zapasowy kluczyk do samochodu Jessie. Trochę czasu zajęło mu przekonanie samego siebie, że dobrze robi, zanim zdobył się na odwagę, by wyjść na dwór. Czuł się jak złodziej, gdy przekładał pakunki w samochodzie. Przygotowane przez siebie pudełko umieścił specjalnie obok karbowanego kartonu, żeby Jessie zobaczyła je od razu podczas wypakowywania rzeczy z samochodu.

Wrócił do domu i ciężkim krokiem podszedł do barku. Twarz wykrzywił mu grymas, kiedy przypomniiał sobie słowa z filmu, który kiedyś oglądał: „Gdy chcesz coś ukryć, zostaw to w widocznym miejscu”. Tak właśnie zrobił.

Wydostał z szuflady na akta skoroszyt: gruby, pełen wycinków z serwisów telegraficznych agencji AP. Okropne słowa – porwanie, współudział, współodpowiedzialność, współwinny – wirowały mu w głowie. Był przecież uczestnikiem porwania. Niezdarnie przekładał wycinki w skoroszycie. Czytał je już wcześniej, w nocie takie jak ta, gdy zżerało go poczucie winy. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek nadejdzie dzień, w którym pokaże komuś ten skoroszyt. Wiedział, że kiedyś zniszczy te dokumenty. Nie wiedział tylko, kiedy nadejdzie ta chwila..

Zamknął szufladę dokładnie w chwili, gdy Jessie wsunęła głowę przez drzwi mówiąc:

– Ranny z ciebie ptaszek. Masz na sobie to samo ubranie, co wczoraj wieczorem, prawda? Nie spałeś?

Barnes przywołał na twarz najpromienniejszy ze swoich uśmiechów. Pomyślał, że chyba w końcu się upił. Butelka po burbonie była pusta.

– Nie, nie spałem. Jest dopiero siódma. Myślałem, że wyjedziesz około dziewiętej. Wygląda na to, że ty też nie spałaś.

– Masz ochotę na kawę? Pozwólmy Ellie wypać się dziś rano. To miłe, że kupiłeś jej ten aparat słuchowy, tatusiu.

– Kawa brzmi nieźle.

Jedzenie, picie i Ellie to były bezpieczne tematy. Barnes poszedł za Jessie do kuchni. Patrzył na nią myśląc o tym, jak zdrowo wygląda.

Thea wpadnie w szal, gdy zobaczy ją w dżinsach zawiniętych do pół łydki i brudnych białych tenisówek na gołych stopach. Workowaty podkoszulek był przewiązany w pasie, a na szczupłe ramiona Jessie narzuciła sweter w kolorze dojrzałych wiśni. Na rękę, na skórzanym paseczku, nosiła zegarek z dużą

tarczą. Zastanawiał się, gdzie się podział rolex, który kupił Jessie pod wpływem nalegań Thei. Leży pewnie porzucony w szufladzie.

O ile wiedział, nigdy też nie założyła zegarka odpowiedniego do wieczorowych sukienek, inkrustowanego diamentami i szmaragdami, który Thea podarowała jej kilka lat temu. Pewnie też leżał gdzieś w szufladzie wraz z innymi kosztownymi drobiazgami, które Thea co miesiąc regularnie kupowała. Wątpił, czy prawdziwa rodzina Jessie wiedziała, co to jest zegarek marki Rolex. Stojąc przy oknie w kuchni wyraźnie widział swojego nowiutkiego kremowego bentleya, mercedesa Thei i roczne BMW Jessie. W jednym z artykułów o Larsonach napisano, że jeździli dziesięcioletnią furgonetką. Poczuł, jak zbiera mu się na mdłości.

- Chyba nigdy przedtem nie widziałem cię w czerwonym swetrze, Jessie.

- To dlatego, że mamusia nie znosi czerwonych swetrów. Niedawno go kupiłam. Właściwie kupiłam dwa takie swetry. Wyglądają tak wesoło. Nie wiem dlaczego, ale kocham czerwony kolor.

Barnesowi znów zrobiło się niedobrze. W dniu, w którym Thea porwała dziecko z różowego spacerowego wózka, było ono ubrane w czerwony sweterek. Od tamtej pory nigdy go nie widział.

Zajrzał do jadalni. Thea już siedziała przy stole, kompletnie ubrana, w pełnym makijażu. Poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Podeszedł do Thei i powiedział:

- Jessie i ja pijemy kawę w kuchni. Może zechcesz się do nas przyłączyć?

- W kuchni!

W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby mąż i córka popijali smołę z diabłem w piekle.

- Jessie niedługo wyjeżdża. Nie sądzisz, że z tej okazji jadalnia byłaby bardziej stosowna? Boże drogi, Barnes czy chcesz, by to właśnie pozostało jej w pamięci? Picie kawy w kuchni jest takie pospolite. Co prawda wróci za parę dni. Nie wyjeżdża przecież na zawsze. Spakowałam nasze bagaże, Barnes. Pojedziemy w bezpiecznej odległości za nią, aby się upewnić, że na pewno dojechała bez szwanku. Zostaniemy w Atlancie i kiedy będzie wracała do domu, pojedziemy po nią. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Ponieważ nie jedziemy do Atlanty. Przynajmniej ja się tam nie wybieram. Ty możesz robić, co zechcesz. Ostrzegam cię jednak, że powiem Jessie o twoich zamiarach.

Thea zamachała rękami.

- Jessie nigdy przedtem nie wyjeżdżała sama. Może zdarzyć się jakiś wypadek.

- Jessie jest dorosłą, odpowiedzialną osobą. Potrafi dać sobie radę w różnych sytuacjach, może z wyjątkiem tych, które dotyczą ciebie.

- A cóż to ma znaczyć, Barnes?

- Możesz to rozumieć, jak chcesz. Nie mam zamiaru jechać do Atlanty. Ty rób, co ci się podoba.

- Jeśli choć przez chwilę sądzisz, że pozwolę mojemu dziecku samemu, bez opieki zostać w tym mieście, to jesteś w błędzie. Ona nie ma pojęcia, jaki jest prawdziwy świat.

- Więc już czas najwyższy, by się dowiedziała. Wybij to sobie z głowy.

- Pojadę sama.

- Pozbawię cię środków finansowych. Albo lepiej, zrobię to, o czym ty boisz się nawet pomyśleć.

- Przestań mi grozić, Barnes. I tak muszę wiele znośić.

- Tatusiu, kawa gotowa - zawołała Jessie z kuchni.

- Wybór należy do ciebie, Thea. Przyłącz się do nas albo zostań tutaj.

Głos Jessie był matowy i wyprany z emocji, gdy mówiła:

- Mamusiu, nie zauważyłam cię. Wcześniej dziś wstałaś.

Thea wzięła głęboki oddech, nim odpowiedziała:

- Chciałam być gotowa, by się z tobą pożegnać. Tatuś i ja będziemy za tobą tęsknić. To będzie twoja pierwsza samotna podróż, tak daleko od domu. Daj jej trochę pieniędzy, Barnes.

Thea przysunęła się bliżej córki. Jessie powoli zrobiła krok w tył. Barnes musiał się odwrócić, by nie widzieć łez w oczach żony.

- Nie potrzebuję pieniędzy.

- Te łachy, które masz na sobie, są obrzydliwe. Widziałam lepiej wyglądających szmacciarzy. Skąd masz ten sweter? Nie do twarzy ci w czerwonym, Jessie. Wyglądasz w nim blade. Nie lubię czerwonych swetrów. Zdejmij go.

- Ale ja lubię czerwone swetry, mamó. Kiedy byłam mała, miałam czerwony sweterek.

- Na pewno nie - krzyknęła histerycznie Thea.

Jessie z otwartymi ze zdziwienia ustami gapiała się na matkę. Barnes odezwał się cicho:

- Myślę, że zapomniałaś, Thea. Matka Sophie podarowała kiedyś Jessie czerwony sweter.

- Co? A, tak... Może masz rację. Nigdy go jednak nie nosiłaś, Jessie. Czerwone rzeczy nie nadają się dla blondynek. Wyglądają... pospolicie.

- Daj temu spokój, zanim sprawa wymknie się spod kontroli, Thea - syknął jej do ucha Barnes.

Głos matki był napięty, ale już opanowany, gdy się odezwała:

- Opowiedz nam o przyjęciu. Ile osób jest zaproszonych?

- Około stu.

- Dobry Boże! - To wszystko, co Thei przyszło do głowy.

- Czas na mnie. Jeśli wyjadę wcześniej, nie będzie tak gorąco i nie spocę się. Chcecie się pożegnać tutaj, czy przy samochodzie?

- Wcale nie chcę się z tobą żegnać. Jedziesz przecież tylko na przyjęcie do Atlanty. Obiecuj, że zadzwonisz, jak tylko dojedziesz na miejsce.

- Mamó, przestań się martwić. Zadzwonię.

- Gdzie są twoje bagaże?

- Zapakowałam je wcześniej.

- W co się ubierzesz na przyjęcie? Nawet mi nie powiedziałaś, Jessie. Zwykle wszystkim się ze sobą dzieliłyśmy. Jeśli to przyjęcie jest takie ważne, to dlaczego nie pokazałaś mi, co będziesz miała na sobie?

- Nie kupiłam sobie nic, mamó. Włożę sukienkę Sophie. To głupota wydawać pieniądze na coś, co założy się tylko raz. Sophie i ja nosimy ten sam rozmiar. Powinnaś wypić kawę, zanim ostygnie.

- Kiedy wrócisz do domu?

Jessie zacisnęła zęby.

- Nie wiem.

- Zadzwoni, gdy będziesz gotowa do powrotu.

- Sophie chce, żebym została na cały tydzień. Może tak zrobię.

- Cały tydzień - zachłysnęła się Thea. - Ale to znaczy, że przed wyjazdem do college'u będziesz w domu tylko przez jeden dzień. Zostawiłaś wszystko na ostatnią chwilę. Potrzebne ci jest nowe ubranie, pościel, nowe walizki...

Jessie wzruszyła ramionami.

- Co to jest? - spytała Thea.

- Plecak - powiedziała Jessie zarzucając na ramiona ciężki plecak z zielonego diagonalu.

- Pozwólcie, moje panie, że odprowadzę was do samochodu.

- Chodź do mnie, słodkie kochanie, mocno ucałuj i przytul mamusię.

Jessie zniosła jakoś obowiązkowe uściski. Udawała, że nie dostrzega łez, które spływały matce po policzkach.

- Tatusiu, baw się dobrze w czasie weekendu. Kup mamusi loda w wafłu. Sądzi, że dzięki temu wszystko lepiej smakuje.

Wzdrygnęła się, kiedy ojciec wyszeptał jej do ucha:

- Nie wrócisz już, prawda?

Jessie spojrzała ojcu w oczy. Nie potrafiła skłamać człowiekowi, który tyle razy przez te lata wstawał się za nią u matki.

- Nie, tatusiu.

- Będę za tobą tęsknił.

- Do widzenia - krzyknęła Jessie siadając za kierownicą. Wycofała samochód z parkingu.

Dzisiaj jest pierwszy dzień jej nowego życia.

Nie obejrzała się za siebie.

4

Jessie westchnęła z ulgą, gdy wreszcie zaparkowała BMW na podjeździe domu Ashwoodów za mercedesem Sophie. Spojrzała na zegarek. Upłynęło dokładnie pięć godzin od chwili, gdy opuściła parking przed bankiem.

- Boże, Jessie, zaczynałam się już martwić - powiedziała Sophie zarzucając przyjaciółce ramiona na szyję. - Miałaś jakieś kłopoty? Musisz się czegoś

napić. Wyglądasz okropnie. Ubrałaś się tak, jakbyś wszystkim chciała powiedzieć: „Mam to gdzieś”. Twoja matka dostała pewnie szału na widok tego stroju. Czy wpadłaś do banku i zabrałaś ze sobą wszystkie ziemskie dobra? Jak długo będziesz tu jeszcze stała?

Sophie wyrzucała z siebie pytania pospiesznie, nie robiąc przerw na oddech.

Jessie roześmiała się.

- Jak dotąd wszystko poszło gładko jak po maśle. Tatuś się jednak domyślił, że nie wrócę. Spytał o to bez ogródek. Nie zaprzeczyłam. Ale on nic nie zrobi. Rozumie mnie, choć nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Myślę, że nawet mi współczuje. Dotarłam do banku tuż po otwarciu i zrobiłam duży skok na kasę. Zabrałam wszystko, co ma dla mnie jakąś wartość. Kupiłam sobie dwa czerwone swetry. Matka dostała szału na widok jednego z nich. Boże, jak gorąco, chyba ze czterdzieści stopni.

Sophie zaśmiała się.

- Przebierz się w kostium kąpielowy i chodź popływać. Wszystko jest gotowe. Trzeba sprzedać twój samochód i kupić nowy - tylko to zostało do zrobienia. To zajmie nam pół godziny. Zadzwoniłam wcześniej i wszystkie dokumenty już przygotowano. Zamówiłam ci dżipa. Prawdziwego jasno-czerwonego dżipa.

- Naprawdę!?

- Najświętsze słowo honoru!

- Kocham cię, Sophie Ashwood.

- A ja kocham ciebie, Jessie Roland. Myślę, że nasza przyjaźń przetrwa całe życie.

Jessie patrzyła na swoją piękną przyjaciółkę bez cienia zazdrości. Uważała, że „piękna” to zbyt słabe określenie urody Sophie. Jej twarz okalała burza złotych włosów tak kędzierzawych, że wprost niemożliwych do ułożenia. Upinała je na czubku głowy, by wydać się wyższą. Po ojcu odziedziczyła dołeczki w policzkach i czekoladowe oczy. Patrycjuszowski nos i wysokie kości policzkowe miała po matce. Ciało o doskonałych proporcjach zawdzięczała tylko sobie. Uprawiała ćwiczenia fizyczne, pływała, grała w tenisa. Była wegetarianką. Jej bezpośredni sposób bycia i rzadka umiejętność wprawiania spotkanej po raz pierwszy osoby w swobodny nastrój sprawiały, że szybko

zjednywała sobie ludzi. Niemal od przedszkola uzyskiwała tak dobre wyniki w nauce, że plasowała się wśród najlepszych uczniów w klasie. Miała także pewne wady: uwielbiała przeklinać, by zaszokować otoczenie i łatwo wpadała w gniew.

- Moja matka obdarłaby cię żywcem ze skóry, gdyby zobaczyła, jak wyglądasz w tym bikini - powiedziała Jessie.

- Twojej matki tu nie ma. Kupiłam ci taki sam kostium, ale zielony, pod kolor twoich oczu. Położyłam go na łóżku. No dalej, idź, rób co do ciebie należy. Zaczekam przy basenie.

- A kupiłaś mi narzutkę do kostiumu? - spytała Jessie.

- Nie. Będziesz musiała paradować po domu prawie nago. Poczekaj tylko, aż zobaczysz sukienkę, którą wybrałam dla ciebie na wieczór. Głęboko wycięta, ramiona i plecy zupełnie gołe. Czy wspomniałam, jaka jest obcisła? Nie włożysz pod nią bielizny.

Jessie zachłysnęła się z wrażenia. Śmiech Sophie towarzyszył jej przez całą drogę do domu.

Robię to, co należy. Naprawdę, upewniała się w myślach.

Popatrzyła na skape bikini i najwyklejszą spódnice - kawałek materiału, który owijało się wokół bioder.

Znała ten pokój. Sąsiedował z pokojem Sophie i można było przechodzić z jednego do drugiego przez łączące je drzwi. Gdy miała jedenaście lat, przyjechała tu z rodzicami po raz pierwszy i spędziła noc. Rano Sophie powiedziała matce, że pokoje powinny być połączone. Następnego dnia wstawiono drzwi. Jessie bardzo się podobało, że w pokojach w domu Ashwoodów można się było zamknąć na klucz. Pozwalało to trzymać na dystans matki - apodyktyczne jak jej, albo jak w przypadku Sophie zaniebujące swoje dzieci. Jessie widziała Janice Ashwood tylko kilka razy w życiu.

Pokój, jak na sypialnię, był duży, urządzony luksusowo. Jessie z trudem mogła sobie wyobrazić ile kosztowało jego wyszukane wyposażenie. Jej bosc stopy zanurzyły się w puszystym dywanie, gdy przechadzała się oglądając cenne porcelanowe figurki i kryształowe drobiazgi. Wszędzie było pełno brokatu w kolorze szampana, importowanej koronki i atlasu. Ciemnoróżowe kwiaty w wazie z epoki Ming pięknie się prezentowały na tle wiszących na ścianach drogich obrazów o pastelowych barwach. Nawet scenograf filmowy

musiałby zadać sobie wiele trudu, by urządzić pokój choć w połowie tak luksusowy.

Jednak Jessie nieodparcie nasuwało się pytanie: czy w tym pokoju można było znaleźć bezpieczny azyl? Nie, nic z tego – zdecydowała. Należało go uznać po prostu za doskonale wnętrze, jak wszystkie inne w rezydencji Ashwoodów z wyjątkiem pokoju Sophie, w którym panował taki bałagan, że zanim się do niego weszło, trzeba było usunąć rzeczy walające się po podłodze.

W tym wspaniałym pokoju, tak samo jak i u Sophie, zainstalowano trzy telefony o różnych numerach i kolorach. Na numer białego telefonu, którego zazwyczaj nie odbierała, dzwonili rodzice. Telefon niebieski był dla przyjaciół i odbierała go zawsze, a beżowy dla młodych mężczyzn, którzy pragnęli z nią porozmawiać. Jessie pomyślała, że jednak powinna zadzwonić do matki. Trzeba dotrzymać obietnic. To będzie jej ostatni telefon. Może zrobić próbę rozmowy podczas przebierania się w bikini. Z doświadczenia wiedziała jednak, że nie zda się to na nic, bo matka na pewno poruszy różne tematy i zada mnóstwo pytań, na które Jessie będzie musiała odpowiedzieć.

– Muszę się opalić – jęknęła na widok swojego odbicia w wiszącym na drzwiach łazienki wysokim lustrze w złoczonej ramie.

Sophie wsunęła głowę przez drzwi i spytała:

– Dlaczego tak się guzdrzesz, Jess?

– Nie mogę się zdecydować, czy zadzwonić do domu teraz, czy poczekać.

– A na co masz ochotę?

– Najchętniej w ogóle bym nie dzwoniła. Ale obiecałam, że to zrobię.

– Więc miej to już z głowy. Woda w basenie jest wspaniała, od kiedy działa podgrzewacz. Podobasz mi się w tym kostiumie. Ale fajnie byłoby wykapać się nago dziś wieczorem, kiedy przyjęcie się rozkręci!

– Nie odważysz się!

– Owszem. Już to robiłam. Wierz mi, to nie dziewczęta się wstydzą i zasłaniają ale chłopcy. Warto wtedy na nich popatrzeć. Każdy sprawdza każdego. No wiesz: pokaż, na co cię stać. Nie musisz tego robić, Jessie, ale to niezła zabawa. Więc dzwonisz, czy nie?

– Chyba tak. Nie odchodź. Zostań i posłuchaj.

Sophie przysiadła na brzegu łóżka.

– Jak sądzisz, ile razy Thea zadzwoni podczas twojego pobytu?

- Będzie dzwoniła co dziesięć minut. Zainstalowanie tych trzech telefonów było genialnym pomysłem. Ale chyba dość kosztownym, prawda?

- Matka nic sobie z tego nie robi. Mamy tyle pieniędzy, że mogłybyśmy zrobić z nich wysoki stos i podpalić. Nikt by tego nie zauważył, nawet bankierzy. „Proszę przysłać mi rachunek” – to ulubione powiedzenie mojej matki.

- Całe szczęście, że wyszła za męża za tego bogatego Greka.

- No pewnie. Odziedziczyła po nim wszystko, co miał. Matka mówiła, że mój ojciec był dobry w łóżku, ale tak biedny, że musiała mu kupić ślubny garnitur. - Po chwili dodała matowym głosem: - A potem, w rok po moim urodzeniu, zapił się na śmierć.

- Jesteśmy dwójką odmieńców. Zdajesz sobie z tego sprawę, Sophie, prawda?

Sophie kiwnęła głową.

- Nie wiem, która matka gorsza: taka jak moja czy taka jak twoja. Czy ty w ogóle ją w tym roku widziałaś?

- Była w domu na Wielkanoc. Zakrzętała się, w wielkanocny poranek zostawiła mi pod drzwiami koszyk smakołyków i już jej nie było. Teraz jeździ po Europie i robi sobie operacje plastyczne. Wygląda młodziej niż ja. Jest nie do poznania. Do diabła, ja sama jej nie poznałam, a to przecież moja matka. Ostatnim razem, gdy zadzwoniła, powiedziała – to dokładny cytat: „Kochanie, młodość przemija, więc ciesz się nią póki możesz. Kupuj, co chcesz, rób, co chcesz, a rachunki niech przesyłają adwokatom”. Robię więc to, co mi nakazała.

Z oczu Sophie pociekły nagle łzy.

- Nie chcę nigdy, przenigdy żyć tak jak matka. Teraz włóczy się po Europie z facetem, który jest tylko trzy lata starszy ode mnie. Z zawodu jest malarzem pokojowym. Kiedy się nim znudzi, obdaruje go kupą forsy, tak że przez resztę życia będzie się pławił w luksusie. Jest niewiarygodnie hojna dla mężczyzn swojego życia.

Dla Jessie to nie było nic nowego. Słyszała o tym już przedtem. Zmianom ulegały jedynie nazwisko i zawód mężczyzny, z którym zabawiała się Janice Ashwood.

- Czy ty masz własne pieniądze, Sophie? Coś w rodzaju konta oszczędnościowego albo bankowego?

Sophie prychnęła.

- Mam uzupełniany co roku fundusz powierniczy. Matka sprzedała kilka greckich tankowców i uzyskane pieniądze włożyła w mój fundusz. Zostały jej do sprzedania chyba jeszcze siedemdziesiąt trzy statki. Odrażające, prawda?

- Co zrobisz z tymi pieniędzmi?

- Wydam je tak szybko, jak będę mogła.

- Na co?

- Coś mi się trafi. Potrzebujesz pieniędzy, Jessie?

- Nie. Wydałaś już na mnie dość. Kiedy się urządzę, zacznę ci zwracać dług. Sophie, co byś zrobiła, gdybyś nie była bogata?

- Popatrz tylko na mnie, Jessie. Pieniądze to jedno, a moje umiejętności to zupełnie inna sprawa. Na szczęście mam głowę na karku. Szybko się uczę. Myślę, że pewnego dnia zostanę wziętym architektem. Kto wie, może zaprojektuję ci dom, kiedy zdecydujesz się wyjść za mąż? To będzie mój prezent ślubny. Wydawanie pieniędzy mojej matki... moich pieniędzy, jeśli zechcesz tak na to spojrzeć, jest karą, jaką wymierzam matce. Myślałam, że zwróci na mnie uwagę, gdy rachunki będą coraz wyższe. Ale ona nawet nie mrugnęła sztucznymi rzęsami. Zaczęłam wydawać coraz więcej i więcej, aż w końcu okazało się, że nie została mi już ani jedna cholerna rzecz do kupienia. A ona ciągle nie zwracała na mnie uwagi. Ale to nic: wytrwam, a potem będę górą. O to chodzi, przyjaciółko. Jesteśmy różne pod wieloma względami, ale pod innymi bardzo do siebie podobne. Potrafiłaś wytrwać na swój własny sposób. Od dzisiaj będziesz górą. Zazdroszczę ci, bo nie wiem, kiedy nadejdzie moja chwila. Choć na pewno nadejdzie. Pewnego dnia zbuduję most - dodała rozmarzona - tak wspaniały, że wzbudzi podziw na całym świecie. A wiesz, dlaczego chcę zbudować most?

Nie czekając na odpowiedź Jessie, szybko wyjaśniła:

- Budujesz most, po którym będziesz mogła się dostać tam, dokąd przedtem nie mogłaś dotrzeć. Kiedy już go zbudujesz i przejdiesz po nim na drugą stronę, masz do wyboru: albo zostać w tym wspaniałym miejscu, albo wrócić. Czy nie uważasz, że to smutne?

Jessie pokiwała głową.

- Przyrzeknij mi, Sophie, że bez względu na to, jaką drogę życiową ty czy ja wybierzemy, bez względu na to, jak potoczy się nasze życie, zawsze

pozostaniemy przyjaciółkami. Nie chodzi mi o to, że będziemy do siebie nieustannie dzwonić czy pisać co tydzień listy. Chodzi o pewność, że zawsze będę mogła liczyć na ciebie, tak jak ty na mnie. Chcę, żebyś mi to przyrzekła.

Twarz Sophie przybrała uroczysty wyraz.

- Przyrzekam, Jessie. Wiesz co, darujmy sobie pływanie i pojedźmy do miasta sprzedać samochód. Wciąż zamierzasz wyjechać jutro rano?

- Tak. W niedzielę będzie mniejszy ruch. Ale muszę wypakować rzeczy z samochodu.

- Najpierw zadzwoń do matki, żeby mieć to z głowy. Chcesz papierosa?

- Pewnie. Matka siedzi z ręką na słuchawce telefonu. Założę się o dziesięć dolarów, że podniesie, ją zanim umilknie pierwszy sygnał.

- Hej, Jess, to przecież ja. A zakłady są dla frajerów. Bez wykrętów, dzwoń!

Jessie przewróciła oczami, gdy telefon w Charlestonie odebrano w chwilę po wykręceniu przez nią numeru. Sophie padła na łóżko i podłożyła ramiona pod głowę.

- Przyjechałam mniej więcej godzinę temu. Na litość Boską, mamó, dlaczego to zrobiłaś? Czy wiesz, jak mi będzie wstyd, gdy policja zapuka do drzwi? Powiedziałam, że zadzwonię, no i dzwonię. Dlaczego płaczesz, mamó? Jeśli nie przestaniesz, odłożę słuchawkę. Idziemy zaraz popływać. W tej chwili pijemy piwo i palimy papierosy. Tak, oficer policji poczuje ten zapach. Nie sądzę, żeby uznał mnie z tego powodu za szmatę. Dobrze, niech ci będzie, uzna mnie za szmatę. Nic mnie to nie obchodzi, mamó. Możesz dzwonić tak często, jak chcesz. I tak pewnie w zamieszaniu podczas przyjęcia nie usłyszymy dzwonka telefonu. Nie, nie oglądałam sukienki. Czy chciałabyś porozmawiać z Sophie i ją o to spytać? Powiedziała mi, że pod tą sukienką nie nosi się bielizny.

Sophie schowała twarz w poduszkę, a całe jej ciało drżało od tłumionego śmiechu.

- Mamó, lepiej, żebyś się tu nie pokazywała. Nie pozwolę się tak upokarzać.

Sophie wyprostowała się, wyczuwając niemy krzyk wzbierający w głosie Jessie. Zrobiła gwałtowny ruch ręką, pokazując Jessie, by przerwała rozmowę.

- Czas na nas! - krzyknęła głośno.

- Mamo, muszę już iść. Sophie na mnie czeka. Przecież właśnie rozmawiamy, mamo. Właściwie to nie chcę z tobą rozmawiać. Jestem na wakacjach. Uzgodniłyśmy, że ten czas będzie należał do mnie. Zajmij się szydelkowaniem albo wybierz się gdzieś z tatusiem. Zostawiłam pokój w porządku. Dlaczego musiałaś w nim coś ruszać? Wiem, że uwielbiasz to robić, ale w ten sposób sama sobie przysparzasz roboty. Nie wiem, dlaczego ten pokój wygląda tak, jakby nikt w nim nie przebywał. Może dlatego, że nie pozwalasz mi w nim robić nic poza siedzeniem i spaniem. Mamo, jestem za stara na to, by przesyłać ci całuski przez telefon, nie będę też plotła słodkich bzdur. Mam osiemnaście lat. Rozplakałaś się tak, że nie słyszysz, co do ciebie mówię, więc odłożę słuchawkę. Do widzenia, mamo.

- Dobry Boże! Jak ty potrafisz to znieść? Jessie Roland, masz cierpliwość świętej. Czy się nie przesyłałam? Przyjedzie tutaj?

- Zadzwoiła na policję, gdy po pięciu godzinach nie zatelefonowałam do niej. Wybierają się tutaj. Czy to nie jest chore? Możliwe, że sama też przyjedzie. Zadzwoię do niej za pół godziny. Jeśli nie odbierze telefonu, to będzie oznaczało, że już jedzie, czyli że ja muszę wyjechać. Załatwmy sprawę samochodu od ręki.

- Najpierw musimy się przebrać - powiedziała zawsze praktyczna Sophie.
- Spotkamy się na dole za dziesięć minut.

Czterdzieści minut później Sophie zapytała:

- Więc jak ci się podoba? To pojazd jedyny w swoim rodzaju. Jeszcze dość długo takich samochodów nie będzie można nigdzie kupić. Kombinowałam i targowałam się, żeby go dla ciebie dostać - dodała z dumą. - Czy ta cukierkowa czerwień nie jest cudowna? Wszyscy faceci w szkole będą cię uwielbiać. Jak myślisz, poradzisz sobie z tym?

- Oczywiście. Bardzo ci dziękuję, Sophie. Powtórzmy sobie teraz parę spraw. Samochód jest zarejestrowany na twoje nazwisko, prawda? Tak samo ubezpieczenie. Napisałaś na maszynie oświadczenie, że pożyczasz mi samochód. Mam je przechowywać ze wszystkimi dokumentami w skrytce na rękawiczki.

- Zgadza się.

- Realizuję czek za BMW i biorę gotówkę, którą oddam tobie. Jeśli posługuję się gotówką, nie można mnie namierzyć.

- Zgadza się. A więc jedźmy do banku. Zaczekam na ciebie na parkingu. Kasjerka zapamięta osobę realizującą czek na tak znaczną sumę. Nie chcę, żeby skojarzyła sobie nasze twarze, gdy twoja matka wezwie do akcji FBI. Zrobi to, Jessie, więc przygotuj się. Pamiętaj, że świat kręci się wokół numeru ubezpieczenia społecznego. Wyrzuc z pamięci stary numer, zapamiętaj nowy, który ci skombinowałam. Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy dopytywać się, jak to zrobiłam. Udało mi się. Na wszystkich przygotowanych dla ciebie dokumentach podany jest nowy numer. Od dzisiaj jesteś nową osobą. Jesteś pewna, że sobie z tym wszystkim poradzisz?

Jessie miała ponurą miną.

- Tak. Pewnego dnia, gdy będziemy starymi, cholernie znudzonymi mężatkami, opowiesz mi, jak tego wszystkiego dokonałaś.

- Umowa stoi. Chodźmy, chcę się przekonać, czy twoja matka odbierze telefon. Może będziemy musiały przejść do planu B.

- Jaki jest plan B?

- Opracuję go czekając na ciebie na parkingu przed bankiem.

Thea Roland przez chwilę gapiała się na trzymaną w dłoni słuchawkę telefonu. Słysząc było przerywany sygnał. Odwróciła się i ujrzała wpatrującego się w nią męża.

- Siedzę tu tyle godzin, Barnes, i czekam na jej telefon, a ona mi mówi, że zadzwoniła do mnie godzinę po przyjeździe. Jak mogła mi to zrobić? Powiedziała, że upokorzyłam ją dzwoniąc na policję. Nawet jej głos brzmiał obco. Takie są rezultaty słuchania ciebie. Mówiłaś: daj jej wolność, daj jej swobodę, pozwól jej zbierać nowe doświadczenia. Jest mi obca, wcale jej nie znam. To Sophie i ta dziwka jej matka ponoszą za to winę.

Barnes usiadł naprzeciwko żony.

- Ta dziwka, jej matka, całe życie była twoją przyjaciółką. Sophie jest wspaniałą młodą kobietą która ma własne zdanie i własne pomysły. Spotkanie z nią było najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się Jessie. To wszystko twoja wina, Thea. Bez względu na to, co się wydarzy, musisz wziąć na siebie pełną odpowiedzialność.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić! Poświęciłam tej dziewczynie całe życie i oto podziękowanie, jakie dostaję. Jadę tam, jak tylko zdołam się pozbierać. Przywiozę ją do domu.

Barnes obciął czubek cygara i zapalił go złotą zapalniczką. Thea zmierzyła go wzrokiem.

- Zabraniam ci palić te śmierdzące cygara w tym domu. Zasłony i dywany przesiąkną ich zapachem.

- Zaczynij się do tego przyzwyczajać. W moim domu będę, do cholery, robił to, co mi się podoba.

- Co w ciebie wstąpiło, Barnes? Czy nie słyszałeś, co powiedziałam?

- Słyszałem każde słowo. Nie pojedziesz do Atlanty, by zepsuć Jessie weekend.

- Właśnie, że pojedę. Tak postanowiłam i nie zmienię zdania. Nie proszę, byś mnie zawiózł. Pojadę sama i wrócę z naszą córką. Słuchanie ciebie było moim największym życiowym błędem.

- Nie!

To krótkie słowo zabrzmiało niczym uderzenie bicia.

- Twoim największym życiowym błędem było porwanie tego dziecka.

Thea zaszlochała.

- Cicho bądź, Barnes. Uzgodniłszy, że nie będziemy o tym wspominać.

- Do cholery, musimy o tym porozmawiać, przywyknąć do myśli, że Jessie już z nami nie ma. Teraz nadszedł jej czas. Już o tym rozmawialiśmy. Skończyło się, a my musimy żyć dalej. Nie pojedziesz do Atlanty i koniec. Jeśli zechcesz wyjechać, związę cię jak indyka na Święto Dziękczynienia.

- Pojadę. Z tobą czy bez ciebie. Jesteś moim mężem, nie strażnikiem. Tak jak powiedziałeś, musisz do tego przywyknąć.

- Ostrzegam cię, Thea. To będzie ostatnia kropla. Jessie nigdy ci nie wybaczy. Chcesz z tym żyć? A mówiąc ściślej: potrafisz z tym żyć?

- To okropne, co mówisz. Jessie mnie kocha. To wpływ Sophie, przez nią te wszystkie kłopoty. Musimy znaleźć sposób, by usunąć ją z życia naszej córki. Zastanów się, jak możemy to zrobić?

- Nie będziemy nic robić. Ile razy mam ci to powtarzać?

Thea wstała; wzrok miała szklisty, a usta zaciśnięte.

- Wybieram się do Atlanty. Jedź ze mną albo zostań. To już i tak bez znaczenia.

Barnes spojrział na cygaro, które trzymał w dłoni. Westchnął.

- Wsiadaj do samochodu, Thea.

- Dziękuję ci. Wiedziałam, że w końcu zgodzisz się ze mną. Znowu zamieszkamy w domu w Atlancie. Jessie będzie przyjeżdżać do nas na weekendy. Będziemy nawet mogli jadać z nią kolację w środku tygodnia. Zatrudnię nową kucharkę, która będzie zawozić Jessie posiłki. Chcę być pewna, że nie żywi się wyłącznie tłustym, ciężkostrawnym stołówkowym jedzeniem. Odnowimy jej pokój albo nawet wynajmiemy osobne mieszkanie. Jessie będzie nam za to wdzięczna. Musimy zacząć planować wakacje. Może wybierzemy się tylko we troje na morską wycieczkę. Przyjemnie byłoby zwiedzić greckie wyspy. We trójkę będziemy się wspaniale bawić. Razem jadać posiłki, razem zwiedzać. Znowu będziemy szczęśliwą rodziną.

Barnes przytrzymał żonie drzwi samochodu. Siadając za kierownicą usłyszał dzwonek telefonu. Zastanawiał się, kto dzwoni. Ale cóż to mogło mieć za znaczenie?

- Spróbuj jeszcze raz, Jessie. Jesteś spięta. Może wykręciłaś zły numer?

- Wybrałam dobry numer, Sophie, ale zrobię to jeszcze raz. Znam moją matkę. Już jest w drodze. Jeśli od razu wyjadę, zyskam cztery godziny przewagi nad nimi. Szkoda, że nie będę na twoim przyjęciu. Zrobisz zdjęcia i napiszesz do mnie długi list?

- Oczywiście. Pomogę ci załadować dżipa. Nie prowadź dzisiaj zbyt długo, Jessie. Zatrzymaj się gdzieś na noc i jedź dalej jutro z samego rana. Nie martw się o nic. Tutaj ja przejmę pałeczkę. Będę czekała na twój telefon.

- Czy ja dobrze robię, Sophie?

- A dobrze się z tym czujesz, Jessie?

- Tak. Dobrze.

- A więc robisz to, co trzeba. Chodź, bierzmy się do dzieła. To dobrze, że zatankowałyśmy dżipa. Jesteś gotowa do drogi? Masz mapę, którą dla ciebie przygotowałam?

- Mam wszystko, Sophie. Dziękuję ci. Jesteś taką dobrą przyjaciółką.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Co to? - spytała Sophie na widok pudełka w ręku Jessie.

- Nie wiem. To chyba pismo mojego ojca. Muszę zobaczyć, co jest w środku. Dlaczego ojciec... Co to jest?

- Twoja przyszłość - powiedziała Sophie przeglądając papiery, które podała jej Jessie. - Ja także mam takie dokumenty. Dotyczą funduszu powierniczego. Ojciec ci je przekazał. To znaczy, że możesz z pieniędzmi z funduszu robić, co ci się żywnie podoba i nie musisz nikogo prosić o pozwolenie. Kiedy się urządzisz, zadzwoń do banku i podaj im instrukcje dotyczące przekazywania korespondencji. Twój ojciec podpisał papiery upoważniające cię do dysponowania funduszem, więc wszystko jest w porządku. Bankierzy zrobią, co zechcesz. Jeśli sobie życzysz, możesz korzystać z mojego adresu, dopóki się nie urządzisz. Z tego co widzę, jesteś bardzo zamożną młodą kobietą. Co jest napisane na tej kartce?

Jessie powstrzymała łkanie.

- Píše po prostu, że życzy mi powodzenia. Jeśli będę kiedykolwiek potrzebowała jego pomocy, mogę zadzwonić i zostawić wiadomość w klubie. Kocha mnie i chce, żebym była szczęśliwa. Prosi, bym o nim od czasu do czasu pomyślała. Nie będzie się wtrącał w moje życie, ale nie może ręczyć za matkę. Dał mi nawet medalik. Jest stary i zniszczony. Zastanawiam się, dlaczego to zrobił?

- Czy chcesz, żebym go dla ciebie przechowała?

- Nie sprawi ci to kłopotu?

- Oczywiście, że nie. Kiedy się urządzisz, wrócimy do tego. Chciałabym jeszcze raz wszystko przeczytać i porównać z dokumentami dotyczącymi mojego funduszu powierniczego. Matka zatrudniła najlepszych prawników do ich sporządzenia. Nie chcę, żeby kiedyś w przyszłości jakiś błąd zemścił się na tobie. Mając taką matkę musisz uzyskać nad nią maksymalną przewagę.

Jessie uściskała przyjaciółkę. Oczywiście miała pełne łez.

- Dziękuję, Sophie. Wciąż to powtarzam, prawda?

- Tak, ale wszystko jest w porządku. Wsiadaj do samochodu i jedź z maksymalną dozwoloną szybkością. Nie zabieraj autostopowiczów i nie prowadź po zapadnięciu zmroku.

- Tak, Sophie.

- No, jazda, spadaj stąd, zanim się rozplącę.
- Naprawdę będziecie się kapać nago? - spytała Jessie oglądając się przez ramię.

- Jasne, że tak - powiedziała Sophie. - Wszystkiego najlepszego, Jessie Roland - szepnęła załamującym się głosem.

Barnes miał nerwy napięte do granic wytrzymałości, gdy słuchał Thei paplającej bez ładu i składu o przyszłości. Otworzył okno na całą szerokość i zapalił cygaro. Thea, nie zwracając uwagi na zniechęcający zapach dymu, plotła coś o kupieniu Jessie zaprojektowanej na zamówienie kolekcji garderoby. Wiedział, że w końcu zamilknie. Czekał cierpliwie.

Dziewięćdziesiąt minut później Thea rzuciła okiem na krajobraz za oknem samochodu i powiedziała:

- Nie jedziemy autostradą międzystanową, Barnes. Gdzie jesteśmy?

Barnes zwlekał z odpowiedzią, by zyskać na czasie.

- Na drodze. Ja prowadzę, wiem, dokąd jadę. Dlaczego się nie zdrzemniesz?

- Nie chcę się zdrzemnąć. Barnes, gdzie dokładnie jesteśmy? Ta droga nie prowadzi do Atlanty. Tamta trasa jest bardziej malownicza.

Barnes niemal usłyszał, jak w gardle żony narasta krzyk.

- Nigdy nie twierdziłem, że jedziemy do Atlanty. To ty założyłaś, że tam jedziemy, gdy kazałem ci wsiadać do samochodu.

- Co to znaczy? Nie jedziemy do Atlanty? A dokąd?

- Zabieram cię na miejsce popełnionej przez ciebie zbrodni. Potem, do cholery, możesz zrobić, co ci się będzie podobało. Nic mnie to już nie obchodzi. Nie mogę tego dłużej znieść, Thea.

- Natychmiast zatrzymaj samochód! Jak mogłeś mi coś takiego zrobić? Odmawiam udania się do tego miejsca. Słyszysz mnie? Odmawiam. Jeśli nie zatrzymasz samochodu, wyskoczę.

W odpowiedzi Barnes jeszcze mocniej przycisnął pedał gazu. Chmura dymu z cygara wypełniła wnętrze samochodu. Thea zaczęła kaszleć i krztusić się.

- Dalej, skacz. Jadę z szybkością prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Jeśli skoczysz, połamiesz sobie wszystkie kości. Całe lata spędzisz w

szpitalu. Nikt nie będzie cię odwiedzał. Zraziłaś do siebie wszystkich przyjaciół, poświęcając się Jessie chorobliwie i bez reszty. Ona nigdy się o tym nie dowie. Posłuchaj mnie, Thea. Ona do nas nie wróci. Ani teraz, ani nigdy.

- Przestań! Przestań! - wrzasnęła Thea.

Skuliła się w rogu samochodu. Szlochała, jej ciałem wstrząsały drgawki. Barnes nie zwracał na nią uwagi.

Upłynęło wiele godzin, nim zwolnił. Po prawej stronie zobaczył mały zielony napis oznajmiający: „Witamy w miasteczku Ashton Falls”. Mocno zaciskając zęby na cygarze, powiedział:

- Proszę się przygotować, pani Roland. Zbliżamy się do miejsca twojego nikczemnego czynu. Pójdę kupić paliwo. Czy teraz też chcesz wypić zimny napój?

- Zamknij się, Barnes.

- Wygląda tu tak samo. Możesz to sobie wyobrazić? Upłynęło szesnaście lat, a to miejsce w ogóle się nie zmieniło. Niech pomyślę... gdy byliśmy tu poprzednio, chciałaś wypić napój o smaku śmietankowym. Wsiadaj z samochodu.

- Nie.

- Wsiądziesz z samochodu, moja droga, bo jeśli nie, to cię z niego wyciągnę. Podejdz do chłodziarki i weź sobie napój śmietankowy.

Placząc Thea wysiadła z samochodu i na uginających się nogach podeszła do chłodziarki. Zamiast spojrzeć w dół, na czerwoną wypełnioną lodem szafkę, uniosła wzrok. Zobaczyła zardzewiały różowy wózek spacerowy przybity do ściany, a obok wystrzępiony, podarty sznurek. Wyciągnęła rękę, by uchwycić się czegokolwiek, ale nie zdołała. Straciła przytomność.

Barnes bez pośpiechu podszedł do leżącej na ziemi żony. Zanurzył śnieżnobiałą chusteczkę w lodowato zimnej wodzie z chłodziarki i wycisnął jej na twarz. Zaraz odzyskała przytomność. Zaczęła prychać.

- Czas wstawać, Thea. Oto twój napój śmietankowy. Butelki są bez zastawu, więc musisz wypić na miejscu i zostawić butelkę. Ile płacę? - spytał starszego człowieka, który nalewał paliwo do baku samochodu.

- Osiem dolarów, jedenaście centów i ćwierć dolara za napój gazowany. Jesteście państwo przejazdem?

- Można tak powiedzieć.

- Widziałem, że patrzyliście na ten wózek spacerowy przymocowany do ściany. Dawno temu tutaj, na tej stacji została porwana mała dziewczynka. Pies, który usiłował ją ratować, był przywiązany tym sznurkiem. Niedawno zdechl. Nigdy tego dziecka nie odnaleziono. Ale sprawa nie jest zamknięta. Przypuszczam, że nigdy nie będzie. Faceci z FBI przyjeżdżają tu raz czy dwa razy do roku, żeby dowiedzieć się, co nowego. Nigdy przedtem nic takiego nie zdarzyło się w Ashton Falls i pewnie nigdy już się nie zdarzy. Czy pana żona czuje się lepiej? Wygląda dość mizernie.

- Kobiece problemy - cicho powiedział Barnes, zapalając następne cygaro.
- Gdzie zostawić pustą butelkę?

- Proszę ją po prostu postawić na chłodziarce. Wymyłem państwu przednią szybę. Podobno miastowi lubią mieć czyste szyby. Bez dodatkowej opłaty.

- Dziękuję panu bardzo - powiedział Barnes.

- Tak, dziękujemy - wyjąkała Thea.

Chwiejnym krokiem podeszła do samochodu i zgarbiona wsiadła do środka.

- Dlaczego to zrobiłeś? Nigdy nie byłeś okrutny. Dlaczego?

- Zrobiłem to dla twojego dobra, Thea. Wiem, że przeżyłaś szok. Ale dzięki temu wrócimy do domu i będziemy mogli żyć dalej. Następnym razem, gdy „faceci z FBI” tu przyjadą - powiedział naśladując starszego mężczyznę - starszerek przypomni sobie o pani, która zemdliała przy wózku i powie im o tym. Jestem tak samo winien, jak ty. Nie staram się rozgrzeszyć. Po prostu nie pojmuję, jak mogłem przez wszystkie te lata pozwolić ci robić to, co robiłaś. Chyba to znaczy, że jestem tchórzem. Widziałem, jaka byłaś szczęśliwa, ale widziałem też, jaka nieszczęśliwa była Jessie. Nie wiem sam, ile razy chciałem ją obudzić w środku nocy i zabrać do Ashton Falls. Nie opuszczało mnie poczucie winy, choć wysłaliśmy jej rodzinie tyle pieniędzy. Nie zasługujemy na miano ludzi. Teraz, kiedy Jessie już nie ma, chcę choćby pozorów normalnego życia. Z tobą lub bez ciebie. A właśnie..., teraz wracamy do domu.

Głosem drżącym ze strachu Thea wyszeptała:

- Co miałaś na myśli, gdy powiedziałaś, że Jessie nie wróci? Czy chodziło ci o to, że przyjedzie dopiero w przyszłym tygodniu?

- Chodziło mi o to, że ona nie wróci. Kropka. Ma nas dość. Myślę, że wkrótce przypomni sobie, co się stało tamtego dnia. Wiem, że mówiłem to już

wcześniej, ale moje przecucie coraz bardziej się pogłębia. Musimy zacząć myśleć o przeprowadzce. Nie możemy dać się aresztować. W więzieniu nie będzie nam dobrze, Thea. Myślałem o przeniesieniu się do Hiszpanii.

- Chyba straciłeś rozum. Jessie nigdy by nas nie zostawiła. Jesteśmy jej rodzicami.

- Opuściła nas. Założę się o ostatni grosz, że nie będzie studiowała w Georgia Tech. Mówiąc „do widzenia” pożegnała się z nami ostatecznie.

- Nie chcę słuchać takiego gadania, Barnes.

- Wiesz, że mam rację, i dlatego nie chcesz mnie słuchać. Przez tyle czasu żyłaś w kłamstwie, że nie wiesz już, co jest prawdą.

- Ona jest w Atlancie. Kiedy wrócimy do domu, możemy do niej zadzwonić i po prostu zapytać ją o to — powiedziała żałośnie Thea. - Wiesz, w końcu zrozumiałam, dlaczego jesteś dla mnie taki okrutny. Nigdy nie wybaczyłeś mi, że nie mogłam dać ci dzieci. Ale za to musisz obwiniać Boga, nie mnie.

- To najbardziej absurdalna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś.

Thea płakała przez całą resztę podróży. Wycierała nos i oczy w rozmiękle chusteczki higieniczne. Barnes skrzywił się na widok sterty na podłodze samochodu.

Kiedy Thea na palcach weszła do pokoju męża, prawie świtało. Spał, lekko pochrapując. Upewniwszy się, że jej nie usłyszy, po cichu zeszła na dół, wyszła z domu i wsiadła do samochodu. Jechała do Atlanty.

Dwa razy o mało nie zasnęła za kierownicą. Trzy razy zjeżdżała z autostrady, by napić się mocnej czarnej kawy. Zbliżając się do dzielnicy Buckhead, gdzie mieścił się dom Janice, poczuła przyływ adrenaliny. Parkując samochód za wystrzałowym sportowym samochodem Sophie, wciąż starała się dociec, dlaczego Barnes powiedział jej te okropne rzeczy. Nigdzie nie było widać BMW Jessie. Thea zerknęła na zegarek - okazało się, że jest po jedenastej. Jechała półtorej godziny dłużej niż zwykle z powodu postojów podczas drogi.

Znała ten dom tak dobrze jak własny. Otworzyła nie zamknięte drzwi frontowe i weszła po schodach na górę. Wokół unosił się mdły zapach kwiatów, stęchły odór alkoholu i dymu papierosowego. Chyba nikogo nie było. Zastanawiała się, czy jej stara przyjaciółka jest w domu, czy ją gdzieś poniosło.

Z szerokim uśmiechem na twarzy otworzyła drzwi pokoju, który Jessie zajmowała zawsze w czasie odwiedzin u Sophie. Był czysty i posprzątanym,

jakby nikt w nim nie mieszkał. Thea podeszła do łączących pokoje drzwi i otworzyła je. Sophie w samej bieliznie leżała rozciągnięta na łóżku. Thea zajrzała do łazienki. Nigdzie nie było jej córki. Oczy zaczęły ją palić od napływających łez. Czyżby Barnes miał rację?

- Sophie, obudź się - powiedziała szarpiać dziewczynę za ramię.

- Pani Roland! Mój Boże, co pani tu robi?

- Szukam Jessie. Gdzie ona jest? Nie widziałam jej samochodu.

Sophie szeroko ziewnęła. Nie znosiła tej kobiety, wpatrującej się w nią błędnym wzrokiem.

- Jessie tu nie ma, dlatego nie widziała pani jej samochodu. Wyjechała wczoraj, zaraz po rozmowie z panią.

- Wyjechała? Dokąd? Tylko nie próbuj mnie okłamywać, Sophie.

Sophie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, dokąd pojechała.

- Obie wiemy, że to kłamstwo. Wiem, jak to z wami było... powierzyłyście sobie nawzajem największe tajemnice. Jessie na pewno powiedziała ci, dokąd jedzie.

- Może tym razem tego nie zrobiła? Wygląda pani na zmęczoną, pani Roland. Może zje pani śniadanie albo się zdrzemnie?

- Nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie. O której wyjechała?

- Właściwie nie zwróciłam na to uwagi. W południe, a może trochę później. O której do pani zadzwoniła? Wyjechała zaraz po tej rozmowie.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Tak się cieszyła na twoje przyjęcie.

- Pani Roland, myślę, że zna pani odpowiedź na to pytanie. Jessie zdecydowała się wyjechać po rozmowie z panią.

- Zawiadomię policję stanową. Znajdą ją i przywiozą z powrotem.

Sophie przygryzła dolną wargę. Miała wielką ochotę powiedzieć tej kobiecie, co o niej myśli.

- Proszę zrobić to, co pani musi, pani Roland. Ja idę wziąć prysznic. Proszę zostać, jak długo pani zechce. Wyjeżdżam do szkoły, gdy tylko się ubiorę. Miło było znowu panią widzieć.

Thea Roland czekała trzy dni, nim wyruszyła w podróż powrotną do Charlestonu. Poruszała się niczym staruszka, a oczy miała czerwone jak królik od

nieustannego płaczu. Kolejne trzy dni spędziła w swojej sypialni. Wciąż rozbrzmiewały jej w głowie wypowiedziane szeptem okrutne słowa męża:

„Thea, teraz wiesz jak czuli się rodzice Jessie, gdy zabrałaś im córkę. To kara, na którą zasłużyłaś”.

Państwo Roland wyjechali do Hiszpanii zaledwie w tydzień po tym, jak Barnes powiedział żonie te bezlitosne słowa.

5

Jessie rozejrzała się po pokoju motelowym. Choć urządzonego po spartańsku, był czysty i schludny. Zupełnie nie przypominał apartamentów hotelowych, w których zawsze zatrzymywała się z rodzicami, gdy razem podróżowali. Ten mały, położony na uboczu motel spodobał się jej. Na każdym piętrze ustawiono automaty z wodą sodową, a obok głównego holu znajdowała się mała kawiarenka. Ręczniki były śnieżnobiałe, choć szorstkie, a mydło słodko pachniało.

Jessie skończyła się ubierać. Włosy wciąż miała mokre, bo właśnie wzięła prysznic. Z niecierpliwością oczekiwała chwili, gdy zamówi w kawiarni obfite śniadanie. Jeśli będzie miała ochotę na tłusty bekon albo kiełbaski polane zawiesistym sosem, nikt jej nie powie, że filiżanka owoców z otrębami pszennymi i odtłuszczonym mlekiem jest bardziej odpowiednia. Może kupić sobie paczkę papierosów i wypalić je jeden po drugim, popijając czterema filiżankami kawy. I stracić na to tyle czasu, ile zechce, pod warunkiem, że zostawi suty napiwek. Mogła kupić lokalną gazetę i przeczytać ją pijąc pierwszą filiżankę kawy.

Wolność to coś niebiańskiego.

Wyszła z motelu, załadowała bagaże do dżipa, potem zapłaciła rachunek i zjadła najsmaczniejsze w życiu śniadanie. W południe przypomniała sobie o złożonej Sophie obietnicy, że do niej zadzwoni. Jadąc autostradą zauważyła znak drogowy informujący, że za pięćdziesiąt kilometrów znajduje się parking,

na którym można odpocząć podczas podróży. Pora z pewnością była odpowiednia. Sophie prawdopodobnie wciąż odspia przyjęcie.

Czterdzieści minut później, pamiętając o ostrzeżeniach Sophie, by nie przekraczać maksymalnej dozwolonej szybkości, Jessie zjechała z autostrady i zatrzymała się na parkingu Windjammer. Skorzystała z łazienki, potem zamówiła dwa hamburgery, frytki i dużą colę. Czekając na jedzenie, wykręciła numer niebieskiego telefonu w sypialni Sophie.

- Jak się udało przyjęcie? - zapytała.

- Mniejsza o przyjęcie, Jess. Twoja matka tu jest. Nazwała mnie kłamczuchą. Ona wie, że ja wiem, gdzie jesteś. Ale nie martw się, nic jej nie powiedziałam. Wynoszę się stąd, jak tylko się spakuję. Ona na pewno zadzwoni na policję, by wszczęli poszukiwania. Zaczesz włosy do góry i włóż kapelusz. Noś okulary słoneczne. Tym sposobem nigdy cię nie znajda. Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale nigdy nie widziałam, by twoja matka wyglądała tak niechlujnie. Twojego ojca tu nie ma. Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

- Tak. Zeszłej nocy spałam jak dziecko. Zjadłam ogromne śniadanie i mam w planie lunch. Jestem w jakimś małym miasteczku położonym na granicy Wirginii i Północnej Karoliny. Zatrzymałam się tu, bo się zmęczyłam prowadzeniem samochodu. Teraz jadę do Waszyngtonu i tam spędzę noc. Jutro wyruszę do Nowego Jorku. Nie spiesz mi się. Jak tam przyjęcie, udane?

W głosie Jessie dało się słyszeć tęskną nutę. Sophie ją wyczuła i powiedziała:

- Normalnie, jak wszystkie inne przyjęcia. Tańczyliśmy przez całą noc. Zjedliśmy, co podano. Nie doszło do żadnej bójki, bo nikt się nie upił. Skończyło się chyba koło trzeciej nad ranem. A na wypadek, gdybyś się nad tym zastanawiała... nie kapaliśmy się nago. Posłuchaj, Jess, zadzwoń jutro przed wyjazdem z Waszyngtonu. Może powinnaś zostać dzień lub dwa i zwiedzić miasto? Waszyngton ci się spodoba. Policja zgubi twój ślad, jeśli przez jakiś czas nie będziesz się przemieszczać autostradą. Zabaw się trochę, Jess. Zasłużyłaś na to. Denerwujesz się?

- Wcale nie. Ale żałuję, że cię tu ze mną nie ma.

- Jeśli będą ci kiedykolwiek naprawdę potrzebna, daj mi znać. Jestem częścią twojego dawnego życia. Teraz masz nowe, więc nie oglądaj się za siebie. Wszystkim się tutaj zajmę. Nie zapomnij zadzwonić do mnie, gdy wrócę do

szkoły. Przyrzeknij mi, że będziesz się odzywać codziennie, dopóki nie urządzisz się w Nowym Jorku.

- Dobrze, Sophie.

- Prowadź ostrożnie. Nie przekraczaj dozwolonej szybkości i nie zabieraj autostopowiczów.

- Tego będę się trzymać. Porozmawiamy jutro.

Jessie zapłaciła za lunch i zjadła go w samochodzie, jadąc autostradą międzystanową. Radio włączyła na cały regulator. Następny przystanek: stolica kraju.

Zaliczyła wszystko, co najslawniejsze miasto świata miało do zaoferowania. Uczestniczyła w wycieczkach organizowanych dla turystów, spacerowała po okolicy, próbowała poznać i zrozumieć zwykłych ludzi, jakże odmiennych od polityków rządzących krajem. Jeździła sama dżipem po mieście. Zwiedziła też miejsca bardziej oddalone od centrum. Nie pamiętała nawet, ile razy się zgubiła. W porze lunchu urządziła sobie piknik w parku Rock Creek. Dwukrotnie była na Uniwersytecie Georgetown. Spacerowała po kampusie i rozmawiała z pracownikami biura przyjęć na studia. Gdyby tylko chciała, mogła zapisać się na następny semestr studiów w tej prestiżowej uczelni. Jednak podstawowe pytanie brzmiało: czy rzeczywiście tego chciała? Zgodnie z planem miała jechać do Nowego Jorku; wprowadzanie zmian nie byłoby prawdopodobnie zbyt rozsądne.

Uwielbiała atmosferę władzy jaką wyczuwało się w tym mieście, i jego historię. Rozważała pomysł znalezienia sobie pracy i uczęszczania na kursy wieczorowe. Czy to miałyby sens? Pewnie nie. Lepiej nie naruszać status quo. Mimo tych obaw, Jessie zabrała się do przeglądania działu ogłoszeń w „Washington Star”.

Choć nie znała miasta zbyt dobrze, miała jakieś takie pojęcie, gdzie szukać mieszkań do wynajęcia i firm zamieszczających ogłoszenia z ofertami pracy. We wszystkich ogłoszeniach dotyczących pracy wymagano doświadczenia. Jak jednak miał zdobyć doświadczenie ktoś, kto jeszcze nigdy nie pracował? Sophie będzie wiedziała. Jessie bez namysłu zamówiła rozmowę. Przyjaciółka podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Sophie, to ja. Chcę zmienić plany, ale potrzebuję twojej pomocy. Powiedz mi, co myślisz o tym pomysłe.

Piętnaście minut później Jessie, wstrzymując ze zdenerwowania oddech, czekała na odpowiedź przyjaciółki.

- To wspaniały pomysł. Wiedziałam, że Waszyngton ci się spodoba. Pozwól mi zebrać myśli. Sądzę, że powinnaś pracować na Kapitolu. Moja matka zna w Waszyngtonie pewnych bardzo wpływowych ludzi. Kiedy byłam mała, senator z naszego okręgu często nas odwiedzał. Matka chodziła z nim do szkoły. Mogłabym do niego zadzwonić i zapytać, czy nie znalazłby ci jakiejś posady. Na tym świecie liczy się nie to, co umiesz, ale kogo znasz. Jeśli naprawdę cię to interesuje, spreparuję ci taki życiorys, że aż im pospadają skarpetki. Można coś pominąć, a coś innego przekreślić. Tak naprawdę nikt tego nie sprawdza. Jeśli senator Timrod za ciebie poręczy, moja droga, Waszyngton stanie przed tobą otworem. Chciałabyś pracować dla senatora albo kongresmana?

- Co za pytanie... oczywiście.

- Dobrze, a więc zrób, co ci powiem. Idź na zakupy. Kup sobie trochę szykownych ubrań, a ja przez ten czas popracuję nad sprawą. Nie skąp forsy. Zrób sobie nową, koniecznie modną fryzurę. Jessie, jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

Czy tego chcę? - zastanowiła się Jessie.

- Oczywiście, Sophie - odpowiedziała.

- W porządku, ale to zajmie mi trochę czasu. Muszę odkręcić to, co załatwiłam w Nowym Jorku i przygotować wszystko tutaj. A co ze szkołą? Wykształcenie to sprawa pierwszorzędnej wagi.

- Pójdę na kursy wieczorowe.

- Zrób tak. Nie będzie ci łatwo jednocześnie pracować i uczyć się. Cieszę się, że nie zrobiłyśmy nic z twoimi pieniędzmi z funduszu powierniczego. Sprawdź banki i powiedz mi, z którego chcesz korzystać. Zadzwonię do ciebie pojutrze. Tutaj mam wszystko gotowe. Wczoraj dopełniłam formalności na uczelni, więc do poniedziałku mam czas tylko dla siebie. Gdybym tylko chciała, mogłabym zarobkowo zajmować się organizowaniem takich spraw. Podczas pierwszego roku college'u objąłam się wśród osób, które matka nazywała „niepożądanymi”, dzięki czemu nauczyłam się, jak załatwić, by inni nie wiedzieli, czym się zajmujesz. Mój ojciec, choć może nie był siłą napędową

mojego życia, z pewnością doskonale wiedział, jak kręcić i wchodzić w rozmaite układy. Myślę, że po nim odziedziczyłam te zdolności. Szkoda, że zamierzam budować mosty.

Głos Jessie zadrzał.

- Nie chcę robić niczego nielegalnego.

- Są rzeczy bardziej lub mniej legalne. Wezmę to pod uwagę. Dokładnie wiem, jak się do tego zabrać. Załatwię z jedną z firm matki, by cię kryła. Będiesz miała u nich własną teczkę. To na wypadek, gdyby ktoś z jakiegoś powodu chciał cię sprawdzić. Nie chodzi o to, że spreparuję ci nową tożsamość... nic z tych rzeczy. Wciąż pozostaniesz Jessie Roland. To się nie zmienia, chyba że wyjdiesz za męża. Dopóki płacisz podatki i nie oszukujesz rządu, w tym, co robimy, nie ma nic złego. Numer ubezpieczenia społecznego jest teraz... wzięty z sufitu. Jak mi mówiono, ludzie, bez przerwy robią takie rzeczy. Co miesiąc czytam „True Crime Reporting” Zdziwiłabyś się, ile przydatnych wskazówek dotyczących takich sytuacji można tam znaleźć. Jeśli chcesz zmienić zdanie, zrób to teraz, zanim się zabiorę do dzieła.

- Nie. Zgadzam się na wszystko. Rodzice nigdy nie będą podejrzewali, że pracuję w administracji rządowej. Teraz tylko to mnie obchodzi. A na czym polega praca dla senatora albo kongresmana?

- Nie mam bladego pojęcia. Rozmawiasz z dziewczyną, która nigdy w życiu nic nie robiła. Dowiem się, gdy zadzwonię do senatora Timroda. Cokolwiek by to było, poradzisz sobie. Prawdopodobnie chodzi o załatwianie różnych spraw, no wiesz, umawianie spotkań, wizyt u fryzjera, organizowanie uroczystych lunchów, wysyłanie żonom kwiatów, otwieranie korespondencji. Może trochę pisanie na maszynie. Takie tam bzdury. Masz wspaniałe umiejętności w tej dziedzinie i jesteś doskonałą maszynistką. W referacie, który przepisywałaś dla mnie w zeszłym roku, nie było ani jednego błędu. Praca na Wzgórzu jest prawdopodobnie bardzo dobrze płatna. Kiedy wybuchnie jakiś skandal, pierwsza się o tym dowiesz. Jeśli coś usłyszysz, od razu do mnie zadzwoń, uwielbiam plotki i skandale polityczne. Będiesz miała wolne we wszystkie święta państwowe i gdy będzie padał śnieg. To raczej lekka praca. Teraz daj mi ostateczną odpowiedź.

- Uwielbiam to miasto, Sophie. Bardzo dobrze się tu czuję. Moja odpowiedź brzmi: tak.

- No to w porządku. Rozłącz się, żebym mogła zacząć działać. Kto by pomyślał, że ty, Jessie Roland i ja, Sophie Ashwood, będziemy zajmować się takimi kombinacjami? Gdyby twoja matka mogła nas zobaczyć!

- Nie chcę rozmawiać o mojej matce, Sophie, ani teraz, ani nigdy.

- Dobrze, rozumiem. Tylko jeszcze ostatni raz o niej wspomnę. Zadzwo- niłam do domu i gospodyni powiedziała mi, że twoja matka wyjechała dopiero po trzech dniach. Przez cały czas nic nie zjadła ani nie spała w żadnym z łóżek. Nie było mokrych ręczników, więc muszę przyjąć, że nie brała prysznicza. To dość smutne, Jessie. Czy nie byłoby miło, gdybyśmy miały matki, do których mogłybyśmy się zwracać „mamusiu”? Zawsze tego pragnęłam. Wiem, że ty też. Słuchaj, zanim dam temu spokój... jest jeszcze jedna sprawa, nad którą warto się zastanowić. Dlaczego ojciec dał ci katolicki medalik z wizerunkiem świętego Krzysztofa? Tak jest napisane na odwrocie. Niepokoi mnie to i nie wiem dlaczego. Baptyści z południa nie kupują katolickich medalików. Może podrzucono cię na progu i miałaś go na szyi? Pomyśl o tym, Jessie Roland.

Jessie zanosła się śmiechem.

- Zadzwoń do mnie, gdy wszystko będzie gotowe. Wychodzę poszukać mieszkania. Dziękuję ci za wszystko, Sophie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Pięć dni później Jessie Roland wprowadziła się do trzypokojowego, ume- blowanego mieszkania przy 1755 Kilbourne Place w dzielnicy Mount Pleasant niedaleko parku Rock Creek. Małe, przytulne mieszkanie znajdowało się w odległości tylko kilku przecznic od przystanku linii autobusowej, którą z przesiadkami można było się dostać do każdego miejsca w mieście. Jessie zapisała się także na sześć przedmiotów na kursach wieczorowych na Uniwersytecie Georgetown. Brakowało jej jedynie pracy, ale według Sophie była to kwestia najwyżej kilku dni, zanim senator Timrod coś dla niej znajdzie.

We wtorek rano, w kilka godzin po zainstalowaniu, Jessie odebrała telefon z wiadomością, że jest umówiona na spotkanie w sprawie pracy. Głos po drugiej stronie słuchawki był stary i płaczący. Piskliwie oznajmił, że spotkanie ze starszym senatorem z Teksasu Angusem Kingsleyem odbędzie się punktualnie o drugiej w jego biurze w budynku Rayburn

Jessie spojrzała na zegarek. Na przygotowania miała mniej niż trzy godziny. Zwijając się jak w ukropie przebierała w swojej nowej garderobie. Czy powinna pojechać samochodem, autobusem, a może wezwać taksówkę? W końcu zdecydowała się wziąć taksówkę, bo nie była pewna, jaką trasą powinna jechać, a musiała być na czas.

Mając na względzie napomnienia Sophie, że mniej znaczy więcej, starannie nałożyła dyskretny makijaż. Czy kiedykolwiek nadejdzie dzień, gdy stanie się samodzielna i przestanie radzić się Sophie, odwołując się do jej specyficznej mądrości? Oczywiście, że tak. Musiała tylko być cierpliwa.

Jessie zrobiła krok do tyłu, by przejrzeć się w długim lustrze, które kupiła u Woolwortha. Krytycznym okiem oceniła swój wygląd. Kostium w kolorze khaki doskonale harmonizował z zielenią jej oczu. Biała jedwabna bluzka z cienkim wiązadełkiem pod szyją wyglądała zdecydowanie kobieco. Jediną biżuterią były małe kolczyki z perełkami, także od Woolwortha, i zegarek firmy Timex. Do kompletu miała małą czarną torebkę i czarne pantofle. Czuła już teraz, że nim ten dzień dobiegnie końca, zrobią się jej pęcherze na małych palcach u nóg. Wzięła głęboki oddech.

Wiem, że potrafię to zrobić. Chcę to zrobić. Zrobię to, pomyślała.

- Jeśli dopisze mi szczęście, jutro o tej porze będę pracującą dziewczyną w stolicy. Niezależną pracującą dziewczyną. Potrafię żyć skromnie, poradzę sobie sama - powiedziała na głos.

Sophie twierdziła, że rozmowa z samym sobą to niebezpieczna rozrywka. Jessie pokazała język swojemu odbiciu w lustrze, a potem zachichotała.

- Boże, proszę, spraw, by mi się udało.

Senator był wysokim mężczyzną o sympatycznym wyglądzie. Miał jasnoniebieskie oczy i małe zmarszczki w kącikach powiek. Lekko mrużył oczy, gdy się uśmiechał. Był nienagannie ubrany. Wykrochmalona koszula wydawała się nieskazitelnie biała. Jessie pomyślała, że mogłaby się przejrzeć w jego błyszczących czarnych butach. Kiedy złożył ręce przed sobą, zauważyła, że paznokcie ma krótko obcięte i wypielęgnowane.

Dobrze mi idzie, pomyślała w połowie rozmowy. Rozluźniła napięte mięśnie ramion. Napięcie wróciło, gdy senator zapytał ją, czy mogłaby pracować do późna.

- Oczywiście zapłacę osobno za dodatkowe godziny pracy. Czasami może mi pani być potrzebna w weekendy, gdy będziemy pracować nad jakąś ważną ustawą.

- Praca w weekendy nie będzie żadnym problemem, panie senatorze. Jednak zapisałam się na kursy wieczorowe na Uniwersytecie Georgetown. W poniedziałki mam zajęcia o ósmej wieczorem, w środy o piątej trzydzieści, więc ewentualnie mogłabym wracać po zajęciach. W poniedziałki za to mogę pracować do wpół do ósmej. We wtorki, czwartki i piątki jestem wolna.

Marszcząc brwi senator zapytał:

- Kiedy będzie się pani uczyć?

- W czasie lunchu i w niedzielę.

- Praca nie jest ciężka, ale odpowiedzialna. Czy sądzi pani, że podola obowiązkom i godzinom pracy, które określiłem, panno Roland?

- Tak, panie senatorze, myślę, że dam sobie radę. Kiedy mam zacząć?

- Pani Prentis oficjalnie odchodzi z biura za dwa tygodnie. W zeszłym miesiącu była na krótkim urlopie.

Senator ściszył głos do szeptu.

- Pan Prentis niedomaga i Agnes chce spędzać więcej czasu z mężem. Zatrudniłem ją w dniu, w którym przyjechałem do Waszyngtonu. Zgodziła się przyjść i pokazać pani, jak działa biuro. Już tu jest. Chciałbym, żeby pani ją poznała.

Jessie skinęła głową.

- Jeśli nie ma pani innych planów na pozostałą część dnia, mogłaby pani zostać i zobaczyć, jak załatwiamy sprawy. Pani Prentis opowie pani o pensji i dodatkach. Roboty papierkowa wymaga czasu. Lubię pić mocną, czarną kawę tylko z lekkim posmakiem cykorii. Ładnie pani wygląda, panno Roland.

Jessie się zarumieniła.

- Dziękuję, panie senatorze.

Jessie od razu polubiła Agnes Prentis, postawną kobietę o siwych włosach i rumianych policzkach. Agnes nosiła wygodne obuwie, a znoszone filcowe kapcie trzymała schowane pod biurkiem.

O szóstej Agnes Prentis odchyliła się do tyłu na krześle i zapytała:

- Masz jeszcze jakieś pytania, zanim opuścimy to zoo?

- Przynajmniej milion, ale mogą poczekać do jutra. Woli pani, żebym przyszła o ósmej czy o wpół do dziewiątej?

- Najlepiej przyjdź o wpół do ósmej. Musimy przejść spory kawałek drogi. Jeśli dopisze nam szczęście, może wyjdziemy o piątej. Senator Kingsley przez większość wieczorów pracuje do północy, ale nie wpadaj w panikę. To nie znaczy, że i ty musisz zostawać tak długo. Czy mogę nazywać cię Jessie?

- Oczywiście.

- Powiem ci bez owijania w bawełnę, że jeśli chcesz zachować tę pracę, a myślę, że chcesz, musisz być bardzo uprzejma dla pani Kingsley. Żona senatora ma ostry język, a wszystko, czego się domaga, musi być zrobione na wczoraj. Pani Kingsley i ich syn, Tanner, mieszkają w Teksasie. Senator jeździ do domu w weekendy, a przynajmniej stara się to robić. To oczywiście nie oznacza, że pani Kingsley i Tanner nie przyjeżdżają do Waszyngtonu. Jednak w miarę upływu lat liczba ich wizyt zmalała do jednej czy dwóch rocznie. Pani Kingsley dzwoni do biura pięć czy sześć razy dziennie. Tanner odzywa się rzadko. Jeśli to tylko możliwe, łącz rozmowy od razu. Musisz posługiwać się zdrowym rozsądkiem, jeśli chodzi o sprawy pani senatorowej. Jeśli jej na to pozwolisz, przegoni cię z wywieszonym jęczmieniem po całym mieście w poszukiwaniu tego, co senator nazywa „bzdurnym fiu-bździu”. Musisz się postawić albo wdepcze cię w ziemię. Zrozum, nie jestem nielojalna w stosunku do senatora. Chcę tylko, byś była na to przygotowana. Tanner ci się spodoba, chociaż jest lekkomyślny i lubi kobiety. Po każdej z jego wizyt odbieram mnóstwo telefonów do niego. Widzisz, on nie lubi się żegnać.

Jessie głęboko wciągnęła powietrze, starając się przetrwać wszystkie informacje, jakie przekazała jej pani Prentis.

- Pracuje tu czteroosobowy personel, ale ty będziesz nim kierować. Ustalenie rozkładu zajęć będzie największym problemem, ale z czasem nabierzesz wprawy i wszystko pójdzie gładko. Kiedy to tylko możliwe, staraj się zlecać wykonanie spraw innym, szczególnie wtedy, gdy będziesz pracować do późna. Senator lubi mieć przez cały czas pod ręką pełny dzbanek kawy. Nie przejmuj się, jeśli kawa po wielu godzinach upodobni się do szlamu. Senator lubi właśnie taką. Z samego rana sam podlewa kwiaty i przycina liście. Uwielbia ciasteczka z rodzynkami.

Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się ciepło.

- Proponuję teraz iść do domu i dobrze się wyspać. Jutro czeka nas długi, pracowity dzień. Prowadziłam osobiste notatki, które ci zostawię. Kiedy już poczujesz się pewniej, będziesz mogła mi je zwrócić.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, pani Prentis. Dziękuję pani.

- Mów mi Agnes. Kiedy mój mąż lepiej się poczuje i odzyskam kontrolę nad wszystkim, możemy umówić się na lunch.

- Z przyjemnością, pani... Agnes.

Starsza kobieta uśmiechnęła się.

- Myślę, Jessie, że w tym biurze brakowało właśnie kogoś takiego jak ty. Muszę cię uświadomić, że senator Kingsley jest jednym z najbardziej wpływowych członków Senatu. Mówi się, że w czasie następnej kadencji stanie na czele większości.

Opuszczając z Agnes biuro, Jessie miała nadzieję, że wygląda na osobę, na której ta informacja wywarła dostateczne wrażenie.

Jej pierwsza praca.

Została pracującą dziewczyną w najsłynniejszym mieście świata.

Niezależną pracującą dziewczyną. O, tak.

CZEŚĆ DRUGA

Scandalous

6

Ashton Falls, Tennessee

Lipiec 1976

Grace Larson wpatrywała się w trzymaną w rękę szklanke lemoniady. Kostki lodu już dawno się stopiły. Po co ją trzyma, skoro nawet nie spróbowała cierpkiego napoju? Gdy nachyliła się, by postawić szklanke na podłodze ganku, JJ zerknął na nią i położył się pod huśtawką.

- W życiu nie pamiętam takiego upału, JJ - powiedziała Grace do psa, wycierając czoło fartuchem. - Chyba poproszę Bena, by zniósł na dół materac. Prześpimy się dziś na ganku.

- Grace!

- Jestem na ganku, Ben. Myślę, że powinniśmy spać tu dziś w nocy. Na górze jest chyba ze czterdzieści stopni.

- Albo lepiej - powiedział Ben, siadając obok żony na huśtawce. - Czy coś jest nie w porządku, kochanie? Wydawałaś się dziś przez cały dzień jakaś nieswoja.

- Chyba dokucza mi upał. Może to te uderzenia gorąca, które ostatnio miewam. Dwukrotnie podlałam wszystkie rośliny na ganku, a jednak więdna. Dlaczego, Ben?

- Znowu przez cały dzień rozmyślałaś o Hannah?

- Tak, i nie wiem dlaczego. Jak sądzisz, dlaczego przestali przysyłać nam pieniądze?

- Zastanawiałem się nad tym któregoś dnia. Może im się skończyły. Może umarli. Może ustalili pewną sumę pieniędzy, zanim zaczęli je nam przysyłać, i już tę sumę wyczerpali. Musimy pomyśleć, co z tymi pieniędzmi zrobić. Nikt przy zdrowych zmysłach nie trzyma takiej sumy w kufrze.

Grace poklepała męża po rękę.

- Nie jestem przy zdrowych zmysłach od dnia, w którym Hannah zaginęła. Najlepsze, co może się nam przytrafić, to włamanie do domu i kradzież tych pieniędzy. Nawet bym tego nie zgłosiła szeryfowi.

- Moglibyśmy je komuś oddać.

Grace wyciągnęła rękę po ciepłą lemoniadę. Łyknęła ją jednym haustem. Zakrztusiła się i w oczach stanęły jej łzy. Drzemiaczy pies otworzył oczy, by zobaczyć co się dzieje.

- Jeśli tak zrobimy, Ben, przyznamy, że to koniec, że się poddaliśmy.

- Poddałem się dawno temu, kochanie. I ty też, na swój sposób, kiedy przestałaś robić na drutach czerwone sweterki.

- To co innego. Ciężko jest robić na drutach, gdy ma się artretyzm. Chyba powinnam ci była powiedzieć, że kupuję czerwone swetry.

Ton głosu Bena zmienił się.

- Tak, Grace. Powinnaś mi powiedzieć. Dlaczego to robisz?

- Dlatego, że nie chcę się poddać. Czerwone swetry dają mi spokój. Nie wiem dlaczego.

- Sądzę, że byłoby dobrze wyjechać na wakacje. Czasami mam uczucie, że te góry zamykają się nade mną. Zawsze lubiłaś plażę i morze. Spakujmy się i jedźmy na Florydę.

- Nie mamy pieniędzy na wakacje.

Ben wstał i wepchnął ręce do kieszeni.

- Jestem już tym zmęczony. Wystarczy pójść na górę i otworzyć ten cholerny kufer. Moglibyśmy opłacić naukę dzieci w college'u. Zasługują na to. Mam tego powyżej uszu. Ledwo wiążemy koniec z końcem. Żyjemy jak pustelnicy. Nie mamy nawet dziesięciu dolarów, z których nie musielibyśmy się rozliczać. Ty potrzebujesz nowych ubrań, ja nowych butów. Chłopcom przydałoby się dużo rzeczy. Już wkrótce będzie nam potrzebna nowa łódzka. Jeszcze najwyższej raz uda mi się naprawić tego starego grata. Czy będziemy wkładali lód do kufra, gdy w końcu zupełnie się zepsuje? A co z lekarskami na artretyzm? Jestem przerażony za każdym razem, gdy widzę rachunek z apteki. Nie możemy jeść makaronu siedem dni w tygodniu. Powinniśmy też więcej pieniędzy dawać rodzicom. Moglibyśmy tak bardzo ułatwić im życie. Popatrz na mnie, Grace. Czy nie widzisz, jak bardzo jestem zmęczony? Jak długo jeszcze według ciebie dam radę pracować na dwóch posiadach? Są dni,

gdy krzyż tak mnie boli, że aż chce mi się płakać. Dość tego. Przyszła pora na zmiany, i to zaraz... albo wynoszę się stąd. Zostawię cię z całym tym bałaganem, który zrobiliśmy. Zwróć uwagę, Grace, że powiedziałem „zrobiliśmy”.

- Co ty mówisz, Ben?

- Do cholery, nie udawaj. Doskonale wiesz, o czym mówię. Koniec z tymi pieprzonymi bzdurami.

Łzy potoczyły się po policzkach Grace.

- Nie wiedziałabym, co robić bez ciebie, Ben.

- Więc nie doprowadzaj mnie do ostateczności.

Głos Bena zabrzmiał tak zimno, że Grace zadrżała

- Ile?

- Suma nie gra roli. Musimy zacząć inne życie. Nie mówię, żeby zaraz kupić luksusowy dom albo sportowy samochód. Chcę tylko, żebyśmy żyli wygodniej i mogli opłacić naukę dzieci w college'u. Daję ci pięć minut na podjęcie decyzji. Potem albo pójdę do kuchni po kalkulator, albo na górę, żeby się spakować. Czas ucieka.

- Dobrze, Ben. Rób, co uważasz za słuszne.

- Grace?

- Co?

- Nigdy więcej nie podawaj mi makaronu. Mam zamiar wyrzucić wszystkie słoiki z masłem orzechowym. Nigdy, przenigdy nie wezmę go już do ust. Jutro zrobisz zakupy dla wszystkich, dla twoich i moich rodziców, dla chłopców i dla nas. Zajmiesz się tym i nie rozkleisz się. Jeśli to zrobisz, zostawię cię z rodzicami. Nie będę oglądał się za siebie.

- Dobrze, Ben. Nie musisz mnie dobijać. Powiedziałam, żebyś zrobił, jak uważasz.

- Jutro po kolacji spakujesz nasze rzeczy. Załaduję nową furgonetkę, zostawimy dzieciaki z twoją matką i wyruszymy na wakacje.

Grace odezwała się głosem niewiele głośniejszym od szeptu:

- Kiedy przestałeś mnie kochać, Ben?

- W dniu, kiedy powiedziałeś Johnowi, że nie stać nas na opłacenie jego wykształcenia w college'u.

- Czy pieniądze to naprawią? Czy pomogą ci znowu zacząć mnie kochać?

Ben nie chciał spojrzeć w błagalne oczy żony.

- Nie wiem.
- Ja nigdy nie przestałam cię kochać, Ben.
- Teraz nie wiesz już nawet, kim jestem.
- Jesteś moim mężem.
- To miło, że o tym pamiętasz. Przez lata myślałem, że jestem tylko kimś, kto zajmuje tu miejsce i płaci rachunki.

Grace zaczęła płakać.

- Myślę, że do pewnego stopnia tak było. Przepraszam cię. Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Przeprosiny to dobry początek. Od tego zaczniemy.

Ben stojąc przy kuchennym stole spoglądał na żonę, która opróżniała szafki. Skłamał mówiąc, że jej nie kocha. Kochał ją tak bardzo, że czuł ból na myśl o tym, co oboje stracili. Był zadowolony, że ryzykowne zagranie się opłaciło. Nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby Grace nie zgodziła się wydać części pieniędzy z kufra. Ciężar przygniatający mu ramiona zelżał. Pomyślał, że chyba mają szansę.

- Mam dwa dolary i pięćdziesiąt centów w cukiernicy - powiedziała Grace.

- Chodźmy do sklepu i kupmy sobie lody w rożku. JJ dawno już ich nie jadł. Możesz popracować z kalkulatorem, jak wrócimy.

- Dwa dolary i pięćdziesiąt centów! Słyszałeś, JJ? Chodź, chłopie, weź smycz, zabierzemy panią na lody.

Waszyngton

Grudzień 1976

Jessie jedną torbę z rzeczami wsunęła pod biurko, a drugą powiesiła na wieszaku na kapelusze. Już za kilka godzin pojedzie do Nowego Orleanu na promocję Sophie. Całe pięć dni spędzi ze swoją starą przyjaciółką, której nie widziała ponad rok. Będą świętować zakończenie studiów, Święto Dzięk-

czynienia, Boże Narodzenie – uroczystości, które przegapiły – wszystkie za jednym zamachem. Sophie tak obiecała.

Jessie specjalnie przyszła do biura wcześniej. Musiała dopilnować różnych spraw, by mieć pewność, że podczas jej nieobecności wszystko będzie funkcjonowało gładko. Włączyła ekspres do kawy, wyrzuciła zwiędnięte kwiaty, włożyła do wazonu świeże, które kupowała co drugi dzień w drodze do pracy. Czasami myślała, że nie musi być aż tak sumienna. Jednak właśnie ta cecha charakteru sprawiła, że stała się prawą ręką senatora Angusa Kingsleya, a swoją pracę traktowała bardzo poważnie. W ciągu trzech lat nauczyła się, co musi zrobić sama, a co może zlecić do wykonania innym, aby wygospodarować trochę czasu na studia. Potrafiła robić dwie rzeczy naraz: myślała o tym, co robi i planowała następne zadanie. Pewnego razu odtńczyła gigę w biurze, kiedy przypadkowo usłyszała jak senator mówi komuś, że nie potrafi się bez niej obejść. Wkrótce potem otrzymała znaczną podwyżkę.

Jessie rozejrzała się po pokojach, w których pracowała przez ostatnie trzy lata. Lubiła kosztowną boazerię w ciepłym kolorze, jaskrawe orientalne dywany i unikatowe dzieła sztuki, które zdobiły ściany. Żona senatora wybrała je osobiście. Jednak najbardziej lubiła mahoniowe regały. Były wypełnione książkami prawniczymi, białymi krukami pięknie oprawnymi w skórę oraz bestsellerami „New York Timesa” w błyszczących okładkach. Meble były stare, zużyte i wygodne, co szczególnie jej odpowiadało. Rośliny, które senator osobiście podlewał i podcinał, rosły zdrowo. Wnosiły do na wskroś męskiego charakteru biura odrobinę domowej atmosfery. Pociągnęła nosem. Wokół unosił się zapach władzy, a ona była jej częścią. Pomyślała o tajemnicach poznanych przez siebie i tych, które odkryła przed nią Agnes Prentis. Zaciśnęła usta i pokręciła głową, by rozjaśnić myśli. Oby nigdy nie nadszedł dzień, w którym musiałaby zeznawać pod przysięgą. Układy zawierane były przecież w różnych okolicznościach – podczas śniadania, w szatni, na polu golfowym. Gdy wróci, przemyśli sobie wszystko. Ten dzień należał do niej i nie zamierzała ani senatorowi Kingsleyowi, ani Waszyngtonowi poświęcać ani jednej minuty więcej.

Jessie podsumowała, co już załatwiła, a co jeszcze pozostało do zrobienia. Napełnić pałeczkami lukrecji słoik na słodycze senatora, sprawdzić, czy szuflada z przekąskami jest napełniona świeżymi opakowaniami chrupków i

precelków, a lodówka pełna wody mineralnej i soków. Rzuciła okiem na bar w prywatnym gabinecie senatora. Żadna z butelek nie była opróżniona nawet w połowie. Czy wystarczy dodatkowego lodu? Otworzyła małą lodówkę pod ladą. Było go mnóstwo. Wszędzie czysto i schludnie, nigdzie śladu kurzu. Pod dostatkiem kawy, filtrów do ekspresu i butelek wody. Teraz pora zajrzeć do książki spotkań i harmonogramu zajęć senatora.

Przez dłuższą chwilę Jessie wpatrywała się w dwie fotografie rodzinne, podobne do tych, jakie wszyscy senatorzy trzymali na biurkach. Angus Kingsley nie był wyjątkiem od tej reguły. Uśmiechnięte twarze uchwycone w chwilach szczęścia. Zastanawiała się, skąd to wie. Może dzięki zapiskom swojej poprzedniczki Agnes Prentis albo różnym aluzjom, jakie słyszała podczas pierwszego roku pracy. Musiała się zastanawiać, czy plotki o senatorze i jego żonie zawierały choć cień prawdy. Trudno było sobie wyobrazić, że brodaty senator, którego tak uwielbiała, zdradza żonę.

Alexis Kingsley przypominała jej matkę Sophie – piękna, elegancka, zawsze nienagannie ubrana, z zimnymi oczami i jeszcze zimniejszym sercem. Wnioskując z tego, co powiedziała Agnes Prentis, jej ocena żony senatora była słuszna. Według Agnes Alexis Kingsley przyjeżdżała do Waszyngtonu tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowała. Jessie zdrzała, spojrzawszy na terminy w książce spotkań. Alexis i Tanner mieli przyjechać do miasta w przyszłym tygodniu. Zjawia się więc dzień po jej powrocie z Luizjany.

W ciągu całego mijającego roku snuła fantazje na temat Tannera Kingsleya. Za każdym razem, gdy odkurzała zdjęcie młodego człowieka w srebrnej ramce, wymyślała inną historyjkę na jego temat. Nie mogła się powstrzymać przed zastanawianiem się, czy on jest w rzeczywistości równie przystojny jak na zdjęciu.

Sfotografowano go inaczej niż matkę. Siedział na koniu, ubrany w dżinsy i dość zużyte buty do konnej jazdy. Stetsona zsunął na tył głowy i uśmiechał się. Agnes twierdziła, że Tanner ma ten sam rodzaj charyzmy co jego ojciec, gdy wiele lat temu przybył do Waszyngtonu. Według niej oznaczało to po prostu, że mógł mieć każdą kobietę, jakiej zapragnął.

Jessie zdmuchnęła nie istniejący pyłek z ozdobnej srebrnej ramki. W przyszłym tygodniu pozna Kingsleyów i sama ich oceni.

Drzwi do biura zatrzasnęły się z hukiem. Angus Kingsley nigdy normalnie ich nie zamykał. Trzaskał nimi, by zawiadomić o swoim przybyciu. Niedźwiedziowaty senator wszedł powoli do biura, od progu domagając się kawy.

- Jessie, cieszę się, że przyszedłaś dziś wcześniej. Nastąpiła zmiana planów. Moja żona i syn przesunęli datę wizyty z przyszłego tygodnia na dzisiaj. Będziesz musiała przywieźć ich z lotniska i zawieźć do hotelu. Do diabła, Jessie, robisz najlepszą kawę pod słońcem.

Jessie z trudem wykrztusiła:

- Senatorze, nie mogę odebrać pańskiej rodziny z lotniska. Czy pan zapomniał? Za godzinę wyjeżdżam do Luizjany. W zeszłym miesiącu wpisałam to w pańskiej książce spotkań.

- Wiesz, że nigdy nie zaglądam do tej cholernej książki. Polegam na tobie. Zawsze zabierasz mnie tam, gdzie muszę pojechać i przypominasz o wszystkich sprawach.

- Senatorze, rozmawialiśmy o moim urlopie jeszcze we wrześniu. Powiedziałaś panu, jak ważna jest dla mnie ta podróż. Powiedział pan, że nie widzi przeszkód. Dokładnie tak się pan wyraził, senatorze. Nie brałam urlopu, bo pan mnie potrzebował. Teraz muszę.

- Przepraszam Jessie, ale musisz zrezygnować z podróży. W tym tygodniu będziesz mi potrzebna. Na pewno ci to wynagrodzę. Obiecuję w zamian długie weekendy i wysoką podwyżkę. Nie możesz mnie zawieść.

- Senatorze, nie odwołam wyjazdu. Nie można zmienić terminu ukończenia studiów. Sophie właśnie je kończy. Mówiłam o tym tyle razy.

Senator wpatrywał się w nią, jego krzaczaste brwi zetknęły się po środku czoła.

- Pańska żona i syn mogą wziąć taksówkę. Tak, jak robią to inni. Albo niech pan wynajmie samochód z kierowcą. Personel naszego biura jest potrzebny na miejscu przez cały dzień. Jeśli kogoś zabraknie, coś może pójść nie tak. A przecież lubi pan, by wszystko szło gładko. Może jeszcze kawy?

Senator wyciągnął rękę z filiżanką.

- Alexis w taksówce! Mój Boże, chciałbym to zobaczyć. Mógłbym wysłać szofera z moim samochodem.

- Sądzę, że nie powinien pan tego robić, senatorze. Victor Grimes jest w Komitecie „psów łańcuchowych” zajmującym się marnotrawieniem finansów rządowych. Był tu już trzy razy wypytując o pana delegacje służbowe i użytkowanie samochodu do celów prywatnych. Uważam, że taksówka albo wynajęcie limuzyny to najlepsze wyjście. Muszę już jechać, senatorze, bo spóźnię się na samolot.

- Czy wystarczy ci czasu, by zrobić mi jeszcze jeden dzbanek kawy?

- Nie. Diane zaparzy panu kawę, gdy przyjdzie. Mam nadzieję, że przyjemnie spędzi pan czas z rodziną. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu. I proszę się o nic nie martwić. Jeśli personel zastosuje się do moich notatek i wskazówek, nie będzie żadnych problemów. Proszę nie zapomnieć, że dzisiaj o czwartej ma pan wizytę u dentysty.

Pomachała ręką na pożegnanie i wyszła.

Była w holu, gdy przypomniała sobie, że zostawiła swój dziennik w górnej szufladzie biurka. Postawiła walizkę na podłodze i wróciła do biura po małą książeczkę z notatkami. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś do niej zajrzał. Reguła Numer Jeden Agnes Prentis brzmiała: „Nigdy nie zostawiać dziennika bez dozoru i codziennie zabierać go ze sobą do domu”. Jessie stosowała się ściśle do Reguły Numer Jeden.

Gdy Jessie przyjechała na lotnisko Dulles okazało się, że ma jeszcze piętnaście minut do odlotu. Nadała torby na bagaż i skierowała się do toalety. Usłyszawszy piskliwy dziecięcy śmiech odwróciła się i ujrzała podobnych do siebie jak dwie krople wody malców biegnących pędem przez halę lotniska, żeby – jak sądziła – uciec od udręczonej matki. Miała tylko chwilę na usunięcie się z drogi piszczącym bliźniakom, w przeciwnym razie zostałaby stratowana. Zrobiła zbyt gwałtowny ruch i straciła równowagę. Torebka wypadła jej z ręki i potoczyła się po podłodze, gdy daremnie starała się utrzymać równowagę w butach na wysokich obcasach. Sekundę później poczuła podtrzymujące ją silne ramiona. Odwróciła się, by zobaczyć rycerza na białym koniu, który ją uratował i stwierdziła, że wpatruje się w najbardziej błękitne oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć. Oczy, które znała. Oczy o odcieniu letniego nieba. Niemal zemdlała z wrażenia. Młody mężczyzna podtrzymywał ją na odległość wyciągniętych ramion.

- Myślę, że wszystko w porządku - powiedział. - Jest pani tylko roztrzęsiona. Dzieciaki potrafią być niezdolne. Niech pani coś powie. Chcę się upewnić, że nic pani nie jest.

Ton jego głosu był lekki, kpiący, prawie żartobliwy.

Chciała się odezwać, naprawdę miała zamiar coś powiedzieć, ale zdawało się jej, że język urósł jej w ustach. Na próżno starała się przywołać na twarz uśmiech. Poniosła sromotną klęskę.

- Na miłość Boską, Tanner, ta młoda dama dobrze się czuje. Przystań stać nad nią i pozwól złapać oddech. Najwyraźniej chce zdążyć na samolot. Czy mógłbyś się od niej oderwać? Musimy iść dalej.

Słowa te zostały wypowiedziane bez przerwy na zaczerpnięcie oddechu, tonem głosu zdolnym zmrozić krew w żyłach.

Tanner Kingsley, odwrócony plecami do matki, puścił do Jessie oko i powiedział:

- Nie ma pojęcia, że ratowanie młodych kobiet z opresji bardzo mi służy. Tam leży pani torebka? Proszę poczekać, przyniosę ją.

Gdy podawał torebkę, ich ręce się zetknęły. Jessie poczuła dziwny dreszcz.

- Przyjemnego lotu - powiedział.

Jessie kiwnęła głową. W chwilę później matka i syn zniknęli jej z oczu.

W tym momencie Jessie Roland uświadomiła sobie dwie sprawy. Po pierwsze, że właśnie napotkała swoje przeznaczenie; po drugie, że nie ma już czasu pójść do toalety, bo właśnie wzywano pasażerów lecących do Nowego Orleanu na pokład samolotu.

Jessie weszła do samolotu na trzęsących się nogach. Usiadła przy oknie, zapięła pas i oparła głowę na zagłówku. Zamknęła oczy, starając się wyczarować pod powiekami twarz Tannera Kingsleya. To, co jej się przytrafiło, było niezwykle przypadkiem i musiało coś oznaczać. Pytanie tylko, co? Zbieg okoliczności? Zbiegi okoliczności ciągle się zdarzają. Przeznaczenie? Czy było jej pisane spotkać Tannera Kingsleya w tak nieoczekiwanych okolicznościach? Czy kiedykolwiek go jeszcze spotka? Miała przewagę nad panią Kingsley i jej synem, bo codziennie od trzech długich lat oglądała ich zdjęcia, a oni nie wiedzieli o niej absolutnie nic. Poczuli skurcze żołądka, gdy obraz Alexis

Kingsley ukazał się jej pod powiekami. Zanim skupiła całą uwagę na Tannerze, rzuciła przelotnie okiem na żonę senatora. Była nienagannie ubrana i uczesana. Sophie wiedziałaby dokładnie, ile kosztował strój tej kobiety. Skąd pochodziły pieniądze Kingsleyów? Z rancza? Senator nie zarabiał znowu aż tak dużo i musiał opłacać koszty utrzymania w mieście. Sama bilansowała jego książeczkę czekową. Pod koniec miesiąca zwykle nie zostawało zbyt wiele. O ile jej wiadomo, nigdy nie wysyłał pieniędzy do Teksasu, więc należało przyjąć, że ranczo było samowystarczalne. Jednak sobolowe futra i torebki od Chanel, jakie nosiła pani Kingsley, dużo kosztowały.

Jessie otrząsnęła się. Finanse Kingsleyów to nie jej sprawa, choć bilansowanie osobistej książeczki czekowej senatora należało do obowiązków służbowych. Westchnęła. Wkrótce już spała. Po kilku godzinach stewardesa musiała ją budzić potrząsając za ramię.

- Niedługo lądujemy. Proszę zapiąć pas i ustawić oparcie w pozycji pionowej.

Jessie zrobiła, co jej polecono. Gdy zerknęła na zegarek, okazało się, że samolot ląduje punktualnie. Wystarczy czasu, by pójść do toalety, uczesać się i odświeżyć makijaż. Sophie powiedziała, że jej mieszkanie znajduje się po drodze na uniwersytet, więc powinna poprosić kierowcę taksówki, by się tam zatrzymał. Zostawił swoje torby na ganku.

Sophie ukończyła studia summa cum laude sześć miesięcy przed ustalonym terminem, na dodatek miała wygłosić mowę pożegnalną podczas promocji. To się po prostu nie mieściło w głowie!

Godzinę później, z biletem w ręku, Jessie podała śladem tłumu rodziców wchodzących do sali. Miała miejsce w środku pierwszego rzędu. Jak Sophie udało się to załatwić? Gdy usiadła na swoim miejscu, zobaczyła, że krzesło obok pozostało puste. Rozejrzała się wokół. Wszędzie widać było pary – ojców i matki. Miejsce musiało być zarezerwowane dla Janice Ashwood. W głębi serca Jessie przeczuwała, że matka Sophie nie przyjdzie. Jakże to przykre, że Sophie wygłaszając mowę będzie musiała patrzeć na to puste krzesło.

Czy Jessie powinna poprosić kogoś, by je usunął? A może powinna zaproponować siedzące miejsce komuś, kto nie ma biletu? Czy w tej sytuacji powinna w ogóle coś zrobić? Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmi: nie.

Sophie jest przecież niezniszczalna, przeżyje i to. Jessie zwinęła płaszcz i położyła obok torebki na krześle obok. To wszystko, co mogła zrobić.

Gdy absolwenci kroczyli środkiem sali, światła przygasły. Jessie wyciągała szyję, by zobaczyć Sophie. Dostrzegła ją, gdy zajmowała wyznaczone miejsce. Serce Jessie przepelniała duma.

Wygląda jakoś inaczej, pomyślała.

W ostatnim roku jej przyjaciółka najwyraźniej się zmieniła. Jessie miała nadzieję, że tylko na lepsze. Szaleńcze pragnienie, by rozwalić na drzazgi stojące obok puste krzesło, było tak silne, że Jessie zacisnęła pięści i zagryzła dolną wargę.

Zagłębiła się we własnych myślach, gdy rektor głądził na temat tego-rocznych absolwentów i o tym, jak ciężko musieli pracować, by w tym dniu uzyskać dyplom. Rozmyślała o wydarzeniach na lotnisku i o chwili, gdy wpatrywała się w oczy Tannera błękitne jak niebo w letni dzień, uderzająco jasne w twarzy o ciemnej karnacji, okolonej spłowiwałymi na słońcu blond włosami. Zdawał się bardzo wysoki i muskularny. Adonis opalony na brąz.

Poczuła, jak ciepło rozchodzi się po jej ciele, sięgając piersi i szyi. Zastanawiała się, czy to, co czuje, znajduje odbicie na jej twarzy i czy się zarumieniła.

– Sophie Marion Ashwood.

Jessie wróciła do rzeczywistości, gdy Sophie weszła na podium. Gdzie jest jej przemówienie? W ręku nie miała nic. Można było zaufać Sophie, że załatwi to bez ostentacji.

Jessie wstrzymała oddech widząc, jak przyjaciółka oczami błyszczącymi od powstrzymywanych łez wpatruje się w puste miejsce obok niej. Spojrzała na Jessie, która poruszyła ustami mówiąc bezgłośnie:

– To nieważne. Ja tu jestem. Dalej, bierz się do dzieła.

Sophie uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Jakże ja cię nienawidzę, Janice Ashwood, za to co robisz Sophie. Nienawidzę cię tak bardzo, jak Thei Madeline Roland – półgłosem wymamrotała Jessie.

Z podziwem wysłuchiwała namiętnych słów Sophie na temat budowania mostów ku przyszłości. Głos przyjaciółki rozbrzmiewał na całą salę. Skończywszy przemówienie Sophie przez parę sekund patrzyła na puste krzesło, a

potem zeszła z podium, nim ktokolwiek z publiczności pojął, że to koniec wystąpienia. Rozległy się anemiczne oklaski. Sophie zasługiwała na więcej.

Jessie musiała coś zrobić, i to teraz, zanim ta chwila przeminie. Działała bez wahania. W mgnieniu oka płaszcz i torebka leżące na sąsiednim krześle znalazły się na podłodze, a ona wskoczyła na miejsce zarezerwowane dla Janice Ashwood. Zrobi z siebie pewnie kompletną idiotkę, ale to bez znaczenia.

Musi uczynić wszystko, by był to dla Sophie pamiętny dzień. Machając w powietrzu zaciśniętymi pięściami wrzasnęła na całe gardło:

- Hej, Sophie, hej, Sophie!

A potem odwróciła się w kierunku zgromadzonej publiczności i krzyknęła:

- To moja przyjaciółka, Sophie. Zakończyła naukę w cztery i pół roku zamiast w pięć lat. Jest najlepszą absolwentką roku. Zasługuje na więcej niż uprzejme oklaski sprzed kilku minut. A więc owacje dla mojej przyjaciółki, Sophie!

Zagwizdała przez zęby, tak jak Sophie nauczyła ją, gdy były dziećmi, i machając rękami wykrzykiwała:

- Wiwat!

Publiczność śmiała się, a oklaski rzeczywiście przerodziły się w owację. Sophie przebiegła przez podium i zeskoczyła. Toga płątała się wokół jej nóg, gdy biegła do Jessie.

- Niech mnie diabli! W życiu nie widziałam czegoś podobnego!

Łzy spływały po policzkach Sophie. Wdrapała się na krzesło i krzyknęła:

- Dziękuję! Dziękuję!

A zwracając się do Jessie powiedziała:

- Chodź, spływamy stąd. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Jak, u diabła, zdobyłaś się na odwagę, by wyciąć taki numer? Przecież boisz się publicznych wystąpień i nie znosisz, jak ludzie ci się przyglądają.

- Nie zastanawiałam się nad tym. Zależało mi, żeby cię zapamiętali. Chciałam też, by ten dzień i tobie na zawsze pozostał w pamięci. Wiem, jak ciężko pracowałaś. Wiem, co dla ciebie znaczy to puste krzesło. Ale nie przejmuj się, popatrz na to z innej strony: gdyby ktoś siedział na tym krześle, nie mogłabym zrobić tego, co zrobiłam.

- Dobrze, że zrobiłaś. Widziałaś, jak zeskoczyłam z podium?

- Tak, widziałam też twoją bieliznę. I pomyśleć, jak długo musiałam cię namawiać, byś w ogóle przyszedł na promocję. Chciałaś, żeby ci dyplom wysłali pocztą?

Wyszły z gmachu uniwersytetu. Na zewnątrz upajały się czystym wieczornym powietrzem. Sophie zwróciła się do Jessie:

- Czy masz pojęcie, ile twoja przyjaźń dla mnie znaczy, Jessie Roland? Zamartwiałam się od tygodni, czy senator da ci wolne. Gdyby na widowni były dwa puste krzesła, zwałabym gdzie pieprz rośnie. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

- Wiem dobrze, Sophie. Twoja przyjaźń znaczy dla mnie tyle samo, ile moja dla ciebie. A więc jak to uczymy?

- Chodźmy do domu napić się dobrego wina i nadrobić zaległości w gadaniu. Minał przeszło rok od naszego ostatniego spotkania. Jutro możemy robić coś innego. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Kostaryki.

- Sophie! To przecież na końcu świata. Dlaczego? Na jak długo?

- Na trzy lata. To mój staż. Nie mogłam tego przepuścić. Będiesz mogła przyjechać do mnie z wizytą.

- Boże, już za tobą tęsknię.

- Jess, to był wspaniały wieczór. Dziękuję ci.

- Przykro mi z powodu...

- Nie ma potrzeby. Wiedziałam, że matka nie przyjedzie. Przesłała mi w liście czek na sumę, za którą można by wyżywić przez rok ludność jakiegoś kraju trzeciego świata. Podarłam ten pieprzony czek na kawałki. Daremny trud. Nawet tego nie zauważy. Nie wiem, czy chcesz wiedzieć, czy nie, ale twoi rodzice wciąż mieszkają w Barcelonie. W Hiszpanii.

- Nie chcę wiedzieć. Nie myślę o nich. Przynajmniej staram się nie myśleć. Kupmy sobie lody w rożku i założmy się, która z nas zje szybciej. Nie wiem dlaczego, ale czuję się dzisiaj jak mały dzieciak.

- Zakład stoi. Chcesz się pościgać? Przegrany stawia.

Jessie zdjęła buty na wysokich obcasach i wepchnęła je do kieszeni. Dziewczyny przykucnęły przyjmując pozycję startową do sprintu, jak to zwykle robiły w dzieciństwie.

- Dwie przecznice stąd skręć w prawo, a potem w lewo. Tam zobaczysz lodziarnię, nie sposób jej nie zauważyć.

Ciężko dysząc, Jessie zatrzymała się przed lodziarnią.

- To był zakład dla frajerów. I tak nie masz pieniędzy. Moje pończochy są w strzępach, a ty masz wciąż na sobie biret i toge.

- W porządku, będę miała u ciebie dług. Nigdy nie byłaś taka szybka. Wiesz... zakochałam się, Jess.

- Nie żartuj. Widocznie coś musi być w powietrzu, bo zdaje mi się, że i ja dziś na lotnisku spotkałam swoje przeznaczenie.

- Chodźmy do domu i pogadajmy... chyba że chcesz iść do centrum, na ulicę Bourbon, żeby posłuchać jazzu.

- Wolałabym jutro wieczorem. Myślę, że powinnyśmy kupić po drodze trochę dobrego kreolskiego jedzenia i po prostu odpuścić sobie. To był długi dzień. Mam nadzieję, że zmieniłaś pościel w moim łóżku.

Sophie wzruszyła ramionami. Jessie roześmiała się. O trzeciej nad ranem Sophie zaczęła turlać trzy puste butelki po winie po podłodze salonu.

- Chyba powinnyśmy pójść spać - wymamrotała.

- Dlaczego?

- Dlatego. Jesteś pewna, że nie chcesz, bym sprawdziła rodzinę King-sleyów? Zrobiłabym to z przyjemnością. To będzie wy... wy-czer-pu-ją-cy raport. Jeśli masz ochotę na romans z synem, powinnyśmy wiedzieć wszystko, co trzeba. Nawet jeśli do tego nie dojdzie, warto dowiedzieć się, co jest motorem działania tej rodziny. Spotkałam w zeszłym roku pewnego faceta, który wszystko potrafi. Przez ostatnie dwa lata naprawdę bardzo wiele się nauczyłam. Wiem, jak załatwiać takie sprawy. Wcześniej powiedziałaś coś, co kołaczy mi się po głowie... ale nie pamiętam, co to takiego.

- Widocznie masz przeciążoną głowę, Sophie.

- Bądź poważna. Pamiętasz, jak opowiadałaś o tym, że Agnes Prentis zmarła miesiąc po śmierci męża?

- Tak, to takie smutne. Ogromnie jej żałowałam. Była taka miła i pracowała dla senatora ponad dwadzieścia lat. Poszłam z nim na jej pogrzeb. Oprócz nas przyszło niewiele osób. Wciąż mam jej zapiski, które mi dała do przejrzenia.

- Właśnie o tym mówię. Myślę, że powinnaś wszystkie spakować, nawet te, które zaczęłaś czytać, i przysłać mi do domu w Atlancie. Nie pytaj dlaczego, bo sama nie wiem. To przecucie. Przesyłaj mi do domu każdy, który

skończysz. Po kolei. Napisz, że to dla mnie i wyślij, a gospodyni je przechowa. Zrobisz to?

- Sophie, zostałam szpiegiem, czy co? Denerwujesz mnie. To tylko zeszyty, w których codziennie zapisuje się, co się działo. Dzienniki Agnes zawierają jej spostrzeżenia. W moich są moje obserwacje.

- Czy ktoś wie, że prowadzisz dziennik, Jessie?

- Nikomu o tym nie powiedziałam, jeśli o to ci chodzi. Mam też dziennik biurowy. To coś w rodzaju bardziej szczegółowej książki spotkań. Jest bardzo zwięzły.

- Więc po co prowadzisz prywatny dziennik?

- Bo... bo Agnes Prentis kazała mi to robić. Teraz to stało się po prostu nawykiem. Sugerujesz coś, czego nie łąpię?

- Waszyngton to cholerne miejsce, Jessie. A ci lobbyści i ludzie u władzy... Opowiadano mi, jak zrywają układy, jak kupują i sprzedają głosy. Twój szef już długo w tym siedzi. Z pewnością chowa w szafie kilka szkieletów. Gdy zdarzy się nieszczęście, gówno opryska wszystkich. W Waszyngtonie piętnuje się nawet niewinnych ludzi. Angus Kingsley ma władzę, a ludzie czasami ją tracą, niekoniecznie z własnej winy. Nowi kandydaci do jego stanowiska będą go zawsze gryźć w pięty. Nie chcę być świadkiem, jak dajesz się wplątać w coś, co jest poza twoją kontrolą.

Jessie poczuła, jak włoski na jej szyi zaczynają się jeżyć. Sophie zawsze miała rację i nigdy nie panikowała bez powodu.

- Dobrze, spakuję dzienniki i wyślę ci jak tylko wrócę. Bierz się do dzieła i sprawdź Kingsleyów. To nie zaszkodzi. Zrobisz to dyskretnie, prawda?

- Jess, jesteś zuch dziewczyna. Oczywiście, że zrobię to dyskretnie. Jeśli uprzedzisz przeciwnika, może się uzbroić. W dzisiejszych czasach dziewczyna musi być ostrożna.

- A ty, Sophie? Sprawdziłaś tego swojego faceta?

- Nie musiałam. Jest dokładnie tym, za kogo się podaje. Innymi słowy znaczy to, że jest inżynierem lądowym pracującym w firmie, w której będę odbywała staż. Douglas, Doheny i McGuire jest jedną z najlepszych firm w kraju. Zatrudniają czterdziestu czterech inżynierów i pięćdziesięciu trzech architektów. No i personel biurowy. Jack pochodzi z porządnej, normalnej rodziny. Poznałam go w zeszłym roku dzięki przyjacielowi. Rodzice Jacka są

nauczycielami. Ma dwóch braci i dwie siostry, sam jest trzecim z kolei dzieckiem. Pracował przez całe studia jako kelner i dostarczając pizzę do domów. Została mu do spłacenia fura studenckich pożyczek. Rodzice oczywiście pomagali, ale musieli też opiekować się dwiema parami starzejących się dziadków. W sierpniu Jack zabrał mnie do domu, żebym poznała rodzinę. Są pełni werwy, hałaśliwi i bardzo, bardzo kochani. Pan Dawson trzyma panią Dawson za rękę i co chwila całuje ją w policzek. Rodzeństwo uwielbia się nawzajem i każdy wie, co robią inni. Wszyscy się ze sobą wszystkim dzielą. Jeśli jedno potrzebuje pomocy, inni rzucają to, co robią i ruszają z odsieczą. Mają starego psa, który wabi się Mandy. Codziennie załatwia się w domu w tym samym miejscu, ale nikogo to nie denerwuje. Kto to pierwszy zobaczy, sprząta. Jest stary, ale bardzo kochany. Rodzice mojego chłopaka uwielbiają mnie. To prawdziwa rodzina, Jess, taka, jakiej zawsze pragnęłyśmy i nigdy nie miałyśmy. Chcę do niej należeć tak bardzo, że to aż boli. Tata Jacka powiedział mu, żeby nigdy nie pozwolił mi odejść. Ale skłamałam im, Jess. Powiedziałam, że też zaciągnęłam pożyczki, by skończyć studia. Spreparowałam dla siebie nową tożsamość. Właściwie to dość żalodne. Teraz żałuję. Muszę się bardzo poważnie zastanowić, zanim się na serio zaangażuję. Jack szczeni się tym, że nie ma nic do ukrycia i zawsze mówi prawdę. Nie potrafiłby zrozumieć mojej matki. Nigdy, przynigdy. A propos, nazywa się Jack Dawson. Umieram z miłości za każdym razem, gdy go widzę.

- Dlaczego nie przyjechał na twoją promocję?

- Bo pracuje w Memphis, w firmie, w której ja zaczynam pracować w poniedziałek. Przyjedzie w tym tygodniu. Poznasz go. On też jedzie do Kostaryki. Nie miał nawet pieniędzy na podróż. Czy wiesz, jak brzmi jego ulubione powiedzonko? Bieda kształtuje charakter.

Jessie od razu przeszła do sedna.

- Powiedz mi, jaki jest w łóżku?

- Określę to jednym słowem: fantastyczny!

Jessie turlała się po podłodze ze śmiechu, gdy Sophie otwierała czwartą butelkę wina.

- Jesteśmy załatwione, wiesz?

- No i co z tego? To twój dzień. Właściwie wczoraj był twój dzień. Już nastał nowy. Zastanawiam się, jak zdołam stanąć twarzą w twarz z Tannerem

Kingsleyem. Czy ci mówiłam, że jego oczy mają taki odcień, jak błękit nieba w lecie? Pamiętasz dzwonki, które rosły przy domku do zabawy? To ten sam kolor. Tanner cały jest złotobrazowy, a włosy ma jasne. Prócz tego dołek w brodzie i jeden dołeczek w policzku. Tylko jeden. Czy to nie dziwne?

- Zauważyłaś to wszystko w ciągu pięciu sekund? Jestem pod wrażeniem - stwierdziła sucho Sophie.

- To trwało dłużej niż pięć sekund. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu, więc się na niego gapiłam.

- Wproś się na wakacje. Wypróbuj chwyt na samotność, może senator będzie ci współczuł. Jutro możemy to przećwiczyć. Musisz wypaść naturalnie.

- Nie mogłabym zrobić czegoś takiego.

- Do diabła, oczywiście, że możesz. Jeśli potrafisz wejść na krzesło w sali pełnej ludzi i wrzeszczeć na całe gardło, to potrafisz dokonać wszystkiego! Poćwiczmy jutro. Aha, moja matka znowu wyszła za męża.

- Naprawdę? - zapytała Jessie, bo tylko to przyszło jej do głowy.

- Za jakiegoś polskiego hrabiego. Ma w nazwisku mnóstwo „z”. Kartka i czek przysły z Argentyny. Wyobrażasz sobie?

Sophie wybuchnęła płaczem.

- Cicho, Sophie, nie płacz. Pewnego dnia, gdy będziesz się tego najmniej spodziewała, ona wróci, żeby odegrać rolę prawdziwej matki. Zobaczysz. Myślę, że boi się starości, a świadomość, że ma tak piękną, błyskotliwą córkę, pogłębia tylko ten stan. Nawet ty musisz zdawać sobie sprawę z tego, że zazdrość odgrywa dużą rolę w jej postępowaniu. Stara się czymś wypełnić pustkę w życiu. Postaraj się jej nie nienawidzić. Powinnaś raczej czuć litość. Wszystko ci sprzyja, Sophie. Nie pozwól, by matka cię zraniła. To krzesło tak naprawdę nie było puste. Położyłam na nim mój płaszcz i torebkę. Nikt nie zwrócił uwagi, że nie jest zajęte, dopóki na nie nie włożyłam.

- Masz rację. A szczególnie w tym, co dotyczy mnie: jestem piękna i błyskotliwa. Twój zdrowy rozsądek czasami aż mnie przeraża. Jak myślisz, co matka zrobi, gdy urodzę moje pierwsze dziecko?

- Kolejną operację plastyczną twarzy. Podciągnie także fałdy na brzuchu i kupi sobie następnego dwudziestoletniego męża, którego nikt inny nie zechce. Potem zaczniesz myśleć o twoim dziecku i postanowi stać się częścią jego życia. Od ciebie będzie zależało, co wtedy zrobisz. Sophie, żadnego związku nie

można opierać na kłamstwie. Dotyczy to także małżeństwa. Jeśli ten twój chłopak cię nie zrozumie, to znaczy, że nie jest dla ciebie. Gdy będziesz potrzebowała wsparcia albo potwierdzenia słuszności tego, co masz mu zamiar powiedzieć, po prostu zadzwoń.

Sophie skinęła głową.

- A co z tobą, Jess. Ciągłe ich nienawidzisz?

- Wydaje mi się, że tak. Czasami myślę, że jestem jedyną osobą na świecie, która nie kocha swoich rodziców. Nie mówię o tobie, Sophie. W głębi serca kochasz matkę. Ja nie. Chciałabym zrozumieć własne uczucia, ale nie potrafię. Oni pewnie chcieli dobrze, więc to chyba moja wina, że nic do nich nie czuję. Nawet nie tęsknię. Rzadko goszczą w moich myślach. Nie tknęłam pieniędzy z funduszu powierniczego. Wątpię, czy się na to kiedykolwiek zdobędę. Wolałabym pożyczyć pieniądze od ciebie, a potem je oddać.

- Jesteśmy teraz w punkcie zwrotnym naszego życia. Wiesz o tym, Jess, prawda?

- Dzisiaj rano myślałam o tym samym. Nadajemy na jednej fali. To trochę dziwne i przerażające, ale jednocześnie wspiane. Powiedźcie nam się, zobaczysz. Wiesz co? Gdy wrócisz, będę już miała dyplom. Czy mogę spać tutaj na podłodze?

- Pewnie. Ja też będę tu spała. Gdybym miała złotą gwiazdę, przylepiłabym ci ją na czole, Jessie Roland.

Sophie rzuciła Jessie dwie poduszki z zagraconej sofy.

- Dobrej nocy, przyjaciółko. Dziękuję za wszystko, Jess.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dobranoc, Sophie.

Ashton Falls, Tennessee

Sierpień 1979

- Jesteś pewien, że wszystko zabraliśmy, Ben? Powinam być przygotowana na rozstanie, ale wcale nie jestem. Powiedziałam, że nie będę płakać, a co robię? Już zanoszę się od płaczu, choć nie zjechaliliśmy nawet z drogi dojazdowej. Co będzie się ze mną działo, gdy odjedziemy i zostawimy Johna w Clemson?

- Nie tracimy Johna. Będzie przyjeżdżał w czasie zimowych ferii i na wakacje. Na wypadek, gdybyś tego nie zauważyła, przypominam, że nasz najstarszy syn jest już dorosły. Ma nawet dziewczynę. Wszystkie matki też na pewno się rozplaczą, a ojcowie będą tak samo przejęci jak ja. Jakoś przetrzymamy. Będzie lżej niż... przedtem. Wiemy, że John nie opuszcza nas na zawsze. Powtarzaj to sobie, a wszystko będzie w porządku.

Grace wytarła oczy.

- W przyszłym roku Joseph też odejdzie. Chciałabym... Och, Ben, chciałabym tak wiele. Hannah powinna być tu z nami. Gdyby wszystko szło dobrze, już ukończyłaby college. Modłę się co noc, by nasza córka po skończeniu dwudziestu pięciu lat przypomniła sobie, co zdarzyło się w przeszłości i zaczęła nas szukać. Nie wiem, dlaczego przywiązuję taką wielką wagę do liczby dwadzieścia pięć. Może chodzi o osiągnięcie pełnoletności? Ben, co będzie, jeśli Hannah uczęszczała do Clemson i przyjedzie tam na Dzień Ucznia albo z jakiejś innej okazji, a my zobaczymy ją i nie poznamy? Co będzie, jeśli coś takiego się zdarzy?

- Grace, przestań się zadręczać. Nie psujmy Johnowi jego dnia. Odejście z domu przeżywa tak samo mocno jak my. Musimy więc sprawić, by wszystko dobrze poszło. Pierwszy Larson, który będzie uczęszczał do college'u! Jestem z niego taki dumny, że mało nie pękne!

- Skoro już mowa o pękaniu z dumy... Spójrz na naszych ojców. Dwa samochody i furgonetka, by wyprawić jednego chłopca do college'u. Zdumiewające!

- To jednak ma sens. John i ja pojedziemy w furgonetce. Władujemy do niej wszystkie kufry z jego rzeczami. Nasi rodzice pojadą jednym samochodem, a ty i Joe drugim. Mamusia wzięła kamerę, by uwiecznić wszystko. Nasz chłopak poradzi sobie. Nauczylimy go odróżniać dobro od zła. Potrafi ciężko pracować i zna wartość każdego dolara. Nie sprawi zawodu ani sobie, ani rodzinie. To pewne.

Grace nagle ogarnęła panika.

- Ben, a jeśli John spotka gdzieś Hannah i nie będzie wiedział, że to ona? Co wtedy?

- Grace, uspokój się! Przestań, bo jeśli John zobaczy cię w takim stanie, będzie miał poczucie winy, że odchodzi, by się dalej uczyć.

Grace pohamowała szlochanie. Skinęła głową. John tak długo czekał na ten dzień, tak wiele pracy włożył, by był on radosny i uroczysty! Nie może wszystkiego zepsuć płaczem. Uśmiechnęła się z przymusem.

Ben westchnął z ulgą i spojrzał na żonę. Grace bardzo się przez te lata zestarzała. Posiwiała, a zmarszczki mimiczne, które - jak niegdyś sądził - z czasem znikną, przekształciły się w głębokie bruzdy biegnące wzdłuż czoła i wokół oczu. Ujął jej szorstką, spracowaną dłoń. Grace uścisnęła mocno rękę męża.

- Nadchodzi!

Wykrzyknął to jeden ze starszych Larsonów. Rozległy się głośne oklaski, a John nisko się uklonił dziękując rodzinie za owację.

- Chciałbym coś powiedzieć - odezwał się poważnie młody człowiek.

- Słuchajcie, słuchajcie! - zawołał Ben.

- Dziękuję za to, co przez te wszystkie lata zrobiliście dla mnie. Przyrzekam dzwonić raz w tygodniu, co wieczór odmawiać pacierz i myć zęby po każdym posiłku. Zrobię wszystko, by nie sprawić wam zawodu.

Załamującym się głosem dodał:

- Będę za wami tęsknił. Ale na pewno nie będzie mi brakowało strzyżenia trawnika, grabienia liści i odgarniania śniegu. Te prace przypadną teraz tobie, Joe - powiedział, ściskając brata.

Grace zbliżyła się do syna. Jaki on przystojny! Jest też serdecznym, troskliwym i wrażliwym chłopcem. Gdy skończył trzynaście lat, poszła do niego i spytała, czy chciałby zająć pokój Hannah. Zaszokowała go tym pytaniem. Przez chwilę nie mógł nic z siebie wykrztusić, a gdy przemówił, jego słowa przyniosły Grace pociechę.

– Nie ma mowy, mamusiu. Musiałbym zabrać moje rzeczy, gdy wróci.

Pokój Hannah był wciąż nietknięty, ale drzwi zostawiano otwarte, nie zamykano ich jak przedtem.

Gdy znalazła się w ramionach starszego syna, szepnęła jej do ucha:

– Chyba wiem, co myślisz i czujesz, mamusiu. Wszystko w porządku. Ona wróci. Nie wiem kiedy, ale to się wydarzy. Wiesz, że nigdy cię nie okłamałem. Nigdy. Kocham cię, mamusiu.

Grace poczuła wzbierający w gardle szloch.

– Wsiadaj do furgonetki – powiedziała obejmując go tak mocno, że aż jęknął.

Gdy mała kawalkada samochodów przejeżdżała ulicami miasteczka, sklepikarze machali do nich krzycząc:

– Powodzenia, John!

Ich życzenia dla syna sprawiły Grace wielką radość.

Gdyby tylko...

Waszyngton

Grudzień 1979

Lampki na małej sztucznej choince rozbłysły w chwili, gdy Jessie naciśnęła przycisk. Zmarszczyła brwi. Z jakiegoś powodu drzewko tu dziś nie pasowało. Może dlatego, że nie było pod nim prezentów. Poprzedniego dnia, przed wyjazdem na świąteczne urlopy, pod wpływem nalegań senatora personel zabrał kupione dla siebie podarunki.

Trzeciego stycznia wszyscy w Waszyngtonie wrócą do pracy. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy zaczęła zastanawiać się, czym wypełni wolny czas. Z niecierpliwością czekała na Sophie, która miała wrócić w przyszłym miesiącu.

- Jessie, płaczesz. Co się stało?

Troska w głosie senatora sprawiła, że łzy popłynęły jej po policzkach.

- Przez chwilę ogarnał mnie melancholijny nastrój. Myślałam, że choinka wygląda jakoś tak... sama nie wiem, nie na miejscu. Wie pan, jest taka nierzeczywista. Pewnego dnia sprawię sobie prawdziwe, pachnące igliwem drzewko. Życzy pan sobie, żebym przed wyjazdem jeszcze coś zrobiła?

Jessie wytarła oczy i wydmuchała nos.

- Moja droga, prowadzisz biuro tak sprawnie, że miałbym duże trudności ze znalezieniem czegoś do zrobienia. Wyjeżdżam dopiero późnym wieczorem i nie mam co robić przez ten czas. Mogłabyś zaparzyć dzbanek świeżej kawy, to usiądziemy sobie i pogadamy. Już dawno tego nie robiliśmy. Masz rację co do choinki. Jest w opłakanym stanie, widać nawet sterzące druty. Co za tandeta! Gdzie ją kupiliśmy?

- Leżała w szafie. Przypuszczam, że kiedyś kupiła ją pani Prentis. Wyrzucę tego drapaką po Nowym Roku.

- Dobra myśl, Jessie.

- Czy na ranczo jest prawdziwa choinka?

- Dobry Boże, nie. Alexis ma jedno z tych okropnych białych drzewek, które dekoruje niebieskimi bombkami i światełkami w tym samym kolorze. Zawsze w Boże Narodzenie dom wygląda niczym kadr z filmu fantastycznego. W czasie świąt Alexis lubi przyjmować gości w takiej scenerii. Inaczej niż u mnie w domu. Zawsze była prawdziwa balsamina, a moi bracia i ja wieszaliśmy na choince popcorn i żurawiny. Matka przechowywała ozdoby zrobione przez nas na pracach ręcznych w szkole i też wieszała je na choince. W wigilię Bożego Narodzenia ojciec zapalał maleńkie świece i wszyscy śpiewaliśmy kolędy. Matka akompaniowała nam na pianinie. Cała rodzina wspaniale spędzała czas. Myślałem, że Tanner będzie spędzał święta w taki sam sposób, ale Alexis nawet słyszeć o tym nie chciała. Nienawidzi igieł sosnowych, a zapach balsaminy wywołuje u niej kichanie.

Westchnął i rozluźnił krawat.

- Chyba powinniśmy dolać nieco dobrego burbona z Kentucky do tej doskonałej kawy. Jak myślisz, Jessie?

- Myślę, senatorze, że może pan robić, co się panu żywnie podoba, pod warunkiem, że nie usiądzie pan potem za kółkiem. Nie lubię dodawać niczego do kawy, ale z przyjemnością doleję burbona do pańskiej. Jak chce pan zabrać wszystkie te prezenty do samolotu? Mogłabym je zapakować do pudełek albo wysłać pocztą kurierską.

Senator szarpnięciem zdjął krawat.

- Nie zabieram ich do Teksasu.

Palcami przeczesał bujne włosy i wpatrując się w Jessie czekał na jej reakcję.

- Och...

Senator rozparł się na miękkiej skórzanej sofie.

- Najbardziej lubię w tobie to, że nie wtykasz nosa w cudze sprawy. Poznałem cię dobrze przez te lata. Wiesz o Irene Marshall, prawda? Agnes też wiedziała o moim romansie, tak samo jak, do diabła, wszyscy w tym mieście. Alexis udaje, że nie wie. Tanner udaje, że tego nie widzi. Mój syn nie lubi ferować wyroków. On właściwie uwielbia Irene. Zrobiła mu sweter na drutach, gdy był w szkole średniej. Ku rozgoryczeniu Alexis Tanner wciąż go nosi, choć jest już dziurawy, a jeden z rękawów postrzępiony. Tanner nie zwraca na to uwagi.

Nie było potrzeby komentować zwierzeń senatora, więc Jessie ze spuszczonej oczami popijała kawę.

- Co będziesz robić w czasie urlopu, Jessie?

- Chyba się pouczę. Może wybiorę się na zakupy. Pooglądam telewizję. Pośpię do późna. Posprzątam mieszkanie.

- Czy to znaczy, że będziesz sama?

- Tak. Święta Bożego Narodzenia zawsze spędzałam z Sophie, tak samo, jak i przez ostatnie dwa lata. Ale teraz ona jest w Kostaryce.

Senator sięgnął po butelkę burbona. Wlał sobie sporo do kawy.

- Nie powinno się samotnie spędzać świąt. Dlaczego tak jest?

- W święta Bożego Narodzenia dzielimy się wszystkim z bliźnimi. To jedyny okres w roku, gdy wszyscy starają się odłożyć na bok problemy i odtworzyć atmosferę świąt z dzieciństwa. Rodzice oczekują, że dzieci przyjadą do

nich. Gdyby pan wiedział, że żona planuje urządzić święta w starym stylu, takim jak matka, gdy był pan dzieckiem, nie obawiałby się pan wyjazdu do domu, lecz nie mógł się go doczekać.

- W innym czasie i w innym miejscu to stwierdzenie byłoby niedalekie od prawdy. Niestety, moja droga, dzisiaj tak nie jest. Jak to się stało, że mimo młodego wieku masz tyle intuicji?

Jessie wzruszyła ramionami.

- Sophie mi pomogła. Mogłam wyjechać do Kostaryki, bo chociaż Sophie ma przylecieć w przyszłym miesiącu, zaproponowała, że przysła mi bilet. Odmówiłam. Przecież wkrótce się zobaczymy.

Pusta filiżanka po kawie napełniła się burbonem.

- Pojedź ze mną do Teksasu.

Jessie otworzyła usta ze zdumienia.

- To niestosowne. Myślę, że pańska żona nie byłaby zachwycona dwutygodniową wizytą niezapowiedzianego gościa.

- To moje ranczo, Jessie. Zostawił mi je dziadek. To znaczy, że dom należy do mnie. Mogę zaprosić kogo chcę i kiedy chcę. Byłbym zaszczycony mogąc cię gościć. Może polubisz Tannera. Nauczyłby cię jeździć konno. Szkoda, że mój syn nie ma ochoty zajmować się polityką. Potrafi za to postawić się matce. Podziwiam go za to. Wybrała dla niego dziewczynę, która mnie się nie podoba. Tanner jest tego samego zdania. Ale cóż... jej rodzina ma znaczącą pozycję towarzyską i jest dość zamożna. Z ich szybów naftowych wciąż tryska ropa, nasze wyschły wiele lat temu. Nic nie szkodzi, i tak zrobiliśmy fortuny, które pozostają nietknięte. Teraz naszym jedynym problemem jest sprawa dostępu do ujęć wody.

Kolejna porcja burbona znalazła się w filiżance.

- No to jak, jedziesz czy nie?

- Senatorze, nie jestem przygotowana. Przecież to ostatnia chwila...

Wszystko przebiegało tak, jak przewidziała Sophie, choć Jessie nie zrobiła nic, by sprowokować taki przebieg wydarzeń. Może to przeznaczenie?

- Czy to znaczy, że nie potrafisz tego załatwić? Ty, Jessie Roland, która potrafi dokonać niemożliwego? Ta sama Jessie Roland, która jednym spojrzeniem przegania upiory? Jessie Roland, która umie sprawić, by to biuro sprawnie działało? Ta Jessie? Jakaż to trudność spakować torbę i wyłączyć

urządzenia elektryczne? Mogę podrzucić cię do domu i poczekać, aż się spakujesz. Potem wręczymy Irene prezenty i pojedziemy na lotnisko. Czasami trzeba zrobić coś spontanicznie. To właśnie będzie spontaniczne. Więc jak, Jessie?

Czy naprawdę chciała to zrobić? A czy miała ochotę w wigilię Bożego Narodzenia zasypiać z płaczem i przez dwa tygodnie samotnie wałęsać się po pustym mieszkaniu? A najważniejsze, czy rzeczywiście chciała być sama?

- Dobrze, senatorze. Przyjmuję pańskie zaproszenie. Będą mi potrzebne odświętne ubrania?

- Sądzę, że tak. Dzinsy też.

- Odebrałam dzisiaj pana garnitur i bieliznę z pralni. Może zechce się pan odświeżyć, jeśli zamierza pan wręczać prezenty. Czysta koszula zrobi dobre wrażenie. Filiżanka mocnej kawy bez żadnych dodatków też może pomóc.

Głowa senatora kiwała się z boku na bok.

- Przez wszystkie lata, odkąd znam Irene nie spędziłem z nią ani jednego świąt. Bóg wie, że nie z braku ochoty. Czy kupiłaś mi prezent, Jessie?

- Leży pod choinką, senatorze.

- Ja też ci coś kupiłem. Jest w torbie z prezentami dla rodziny. Mogę teraz otworzyć mój?

Jessie uśmiechnęła się. Czasami senator zachowywał się jak dziecko. Podala mu małą paczuszkę.

Ręce senatora drżały, gdy oglądał jej zawartość.

- Moja matka podarowała mi taką samą, gdy miałem sześć lat. Alexis wyrzuciła ją po naszym ślubie. Powiedziała, że to śmieć. Nie wiedziałem, że ją wyrzuciła, a potem było już za późno. Gdzie to znalazłaś, Jessie?

- W antykwariacie w Georgetown. Nie jest nowa.

Senator odwrócił szklaną kulę do góry nogami. W środku była choinka. Padał na nią śnieg, gdy odwracało się kulę.

- Dziecko, nie mogłaś podarować mi wspanialszego prezentu. A że jest stara, to tylko dodatkowy powód, by ją pieczołowicie przechowywać. Może przecież być tą samą, którą wyrzuciła Alexis.

Jessie udawała, że nie dostrzega łez w oczach starszego pana.

- Cieszę się, że się panu podoba. Posprzątam, gdy będzie pan zmieniał koszulę.

Sprzątając biuro, Jessie spojrzała na stos przewiązanych wstążkami prezentów leżących na biurku senatora. Zastanawiała się, co jest w przepięknie opakowanych paczkach. Broszki, bransolety, inna biżuteria? Co taki człowiek jak senator mógł kupić kochance? Jak ona wygląda? Czy jest długonogą pięknoscią z kaskadą złotych włosów i doskonałą figurą? Jak prezenty na biurku miały się do tych, które kupił żonie? Co taki ojciec jak senator mógł kupić swojemu synowi, Tannerowi? Nowe buty do jazdy konnej? Konia? Samochód? Zastanawiała się, czy ujrzy zaskoczenie na twarzy Tannera Kingsleya, gdy wraz z jego ojcem przekroczy próg ich domu. Czy będzie pamiętał, że spotkali się na lotnisku?

Angus Kingsley wyszedł z toalety i włożył marynarkę. Choć porządnie uczesał włosy, wiedziała, że gdy tylko wyjdzie na dwór znów zaczną sterczeć na wszystkie strony niczym gałęzie ostrokrzewu. Najwyraźniej także się ogolił. Jessie przytrzymała mu palto.

- Dlaczego nie wyszłaś za męża, Jessie?

Zaskoczona, uśmiechnęła się.

- Chyba mój rycerz na białym koniu jeszcze mnie nie znalazł. Mam sporo do zrobienia i miejsc do zwiedzenia, zanim podejmę tak poważną decyzję. Poza tym jeszcze studiuje. Chciałabym zdobyć dyplom. Myślę, że uda mi się skończyć studia w przyszłym semestrze.

- Odejdiesz wtedy z pracy?

- Nie wiem, senatorze.

- Chyba nie będę się ubiegał o reelekcję na następną kadencję. Na mój gust prowadzenie kampanii wyborczej to brudny interes, a ja jestem coraz starszy.

- Myślę, że praca podczas tej kadencji dała się panu we znaki. Ale pan przynależy do tego miejsca na ziemi. Pod pewnymi względami tu jest pański dom. Wciąż może pan wiele zrobić dla wyborców. Zmieni pan zdanie po powrocie z urlopu.

- Nie, nie zmienię. Jestem starym koniem bojowym, którego czas przeminął. Mądry człowiek wie, kiedy się wycofać i zająć uprawą róż.

Jessie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Senator wydawał się zagubiony smutny i bardzo melancholijny. Czuł się tak, jak ona chwilę przedtem. Według przyjętych norm mężczyzna w wieku sześćdziesięciu sześciu lat uważany był za

młodego. Strom Thurmond był stary. A nawet staro wyglądał. Claude Pepper też był stary. Miał wygląd człowieka przygniecionego wiekiem.

- Mam tu gdzieś torby - wymamrotała. - Zawołać Clarence'a, żeby przyszedł po bagaże, czy sami damy radę?

- Poradzimy sobie. Prezenty ładnie wyglądają, prawda?

- Są prześliczne, senatorze. Czy pani Irene będzie myślała, że sam pan je pakował?

Senator wydał z siebie dźwięk przypominający śmiech.

- Jest na to zbyt bystra. Przechowuje jednak opakowania. Ma ich całe pudła. Płacę za nie dodatkowo, by ujrzeć uśmiech na jej twarzy. Myślę, że lubi je bardziej niż same prezenty. Jessie, chcę, żebyś wiedziała, że w tym roku sam zrobiłem świąteczne zakupy. Miałaś rację, moja droga, nie prezent się liczy, ale to, że się o kimś pomyślało. Zobaczymy, czy to stwierdzenie okaże się prawdziwe, gdy moja żona otworzy prezent, który dla niej kupiłem.

- Chyba zabraliśmy wszystko. Pani Irene spędzi wspaniałe Boże Narodzenie.

- Nie wszystkie są dla Irene. Dwa prezenty są dla jej syna Andrew, a dwa dla Connie. To bliźniaki. Ostatni rok uczęszczają do college'u.

- Jestem gotowa, senatorze. Pojedziemy najpierw do mnie?

- Chciałbym, żebyś poznała Irene i bliźniaki. Mieszkają przy Dupont Circle, a więc po drodze do twojego mieszkania. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Irene sama przyrządza ajerkoniak. Wiem, że chciałaby napić się z nami szklaneczkę. Jeśli będziesz czuła się nieswojo, zrozumieć.

Szuka aprobaty. Boże, dlaczego u mnie, pomyślała Jessie. Wstrzymał oddech, czekając na jej odpowiedź. Widać było, że naprawdę chce, by z nim poszła. Powiedziała z uśmiechem:

- Z przyjemnością, senatorze. Jest pan pewien, że pani Irene nie będzie miała nic przeciwko temu?

- Irene kocha młodych ludzi. Absolutnie nie będzie miała nic przeciwko temu. Zawołała Clarence'a?

- Czeka na nas. Chyba będzie padał śnieg. Białe Boże Narodzenie byłoby takie miłe.

- Już dawno śnieg nie padał w święta. Jeszcze na dobre nie opuściliśmy tego miejsca, a już za nim tęsknię.

- Przed chwilą powiedział pan, że nie będzie się ubiegał o powtórna nominację.

Senator roześmiał się smutno. Słyszając ten dźwięk, Jessie zdrząła.

Wczesnym popołudniem był mały ruch, więc kierowca szybko dojechał do małego domku w stylu Tudorów, stojącego na malowniczo wyglądającym trawniku. Jessie zauważyła świąteczne lampki zawieszane na aromatycznych krzewach zimozielonych. Na drzwiach frontowych wisiał duży, świeży, kolczasty wieniec przewiązany czerwoną kokardą.

Senator, zanim nacisnął dzwonek przy drzwiach, zwrócił się do Jessie ze słowami:

- Jessie, może to, co powiem, trąci myszką i wyda ci się banalne, ale ta wspaniała kobieta dodaje mi skrzydeł. Nie zamierzam się usprawiedliwiać, ale nie lubię ludzi, którzy bez wahania osądzają innych. Nie zdają sobie sprawy, że niekoniecznie wszystko musi być albo czarne, albo białe. Nie powiem już nic więcej.

Irene nagle otworzyła drzwi.

- Angus! Jak wspaniale, że przyszedłeś! A ty na pewno jesteś Jessie. Moja droga, Angus tak wiele o tobie mówi, że czuję, jakbym cię znała od dawna. Jest taka ładna, jak mówiłeś. Co ja plotę? Wejdźcie, wejdźcie. Na dworze jest zimno.

Jessie ze zdumieniem wpatrywała się w kobietę mając nadzieję, że to zaskoczenie nie odzwierciedla się na jej twarzy. To nie żadna olśniewająca długonoga piękność. Była prawdopodobnie w wieku senatora, może o rok lub dwa młodsza, pulchna. Miała zaróżowione policzki, sprężyste siwe loki, a na nosie okulary w drucianych oprawkach.

Często się śmieje, pomyślała Jessie.

- Nie byłam pewna, czy uda ci się wpaść, Angus. Przykro mi, ale bliźnięta wyszły. Wybrały się na ślizgawkę z przyjaciółmi. Będzie im przykro, że się z tobą minęły. Napijemy się ajerkoniaku w kuchni czy w salonie? W salonie stoi przystrojona choinka i pali się w kominku.

- A więc pójdziemy do salonu. Jessie i ja rozmawialiśmy wcześniej o ludziach, którzy kupują prawdziwe choinki i czują ich zapach roznoszący się po całym domu. Chcę, żeby Jessie zobaczyła twoje drzewko ozdobione na święta.

- Jest... niebiańska, pani Marshall.

- Nie zwracaj się tak do mnie. Dla przyjaciół jestem Irene.

- Zrobienie tego wszystkiego musiało ci zabrać dużo czasu - powiedziała Jessie, rozglądając się dookoła.

- Wcześniej zaczęłam. Jestem kolekcjonerką i o tej porze roku wyciągam wszystkie moje skarby. Wiele z tych rzeczy otrzymałam od matki i babki. Pewnego dnia moja córka będzie kontynuować te tradycje. Po prostu ubóstwiam święta.

Była rozpromieniona, a senator uśmiechał się z zadowoleniem.

- Uwielbiam buzujący w kominku ogień - powiedziała Jessie siadając obok paleniska. - Kominek staje się wtedy centralnym punktem pokoju. Lubię przytulne pokoje.

- Jeden z moich sąsiadów przyniósł mi mnóstwo wiśniowego i trochę brzoźowego drewna. Pali się powoli i równomiernie. Nie zadymia pokoju.

Głos Irene zabrzmiał jakoś żałośnie, gdy powiedziała:

- Ostatnio wciąż jest mi zimno. Bliźnięta zwracają mi uwagę, bym przykręcała termostat. Oczywiście mają na sobie po dwa swetry, a ja jestem ubrana tylko w bluzkę z krótkimi rękawami.

Jessie zerknęła na siedzącego po drugiej stronie pokoju senatora. Onie miała na widok przejmującego bólu malującego się na jego twarzy. Działo się tu coś, czego nie rozumiała.

Senator odezwał się szorstko, ale dziwnie niepewnie:

- Irene, czy masz trochę tych słynnych ciasteczek? Chciałbym, by Jessie ich spróbowała.

- Oczywiście, Angus. Upiekłam je dziś rano, kiedy zadzwoniłeś, że wpadniesz.

Chwila napięcia minęła. Irene podreptała do kuchni. Wróciła po chwili, niosąc elegancką srebrną tacę wypełnioną apetycznymi ciasteczkami.

Godzinna wizyta była przyjemna, ale upłynęła w atmosferze niedopowiedzeń, których Jessie nie potrafiła rozszyfrować. Kiedy nadeszła pora pożegnania, zaproponowała, by kierowca pojechał z nią do mieszkania i zabrał senatora w drodze powrotnej. Senator wyraził na to zgodę.

- Mógłbym cię na chwilę przeprosić, Irene? - powiedział.

- Oczywiście. Muszę sprawdzić, jak tam moja pieczeń.

Senator otworzył usta ze zdziwienia.

- Przygotowujesz pieczeń?

- To właśnie powiedziałam, Angus. Bliźnięta uwielbiają ją tak samo jak ty. Placki ziemniaczane zresztą też.

Angus jęknął.

- Jessie, moja droga, muszę ci coś powiedzieć. Przywiozłem cię tutaj pod fałszywym pretekstem. Nie jadę do Teksasu.

- Nie rozumiem, senatorze. Zaprosił mnie pan, bym z nim pojechała. Czy mam wyjść? A może powinnam zawiadomić pana rodzinę?

- Jessie, nie widziałem cię nigdy tak zdezorientowanej. Pozwól, że wszystko ci wyjaśnię. Nigdy przedtem nie spędziłem świąt z Irene i jej dziećmi. To będzie... to będzie... ostatnie Boże Narodzenie Irene. Jest ciężko chora. Myślałem, że będę w stanie ją teraz opuścić, ale nie potrafię. Chcę, żebyś pojechała do Teksasu. Zakomunikujesz mojej rodzinie dokładnie to, co ci powiem. To znaczy, że zatrzymały mnie niespodziewane ważne sprawy. Wątpię, czy w ogóle dotrę w święta do domu. Poza tym nie wiesz nic. Alexis orientuje się, że nie będziesz z nią rozmawiać o tym, co dzieje się w biurze. W razie potrzeby zadzwoni do mnie. Po Nowym Roku Irene zamierza powiadomić bliźniaki o swojej chorobie. Chcę, żeby to Boże Narodzenie było wyjątkowe. Gdybym mógł cofnąć czas, w wielu sprawach postępowałbym inaczej. Nie wiem, co pocznę, gdy już jej nie będzie. Naprawdę nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że nakłaniam cię do kłamstwa, z drugiej jednak strony można powiedzieć, że wypełniasz tylko moje polecenia. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Cel uświęca środki. Tanner zajmie się tobą w czasie wizyty na ranczu. Dobrze ci zrobią kontakty z młodymi ludźmi. Przecież bez przerwy tylko pracujesz i uczysz się. Wiem, że potrafisz sobie z tym poradzić. Bliźnięta też będą mnie potrzebować. Zrobisz to, Jessie?

- Oczywiście, że tak.

- Dobra dziewczyna. Prezenty dla ciebie, Tannera i jego matki są w samochodzie. Połóż je pod choinką gdy dojedziesz na ranczo. Zadzwonię do ciebie jutro.

Wręczył jej małą wizytówkę.

- To numer Irene. Nie pozwól, by dostał się w ręce Alexis. W moim gabinecie jest prywatna linia bez numerów wewnętrznych. Skorzystaj z tego telefonu, gdybyś chciała do mnie zadzwonić. Myślę, że polubisz Tannera, Jessie. Wiem, że ty mu się spodobaś. Toleruj Alexis dla naszego wspólnego dobra.

- Chciałabym pożegnać się z Irene, senatorze.
- Oczywiście, że tak. Irene! - wykrzyknął senator.
- Dobry Boże, Angus, byłam w kuchni. Nie musisz tak krzyczeć, nie jesteś przecież w salach senatu.

- Jessie chce się pożegnać. Ja się nie żegnam. Zostanę do trzeciego stycznia, do czasu, gdy Kongres wznowi obrady.

Oczy Irene napelniły się łzami. Przytuliła Jessie i szepnęła jej do ucha:

- Tylko zgaduję, ale Angus odgrywa chyba rolę swatki. Tanner bardzo ci się spodoba. Jesteś dokładnie taką osobą, jakiej on potrzebuje. Życzę ci bezpiecznej podróży i dziękuję, bo umożliwiłaś nam spędzenie wyjątkowych świąt. Wesołych Świąt, Jessie Roland.

- Wesołych Świąt, pani...Irene. Wesołych Świąt, senatorze.

- Dziękuję, że tak mi wszystko ułatwiłaś, Jessie. Szczęśliwej podróży. Clarence ma twój bilet.

Po wyjściu z domu na rześkie grudniowe powietrze Jessie wzięła głęboki oddech, by rozjaśniło jej się w głowie. W samolocie będzie mogła przemyśleć to, co zdarzyło się podczas minionej pół godziny. Ciężka torba objiała jej się o nogi, gdy wsiadała do samochodu. Jeśli zdąży, to po zakończeniu pakowania opisze wydarzenia tego dnia w dzienniku i schowa go pod materacem. A może to była jedna z tych spraw, których lepiej nie opisywać? Agnes Prentis powiedziała jej jednak kiedyś:

- Zapisuj wszystko bez względu na to, co to jest albo jak bardzo osobiste może ci się wydawać. I nigdy, przenigdy nie bagatelizuj roli, jaką odgrywasz w tym, co dzieje się w biurze. Kiedy zaczną lecieć wióry... a zaczną... musisz być tak ustawiona, by móc niektóre z nich przechwycić.

Jessie nie miała pojęcia, co to miało znaczyć.

Zwróciła uwagę na błyszczącą torbę leżącą na podłodze samochodu. Były w niej trzy prezenty. Dwa z nich zapakowano niezbyt starannie w marszczoną zieloną bibułkę i przewiązano lśniącą czerwoną wstążką. Trzeci był fachowo owinięty, w połyskującą złotą folię, ozdobioną czerwoną kokardą.

Wiedziała nie pytając, że senator sam zapakował dwa z tych prezentów. Domyśliła się, że w ten sposób pragnął coś przekazać ich odbiorcom. Uśmiechając się zamknęła oczy. Chciała oczami wyobraźni raz jeszcze zobaczyć przepięknie opakowane upominki, które pomogła zanieść do małego,

wygodnego domku Irene. Trzymając kciuki tak, jak robiła to w dzieciństwie, życzyła senatorowi i Irene, by wspólnie spędzone Boże Narodzenie spełniło wszystkie ich oczekiwania.

Jessie rozejrzała się po zatłoczonym terminalu lotniska, wypatrując Tannera Kingsleya. Zgodnie z instrukcjami senatora, czekała z torbami w rękę koło karuzeli bagażowej. Upiętyło piętnaście minut. Falujący tłum nieco się przeredził, pozwalając przyjrzeć się bliżej zaaferowanym podróżnym. Senator powiedział jej, że Tanner będzie na nią oczekiwał w strefie bagażowej. Ta podróż była pomyłką, pomyślała Jessie. Może powinna znaleźć posłańca, który dostarczyłby prezenty na ranczo i wrócić do Waszyngtonu następnym samolotem. Nie znosiła ludzi, którzy nie liczą się z innymi, a w szczególności postępujących tak bogaczy. Kipiała ze złości, gdy dwadzieścia minut później Tannera wciąż jeszcze nie było.

- Dostyc tego dobrego! - wymamrotała pod nosem.

Trudno usprawiedliwiać kogoś, kto spóźnia się trzydzieści pięć minut. Nikt nie wywoływał nazwiska senatora przez megafon. Niewybaczalne. Absolutnie niewybaczalne.

Wlokąc torby, torebkę i połyskującą reklamówkę, Jessie przedarła się do telefonu, żeby zadzwonić do Irene.

- Tu Jessie. Przepraszam, że cię niepokoję, ale muszę rozmawiać z senatorem. Nie, niestety nie jest w porządku. Senator może ci wszystko wyjaśnić, gdy skończymy rozmowę. Senatorze, tu Jessie. Jestem na lotnisku. Pana syn w ogóle się nie pojawił. Czekam już ponad czterdzieści minut. Jestem zdenerwowana i jak tylko znajdę posłańca, który dostarczy prezenty na ranczo, wsiadam do samolotu lecącego z powrotem do Waszyngtonu. Żałuję, że dałam się panu na to namówić. Owszem, jestem wściekła. Cieszę się, że nigdy nie widział mnie pan rozgniewanej. Nie jestem miła, gdy się zdenerwuje. Nie znoszę ludzi bezmyślnych, nie liczących się z innymi. Mówię o pańskim synu, nie o panu, senatorze. Oczywiście, że słuchałam wezwań. Nie wywoływali ani pana nazwiska, ani mojego. Nie, senatorze, nie wynajmę samochodu ani nie wezmę taksówki. Już powiedziałam, wracam następnym samolotem do Waszyngotnu. Jestem głodna i zmęczona. Moja przyjaciółka Sophie nazwałaby

pańskiego syna gówniarzem. Zgadzam się z tą oceną. Życzę panu przyjemnych świąt, senatorze. Do widzenia.

Słuchawka, którą Jessie mocno trzasnęła, odbiła się od plastikowej obudowy telefonu i zawisła kołysząc się na kręconym metalowym sznurze.

Peniąc się ze złości, Jessie trzasnęła nią jeszcze raz. Tym razem słuchawka pozostała na swoim miejscu. Obróciła się i spojrzała w parę śmiejących się oczu koloru letniego nieba.

- Szczerze mówiąc, nikt dotąd nie nazwał mnie gówniarzem.

- Naprawdę?

Tylko to przyszło Jessie do głowy. Cała zeszywniała, a po chwili wypaliła:

- Gówniarz to ktoś, kto każe komuś czekać pięćdziesiąt minut bez słowa przeprosin. Proszę, senator polecił mi dostarczyć te prezenty. Wesołych Świąt.

- Hej! Poczekaj jeszcze jedną cholerną minutę.

- Nie każ mi czekać nawet jednej cholernej minuty dłużej. Zejdź mi z drogi.

Wesołość, jaka pobrzmiwała w głosie Tannera, jeszcze bardziej ją rozgniewała.

- Skąd wiedziałaś, że jestem tym gówniarzem, o którego ci chodziło?

- Codziennie oglądam twoją głupią gębę na fotografii, stąd wiedziałam. Muszę ją nawet odkurzać. Wiesz co, teraz też naszła mnie ochota, by poodkurzać.

- Posłuchaj, do diabła, nawet nie wiem, kim jesteś. Przyjechałem, by odebrać ojca. Kiedy go nie znalazłem, poszedłem do baru. Byłem punktualnie. Nie wiedziałem, że mam odebrać ciebie. Wiem, że tatuś też poszedłby do baru. Po prostu pomyślałem, że spotkał kogoś i stracił poczucie czasu. Odbywa spotkania w toalecie, na chodnikach, w deszczu, w śniegu, a czasami jeżdżąc konno. Jesteś jego sekretarką, jak sądzę, więc powinnaś poważnie potraktować swoją pracę i zawiadomić o przyjeździe. Czy to zrobiłaś? Nie, nie zrobiłaś. To ja jestem ofiarą. Jak długo jeszcze zamierzasz się wściekać? Powinniśmy pójść do baru i to przedyskutować. Wtedy, jeśli nie zechcesz zostać, możesz wrócić do domu. Dalej myślisz, że jestem gówniarzem?

- Wyglądasz jak gówniarz - odcięła się Jessie.

- Tatuś powiedział, że jesteś jedyna w swoim rodzaju. Przewidział, że mi się spodobaś. Nienawidzę, gdy ma rację, a tym razem miał. Podobasz mi się. To co, napijesz się ze mną czy nie?

- O której jest następny lot?

- Chyba mniej więcej za godzinę.

- Przypuszczenia mnie nie zadowolają. Chcę wiedzieć dokładnie, kiedy odlatuje samolot, by zmienić rezerwację.

- To chyba znaczy, że chcesz, bym to sprawdził?

- Skoro to twoja wina, powiedziałaabym, że te przypuszczenia są słuszne

- Powiem ci coś. Nie spodobaś się mojej matce. Ani trochę.

- Nic mnie to nie obchodzi. - powiedziała Jessie z goryczą w głosie. - Cóż za brak manier.

- Słyszałem, co powiedziałaś.

- Chciałam, żebyś to usłyszał. Nie chodziło mi o to, by usłyszeć swój głos... zawsze mówię to, co myślę. Biegnij sprawdzić godzinę odlotu i nie pomył się.

- Biegnij! Każesz mi biegać? Od czasu, gdy skończyłem pierwszą klasę nikt się tak do mnie nie odezwał. Gdzie, do diabła, ojciec cię wynalazł?

- W ogrodzie różanym Białego Domu - odgryzła się Jessie. - Jesteś nie do wytrzymania.

- To też usłyszałem. Róże mają kolce, jest więc w tym jakiś sens. Kłujesz jak diabli.

- Już to słyszałam.

Tanner odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. Ludzie gapili się na niego z wyrazem rozbawienia na znużonych twarzach.

- Moja matka z całą pewnością cię nie polubi.

- Panie Kingsley, nie obchodzi mnie, co pana matka o mnie pomyśli. Skoro nie wybieram się na ranczo, nie sądzę, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. O której godzinie odlatuje następny samolot?

- Za dwie godziny i dziesięć minut. To znaczy, że mamy czas napić się czegoś. Cykuty, panno Jessie?

- Dwa razy proszę - odcięła się Jessie.

W barze światło było przyćmione. Jessie zamówiła dżin z tonikiem, a Tanner butelkę piwa Coors.

- Powinniśmy wznieść toast - powiedział Tanner, trzymając butelkę w wyciągniętej ręce. - Przyjmij moje szczere przeprosiny i zacznijmy od początku.

- Dobrze.

Jessie stuknęła szklanką o butelkę Tannera.

- Nazywam się Tanner Kingsley, a ty?

- Jessie Roland.

- Najwyraźniej odczuwasz potrzebę obwinienia kogoś za to, co zaszło i nie mogę mieć ci tego za złe. To wina taty. Powinien ci powiedzieć, że będę czekał w barze. Oczywiście miał na głowie inne sprawy. A jak się ma Irene?

- Kto?

Tanner przełknął łyk piwa.

- Dobrze, dobrze. Czy tato przyjedzie na święta?

- Twój ojciec polecił mi przekazać, że zatrzymały go ważne sprawy. Przesyła prezenty dla ciebie i twojej matki.

- To wszystko? Zatrzymały go ważne sprawy? Może zechciałabyś rozwinąć temat?

- Nie.

- A przyjedzie w czasie świąt?

- Powiedział, że to wątpliwe.

- Matce to się nie spodoba. Zaplanowała co najmniej dwa tuziny przyjęć. Nie, wcale jej się to nie spodoba. Mówiłem serio, gdy stwierdziłem, że ty też się jej nie spodobasz. Nie chcę być przykry ani nieuprzejmy. Załapiesz, o co chodzi, w pięć sekund. Moja matka należy do specyficznej kategorii - wystarczy, że na ciebie spojrzy, a już czujesz się podle.

- Nie będzie miała okazji, skoro mnie nie zobaczy, więc co za różnica?

- Myślałem, że już to uzgodniliśmy. Mówię teraz wyłącznie we własnym imieniu: chciałbym mieć okazję pokazać ci ranczo i zabrać do Abilene. Przyjęcia matki są nudne. Zresztą bez przerwy swata mnie z jedną z córek swojej przyjaciółki. Stara się też wyswatać moją siostrę, Resę. Resa ci się spodoba. Uczy w szkole. To jedyny zawód, jaki według mojej matki jest odpowiedni dla przyzwoitej młodej damy. Resa nieczęsto przyjeżdża do domu, woli mieszkać w mieście. Święta Bożego Narodzenia to w dużej mierze przedstawienie na pokaz, jeśli wiesz, o co mi chodzi. No i jest oczywiście ojciec.

Jeśli teraz wrócisz, zepsujesz mi to, co sobie zorganizowałam, cokolwiek to jest. Myślę, że liczył, iż załagodzisz sprawę tu na miejscu.

- Och.

- Właśnie, och. Co ty na to? Wezmę cię pod swoje skrzydła na dwadzieścia cztery godziny na dobę, by zła czarownica z Teksasu nie zrobiła ci krzywdy.

- Brzmi to tak, jakbyś nie lubił matki.

- Masz rację. Nie lubię. Kocham ją, bo jest moją matką, ale to nie znaczy, że muszę lubić. Resa czuje to samo. Tatusz nic nie czuje. Jestem pewien, że dość wcześnie się w tym zorientowałaś. Jako dzieci Resa i ja wiedzieliśmy, że nasi rodzice są inni niż rodzice naszych rówieśników. Jak mogłoby być inaczej, skoro matka mieszkała w Teksasie, a ojciec w Waszyngtonie? Myślę, że wszystko to już wiesz.

- Nie wiem nic na temat twojej rodziny. Twój ojciec nie rozmawia ze mną o tobie ani o żonie.

- Kiedyś ufałam Agnes. Myślałam, że z tobą jest tak samo. Prowadziła dzienniki.

Serce Jessie podskoczyło gwałtownie.

- Wiele kobiet prowadzi dzienniki. Gdy byłam młodsza, też to robiłam.

- Więc jak, zostajesz czy wyjeżdżasz?

- To chyba w ogóle nie był najmądrzejszy pomysł, by tu przyjeżdżać. Trudno by mi przyszło odmówić twojemu ojcu. Martwił się, że będę sama w czasie świąt i dlatego mnie zaprosił. Nie będę się dobrze czuła, bo oczywiście twoja matka nie wie o tym, że przyjechałam.

- Niespodzianki to coś wspomniałam! Proszę, zmień zdanie i pojedź ze mną. Tak naprawdę to nie chcesz być sama w święta.

- Nie, nie chcę. Z drugiej jednak strony nie życzę sobie, by twoja matka mnie obrażała. Apodyktyczne matki... mam ich dość na resztę życia.

- Nawet nie zapytam, co to znaczy. Jeśli jesteś gotowa, ruszajmy w drogę na ranczo. Jedź się ponad godzinę.

Jessie skończyła drink.

- Wiem, że to kiepski pomysł. Robię to tylko dlatego, by nie sprawić zawodu twojemu ojcu.

Tanner sięgnął po jej torby.

- Nie powiedziałaś mi, jak się czuje Irene.

- Jaka Irene? Skąd mam wiedzieć, jak się czuje... kimkolwiek jest.

- To przyjaciółka mojego starego. Tym właśnie jest. Ja wiem, że ty wiesz i wiem, że ty wiesz, że ja wiem. To bardzo miła pani. Jest taką matką, jaką powinno mieć każde dziecko. Naprawdę ją lubię. Kiedy ostatnim razem byłem w Waszyngtonie, ojciec powiedział mi, że jest bardzo chora. Zapytałem, bo naprawdę interesuje mnie, jak ona się czuje.

- Jeśli wiesz, kim jest, to dlaczego nie zadzwonisz do niej i nie zapytasz, jak się czuje? Ludzie, którzy troszczą się o innych, zwykle tak robią. To nie takie trudne podnieść słuchawkę i zadzwonić. Byłoby miło, gdybyś przesłał jej świąteczną roślinkę. Poinsecje są piękne o tej porze roku. Mógłbyś jej posłać nawet więcej niż jedną.

- Potrafisz trzymać język za zębami, prawda?

- To komplement czy krytyka?

- Właściwie jedno i drugie. Jeśli coś się stanie Irene, ojciec wyjedzie z Waszyngtonu.

- Skąd wiesz? - spytała Jessie.

- Bo sam mi powiedział. Zawsze myślałem, że zostanie, dopóki nie przegra w wyborach albo nie wyniosą go z biura nogami do przodu. Nie przepada za życiem na ranchu. Przez ostatnie dziesięć lat za każdym razem przyjeżdżał tu tylko na kilka dni. Nie sądzę, by mógł mieszkać na wsi przez cały rok.

- Dlaczego twoja matka nie przeniesie się do Waszyngtonu? Jeśli to nie moja sprawa, po prostu powiedz.

- Nie będzie grała drugich skrzypiec przy małej grubej paniusi z siwymi włosami. Tak widzi Irene. Całkowicie ignoruje fakt, że Irene była sędzią federalnym, dopóki nie rozchorowała się cztery lata temu. Przeszła na emeryturę trzy miesiące po otrzymaniu diagnozy. Znam Irene od czasu, gdy chodziłem do starszych klas szkoły średniej i odwiedzałem tatę podczas wiosennych ferii. Robi najlepsze ciasteczka pod słońcem.

- Myślę, że nie powinieneś mi tego wszystkiego opowiadać. Twój ojciec może nie życzyć sobie, bym wiedziała o waszych sprawach rodzinnych.

- Więc co sądzisz o mojej furgonetce?

- Okropnie trzęsie - powiedziała Jessie, gdy podskakiwali jadąc po wyboistej drodze. - Nie macie tu autostrad?

- Jedziemy trasą bardziej malowniczą. Skracamy drogę o jedenaście kilometrów. Ta furgonetka to pierwszy samochód ojca. Mogę staruszkę rozbijać do stu piętnastu kilometrów na godzinę, przelecieć ze świstem przez pastwiska i nic nie poczuć. Pewnie się zastanawiasz, czy zabieram nią dziewczyny na randki?

- Wcale mnie to nie interesuje.

Był dokładnie taki jak ojciec - potrafił czytać w jej myślach.

- Zabieram dziewczynę tą furgonetką tylko raz. Jeśli grymasi, nie zapraszam jej po raz drugi. To, czym jeżdżę, nie powinno mieć znaczenia. Co o tym sądzisz, Jessie Roland?

- Gdybym była odświętnie ubrana, a ty przyjechałbyś tym gratem śmierdzącym nawozem, powiedziałabym ci, byś pojechał nim puszczać latawce. Gdybym jednak była ubrana jak do zbioru dyń albo na spęd bydła, mogłabym rozważyć przejażdżkę. Ale mogłabym też nie pojechać. Jestem bardzo głodna.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Dlaczego nie zapytałaś?

- Zawsze jesteś taka uszczypliwa? Czy ty kiedykolwiek się uśmiechasz? A może jesteś zaręczona albo się z kimś spotykasz? Lubisz powoli, godzinami uprawiać miłość czy wolisz dziki, zwierzęcy seks?

Jessie aż się skuliła. Była dziewczcą i nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć. Do diabła, Sophie od razu odgryzłaby się tak, że facet nigdy by tego nie zapomniał.

- I co? Zapomniałaś języka w gębie?

- Nie. Zastanawiałam, jak najlepiej to ująć, byś mnie dobrze zrozumiał. Lubię mężczyznę, który powoli zabiera się do rzeczy, potrafi pieścić kobietę i ściśle trzyma się instrukcji. Wszystko poniżej tych standardów jest całkowicie niemożliwe do zaakceptowania. Seks moim zdaniem to wydarzenie.

Sophie, byłabyś ze mnie dumna, pomyślała Jessie. Fakt, że jej ciało płonęło, to całkiem inna sprawa.

- Wydarzenie? - głos Tannera zabrzmiał nerwowo.

Jessie skinęła głową.

- Wydarzenie. Musisz spełnić wymagania.

Miała nadzieję, że przystojniak siedzący obok niej nie zorientuje się, iż ona ma ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Spełnić wymagania?
 - Hmm. Tak, spełnić wymagania.
 - Co to właściwie dokładnie znaczy?
- Tanner był wyraźnie podenerwowany.
- A jak sądzisz, co?
 - To może znaczyć wiele rzeczy.
 - Podaj jakiś przykład.
 - Głupia rozmowa – powiedział Tanner.
 - Tak, biorąc pod uwagę, że ledwie mnie poznałeś.
 - Staralem się zachować po przyjacielsku, by wprawić cię w swobodny nastrój.
- Dlaczego mnie po prostu nie spytasz, jakiego koloru bieliznę mam na sobie?
- A jakiego?
- Nigdy przedtem nie słyszała głosu o tak matowym, seksownym brzmieniu.
- Żółtego.
 - To ładny kolor. Lubię żółty.
 - A jaki kolor ma twoja bielizna? Nosisz workowate spodenki czy obcisłe bawełniane slipy?
- Dlaczego chcesz wiedzieć?
 - Chcę to zachować w pamięci. Więc?
 - Białe obcisłe, tylko że one nie są tak naprawdę obcisłe.
 - No, no.
- Jessie cmoknęła językiem.
- Właśnie przeczytałam w jednym z czołowych czasopism zajmujących się zdrowiem, że bielizna tego rodzaju redukuje ilość spermy u mężczyzny prawie do zera.
 - Lepiej, żebyś nie mówiła takich rzeczy przy mojej matce.
 - Sam zacząłeś.
 - Więc sam skończę. Widziałaś pomnik Waszyngtona?
 - Nie. Myślę, że nie polubię twojej matki.
 - Przynajmniej będziecie kwita. Czy jest jeszcze coś, co według ciebie powinienem wiedzieć?
 - Na przykład co?

- Wiesz, rozmiar, waga, rozmiar... już to powiedziałem, prawda?
- Tak. Osiemdziesiąt sześć, pięćdziesiąt osiem, osiemdziesiąt sześć. Waga czterdzieści dziewięć kilogramów. A jakie są twoje wymiary?

- Zwiedziłaś pomnik Lincolna?

- Tak.

- Ja też. Ładny dziś wieczór, prawda?

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

- Nie unikam. Nie zamierzam na nie odpowiadać.

Jessie uśmiechnęła się szeroko w ciemności.

- Dlaczego?

- Właśnie się poznaliśmy. Dlatego.

- Dobrze. Cały czas kłamałam.

- Co? - syknął.

Jessie wybuchnęła śmiechem. Śmiała się, śmiała i śmiała. Nigdy dotąd nie bawiła się tak dobrze.

Może, mimo wszystko, ta podróż nie była pomyłką.

8

- Czas wstawać, Jessie Roland.

Tanner lekko szturchnął ją w ramię.

- Jesteśmy na miejscu.

- Która godzina?

Jessie z trudem przywołała uśmiech na twarz, gdy Tanner otwierał jej drzwi samochodu. Czuła się niewiarygodnie zmęczona, a na myśl o spotkaniu z Alexis Kingsley jej serce biło szybciej. Rozejrzała się wokół, ale wszystko pogrążone było w ciemności, rozświetlonej jedynie przez przyćmione żółte światło lampy zawieszanej nad, jak się zdawało, kuchennymi drzwiami.

- Myślę, że matka na nas czeka. Zwykle tego nie robi. Kładzie się spać o określonej porze. Jeśli chcesz wiedzieć, to jest już dwadzieścia po pierwszej. Mówiłaś, że jesteś głodna? Chyba uda mi się przygotować ci kanapkę.

Słyszając te słowa, wypowiedziane matowym, wypranym z emocji głosem, Jessie uniosła brwi. Z pewnością nie była to szczęśliwa chwila.

- Mniejsza o kanapkę, wolę się położyć. To był bardzo długi dzień. Przepraszam, że zasnąłam.

- Ja też żałuję. Nasz rozmowa właśnie zaczynała się rozkręcać, kiedy przysnęłaś. Nic nie szkodzi, mamy całe dziesięć dni na jej dokończenie. Mam na myśli rozmowę.

Ton głosu Tannera zmienił się. Stał się lekki, prawie żartobliwy, z podtekstem, jakiego przedtem nie słyszała.

- Gotowa zmierzyć się ze smoczycą?

- Chyba tak.

Tanner roześmiał się. Jessie poczuła, jak jeża się jej włoski na karku, miała też lekkie mdłości.

Znaleźli się w słabo oświetlonej, ale swojsko wyglądającej kuchni, w której roznosiły się smakowite zapachy.

- Z całego domu najbardziej lubię kuchnię - szepnął Tanner.

- Ja też. To znaczy w ogóle lubię kuchnię. Dlaczego szepczemy? - spytała Jessie.

- Bo z kuchnią sąsiaduje pokój Mattie, naszej kucharki. Wpadłem na pomysł, by przemyścić cię kuchennymi schodami. W ten sposób unikniesz dziś spotkania z matką.

- Lepiej mieć to z głowy. Jeśli twoja matka od razu mnie zniechędzi, tak jak przypuszczasz, będziesz mógł natychmiast zabrać mnie z powrotem na lotnisko.

- Spodziewałam się, że wejdiesz frontowymi drzwiami, Tanner - dobiegły ich słowa z ciemnego korytarza obok kuchni. - No, proszę, szepczcie dalej. Na Boga, Angus, zrobisz wszystko, by mnie zdenerwować, prawda?

- Mamo, ojca tu nie ma. Przesłał swoją sekretarkę.

Doszli do ciemnego korytarza. Jessie raczej usłyszała niż zobaczyła, że Tanner po omacku szuka włącznika światła. Pragnęła, by podłoga rozstąpiła się i pochłonięła ją.

Alexis Kingsley miała na sobie jasnoniebieski peniuar z satyny i dopasowane do niego kolorystycznie pantofle bez pięt wykończone piórami. Nawet o tak późnej porze jej makijaż i wyszukana fryzura były nieskazitelne. Ogromne

diamantowe kolczyki błyszcząły w uszach. Na twarzy nie było ani śladu powitalnego uśmiechu.

Jessie zrobiło się bardzo niedobrze. Bez powodzenia usiłowała się uśmiechnąć.

- Pani Kingsley, miło mi panią poznać. Przepraszam, że przyjechałam tak późno. Senator polecił mi przekazać, że zatrzymały go ważne sprawy.

Gdy Alexis Kingsley nie uczyniła żadnego ruchu, by ująć wyciągniętą w powitalnym geście rękę Jessie, Tanner ujął jej dłoń i uścisnął. Lodowaty chłód w głosie, jakim zwrócił się do matki, wywołał u Jessie dreszcz.

- Przypuszczam, że masz złą noc, mamó, więc zostawimy cię z twoimi okropnymi manierami i pójdziemy do łóżek.

Alexis zignorowała ton syna.

- Kiedy przyjedzie senator, panienko... jak powiedziałaś, że się nazywasz?

Jessie zeszywniała, starając się zapanować na wyrazem twarzy.

- Jessie Roland - odpowiedziała lodowato. - Senator powiedział, że to wątpliwe, by przyjechał na święta.

- A dlaczego? - warknęła Alexis.

- Nie wiem, pani Kingsley.

- Czy nie jesteś jego sekretarką?

Zabrzmiało to tak, jakby zapytała, czy nie jest niańką męża.

- Sekretarki powinny wiedzieć wszystko. A może chodzi o jedną z tych poufnych spraw, w które zaangażowany jest Angus?

Po raz drugi Jessie odpowiedziała:

- Nie wiem, pani Kingsley.

- To po co przyjechałaś?

- Mamó, dość tego.

Jessie jeszcze bardziej zeszywniała.

- W tej chwili zastanawiam się nad tym samym, pani Kingsley. Po prostu wykonałam polecenia senatora. Proszę - powiedziała podając jej pogniecioną reklamówkę z prezentami. Alexis nie miała innego wyjścia, tylko po nią sięgnąć. Gdy wyciągała rękę diamenty zaślniły na jej palcach.

Jessie obróciła się na pięcie i podażyła tam, skąd przyszła.

- Jessie, zaczekaj!

Tanner syknął do matki:

- To było niestosowne. Ojcu się nie spodoba. Chyba nie chcesz go znerwować, prawda? Jessie należą się przeprosiny.

- Nie przepraszam sekretarek, Tanner. Twój ojciec zrobił tak naumyślnie, by mnie upokorzyć. Wie, jaką wagę przywiązuję do przyjęcia świątecznego. Wszyscy na nie przyjdą. W święta nikt w Waszyngtonie nie pracuje. To, co zrobił, jest niewybaczalne.

- Wobec tego przeproszę za ciebie, matko, skoro, jak się zdaje, straciłaś poczucie przyzwoitości. Nie chciałbym być na twoim miejscu, kiedy tatuś usłyszy o twoim nieuprzejmym zachowaniu. On uwielbia Jessie. Ufa jej i polega na niej.

- Przestań mi grozić, Tanner. Nie mam zamiaru znosić takiego traktowania ani od córki, ani od ciebie. Rób co chcesz. Ja idę się położyć.

Tannerowi opadły ramiona. Stawiając długie kroki poszedł do kuchni.

- Jessie, przepraszam w imieniu mojej matki. Jutro będzie się zachowywać inaczej. Co roku przed przyjęciem robi się taka nerwowa. Nie rozumiem, dlaczego to dla niej takie ważne, ale tak jest. Proszę cię, zostań. Chcę, żebyś została. Bez ciebie trudno mi będzie przebrnąć przez to okropne przyjęcie. Obiecuję być cały czas przy tobie. W nocy też, jeśli będziesz chciała. Z przykrością muszę to przyznać, ale nie jestem w stanie jechać z powrotem na lotnisko. Wstaję o czwartej trzydziści. Jeśli teraz walnę się do łóżka, zdążę się trochę przespać. Proszę, przemyśl to.

- Dobrze. Wyjadę jutro. Zadzwoń do senatora i wszystko mu wytłumaczę.

- Pozwól, że ja to zrobię. Chodź ze mną, wyglądasz na wykończoną.

Jessie poszła za Tannerem. W domu było cicho jak w grobie, panowały też egipskie ciemności. Po drodze na górę Tanner włączał światła.

- Umieszczę cię w dawnym pokoju Resy. Sama go malowała. Myślę, że ci się spodoba. Jest dokładnie nad gabinetem taty i roztacza się z niego piękny widok na ogrody. Mattie sprząta i wietrzy, go raz w tygodniu. Wciąż ma nadzieję, że Resa wróci. Tak naprawdę, to Mattie wychowała Resę i mnie. Chyba już się mniej więcej zorientowałaś, że nie jesteśmy jak jedna z tych rodzin, które można co tydzień o ósmej oglądać w telewizji.

- Przykro mi, że wszystko się tak skomplikowało. Dobranoc, Tanner.

- Dobranoc, Jessie Roland. Nie wiem, czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie, ale cieszę się, że tu jesteś. Przyjemnych snów. Porozmawiamy rano.

Jessie zamknęła drzwi i rozejrzała się. Pokój był ładny. Zauważyła mosiężny błyszczący zamek w drzwiach. Zamknęła go bez namysłu. Instalowany był przecież dla bezpieczeństwa. Zastanawiała się, czy zamek w drzwiach ma tylko pokój Resy, czy też i inne sypialnie. Spojrzała na swoje torby. Czy powinna je rozpakować? Nie. Zostanie tu przecież tak krótko. Nie będzie musiała się znowu pakować rano przed wyjazdem na lotnisko. Ściągnęła ubranie i wsunęła się do łóżka ze wspartym na czterech słupkach koronkowym baldachimem.

Już zasypiała, gdy usłyszała podniesione głosy dochodzące, jak się zdawało, zza stolika nocnego. Może już spała i tylko jej się to śniło? Z całej siły uderzyła pięścią w poduszkę. Nie chciała tego wysłuchiwać, ale nie miała wyboru...

- Co robisz na dole, Tanner?

- Miałem cię właśnie spytać o to samo, mamó. Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałaś, że idziesz spać.

- Ojciec nie podnosi słuchawki. To znaczy, że jest z tą kobietą.

- Ta kobieta, matko, była kiedyś twoją najlepszą przyjaciółką. Ta kobieta jest była żoną ojca. Tę kobietę zdradziłaś, nawiązując romans z jej mężem i zachodząc z nim w ciążę. Ta kobieta rozwiodła się z mężem, by twoje dziecko mogło nosić nazwisko ojca. Nigdy nie kochałaś taty. Poślubiłaś go dla pieniędzy i władzy, którą - jak sądziłaś - posiadał. To, co zrobiłaś, zżera ci duszę każdego dnia twojego życia. Nie, nie zaprzeczaj. Znienawidziłaś Irene za wielkoduszość i za to, że dała ci, czego pragnęłaś. Nienawidziłaś jej zdolności i gdy objęła stanowisko sędziego federalnego, znienawidziłaś ją w dwójnasób, bo nie mogłaś już utrzymać, że jest nikim. Wszyscy kochają Irene Marshall. Mówiąc „wszyscy”, mam na myśli tatę, Resę i mnie. Nie fatyguj się szukając jej numeru, jest zastrzeżony.

- Podaj mi go, Tanner.

- Nigdy, nawet za milion lat.

- Zadzwoń do Resy.

- Ona też ci go nie poda, więc nie marnuj czasu dzwoniąc do niej w środku nocy.

- Ta opryskliwa dziewczyna, którą tu przywoziłeś, musi mieć ten numer. Będzie musiała mi go podać. Polecę do domu Irene pierwszym porannym samolotem. Wiem, gdzie mieszka. W tym śmiesznym małym domku Baby Jagi, w którym mieszkali z ojcem.

- Jessie wykonuje dyspozycje taty. Nawet jeśli zna ten numer, nigdy nie postąpi wbrew jego poleceniom. Gdybym był na miejscu tatusia, wybrałbym się z Irene na jakieś ciepłe wyspy na morzach południowych i tam pod palmami świętował Boże Narodzenie. On wie, jakim torem biegną twoje myśli i jak działasz, mammo. Przewidując, że postąpisz dokładnie tak, jak powiedziałaś, nie będzie ryzykował i nie zostanie w tym, jak go nazywasz, śmiesznym domku Baby Jagi. Rób, jak uważasz. Na początek odwołałbym przyjęcie. W zeszłym roku po mieście rozeszła się plotka, że płacisz ludziom za to, by na nie przychodzili.

Trzask, brzęk tłuczonego szkła i chrapliwy śmiech Tannera dotarły do uszu Jessie, gdy zagrzebywała się w poduszki.

Przekręciła się na plecy i założyła ramiona pod głowę. Czy nikt w tym domu nie był szczęśliwy? Jak powinna postąpić? Czy odważy się ukradkiem zejść na dół i zadzwonić do senatora? Czy Alexis Kingsley wyjedzie z rana do Waszyngtonu? A więc senator był kiedyś mężem Irene Marshall. Nie mieściło się to w głowie. Zastanawiała się, czy Agnes Prentis wiedziała o tym i dlaczego, jeśli wiedziała, zachowała tę informację dla siebie? Może należało przeczytać jej dzienniki od deski do deski? W chwilę później uświadomiła sobie, że nie może tego zrobić. Zgodnie z instrukcjami Sophie wysłała je do Atlanty. Poza tym prywatne życie senatora, przesłać czy obecne to nie jej interes.

Powieki opadły i Jessie zasnęła. W snach widziała tłumy siwych par o różanych policzkach, które częstowały ją tuzinami ciasteczek nadziei w nych rodzinami. Zaś kobieta o królewskim wyglądzie i zimnym spojrzeniu starała się je odebrać.

Jessie obudziła się nagle, słysząc pukanie do drzwi. Właśnie miała za wołać „proszę”, gdy przypomniała sobie, że zamknęła je na klucz. Spała nago, nie mogła więc po prostu podejść do drzwi.

- Chwileczkę.

Pobiegła do łazienki i włożyła stary aksamitny szlafrok, który wisiał na wieszaku za drzwiami.

- Tu Mattie, panienko. Pan Tanner poprosił mnie, żebym przyniosła pani kawę. Powiedział, że poczeka na panią ze śniadaniem. Prosił, bym przekazała, żeby ubrała się pani w stare rzeczy, bo zabierze panią na przejażdżkę. Chyżo, panienko. Z samego rana pan Tanner nie grzeszy cierpliwością.

Chyżo. To chyba jakieś tutejsze wyrażenie. Najwyraźniej miała się spieszyć.

- Proszę powiedzieć panu Kingsleyowi, że zaraz zejdę. I dziękuję za kawę.

Jessie zastanawiała się, gdzie podziały się jej dobre intencje, gdy stała pod ostrymi igiełkami strumienia wody z prysznicza. Tanner założył, że zostanie przynajmniej na dzisiaj. To chyba wcale nie jest taki zły pomysł, może przecież wyjechać jutro, Jeśli zostanie dzień czy dwa nie będzie się czuła tak winna wobec senatora.

Ubrana w pogniecione dżinsy, buty do kostek i bawełnianą koszulę w czerwona kratę była gotowa do zejścia na dół. W ostatniej chwili wtarła sobie za uszy rozkosznie pachnące perfumy, które dostała w prezencie od Sophie. Spojrzała na rozgrzebane łóżko i otwartą walizkę. Pościeliła łóżko, zamknęła walizkę. Rozejrzała się po pokoju.

Był ładny i bardzo dziewczęcy w charakterze. Wrażenie to wywoływały ściany w kolorze żonkili i szeleszczące białe firanki w oknach. Kiedy dokładnie Resa opuściła dom?

Jessie zmarszczyła brwi, patrząc na pikowaną narzutę w jasne wiosenne kwiaty, która tworzyła na łóżku kolorową plamę. Była doskonale dopasowana do dwóch wyściełanych krzeseł i otomany. Dywan w kolorze jabłkowej zieleni sprawiał wrażenie nowego, nie używanego. Czy ten pokój był sanktuarium Resy Kingsley, czy podobnie jak stary pokój Jessie w Charlestonie, po prostu miejscem do spania? W szafach nie znalazła pamiątek ani starych ubrań. Przecież musi być coś, co przypominałoby, że Resa kiedyś tu mieszkała, spędzała czas zwinięta w kłębek w którymś z tych ładnych foteli. Czy ten stary szlafrok należał do Resy? A może zostawił go tutaj ktoś inny?

- Myślę, że cię polubię, Reso Kingsley - mruknęła do siebie Jessie i opuściła pokój.

Gdy weszła do kuchni, zobaczyła Tannera siedzącego w kąciku śniadaniowym otoczonym ze wszystkich stron oknami, z których rozciągał się piękny widok na ogrody i brukowany dziedziniec. Tanner uśmiechnął się i od razu wnętrza wydała się przyjemniejsza i jaśniejsza. Tak jak Jessie, ubrany był niedbale, ale emanował wdziękiem i budził zaufanie.

- Wystarczy, że wyrazisz życzenie, a podamy to, na co masz ochotę. Jeśli nawet okaże się, że tego akurat nie mamy, Mattie jakoś to dla ciebie wyczaruje. A więc co byś zjadła?

- Tost, sok i trochę kawy.

- Nie, nie, tak nie można. Jesteśmy na ranczu. Musisz zamówić stek, ziemniaki i jajka, a na dokładkę naleśniki. A potem żując jabłko możesz się oddalić z bananem wetkniętym w kieszeń.

- Gdybym to wszystko zjadła, nie mogłabym wstać. Nie planuję obrabiać czterdziestu hektarów do północy, czy jak wy tam mówicie.

Spojrzała znacząco na stół zastawiony dla dwóch osób.

- Matka wyjechała do Waszyngtonu godzinę temu. Jeśli wiesz, jak zawiadomić ojca, zrób to teraz. To dwugodzinna różnica czasu, w Waszyngtonie jest więc zaledwie siódma rano. Podam Mattie twoje zamówienie. Co powiesz na jajka na bekonie, tosty, sok i kawę?

- Wspaniale. Gdzie jest gabinet?

- Przejdź przez jadalnię, potem prosto korytarzem, drugie drzwi na lewo.

Zamykając drzwi do gabinetu, Jessie poszukała wzrokiem kanałów grzewczych. Czy Tanner pójdzie do jej pokoju, by podsłuchiwać? Czy dźwięk dociera przez kanały grzewcze także do innych pomieszczeń? Czy on wiedział, że głos niósł się aż na drugie piętro? Była tak zdenerwowana, że nie mogła wygrzebać z tylnej kieszeni spodni wizytówki z numerem telefonu Irene. Wykręciła numer bębniąc palcami o biurko pokryte szklaną taflą. Telefon odebrano po trzecim sygnale.

- Irene, tu Jessie Roland. Mogę rozmawiać z senatorem? Bierz prysznic? A przekażesz mu wiadomość? Godzinę temu pani Kingsley pojechała do Waszyngtonu. Wczoraj w nocy słyszałam jej rozmowę z synem, bo głosy docierały przez kanały grzewcze. Powiedziała, że wie gdzie mieszkasz i że do ciebie pojedzie. Kiedy rano zesłałam na śniadanie, Tanner powiedział, że jego matka wyjechała. Jest zdania, że należy was o tym uprzedzić. Jak sądzę, ma to

coś wspólnego z przyjęciem świątecznym, które organizuje pani Kingsley. Tak mi przykro, Irene. Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Nie, dziecko. Żałuję, że jesteś zamieszana w tę przykrą sprawę. Przekażę Angusowi wiadomość od ciebie, gdy tylko wyjdzie spod prysznic. Dziękuję, że zadzwoniłaś. To da mi czas, by wysłać gdzieś bliźnięta. Nie chcę, by tu były, gdy przyjedzie Alexis. Nie przejmuj się, Jessie. Angus i ja damy sobie radę. Trudno spać, od ilu już lat to robimy. Przekaż pozdrowienia Resie i Tannerowi.

- Dobrze, Irene. Do widzenia.

- Co ojciec powiedział? - spytał Tanner, gdy Jessie usiadła do stołu.

- Brał prysznic. Zostawiłam wiadomość.

- Tak po prostu? Zostawiłaś wiadomość?

- Tak. Co... co teraz będzie?

- Bóg raczy wiedzieć. Tata nie wróci z matką, jeśli to cię niepokoi. Moim zdaniem mają z Irene tylko dwa wyjścia: albo gdzieś wyjadą albo nie otworzą jej drzwi. Bliźnięta będą w domu, więc muszą to wziąć pod uwagę. Mogę się mylić, ale sądzę, że spakują się i pojedą na końską farmę w McLean, która należała kiedyś do rodziny Irene. Spędza na niej letnie wakacje, uciekając przed upałem w Waszyngtonie. Ziemia tam leży odłogiem. Irene wynajęła farmę na kilka lat jakimś zagranicznym dyplomatą, gdy potrzebowała pieniędzy na opłacenie college'u bliźnięt. Mąż zostawił ją z całą górą długów. W większości były to złe inwestycje i spłacała je przez całe lata. Dyplomaci zapłacili bardzo wysoki czynsz za wynajem i zainstalowali naszpikowane elektroniką ogrodzenie, które otacza cały dom. Nie można się do niego zbliżyć, bo jest całe obstawione barierami i szlabanami. Potrzebne jest hasło i inne tego typu bzdury. Jeśli pojedą na tę farmę, będą bezpieczni. Nawet nie wiem, czy matka orientuje się, że farma wciąż należy do Irene. To zresztą nie nasz problem, Jessie. Zjedz teraz, a potem pokażę ci dom i otoczenie. Później pojedziemy na przejażdżkę konną. Lunch zjemy w mieście z Resą. Zadzwoniłem do niej, weźmie wolne popołudnie.

Jessie nie miała ochoty na śniadanie. Zjadła je tylko po to, by ujrzeć uśmiech na twarzy Tannera.

- Okay, weź jabłko z kredensu i włóż banana do kieszeni. Jezu! - jęknął Tanner uderzając się w czoło. - Zapomniałem zapytać, czy umiesz jeździć konno.

- Tak. Ale od wieków nie jeździłam.

- Możesz poobcierać nogi, ale mamy tu różne mazidła. A poza tym dziś wieczorem i tak nie będziesz tańczyć. Cieszę się, że zostajesz, Jessie.

- Jak to się stało, że zostaje?

- Zrozumiałaś swój błąd. Nikt nie chce być sam w święta i myślę, że zrobiło ci się mnie żal.

- Czy w ogóle znasz jakąś szczęśliwą rodzinę? - wyrzuciła z siebie Jessie.

- Kiedy chodziłem do college'u, zwykle błagałem kumpli, by w czasie ferii zapraszali mnie do siebie do domu. Resa robiła to samo. Lata, gdy jeździłem w święta do Bluefield w Zachodniej Wirginii, do domu mojego najlepszego przyjaciela, były najszczęśliwszym okresem w moim życiu. Jack miał dziewięcioro rodzeństwa. Na święta przyjeżdżali wszyscy do domu razem z dziećmi, psami i kotami. Spałem w śpiworze na podłodze, tak jak wszyscy. Budziłem się rano i w moim śpiworze znajdowałem psa, kota i jakiegoś malucha. Co roku to był inny dzieciak i co roku moczył śpioszki we śnie, a ja przez tydzień nie mogłem usunąć z ubrania psiej i kociej sierści. Mieli wspaniałych sąsiadów - Boba, Liz i ich syna Randa. Nazywali się Henry. To było ładne miasteczko, zamieszkałe przez wspaniałych ludzi. Cały czas jedliśmy polskie potrawy. Takie obfite, sycące. Zawsze po feriach przybierałem na wadze pięć kilo. W każde święta szliśmy całą bandą wyciąć choinkę i wszyscy ją ubieraliśmy. Psy i koty wlażyły na ozdoby choinkowe niszcząc je. Nikomu to nie przeszkadzało. Śpiewaliśmy kolędy, oczywiście fałszując. Przechowam wspomnienie tych świąt aż do śmierci.

- Wciąż przyjaźnisz się z Jackiem?

- Jack zabił się jadąc do college'u siedemnastego stycznia, w ostatnim roku nauki. Zanotowano, że zginął o godzinie trzeciej jedenaście nad ranem. Umarł wskutek poważnych obrażeń wewnętrznych. Wielka ciężarówka wpadła w poślizg na oblodzonej drodze i zderzyła się z samochodem Jacka. Jack nie przeżył. Mnie też mało brakowało. Wziąłem sobie wolne na cały semestr i po prostu się objąłem. On wciąż mi się śni, szczególnie o tej porze roku. Pewnego razu pojechałem do jego rodziców obładowany prezentami. Przyjęli mnie z

otwartymi ramionami, tak samo jak państwo Henry, ale to już nie było to samo. Nic nie jest takie jak dawniej. Dostajesz szansę i od ciebie zależy, czy jej nie spieprzysz. Tatuś dostał drugą szansę z Irene i wykorzystał ją. Gdyby w moim życiu nie było Jacka, prawdopodobnie nie byłbym tak tolerancyjny w stosunku do ojca i jego związku z Irene.

Jessie przetrwała usłyszane informacje. Było oczywiste, że Tanner czeka, by coś powiedziała.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś się stało mojej najlepszej przyjaciółce, Sophie. Nie wiem, jak zareagowałabym na jej śmierć. Na pewno niezbyt dobrze. Powiedziałaś, że chcesz pokazać mi dom.

- Ostrzegam, to będzie przygnębiające przeżycie. Matka co roku dzwoni do agencji dekoratorów wnętrz, by wszystko urządzić na święta. Dom wtedy jest... jest inny.

- Rzeczywiście jest inny - powiedziała Jessie wkrótce potem, rozglądając się po ogromnym salonie. - Przypomina dekoracje do filmu fantastycznego. Czy twoja matka lubi niebieski kolor?

- Myślę, że to dekorator wnętrz wmówił jej, że lubi błękit i perłową biel. Naprawdę zbiło ją z tropu, gdy nikt nie chciał jej naśladować. Rodzice moich przyjaciół wolał na ogół tradycyjny czerwony aksamit i żywe zielone rośliny. Ja jestem zwolennikiem kolorowych lampek na choince. Irene też co roku dekoruje dom na święta. Zawsze tam pięknie pachnie, przynajmniej o ile pamiętam. Osobiście uważam, że to, co tu widzisz, jest obrzydliwe. Każdy pokój wygląda mniej więcej tak samo. Biała choinka, niebieskie lampki i białe bombki. Ozdoby kwiatowe są niebieskie i białe z białymi świecami. Nawet prezenty zapakowano w biały papier i obwiązano niebieskimi wstążeczkami. W wigilię Bożego Narodzenia zawsze jadę do Resy i u niej nocuję. Mieszkanie jest nieduże, więc Resa ma małą sztuczną choinkę, ale przynajmniej zieloną. Obdarowujemy się prezentami i wypijamy trochę wina. Dzielimy się wspomnieniami i rozmawiamy o przyszłości. Razem przygotowujemy wielką kolację dla dwojga. To samo robimy na Wielkanoc. Resa zrobi wszystko, byle tylko uniknąć przyjazdu na ranczo.

Słuchając go Jessie nie była pewna, czy powinna coś powiedzieć, czy lepiej będzie milczeć. Czy ją sprawdzał? Jeśli tak, to dlaczego? Komu o wszystkim powie, matce czy ojcu?

- A więc twoja siostra jest niezamężna?

- Mało brakowało, ale nie, nie jest mężatką. Matka wtykała nos w nie swoje sprawy i zanim Resa czy ja zorientowaliśmy się, co jest grane, Michael odszedł. Resa przeżyła coś w rodzaju załamania nerwowego i nigdy matce nie przebaczyła. Myślałem, że ojciec dosłownie wyrzuci matkę z domu z tego powodu. Gdyby chciał to zrobić, sam bym mu pomógł. Chciałem na własną rękę odnaleźć tego faceta, ale bez powodzenia. Resa i ja uważamy, że matka przekupiła go, by się zmył. Jeżeli to prawda, to i tak nie był odpowiedni dla Resy. To było wieki temu. Irene pomogła Resie przebrnąć przez najgorsze. Historia jak z filmu, no nie?

- No nie - zaśmiała się Jessie.

Tanner wziął ją za rękę.

- Chodź, pojeździmy konno. Możesz wziąć Tulipana. To koń Resy, jest bardzo łagodny. Po prostu jak będziesz miała dość, powiedz „hola”, dobrze?

- Dobrze.

Z niechęcią puściła jego rękę. Ciepłe mrowienie ogarnęło całe jej ciało, gdy czekała, aż Tulipan, który okazał się klaczą, zostanie wyprowadzony ze stajni.

- Kiedy ma się odbyć to wielkie bożonarodzeniowe przyjęcie?

- W sobotę. To znaczy pojutrze. A więc zostajesz?

Jessie wyprostowała się. Czy popełnia największy błąd w swoim życiu?

Czas pokaże. Skinęła głową.

Było prawie południe, gdy Jessie zatrzymała się mówiąc: „Hola Tulipan”.

- Masz dość?

- Na dzisiaj. Cała ta ziemia należy do ciebie?

- Dwa tysiące hektarów. Widzisz te odsłonięte kamienie? To nasza południowa granica.

- Kto jest właścicielem sąsiadującej ziemi?

- Holtowie. Arcywrogowie Kingsleyów.

- Jak Hatfieldachowie i McCoyachowie?

- Można tak powiedzieć. Nie rozmawiamy o Holtach ani nie utrzymujemy z nimi stosunków towarzyskich. Tak już jest. Luke jest właścicielem większości Abilene.

- Kto to jest Luke?

- Kiedyś był moim przyjacielem. Gdy człowiek mieszka na odległym ranczu, trudno o przyjaciół. Luke i ja mieszkamy drzwiami w drzwiach, oczywiście w przenośni. Jako dzieciaki byliśmy nierozłączni. Potem coś się popsulo. Wiesz co, wróćmy na ranczo i ogarnijmy się, żeby nie pachnieć, jak to określa Resa „końsko”. Chcesz się pościgać?

- Pewnie.

Jechał szybko jak wiatr. Tulipan nie potrafił tak galopować. Jessie ściągnęła wodze dziesięć minut po tym, jak Tanner oddał konia pod opiekę stajennemu. Ześliznęła się z siodła prosto w ramiona Tannera.

- Odczuję tę dzisiejszą przejażdżkę - powiedziała.

- Może kąpiel w jacuzzi pomoże. Możemy to zrobić po kolacji, popijając dobre wino.

- Nie zabrałam ze sobą kostiumu kąpielowego.

Tanner uśmiechnął się szeroko.

- A kto mówi o kostiumie kąpielowym? Spotkamy się za pół godziny, strój dowolny.

Jessie śmiała się idąc po schodach na drugie piętro. Ze zdziwieniem stwierdziła, że rozpakowano jej bagaże. Wyprasowane ubrania wisiały porządnie na wieszakach w obszernej szafie pachnącej cytrynowo werbeną. W szufladzie komody starannie ułożono bieliznę i inne rzeczy osobiste. Zmarszczyła brwi. Nie lubiła, gdy ktoś ją w tym wyręczał. Przypominało to Charleston, gdzie gospodynie i pokojówki, nie wspominając o matce, regularnie co godzinę wszystkiego doglądały. W połowie drogi do łazienki zawróciła i podeszła do komody. Najpierw zrobiła bałagan w szufladzie z bielizną, w której leżały słodko pachnące, aromatyczne kulki. Wyjęła piżamę, wrzuciła do drugiej szuflady. Pończochy, rękawiczki, apaszki i wełniane skarpetki trafiły do trzeciej. Wszędzie był teraz przyjemny nieład, jak w komodzie w jej mieszkaniu w Waszyngtonie.

Biorąc drugi tego dnia prysznic Jessie nie przestawała myśleć. Kiedy wróci Alexis Kingsley? Dzisiaj, jutro? Czy uda się nie wejść w drogę tej zimnej, aroganckiej kobiecie? Wzdrygnęła się pod ciepłym prysznicem na wspomnienie fantastycznych bożonarodzeniowych dekoracji. Przyjęcia z tej okazji powinny mieć odświętny charakter, ale czy jest to możliwe w ponurej atmosferze panującej w salonie na dole? Zresztą, co za różnica? To nie ona wydawała

przyjęcie. Miała w nim tylko uczestniczyć. Jeśli nie będzie chciała wziąć udziału, może zawsze powiedzieć, że boli ją głowa albo wrócić do Waszyngtonu. Jednak zasadnicze pytanie brzmiało: czy chciała wrócić? Uporczywy głos przypomniał jej o wypowiedzianych szeptem słowach Irene i własnych wspomnieniach z pierwszego spotkania z Tannerem Kingsleyem. Jej przeznaczenie. Wszystko mogło się zdarzyć.

Wycierając się ręcznikiem, Jessie rozmyślała o Tannerze. Wydawało się że ją lubi. Z pewnością był uprzejmy i miły; Jessie uwielbiała jego poczucie humoru. Ale najbardziej podobało jej się to, że bronił Irene Marshall i że żywił dla tej starszej kobiety prawdziwe uczucie.

Zerknęła na zegarek. Okazało się, że do spotkania z Tannerem pozostało tylko siedem minut. Nie miała kłopotu z wyborem stroju, bo przywiozła ze sobą mało ubrań. Sophie nauczyła ją tak dobierać i dopasowywać części garderoby i różne dodatki, by nie trzeba było podróżować z pięcioma walizkami. Założyła jasnowieśniową wełnianą sukienkę od Jonathana Logana, którą szczególnie lubiła. Dopełnieniem stroju był naszyjnik z pereł i pasujące do niego kolczyki. Na ramiona narzuciła lekki biały wełniany żakiet. Była gotowa dwie minuty przed czasem.

- Dokładnie na czas.

Roześmiała się widząc, jak Tanner przytupuje udając niecierpliwość.

- Wyglądasz wspaniale, a pachniesz jeszcze lepiej. Jakich perfum używasz? Prześlij mi z pięć litrów. Chcę je wąchać, jak sobie pojedziesz. Spryskam nimi wszystko.

- To francuskie perfumy, nazywają się „Amour”. Sophie podarowała mi je kilka lat temu. Są okropnie drogie, więc używam ich oszczędnie. Całe pięć litrów! To kosztowałyby majątek!

- Dobrze, dwa litry. No, jeden. Wystarczy nawet pół litra.

Jessie znowu się roześmiała.

- Możesz spryskać nimi chusteczkę i włożyć do szuflady, w której trzymasz skarpetki.

- To idealne rozwiązanie.

- Panno Jessie, telefon do pani.

- Do mnie!

- To pewnie ojciec. Możesz odebrać w gabinecie.

Jessie skinęła głową i poszła korytarzem do gabinetu. Odezwała się ostrożnie:

- Halo, tu Jessie Roland.

- Jessie? Angus Kingsley. Chcę ci podać nowy numer telefonu. Jesteś w moim gabinecie?

- Tak, senatorze. Mam ołówek.

Jessie powtórzyła numer, by upewnić się, że dobrze zanotowała.

- To tylko tymczasowy numer, Jessie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wrócimy do Waszyngtonu w sobotę. Moja żona pojedzie do Teksasu na swoje przyjęcie. Zadzwoń do mnie, gdy będzie na miejscu, bo chcę zabrać Irene z powrotem do domu. Czuła się tak dobrze, dopóki nie wynikła ta sprawa. Pragnie wrócić do domu. Ja też. Nie wiem, jak mogłem tego nie przewidzieć.

- Rozumiem. Zadzwonię, jak tylko będę miał jakąś wiadomość. Tanner czeka na mnie i będzie chciał wiedzieć, dlaczego pan zadzwonił. Co mam mu powiedzieć?

- Powiedz mu, że to sprawy poufne. Zrozumie. Dobrze się bawisz, Jessie?

- Tak, senatorze. Jedziemy do miasta na lunch z Resą. Z niecierpliwością czekam, by ją poznać.

- Ucałuj i uściskaj Resę ode mnie. Powiedz, że ją kocham. Myślę, że polubisz ją tak jak Tannera.

- Jestem tego pewna, senatorze.

- Irene cię pozdrawia.

- Proszę przekazać jej pozdrowienia ode mnie. Przykro mi, że tak się stało.

- To nie twoja wina. To ja zawiniłem. Przyjemnego lunchu.

Przed wyjściem z gabinetu Jessie złożyła karteczkę z numerem i wsunęła ją w czubek buta. Weszła nie mając nic przy sobie i powinna wyjść tak samo.

- Proszę, powiedz, że to nie matka dzwoniła.

- Nie, nie matka. To twój ojciec.

- Wszystko z nim w porządku?

- Tak sędzę. Powiedział, że gdybyś pytał, to są sprawy poufne. Prosił też, żebym uściskała Resę w jego imieniu i powiedziała, że ją kocha.

- Tatusz uwielbia Resę. Zawsze tak było. Ona jest nieśmiała i nie zawiera łatwo przyjaźni. Ja i Luke Holt szybko dorosliśmy, a Resa nigdy nie przezwyciężyła nieśmiałości. Kiedy się ją pozna bliżej, jest bardzo miła. Matka

nigdy nie pozwoliła jej być dzieckiem ani młodą dziewczyną. Ja byłem buntownikiem, Resa była posłuszna. W nocy zwykle płakała przed snem. Dzień, w którym wyjechała do college'u, był najszcześniejszy w jej życiu. Z nas dwojga ona jest bystrzejsza. Czy już ci to mówiłem?

- Nie. Chyba powinniśmy już jechać. Nie pozwólmy, by twoja siostra czekała. Możemy zatrzymać się w kwiaciarni? Chcę jej kupić świąteczny kwiat.

- Oczywiście. Dlaczego sam o tym nie pomyślałem? Mam przynieść wino, więc będziemy musieli zatrzymać się dwa razy. Resa nie jada mięsa. Mówiłem ci o tym? To doprowadza matkę do szału.

Jessie się roześmiała.

- Nie, tego nie powiedziałeś. Czego jeszcze mi nie mówiłeś?

- To już mniej więcej wszystko. Kiedy porozmawiamy o Jessie Roland? O tym, gdzie i jak dorastałaś, jakie lubisz kolory, co chętnie jadasz... takie rzeczy.

Jessie wstrzymała oddech. Wiedziała, że takie pytania w końcu padną. Miała nadzieję, że pamięta wszystko, co Sophie jej spisała na temat fikcyjnego pochodzenia.

- Zastanówmy się. Możemy pogadać o tym, gdy wyczerpią się inne tematy i będziesz chciał, by ci ukołysać do snu. Moja przeszłość jest niewiarygodnie nudna. Urodziłam się, dorosłam i oto jestem. To mniej więcej wszystko. Puste miejsca wypełnię później.

- Opowiedz mi o swojej przyjaciółce, Sophie.

- Sophie Ashwood urodziła się i wychowywała w Atlancie. Powinna być typową południową pięknoscią, ale nie jest. Jej matka jest drugą albo trzecią najbogatszą kobietą świata, co znaczy, że Sophie zajmie pewnego dnia jej pozycję. Jest architektem i kończy staż w Kostaryce. Za główny życiowy cel postawiła sobie zaprojektowanie i zbudowanie mostu. Właściwie dorastałyśmy razem. To moja przyjaciółka, powiernica, siostra, której nigdy nie miałam. Jest zaręczona z inżynierem. On też chce budować mosty. Sophie potrafi dokonać wszystkiego, co zechce. Nie wyobrażam sobie życia bez niej. Prawdopodobnie to samo czułeś w stosunku do swojego przyjaciela, Jacka. Koniec opowieści.

- Koniec opowieści? Nie sądzę. Wyczuwam, że jest coś więcej. Chcę usłyszeć całą historię.

Jessie zastanawiała się przez chwilę, aż w końcu opowiedziała, co zrobiła trzy lata temu podczas promocji Sophie. Tanner zaśmiewał się tak bardzo, że aż musiał zjechać na pobocze. Śmiał się jeszcze bardziej, gdy powiedziała:

- Mamy to na filmie. Sophie zapłaciła za sfilmowanie uroczystości, bo wiedziała, że jej matka nie przyjdzie. Nie wiem, czy wysłała go matce, czy nie.

- Widziałas kiedykolwiek ten film?

- Boże, nie!

Tanner włączył się do ruchu.

- Kiedy się pobierzemy, czy poprosisz Sophie, by mi go pokazała?

Kiedy się pobierzemy... Serce Jessie zaczęło mocno bić. To był żart, na pewno. Dzięki Sophie wiedziała, jak poradzić sobie z żartami, nawet takimi jak ten.

- Oczywiście - powiedziała. - Odegram to nawet po raz drugi specjalnie dla ciebie.

- A więc kiedy się pobierzemy?

- Kiedy podarujesz mi pierścionek zaręczynowy. Lepiej, żeby to nie był jeden z tych malutkich pierścionczków wielkości łebka od szpilki, który można zobaczyć tylko przez szkło powiększające.

Tanner udał, że jest zaszokowany.

- Czy to znaczy, że jesteś osobą interesowną?

- Nie. Chcę, żeby to było coś, co mogłabym zostawić mojej najstarszej córce... zakładając, że będę ją miała. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego dziewczyna powinna dostać pierścionek tylko dlatego, że się zaręczyła. Zwykła, szeroka złota obrączka ślubna w zupełności wystarczy, dziękuję. Nie zapisujesz tego, prawda? Dlaczego? Ja też nie uznaję rozwodów.

Jessie zachichotała, widząc panikę odbijającą się na twarzy Tannera. Powiedział coś tak cicho, żeby nie zrozumiała.

- Nie słyszę, co mówisz - powiedziała znudzonym tonem.

- Powiedziałem, że wszystko dokładnie zapamiętam.

- Nie będę mieszkała w tym domu z twoją matką.

Mój Boże, czy ona naprawdę przed chwilą to powiedziała?

- Słucham?

- Słyszałeś doskonale. Twoja matka mnie nie lubi. Na ile mogłam się zorientować, ja też jej nie lubię. Powiedziałam, że nie będę z nią mieszkać gdy się pobierzemy. O, zbladłeś. Masz teraz ochotę dać sobie z tym spokój?

Kolory powróciły Tannerowi na twarz. Zaparkował przy krawężniku.

- Idę po wino. Masz jakieś preferencje?

- Do faceta należy wybór wina. Sophie mi to powiedziała. Kup dwie butelki.

- Dwie? Dlaczego?

- Po drugiej tańczę na stole.

Sophie, Sophie, powinnaś mnie teraz słyszeć.

Tanner pochylił się i zajrzał w otwarte okno samochodu.

- Jesteś sprytna, prawda?

- Jasne.

- A co robisz po wypiciu trzech butelek?

- Nigdy jeszcze tyle nie wypiałam. Wyobrażam sobie, że byłabym... twórcza.

Tanner wymruczał coś, a Jessie zrozumiała z trudem:

- Niech mnie diabli.

Jessie aż się zwijała ze śmiechu. Jej ciało ogarnęła fala gorąca. Zastanawiała się, co czuje Tanner. Może powinna go zapytać. Jak mawiała Sophie, nigdy się niczego nie nauczysz, jeśli nie spytasz. Sophie zapewniała też, że niektóre sprawy lepiej zostawić w spokoju i w ogóle o nich nie wspominać.

Tanner wrócił do samochodu. Dyszał niczym długodystansowiec na mecie. Niósł trzy butelki wina. Miał zadowoloną minę. Jessie śmiała się i śmiała. Tanner spojrzał na nią niepewnie, ale zaraz wybuchnął śmiechem.

- *Touche*, Jessie Roland.

Tanner był wysoki i muskularny, Resa zaś drobna i krucha. Ale oboje mieli oczy o barwie letniego błękitu i złotobrazowe włosy. Lalkowatą twarz Resy otaczała chmura krótkich loków. Jessie poczuła się mile widzianym gościem, widząc szeroki uśmiech Tannera i radość malującą się na twarzy Resy.

- Witam w moich skromnych progach, Jessie. Mieszkanie jest małe, ale należy tylko do mnie. Wystarczy, że jakiś papierek lub czasopismo nie leży na swoim miejscu, a robi się bałagan. Tanner na pewno ci o tym później opowie. Jestem taka szczęśliwa, że mogę cię poznać, wiesz? Ostatnim razem, gdy tatuś

mnie odwiedził, mówił tylko o „wspaniałej Jessie Roland” Chyba wiesz, że on cię uwielbia? Wejdźcie, wejdźcie. Mój Boże, wszystkie te kwiaty są dla mnie? Bardzo wam dziękuję. Ojej, wyglądają tak... bożonarodzeniowo.

Jessie uśmiechnęła się. Polubiła Resę od razu, właściwie w chwili, gdy ich ręce złączyły się w powitaniu. Resa – trzydziestotrzyletnia lalka o dużych oczach.

- Podejrzewam, że sama wybrałaś kwiaty, by móc je osobiście ustawić. W strategicznych miejscach, oczywiście. Co sądzisz o mojej choince?

- Jest śliczna – skłamała Jessie.

Śmiech Resy rozniósł się po małym pokoju.

- Powiedz prawdę.

- Ozdoby są ładne.

- Zrobiły je dzieciaki w szkole. Mam nawet kilka wykonanych przez Tannera i przeze mnie. Gwizdnęłam je z domu. Właściwie to wcale nie gwizdnęłam. Matka wrzuciła je do jakiegoś starego pudła, bo nie pasowały do eleganckiej choinki, a ja je po prostu zabrałam. Doskonale pamiętam dzień, w którym robiliśmy je w szkole. No cóż, to było tak dawno temu. Powiedz mi, dlaczego Tanner kupił trzy butelki wina? Może urządzamy orgię, tylko zapomnieliście mi o tym powiedzieć?

Znowu zadzwieczał jej śmiech.

Jessie odpowiedziała konspiracyjnym szeptem:

- Powiedziałam, że po dwóch butelkach wina tańczę na stole. Pewnie mu się wydaje, że po trzech jestem zdolna do wszystkiego.

Resa jeszcze raz zaniósł się śmiechem.

- Co będzie na lunch? – zapytał Tanner.

- Makaron Stouffera z serem i paluszki rybne jakiejś innej firmy. Odmroziłam strudel jabłkowy i podam też koktajl na deser. A może Mattie przysłała mi paczkę z pomocą humanitarną?

- Tak. Zapomniałem przynieść. Dwie mrożone zapiekanki i trochę chleba domowej roboty. Pójdę po to.

- Mattie lituje się nade mną. Wie, że to, co ugotuję, nie jest nic warte. Zwykle jadam na mieście albo przygotowuję sobie zupę i kanapkę. Nie jadam czerwonego mięsa. Pod tym względem rodzice uważają mnie za zdrajczynię... to znaczy moja matka. Tacie jest wszystko jedno. Jak ci się podoba ranczo?

- To, co widziałam, jest wspaniałe. Takie... rozległe. I całe to bydło. Nigdy w życiu nie widziałam tylu krów.

- Cicho. Nigdy na głos nie wymawiamy słowa „krowa”. To młode bydło. Nie waż się mówić „krowy” przy żadnym teksańczyku. A jak tam moja matka?

- Nie bardzo mi się podoba - powiedziała Jessie szczerze.

Duże oczy Resy rozszerzyły się jeszcze bardziej; po chwili serdecznie się roześmiała.

- Czuję mniej więcej to samo. To strasznie smutne, nie sądzisz?

- Tak. Chciałabym obracać się wśród szczęśliwych ludzi. Moje dzieciństwo także nie było wspaniałe. Życie jest zbyt krótkie, człowiek nie powinien być nieszczęśliwy.

- Wiedziałaś, że cię polubię, Jessie Roland. Czy jesteś przygotowana na naprawdę duże przyjęcie? Matka zawsze mówi o nim jako o towarzyskim wydarzeniu sezonu. Tymczasem jest to po prostu jedna z tych okropnych uroczystości, w których pewne osoby czują się zobowiązane uczestniczyć. Straszne. W tym roku nie idę. Mam randkę!

- Z prawdziwym mężczyzną! - Tanner rzucił jej wyzywające spojrzenie, stawiając zamrożone zapiekanki na kuchennym stole.

- Tak, z prawdziwym mężczyzną. W tym roku zostaniesz sam, braciszku. On nazywa się Josh Kelly. Zaczął uczęszczać na zajęcia we wrześniu. Spotykamy się od pierwszego tygodnia i naprawdę go lubię, więc nie wspominaj o nim matce. Jeśli zapyta, gdzie jestem, powiedz, że się przeziębiłam albo że pojechałam do Australii. Nie chcę, by Josh kiedykolwiek poznał matkę. Aha, właśnie... któregoś dnia spotkałam pannę Łasicę. Powiedziała, że będzie na przyjęciu.

A zwracając się do Jessie, powiedziała:

- To dziewczyna, którą matka wybrała dla Tannera. Naprawdę nazywa się Barbara Bendix. Nazywamy ją „Łasą na chłopaków”, w skrócie Łasica, bo jest niczym tygrys zgłodniały mężczyzn.

Tanner jęknął.

- Mam pomysł. Może Jessie i ja przyłączymy się do ciebie i Josha w sobotę? Podwójna randka. Nie robiliśmy tego od wieków, Resa. Czy sądzisz, że Josh miałby coś przeciw temu?

- Josh nie będzie protestował, na pewno. Umiera wprost z ciekawości, by cię poznać. Jesteś pewien, że chcesz narazić się na gniew swojej matki?

- Oczywiście, że jestem pewien. Inaczej w ogóle bym tego nie proponował.

- To znaczy, że żaden członek rodziny nie będzie obecny na przyjęciu Drogo za to zapłacisz, Tanner.

- Więc zrobię to samo, co ty i ojciec... wyprowadzę się. Myślałem już o tym. Co mamy w planie?

- Kolacja i film, albo najpierw film, a potem kolacja. Josh zwykle wszystko organizuje. Tylko nie przyjedź tą cholerną furgonetką, dobrze?

- Dobrze.

- Podzielimy się kosztami. Część pokryjesz ty, część on. Nie będzie problemów, gdy przyjdzie płacić rachunek.

- Poradzę sobie. Naprawdę lubisz tego faceta? - chciał wiedzieć Tanner.

- Lubię go? Uwielbiam! To mężczyzna, na którego czekałam całe życie. Gdyby mi się jutro oświadczył, natychmiast bym się zgodziła.

Wyraz troski pojawił się na twarzy Tannera. Jessie wstrzymała oddech.

- A czy on uwielbia ciebie? - spytał.

- Tak. Popatrz! - Resa wyciągnęła lewą rękę. - Jesteśmy zaręczeni - zachichotała.

- Zaręczyliście się i nic mi nie powiedziałaś? Jak mogłaś, Resa? - oburzył się Tanner.

- To było dwa dni temu, braciszku. Chciałam podelektować się tym trochę w samotności. Mówię ci teraz. Pierwszego grudnia poznałam jego rodziców. Boże, są tacy mili. Jego matka przypomina mi Irene. Tata jest rubaszny i serdeczny. Wszyscy są tacy przyjemni, tacy prawdziwi, że to aż przerażające. Josh i jego rodzice nie pojmują, dlaczego nie zabrałam ich na ranczo. Nie mogę przecież ryzykować, że matka coś zrobi.

- Nigdy o tym ode mnie nie usłyszysz. Wiesz dobrze, Resa. Jessie też jej nic nie powie. Na Boga, nie mów nikomu, dopóki... a kiedy się pobieracie?

- W Walentynki.

- Wspaniale. Gratuluje.

Jessie ujęła jej lewą rękę, podniosła ją do oczu, by lepiej widzieć pierścionek, i powiedziała:

- Jest śliczny.

- Dziękuję, że to powiedziałaś – odezwała się Resa nieśmiało. - Jest mały, ale doskonały. Jestem tak przejęta, że aż brak mi słów.

- Powiedziałem Jessie, że jesteś nieśmiała i zamknięta w sobie. Nigdy nie słyszałem, żebyś tyle mówiła. Trzeba wznieść toast!

- To dlatego, że się zakochałam. Nie jestem brzydka i bezwartościowa. Ja też jestem kimś, Josh uważa mnie za piękną w środku i na zewnątrz. Twierdzi, że będę jeszcze bardziej wartościowym człowiekiem, kiedy zastanę panią Kelly. Matka nie miała racji!

Lzy połykiwały w oczach Resy. Tanner sięgnął po jej jedną rękę, a Jessie po drugą.

- Dlaczego ona mnie tak nienawidzi, Tanner?

- Dzisiaj nie będziemy roztrząsać tego tematu. Dzisiaj świętujemy. Kogo obchodzi, co ona myśli? Straciłem rachubę, ile już razy udowodniłaś, że się myli. Wbij sobie do głowy, że ona nie ma znaczenia.

- Wiesz co? Josh też nie je czerwonego mięsa. A wiesz, co jeszcze? Nigdy nie zrzędzi ani nie bywa w złym humorze. Ma takie przyjemne usposobienie.

- Zakończmy rozmowę tym szczęśliwym akcentem i zjedzmy lunch. Chcę wznieść toast za moją siostrę Resę... aby zawsze była tak szczęśliwa jak dzisiaj. Poczekaj, poczekaj, jeszcze nie skończyłem... i za Jessie, która będzie nas zabawiać, gdy wykończymy te trzy butelki dobrego wina!

- Słuchajcie, słuchajcie – powiedziała Resa, wznosząc kieliszek ku górze.

9

Alexis Kingsley wysiadła z taksówki przeklinając padający mokry śnieg. Pantofle bez pięt, które miała na nogach, od razu przemokły. Przez okno taksówki wetknęła dwudziestodolarowy banknot nie troszcząc się o to, czy suma jest wystarczająca. Nic jej to przecież nie obchodziło. Wirujący śnieg oblepił ją całą zanim dotarła do domu Irene Marshall. Wciąż przeklinając pod nosem, nacisnęła przycisk dzwonka. Naciskała raz po raz, ale nikt nie otwierał drzwi.

- Niech cię diabli, Angus, otwórz!

Waliła w drzwi zaciśniętymi pięściami, a potem zaczęła kopać w przymocowaną u dołu błyszcząca mosiężną tabliczkę, wypływając z siebie słowa, których nie używała od czasów szalonej młodości.

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Padający śnieg przesłaniał prawie wszystko. Schyliła się, by poszukać klucza od domu. Bohaterowie oglądanych przez nią filmów zazwyczaj chowali klucze pod roślinami doniczkowymi, wycieraczkami albo na framudze drzwi. Potrząsnęła wycieraczką pokrytą półcentymetrową warstwą śniegu. Klucza nie było. Stawiając na palcach dosięgnęła framugi drzwi. Uwity z pachnących roślin wieńiec połaskotał ją po twarzy wywołując kichanie. Tu też nie było klucza. Zajrzała do środka pojemnika, w którym mleczarz zostawiał zamówione mleko. Stały w nim dwa litry mleka i pół litra śmietany. Z pewnością oznaczało to, że w tej chwili nikogo nie ma w domu, ale że wkrótce wróci; w przeciwnym razie mleko i śmietana zamarzłyby. Tutaj również nie było nic. Gdy przechyliła pojemnik, okazało się, że klucz jest przylepiony taśmą do jego dna.

- Jak cholernie łatwo przewidzieć, co zrobisz, Irene.

Alexis schowała do kieszeni kawałek szarej taśmy izolacyjnej, którym przylepiony był klucz, by po opuszczeniu domu umieścić go w tym samym miejscu.

W środku było ciepło, termostat ustawiono na dwadzieścia dwa stopnie. Zawołała, choć wiedziała, że nikt jej nie odpowie. Gdzie oni są? Czy farmer miał rację i Angus opalał się na jakiejś wyspie na morzach południowych? A może Tanner zadzwonił do ojca i uprzedził, że ona przyjedzie? To do niego podobne - zrobić jej na złość. Zrzuciła buty i zdjęła futro. Nigdy przedtem nie była w tym domu. Uważała, że jest mały i tandetny, ale przytulny. Angus lubił przytulne rzeczy. Meble były wytarte, podłoga przykryta stosunkowo nowym, choć tanim dywanem. Wszędzie, gdzie tylko spojrzała, stały fotografie bliźniąt. Siedząc przy rozpalonym kominku, z nogami opartymi na wytartej otomanie, Angus był z pewnością w siódmym niebie. Fotel obity tą samą tkaniną co otomana był tak szeroki, że dwie osoby mogły w nim wygodnie usiąść. Irene i Angus. Usiadła na beżowo-brązowym fotelu. Niezwykle wygodny. Człowiek się w nim po prostu zapadał.

Alexis zmrużyła oczy i wpatrywała się w choinkę ustawioną w kącie po prawej stronie kominka. Pasowała do pokoju, tak jak i wszystkie zawieszona na niej bożonarodzeniowe ozdoby. Alexis miała oko do antyków, wiedziała więc, że niektóre z nich były bezcenne. Wsparła głowę na miękkim oparciu fotela. Kiedyś, gdy była małą dziewczynką, przebywała w pokoju podobnym do tego. Stała tam dokładnie taka sama choinka jak ta udekorowana stwardniałym popcornem i zwiędłymi żurawinami, jednak nie było pod nią upominków. Podniosła się z fotela i podeszła do choinki, by obejrzeć starannie ułożone prezenty. Były elegancko zapakowane, prawdopodobnie kosztowne. Kto je kupił? Irene? Angus? Przypomniała sobie reklamówkę z dwoma niechlujnie zapakowanymi prezentami, które wręczyła jej Jessie Roland.

Alexis opadła na kolana. Potrząsnęła paczuszkami, a potem przyjrzała się przywieszkom z imionami. Wszystkie były dla Irene i jej dzieci. Od Angusa.

- Angus! Niech cię piekło pochłonie!

Zamglonym wzrokiem wpatrywała się w dużą bombkę wiszącą tuż przed nią. Wiedziała, że jest droga, oglądała katalogi podobnych ozdób. Wyciągnęła rękę i zgmiotła ją. Drobne kawałeczki kruchego szkła rozprysły się wokół pięknie zapakowanych prezentów. Zniszczyła następną, a potem jeszcze jedną. Podniosła wzrok i na czubku choinki zobaczyła delikatnego porcelanowego aniołka. Złapała szczypcy kominkowe i jednym ruchem zdruzgotała go. Kawałki porcelany zniknęły wśród gałęzi jodły. Alexis dygotała; była tak wściekła, jak nigdy dotąd w życiu.

Smagając raz za razem choinkę szczypcami kominkowymi zniszczyła resztę wiszących na niej cacek. Ostatnie uderzenie przewróciło choinkę. Potoczyła się w róg pokoju. Alexis odłożyła szczypcy na miejsce i poszła do kuchni. Roznosił się w niej zapach cynamonu i cytryny, podobnie jak w domu, w którym mieszkała tak dawno temu. Przez chwilę delektowała się tym zapachem. Irene bardzo lubiła gotować i piec ciasta. Lodówkę wypełniało jedzenie, nie było kawałka wolnego miejsca. Na pierwszej półce stała soczysta różowa szynka. Na drugiej - dwa pieczone kurczaki na półmisku. Pozostałości pieczeni, ulubionego dania Angusa, zajmowały trzecią półkę. Świeże warzywa wypełniały oba dolne pojemniki lodówki. Butelki wina, mleka i soku stały na najwyższej górnej półce. Alexis nie zamknęła drzwi lodówki i zamrażarki.

Zastanowiła się przez chwilę, co znajduje się w lodówce w jej domu w Teksasie. Powinna to wiedzieć, ale nie wiedziała.

Pod pokrywą z rżniętego szkła leżało ciasto rumowe – przysmak Angusa. Podkraśla kawalek. Było wyśmienite. Zrzuciła pokrywę, która rozbiła się o wykładaną kafelkami podłogę. Depcząc potłuczone szkło Alexis sięgnęła po drugą pokrywę, pod którą znalazła struclę nadszwaną bakalią. Kolejny z ulubionych deserów Angusa. Także ją zrzuciła. Irene zawsze kochała rośliny doniczkowe. Nad zlewem wisiała piękna szmaragdowa paproć. Ani jeden brązowy czy żółty listek nie szpecił wspaniałej rośliny. W kwaciarni podziwiano by ją i umieszczono w oknie wystawowym. Angus także miał w biurze rośliny, które sam pielęgnował. Ze stojaka obok piekarnika Alexis wzięła nóż o długim trzonku. Przecięta w dwóch miejscach paproć spadła do zlewu. Rozsypała się czarna ziemia z doniczki.

Na porysowanych dębowych krzesłach leżały poduszki w pokrowcach w czerwonej szachownicy. Dopasowane do nich pokrowce na siedziska były w tym samym kolorze co wiszące w oknach zasłony. Wszystkie wyglądały na szyte ręcznie. Irene zawsze lubiła szyć. Wiszący na ścianie obok zlewu kilim to też z pewnością jej robota. Bohaterki filmów oczekując w długie zimowe wieczory na powrót mężów zawsze zajmowały się robotkami domowymi tego rodzaju. Alexis zebrała rękodzieła Ireny, zaniósła do salonu, wrzuciła do kominka i podpaliła długą zapałką. Płomienie strzeliły ku górze.

Poszła do jadalni. Otworzyła antyczną serwantkę, w której były ustawione stare rodowe kryształ. W Teksasie nie miała niczego, co choć w połowie byłoby tak piękne. Rozkołysała serwantkę, aż w końcu ją przewróciła. Tłukące się kryształ wydały melodyjny dźwięk.

Krótkim wąskim korytarzem przeszła do głównej sypialni. Podwójne łóżko było starannie zasłane. Zwykły pokój, po części męski, a po części kobiecy w charakterze, ciepły i intymny. Dominowały w nim różne odcienie brązów. Na podłodze leżał miękki ciemnoczekoladowy dywan. Mały kominek wyglądał na często używany. Jak tu przytulnie... W wiklinowym koszyku znajdowały się ułożone prostopadle kawałki drewna. Stały tu też dwa dopasowane do całości krzesła, a w rogu – telewizor.

Ślepa furia ogarnęła Alexis, gdy wyobraźnia podsunęła jej obraz męża i Irene siedzących obok siebie albo kochających się w małżeńskim łóżu. Ciężkim

krokiem chodziła po pokoju drżąc z wściekłości. Mokre ręczniki wiszące obok siebie w małej łazience podsyciły jej gniew.

Miotła się po pokoju jak dzikie zwierzę. Wyrzuciła wszystko z szuflad komody i z szafy, w której ubrania jej męża wisiały obok niegustownej garderoby Irene. Nożyczki leżące w pudełku do szycia na górnej półce szafy bardzo się przydały w dziele zniszczenia. Z twarzą wykrzywioną furją cięła odzież. Skończywszy w sypialni, poszła do łazienki i porozrywała na strzępy mokre wytarte różowe ręczniki. Otworzyła apteczkę, by zniszczyć jej zawartość. Zobaczyła mnóstwo stojących na dolnej półce buteleczek z lekarstwami. Biorąc do ręki jedną z nich, doznała dziwnego uczucia: modliła się, by nie ujrzeć na niej wypisanego nazwiska Angusa. Nie było go. Odetchnęła z ulgą. Dokładnie obejrzała jedną, prawie pustą buteleczkę. Na etykiecie napisano: „Środek przeciwbólowy, zażywać jedną pastylkę co cztery godziny w razie wystąpienia bólów”. Myśl, że Irene Marshall cierpi, sprawiła jej przyjemność. W małej saszetce pod zlewem znalazła kawałek ołówka do brwi. Spisała nazwy lekarstw, by później sprawdzić, jakie mają działanie. Ich niemożliwe do wymówienia, nieznanne nazwy świadczyły o poważnej chorobie Irene.

- Jak to miło - zamruczała.

Zostawiła lekarstwa nietknięte i zamknęła drzwiczki apteczki.

Idąc wzdłuż korytarza dotarła do sypialni bliźniąt. Zatrzymała się w drzwiach, zaskoczona panującym tu bałaganem. Nie mogła sobie przypomnieć imion dzieci. Fotografia Irene, Angus a i bliźniąt powiększona do rozmiarów plakatu zajmowała centralne miejsce na jednej ze ścian obok mniejszego plakatu Johna Lennona. Z porozrzucanych wszędzie ubrań, książek i rupieci można się było domyślić, że pokój należy do dziewczyny.

Zmarszczyła nos. Przecież to studenci college'u, choć młodzi, ale już dorośli. Nigdy by nie dopuściła w swoim domu do takiego nieporządku w żadnym pomieszczeniu. Pokój chłopca wyglądał jeszcze gorzej, sprzęt sportowy poniewierał się wszędzie. Tu plakat wiszący na ścianie był inny. Przedstawiał Angus a, Tannera i stojącego między nimi chłopca w rękawicy do baseballu. Angus i Tanner obejmowali baseballistę ramionami. Szalona furia, którą odczuwała od jakiegoś czasu, ogarnęła ją z taką siłą, że musiała usiąść na brzegu łóżka.

- Jak śmiesz przyprowadzać tutaj naszego syna! Jak śmiesz, Angus!

Siedziała tak długo, dopóki wściekłość nie osłabła.

Dlaczego, na Boga, przyszła do tego okropnego miejsca? Dlaczego sama siebie zadrezczała? Nie powinna znajdować się w tym siedlisku grzechu. W salonie rozejrzała się szukając telefonu. Przekartkowała książkę adresową Irene i znalazła numer firmy taksówkowej. Czekając na połączenie zerwała małą białą wizytówką przypiętą do ogromnej poinsecji stojącej obok telefonu. Przez moment myślała, że zemdleje. Na wizytówce przeczytała: „Życzymy wam wspaniałych świąt. Resa i ja przesyłamy pozdrowienia”. Pod spodem widniały podpisy Tannera i Resy. Kiedy w słuchawce odezwał się zgrzytliwy, ochrypliły głos dyspozytora, Alexis podała adres Irene. Poinformowano ją że z powodu opadów śniegu taksówkę będzie można wysłać dopiero za godzinę. Usłyszawszy to, cisnęła poinsecję w kierunku kominka, w którym tliły się już tylko popioły.

Co będzie robić przez całą godzinę? Postanowiła napić się kawy. Czekając, aż się zaparzy, skubnęła kawałek ciasta rumowego. Naprawdę było doskonale. Zjadła drugi kawałek; resztę wrzuciła do zlewu, w którym leżała połamana paprotka.

Popijając kawę zastanawiała się, czy można ją oskarżyć o włamanie i wtargnięcie na cudzy teren. Pomyślała, że to bardzo prawdopodobne. Musiała stąd odejść tak szybko, jak to możliwe. Padał coraz większy śnieg. Czy samolot odleci punktualnie? Może będzie musiała zatrzymać się w hotelu? Wypiła kawę, opłukała filiżankę i wyłączyła ekspres. Potrzebne jej były buty, najlepiej długie. Pantofle z odsłoniętymi palcami i piętami nie nadawały się do niczego w taką pogodę, a nie chciała się przeziębic.

Szafa w przedpokoju była po brzegi wypełniona butami. Po chwili wahania wybrała botki do kostek, o numer za duże i za szerokie. Spełnią swoje zadanie. Powłócząc nogami poszła po futro i torebkę. Włożyła futro i poszła do szafy, gdzie przedtem widziała małą brezentową torbę wiszącą na drzwiach. Wepchnęła pantofle do torby. Była gotowa. Mogła wracać do Teksasu. Po zamknięciu drzwi na klucz przykleiła go dokładnie tam, gdzie znalazła – pod pojemnikiem na mleko. Taksówka przyjechała pięć minut później. Jeśli będzie padało, wszelkie pozostawione przez nią ślady zasypie śnieg.

Naprawdę nienawidziła tego miasta.

Jessie, nie do końca przebudzona, delektowała się przyjemnym ciepłem łóżka. Przeciągnęła się rozmyślając o Tannerze i o dwóch godzinach, jakie spędzili w jacuzzi popijając wino.

To był jeden z najprzyjemniejszych wieczorów w jej życiu. Tak przyjemny, że miała ochotę przeżyć ich dużo więcej. Dobrze wyglądała w kostiumie kąpielowym Resy. Tanner zauważył nawet, że leży na niej lepiej niż na Resie. Jessie zanurzyła się głębiej w pościeli, zarumieniona na myśl o ilości wina, jakie wypija. Jeszcze jeden kieliszek i sama zaciągnęłaby Tannera do łóżka. Zastanawiała się, co przyniesie dzisiejszy dzień. Czy Tanner kiedykolwiek ją pocałuje? Przecież była po temu okazja, a on jej nie wykorzystał. Może jego powściągliwość jest spowodowana tym, że Jessie pracuje dla ojca? A może po prostu nie jest w jego typie i nie jest nią zainteresowany?

Pamiętała jednak słowa, które Resa szepnęła jej do ucha, gdy wychodzili:

- Tanner nigdy nie kapał się z żadną dziewczyną w jacuzzi, nawet z Łasicą. Musisz mu się naprawdę podobać.

Miała nadzieję, że tak. Modliła się, by tak było.

Wiedziała, że zaczyna go kochać, i nic na to nie mogła poradzić. Szkoda, że Sophie jest zbyt daleko, by do niej zadzwonić. Pragnęła podzielić się z kimś swoimi myślami i uczuciami.

Boże, czuła się wspaniale.

Dudniący głos Tannera zagrzmiał w pokoju.

- Hej, Jess, jest ósma trzydzieści. Wstawaj i do dzieła!

Mocno uderzył w drzwi raz i drugi.

- Daję ci dziesięć minut!

Uwielbiała, gdy nazywał ją Jess.

- Piętnaście! - krzyknęła.

- Ale ani minuty dłużej.

Jeszcze dwa stuknięcia w drzwi, a potem cisza. Jessie ruszyła pod prysznic.

Piętnaście minut później biegiem wpadła do pokoju śniadaniowego.

- Uwielbiam, gdy dama jest punktualna - powiedział z szerokim uśmiechem Tanner.

- Nie hałasuje się przy stole. Gdzie twoje maniery? Dzień dobry, panno Roland - usłyszeli od progu.

Dobry nastrój Jessie prysł natychmiast.

- Dzień dobry, pani Kingsley.

- Kiedy wróciłaś, mamo? Jak się czuje ojciec?

- Wróciłam wczoraj, późnym wieczorem. Nie widziałam się z ojcem. W ogóle nie opuściłam lotniska. Dzwoniłam do niego ze sto razy, ale nikt nie odpowiadał. W końcu dałam za wygraną. To była tylko strata czasu. Na całym Wschodnim Wybrzeżu szalała burza śnieżna. Miałam szczęście, że udało mi się złapać powrotny samolot do domu. Czy ojciec dzwonił podczas mojej nieobecności?

Tanner ugryzł kawałek tosta.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Jessie i ja wyjeżdżamy do miasta i nie wrócimy ani na lunch, ani na kolację. Tutaj wszystko jest przygotowane. Wczoraj jedliśmy lunch z Resą. Szkoła jest zamknięta na okres ferii świątecznych, więc ona wybierze się z nami na zakupy. Czy przywieźć ci coś z miasta?

Jessie wzdrygnęła się na dźwięk uprzejmego, lecz zimnego tonu, jakim zwracał się do matki.

- Nie. Tak nawet będzie lepiej. Dzisiaj zmieniam wystrój domu i płatałbyście się tylko pod nogami.

- Co to znaczy, że zmieniasz wystrój domu?

- Zmieniam dekoracje świąteczne. Powinieneś być zadowolony. Resa i ty przez tyle lat narzekaliście, że źle urządzam święta. W tym roku będzie tradycyjne Boże Narodzenie.

Choć Jessie wydawało się to niemożliwe, ton głosu, jakim Tanner odezwał się do matki, był teraz jeszcze zimniejszy.

- Mamo, teraz to bez znaczenia. Resa i ja jesteśmy dorośli. To było dla nas ważne, gdy byliśmy dziećmi. Poza tym i tak mnie tu nie będzie. Spędzam święta z Resą. A na wypadek, gdybyś zapomniała, robię tak już od pięciu lat. Jessie przyłączy się do nas. Czyli, krótko mówiąc, szkoda pieniędzy i czasu, jeśli chcesz to zrobić dla nas.

Alexis siedziała z zaciśniętymi ustami, obrzucając ich złym wzrokiem spod zmrużonych powiek.

- Rozumiem.

- Wątpię - powiedział Tanner. - Jessie, lepiej wyjdźmy. Możemy zjeść coś na mieście. Przyjemnego dnia, mamó. Zobaczymy się, kiedy się zobaczymy.

Jessie podniosła się z krzesła.

- Do widzenia, pani Kingsley.

Nozdrza Alexis zadrgały.

- Chwileczkę, panno Roland. Czy była pani w mojej sypialni i używała moich perfum?

Jessie zatrzymała się gwałtownie.

- Słucham?

Tanner odwrócił się do matki z morderczym wyrazem twarzy.

- Co sugerujesz, mamó?

- Chcę wiedzieć, skąd ta... sekretareczka ma perfumy warte czterysta dolarów za ćwierć uncji. Niezbyt wiele osób może sobie pozwolić na drogie francuskie perfumy, a szczególnie już osoba z pensją sekretarki.

- Więc twierdzi pani, że poszłam do jej pokoju i użyłam jej perfum, pani Kingsley? - spytała Jessie zdławionym głosem.

- Dokładnie tak myślę. Chyba że potrafisz dać lepsze wyjaśnienie.

- Nie, nie, Jessie. Pozwól, że ja to wyjaśnię - powiedział Tanner.

Jego oczy były zimne jak stal, szczeka wysunięta do przodu, gdy z góry patrzył na matkę.

- Jessie dostała je w prezencie od swojej najlepszej przyjaciółki, Sophie. Właśnie wczoraj o tym rozmawialiśmy. Panna Sophie może sobie kupić parę litrów tych perfum i ochlapać nimi cały dom, jeśli zechce. Jesteś Jessie winna przeprosiny. Skoro jednak wiem, że tego nie zrobisz, bo jesteś arogancka i bezlitosna, znowu uczynię to w twoim imieniu. Czasami, mamó, wzbudzasz we mnie obrzydzenie. Chodźmy, Jessie.

- Możesz minutkę poczekać, Tanner?

- Tyle minut, ile zechcesz - odpowiedział Tanner.

Jessie pobiegła po schodach na górę. Wpadła do swojego pokoju, złapała elegancki malutki wykonany ze złota i kryształu flakonik perfum. Zbiegła po schodach i z trzaskiem postawiła go na stole przed matką Tannera.

- Niech je pani sobie zatrzyma! - powiedziała zdławionym głosem i wybiegła z pokoju.

- Czasami, mamo, po prostu nie mogę cię znieść. Teraz właśnie jest taka chwila. Tylko tak dalej, a wyprowadzę się do Resy. Mam nadzieję, że jest ci wstyd.

- Nie bądź śmieszny, Tanner. Każdy by pomyślał to, co ja. Nie, nie jest mi wstyd. I jeszcze coś: nigdy więcej nie próbuj mi grozić. Bo to była groźba, prawda?

- Możesz to rozumieć, jak chcesz.

Po wyjściu z domu Tanner wziął głęboki oddech. Widział, że Jessie płacze. Niech to diabli! Resa wiedziałaby, co powiedzieć i zrobić.

- Jessie, przykro mi, że tak się stało. Zbyt wiele czasu zajmuje mi przepraszenie cię w jej imieniu. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje.

Objął ją, mrużąc słowa, których nie rozumiała.

- Nie mogę tu zostać. Muszę wrócić do Waszyngtonu. Dlaczego ona mnie nie lubi? Dobry Boże, przecież nawet mnie nie zna.

- Cicho, to nieważne.

- To jest ważne. Zaczynam cię za bardzo lubić, ale nic z tego nie będzie.

Pocałował ją, by nie słyszeć, co jeszcze chciała powiedzieć.

Dużo później oznajmił:

- Nie chcę, żebyś wyjechała. Możesz się zatrzymać u Resy.

Jessie westchnęła. Pocałunek oznaczał jej zgubę.

- Nie, nie mogę zostać u Resy. Nie zamierzam naruszać jej prywatności. Jest zakochana i cały wolny czas pragnie spędzać z Joshem. Jeśli naprawdę chcesz, żebym została, zatrzymam się w hotelu.

- Podaj mi numer telefonu do taty. Nie udawaj, że go nie masz. To zbyt poważna sprawa, by ją odpuścić.

- Będzie zły, jeśli ci go dam.

- Nie, nie będzie. Nie wtedy, gdy się dowie, co matka wyprawia.

- Przykro mi, Tanner. Nie mogę tego zrobić. Dałam ojcu słowo. Prosił, bym zadzwoniła, gdy twoja matka wróci. Czy mogę zadzwonić z mieszkania Resy?

- Oczywiście. Chodźmy. Dobrze się czujesz?

- Chyba tak. To dopiero pocałunek! Powinniśmy go powtórzyć.

W sprzyjających okolicznościach bądź odważna i śmiała – doradzała jej przecież Sophie.

Tanner roześmiał się.

- Nie martw się, zrobimy to.

Poinformowanie Resy o zachowaniu matki zabrało im całe dziesięć minut.

- Jessie, jakie to okropne - jęknęła Resa. - Matka ciągle tak postępuje. Czasami myślę, że nie zdaje sobie sprawy, co robi. Nie mogę uwierzyć, że moja własna matka rozmyślnie rani kogoś tak, jak zraniła ciebie. Ale przecież przez całe lata ze mną robiła to samo. Czasami myślę, że mnie nienawidzi.

- Ona nie nienawidzi ciebie, Resa. Myślę, że ona nienawidzi samej siebie.

- I tatusia - dodała Resa.

- Czy Jessie może skorzystać z telefonu w sypialni? - spytał Tanner.

- Oczywiście. Popatrz, Tanner, to paczka od ojca, przysłała dziś rano. Prezent dla mnie na Boże Narodzenie. Zastanawiam się, dlaczego przysłał go tutaj.

- Nie bądź tępą, Resa. Przysłał go tutaj, bo wie, że nie wybierasz się na ranczo. Jessie własnoręcznie dostarczyła prezenty dla mnie i dla matki - powiedział zadowolony z siebie. - Nie zapomnij, Jessie, że chcę porozmawiać z tatą, zanim odłożysz słuchawkę.

Jessie rozejrzała się po małej sypialni, nakręcając numer telefonu senatora.

Tak wygląda sanktuarium, pomyślała.

Narzuta w jasnoczerwone tulipany rozłożona na podwójnym łóżku sprawiała tak radosne wrażenie, że Jessie aż zamrugwała oczami. Na białym antycznym bujanym fotelu leżały poduszki pokryte pokrowcami ze sztruksu w tym samym kolorze. Wykrochmalone białe firanki wisiały w oknach. Atmosfera w pokoju była nie tyle dziewczęca, co raczej przytulna i kobieca. Na lśniącej czystością podłodze z twardego drewna leżały jasnoczerwone dywaniki. Ściany zdobiły rysunki wykonane przez dzieci, na każdym widniał odcisk dziecięcej ręki.

- Tak, senatorze, to ja. Pani Kingsley wróciła wczoraj późnym wieczorem. Powiedziała, że nie ruszyła się z lotniska z powodu burzy śnieżnej na Wschodnim Wybrzeżu. Jak twierdzi, miała szczęście, że udało jej się złapać powrotny lot do Teksasu. Jestem u Resy, senatorze. Najpierw pójdziemy na zakupy, a potem upieczemy świąteczne ciasteczka. Wspaniale się bawię. Kocham pańską córkę. Tak, pańskiego syna też lubię. Tanner chce z panem

porozmawiać. Nie chciałam mu podać numeru telefonu, bo obiecałam, że tego nie zrobię. Proszę poczekać, zawołam go. Jeśli będzie pan wracał do miasta samochodem, proszę uważać.

Siedząc w małym saloniku, Jessie popijała gorącą kawę.

- Wsadziłam do piekarnika kilka pączków - poinformowała Resa. - Za chwilę będą ciepłe. Posłuchaj, nie pozwól, by moja matka zepsuła ci humor, po jakimś czasie nauczysz się, jak zbić ją z tropu.

Jessie stwierdziła, że oscyluje pomiędzy uczuciami tłumionej miłości i głębokiej nienawiści. Gdzie jest złoty środek?

Tanner wrócił do kuchni, gdy Resa wyjmowała pączki z piekarnika.

- Skrop je rozpuszczonym masłem, siostrzyczko. Przed wyjściem koniecznie włącz automatyczną sekretarkę. Poprosiłem tatę, żeby zadzwonił, jak wróca do domu Irene. Nie znosi prowadzić w taką pogodę, ale Irene i bliźnięta chcą wrócić.

- Jest zawsze włączona. Sprawdzam, kto do mnie dzwoni, i jeśli nie chcę z kimś rozmawiać, nie podnoszę słuchawki. Nie odpowiadam tylko na telefony matki - wyjaśniła Resa.

- Do mnie nikt nigdy nie dzwoni, więc nie muszę się o to martwić - powiedziała Jessie.

- Ja będę do ciebie dzwonił, więc lepiej podnoś słuchawkę - powiedział Tanner.

Jessie zarumieniła się, a Resa uśmiechnęła.

- Nie powiesz nam, co powiedział tata?

- Powiedział, że sam się sprawą zajmie. Załatwi to po swojemu.

- Zostawmy nie umyte naczynia i chodźmy na zakupy. Chcę Joshowi kupić coś absolutnie wspaniałego. Coś, czego sam nigdy by sobie nie kupił. Coś zupełnie niesamowitego. Coś, na co tylko rzuci okiem i od razu pomyśli, że Resa kupiła to dla niego.

- A więc chodźmy, moje panie. Sam też muszę kupić kilka prezentów.

- Ja też - pisnęła Jessie.

To takie miłe, pomyślała Jessie wyjmując pakunki z bagażnika samochodu Tannera. Zupełnie jakbym znała tych ludzi od wieków. Po raz pierwszy w życiu czuję się z kimś związana. A najlepsze jest to, że wszystko dzieje się w

najwspanialszym okresie roku. Nie pozwolę, by Alexis Kingsley zepsuła mi całą przyjemność. Przetrwam to tak, jak przetrwałam wszystko inne w moim życiu.

- Wyglądasz na zamysloną - powiedziała Resa. W obu rękach niosła pełno pakunków.

- Naprawdę? Myślałam właśnie o tym, jaka jestem szczęśliwa. Dotychczas święta Bożego Narodzenia i Dziękczynienia spędzałam z Sophie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak obawiałam się tegorocznych świąt.

- A więc zdecydowałaś się wziąć byka za rogi i pozostać na ranczu?

Jessie skinęła głową.

- Wierz mi, Jessie, Tanner nie pozwoli, żeby matka znowu sprawiła ci przykrość. Patrz, pali się czerwona lampka. Ktoś dzwonił. Albo Josh, albo tatuś. A może obaj?

- Jak długo zamierzasz wpatrywać się w to migające światełko, siostrzyczko? Aha, rozumiem. Chodź, Jessie, to może być Josh szepczący słodkie słówka przeznaczone tylko dla jej uszu. Idę zrobić kawę, dobrze?

- Zmiel dwukrotnie, Tanner - przypomniała Resa.

- Czasami potrafi być taka cholernie apodyktyczna. Tak jakbym nie wiedział, że kawę trzeba mieć dwa razy. Powtarza mi to przynajmniej raz na tydzień - zrzędził Tanner.

Jessie uśmiechnęła się.

- Z jakiegoś powodu trudno mi wyobrazić sobie, jak gotujesz albo parzysz kawę.

- Jack i ja mieszkaliśmy razem przez dwa i pół roku. Nie stać go było, by jadać na mieście, a umiał gotować. Nauczył mnie wszystkiego, co sam umiał, choć nie było tego aż tak cholernie dużo. Ale nie głodowaliśmy. Przyrządzał najlepszy stek z pieprzem, jaki kiedykolwiek jadłem. Jezu, oddałbym wszystko, by był tu z nami. Spodobałby ci się, Jessie. Widzisz, mówiłem ci, że święta nastrajają mnie do wspomnień. Wciąż myślę o tym facecie.

- Nikt, kogo dotąd poznałam, nie umarł... tylko Agnes Prentis. Jednak jej nie znałam zbyt dobrze. To musi być okropne przeżycie.

- Tak... szczególnie świadomość, że to ostateczność, że już nigdy, przenigdy tej osoby nie zobaczysz. Że nigdy nie usłyszysz, jak się śmieje, jak wymawia twoje imię. Nigdy nie spytasz: „Hej, Jack, co sądzisz o zdobytym punkcie?” Cholera! Dlaczego w ogóle zacząłem o tym mówić?

- Chyba miało to coś wspólnego z mieleniem kawy. Resa, co się stało?
- Tatusz chce, żebyś do niego zadzwonił, Tanner. Coś się wydarzyło, ale nie chciał mi powiedzieć co. Tu masz numer.

- Jezu! Może chodzi o Irene?

- Nie sądzę. Słyszałam jej głos w tle. Bliźnięta też coś trajkotały. Cokolwiek to jest, musi być poważne. Nigdy nie słyszałam, by ojciec mówił takim tonem. Wrócili bez problemu do domu, więc nie chodzi o wypadek samochodowy ani nic podobnego. Zadzwoń z telefonu w kuchni. Chcę to słyszeć.

Jessie podniosła się, by wyjść do salonu.

- Nie odchodź, Jessie. O naszej rodzinie wiesz już chyba wszystko, więc lepiej, żebyś została. Może tata będzie chciał z tobą porozmawiać.

- On ma rację, Jessie. Tanner, dzwoń od razu. Na samą myśl o tym, co mogło się stać, jestem kłębkiem nerwów. Głos tatusia brzmiał... okropnie.

- Cicho, dzwoni telefon. Tato, co się stało?

Jessie i Resa widziały, jak cała krew odpływa z twarzy Tannera.

- Jezu, czy z Irene wszystko w porządku? Chcesz, żebyśmy do was przyjechali? Na pewno za kilka godzin dostaniemy się na jakiś samolot. Wiem tylko to, co mi powiedziała. Nie myślisz chyba... Zadzwońiłeś na policję? Co powiedzieli? Więc kto ma klucz? A może bliźnięta go zgubiły albo pożyczyły komuś? Dobrze, wiem, że można na nich polegać. Irene przygotowuje spaghetti? Aha. Co mam zrobić, tatusiu? Nic? Nie, myślę, że nie powinieneś wracać do domu. Resa i Jessie są tego samego zdania. Chwileczkę... Matka dziś rano powiedziała coś dziwnego. Zamierza pozbyć się tych śmieci rodem z filmu fantastycznego, którymi przez tyle lat dekorowała dom. Oznajmiła, że weźmie kogoś, by zmienił wystrój wnętrza na bardziej tradycyjny. Zrozumiałem, że chodziło jej o zieloną choinkę z dużą ilością czerwonych ozdób. I o bożonarodzeniowe rośliny. Tatusiu, mógłbyś zadzwonić do firm taksówkowych i zapytać, czy mieli kurs do domu Irene. Myślę, że prowadzą rejestry. Mógłbyś też zadzwonić do firm wynajmu samochodów. Irene jest ubezpieczona, prawda? Do diabła, co to znaczy, że nie zostało przedłużone? Nie mogłeś jej w tym pomóc? Myślałem, że jesteś ponad to. Sam często wbijałeś nam to do głowy. U nas wszystko w porządku. Jesteś pewien, że nie chcesz, żebyśmy przyjechali do Waszyngtonu? Dobrze. Cześć tato.

- Co się stało?

- Myślę, że połapałyście się mniej więcej, o co chodzi. Ktoś włamał się do domu Irene i wszystko zniszczył. Policja twierdzi, że ta osoba musiała mieć klucz, bo zamki nie były wyłamane, a okna zamknięte. Ten, kto to zrobił, zniszczył wszystko. Wszystkie cenne rodowe pamiątki Irene, wszystkie kryształki z jadalni. Zrobił też niezły bałagan w kuchni. Spalili dywanik z kuchni i pokrowce, pociął choinkę. Tatuś myśli, że zrobiła to matka.

- Matka!? Przecież powiedziała, że nie opuszczała lotniska.

- Tak twierdzi - zgodził się Tanner.

- To może być zabójcze dla Irene w jej stanie.

- Irene robi spaghetti. Bliźnięta poszły kupić drugą choinkę. Gdy minie szok, Irene poradzi sobie z tym.

- Matka nie zrobiłaby czegoś takiego, prawda, Tanner? - spytała Resa niepewnie.

- Jak Boga kocham, nie wiem. Może to się nie trzyma kupy, ale dlaczego ona nagle wszystko zmienia? Chodzi mi oczywiście o świąteczny wystrój domu.

- Chciałabym wierzyć, że w końcu zrozumiała, jak przygnębiające wrażenie robi cały ten niebiesko-biały śmietnik.

- Na dzień przed jej osławionym dorocznym przyjęciem? Dokładnie następnego dnia po wyprawie do Waszyngtonu, gdzie cały czas rzekomo przesiedziała na lotnisku, a potem wróciła do domu? Nie wierzę w to i myślę, że ty też nie wierzysz.

Resa chodziła tam i z powrotem po małej kuchni.

- Czy tatuś zadzwoni do firm taksówkowych? Boże, Tanner, a co będzie, jeśli to prawda?

- Myślę, że tak naprawdę on wcale nie chce wiedzieć. Nie, przypuszczam, że nie zadzwoni. Ze względu na Irene. Ona załamałaby się zupełnie, gdyby się dowiedziała, że zrobiła to matka. Z przypadkowym wandalizmem łatwiej sobie poradzi.

- Czuję, że powinniśmy coś zrobić - powiedziała Resa.

- Pojedźmy do Waszyngtonu - powiedział Tanner. - Zadzwoni do Josha i spytaj go, czy chce z nami jechać. Zabiorę Jessie na ranczo po rzeczy. Jest lot o ósmej, tatuś zwykle z niego korzysta. Uda nam się, jeśli od razu się zdecydujemy. Płacę za wszystko.

- Dobrze, Do roboty. Namówię Josha. Przyjedź po nas, dobrze? Ja zatrzymam się u Jessie, a ty i Josh możecie zamieszkać u taty. Zgadzasz się, Jessie?

- Oczywiście.

- Zbierz rzeczy, Jessie. Pospiesz się.

- Wy, teksańczycy, rzeczywiście działacie dość impulsywnie – powiedziała Jessie pakując się.

- Jak sądzisz, Jessie, czy dobrze robimy? Powiedz szczerze. Jessie odpowiedziała bez namysłu:

- Oczywiście. Uważam, że w takiej chwili oboje jesteście potrzebni ojcu.

- To mi wystarczy.

- Jak matka to przyjmie?

- Niedobrze. Bardzo niedobrze.

10

Gdy skręcili na dwukilometrowy podjazd wiodący do rancza Kingsleyów, nagle ich oczom ukazały się tysiące błyszczących kolorowych światełek. Tanner zatrzymał samochód i otworzył okno.

- O, do diabła!

Oszołomiona widokiem Jessie wysiadła z samochodu.

- To świąteczne lampki, wyglądają jak tęcza. Są ich chyba tysiące – powiedziała z podziwem w głosie.

- Z tego miejsca wygląda, jakby ich było przynajmniej milion – powiedział Tanner wysiadając z samochodu.

- Masz rację, są wszędzie, nawet na ogrodzeniu. Jezu! Albo generatory pracują pełną parą, albo matka wyciąga kilowaty z rancza Holtów. Jeśli to zrobiła, Luke będzie szalał niczym dziki mustang. Niech to diabli, teraz nic nie będzie grało. Najwyraźniej matka nie przemyślała tego, co robi. Wsiadaj do samochodu, Jessie. Nigdzie nie pojedziemy, chyba że uda mi się to uporządkować. Jak sądzisz, o czym, do cholery, myślała robiąc coś takiego? Jesteś kobietą, Jess. Może się myłę, ale czy to nie wygląda jak film rysunkowy?

Jeśli tatuś ma rację i ona... zniszczyła wszystko w Waszyngtonie... jeśli tam mogła... Muszę się przekonać, czy nie dostała obłędu. Nie uspokoję się, dopóki nie zobaczę reszty tego... cokolwiek to jest. Wsiadaj szybko do samochodu, Jessie.

Jessie odetchnęła głęboko.

- Przede wszystkim nie wiesz, czy twoja matka w ogóle była w domu Irene. Powiedziała, że nie. Wszyscy jesteśmy niewinni, dopóki nie udowodni się nam winy. Mówiła, że urządzi święta w starym stylu. Może ta iluminacja jest częścią tego, co ona uważa za tradycyjne święta. Większość kobiet nie ma pojęcia o elektryczności. Ja nie mam. Nie sądzę też, by twoja matka osobiście porozwieszała wszystkie te lampki. Tylko zgaduję, ale urządzenie takiego pokazu z pewnością wymagało pracy całej armii mężczyzn. Dekoratorzy prawdopodobnie zrobili dokładnie to, co im poleciła, to znaczy włączyli je. Zapaliły się i na tym koniec. Jestem pewna, że jeśli wszystko matce wyjaśnisz, wprowadzi zmiany.

- Czy to będzie przedtem czy potem, jak Luke Holt nas zrujnuje? - odciął się Tanner.

Jessie nie potrafiła na to odpowiedzieć. Wsiadła z samochodu i poszła za Tannerem.

Z daleka z zachwytem patrzyła na wielokolorowe światła, ale wszedłszy do domu stanęła niczym rażona piorunem. Centralny element stanowiła sięgająca sufitu, monstrualnych rozmiarów choinka. Wokół pełno było elfów, miniaturowych szopek i prezentów zapakowanych w błyszczącą czerwoną folię. Cofnęła się o krok, potem o drugi. Widziała, że Tanner zaniemógł.

- Zabiorę rzeczy i spotkamy się przy samochodzie - wymamrotała. Nie wiedziała, czy Tanner ją usłyszał, bo nie zareagował na te słowa.

Gdy wchodziła po schodach na górę do sypialni, słyszała, jak woła matkę.

Cóż to była za rodzina? Musi się stąd zmyć, im szybciej, tym lepiej. Jednak najpierw powinna się trochę odświeżyć i przebrać. Czekwała w łazience aż z kranu popłynie ciepła woda, kiedy przez kanał grzewczy obok kabiny prysznicza usłyszała głos Tannera. Odkręciła mocno kurek mając nadzieję, że dźwięk spadającej wody go zagłuszy. Nic nie pomogło. Spuściła wodę w ubikacji a potem odkręciła prysznic. Wciąż słyhać było głosy. Nie miała wyboru myjąc twarz i nakładając świeży makijaż musiała słuchać rozmowy.

- Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie, mamó. Kto zawiesił te wszystkie zabawki? Czy są podłączone do generatorów awaryjnych?

- Skąd mogę wiedzieć? Dekorator wewnątrz wszystkim się zajął. To należy do jego obowiązków. Podoba ci się?

- To nieistotne. Ważne jest, czy ten twój dekorator nie podłączył się przypadkiem do skrzynki elektrycznej Holtów. Wezwij Mackiego i każ mu przełączyć wszystko na generator awaryjny, chyba że chcesz, by Luke Holt całkowicie odciął dopływ prądu. Zawarliśmy z Holtami układ i nie możesz go łamać. Nie mam czasu, by się teraz tym zajmować. Wyjeżdżam do Waszyngtonu z Jessie i Resą. Nie zostało mi dużo czasu. Każ odciąć zasilanie i zrób to natychmiast!

- Nie ma mowy! Co to znaczy, że jedziesz do Waszyngtonu? Dlaczego? Ty i Resa powinniście zostać na przyjęciu. Możesz przegonić tę sekretarkę. Niewielka strata.

- Dobrze, mamó. Niech będzie jak chcesz. Zastanów się jednak, co powiesz przybyłym na przyjęcie gościom, gdy Luke odetnie dopływ prądu. Czy będziecie się posługiwać latarkami? W jaki sposób odpicowani kelnerzy podgrzeją całe to smakowite jedzenie, które zamierzasz podać? Tata powiedział mi dzisiaj coś dosyć strasznego. Ktoś włamał się do domu Irene i zdemolował go. Uważa, że to twoja sprawka. Czy to prawda?

- Jak śmiesz oskarżać mnie o coś podobnego! Mówiłam ci, że nie opuszczałam lotniska. Jeśli Irene zostawia otwarte drzwi, nie powinna się dziwić że dzieje się coś takiego.

- Módl się, by to była prawda, mamó. Tatuś zadzwoni do wszystkich firm taksówkowych i wynajmujących samochody w mieście, żeby sprawdzić, czy był jakiś kurs do domu Irene.

- Zabraniam ci jechać do domu tej kobiety. To wszystko robota Resy. Resy i tej cholernej sekretarki. A ty, Tanner, skaczesz jak ci zagrają. Zupełnie jak pies w cyrku.

Zadzwonił telefon. Jednocześnie w domu zapadła ciemność. W ciemnej łazience Jessie usłyszała śmiech Tannera.

- Zgaduję, że dzwoni Luke Holt, by cię zawiadomić o wyłączeniu dopływu prądu, na wypadek, gdybyś tego nie zauważyła. Sama udzielisz mu wyjaśnień. Przyjemnego przyjęcia!

- Jess, jesteś gotowa?! - krzyknął w stronę łazienki - Zasilanie jest wyłączone, więc uważaj. Stój spokojnie, dopóki po ciebie nie przyjdę. Mam latarkę. Jestem gotów do wyjazdu, bo na wszelki wypadek zawsze trzymam zapakowaną torbę. Uważaj, jak idziesz i trzymaj się blisko mnie.

- Czy to z powodu tej iluminacji wysiadły bezpieczniki?

- Coś w tym rodzaju.

- A twoja matka? Bardzo zmartwiona?

- Mniej więcej. Wsiadaj, panno Roland.

- Już wsiadłam, panie Kingsley.

- Zatrzymamy się jeszcze tylko w domu Resy, - a potem następny przystanek - Waszyngton. Wygląda na to, że mimo wszystko spędzimy święta razem.

- Jeśli śnieg się nie rozpuści, to będą moje pierwsze białe święta Bożego Narodzenia.

- Myślałem, że pochodzisz z Michigan. Tam cały czas pada śnieg.

Serce Jessie zabiło mocniej. Wiedziała, że w końcu ktoś ją na czymś przyłapie.

- Zawsze spędzaliśmy święta w ciepłym klimacie. Śnieg padał, ale nigdy w wigilię Bożego Narodzenia, tak jak to pokazują na filmach. Boże Narodzenie zawsze było zbzikowane - skłamała. - Dlatego chodziłam do tak wielu szkół.

Tylko tak dalej, Jessie, wkop się jeszcze bardziej, pomyślała. Poczua ulgę widząc, że Tanner nie bardzo zwraca uwagę na to, co ona mówi.

- Posłuchaj, Jessie, przykro mi, że matka potraktowała cię podle. Mam nadzieję, że z tego powodu nie myślisz źle o mnie. Chyba nigdy nie spotkałaś rodziny podobnej do naszej. Mógłbym cię przeproszać aż do jutra, ile to niczego nie zmieni. Jest jak jest. Naprawdę cię lubię i nie chcę, iebym między nami coś się popsuło. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Czy rozumiała?

- Tak. Wierz mi, ale widywałam dziwniejsze rodziny. Szczerze mówiąc wiem, że twoja matka mnie nie lubi, ja też za nią nie przepadam. Jeśli potrafimy przejść nad tym do porządku, wszystko się ułoży. Nie wiem, czy związki na odległość mogą się udać.

- Jeśli będziemy tego chcieli, możemy sprawić, by nasz związek się udał. Ja chcę, a ty?

Jessie powiedziała bez tchu:

– O, tak. Ja też chcę.

– Więc to ustalone. Mamy cały tydzień, by się poznać. Mogę potem przylatywać do Waszyngtonu w weekendy, a w tygodniu możemy do siebie dzwonić. Na ranchu wszystko jest pod kontrolą. Mackie jest asem, jeśli chodzi o zarządzanie. Jeśli zechcę, mogę wziąć kilka dni wolnego. Częściej będę też widywał tatę.

Jessie poczuła zawrót głowy. Wyglądało na to, że prosił, by została jego dziewczyną. Stały związek – to takie dziwne określenie. Czy ludzie w jej wieku nawiązywali stałe związki? A może dotyczyło to tylko młodzieży ze szkoły średniej? Spyta Sophie, ona będzie wiedziała. Zachowa te słowa w pamięci, by później się nad nimi zastanowić. Tanner kontynuował, oszczędzając jej trudu odpowiedzi:

– Spójrz tylko. Stoją przy krawężniku z bagażami i czekają na nas. Jessie, nie mów nic na temat matki. Nie wiem, co według Resy powinien wiedzieć Josh. Chyba boi się go przestraszyć. Myślałem, że ty też się złękiesz.

– Nie tak łatwo mnie przestraszyć. Nic nie powiem. Ojciec się zdziwi.

– Nie sędzę. Dość dobrze mnie zna. Zdziwi go tylko obecność Resy i Josha.

– To smutne, że twoja matka zostanie sama w święta.

– Nie będzie mogła wiercić tatusiowi dziury w brzuchu. Chyba tak miało być. Hej, ludzie, jesteście gotowi? Co zapakowałaś do tych wszystkie toreb, Resa?

– Prezenty – powiedziała, a w jej głosie brzmiała radość. – Wiedziałam, że ty o tym nie pomyślisz, więc sama zrobiłam zakupy.

– Dzięki, siostrzyczko. Możemy zrobić zakupy w czasie weekendu.

– Tanner ma na myśli to, że ty i ja zrobimy zakupy, a on i Josh będą się zajmować męskimi sprawami.

Jessie roześmiała się. Jeśli w jakiś sposób udałoby się jej wymazać z pamięci Alexis Kingsley, mogłaby mimo wszystko wspaniale spędzić urlop.

– Matka dzwoniła, Tanner. Była zła, że nie zostajemy na przyjęciu.

Tanner zacisnął szczęki.

– Jak bardzo zła?

– Luke Holt wyłączył zasilanie. Nie pytałam o szczegóły. Powiedziałam do widzenia i odłożyłam słuchawkę. Wiedziałam, że znowu zadzwoni więc Josh i ja

zaczekaliśmy na was na zewnątrz. Z radością spędzę cały tydzień w Waszyngtonie. Czy zostaniemy na Sylwestra?

- Jak myślisz, Jessie? Potrafisz wyobrazić sobie, jak biciem w dzwony witasz z nami Nowy Rok?

Jessie z trudem ukrywała uśmiech. Kiedy Tanner wziął ją za rękę, uściśnęła mu dłoń.

Piętnaście minut później Tanner zaparkował przed lotniskiem.

- Wypuszczę was tutaj. Nadajcie torby na bagaż i kupcie bilety. Spotkamy się przy wyjściu do samolotu. Nie odjeżdżajcie beze mnie.

Tylko Tanner usłyszał, co powiedziała Jessie.

- Na ciebie będę czekała choćby całą wieczność.

- Trzymam cię za słowo - krzyknął Tanner i odjechał samochodem na parking.

Podając za Resą i Joshem, Jessie zdała sobie sprawę z tego, że mówi serio. Zawsze będzie czekała na Tannera Kingsleya, bo zakochała się w nim. Jak długo trwa wieczność?

Była za dwadzieścia dwunasta, gdy Tanner nacisnął dzwonek do domu Irene. Angus Kingsley od razu otworzył drzwi. W padającym z foyer przez szparę światło Jessie dostrzegła napuchnięte oczy i ściągniętą twarz Irene.

- Wesółych świąt - głośno krzyknął Tanner.

- Ode mnie też - zawtórowała mu Resa.

By nie pozostać w tyle, Jessie i Josh Kelly wykrzyknęli takie same życzenia.

- Coś takiego! Wejdźcie, wejdźcie. Angus, zabierz ich płaszcze. Na pewno jesteście głodni. Na kominku wciąż pali się piękny ogień, zapelniliśmy też na nowo lodówkę. Jak to miło, jak wspaniale, że przyjechaliście. Prawda, Angus?

- Cholernie wspaniale - powiedział Angus, klepiąc syna po plecach, potem ściskając Resę. - Jessie, Josh... nie potrafię wyrazić, jak wielką sprawiliście nam radość.

Gdy płaszcze powieszono na wieszakach, a torby umieszczono przy drzwiach, Irene wprowadziła gości do salonu. Jessie była oszołomiona, pokój wyglądał teraz zupełnie inaczej, choć wszędzie panował porządek.

- Pachnie bosko - powiedziała.

- Palimy szyszki sosnowe, by stworzyć odpowiednią atmosferę. Angus, otwórz butelkę wina, a ja przygotowuję coś do zjedzenia.

- Pomożemy - razem powiedziały Jessie i Resa.

- To mi się podoba. Wy, mężczyźni, usiądźcie tutaj, rozprostujcie nogi, cieszcie się ogniem rozpalonym przez Angusa, a my zajmiemy się jedzeniem.

W kuchni Irene oparła się o ladę.

- Bardzo wam dziękuję, że przyjechaliście. Angus bardzo źle to znosi. Stało się coś okropnego, ale we dwójkę poradziłyśmy sobie z tym. Oczywiście, bliźnieta też pomogły. Nie chcieliśmy, by za bardzo przejęły się tymi przykrymi wydarzeniami, więc wcześniej odesłaliśmy je do przyjaciół. Najgorsze już minęło, przynajmniej tak mi się zdaje. Wasz przyjazd sprawił, że poczuliśmy się lepiej. Jak wam się podobają ozdoby kupione w sklepie?

Jaki ona ma napięty i drżący głos, pomyślała Jessie.

- Są śliczne. Choinka wspaniale pachnie. Chyba powiesiłaś na niej jeszcze więcej lampek? Wydaje mi się, że wszystko bardziej się mieni. Masz w sobie siłę ducha, Irene. Ktokolwiek to zrobił, nie może cię złamać. Ta osoba przegrała, nie ty. Zgadzasz się ze mną Resa?

- Oczywiście. Tu jest wspaniale, nie to co na ranczu. Nieważne, skąd pochodzą czerwone wieńce i błyszczące bombki. Najważniejsze jest to, że jesteście razem. Jessie i ja wybieramy się jutro na zakupy. Chciałybyś pójść z nami?

- Zobaczymy, jak się będę czuła. A więc, co podamy? Gorące kanapki z pieczoną wołowiną czy zimną szynkę z serem i z jeszcze zimniejszymi marynatami?

- Kanapki z gorącą pieczoną wołowiną - zgodnie odpowiedziały Resa i Jessie.

Trzy kobiety pracowały w ciszy, dopóki Irene nie wybuchnęła płaczem.

- Mnie to w gruncie rzeczy nic nie obchodzi, ale ta nikczemna osoba zniszczyła wszystkie przywiezione przez Angusa piękne paczki, z których był taki dumny. Był zdruzgotany, kiedy to zobaczył. Nie chodzi mi o to, by je zastąpić nowymi, tylko nie mogę znieść, że jest taki nieszczęśliwy.

- Jeśli tatuś jest nieszczęśliwy, to dlatego, że ktoś zniszczył twoją radość, Irene. Jeśli chodzi o niego, wszystko będzie dobrze. Poradzi sobie. A

przechodząc do naprawę ważnych spraw, mów prawdę: podoba ci się Josh Kelly?

Irene wytarła oczy i uśmiechnęła się.

- To wspaniały młody człowiek! Musisz go złapać, zanim zrobi to inna dziewczyna.

- Już to zrobiłam. Popatrz! - powiedziała Resa pokazując pierścionek

- Och, Resa, to cudownie. Czy ojciec wie?

- Josh pewnie właśnie mu o tym mówi. Matka nie wie. Jak dotąd, Tanner i Jessie są jedynymi osobami, którym powiedziałam. A Josh powiedział swojej rodzinie. Jestem taka szczęśliwa, Irene.

- Zaslugujesz na to, kochanie. Jestem zachwycona, że się tym ze mną podzieliłaś. A co z tobą, Jessie? Święta Bożego Narodzenia to wspaniały okres, by się zakochać. Tanner ma gwiazdy w oczach. Chyba w twoich oczach też się mienia. Wybacz mi, nie powinnam zabawiać się w swatkę.

Jessie zarumieniła się.

- Jessie, wprawiamy cię w zakłopotanie, prawda? - zaśmiała się Resa

- Nic nie szkodzi.

- Jedzenie gotowe! - krzyknęła Resa do panów.

- To uczta o północy! - zachichotał Angus.

- Najpierw zmów modlitwę dziękczynną Angus - upomniała go Irene
Angus pochylił głowę i cichym, poważnym głosem zaczął:

- Dziękujemy ci, Panie, za to pożywienie i za to, że pozwoliłeś mojej rodzinie i przyjacielom spożywać je wraz z nami. Oby wszystkie święta były tak wspaniałe jak te. Amen.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, udając, że nie słyszą wzruszenia w głosie Angusa i nie dostrzegają łez w oczach Irene.

Była druga nad ranem, gdy Angus dał synowi klucze od swojego małego mieszkania.

- Irene jest zmęczona i powinna się już położyć. Możecie zawieźć dziewczyny do mieszkania Jessie jej samochodem. Jutro jeszcze porozmawiamy. Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła, Jessie. Zapisalem ci to na kartce. Prowadź bardzo ostrożnie, Tanner. W prognozie pogody zapowiedzieli, że drogi będą bardzo śliskie. Samochód Irene ma założone łańcuchy, ale i tak musisz

uważać. Spotkamy się na kolacji. Irene zamierza gotować jutro przez cały dzień. Dobranoc wszystkim... dziękuję, że przyjechaliście.

- Jutro śpię do południa - oznajmiła Resa, moszcząc się na tylnym siedzeniu samochodu Irene.

- Ja też - zawtórowała jej Jessie.

Josh i Tanner zgodzili się na to.

- Przyjedziemy po was w południe, pójdziemy na lunch, a potem będziemy robić to, na co będziecie miały ochotę.

- Brzmi nieźle - powiedziała Resa ziewając.

- Możesz zająć łóżko po prawej stronie. Termostat jest w korytarzu - poinformowała ją Jessie.

Tanner poczekał, aż Resa wejdzie do mieszkania.

- Drogi są rzeczywiście kiepskie i wszystko zamarza. Proszę, prowadź ostrożnie. Pocałujesz mnie na dobranoc? - spytała Jessie odważnie.

Tak samo odważnie Tanner odpowiedział:

- Nie.

- Och...

- Nie dlatego, że nie chcę. Kiedy cię pocałuję, chcę zrobić to porządnie. Nie lubię zaczynać czegoś, czego nie mogę skończyć. Nasz dzień i tak nadejdzie.

- Czyżbyś mówił o seksie? - wypaliła Jessie.

- O tym też się dowiesz w swoim czasie - powiedział Tanner szeroko się uśmiechając. - Czasami oczekiwanie jest lepsze niż to, co się wydarzy.

- Nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Nawet Sophie o tym nie mówiła, a ona wie wszystko.

- Niedługo porozmawiamy o tym, co ona wie. Dobranoc, Jessie.

- Dobranoc, Tanner.

Przeszedłszy połowę korytarza Tanner zawrócił i podszedł do Jessie.

- Zawiodłem twoje oczekiwania, prawda? Powiedz, czego się spodziewałaś.

- Dzwoneczków, gwizdków, sztucznych ogni, ciężkich oddechów. Trochę spustoszenia i nieco plądrowania. Byłam przygotowana mniej więcej na coś takiego. Nie posunęłam się w tych rozważaniach zbyt daleko.

- Kiedy znajdę się w mieszkaniu ojca, wszystko sobie spiszę. Chcesz to mieć w tej kolejności?

Diabeł podkusił Jessie, żeby powiedziała:

- Oczywiście. Jak sądzisz, dasz sobie z tym radę?

- Och, wiem, że tak. Zasadnicze pytanie brzmi jednak: czy ty dasz sobie z tym radę?

- Chyba oboje będziemy musieli poczekać i wtedy się przekonamy, prawda? Dlaczego się pocisz? W korytarzu jest zimno – zakomunikowała Jessie słodkim głosem.

- Pocę się, bo jestem grubo ubrany.

- Rozumiem. Dobranoc.

Jessie uśmiechała się jeszcze, gdy Tanner szedł w kierunku schodów. Diabeł znowu ją pokusił. Pobieгла korytarzem i nagle zatrzymała się przed Tannerem.

- Seks – powiedziała, a jej głos dźwięczał echem w pustym korytarzu – jest wydarzeniem, w którym trzeba uczestniczyć świadomie. Chcę, żebyś wiedział, że jestem na to przygotowana. Jednak – pomachała mu palcem przed nosem – może dobrze by było ustalić jakiś harmonogram. Ty rzeczywiście się pocisz. Mam nadzieję, że się nie przeziębisz. Pospiesz się, bo Josh zamarnie w samochodzie.

- Najpierw mnie prowokujesz, a potem martwisz się o Josha. Kobiety!

Jessie wróciła do drzwi swojego mieszkania z uśmiechem na ustach. Znalazła się w środku w samą porę, by zobaczyć, jak Resa nurkuje pod kołdrę.

- No i jak, dobrze całuje? – spytała Resa. – Zawsze byłam ciekawa.

- Musisz zapytać o to kogoś innego. Właściwie rzuciłam się na niego... I nic. Nie jest nieśmiały, więc to go nie usprawiedliwia. Opowiedz mi o Łasicy.

- Dziewczyny w szkole nadały jej to przezwisko, bo przeskakiwała od jednego faceta do drugiego. Myślę, że zaliczyła wszystkich w Teksasie. Tanner chodził z nią, gdy był w ostatniej klasie szkoły średniej. W college'u spotykał się z nią czasami w okresie ferii. Dwa razy była mężatką i dwukrotnie się rozwiodła. Nie ma dzieci. Jest absolutnie przepiękna, aż ślinka leci. Ma figurę, za którą można by dać się zabić. I wszystkie pieniądze świata. Dziewczeta były o nią zadrosne. Nie ma zahamowań. Myślę, że jedynym facetem, który się w niej nie zakochał, jest Luke Holt. Moja matka oddałaby wszystko, co ma dla niej jakąkolwiek wartość, by Tanner ożenił się z BarBarą. Nic jej nie obchodzi zła reputacja tej panienki. Jej rodzice też nic sobie z tego nie robią. Można się było z nią zabawiać, ale nie zainteresować poważnie. Matka była wściekła, gdy

Tanner powiedział jej, że nic z tego nie będzie. Barbara przyjdzie z rodzicami na przyjęcie, bo myśli, że będzie Tanner. Nie podda się. Chce go mieć. Zawsze go pragnęła. Znasz to stare porzekadło: „Człowiek najbardziej pragnie tego, czego nie może dostać”. Wyobraź sobie lalkę Barbie... Barbara wygląda dokładnie tak samo. Jej przyjaciółki nazywają ją zresztą Barbie, matka – Barbara.

Jessie włożyła flanelową koszulę nocną.

– Czym się zajmuje?

– Zajmuje?

– No wiesz, chodzi mi o pracę. Jak spędza czas?

– Robi zakupy. Dostała miliony z dwóch układów rozwodowych. Jest jedynaczką, a rodzina jest cholernie bogata. Mają duże złoża ropy. Nauczycielki w szkole mówiły mi, że jeździ wystrzałowym samochodem sportowym i mieszka w fantastycznym apartamencie w mieście. W pewnym sensie, Jessie, jest dla ciebie konkurencją. Z jakiegoś powodu, od czasu do czasu, Tanner się z nią spotyka. Myślę, że to nie byłoby fair, gdybyś o tym nie wiedziała. Tanner jest wspaniałym facetem, kocham go całym sercem, ale ma swoje wady, tak jak ja, i ty pewnie też. Nawet Josh ma jedną czy dwie.

Serce Jessie zatrzepotało.

– Znasz ją osobiście, Resa?

– Wszyscy ją znają. Jest otwarta, przyjazna, umie śmiać się z samej siebie. Potrafi być czarująca i jak już mówiłam, jest prześliczna, a na dodatek ma wspaniałą figurę. Żyje, by się bawić i lubi sporo wypić. Dla niektórych facetów to kombinacja nie do pobicia. Powinnam ci powiedzieć, że zajmuje się działalnością społeczną. Sama właściwie nic nie robi, ale firmuje różne wartościowe projekty. By oddać jej sprawiedliwość, trzeba przyznać, że wszystko, w co się angażuje, przynosi pieniądze. Jednak sądzę, że nie masz się o co martwić. Mój brat jest w tobie bardzo zakochany. Irene nie wyglądała zbyt dobrze, prawda?

Tanner kocha się w niej! Jessie uśmiechnęła się i poklepała poduszkę, by ją poprawić.

– Na pewno była zmęczona. Jestem pewna, że jutro poczuje się lepiej. To znaczy dzisiaj. Jestem taka skonana, że nie potrafię jasno myśleć. Dobranoc, Resa.

- Dobranoc, Jessie. Podoba mi się twoje mieszkanko. Jest przytulne, jak gniazdko. Chciałam moje mieszkanie przekształcić w gniazdko...

Jessie czekała na ciąg dalszy zdania, ale lekki, równy oddech Resy świadczył, że zasnęła w pół zdania. Jessie wygrzebała się z kokonu koców i ukłękła. Pomodliła się, jak co noc, zmagając dodatkowo modlitwy za Irene Marshall. Prawie zasypiała, ale wstała po raz drugi i powlokła się do salonu. Z małej półki pod oknem wyciągnęła oprawny w skórę dziennik. Pisała przez pół godziny, potem umieściła dziennik pod materacem sofy. Na koniec przeczytała list, który dał jej senator. Miała pójść do dwóch specjalistycznych sklepów w Georgetown i zastąpić zniszczone prezenty nowymi wymienionymi na liście. W *postscriptum* senator napisał, że ma postarać się o najbardziej fantazyjne, najładniejsze opakowania, a wydatki dopisać do jego rachunku. Wsunęła list do torebki. Teraz była gotowa. Mogła pójść spać.

W bardzo niespokojnym śnie, krótko przed świtem, Jessie znalazła się w ciemnym, przyprawiającym o mdłości miejscu. Było tu tak duszno, że walczyła o oddech. Krzyczała, kopała i machała rękami. Cała była mokra od potu, włosy miała poskręcane i przyklepione do czaszki. W końcu się przebudziła i zrzuciła ciężką kołdrę, w którą była owinięta. Gdy kaszląc i parszcząc spuściła nogi na podłogę, Resa podsunęła się do niej i wzięła w ramiona.

- Jessie, co się stało?

- Nic. To po prostu zły sen.

- Zdawało mi się, że tylko się zdrzemnęłaś. Krzyczałaś.

- Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

- Nic nie szkodzi. Zrobić ci herbaty? Herbata zdaje się łagodzi intensywność przeżyć. Nie wiem dlaczego. Chcesz o tym porozmawiać? Jestem dobrym słuchaczem.

- Ten sam sen miewam od lat. Znajduję się w jakimś bardzo ciemnym miejscu i nie mogę oddychać. Usiłuję krzyczeć. Czasami mi się to udaje, czasami nie. Mam takie uczucie, jakby ktoś mnie ciągnął lub popychał. Kimkolwiek jest, porusza się bardzo szybko, a potem zawsze się budzę kaszląc i dławiąc się. Z jakiegoś dziwnego powodu po obudzeniu czuję się tak, jakbym była przeziębiona. To jest niesamowite.

- Krzyczałaś: „Galaretka, galaretka”. Przynajmniej tak to brzmiało. Może nie usłyszałam dobrze. Jak często ci się to śni?

- Gdy byłam mała, prawie co noc. W miarę dorastania coraz rzadziej. Bywa, że upływają całe miesiące i nie mam tego snu. Moja przyjaciółka Sophie wykombinowała, że powraca, gdy jestem potwornie zmęczona albo czymś bardzo zdenerwowana. Nie wiem, dlaczego proszę o galaretkę. Nie przepadam za nią. Matka często próbowała ją we mnie wmusić, ale nigdy nie chciałam jej jeść. Może była za słodka. Idź spać, Resa. Pójdę do kuchni i zrobię sobie filiżankę herbaty. Nie ma sensu, byśmy obie nie spały. Kiedy się uspokoję, znowu się położę.

- Jesteś pewna?

- Tak. Jestem pewna.

- Powinnaś kupić sobie sennik i sprawdzić, co ten sen oznacza. To dziwne, że nawiedza cię przez tyle lat. W dzieciństwie musiałaś mieć jakieś naprawdę bolesne przeżycie.

- To samo mówiła Sophie. Może w czasie zakupów poszukam sennika. Przyjemnych snów.

- Nie pij za dużo herbaty, bo nie będziesz mogła zasnąć.

Jessie zrobiła sobie nie herbatę, lecz kawę. Skłamała. Po tym śnie nigdy nie mogła powtórnie zasnąć. Trzęsła się cała i miała takie uczucie, jakby jej głowa miała zaraz eksplodować. Resa miała rację. Powinna spróbować dowiedzieć się, co znaczy ten sen. Sophie twierdziła, że senniki zawierają same bzdury. Według niej wyjaśnienie snu było proste: Jessie w niemowlęctwie prawdopodobnie zaplątała się w pościel i nie mogła się z niej wydostać. Ogarniający ją strach i przerażenie sprawiły, że nie mogła krzyczeć. Im bardziej się szamotała, tym bardziej była przerażona i dlatego zaczęła się pocić. Jedyne wyjaśnienie wołania o galaretkę, jakie jej przychodziło do głowy, to swego rodzaju protest Jessie przeciwko dżemowi jabłkowemu, którym matka karmiła ją co rano, gdy była mała, a którego nie znosiła.

To miało sens. Do pewnego stopnia. Ale jeśli Sophie rozumowała prawidłowo i Jessie przyjęła to wyjaśnienie, dlaczego ten sam sen wracał przez całe lata? Co, na Boga, miała z tym wspólnego galaretką?

- Galaretką, galaretką, galaretką - mamrotała Jessie, a jej serce biło tak szybko, że z trudnością łapała oddech. Gdy uspokoili się na tyle, by myśleć jasno, znowu zaczęła mamrotać. Teraz jej odczucia były inne. Odmiennie niż to, co przeżywała po każdym koszmarze. Czy coś równie zwyczajnego i słodkiego

jak galaretką mogło być kluczem do tego okropnego snu? Odpowiedź na tak postawione pytanie wciąż jej się wymykała.

Słoneczna, żółta kuchnia emanowała ciepłem. Jessie pracowała w weekendy, by zmienić ponure mieszkanie w przytulny i wygodny kącik. Zawsze miała słabość do żółci i wszystkich odcieni złota i brązu. Dlatego w mieszkaniu dominowały te barwy. Mała kuchenka była jej ulubionym pomieszczeniem i wiele czasu poświęciła wyszukując różne przedmioty, które miały posłużyć do stworzenia przyjemnej atmosfery. Ziola w żółtych dzbankach stały na szerokim parapacie. Przynajmniej raz w tygodniu trzeba było przycinać pędy winorośli, bo wrastały między ziola. Lubiła urywać listki ziół, gdy była w nastroju do prac domowych, i gotować zupę albo pikantny gulasz. Młode pary po ślubie mieszkały w takich właśnie mieszkaniach. Zastanawiała się, gdzie będzie mieszkać, kiedy wyjdzie za mąż. Pomyślała o domu w Charlestonie, w którym dorastała. Czy domek do zabawy wciąż stał? Czy jej rodzice sprzedali stary dom z wypolerowaną balustradą i szeroką werandą, czy może był pusty? Czy kiedykolwiek tam wrócili? Nie tęskniła ani za nimi, ani za zimnym, odpychającym domem. Ale i dom Sophie, pełen marmurów, chromu i szkła nie był wcale przyjemniejszy. Żaden z tych budynków nigdy nie stał się prawdziwym domem. Jej domem, jej własnym, jest to malutkie mieszkanko.

Łzy napłynęły do oczu Jessie i pociekły po policzkach. Osuszyła je papierową serwetką, wytarła nos. Może nie dane jej jest być szczęśliwą. Może Bóg powołał ją na ziemię, żeby... co? Żeby była nieszczęśliwa? By co noc zasypiała płacząc?

Z czego chcesz, Jessie? – zapytał ją wewnętrzny głos.

– Chcę mieć rodzinę. Taką, jaką miał przyjaciel Tannera, Jack. Chcę mieć męża, dzieci i zwierzęta domowe. Pragnę mieć własny mały domek. Pragnę, żeby to był dom, do którego rodzina wraca z niecierpliwością pod koniec dnia. Chcę piec chleb i ciasteczka, zabierać zwierzęta do weterynarza. Chcę zajmować się dziećmi. Chcę wiedzieć, że mąż docenia moje starania, by wziąć na siebie niektóre jego obowiązki. Chcę rodziny mającej własne poglądy, ale żeby każdy szanował opinię innych. Chcę, żeby moje dzieci wyrosły na osoby silne i niezależne. Czy pragnę zbyt wiele? Czy są to niemożliwe do spełnienia marzenia?

Nie znajdując odpowiedzi na swoje pytania, Jessie zwykle sięgała do szuflady kuchennej i wyciągała blok rysunkowy. Tak zrobiła i teraz. Siedziała zgarbiona, a ołówek sunął po papierze. O ósmej trzydziści, gdy zadzwonił telefon, wciąż szkicowała. Przekonana, że to Tanner, starała się nadać słowu „halo” radosne brzmienie. Ale to nie był on.

- Sophie! - pisała radośnie. - Właśnie o tobie myślałam. Gdzie jesteś? W San Francisco! Przyjechałaś wcześniej? Czy Jack jest z tobą? Aha, finalizuje sprawy. Będzie z powrotem trzeciego stycznia? Jakie to dla ciebie okropne. Gdzie jedziesz? Do Atlanty? Oczywiście, że tak. Jeśli wyjadę niezwłocznie, dotrę tam w samą porę, by odebrać cię z lotniska. Boże, Sophie. Tęskniłam za tobą. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

Jessie wpatrywała się w blok rysunkowy. Czy nie nazbyt skwapliwie zgodziła sięjechać do Atlanty, mając w mieszkaniu gościa, a w perspektywie romans, który właśnie zaczął się pięknie rozwijać? Życie jest pełne niespodzianek.

- Dzwonił telefon, czy mi się wydawało? - zawołała Resa z sypialni.

- Tak. To była moja przyjaciółka, Sophie. Jest w San Francisco. Zadzwoniła, by zaprosić mnie do Atlanty. Spakuję się i pojedę najszybciej, jak będę mogła. Ty, Resa, zostań tu jak długo zechcesz. Wrócę dzień po Nowym Roku. Zrobiłam kawę, poczęstuj się.

- Wyjeżdżasz! A co z Tannerem?

Jessie uśmiechnęła się.

- Jak to co?

- Myślałam... zdawało mi się...on... mniejsza z tym. To nie moja sprawa.

Jessie sięgnęła po torebkę leżącą na kuchennej ladzie. Podała Resie listę zakupów sporządzoną przez senatora.

- Tanner pomoże ci w zakupach w Georgetown. Muszę się pospieszyć, powiedziałam Sophie, że odbiorę ją z lotniska.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Nie. Nie zabieram ze sobą dużo ubrań. Sophie i ja nosimy ten sam rozmiar, a ona ma pełne szafy ciuchów. Biorę tylko to, co niezbędne. Muszę dać samochód do przeglądu. Ciśnienie w oponach, paliwo, olej, takie rzeczy. To zabierze trochę czasu. Jestem taka podniecona. Nie widziałam Sophie prawie rok.

- Nie martw się o nic tutaj. Wszystkiego dopilnuję. Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu, bym została?

- Oczywiście, że nie.

- Co mam powiedzieć tacie i Tannerowi?

- To, co ja ci właśnie powiedziałam, Resa. Pracuję dla twojego ojca. Nie jestem częścią waszej rodziny. Sprawiliście, że czułam się dobrze i źle jednocześnie. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Oczywiście. Wykorzystaliśmy cię. Tak było. Żonglowaliśmy tobą jak gumową piłką, a matka była szczególnie przykra. Rozstanie dobrze Tannerowi zrobi. Nikt nigdy nie wystawił go do wiatru... Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Tanner należy do specyficznej kategorii mężczyzn. Wystarczy, że postoi bez ruchu przez pięć minut, a kobiety już go otaczają.

- A więc jestem tylko jedną z wielu kobiet na jego liście?

- Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że gdy przekona się, że nie należysz do tych, które tylko czekają na jego telefon, potraktuje cię bardziej serio. Może nie wyrażam się jasno, ale to mu dobrze zrobi. Ojcu też. Za bardzo cię obciąża. To w końcu twój urlop, a my wszyscy zabieramy ci wolny czas. Zresztą urlop czy nie, to nie było w porządku. W ogóle się nie zastanawiaj, jedź. Wszystkim się zajmę. Możesz mi podać jakiś numer telefonu?

Jessie zastanawiała się przez chwilę. Jaki numer podać? Uśmiechnęła się szeroko na myśl o trzech telefonach w pokoju Sophie i w sąsiednim, w którym ona zawsze spała. Wypisała numer, niepewna, który z nich podaje.

Czterdzieści minut później Jessie wyszła z mieszkania. Cel: Atlanta, Georgia.

- Ale się najadłam! Takich pyszności nie próbowałam od czasu ostatniego Bożego Narodzenia! Założę się, że do przyjazdu Jacka utyję dziesięć kilo. Nie pozna mnie. Och, Jess, tak bardzo go kocham! Ale ty już o tym wiesz, pomówmy więc o Tannerze Kingsleyu. O, dzwoni telefon. Myślisz że to on, Jess? Pozwólmy, żeby dzwonił, czy odbierzemy?

Jessie wierciła się na krześle.

- Nie wiem.

- Odbierz ten cholerny telefon, Jessie.

Powolnym ruchem Jessie wyciągnęła rękę, by podnieść słuchawkę. Jej „halo” brzmiało ostrożnie.

- Jessie, tu Tanner. Dlaczego mnie opuściłaś? Byłoby miło, gdybyś się chociaż pożegnała. Miałem tyle wspaniałych planów na cały tydzień... Tęsknię za tobą.

- Ja... było wcześniej. Nie chciałam cię budzić. Jestem pewna, że wszyscy będziecie się wspaniale bawić.

Jessie przewróciła oczami i bezgłośnie powiedziała do Sophie:

- Nie wiem, co mam mówić.

- Powiedz, że chcesz, żeby cię przerznął. To powinno doprowadzić go do szału! - odpowiedziała Sophie szeptem.

- Jak długo zostaniesz w Atlancie?

- Wyjeżdżam drugiego.

- A co powiesz na randkę w Sylwestra? Przylecę do Atlanty, zwiędzimy miasto. Zgadzasz się? Byliśmy umówieni na randkę, pamiętasz?

- Tak, podobałoby mi się to. Naprawdę przyleciałbyś do Atlanty w Sylwestra?

- Naprawdę.

Sophie wstała z łóżka i wyszła z pokoju.

- Gadajcie całą noc - szepnęła stojąc w drzwiach. - Idę się zdrzemnąć.

Jessie skinęła głową.

- To miłe. Będę miała na co niecierpliwie czekać - powiedziała do Tannera.

- Myślisz, że ty i twoja przyjaciółka nagadacie się do tego czasu?

- Nie. Potrafimy gadać bez przerwy. Ona musi zaplanować ślub. To zabierze nam wiele dni. Tylko raz wychodzi się za mąż.

- To staroświeckie. Żyjemy w innej epoce.

- Sophie wyjdzie za mąż tylko raz. Ja czuję tak samo. Małżeństwo jest na zawsze.

- A co, jeśli jedno albo drugie się odkocha? Nie możesz nikogo zmusić do miłości.

- Dlatego trzeba być pewnym czyjegoś uczucia, zanim uczyni się ten krok. Nie potrafię sobie wyobrazić, że najpierw kocham kogoś, a potem przestaję. Nie wierzę, żeby to mnie się przytrafiło. A ty?

- Jasne. Też nie uważam, żeby to było w porządku. Ale zdarzało się wielu moim przyjaciółom. Ich żony stawały się coraz bardziej matkami a coraz mniej żonami. Przystawało je obchodzić, jak wyglądają. To nie jest właściwe, ale zdarza się.

- Co chcesz mi przez to powiedzieć, Tanner?

- Nie wiem. Wyrażam tylko swoją opinię.

- Macierzyństwo to praca na pełny etat. Poważna praca, jeśli pragnie się ją dobrze wykonać. Czy chcesz powiedzieć, że kobieta musi być wszystkim? Czymś w rodzaju super matki, super żony i super kobiety robiącej karierę zawodową?

- Zapomnij o karierze. Żony nie powinny pracować.

- To ładnie brzmi. Może tak by było, gdybyśmy żyli w idealnym świecie. Ale nie wszyscy mają tyle szczęścia co ty. Wiele kobiet musi pracować, żeby związać koniec z końcem. To wyczerpuje ich siły. A mówiąc wyłącznie w swoim imieniu: informuję cię, że nie poszłam do college'u po to tylko, by tam chodzić. Chcę zdobyć wykształcenie. Mam nadzieję wykorzystać je odpowiednio, kiedy skończę studia, to znaczy w tym semestrze. Jak widzisz, nie zgadzam się z tym, co mówisz.

- Nie chciałem cię rozzłościć. Właściwie jak to się stało, że zaczęliśmy o tym rozmawiać? Po skończeniu college'u przestaniesz pracować dla mojego ojca?

- Trzeba było nie poruszać tego tematu. Tak, po dyplomie prawdopodobnie poszukam pracy gdzieś indziej.

- Chwileczkę. Wróćmy do tej części rozmowy, w której zaprosiłem cię na randkę w Sylwestra, a ty się zgodziłaś.

- Dobrze. Słowo się rzekło... Chcę, żebyś to zrozumiał.

- Rozumiem. Tatus i Irene byli bardzo zmartwieni, że nie zostaniesz z nami na Boże Narodzenie.

- Nie mam nic do powiedzenia - powiedziała Jessie czując, jak wali jej serce.

- Tak twierdzisz. Założę się, że twoja rodzina, jak wiele innych, ukrywa mnóstwo tajemnic.

- Przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale nie.

- Skoro się upierasz... Czy chociaż troszkę za nami tęsknisz?

- Troszkę. Jak się dziś czuje Irene? Wszyscy poszliście na zakupy?

- Irene twierdzi, że czuje się dobrze, ale tatuś mówi, że w nocy nie zmrzyła oka. Gdy wstał, płakała w salonie. Spróbował jej wytłumaczyć, że po prostu ktoś wtargnął do domu, zdecydował, że pewne rzeczy stanowiące część jej życia nie są nic warte i zniszczył je, ale że Irene tylko na tym skorzystała. Tatuś z nią został, przyjechalіśmy Resa i ja. I oczywiście ma bliźnięta. Resa wykupiła chyba całe sklepy. Powinnaś zobaczyć, jak wygląda twoje mieszkanie. A propos, podoba mi się. Odzwierciedla twój charakter. To komplement. Przypomina mi pierwsze mieszkanie, które wynajmowaliśmy z Jackiem w college'u. Matka Jacka urządziła je dla nas. Zawiesiła firanki i ozdobiła łazienkę. Mieliśmy nawet ręczniki w tym samym kolorze co zasłona do prysznica. Kupowała dziesiątki roślin doniczkowych, ale wszystkie marniały. Patrzyła na nas z wyrzutem i kupowała nowe. Bez nich mieszkanie było takie jakies nagie. Hej, zaczynam gadać bzdury. Nie mogą uwierzyć, że wyjechałaś.

- Dlaczego?

- Chciałem, żebyś została. Myślałem, że ty też chcesz zostać. Może wyjechałaś, bo nie chciałem cię pocałować?

- Mówisz jak dziecko. Gdybym chciała cię pocałować, to bym to zrobiła. Przewróciłabym cię na ziemię, usiadła na tobie okrakiem i całowała do utraty tchu. Jestem agresywna, zapamiętaj to sobie. Chyba teraz się rozłączę i spędzę trochę czasu z moją przyjaciółką. To miło, że zadzwoniłeś. Będą z niecierpliwością czekać na Sylwestra. Przekaż moje pozdrowienia rodzinie.

Jessie usłyszała mruknięcie, które zabrzmiało jak: „Niech mnie diabli”.

Niech mnie diabli, to dobrze, pomyślała.

Była tak podniecona, że zakręciło jej się w głowie. By trochę ochłonać, opuściła ją nisko. Gdy się wyprostowała, zobaczyła Sophie opartą o drzwi i śmiejącą się serdecznie.

- Dziecinko, rzeczywiście przebyłaś długą drogę od czasów młodej nieśmiałej dziewczynki z Charlestonu. Sama nie rozegrałabym tego lepiej. Zakochałaś się w tym facecie, prawda?

- Tak. Choć coś we mnie nadaje sygnały ostrzegawcze.

- Zawsze zwracaj na nie uwagę. Może by sprawdzić Tannera i jego rodzinę? Matka to czarownica z piekła rodem. Założę się, że ukrywa tajemnice, które nie pomieściłyby się nam w głowie.

- Nie chcę, Sophie. Musimy ufać innym ludziom. Związek jest taki, jakim stworzą go dwie osoby. A popatrz tylko na mnie: mam lipną tożsamość, którą dla mnie stworzyłaś. Co zrobię, jeśli on zechce poznać moich rodziców?

- Tym będziemy się martwić później. Najpierw pozwól mi sprawdzić tę rodzinę. Nie będziemy już później do tego zaglądać, złożymy wszystko w moim sejfie. Nikt inny nie zna kombinacji szyfru, tylko ty i ja. Gdyby nadeszła taka chwila, że sprawy przybrałyby zły obrót..., a często tak się zdarza... wszystko będzie gotowe. Być może raport okaże się tak nudny, że czytając go obie zaśniemy. Obiecuję, że sama go nie otworzę. Będzie zamknięty czerwoną lakową pieczęcią. Dobrze? Ta czarownica, jego matka, pewnie właśnie teraz sprawdza cię. To zła wiadomość, ale nie musisz się martwić, bo mam i dobrą wiadomość: ona nie ma moich uzdolnień i kontaktów. Niczego się nie dowie.

- Czy sprawdziłabyś Jacka?

- Tak, Jessie, zrobiłabym to, gdybym nie poznała jego rodziny i przyjaciół, boję się dnia, w którym będę musiała powiedzieć mu o sobie wszystko.

- Powiesz mu przed czy po ślubie?

- Przed. Muszę mu dać szansę, by się wycofał. Jack ceni prawdę i honor.

- Najlepszy przyjaciel Tannera też miał na imię Jack... ale to nic nie znaczy. Nie wiem, dlaczego w ogóle o tym wspomniałam. Dobrze, sprawdź ich.

- Chcemy wiedzieć wszystko, tak?

- Chyba tak.

- Sprawa załatwiona. Wystarczą dwa telefony. Spotkamy się na dole w kuchni. Umieram z głodu. Musimy ustalić, w co się ubierzesz na wielką randkę w Sylwestra. To musi być coś, co zwali go z nóg. Błyszczące i seksowne. Możesz włożyć moje brylanty. Jeśli jesteś pewna, że naprawdę chcesz tego faceta, musimy obmyślić sposoby jego uwiedzenia. On z pewnością też planuje, jak uwieść cię. Naprawdę uważasz, że to on jest tym wybranym?

- O, tak, Sophie, jestem pewna.

- Mamy więc dziś wieczorem masę pracy, przyjaciółko. Ale najpierw musimy się pożywić. Chcę hot doga z kiszoną kapustą, musztardą i przyprawami.

Jessie roześmiała się. Było jak za dawnych dobrych czasów, choć w ich życiu zaszły zmiany.

- Masz to załatwione, Sophie.

11

Jessie z trudem udało się ukryć konsternację. Przypomniała sobie przytulny, ciepły salon Irene Marshall, w którym królowała pachnąca jodła. Atmosfera pokoju, w którym się teraz znajdowała, była nawet gorsza niż w pełnych rażącego blichtru salonach w domu Alexis Kingsley.

- Jest dość ponuro, prawda? - zapytała Sophie.

- Choinka jest śliczna. Pracownicy zrobili to, co im poleciłaś, czyli postawili ją. Pokój jest jednak za duży. Drzewko w nim ginie. Nawet gdyby ustawić po jednym w każdym rogu, nic by to nie dało. Nie sposób stworzyć ciepłej, przytulnej atmosfery przy tych pajakowatych antycznych krzesłach, marmurowej podłodze i brzydkich oknach. Jednak na kominku przynajmniej pali się ogień. Na dworze jest zimno, tak jak powinno być w Boże Narodzenie. Mam pomysł, Sophie. Chodźmy do starego domku do zabawy i weźmy stamtąd puffy i stolik, na którym ułożymy prezenty. Z góry przyniesiemy kilka koców. Udekorujemy choinkę i zawiesimy pończochy. Stworzymy sobie miłe otoczenie i będziemy czekać na świętego Mikołaja. Przecież w wigilię Bożego Narodzenia zdarzają się cuda.

Sophie zgodziła się na wszystko.

- Może dywan przytłumiłby rozbrzmiewające w tym pokoju echo?

- To bez znaczenia, i tak nie mamy dywanu. Zrobimy sobie gniazdkę przy kominku. Jeśli chcesz, możemy przysunąć choinkę bliżej. Będziemy ją lepiej widzieć. Popchnę stojak od tyłu, a ty pociągnij z przodu. Nikt tego nie zobaczy, więc nie ma znaczenia, gdzie ją postawimy. Byle nie za blisko ognia. Musimy wprawić się w odpowiedni nastrój, Sophie. Pomysł, że w przyszłym roku o tej porze spędzisz pierwsze Boże Narodzenie z mężem. Może nawet będziesz w ciąży. Wszystko wspaniale się ułoży, kochanie.

Dwie godziny później Jessie ostentacyjnie otrzepała ręce z kurzu.

- Jest pięknie, nawet ja tak uważam. Nasze gniazdko wygląda przytulnie i ciepło, ogień buzuje na kominku, a bufet jest godny króla. Jeszcze tylko jedna rzecz pozostała nam do zrobienia: zawiesić pończochy!

Jessie z rozmachem wyjęła z torby stojącej obok stosu prezentów, dwie długie, czerwone flanelowe pończochy.

- Nasze imiona są na nich wymalowane srebrnym brokatem. Wiem, że są pospolite, ale to nic nie szkodzi. Powieś je, Sophie. Kupiłam taśmę klejącą by je przymocować.

- Jessie, to zbyt wiele.

Jessie usiadła po turecku naprzeciwko ognia, jednak widząc, że ramiona Sophie zaczynają drżeć, podniosła się i objęła przyjaciółkę.

- Ona nie przyjedzie, prawda, Jess?

- Nie, Sophie, nie przyjedzie.

- Miałam nadzieję, że się zjawi. Naprawdę. Byłam pewna, że w tym roku się pokaże. Dzwoniłam do znajomych bankierów, prawników, księgowych, menadżera. Wszyscy obiecali przekazać wiadomość. Całymi tygodniami wydzwaniałam pod ostatni numer, jaki mi zostawiła. Daremnie. Napisałam setki listów w nadziei, że choć jeden czy dwa do niej dotrą. Chyba popełniłam błąd zawiadamiając ją, że wychodzę za mąż. Dorosła córka, która wychodzi za mąż i może mieć dziecko, to dla niej zbyt wiele. Zresztą i tak by nie przyjechała. Zostałyśmy tylko my dwie, Jess.

- Wszystko w porządku, Sophie. To jej strata, nie nasza. Jak dotąd nie tylko przetrwałyśmy, ale zwyciężyłyśmy. Mamy siebie. Spójrz, jesteśmy razem. Popatrz, jak fajnie wszystko urządziłyśmy - powiedziała Jessie wskazując ręką wokół. - Napijemy się doskonałego wina, zjemy pyszną kolację, pogapimy się w ogień, powspominamy, porozmawiamy o Jacku i Tannerze, a potem pójdziemy spać. Rano otworzymy cudowne prezenty, a potem pójdziemy do kościoła. Mnie to odpowiada, Sophie. A tobie?

- Boże, Jessie, co ja bym bez ciebie zrobiła...

- To moja kwestia. Te pończochy są okropne.

Nagle Jessie poczuła dreszcz pełnący wzdłuż kręgosłupa. Przynęła się do ognia. Wciąż się trzęsła. Przeczucie? Czego? Aby zagłuszyć niedobre myśli, powiedziała:

- Pośpiewamy kolędy? Mogłybyśmy zacząć od Jingle Bells... wprawi nas w odpowiedni nastrój.

Sophie przysunęła swój puf bliżej Jessie i objęła ją. Radośnie, choć trochę fałszując, śpiewały znane sobie kolędy.

Choć Sophie zasnęła już wiele godzin temu, Jessie zasnąć nie mogła. Przewracała się na łóżku z boku na bok, cały czas czując to wewnętrzne drżenie.

Przez chwilę wsłuchiwała się w równy oddech Sophie, potem wstała i zaczęła szperać w torbie szukając kupionych poprzedniego dnia drobiazgów, które chciała włożyć do pończoch. Tę, która była przeznaczona dla Sophie, wypełniła po brzegi błyskotkami, słodyczami i innymi głupstewkami. Resztę wrzuciła byle jak do drugiej pończochy. Może teraz uda jej się zasnąć.

Rozmyślając o zbliżającej się randce z Tannerem Kingsleyem zacisnęła powieki. Wszystko musi być jak należy - sukienka, buty, fryzura. Boże, a co na wierzch? Czy powinna włożyć płaszcz z wielbłądziej wełny? Absolutnie nie. Długie sobolowe futro Sophie czy białą pelerynę z gronostajów? Skrzywiła się, chowając twarz w poduszkę. Najwyraźniej musi włożyć jeszcze masę pracy w opanowanie sztuki uwodzenia. Ma na to pełne sześć dni. Z pomocą Sophie wszystko jest możliwe.

Kiedy dwa dni przed Sylwestrem wrócili z zakupów, Sophie przytrzymując Jessie drzwi powiedziała:

- Na Boga, dziewczyno, wykupiłaś cały sklep. Pospiesz się, rozłóżmy ubrania na łóżku. Musimy je obejrzeć, zanim przybędzie twój przyjaciel.

Chichocząc jak małe dziewczynki opróżniły torby i pudełka, rozkładając wszystko porządnie. Sophie wzięła się pod boki i powiedziała:

- To dopiero bielizna, Jessie. Jest taka... taka eteryczna. Same sznureczki i szyfon. Najbardziej ci do twarzy w szmaragdowej zieleni. I ta suknia obszyta tysiącami cekinów... Będziesz skrzyć się i migotać przez cały wieczór. Nie wiem, czy zdołasz chodzić, a cóż dopiero tańczyć w tych szpilkach. Nie mogę uwierzyć, że udało ci się namówić sprzedawczynię, by przymocowała cekiny do pantofli.

- Możesz uwierzyć bez trudu. Wydałam równowartość moich rocznych zarobków, Sophie. Na jedną noc! Chyba postradałam zmysły! Która godzina?

- Prawie trzecia.

- Tanner powiedział, że przyjedzie między godziną trzecią a trzecią trzydziści. Muszę się przebrać i odświeżyć makijaż. A ty co będziesz robić Sophie?

- Pójdę na spacer. Spotkamy się później w bibliotece. Nie ma sensu żebym tu wystawała, gdy przyjedzie Tanner. Poza tym chcę sprawdzić pocztę. Dzisiaj miał nadejść raport na temat Kingsleyów. Nie przejmuj się, nie będziemy go czytać. Po prostu schowam go do sejf.

- Sophie, co zrobiłaś z prezentem od matki?

Twarz Sophie znieruchomiała.

- Nic nie zrobiłam. Wciąż leży na komodzie. Co mam z nim począć? Jaka matka daje swojemu jedyemu dziecku akt własności greckiej wyspy na Boże Narodzenie? A na dodatek prezent przyszedł dzień po świętach. Dobrze już, dobrze. Schowam go.

Dziesięć minut później, gdy Jessie wchodziła pod prysznic, Sophie zawołała:

- Schowałam wszystko do sejf, Jess. Wychodzę. Wrócę mniej więcej za godzinę.

- Dobrze.

Jessie wyszła z pod prysznic i włożyła gruby aksamitny szlafrok. Gdy szła do sypialni, by się ubrać, zadzwonił telefon. Pewnie dzwoni Tanner, pomyślała, by zawiadomić, że jest w drodze. Podniosła słuchawkę i powiedziała żartobliwie:

- Liczę minuty i sekundy do naszego spotkania.

Ku jej zaskoczeniu głos po drugiej stronie linii poprosił o rozmowę z Sophie Ashwood.

- Przykro mi, ale Sophie wyszła na spacer. Wróci mniej więcej za godzinę. Może zechce pan zostawić wiadomość?

- A kim pani jest?

- Jessie Roland, przyjaciółka Sophie.

- Tak, słyszałem o pani, panno Roland. Sophie wiele razy mi o pani opowiadała. Nazywam się Arthur Mendenares. Jestem pełnomocnikiem Janice Ashwood. Obawiam się, że mam bardzo smutne wieści. Nie wiem już, co będzie lepsze... czy jeśli Sophie usłyszy je ode mnie, czy też od pani.

Jessie z trudem przełknęła ślinę.

- Proszę mi powiedzieć, o co chodzi, to razem podejmiemy decyzję. Może o tę grecką wyspę, którą pani Ashwood podarowała Sophie na Boże Narodzenie?

- Niestety nie, panno Roland. Dziś wczesnym rankiem Janice Ashwood i jej towarzysz zginęli w wypadku samochodowym. Nie znam szczegółów, wiem tylko, że kierowca prowadził samochód z dużą szybkością. Źle ocenił ostry zakręt i auto spadło z urwiska. Podobno Janice i jej przyjaciel wypili przedtem kilka butelek szampana. A więc kto ma o tym powiedzieć Sophie?

- Nie jest przyjemnie zawiadamiać o tak strasznym wypadku, ale myślę, że lepiej, aby usłyszała o nim ode mnie. Nie mogę w to uwierzyć! Co mamy zrobić?

- Wycarterowałem samolot, trzeba tylko zawieźć Sophie na lotnisko. Zgodnie z testamentem pani Ashwood, jej ciało ma być poddane kremacji jak najszybciej po śmierci. Janice ustaliła wszystkie szczegóły. Nie życzyła sobie, by jej szczątki odesłano do Atlanty. Była w tej kwestii niewzruszona.

- Gdzie... gdzie to się stało?

Jessie pomyślała, że śpi i że to tylko koszmarny sen. Zaraz się obudzi i usłyszy z dołu głos Tannera wołającego ją po imieniu.

Boże, proszę spraw, by to był tylko zły sen. Proszę! - modliła się.

- W pobliżu Monako. Ciała są tak zwęglone, że nie można ich zidentyfikować. Uprzedzając pani pytanie: na pewno była to Janice i jej przyjaciel. Za nimi podążał drugi samochód, w którym jechali jej przyjaciele. Byli świadkami wypadku. Osobiście odbiorę Sophie z lotniska Orly. Naprawdę, bardzo mi przykro.

- Tak, mnie też. Spakuję rzeczy Sophie. Czy ma zadzwonić do pana?

- Nie. Muszę już wyjść. Trzeba dopilnować mnóstwa spraw. Do widzenia, panno Roland.

Jessie zrzuciła z siebie aksamitny szlafrok i ubrała się. Była jak wrzuciła ubrania do walizek i zniosła je na dół. Poblądla słysząc, że otwierają się cicho drzwi do solarium. Sophie starała się nie przeszkadzać myśląc, że Tanner już przyszedł. Jessie zawołała przyjaciółkę.

- Chwileczkę, Jess.

- Teraz, Sophie. Natychmiast! - krzyknęła Jessie.

Sophie przybiegła do niej.

- Jessie, co się dzieje? Czy coś się stało Tannerowi? Nie, nie Jackowi. Proszę, nie Jackowi.

Jessie pokręciła głową.

- Chodzi o twoją matkę, Sophie. Dzwonił pan Mendenares. Trudno nam było zdecydować, kto ma ci o tym powiedzieć.

- Na miłość boską, Jess, o czym? Znowu wyszła za męża? To przecież nic nowego. Pewnie miesiąc miodowy wypadł w Boże Narodzenie. Nie patrz tak na mnie, Jess. Przerażasz mnie. Co się stało?

- Twoja matka i jej... i osoba, z którą była zginęli w wypadku samochodowym, dziś wcześniej rano. Tak mi przykro, Sophie. Spakowałam twoje rzeczy. Wyczarterowany samolot czeka na lotnisku. Pojadę z tobą. Pan Mendenares odbierze nas z lotniska. Powiedział... to znaczy powiedział, że... nie można rozpoznać ciała, tak są zwęglone.

- Więc skąd wiedza, że to moja matka? Nie wierzę. To nie w jej stylu. Najpierw zorganizowałyby paradę, a potem sprzedawała na nią bilety. To musi być jakaś pomyłka.

- Niestety nie, Sophie. Za samochodem twojej matki jechał drugi, pełen jej przyjaciół. Widzieli, jak ten pierwszy spadł z urwiska. Pan Mendenares powiedział, że matka życzyła sobie, by jej ciało poddano kremacji jak najszybciej po śmierci. Czekają na ciebie. Weź płaszcz.

- A więc to prawda, Jessie?

- Tak, Sophie, to prawda.

- Muszę zawiadomić gospodynię.

- Już się tym zajęłam. Pojedziemy moim samochodem i zostawimy go na lotnisku.

- Tanner? Boże, zupełnie o nim zapomniałam! Cóż, nie będziemy się o niego martwić. Jest dorosły. Poradzi sobie. Wsiadaj do samochodu, a ja wyjaśnię gospodyni, co ma powiedzieć Tannerowi. Nie masz nic przeciwko temu, by tu został?

Sophie potrząsnęła głową.

Gdy Jessie wycofywała dżipa z parkingu, podjechała jasnożółta taksówka.

- Hola, a dotąd to panie się wybierają?

- Tanner, nie mam teraz czasu z tobą rozmawiać. Gospodyni wszystki ci wyjaśni. Wejdz do środka i rozgość się. Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem.

- Dobrze, ale dokąd jedziesz?
- Do Francji.
- Do Francji, w Europie?
- Tak. Zadzwoń.
- Wrócisz na naszą randkę?
- Nie wiem. Zadzwoń.
- Co mam powiedzieć ojcu? – krzyknął Tanner.

Jessie krzyknęła wychylając się przez okno:

- Powiedz mu, że odchodzę.

- Jaki dziś dzień, Jessie?

- Siódmy stycznia. Musisz coś zjeść, Sophie. Spróbuj tych krewetek, są pyszne. Zaczynam się o ciebie martwić. Czy ty w ogóle sypiasz w nocy? Spójrz na siebie, jak ty wyglądasz.

- Nie chce mi się spać. Nie jestem głodna. Kiedy patrzę w lustro, widzę matkę. Dopiero kiedy umierają rodzice, człowiek w pełni uświadamia sobie, że jest śmiertelny. Nie mam innej rodziny, zostałam mi tylko ty.

- Zawsze będę przy tobie, Sophie. Uważam cię za swoją siostrę. Mam nadzieję, że ty też mnie tak traktujesz. Zawsze tak odnosiłyśmy się do siebie. Ta tragedia jest sprawdzianem łączącej nas więzi. Musisz być silna.

- Cała ta sprawa mnie przerasta, Jessie. To jest tak cholernie skomplikowane. Są korporacje wewnątrz korporacji, holdingi, firmy spedycyjne i wiele innych. Trzeba czarodzieja, by to wszystko ogarnąć. Nie chcę się tym zajmować.

- Więc zatrudnij kogoś, kto zajmie się tym za ciebie. Wszystko zdaje się działać gładko pod dotychczasowym kierownictwem. Wynajmij jedną ze znanych firm prawniczych, by nadzorowała sprawy i co miesiąc przysyłała ci raporty finansowe. Teraz nie powinnaś się tym zajmować. Twojej matki nie obchodziło, w jaki sposób całość funkcjonuje. Przypuszczam, że wystarczyło jej mieć konto bankowe, z którego czerpała pieniądze. Teraz to konto przejdzie na ciebie i...

- I co?

- I, jak sądzę, będziesz mogła z niego korzystać. Możesz zrobić wiele dobrego dzięki fortunie, którą odziedziczyłaś. Ale teraz nie czas zastanawiać się nad tym.

- Wręcz przeciwnie, pora jest jak najbardziej odpowiednia. Jak, do diabła, wytłumaczę to wszystko Jackowi?

- Nie staraj się nic wyjaśniać, po prostu mu o tym powiedz. Nie możesz niczego zmienić, Sophie. Jest jak jest.

- Twoje ulubione powiedzonko: jest jak jest. Nigdy się nie dowiem, czy przestraszyłam mamę wiadomością o ślubie.

- To nie miało nic wspólnego z jej śmiercią. Nie obwiniaj się, Sophie. Nie pozwolę ci. Słyszysz?

- Oczywiście, że słyszę. Nie wiem nawet, co ona miała. Nic nie wiem. Jak mogę wrócić do Stanów zostawiając wszystko w rękach obcych?

- Musisz, bo Jack na ciebie czeka. Masz mosty do zbudowania, pamiętasz?

- Czy to znaczy, że też wracasz do Waszyngtonu?

- Tylko jeśli i ty chcesz wrócić, Sophie. W Waszyngtonie nikt na mnie nie czeka. Muszę tylko skończyć studia, ale zajęcia na ostatnim semestrze zaczynają się dopiero za dwa tygodnie. Odeszłam przecież z pracy.

- A co z Tannerem?

- Codziennie do mnie dzwoni. Nie spodziewałam się tego po nim. Senator zadzwonił wczoraj i spytał o coś tak głupiego, że straciłam panowanie nad sobą. Nie wiedział mianowicie, gdzie zostawił kalosze. Skąd ja mam to wiedzieć, do diabła? Ale może po prostu chciał się dowiedzieć, jak się miewam. Resa dzwoniła dwukrotnie. To dziwne, ale Irene jeszcze się nie odezwała.

- Jedźmy do domu. Ty wrócisz do Waszyngtonu, a ja do Nowego Orleanu.

- Widzisz, potrafisz podjąć decyzję. To w końcu nie było takie trudne, prawda?

- Ale najpierw pojedziemy do Hiszpanii odwiedzić twoich rodziców. Nie patrz tak na mnie, Jessie. Oddałabym wszystko, by móc jeszcze choć jeden raz zobaczyć się z matką. Nie widziałam jej od pięciu lat. To nie w porządku. Życie jest takie kruche. Właśnie się o tym przekonałam. Nie chcę, żebyś ty też później tego żałowała. Wpadniemy, przywitamy się, coś zjemy i pojedziemy w dalszą drogę. Tak będzie uprzejmie i przyzwoicie, Jessie.

Jessie poczuła skurcz żołądka. Sophie miała rację. Była jednak pewna istotna różnica – Sophie kochała matkę, Jessie zaś nigdy nie kochała swojej. Uprzejmie, przyzwóicie... Jessie skinęła głową.

– Tylko na kilka godzin. Czy oni wiedzą o twojej matce?

– Nie wiem. Sama zawiadomię panią Theę. Kiedyś były najlepszymi przyjaciółkami. Z jakiegoś powodu moja matka bardzo się starała nie tracić kontaktu z twoimi rodzicami. Zdaje mi się, że uważała twoją matkę za godną szacunku, dystygowaną damę z Południa. Może ta dama chciałaby wiedzieć o śmierci przyjaciółki. Większość ludzi starzejąc się dojrzewa wewnątrz. Przez wzgląd na nas obie miejmy nadzieję, że odnosi się to i do twoich rodziców. Czy kiedykolwiek tknęłaś pieniądze z funduszu powierniczego?

– Nie.

Sophie westchnęła.

– Załatwmy wszystko i spakujmy się. Mam dość słońca, a te cholerne kwiaty przyprawiają mnie o mdłości. Masz rację, to dobre krewetki, ale zabiłabym za soczystego hot doga. Muszę wykonać kilka telefonów. Wygląda na to, że jutro wieczorem będziemy z powrotem w dobrych starych Stanach.

Sophie znowu zaczęła żyć. Serce zatrzepotało w piersi Jessie. Może Tanner przyleci do Waszyngtonu, żeby się z nią zobaczyć? A może ma jej już dość? Nie będzie myślała o rodzicach. Absolutnie nie. Pomyśli raczej o tym, że rzuci się w ramiona Tannera i o tym, co będzie później.

– Mamy dokładnie dwie i pół godziny do wyjazdu na lotnisko – powiedziała Sophie patrząc na zegarek. – Możemy skrócić wizytą do półtorej godziny, jeśli okaże się, że trudno ci to znieść. Wystarczy, że dasz mi znak... powiedzmy pociągniesz się za ucho, a ja przejmę paleczkę. Wejdźmy od tyłu. Gospodyni powiedziała, że rodzice są w ogrodzie. Zastanawiam się, dlaczego wybrali Barcelonę. To do nich nie pasuje.

Jessie miała ponurą minę.

Co ja tu właściwie robię? – pomyślała.

– Powinnam coś kupić. Uczyli mnie, że nie idzie się z wizytą z pustymi rękami – powiedziała głośno.

– Zerwij kwiat – zaproponowała Sophie.

Jessie tak zrobiła.

- Na stole jest butelka jacka danielsa i dzin marki Bombay. Piją, choć jest dopiero dziesiąta rano. Moja matka nigdy nie piła. Popijała tylko sherry w Boże Narodzenie.

Sophie zmarszczyła nos, a potem przewróciła oczami.

- W południe będą już zaprawieni, po południu utną sobie drzemkę. Wszyscy ucinają sobie drzemkę w południe, by przygotować się na ciężkostrawną kolację i dalszy ciąg picia. Na tym polega europejski styl życia. Tak przynajmniej twierdziła moja matka i zazwyczaj też tak robiła. Zostaw im po sobie wspomnienia, Jessie. To nie zaszkodzi, skoro wyjeżdżasz, a oni zostają.

Jessie popatrzyła na Sophie. Ani cięty język, ani gniewne oczy nie były w stanie zamaskować faktu, że Sophie Ashwood opłakiwała matkę. W tej chwili Jessie postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, by uszczęśliwić przyjaciółkę. Skinęła głową.

Przez chwilę rozglądała się wokół, porównując otaczającą ją zieleń z ogrodem w Charlestonie. Uznała, że tu jest znacznie lepiej. Zsunęła okulary słoneczne z nosa, by natychmiast włożyć je z powrotem. Blask słońca był oślepiający. Zachłysnęła się na widok tęczywych barw kwiatów, które rosły w wiszących koszykach, w doniczkach i pięły się w górę trejaży. Wykute z metalu meble o skomplikowanych koronkowych wzorach stały pod parasolami tak kolorowymi, jak otaczające je kwiaty. Sięgający kolan ciemnozielony żywopłot oddzielał patio od reszty ogrodu. Spojrzała pod nogi ujrzała swoje odbicie we włoskim marmurze.

To muszą być mocne płytki, przyszło jej do głowy, bo przypomniła sobie, że dom Sophie w Atlantycie też był wyłożony błyszczącym włoskim marmurem.

W powietrzu unosił się zapach tysięcy kwiatów. Odurzająca woń przyprawiła ją o zawrót głowy. Spozstrzegła dwa opasłe trzmiele wysysające nektar z dorodnych karmazynowych kielichów. Przepiękna kryształowa karafka pełna mrożonej herbaty, w której lód już się roztopił, stała na jednym ze stoliczków obok talerza ciasteczek przykrytych szklanym kloszem dla ochrony przed owadami. Wyglądało na to, że niczego tu nie ruszано. Na innym stole zobaczyła butelkę jacka danielsa, dzin oraz kilka paczek papierosów.

W odległości zaledwie sześciu kroków od patio we wspaniałym basenie migotała w blasku słońca krystaliczna, niebieska woda. Za basenem widoczny

był kort tenisowy. Jessie zamruwała oczami. Kto korzystał z tego wszystkiego? Przecież jej rodzice nie pływali ani nie grali w tenisa.

- Mamo? Tato!

- Jessie, czy to naprawdę ty? Barnes, nasz kochany dzidzius przyjechał! Jessie, kochanie, chodź, pocałuj i uściskaj mamusię. Powiedz cześć tatusiowi. Wiedziałaś, że przyjedziesz. Wiedziałaś! Czy nie mówiłam, że przyjedzie, Barnes? Modliłam się o to co dnia. Moje słodkie maleństwo, mamusia tak bardzo cię kocha. Pocałuj tatusia i usiądź koło mnie. Nie opuścisz nas już, prawda? Czy ten kwiat jest dla mnie? Zerwałaś go w ogrodzie? Zawsze byłaś troskliwym dzieckiem. Dobry Boże, tak bardzo za tobą tęskniłam.

Jessie poczuła, jak jej ciało sztywnieje, gdy Thea podobnymi do szponów rękami objęła ją i zaczęła obsypywać mokrymi pocałunkami. Zakrztusiła się, czując oddech matki przesycony kwaśnym odorem dżinu i papierosów.

- Nie mogę oddychać, mamo. Proszę, puść mnie. Puść mnie!

Jessie uwolniła się z objęć Thei i cofnęła oddychając nierówno, z twarzą wykrzywioną strachem. Thea zaczęła płakać, łyzy żłobiły bruzdy w grubej warstwie pudru na policzkach. Jessie cofała się dalej, dysząc. Stała obok krzesła, na którym siedział ojciec. Schyliła się, by pocałować go lekko w policzek. Starła się zapanować nad oddechem.

- Uspokój się, kochanie. Matka po prostu przez chwilę dała się ponieść uczuciom. Właśnie wczoraj o tobie myślałem, Jessie. Dobrze wyglądasz. Jesteś szczęśliwa?

- Tak, tatusiu. Jestem szczęśliwa.

- Co cię sprowadza do Hiszpanii? Usiądź, Sophie. Jak to miło, że przyjechałyście. Thea, zadzwoń, by przyniesiono mrożonej herbaty dla tych słicznych młodych kobiet.

Pociągając nosem Thea sięgnęła po mały srebrny dzwoneczek stojący na stole.

- Pani Ashwood nie żyje. Zginęła w wypadku samochodowym tuż przed Sylwestrem. Nie chciałam, żeby Sophie musiała sama przez to wszystko przechodzić, więc przyjechałam z nią. Teraz jesteśmy w drodze do domu.

- Przyjechałyście tu jeszcze przed Sylwestrem i dopiero teraz nas odwieździe? - powiedziała Thea z pretensją. - Chodź, Jessie, usiądź obok

mamusi. Chcę ci powiedzieć, jak bardzo za tobą tęskniłam. Daj nam swój telefon i powiedz, gdzie mieszkasz.

- Nie, Thea. Bądź cicho.

- Mamo, czy słyszałaś, co powiedziałam? Pani Ashwood umarła.

- Oczywiście, że słyszałam, co powiedziałaś. Wpadła z wizytą tuż przed Świętem Dziękczynienia. Był z nią jakiś młody człowiek, który nawet nie zdążył się ogolić. Wyglądała koszmarnie, prawda, Barnes? Ubrała się w krótką skórzaną sukienkę. Czy możecie to sobie wyobrazić? Skórzana! Najpierw myślałam, że ten chłopak to szofer, ale okazało się, że to jej kochanek. Obmacywał ją przez całą kolację. Robiło mi się od tego niedobrze, przykro mi, Sophie, ale twoja matka była dziwka.

Jessie zauważyła, jaką przykrość sprawiły Sophie te słowa.

- Dość tego, Thea! Ani słowa więcej – warknęła Barnes.

Thea opadła na fotel niczym przekłuty szpilką balonik. Sophie, ochłonawszy w końcu, zwróciła się do Barnesa.

- Panie Roland, czy moja matka wspominała o mnie?

Choć Barnes nie był z natury kłamcą, prawidłowo odczytał błagalne spojrzenie córki.

- Moja droga, w czasie kolacji mówiła tylko o tobie. Była taka podniecona, bo pragnęła podarować ci grecką wyspę w prezencie na Boże Narodzenie. Mówiła, że masz zamiar wyjść za mąż i uważała, że będzie to wspaniałe miejsce na spędzenie miesiąca miodowego. Chociaż miała na sumieniu małe kłamstewko. Powiedziała temu młodemu człowiekowi, z którym przyjechała, że masz tylko siedemnaście lat. Naprawdę miała zamiar pojechać do Atlanty na Boże Narodzenie, Sophie. Czekala na to z niecierpliwością. Potem, chyba około dziesiątego grudnia, zadzwoniła, by nas zawiadomić, że jednak nie pojedzie do Stanów. Powiedziała, że czeka ją, jak to określiła, poważna kobieca operacja. Wróciła jednak do zdrowia, bo zadzwoniła do nas w święta. Mówiła, że godzinami starała się do ciebie dodzwonić, ale nie uzyskała połączenia.

Jessie uściskała ojca i szepnęła:

- Dziękuję ci, tatusiu.

Sophie szlochała, wcale tego nie ukrywając.

Thea wstała z fotela. Z ramionami wyciągniętymi w błagalnym geście, ze łzami spływającymi po policzkach szła w kierunku Jessie. Barnes też wstał, żeby powstrzymać żonę.

- Pokażę dziewczętom ogród, Thea. Poproś Dolores, by przygotowała coś smacznego na lunch.

Thea usiadła w fotelu.

- Usiądziesz obok mnie, Jessie? Jest coraz piękniejsza, prawda, Barnes?

- Tak, Thea, to prawda. Jessie i Sophie to dwie najpiękniejsze dziewczyny, jakie kiedykolwiek widziałem. Tak mi przykro z powodu twojej matki, Sophie. Gdybym wiedział o jej śmierci, pojechałbym na pogrzeb. Janice kochała życie.

- I mężczyzn. I chłopców - przerwała mu Thea.

Sophie zignorowała jej słowa.

- Właściwie nie było pogrzebu, tylko nabożeństwo. Pan Mendenaar powiedział, że matka życzyła sobie, by jej ciało zostało poddane kremacji więc tak zrobiliśmy. Muszę sobie jakoś ze wszystkim poradzić.

- Na razie, dziecko, niech sprawy toczą się utartym torem. Personel zatrudniony przez twoją matkę należy do najlepszych. Zawsze twierdziła, że jej majątkiem zarządzają sprawne ręce. Janice mogła podróżować i robić to, co chciała. Miała do ludzi zaufanie i, o ile mi wiadomo, nikt jej nie zawiódł. To się nie zmieni, choć ty przejmiesz ster.

- Tatusiu, czy mamie coś dolega? Dlaczego tak źle wygląda?

- Za dużo pije. Nie odżywia się właściwie. Nie sypia, najwyżej ucina sobie drzemki. Bez przerwy płacze i przegląda albumy rodzinne. Odmawia robienia czegokolwiek. Nie mogę jej skłonić nawet do spaceru. Coraz bardziej dokuczają jej artretyzm. Sama sobie wyrządza krzywdę. Nie chcę, żebyś się o to obwiniała, Jessie.

- Nie wygląda dobrze.

- Nie czuje się dobrze, Jessie. Powiedz lepiej, czy skończyłaś szkołę i zdobyłaś dobrą pracę?

- Do skończenia studiów został mi tylko jeden semestr, potem dostanę dyplom. Miałam doskonałą pracę, ale musiałam ją rzucić, by przyjechać z Sophie. Znajdę sobie inną. Uczęszczałam na kursy wieczorowe, a ostatnio spotkałam miłego młodego człowieka.

- Najwyższy czas. Czy pochodzi z dobrej rodziny?

- Chyba tak. Bardzo go lubię. Dziękuję, tatusiu, że nie zadajesz mi szczególnych pytań.

- Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa. A jak tam koszmary? Wciąż się ci śnią?

- Tak, ale się zmieniają. Stają się...

- Chyba Dolores wzywa nas dzwonkiem na lunch - powiedział pospiesznie Barnes. - Chodźcie, dziewczęta.

Jessie usiadła obok matki. Rozpaloną, suchą dłońią Thea ujęła jej rękę i uściśniła. Siedziała tak blisko, że Jessie czuła gorący oddech matki policzku.

- Mamo, proszę. Jeśli nie puścisz mojej ręki, nie będę mogła jeść. Nie mogę tego znieść. Nie rozumiem tego, ale gdy jesteś blisko mnie, mam uczucie, że nie mogę oddychać i wpadam w panikę. Odsuń krzesło, mamo. Przy tobie czuję się tak, jakbym była w jednym z moich okropnych snów. Takie mam uczucie. Wiem, że to brzmi...dziwnie, ale tylko tak potrafię je opisać. To miałam na myśli, tatusiu, gdy mówiłam, że sny się zmieniły.

Jessie wpatrywała się w pobladałą twarz ojca.

- Tatusiu, czy coś się stało? Jesteś śmiertelnie błądy.

- To z przejedzenia.

Jessie roześmiała się. Skuliła się, gdy matka dotknęła ją ramieniem, ale siedziała bez ruchu.

- Jak długo z nami zostaniesz, słodkie kochanie? Jest tyle do zrobienia. Możesz zająć pokój obok mojego. Między nimi są łączące je drzwi. Mogłybyśmy razem chodzić na zakupy i jeść posiłki na mieście. Razem jeździć na krótkie wycieczki samochodem. Czyż to nie wspaniałe, Barnes? Nasza córka w końcu wróciła do domu. Kupiliśmy ten dom ze względu na basen i kort tenisowy. Wiemy, że uwielbiasz takie rzeczy. Ogród w patio został zaprojektowany z myślą o tobie. Wyobrażałam sobie, jak we dwie siedzimy tu grając w szachy, czytając lub od czasu do czasu słuchając muzyki. Jest prawie tak piękny jak ty, słodkie kochanie. Powiedz, jak bardzo tęskniłaś za tatusiem i za mną?

- Wszystko jest śliczne, mamo. Ale ja z wami nie zostanę. Muszę wrócić do Stanów i poszukać sobie pracy. Chcę skończyć szkołę. Nie mogłam będąc tu blisko nie odwiedzić was. Chciałam się dowiedzieć, jak się wam powodzi. Sophie i ja wyjeżdżamy zaraz po lunchu. Jeśli będziesz płakać, mamo, wyjadę już teraz.

- Jessie, kochanie, czy ty mnie już nie kochasz? Jesteś taka okrutna. Zapytaj ją, Barnes, jak może tak mnie dręczyć, choć ja tak bardzo ją kocham.

- Przepraszam, muszę pójść do toalety - powiedziała Sophie.

- Mamo, tyle razy starałam ci się to wyjaśnić, a ty mnie nie słuchałaś, przerażasz mnie. W tej chwili serce wali mi w piersiach, a przecież po prostu siedzę obok ciebie.

- Słodkie dziecko, to dlatego, że wróciłaś do domu. Jesteś tym bardzo przejęta. Wiem, że nas kochasz. Wszystkie dziewczynki kochają swoich rodziców. Popatrz na Sophie. Kochała tę swoją nic niewartą matkę.

- Dość tego, Thea.

- Cicho bądź, Barnes. Jessie musi zrozumieć swoje uczucia. Nie chcę, by odjechała przekonana, że mnie nie kocha. Albo że nas nie kocha. Barnes, dlaczego nie kupisz Jessie greckiej wyspy?

- Mamo, na miłość boską, nie chcę greckiej wyspy. Chyba już czas na nas. Czujesz się lepiej, tatusiu?

Barnes zmusił się, by zachichotać.

- To były gazy. Przechodzą, gdy zje się trochę chleba.

- Zapamiętam to sobie.

Odwróciła się i zobaczyła, że Sophie stoi w drzwiach.

- Jesteś gotowa, Sophie?

- Tak.

- Więc pora się pożegnać.

- Nie oprowadziliśmy cię po domu, Jessie. Przygotowałam dla ciebie pokój. Czeka od dnia, gdy się tu wprowadziliśmy. Proszę, pozwól mi go pokazać. Jest dokładnie taki sam, jak twój stary pokój w Charlestonie. Wystarczy, że go zobaczysz, a wiem, że zmienisz zdanie i na pewno zostaniesz z nami.

- To dodatkowy powód, by go nie oglądać. Nie znosiłam tamtego pokoju. Naprawdę go nie znosiłam. Nie chcę się z tobą spierać ani klócić. Czy możemy dać temu spokój i po prostu się pożegnać?

Thea załamała rękę, a łzy popłynęły jej z oczu.

- Wrócisz tu kiedyś?

- Nie wiem.

- Barnes, chcę wrócić do Charlestonu - zwróciła się Thea do męża.

- Do widzenia, dziewczęta. Szczęśliwej podróży. Poproszę księdza, by zmówił modlitwę za duszę Janice.

- Do widzenia, tatusiu. To był przyjemny lunch.

- Mamusiu, dbaj o siebie. Proszę, mamó, nie rób tego. Nie, nie chcę... mamó, nie.

- Idź, Jessie. Zajmę się twoją matką.

- Biegnij, Sophie. Szybko. Nie możesz szybciej?

- Jessie Roland, o co tu, do diabła, chodziło? - domagała się wyjaśnień Sophie, gdy Jessie wepchnęła ją na tylne siedzenie samochodu i krzyknęła do kierowcy:

- Szybko, proszę nas stąd zabrać. Jedziemy na lotnisko.

Walcząc o oddech, z twarzą bielszą niż bluzka, Jessie potrafiła tylko powiedzieć:

- Nie wiem, co o tym myśleć.

Potem rozplakała się.

- Co jest ze mną nie w porządku, Sophie? Dlaczego nie mogę jej pokochać?

- Boże, sama chciałabym wiedzieć, ale nie mam pojęcia, Jessie. Teraz naprawdę rozumiem, przez co przeszłaś. Przedtem miałam tylko niejasny obraz. Ona była przerażająca. Twój ojciec też zachowywał się trochę dziwnie. To nie z przejedzenia. Od tego człowiek nie blednie. I w ogrodzie mówił dziwne rzeczy.

- Wiem i nie chcę o tym myśleć. Żałuję, że w ogóle tu przyjechałyśmy

- Przepraszam, Jess.

- Nie, miałaś rację namawiając mnie do tego. Ale nigdy więcej nie chcę ich widzieć. Czy Bóg ukaże mnie za to, że tak czuję?

- Nie. On pewnie też ich nie lubi.

Jessie uśmiechnęła się.

- Chyba masz rację. Moim zdaniem tak jest dobrze.

- Ja też tak uważam, Jess. Ja też.

- Jeśli będę mogła ci jakoś pomóc, zadzwoń, dobrze, Sophie?

- Poradzę sobie z tym. Nie ma sensu, żebyśmy wracała do Atlanty. Za godzinę mogę złapać lot do Nowego Orleanu. Chcę się zobaczyć z Jackiem,

pewnie siedzi teraz w mieszkaniu obgryzając paznokcie. Cieszę się, że zatrzymałam to mieszkanie, przyda się jako baza.

- Nie tylko zatrzymałaś, po prostu kupiłaś cały budynek.

- Tak. Trzy lata to długo. Trudno oczekiwać, żeby właściciel trzymał mieszkanie dla mnie tyle czasu. Słuchaj, nie martw się o samochód. Zadzwoń do firmy, by przyprowadzili go do Waszyngtonu. Będzie tu za kilka dni. Wiem, że umierasz wprost z niecierpliwości, by wrócić do domu zadzwonić do Tannera. Bądź szczęśliwa, Jess.

- Ty też, Sophie. Boże, jesteś trzecią najbogatszą kobietą świata. Potrzeba trochę czasu, by do tego przywyknąć.

Jessie poczuła nagle na ramieniu silne palce Sophie. Na twarzy przyjaciółki malowała się surowość.

- Popatrz na mnie, Jessie, i posłuchaj. Nie ma żadnej różnicy. Jestem, kim jestem i to się nigdy nie zmieni. Będę dalej żyła tak jak ty. Nie zapomnij, że przyrzekłaś być druhną na moim ślubie. Zadzwoń do ciebie, kiedy wyznaczmy datę. Pamiętaj, co ci powiedziałam. Bądź szczęśliwa.

- Ty też, Sophie. Ty też.

Po powrocie do domu Jessie natychmiast nakręciła prywatny numer Tannera w Teksasie. Zrzucając płaszcz i zdejmując rękawiczki usłyszała jego głos w słuchawce.

- Cześć. Wróciłam. Zastanawiałam się, co robisz w weekend. Mam sukienkę, którą kupiłam na randkę w Sylwestra. Szkoda by było, gdyby się zmarnowała. Moglibyśmy wybrać się do Shoreham i przetańczyć całą noc albo zostać w moim mieszkaniu i robić różne inne rzeczy.

- Opowiedz mi o tym coś więcej.

Jessie zadrżała słysząc jego chrapliwy głos.

- Trochę tego i dużo czegoś innego. Wiesz, co mówią na temat oczekiwania?

- Powiedz mi - wyszeptał.

Jessie też zniżyła głos do szeptu.

- Będziesz musiał poczekać i sam się przekonać.

- A wystawisz mnie znowu?

- Nie.

Jessie zwinęła się w kłębek i wtuliła w róg sofy. Tak wiele chciała powiedzieć temu młodemu mężczyźnie, który sprawił, że krew w jej żyłach zaczęła szybciej krążyć. Gadali i gadali, aż Jessie przerwała rozmowę.

- Jestem bardzo zmęczona, to przez różnicę czasu. Oczy same mi się zamykają.

- Obiecuj, że będziesz o mnie śniła.

- Postaram się. A ty obiecasz śnić o mnie?

- Jessie, śnię o tobie od dnia, kiedy cię poznałem. Jesteś pierwszą osobą, o której myślę, gdy się budzę. Żegnam się z tobą w myślach przed zaśnięciem. Czy to ci wystarczy?

- Myślę, że tak.

- Wygląda ha to, że zakochujemy się w sobie, Jessie Roland.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło, Tannerze Kingsley.

- Dobranoc, Jessie.

- Dobranoc, Tanner.

Jessie z trudem dowlokła się do sypialni. Ściągnęła ubranie i włożyła nocną koszulę. Zastanawiała się nad umyciem twarzy i zębów. Doszła jednak do wniosku, że świat się nie zawali, jeśli raz tego nie zrobi. W dwie minuty później spała głęboko.

12

Jessie podeszła do okna, by popatrzeć na ciemną, burzliwą noc. Gdzie podziewał się Tanner? Może lot się opóźnił? Może siedział na lotnisku, czekając, aż personel obsługi technicznej odłodzi skrzydła samolotu? Zerknęła na mały budzik stojący przy łóżku. Tanner spóźnił się trzy godziny. Właściwie może już zdjąć olśniewającą sukienkę i szpilki, od których zdrętwiały jej stopy. Czy powinna zadzwonić do Shoreham i odwołać rezerwację? Znowu rozchyliła zasłony i wyjrzała przez okno. Deszcz ze śniegiem uderzał w szyby miotany gwałtownymi podmuchami wiatru. Przestraszona odsunęła się od okna. Tylko głupiec odważyłby się wyjść na dwór w taką noc. A Tanner Kingsley z

pewnością nie był głupcem. Przygryzając dolną wargę starała się powstrzymać płacz.

Byłoby miło, gdyby chociaż zadzwonił.

Rozejrzała się po schludnym, czystym mieszkaniu. Godzinami sprzątała je i pucowała... i po co? Czy po to, by wystrojona niczym księżniczka samotnie gapić się w płomień gazowy palący się jasno na kominku? Spojrzała na kupione przez siebie butelki drogiego wina i stojący obok kubek na lód. Nie zaglądając do niego wiedziała, że lód się roztopił. Znowu podeszła do okna i rozchyliła zasłony. Wiatr wciąż wiał, deszcz ze śniegiem uderzał w szyby. Wyciągnęła szyję rozglądając się po ulicy. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać reflektorów samochodowych.

Zrzuciła pantofle i skonsternowana zobaczyła, jak maleńkie zielone cekiny odrywają się od nich i rozpryskują na wszystkie strony. Cholera. Równie dobrze może zdjąć kosztowną sukienkę i założyć stary wełniany szlafrok. Mocowała się z zamkiem błyskawicznym, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Z twarzą rozjaśnioną, jak gdyby padły na nią promienie letniego słońca, pobiegła otworzyć. Zachłysnęła się na widok Tannera.

- Tanner! Jesteś cały przemoczony! Nie słyszałam samochodu. Jak dojechałeś?

- Przyszedłem na piechotę. Wybrałem mniejsze zło - wychrypiał. - Muszę zdjąć ubranie.

- Szedłeś na piechotę? Skąd? Dlaczego? Oczywiście, rozbierz się. Wejdz. Usiądź przy ogniu... nie, nie, idź najpierw do łazienki. Znajdę ci coś do włożenia. Pospiesz się, bo się przeziębisz.

- Szedłem aż z Czternastej ulicy. Drogi były śliskie i taksówkarz odmówił dalszej jazdy. Mamy randkę, pamiętasz? Zawsze przychodzę na randki. Dziś po południu już byłem przeziębiony. Teraz pewnie nabawiłem się zapalenia płuc. Możesz mi zrobić coś gorącego do picia?

- Tak, tak, oczywiście. Rzuć rzeczy na podłogę i weź gorący prysznic. Tak, dobrze. Zrobię ci... zrobię... gorący poncz i znajdę coś ciepłego do ubrania. Nie wyglądasz dobrze, Tanner.

- Czuję się tak, jak wyglądam. Masz aspirynę?

- W apteczce.

- Nie patrz tak na mnie, Jessie. Nic mi nie jest.

Jessie uśmiechnęła się z trudem.

- Dobrze, Tanner.

Szperając w szafie w poszukiwaniu czegoś, co pasowałoby na Tannera pozwoliło mu się ogrzać, Jessie zupełnie zapomniała, że wciąż ma na sosie obszytą cekinami suknię. Znalazła obszerny wełniany szlafrok i długą, workowatą flanelową koszulą nocną, jedyne rzeczy, które nadawały się na Tannera. Skuliła się usiłując wyobrazić sobie przystojnego młodego mężczyznę w tym stroju. Powiesiła rzeczy na kłamce łazienki i pobiegła do kuchni.

Nigdy nie robiła ponczu i miała jedynie mgliste pojęcie, jak go przygotować. Czajnik zagwizdał. Jessie wymieszała w dzbanku różne składniki, dodała po namyśle torebkę herbaty i wszystko zalała wrzątkiem. Zniosła gorący napój do salonu. Na widok stojącego przy kominku, ubranego w jej rzeczy Tannera o mało nie upuściła filiżanki. Na twarzy miał wypieki. Nawet z pewnej odległości widać było, że się trzęsie.

- Mam dreszcze - zameldował.

Trzęsącymi się rękami sięgnął po poncz. Zaniepokojona Jessie także nie mogła opanować drżenia rąk. W rezultacie trochę płynu z wypełnionej po brzegi filiżanki wylało się na cienką, obszytą cekinami sukienkę. Jessie krzyknęła z bólu, gdy gorący płyn przesiąknął przez materiał. Gdy Tanner pewnie ujął filiżankę, rozsunęła zamek błyskawiczny lśniącej sukni i zrzuciła ją z siebie pozwalając, by upadła u jej stóp. Wydawało się, że Tanner zajęty sączeniem gorącego napoju zupełnie nie zwraca uwagi, iż Jessie stoi przed nim prawie naga.

- Co to jest, do diabła?

Po chwili Jessie zorientowała się, że nie chodzi mu ani o nią, ani o jej skąpy strój.

- Sos tabasco, whisky, brandy, mięta i herbata. Może powinieneś położyć się do łóżka? Kominek właściwie nie daje ciepła, a okna są stare i nieszczelne.

- To dobry pomysł. Wziąłem sześć aspiryn.

- Sześć!

- Tak. Pokaż mi drogę. Ubierz się, bo się przeziębisz.

Gdy Jessie uświadomiła sobie, że ubrana jest tylko w to, co Sophie nazywała eteryczną bielizną, jej twarz oblała się rumieńcem, który barwą dorównywał cegłom kominka.

- Ubiore się, gdy tylko położysz się do łóżka.
- Lubię pasy do pończoch – powiedział Tanner odrzucając kołdrę i narzutę na łóżku Jessie. – Podoba mi się dźwięk, jaki wydają przy zdejmowaniu.

Jessie zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Mam dodatkowe poduszki.

- Proszę o dwie. A masz dodatkowe koce? – spytał szcękając zębami.

- Przyniosę. Skończyłeś pić? Zrobić ci drugą filiżankę?

- Wypiłem to, czego nie wylałaś. Tak, proszę o jeszcze jedną porcję.

Jessie już chciała się głośno oburzyć, bo przecież to on rozlał napój, ale ugryzła się w język. Mężczyźni, gdy chorowali, zachowywali się jak dzieci.

W łazience pokręciła głową przerażona bałaganem, jaki po sobie zostawił. Dwadzieścia minut wycierała rozlaną na podłodze wodę i rozwieszała jego mokre ubranie. Kilka kolejnych minut poświęciła na przebranie się w normalną bieliznę, włożenie spodni i pulowera. Rozdrażniony Tanner zrzędził z sypialni:

- Co tak długo, Jessie?

Idąc do kuchni Jessie zmarszczyła brwi. Tym razem zrobiła poncz w większej filiżance.

Choć Tanner leżał na łóżku wsparty na poduszkach i przykryty stertą kołder, wciąż wstrząsały nim dreszcze i miał wypieki. Diabeł podkusił ją, by z przekąsem powiedzieć:

- Tym razem nie rozlej.

- Podobałaś mi się bardziej w bieliźnie. Jak się nazwa to, co miałaś na sobie?

- Bielizna.

- Ostatni raz byłem chory w wieku dziesięciu lat. Jak myślisz, czy to grypa?

- Nie mam pojęcia. Przykro mi, że w sypialni nie ma radia ani telewizora. Spróbuj zasnąć.

- Nie mogę spać, kiedy jest mi zimno. Wiem, że mam gorączkę. Skórę mam gorącą i suchą, a marznę.

- Wkrótce zaczniesz działać aspiryna. Wypij wszystko. To ci pomoże zasnąć.

- Zostaniesz i porozmawiasz ze mną?

- Jeśli chcesz. Mam zadzwonić do ojca albo do Irene?

- Boże, nie. A propos, tatuś prosił, bym błagał cię o powrót do pracy. Powiedział, że rozumie, dlaczego wyjechałaś. Musiałaś pojechać z przyjaciółką na pogrzeb jej matki.

- Zastanowię się. Na wiosnę chcę skończyć studia i zdobyć dyplom. To tylko kilka miesięcy. Jeśli nie będę pracowała, mogę studiować w dzień. Może dałabym radę przychodzić do biura raz czy dwa razy w tygodniu. Teraz nie jestem pewna. Zbliża się ślub Sophie, chociaż chyba nie ustaliła jeszcze daty. Na to też będę potrzebowała czasu. Przynajmniej kilka tygodni. Obecnie odpowiedź brzmi: nie.

Tanner zagrzebał się głębiej w pościeli.

- Tatusiowi się to nie spodoba. Wiesz, czuję się podle. Oglądałem kiedyś film, w którym pielęgniarz uratował żołnierzowi życie ogrzewając go ciepłem własnego ciała.

- Ja też widziałam ten film. Byli w igloo wśród śniegów. A ty leżysz w ciepłym łóżku, przykryty trzema kołdrami i narzutą z kordonka. Masz na sobie grube ubranie, wzięłaś aspirynę i wypileś poncz. Ten biedak nie miał nic. Lepiej prześpij się sam.

- Czy to znaczy „nie”?

- Tak. To znaczy nie. Jesteś śpiący. Odpręż się. Zostanę z tobą. Poczytać ci dzisiaj gazetę?

- Przeczytałem ją w samolocie. Opowiedz mi teraz o sobie, zaczynając od dnia urodzenia. Nie pomijaj niczego. Chce usłyszeć wszystko. Wtedy zdecyduję, czy powinniśmy się pobrać, czy nie.

- Pobrać! Ledwie się znamy.

- Leżę w twoim łóżku. Widziałem cię w samych majtkach. To chyba wystarczy?

- Czy to znaczy, zakładając oczywiście, że byłabym tym zainteresowana, że nie zaakceptowałbyś mnie taką, jaką jestem? Musisz wiedzieć o mnie wszystko od dnia moich narodzin?

- Mam przeczucie, że skrywasz głębokie, straszliwe tajemnice, Jessie Roland. Chcę je poznać. Nie lubię, jak coś pojawia się znienacka, nie znoszę być zaskakiwanym.

Jessie skuliła się w sobie.

- A więc, panie Kingsley musi pan szturmować kogoś innego. Moja przeszłość nie jest zajmująca. Jestem, kim jestem. Innymi słowy: bierz mnie taką, jaką mnie widzisz, albo daj spokój.

- Czy twoi rodzice przyjadą na ślub?

- O jakim ślubie mówisz? Jeśli masz na myśli nasz, odpowiedź brzmi: nie.

- Moim rodzicom to się nie spodoba.

- Czy sądzisz, że mnie to obchodzi, Tanner? Jest jak jest.

- Jesteś twarda. Ojciec lubi u ciebie tę cechę. Ja nie.

- Szkoda. Dostajesz to, co widzisz. Po wyjściu za mąż, jeśli w ogóle do tego dojdzie, zamierzam pracować. Nie mam nic przeciwko dzieleniu się moimi pieniędzmi z mężem, ale nie będę rozliczała się z tego, co wydaję. Jestem niezależna i nie zamierzam się zmieniać.

- Kobiety w naszej rodzinie nie pracują.

- Resa pracuje. Jest niezależna. Dlaczego w moim przypadku ma być inaczej?

- Resa opuściła owczarnię. Jeśli się pobierzemy, nie chcę, żebyś pracowała.

- Z tego wynika, że się nie pobierzemy. Czy jesteś aż tak bogaty?

- Tak, jesteśmy zamożni. Choć w tej chwili trzeba by raczej powiedzieć, że utrzymujemy pozory. Stać mnie jednak na utrzymanie żony.

- Więc stało się coś, co odwróciło koło fortuny?

Zarumieniała się słysząc własne staroświecko brzmiące określenie.

- Można tak powiedzieć. Złe transakcje ziemią i prawami do ujęć wodnych. Musieliśmy zmniejszyć stada z powodu braku wody. Luke ma nas w garści. Czeka, aż zaczniemy się przed nim czołgać, a Kingsleyowie nigdy się nie płaszczą.

- Rozumiem - powiedziała Jessie.

- Nie, nie rozumiesz, ale to nic nie szkodzi. Wciąż jeszcze potrafimy związać koniec z końcem. Na razie. Szkoda, że nie jesteś bogata jak twoja przyjaciółka Sophie. W mgnieniu oka zwałiłbym cię z nóg.

Słyszac jego słowa, Jessie miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Sophie miała rację, zawsze miała rację.

- Życie od wypłaty do wypłaty ma swoje dobre strony - powiedziała w końcu.

- Wymień choć jedną. Tylko jedną – parsknął Tanner.
- Kształtuje charakter.
- Dla banków charakter to żadna lokata. Lubią zimną, twardą gotówkę.

Jessie patrzyła, jak głowa Tannera opada, a oczy się zamykają. W końcu zasnął.

Ze skrzyżowanymi ramionami długo siedziała w małym bujanym fotelu. Wiele razy odtwarzała w myślach tę rozmowę i w miarę upływu czasu to, co usłyszała, podobało jej się coraz mniej. Marszcząc brwi, zamyślona patrzyła na śpiącego mężczyznę. Pociągał ją. Wszystko wskazywało na to, że się w nim zadurzyła. Tak naprawdę po prostu go pożałowała. Czy urok, zadurzenie i żądza mogą być wystarczającą podstawą związku? Sophie powiedziałyby, że nie i Jessie musiałyby się z tym zgodzić. Czy zakochiwała się w Tannerze Kingsleyu? To bardziej niż prawdopodobne. Może powinna się z nim rozstać, zanim naprawdę się zaangażuje? Przygryzała paznokiec kciuka gapiąc się na śpiącego w jej łóżku mężczyznę. Nie wiedziała, skąd to wie, była jednak pewna, że Tanner Kingsley był zdolny złamać jej serce. Najważniejsze pytanie brzmiało: czy chciała podjąć ryzyko? Tak, tak, po tysiącuroć tak.

Jessie wyszła na palcach z pokoju, zamykając za sobą drzwi. W kuchni w pamięci wykręciła numer Sophie mając nadzieję, że w niczym jej nie przeszkadza.

Minęły całe trzy minuty, zanim Jessie zdała sobie sprawę, że w głosie Sophie brak zwykłego melodyjnego tonu, do którego przywykła.

- Nie zwracaj uwagi na bzdury, które plotę, tylko powiedz, co się stało, Sophie. Twój głos brzmi inaczej niż zwykle. Wciąż przytłaczają cię sprawy związane z interesami twojej matki? Czy ty i Jack wyznaczycie już datę ślubu? Byłabyś piękną czerwcową panną młodą. Coś jest nie tak. Słyszę to w twoim głosie.

- Jacka tu nie ma, Jessie. Wyjechał na trzy tygodnie do pracy. Ustaliliśmy przybliżoną datę ślubu w czerwcu. Chcemy urządzić kameralną uroczystość. Zwykły ślub w towarzystwie kilku przyjaciół. Prawdopodobnie włożę kostium i krótki welon. To jeszcze nic pewnego. Sprawy matki toczą się gładko. Wszystko jest w porządku. Jednak rzuciłam pracę. Myślę o otwarciu własnych biur.

- To wspaniale. Już widzę, jak prowadzisz swój własny biznes. A teraz powiedz mi, co się naprawdę stało? Czy powiedziałaś Jackowi?

- Nie, chociaż mam wrażenie, że on wie. Jeśli nie wie, to z pewnością coś podejrzewa. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że się zmienił? O to właśnie mi chodzi... i o coś jeszcze, czego nie potrafię dokładnie określić. To tylko plotki i nie potrafię dotrzeć do sedna bez względu na to, jak bardzo się staram. Przyjaciel powiedział mi, że Jack był we Francji wtedy, gdy i my tam byliśmy.

- Co? - to krótkie słowo wyskoczyło z ust Jessie jak wystrzał z pistoletu.

- Zareagowałam tak samo.

- Możesz zapytać go wprost, Sophie. Nigdy nie byłaś osobą, która owija cokolwiek w bawełnę. A może nie chcesz wiedzieć? Jeśli tam był, to co to może znaczyć? Mówiłaś, że jest honorowym, uczciwym człowiekiem. Poza tym po co miałby jechać do Francji? Sama powiedziałaś, że to może być plotka.

- Ten pobyt da się różnie interpretować. Może oznaczać, że on wie. Może też oznaczać, że mnie sprawdzał. Jedno jest pewne, jeśli był we Francji, skłamał mówiąc, że zostanie w Kostaryce. Nienawidzę kłamstwa. On utrzymywał, że też go nienawidzi. Powiedział, że wyjeżdża na trzy tygodnie do pracy. Nie wiem, czy to prawda, wiem tylko, że nigdy w życiu nie byłam taka nieszczęśliwa. Miałam zamiar zadzwonić do ciebie wcześniej, ale najpierw chciałam wszystko przemyśleć. Dlaczego to przytrafia się właśnie mnie, Jessie?

- Musisz złapać byka za rogi. Wezwij prywatnych detektywów, z których usług bez przerwy korzystasz. Zadaj im właściwe pytania. Gdy uzyskasz odpowiedzi, rzuć mu je w twarz i spojrzysz w oczy. W zależności od tego, co zobaczysz i usłyszysz, podejmij decyzję. Jeśli Jack cię kocha, Sophie, fakt, że jesteś bogata, nie sprawi żadnej różnicy. Tanner powiedział mi niedawno, że gdybym była tak bogata jak ty, złapałby mnie w oka mgnieniu. To mi się nie spodobało. Jestem pewna, że reagujesz zbyt emocjonalnie, bo spadły na ciebie nowe obowiązki po śmierci matki.

- Co będzie, jeśli wszystko to kłamstwo, Jessie? Co mam zrobić, jeśli okaże się, że wyszukał mnie dlatego, że jestem kim jestem? Mężczyźni często żenią się z bogatymi kobietami, tak samo jak kobiety, które chcą bogato wyjść za mąż.

- Brzmi to tak, Sophie Ashwood, jakbyś już zdecydowała o jego winie. To nie fair w stosunku do Jacka i wiesz o tym.

- Nie. Mój problem polega na tym, że wobec niego nie kierowałam się własnymi zasadami. Nie stosując się do nich dotarłam do punktu, w którym

teraz jestem. Byłam taka naiwna, kiedy ci mówiłam, że nie muszę go sprawdzać. To był mój pierwszy błąd. Jessie... nie wiem co zrobię, jeśli się okaże, że..

- Jessieeeee...

Stłumiony okrzyk Tannera dobiegł z sypialni.

- Sophie, poczekaj chwilę, Tanner się obudził.

- Jak długo spałem?

- Kilka godzin.

- Myślałem, że ze mną posiedzisz.

- Przez jakiś czas siedziałam. Rozmawiam z Sophie przez telefon. Potrzeba ci czegoś?

- Kilka aspiryn i herbatę. Byłoby mi przyjemnie, gdybyś się uśmiechnęła. Pozbądź się przyjaciółki i posiedz koło mnie.

- Nie mogę. Sophie ma problem i musimy go omówić.

- To Sophie jest problemem - powiedział Tanner. - Kiedy się pobierzemy, w naszym życiu nie będzie miejsca dla Sophie. Dlaczego pozwalasz jej kierować swoim życiem? Czy dlatego, że jest bogata?

- Coś ty powiedział? - odezwała się Jessie lodowatym tonem.

- Zapomnij, że to słyszałaś. To przez tę cholerną gripę. A co z aspirynami, Jessie?

- Zaraz ci przyniosę.

- Nie zapomnij o herbacie.

- Nie zapomnę.

Musi pamiętać, że jest chory i ma gorączkę. Chore, gorączkujące osoby są zwykle kapryśne i nie w humorze.

W kuchni dalej rozmawiała z Sophie. Wstawiła wodę na herbatę trzymając telefon przy uchu. Rozwinęła kabel, by móc zamknąć drzwi do kuchni. Nawet teraz mówiła ściszym głosem.

- Posłuchaj mnie, Sophie, musisz się uspokoić i spojrzeć na to realnie. W tej sprawie nie jesteś całkiem bez winy. Pamiętaj o tym. Przecież wiedziałaś, że wcześniej czy później, bez względu na to jak wiele przedsięwzięłaś środków ostrożności, w taki czy inny sposób pewne sprawy wyjdą na jaw. Jeśli kochasz Jacka, a on kocha ciebie, wszystko się ułoży. Zawsze mi mówiłaś, że nic nie jest tylko czarne ani tylko białe, że czasami trzeba dostrzec odcienie szarości. Musisz wszystko przemyśleć, Sophie. Zadzwoń do ciebie z samego rana. Będę

na nogach prawdopodobnie przez większą część nocy, więc jeśli chciałabyś ze mną później porozmawiać, zadzwoń.

- Jessieeeee!

Jessie wlała resztkę trunku do czystej filiżanki, dodała gorącej wody i wrzuciła torebkę herbaty. Po namyśle wlała sporo sosu tabasco i zamieszała zawartość. Zaskoczona zobaczyła, że mieszanina speniła się i wydobywają się z niej bąbelki. Z łazienki wzięła buteleczkę aspiryny.

- Czuję się lepiej - powiedział Tanner. - Chociaż wciąż mam dreszcze, ale już nie tak silne. Chyba zacznam się pocić. To dobrze.

Jessie usiadła na krześle naprzeciwko łóżka. Myślała wciąż o Sophie.

- Przykro mi z powodu dzisiejszego wieczoru. Wyglądałaś pięknie. To mi dopiero randka.

Jessie uśmiechnęła się.

- Szczerze mogę powiedzieć, że nigdy nie miałam takiej randki jak ta.

- Ja też. A więc chcesz wyjść za mąż czy nie? - droczył się z nią zachrypniętym głosem.

- Pewnego dnia - niezobowiązująco odpowiedziała Jessie, skrepowana tematem rozmowy.

Tanner zachichotał.

- Wyobrażam sobie, że rola twojego męża byłaby najwyższym wyzwaniem. Jak ci się wydaje, jaką stanowilibyśmy parę?

Jessie poczuła, że serce tłucze się jej w piersi.

- Bez głębszego zastanowienia powiedziałabym, że słowo „wyzwanie” dobrze pasuje do sytuacji. Odnoszę wrażenie, że masz fioła na punkcie kontrolowania innych. A ja nigdy nie pozwoliłabym nikomu kontrolować swojego życia.

- Tak o mnie myślisz? Kierowanie to coś innego niż kontrolowanie. Jeśli ktoś nie przejmie kierownictwa, przeważnie wszystko idzie do diabła. To nauka, jaką czerpię z doświadczeń przeszłości.

- Poza tym jest jeszcze jedna kwestia: twoja matka nie lubi mnie, a ja nie lubię twojej matki. To dużo znaczy. Skoro gramy w tę grę, to zastanówmy się, gdzie będziemy mieszkać.

- Na ranczu, dopóki nie znajdę czegoś bardziej odpowiedniego. Moglibyśmy też zbudować nowy dom. Wciąż mamy dużo ziemi. Jest kilka doskonałych miejsc, w których dałoby się postawić dom.

- Nie.

- Co nie?

- Nie zgadzam się mieszkać na ranczu. Wolałabym raczej w namiocie.

Tanner zmarszczył brwi.

- Potrzeba czasu, by zbudować dom. Zazwyczaj kilku miesięcy, jeśli pogoda dopisze. Ale nawet wtedy mnóstwo rzeczy może pójść nie tak. Może to trwać nawet rok.

- Czy nie jesteś trochę za stary, by mieszkać w domu z mamusią? Myślałam, że młody, żywotny mężczyzna, taki jak ty, wolałby mieć własne mieszkanie.

- Mój ojciec już podjął w tej sprawie decyzję. Chce, żeby ktoś mieszkał z matką. Nigdy nie poddaje się w wątpliwość jego decyzji, tylko po prostu wykonuje jego polecenia. Małżeństwo wszystko w tej kwestii zmieni.

- Rozumiem. Chcesz się ożenić, by wydostać się z tego domu.

Żołądek Jessie zaczął się skręcać.

- To jest pewien plus... ale nie, nie z tego powodu chcę się ożenić. Bardzo mi się podobasz.

- Bardziej niż Łasica? - powiedziała Jessie z goryczą w głosie.

Tanner odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się.

- Widzę, że Resa ci o niej nagadała. Przeżyliśmy razem szczęśliwe chwile, ale rozstaliśmy się. To było dawno temu. Może dla odmiany zechciałabys podzielić się ze mną faktami ze swojej przeszłości... jak to określić... niedyskrecjami?

- Nie.

- I znowu to samo. Moim zdaniem przeszłość skończyła się i nie można tego zmienić, więc po co się nad nią rozwodzić? Jedno z nas nastroszy piórka, potem będziemy się kłócić i nastaną ciche dni, a może nawet miesiące. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

- Mówisz komunały.

- To podsumowuje sprawę, prawda?

- Chyba tak. Chcesz kanapkę?

- Boli mnie gardło. Ale i tak dziękuję. To miło, że mnie znosisz. Naprawdę, przykro mi z powodu dzisiejszego wieczoru.

- Chyba tak miało być. Wszystko dzieje się zawsze z jakiegoś powodu. Myślę, że powinieneś spróbować zasnąć.

- Co będziesz robić?

- Posiedzę sobie w salonie i poczytam. Nie będę spała na wypadek, gdyby zadzwoniła Sophie.

- Czy coś z nią nie w porządku?

- Ma kilka problemów. Ale myślę, że sobie z nimi poradzi.

- Przedtem nie mówiłem serio.

- Owszem, mówiłeś. W innym przypadku nie puściłbyś pary z ust. Sophie jest moją przyjaciółką.

- Czyli innymi słowy ona jest na pierwszym miejscu?

- Na razie tak musi być. Dobranoc. Chcesz, żebyś zgasiła światło?

Zachrypnięty głos Tannera był bardziej nadasany niż przedtem.

- Jak chcesz. To duże łóżko. Kiedy się zmęczysz, możesz położyć się obok mnie. Na pościeli albo pod nią. Wybór należy do ciebie.

- Zapamiętam to sobie. Śpij dobrze.

W salonie Jessie zwinęła się w kłębek na sofie. Gospodyni zawsze przykręcała ogrzewanie o wpół do jedenastej wieczorem, więc w mieszkaniu było chłodno. Zadrżała przypomniawszy sobie, że nie ma więcej koców ani kołder. Żalowała, że nie wzięła z sypialni swetra. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wrócić po niego, ale z pewnością czułaby się głupio, skoro tak zdecydowanie zgasiła światło i zamknęła drzwi. W końcu postanowiła opatulić się płaszczem podszytym kożuszkami, który wisiał w wąskiej szafie w przedpokoju.

Gdy przestała trząść się z zimna, pozwoliła myślom biec swobodnie, odtwarzając słowo po słowie rozmowę z Tannerem. Wiedziała, że powinna zastanowić się nad problemami Sophie, ale Tanner był tak blisko, zaledwie kilka metrów od niej. Trudno jej było skoncentrować się na Sophie, tym bardziej, że przyjaciółka zawsze potrafiła znaleźć właściwe rozwiązanie każdego problemu. Tym razem nie będzie inaczej. Wiedziała, że Sophie przezwycięży smutek, będzie żyła dalej i planowała ślub. Sophie była niezwyciężona.

Jessie poruszała się niespokojnie w ciepłym kokonie płaszcza. To był znak, że okropny sen szykował się, by zawiadnąć jej podświadomością. Rzucając się pod płaszczem, we śnie przeniosła się do miejsca, którego tak bardzo się bała.

W chwilę później w mieszkaniu rozległy się przenikliwy dzwonek telefonu i mrozący krew w żyłach krzyk.

Słyszając ten dochodzący z salonu wrzask, Tanner szybko wyskoczył z łóżka. Włosy dosłownie stanęły mu dęba. Spiesząc do Jessie potknął się o pasek szlafroka, a stopy zaplątały mu się w brzeg workowatej koszuli nocnej.

- Boże Świąty! Co się stało? - wychrypiał. - Jessie, obudź się! Jessie!

Jessie rzuciła się do tyłu. W przytłumionym świetle brzasku ujrzała wyłaniającą się znikąd wysoką postać. Drugi, podobny do pierwszego krzyk rozbrzmiał w mieszkaniu. Jessie wyrzuciła do przodu obie nogi i kopnęła Tannera. Stracił równowagę i przewrócił się.

- Nie! Nie! Jelly, Jelly!

- Ten cholerny telefon wciąż dzwoni. Obudź się, Jessie, masz koszmarne sen. Jezu, mało brakowało, a zламаłbym sobie rękę. Nie miałem pojęcia, że jesteś taka silna. Obudź się, na miłość Boską. Gospodyni wpadnie tu za parę minut, jeśli się nie zamkniesz. Dobra, Jessie, dość tego. Wstawaj! To rozkaz! Patrz, nie dotknę cię. Po prostu wstań i uspokój się, dobrze?

Rozpoznawszy Tannera Jessie trochę ochłoneła. Z sercem walącym w piersi i z ciałem pokrytym potem popędziła do łazienki. Zamknęła drzwi i usiadła na brzegu wanny. Chcąc się uspokoić starała się oddychać głęboko i równo. Tanner pod drzwiami łazienki błagał, by mu otworzyła.

- Wszystko w porządku. To tylko koszmarne sen - wyszeptała, a potem zdała sobie sprawę, że Tanner jej nie słyszy.

Na trzęsących się nogach podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Przestraszyłeś mnie, gdy stanąłeś nade mną. Przypomniałeś mi o... o...

- Dziwię się, że nie zemdlałaś widząc mnie w tych szmatach. Czy wyglądałem jak zła wiedźma z bajki?

- Jak kobieta. Wyglądałaś jak kobieta, ale nie widziałam twojej twarzy. Czasami mam koszmarne sny. Niektóre gorsze od innych. Przepraszam, że cię obudziłam.

- Nic nie szkodzi. Nie mogę się skarżyć. Gdybyś spała we własnym łóżku, koszmar pewnie by ci się nie przyśnił. Jest dopiero wpół do szóstej. Chodź do łóżka i odpręż się. Chyba zaraz będzie ciepło. Słyszę wodę chlupoczącą w kaloryferach. Możemy porozmawiać.

- Nie chcę rozmawiać o snach. Nienawidzę ich. Nic mi nie będzie. A co z tobą? Czujesz się lepiej?

Jej głos drżał jak jeszcze nigdy.

- Skoro o tym wspomniałaś, tak. Gorączka mi chyba przeszła. Wciąż boli mnie gardło, ale mój seksowny głos brzmi normalnie. Chodź, przytulimy się i porozmawiamy o pogodzie i o twojej przyjaciółce, Sophie.

Jessie pozwoliła mu się poprowadzić do sypialni.

- Mówiłeś, że dzwonił telefon?

- Tak. Oddzwonią. To chyba ojciec. Wstaje o piątej i myśli, że wszyscy inni też powinni się zrywać tak wcześnie. Wiedział, że przyjadę do ciebie i pewnie chciał porozmawiać. Z jakiegoś powodu z rana lubi ze mną pogadać. Odpręż się, Jessie.

Odprężyć się? Jak mogła się odprężyć po tym okropnym śnie i na dodatek w obecności przystojnego mężczyzny? Była bardziej napięta niż struna banjo i oboje o tym wiedzieli.

Tanner przyciągnął ją do siebie, gdy opatulala się pościelą. Nie zaprotestowała. Jego bliskość sprawiała, że brakło jej tchu.

- Przyjemnie pachniesz - zamruczał Tanner w jej włosy. - Zaczynasz się uspokajać?

- Nie. Jak mogę być spokojna, skoro leżę obok ciebie?

- Ja jestem.

- Mężczyźni w takich chwilach zawsze są spokojni. Kobiety się denerwują. Masz na sobie moje ciuchy, wiesz?

- Chętnie je zdejmę, jeśli ci to przeszkadza.

- Nie ma potrzeby.

- Pod koldrami i w ubraniu jest ci chyba trochę za ciepło?

- Właściwie, to jest mi... dobrze.

- Kłamczucha. Na czole masz kropelki potu.

- To przez koldry i narzutę. Mógłbyś je zdjąć.

- Zrobione! - zachichotał Tanner, skopując jedną narzutę i dwa koce w nogi łóżka. - Jak teraz?

- Lepiej. Tak, dużo lepiej. Słyszysz, kaloryfery się nagrzewają. W ciągu dnia w mieszkaniu robi się naprawdę ciepło. Aż za bardzo. Gorąco. Czasami nawet w zimie muszę otwierać okna. W łazience jest jak w piekarniku, a w kuchni jeszcze gorzej.

Belkotała bez sensu chcąc się uspokoić, ale niewiele to pomogło.

- Za dużo mówisz.

- To dlatego, że się denerwuję.

- Z powodu tego, co moglibyśmy zrobić albo pomyśleć, że zrobimy?

- Z jednego i drugiego powodu.

- Mężczyzna i kobieta zazwyczaj uprawiają seks, gdy są razem w łóżku. Poza łóżkiem zresztą też. W samochodach. Na trawie. Czasami w kuchni. Pod prysznicem też jest dobrze. Siedzenia w bryczkach doskonale się do tego nadają. Widzisz, też gadam bzdury. To co, chcesz to zrobić, czy zagadamy całą sprawę na śmierć?

Jessie poczuła narastający lęk. Czy jest gotowa? Według niej seks był zobowiązaniem.

- Może przygotuję coś na śniadanie. Mogłabym ugotować ci płatki owsiane. Przełkniesz je, chociaż boli cię gardło. Dobrze jest rozpocząć dzień od zjedzenia śniadania. Popatrz, robi się jasno.

- Nie chcę śniadania i myślę, że ty też nie masz na nie ochoty. Chcę ciebie. Kropka. Może to strój, który mam na sobie, działa odpychająco? Jest na to rada.

Jessie zaskoczona zamruwała, widząc jak szlafrok i koszula nocna prze-latują przez pokój. Kiedy ich nogi się zetknęły, poczuła gorąco. Bez skutku starała się ściągnąć nogawkę spodni.

- Twoja kolej - uśmiechnął się szeroko Tanner.

Jessie zdjęła grube skarpetki.

- Miałem raczej na myśli sweter.

Gołe palce ich stóp ocierały się o siebie. Jessie zastanawiała się, czy paznokcie mogą płonąć. Miała uczucie, jakby płonęły.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie! Poradzę sobie sama.

- Zawsze jesteś taka nieśmiała wobec facetów?

Facetów. Myślał, że jest doświadczona. To była jej wina, bo sama wprowadziła go w błąd. Cholera.

- Może to jest dobra chwila, by powiedzieć ci, że ja... to znaczy...

- Taaak - powiedział Tanner przeciągle.

- Ja nie... powinienam była... widzisz...

- Nie mów mi, że to jest ta pora w miesiącu. Nie chcę tego słyszeć.

- Słucham?

- No wiesz, okres. Czy masz okres?

To był falstart. Co będzie, jeśli jest dość odważny, by to sprawdzić? Skuliła się w pościeli.

- Nie, nie mam okresu.

- Co za ulga. W czym problem?

Jessie nagle się wyprostowała.

- Problem polega na tym, że jestem dziewicą - wyrzuciła z siebie.

- Cholera!

- Właśnie, cholera!

- Wprowadziłaś mnie w błąd... mówiłaś... różne rzeczy. To znaczy, że muszę zmienić podejście.

Podejście to pewnie znaczyło coś w rodzaju strategii. Mimo woli zastanowiła się, czy nie powinna wyjąć jakiegoś poradnika. Szkoda, że nie jest światowa i wyrafinowana. Czuliła się jak cnotliwa harcerka.

- Wiem. Przykro mi. Chciałam, żebyś myślał, że jestem światowa. Muszę z przykrością przyznać, że wiem o tym bardzo mało... tylko to, co przeczytałam i co powiedziała mi Sophie. Naprawdę prowadziłam spokojne życie. A co, wolałbyś, żebym spała z kim popadnie?

- Oczywiście, że nie. Wierzyłem ci. To nie świadczy zbyt dobrze ani o mojej intuicji, ani o zdolności obserwacji.

- Czy to znaczy, że nie możesz albo nie chcesz tego zrobić? Potrzebuję tylko trochę czasu, by... no wiesz, jakoś zdjąć ubranie. Właściwie nigdy nie myślałam... spodziewałam się, że zrobię to dopiero po ślubie. Łamię jedną z moich zasad. To dla mnie bardzo ważne. Rano mężczyźni nie szanują kobiet, z którymi się przespałi.

- Nabierasz mnie, prawda? Nie możesz mieć tak archaicznych poglądów, Jezu, chyba jednak masz. Dobrze, wróćmy do punktu wyjścia. Pójdiesz do łazienki i zdejmiesz ubranie. Wrócisz do łóżka dokładnie owinięta ręcznikiem. Potem położysz się i powiesz mi, kiedy będziesz gotowa zdjąć ręcznik.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Tak. Ale w miły sposób. Ruszaj się, zanim zmienię zdanie.

- Zawsze mi się zdawało, że potrzebne są świece, olejek, wino i, no wiesz...

- Ruszaj się!

Jessie popędziła do łazienki. Zdejmując ubranie zerknęła w kierunku prysznica. To było przecież wydarzenie, które wymagało odpowiedniego podejścia. Powinna być świeża i czysta. Wzięcie prysznica zajmie jej tylko kilka minut.

- Czekam! - krzyknął Tanner.

- Zamknij się, Tanner - wrzasnęła Jessie w odpowiedzi.

- Co, do diabła, tam robisz?

- Biorę prysznic.

- Co?

- Powiedziałam, biorę prysznic. Może ty też powinienes. Wzięłam prysznic zeszłej nocy, ale ty brałeś go z pewnością ponad dwadzieścia cztery godziny temu. Dobrze, skończyłam. Zostawię odkręconą wodę. Mam mnóstwo gorącej wody. Hektolitry gorącej wody. Możesz stać pod prysznicem cały dzień, a woda i tak będzie gorąca.

- Zamknij się, Jessie Roland - powiedział Tanner wchodząc do łazienki ciężkim krokiem. - Nie patrz.

Jessie popatrzyła, a potem odwróciła wzrok. Nie wiadomo dlaczego zdawało jej się, że wszystko powinno wyglądać inaczej. Nic nie powiedziała. Nie było potrzeby. Wyraz jej twarzy był aż nadto wymowny. Usłyszała jęk Tannera szarpającego zasłonę prysznica. Gdzie radość? Podniecenie? Spojrzała na niechlujnie rozrzuconą pościel. W mgnieniu oka posłała łóżko i przykryła je lekkim kocem. Wzięła głęboki oddech i pozwoliła, by ręcznik opadł na podłogę. Serce waliło jej w piersi jak młotem, gdy kładła się na poduszkach, podciągając koidrę pod brodą. Słyszac przesuwanie zasłony prysznicowej w łazience wzięła następny głęboki oddech. Zamknęła oczy, gdy otworzyły się drzwi do łazienki.

- No i co?

Jessie uchyliła jedną powiekę, potem drugą. Krzyknęła, gdy Tanner zupełnie nagi zaczął uderzać zaciśniętymi pięściami w klatkę piersiową rycząc jak goryl. Spuściła wzrok na miejsce pomiędzy jego nogami. Sophie nie musiała jej mówić – to był wspaniały okaz męskości. Ogarnęło ją przyjemne uczucie.

– Powiedz coś – odezwał się Tanner.

Co na Boga miała powiedzieć? Z rozmachem odsunęła pościel ukazując nagie ciało.

– Chodź tutaj – zdołała wykrztusić.

– Jestem – powiedział Tanner. Przemierzył pokój w dwóch susach i wskoczył do łóżka. Przesunął Jessie w bok, nakrywając jej nagie ciało swoim. Instynktownie cała się napięła, zagryzając jednocześnie dolną wargę.

Z początku napotkał słaby opór, który znikł, gdy językiem otwierał jej usta, a rękami pieścił ciało szukając, próbując i znajdując tajemne miejsca znane tylko kochankom. Rozchyliła lekko wargi zostawiając tylko tyle miejsca, by jego język wtargnął do ciepłego wnętrza ust. Wyrwał się z nich niski jęk.

Dawała tyle, ile sama dostawała, tuląc się do niego, pieszcząc go tak jak i on pieścił ją. Bawił się nią ustami szczypiąc płatek ucha i wargi. Chciała więcej, coraz więcej. Używając całej swojej siły przewróciła go na plecy i leżała na nim, dotykając piersiami jego szerokiej, spoczonej klatki piersiowej. Ocierała o niego ciało śliskie od potu. Ujęła w obie dłonie jego głowę i namiętnie całowała go w usta, badając ich wnętrze językiem, który ich spajał w jedno ciało.

Położyła się na wznak i rozłożyła nogi. Wiedziała, że nadeszła chwila, na którą czekała. Powitała ją z radością. Krótki ból minął prawie niezauważony, kurczowo do niego przywarła, pomagała mu, prowadziła, by na zakończenie wzbic się na wyżyny, jakich sobie nawet nigdy nie wyobrażała.

Tanner objął ją ramionami, gdy dysząc walczyła o oddech.

– Podobało mi się to. Naprawdę mi się podobało. Zróbmy to jeszcze raz.

– Ooo. Spokojnie. Potrzebujemy czasu, by... by się odprężyć. Przynajmniej ja. Po prostu poleż i porozmawiaj ze mną. Kochankowie nazywają to „rozmową na poduszkach”. W czasopiśmie piszą, że kobiety to uwielbiają. A ty? Też to polubisz?

– Tak. Całowałeś i pieściłeś całe moje ciało. Nie zdawałam sobie sprawy, że mam tyle zakończeń nerwowych. Pobudzałeś wszystkie jednocześnie. To było piękne. Chcę to samo zrobić tobie.

- Masz moje pozwolenie, ale później. Bardzo cię bolało?

- Tylko przez chwilę. Już o tym zapomniałam.

Wtuliła się głębiej w ramiona Tannera, bawiąc się krótkimi włoskami na jego piersi.

- Jak się czujesz?

- Wyczerpany. Chyba moglibyśmy się zdrzemnąć. Nie ruszaj się, po prostu leż obok mnie.

Trzeba by pary koni, by mnie stąd ruszyć, pomyślała Jessie. Nie miała zamiaru nigdzie odchodzić i powiedziała mu to.

- Cieszę się, że jest ci ze mną dobrze.

- Telefon dzwonił? - sennie spytała Jessie.

- Tak. To pewnie ojciec. Nigdy nie daje za wygraną. Następnym razem, gdy któreś z nas wstanie, trzeba zdjąć słuchawkę z widełek.

Zrobi wszystko, o co poprosi ją ten mężczyzna, w którym się zakochała. To była ostatnia świadoma myśl Jessie, zanim odpiłyła w sen.

- Dobrze - wymamrotała.

13

Jessie patrzyła na drugą stronę stawu i zachwycała się pięknie kwitnącymi czereśniami - ich widok zapierał dech w piersi. Czy w przyszłym roku jeszcze tu będzie, by je podziwiać? I czy one będą równie piękne, jak w tym roku? A może ten rok jest wyjątkowy? Czy ją to w ogóle obchodzi? Chyba nie. Jedyna rzecz, zaprzatająca w tej chwili jej myśli, to świstek papieru, który trzymała w ręku. W ciągu ostatnich kilku godzin przeczytała go wiele razy. Pewnie ze sto, a może nawet i więcej. To też nie miało znaczenia, bo wypisane na nim słowa wryły jej się w pamięć. Była w ciąży. To i tylko to miało znaczenie. I to ona ponosiła za to winę. Sophie ostrzegła ją, że kobiety muszą same wziąć na siebie odpowiedzialność. Jessie nie zrobiła tego. Tanner twierdził, że uprawianie seksu z prezerwatywą przypomina mycie nóg w skarpetkach. Odmówił używania ochrony i w tej sprawie był nieugięty. Ona

była tak samo niewzruszona w sprawie niestosowania pigułki. To jej wina, bo nie zwracała uwagi na cykl menstruacyjny. Powstrzymanie się od seksu przez kilka dni w miesiącu nie byłoby takie trudne. Dlaczego tego nie zrobiła?

Dlatego, że z jakiegoś powodu nie potrafię Tannerowi niczego odmówić, zdecydowała. Ma nade mną niemal hipnotyczną władzę. Kontroluje mnie i bałam się wszystko zepsuć. Bałam się, że mnie zostawi. Żyłam dla długich weekendów, dni i nocy wypełnionych seksem, pomyślała.

Dobry Boże, co na to powie Tanner? Czy ją porzuci? Nie wyglądał na człowieka, który przepada za dziećmi. Ostatnio nazwał dziecko skaczące przez skakankę na ulicy przemądrzałym małym gnojkiem. Pamiętała, jak z niesmakiem wydał wargi. Oto, co czuł Tanner. Jednak podstawowe pytanie brzmiało: co ona czuła? Nie była pewna, jakie są jej odczucia dotyczące dzieci. A jakie właściwie uczucia żywiła dla Tannera Kingsleya? Czy go kochała? A może to była chora miłość? Czy miała obsesję na punkcie ich związku? W tej chwili myśląc o nim nie czuła nic. Już to było dziwne. Jeszcze wczoraj wystarczyło, że ktoś wspomniał jego imię, a serce biło jej przyspieszonym rytmem. Dzisiaj wydawało jej się, że go nienawidzi.

Silny podmuch wiatru znad stawu porwał tysiące kruchych różowych kwiatków. Jessie wyciągnęła złożone dłonie, by chwycić opadające płatki. Jak pięknie wyglądały, jakie były delikatne. Zadrżała; miała na sobie tylko lekki płaszcz. Może powinna wrócić do mieszkania? Ale co miała tam robić? Nie mogła nawet zadzwonić do Sophie, bo nie wiedziała, gdzie ona jest. Od miesięcy nie miała od niej żadnych wieści. Daremnie obdzwoniła wszystkich, zostawiając dla niej wiadomości. Zadzwoniła nawet do Arthura Mendenaresa, ale okazało się, że jego też nie ma. Był w podróży służbowej.

Lzy spływały jej po policzkach, gdy myślami wróciła do stycznia. Była wówczas tak pogrążona w swoim małym świecie, że zaniedbała Sophie. Zapominała oddzwonić, zdejmowała słuchawkę z widełek, gdy Tanner był w mieście, to znaczy w każdy czwartek, piątek, sobotę i niedzielę. Poniedziałki, wtorki i środy spędzała na wykładach albo w bibliotece. Nie miała czasu dla Sophie.

Tłusty gołąb podszedł do ławki, na której siedziała Jessie. Nakarmiła go okruchami chleba. Po chwili pojawił się drugi. Też dostał swoją porcję. Pomyślała, że to pewnie para przyjaciół, jak niegdyś ona i Sophie.

- Wciąż jesteśmy przyjaciółkami. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak, jakby odnosiło się do przeszłości - powiedziała do gołębi, które zdawały się słuchać jej słów. Rzuciła im więcej okruszków.

Rozplakała się na dobre. Dziecko. Będzie miała dziecko. A przecież nie była mężatką. Macierzyństwo... Małżeństwo... Czy Tanner się z nią ożeni? A ona, czy chciała być żoną Tannera przez resztę życia? Musi coś zrobić. A jeśli nie jest gotowa do działania, musi coś zaplanować.

Jessie zgniotła wynik badań laboratoryjnych w kulkę i wcisnęła do kieszeni. Wstała z ławki, by pospacerować bez celu wokół stawu.

Jej romans z Tannerem rozpoczął się przed trzema miesiącami. Były to trzy długie miesiące oczekiwania. W domu na jego telefon, a potem na lotnisku na samolot, którym przylatywał. Trzy długie miesiące żądy. Chodziło tylko o seks. Tannerowi seks bardzo służył, ale jej też. Gdy nie spali albo się nie kochali, spędzali czas w milczeniu, czytając albo oglądając telewizję. Często upływa godzina, zanim któreś z nich wypowiedziało choć słowo. Miłość nie powinna być milcząca. Każde z nich z radością powinno dzielić się z drugim nawet całkiem drobnymi, zupełnie nieważnymi sprawami. Tanner nie lubił chodzić na spacer, nie uznawał przejażdżek za miasto. Do kina chodził, ale zdawało się, że nie potrafi czerpać przyjemności z oglądania filmu; nigdy nie chciał dyskutować o nim po projekcji. Nie przepadał za jadem na mieście, ale czasami ją gdzieś zapraszał. Wolał, gdy Jessie gotowała wymyślne dania i przygotowywała pyszne desery na kolację, po której natychmiast szedł spać, a ona brała się za sprzątanie. Kiedy się budził, był gotów uprawiać seks. To właśnie na te chwile czekała i tych chwil pragnęła. To z tego nie chciała rezygnować. Chora, obsesyjna miłość. Zduszony dźwięk wyrwał się z jej ust. Stawała się podobna do matki. Teraz, gdy z powodu ciąży było już za późno, musiała dostrzec oznaki, które z własnego wyboru od miesięcy ignorowała.

Nie wiedziała dlaczego, ale była pewna, że Tanner nie będzie miał cierpliwości dla ciężarnej kobiety. W jakiej to stawiła ją sytuacji? Lepiej nie mówić.

Jej życie stało się wielkim bałaganem i tylko siebie mogła za to winić.

Jessie odwróciła się, by ostatni raz rzucić okiem na pięknie kwitnące rzędy drzew czereśniowych. Drżała z zimna. Było niespodziewanie chłodno, choć drzewa zakwitły dość późno tego roku. Jeszcze tydzień i nastanie maj, a

potem czerwiec i ślub Sophie. Jeśli ślub w ogóle się odbędzie. Do tej ceremonii potrzebna jest nie tylko panna młoda, ale i pan młody. Może powinna wrócić do mieszkania i spróbować odnaleźć chłopaka Sophie, Jacka Dawsona? Tak czy inaczej zajmie się czymś i przestanie rozmyślać o ciąży. Mogła też zabrać się za naukę do ostatnich egzaminów. Kto przyjdzie na jej promocję? Zaczęła płakać siadając za kierownicą dżipa.

Upłynęło sporo czasu, zanim wróciła do mieszkania. Po raz pierwszy, odkąd zainstalowała automatyczną sekretarkę na wypadek gdyby dzwonił Tanner, nie pobiegła zaraz po wejściu sprawdzić, czy miga małe czerwone światełko.

Weszła do kuchni i wciąż ubrana w płaszcz zrobiła sobie kawę. Czekając aż się zaparzy, szperała w jednej z szuflad kuchennych szukając żółtego notesu, którym posługiwała się poszukując Sophie. Lista numerów, pod które dzwoniła, była bardzo długa. Zajmowała w notatniku trzy pełne strony. Może marnuje tylko czas? Może Sophie nie chce, by ją odnaleziono? Sophie była mistrzynią w znikaniu. Umiejętność tę opanowała będąc jeszcze nastolatką, gdy chciała ukarać matkę, której ani trochę nie obchodziło, co robi jej córka.

Jessie otworzyła książkę telefoniczną i przesuwiała palcem wzdłuż długiej listy Dawsonów. Cierpliwie wykręcała numery wszystkich o imieniu John, Jack albo o inicjale J. Bez rezultatu. Odnalazła numer firmy, w której pracowała Sophie i zamówiła rozmowę. Bardzo się starała, by jej głos brzmiał ciepło i słodko, gdy przedstawiła się jako siostra Jacka, która zostanie w mieście tylko kilka godzin pomiędzy jednym lotem a drugim. Plotła bzdury, że on przebywa w Kostaryce, a ona w Anglii. Sztuczka się udała. Dyrektor personalny podał jej numer. Wykręciła go. Włączyła się automatyczna sekretarka, ale Jessie nie chciała zostawiać wiadomości. Znowu zaczęła wybierać numery telefonów, pod które dzwoniła przez kilka ostatnich miesięcy usiłując zlokalizować Sophie.

Ściemniało się już, gdy odłożyła słuchawkę. Aparat zadzwonił niemal natychmiast. Po raz pierwszy od miesiąca pozwoliła, by telefon dzwonił, dopóki nie włączyła się automatyczna sekretarka. Nawet przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że to może być Sophie. Ostatnio nikt ważny do niej nie telefonował. Przyjaciele ze szkoły rozpięchli się. Senator przestał dzwonić pod koniec lutego, a Irene, zgodnie z tym, co twierdził Tanner, była w szpitalu. Jessie

chciała odwiedzić Irene, ale powiedziano jej, że jedynie członkowie rodziny mogą przychodzić z wizytą do chorych. Posłała więc bilecik i kwiaty.

Pragnienie płaczu stało się tak silne, że Jessie odwróciła oczy od czerwonego migającego światełka automatycznej sekretarki i poszła do łazienki. Gorący prysznic zawsze przynosił jej ulgę. Lekka kolacja, a potem zwinie się w rogu wytartej kanapy i postara się wymyślić, co zrobić ze swoim życiem. W ciąży. Niezameężna. Dziecko. Odpowiedzialność – te słowa wirowały jej w głowie.

Ściszyła telewizor, notatnik i ołówek położyła na brzegu stołu. Telefon, który przeniosła z kuchni ciągnąc siedmiometrowy kabel, stał na podłodze przy jej nogach. Nie miała zamiaru odbierać, gdyby nawet zadzwonił. Chciała go mieć blisko na wypadek, gdyby doznała nagłego olśnienia i wpadła na pomysł, gdzie może być Sophie. Boże, jak bardzo potrzebowała przyjaciółki. Gdzie jesteś, Sophie? Do oczu napłynęły jej łzy. Wytarła je ze złością. Poczucia, jak narasta w niej burza. Pozwoliła, by ogarnęła ją cała i w końcu ze złości zaczęła pięściami okładać poduszki kanapy. Potem wykrzyczała swoją rozpacz. Czasami gniew był potrzebny. Oczyszczał mózg. Kopnęła na oślep, zrzucając ze stolika do kawy stertę książek. Kryształowa salaterka na cukierki przeleciała przez pokój. Wazon, w którym stały pierwsze wiosenne żonkile, poleciał w innym kierunku, zamulona woda poplamiała jasnoszarą wykładzinę. Powinna je była już dawno wyrzucić. Co za różnica? Kwiaty i tak zwiędły. Opadając na poduszki kanapy znowu zaczęła krzyżeć. Potem gniew przeszedł równie szybko, jak się pojawił. Uniosła głowę i wyprostowała ramiona.

Rób tak dalej, Jessie. Po prostu rób tak dalej, pomyślała.

Poszła do kuchni, by zrobić sobie kanapkę i zaparzyć dzbanek świeżej kawy. Była gotowa do działania. Czekaając na kawę zaczęła szperać w małym kuferku stojącym w sypialni pod oknem. Plik osobistych papierów wraz z książeczką oszczędnościową był ściśnięty dwiema mocnymi gumkami i wsunięty do rękawa jednego z dwóch czerwonych swetrów. Uklękła. Odniosła wrażenie, że ktoś przeglądał zawartość kuferka. Wszystko było ułożone inaczej niż ona to zwykle robiła. Zawsze składała rękawy tak, jak sprzedawczyni w sklepach, by swetry leżały płasko. Zamknęła oczy. Zaciśnęła kciuki. Tak robiła, gdy była dzieckiem i chciała, by spełniły się nadzieje. Teraz miała nadzieję, że nie ruszono jej papierów.

Telefon zadzwonił. Długie sygnały niczym detonacje przerywały ciszę. Drżącymi palcami grzebała w kufierku rozkładając jeden ze swetrów. Serce zatrzepotało jej w piersi, gdy zdała sobie sprawę, że rękawy z pewnością były inaczej złożone. Paczka z papierami wyglądała tak samo, ale ktoś ją ruszał, przeglądał. Kto? Jej gospodyni nie była ciekawska. Starsza pani nigdy nie wchodziła na drugie piętro budynku, bo z powodu artretyzmu trudno jej było wspiąć się po schodach. Tanner? Wiedziała, że to on, inaczej po co zadałaby sobie trud sprawdzania kufierka? Książeczka oszczędnościowa była sprawą oczywistą. Znaczenie pozostałych papierów było jasne tylko dla niej. Zmówiła dziękczynną modlitwę za to, że Sophie uparła się, by pozostałe dokumenty przechowywać w jej domu w Atlancie.

Gdy szła do kuchni, telefon znowu zadzwonił. Nie zwracała na to uwagi. Nalała sobie kawy. Przestał dzwonić w połowie szóstego sygnału. Po kilku sekundach odezwał się znowu. Przeżuwając kanapkę z serem, Jessie przyciszyła sygnał telefon. Tanner był wytrwały, musiała mu to przyznać.

Wtulona w róg sofy skończyła kanapkę. Równie dobrze mogła jeść trociny. Było jej wszystko jedno. Kawa zdawała się wyjątkowo mocna i gorzka. Piła dużymi łykami. Kiedy skończyła pić, telefon znowu zadzwonił. Sześć długich sygnałów, a potem cisza. Przetrasnęła cienką paczkę papierów. Nie zwracała sobie głowy stanem książeczki oszczędnościowej. Wiedziała, ile ma na niej pieniędzy: sześć tysięcy siedemset czternaście dolarów i trzydzieści trzy centy. Malutkie jajeczko w gniazdku, które pozwoli jej przetrwać do końca roku, kiedy będzie musiała skorzystać z funduszu powierniczego. Rachunki za opiekę medyczną, koszty porodu i utrzymania dziecka są z pewnością wysokie. Ktoś jej kiedyś o tym mówił, ale nie pamiętała kto. Będzie musiała przenieść się do domku z gankiem i ogródkiem. Dzieci potrzebowały przestrzeni. Gdy rozważała różne możliwości, znowu zadzwonił telefon. Nie zwracała na to uwagi. Mogła zamieszkać w Charlestonie. Albo udać się do domu Sophie w Atlancie. Trzecia możliwość – ale ta myśl była trudna do zniesienia – to wyjazd do Teksasu z Tannerem... pod warunkiem, że będzie chciał się z nią ożenić, w co poważnie wątpiła.

Jessie wyprostowała pogniecione papiery i położyła je na kolanach. Ostatni raport przesłany przez Sophie na początku stycznia mówił, że ma nieco ponad dwadzieścia jeden milionów dolarów funduszu powierniczego. W jednym

z kalendarzyków z podziałem na kwartały wyrysowała malutkie gwiazdki – każda z nich oznaczała milion. Jej rodzice wciąż wpłacali pieniądze na fundusz, chociaż opuściła dom. W papierach widoczne były jeszcze inne znaki, które tylko ona potrafiła odcyfrować. Dwadzieścia jeden milionów dolarów było jej – mogła z nich skorzystać lub nie. Decyzja należała tylko do niej. Z pewnością wystarczyłoby na wychowanie dziecka.

Zaczęła ją boleć głowa. Musi znaleźć Sophie. Sięgnęła po słuchawkę w chwili, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Przymrużyła oczy, złapała słuchawkę i warknęła:

– Halo!

– Jessie, do cholery, gdzie byłaś? Dzwonię przez cały dzień. Nie odebrałaś moich wiadomości?

– Nie. Byłam na spacerze.

– Byłaś na spacerze!

Jego słowa zabrzmiały tak, jakby powiedział: „Tańczyłaś z diabłem!”

– Czy ty mnie kochasz, Tanner?

Odliczała sekundy czekając na odpowiedź. Dziesięć długich sekund.

– To dość głupie pytanie, Jessie.

– Gdyby było głupie, tobym go nie zadała. Kochasz mnie?

– Po co latałbym co tydzień do Waszyngtonu?

– Po seks. Powiedziałeś, że seks ze mną jest najlepszy, jaki miałeś w życiu.

– Seks to seks. Mógłbym uprawiać seks siedem dni w tygodniu z siedmioma różnymi kobietami, gdybym chciał. Wybrałem ciebie.

– Czy mam być ci za to wdzięczna? Chcę usłyszeć te słowa, Tanner.

– Rozmawiałaś z tą swoją zapobiegliwą przyjaciółką, Sophie, prawda? O to chodzi? W końcu udało ci się ją odnaleźć. Jest tak przejęta planami ślubu, że tobie oczy aż zachodzą mgłą. Zaczynasz też myśleć o wyjściu za mąż. Mam rację czy nie? Zmierzasz do czegoś, Jessie. O co ci chodzi?

Jessie umieściła słuchawkę w zgięciu ramienia i palcami masowała skroń. Ból był tak silny, jakby jej głowa miała za chwilę rozpaść się na kawałki.

– Nie odnalazłam Sophie. Nie rozważałam też wyjścia za mąż. Skoro masz awersję do wypowiedzenia słów, które chcę usłyszeć, zakładam, że mnie nie kochasz. Nie ma sensu przedłużać tej rozmowy. A właściwie dlaczego dzwoniłeś do mnie przez cały dzień?

- Żeby ci powiedzieć, że przyjadę jutro. Irene umarła dziś po południu. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć. Pogrzeb odbędzie się pojutrze w kościele św. Jerzego.

Trudno jej było myśleć; czuła się, jakby w jej mózgu ktoś bił w bęben.

- Przykro mi. Irene była miła. Lubiałam ją. Ale... nie przyjadę, Tanner. - Jutro rano wyjeżdżam do Atlanty - skłamała pod wpływem impulsu. - Będziesz musiał zatrzymać się u ojca.

- Atlanta! A co ze szkołą i końcowymi egzaminami? Nie chcę zatrzymywać się u ojca.

- Niestety, nie możesz mieszkać tutaj. Mojej gospodyni nie spodobałoby się, gdybyś został tu sam. Przykro mi. Możesz zamieszkać w hotelu.

Głos Tannera stał się oziębły.

- Mogłabyś zostać na pogrzebie, zachowałabyś się przyzwoicie. Dlaczego jesteś taka samolubna? A może nie chcesz, żebym przebywał w twoim mieszkaniu? Czy to jakaś sztuczka, Jessie?

- Mówiłam ci, mam plany. Został mi tylko jeszcze jeden egzamin. Mój profesor zgodził się ze mną popracować i pozwolił zdawać go jutro o siódmej rano. Spotkałam Irene tylko raz. Nie jest moją krewną.

- Była kiedyś żoną mojego ojca.

- To nie ma ze mną nic wspólnego.

- Więc nie zostaniesz? Pojedziesz do Atlanty, chociaż chcę, żebyś została?

- Tak.

- Jeśli nie wiesz, gdzie jest Sophie, to po co tam jedziesz?

- Czy to ma jakieś znaczenie? Nie żądam od ciebie sprawozdań z tego co robisz ze swoim czasem. Jadę i na tym koniec.

- Masz rację, to koniec.

Jessie zamruwała słysząc przerywany sygnał w słuchawce. Natychmiast przestała ją boleć głowa, za to zaczęły palić oczy.

- Nie będę płakała. Absolutnie nie będę płakała - mamrotała w kółko idąc do kuchni, by nalać sobie kawy. Po drodze do salonu zatrzymała się nagle uświadomiwszy sobie, że ogarnęło ją przemożne uczucie ulgi. Była spokojna, wolna od wszelkich emocji.

Od jutra do czasu pogrzebu Irene zamieszka w hotelu. Może się dalej uczyć, zdać ostatni egzamin końcowy, a potem podjąć decyzję dotyczącą

przyszłości. Podróż do Atlanty wcale nie była złym pomysłem, a wyprawa do Nowego Orleanu wcale nie wykluczona. Musi odnaleźć Sophie.

Przed umyciem zębów i przygotowaniem łóżka do spania Jessie zrobiła jeszcze parę rzeczy. Po raz ostatni tego dnia wykręciła numer Jacka Dawsona. Kiedy włączył się automat, odłożyła słuchawkę. Potem wysłuchiwała gniewnych wynurzeń Tannera, kasując je, gdy się skończyły. Wyłączyła telefon z gniazdka, odłączyła automatyczną sekretarkę i włożyła ją do szuflady.

Jessie wsunęła kopertę zawierającą czek za trzymiesięczny czynsz pod drzwi gospodyni razem z notatką informującą, że nie wie kiedy wróci. Zostawiła telefony Sophie w Atlancie i Nowym Orleanie z prośbą, by pod żadnym pozorem nikomu ich nie podawać. Zabroniła też wpuszczać kogokolwiek do mieszkania podczas jej nieobecności. W ostatniej chwili włożyła do koperty banknot dwudziestodolarowy na pokrycie kosztów ewentualnych rozmów międzymiastowych, gdyby gospodyni musiała do niej zadzwonić.

Zadbała o wszystko. Zdobyła dyplom *summa cum laude*. Była obecna na promocji. Opróżniła lodówkę, wyłączyła wszystkie urządzenia elektryczne, poszła na badanie kontrolne, poprosiła na poczcie o przechowanie korespondencji, dopóki nie wyda innych dyspozycji, oddała dziapa do przeglądu i teraz była gotowa do drogi. Zdawało się jej, że list, który trzyma w ręku, jest gorący. Czy powinna go wysłać? To pewnie bez znaczenia, skoro Tanner nie odezwał się od przeszło miesiąca. Miała nadzieję, że pokaże się na promocji, ale nie przyszedł. Dowodziło to tylko, że Tanner Kingsley jej nie kochał, ale przecież w głębi serca i tak o tym wiedziała.

Wysłać list czy nie? Wystarczyło zostawić go na stoliku w holu, a gospodyni wyśle. W końcu wepchnęła kopertę do torebki. Niektóre sprawy lepiej zostawić w spokoju.

Następny przystanek: Atlanta, Georgia.

W domu w Atlancie było cicho jak w grobie. Jessie poczuła się jak intruz, gdy otworzyła drzwi i weszła do środka. W czasie krótszym niż pół godziny zorientowała się, że Sophie nie było tu od czasu ich powrotu do Stanów po tragicznej śmierci jej matki. Nie przyszła żadna poczta i nikt ze służących nie miał od niej wiadomości. Wszystko było wysprzątane i wypolerowane. Pokój

Sophie czysciejszy niz kiedykolwiek, gdy tu przebywała. Łzy napłynęły Jessie do oczu.

- Gdzie jesteś, Sophie? - wyszeptała.

Usiadła na brzegu łóżka. Tak bardzo zachciało jej się płakać, że musiała przygryźć język, by powstrzymać palące łzy. Wstała, przyciskając palcami powieki. Zaczęła otwierać szafy i szuflady w nadziei natrafienia na jakąś wskazówkę. Nie znalazła niczego. Sophie miała tak wiele rzeczy, że trudno było stwierdzić, czego brakuje. Nic nie dało nawet przeszukanie biurka Sophie.

Powstrzymując szloch Jessie poszła do starego domku do zabawy. Pufy, których używały w Boże Narodzenie, wróciły tu znów. Pociągnęła nosem. W malutkich pokoikach wciąż unosił się zapach, który przypominał o Sophie. Tym razem nie zdołała powstrzymać łez, które potoczyły się po policzkach. Płakała za przyjaciółkę i za siebie, za to, że dopuścili do takiej sytuacji. Sophie była sama, nie wiadomo gdzie, a ona tutaj. To nie tak miało być. Przed laty przyrzekły dzwonić do siebie, choćby znalazły się na dwóch różnych końcach świata. Na tym drugim końcu była teraz Sophie. Jessie nie mogła przestać płakać. Przez całe swoje życie nigdy nie czuła się tak samotna jak w tej chwili. W sercu miała żal. Z pewnością był to żal, bo żadne inne uczucie nie rani tak mocno. Wielki jak najwyższa góra, rozległy jak bezkresna pustynia i głęboki jak najgłębsze odmęty oceanu - żal.

Zasnęła skulona na pufie. Obudziła się o północy. Wiedziała, że już nie zaśnie, zanosła więc torby do samochodu i wyruszyła do Nowego Orleanu. Nie będzie się spieszyć, poprowadzi przez całą noc i dotrze tam rano.

Długa podróż minęła bez przeszkód. Jessie zatrzymała się dwa razy - po raz pierwszy na kawę o wpół do czwartej nad ranem, po raz drugi o szóstej, by szybko zejść śniadanie. Dojechała do domu w dzielnicy ogrodów około ósmej rano. Drzwi były zniszczone, zamek stary i zużyty, klucz zawieszony na breloku - ozdobny. W pokojach poczuła woń pleśni i kurzu. Zbyt długo nikt ich nie wietrzył. Włączenie klimatyzacji i otwarcie żaluzji zajęło jej dziesięć minut. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Z pewnością Sophie dawno tu nie była. W lodówce leżały dwa zwiędłe jabłka i pół butelki wody mineralnej Evian. Mocno trzasnęła drzwiami lodówki. Odbiły się od obudowy i znowu otworzyły. Za drugim razem zamknęła je porządnie.

Jessie przeszukała dom od góry do dołu, ale nie znalazła niczego, co wskazywałoby, dokąd udała się jej przyjaciółka. Sophie lubiła podróżować z małą ilością bagażu. Przeważnie zabierała ze sobą tylko torebkę, paszport i zwitek banknotów, bo potrzebne rzeczy kupowała w drodze.

Nie mając nic lepszego do roboty, Jessie posprzątała pokoje. Westchnęła z ulgą o czwartej, gdy schowała szczotki i kubły do komórki. Wzięła prysznic, umyła włosy, ubrała się i wyszła na zakupy. Zrobiła zapas artykułów spożywczych wystarczający na kilka dni.

Piątego dnia pobytu Jessie natychmiast po obudzeniu musiała pobiec do łazienki. Nudności poranne, przed którymi ostrzegął ją lekarz, sprawiły, że z trudnością łąpała oddech. Gdy żołądek się uspokoił, zrobiła sobie herbaty. Musiała wreszcie zacząć planować. Nie mogła wiecznie egzystować w oderwaniu od rzeczywistości. Przez ostatnie dwa dni czuła się jak ktoś, kto nie ma ani korzeni, ani przyszłości. Starła się nie myśleć o Tannerze, o tym, gdzie jest i co robi. Sądziła, że go kocha. Rozmyślanie o nim nadal bardzo bolało. Czy postąpiła słusznie, nie mówiąc mu o ciąży? Dziecko będzie potrzebowało ojca, powinno nosić jego nazwisko. A jaką ona będzie matką?

Zadzwoił stojący za nią telefon. W jej uszach dzwonek zabrzmiał dziko i gniewnie. Czy powinna podnieść słuchawkę? Odezwała się z wahaniem i usłyszała:

- Sophie, czy to ty? Dzwonię do ciebie od wielu tygodni. Gdzie byłaś? Tygodni? Była tu pięć dni i telefon ani razu nie zadzwonił. Kto to był?

Odpowiedziała z rezerwą:

- To nie Sophie. Nazywam się Jessie Roland. Kto mówi?

- Jack Dawson. Czy Sophie jest z tobą?

- Nie, nie ma jej tu.

- Czy wiesz, gdzie ona jest?

- Nie. A ty?

- Nie dzwoniłbym, gdybym wiedział. Co robisz w domu Sophie?

Nie spodobał jej się ton jego głosu.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Bo chcę. No więc?

Cieniutkie włoski na karku Jessie zjeżyły się.

- Jestem z wizytą.

- Przyjechałaś na ślub?

- Jaki ślub?

W jego głosie wyraźnie słyhać było rozdrażnienie.

- Mój i Sophie. Mamy się pobrać za dwa tygodnie. Od sześciu tygodni nie miałem od niej żadnej wiadomości. Powiedziała, że ma sprawy do załatwienia i miejsca do odwiedzenia i że będzie w kontakcie. Pomyślałem, że przyjechałaś na ślub, skoro jesteś jej najlepszą przyjaciółką. A więc gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia. Od tygodni sama staram się ją znaleźć. Czy wyjechała z kraju?

- Nic o tym nie wiem. Przez ostatnie kilka tygodni byłem w Arizonie na pracach wykończeniowych. Starałem się do niej dodzwonić, ale nikt nie odbierał telefonu. Sophie nienawidzi automatycznych sekretarek i nie chce żadnej zainstalować.

Serce Jessie zatrzepotało.

- Czy ślub się odbędzie? Myślałam... Sophie mniej więcej... założyłam, że sprawa jest aktualna.

Serce wciąż trzepotało jej w piersi. Czy to tego mężczyznę Sophie kiedyś знаła... albo wydawało się jej, że zna? Czy od niego uciekła? Jessie zacisnęła zęby.

- O ile mi wiadomo, ślub ma się odbyć. Zamówilem smoking, chociaż to ma być kameralna uroczystość. Sophie już wybrała sukienkę. Tyle wiem. Przyjedzie cała moja rodzina. Lepiej, żeby to wypaliło. Muszę cię o coś spytać... czy Sophie zawsze była taka... nieprzewidywalna?

Akurat, nieprzewidywalna, pomyślała Jessie. Rozluźniła szczęki.

- Mniej więcej. Jeśli się do mnie odezwie, powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła.

Odłożyła słuchawkę i poszła do sypialni Sophie pomyszkować w szafach. Wepchnięta w głąb szafy, na miękkim wieszaku, wewnątrz przezroczystej plastikowej torby, wisiała długa do kostek kreacja. Białe satynowe pantofelki i krótki welonik znajdowały się w oddzielnych torbach. Zajrzawszy pod pantofle i welon Jessie dostrzegła jeszcze jedną torbę na ubrania. To pewnie suknia, w której Sophie zamierzała udać się w podróż poślubną. Ale nie - na bileciku przymocowanym do wieszaka widoczne było jej nazwisko: Jessie Roland. Sophie wybrała sukienkę dla drużny. Przez przezroczysty plastik widać było,

że obie suknie są przepiękne. Na przymocowanych metkach widniało nazwisko projektanta: Oscar de la Renta. Pomyślała o swojej pęczniejącej talii. Jeśli dojdzie do ślubu, trzeba będzie popuścić szwy. Jeśli. Co zrobić, jeżeli Sophie nie wróci za dwa tygodnie? To było najważniejsze ze wszystkich pytań.

Jessie wróciła do kuchni zdezorientowana bardziej niż kiedykolwiek. Bezradnie rozejrzała się wokół. Mogła tylko czekać.

- Gdzie jesteś, Sophie? - westchnęła po raz kolejny.

Trzy dni przed planowanym ślubem Sophie do Jessie zadzwoniła gospodyni. Serce dziewczyny biło przyspieszonym rytmem, gdy słuchała słów pani Fisher.

- Przykro mi, Jessie, ale ten młody człowiek tak bardzo nalegał, że dałam mu twój adres i numer telefonu. Nie będę cię zanudzać smutną historią którą mnie uraczył. Ale naprawdę uważam, dziecko, że powinnaś dać mu drugą szansę. Nie chcę wiedzieć, w czym problem, ale proszę cię, żebyś to przemyślała. Prawdziwa, szczerza miłość zdarza się w życiu tylko raz. Wiem, co mówię.

- Czy powiedział, że do mnie przyjedzie, pani Fisher?

- Tak sądzę, dziecko. Nie jesteś na mnie zła?

- Nie, pani Fisher, nie jestem zła. Dziękują za telefon.

Jessie wyszła do zarośniętego ogrodu. Upał był duszący, a rośliny i kwiaty rozpaczliwie potrzebowały wody. Przynajmniej będzie miała coś do zrobienia. Może Sophie planowała wziąć ślub w ogrodzie? Po odchwaszczeniu i przycięciu roślin umyje kolorowe meble ogrodowe. Zajmie się czymś i jednocześnie będzie miała trochę ruchu. Czy Tanner przyjedzie? Co to miało znaczyć? Czyżby zdał sobie sprawę, że ją kocha i że nie może bez niej żyć? Cóż, wszystko jest możliwe. Jednak ani przez chwilę w to nie wierzyła.

Było już całkiem ciemno, gdy Jessie skończyła pracę w najdalszym kącie ogrodu. Przez ostatnią godzinę pracowała przy świetle małych latarni oświetlających przejścia. Wszystko pachniało ziemią, czystością i świeżością. W gąszczu kapryfolium odkryła małą fontannę. Gdy odkręciła wodę, tłusty cherubinek z węzłem na brzuchu wesoło zabulgotał. Wywołało to uśmiech na twarzy dziewczyny. W świetle dnia ogród będzie wyglądał dość imponująco, by

w nim urządzić uroczystość. Jednak ślub Sophie był niepewny i wyglądało, że raczej się nie odbędzie.

Sophie, gdzie jesteś? – znowu zadała sobie w myślach to pytanie.

Gdy krążyła po domu, przyszło jej do głowy, że Jack Dawson ani nie zadzwonił, ani nie przyszedł. Jest pewnie istnym kłębkim nerwów. Ślub, na który ma przybyć cała jego rodzina, już za trzy dni, a tu ani śladu panny młodej.

Sophie, gdzie jesteś?

Jessie zaniósła kawę do ogrodu. Miała rację. W świetle dziennym ogród wyglądał imponująco. Szczególnie spodobał jej się mech rosnący wśród starych cegieł. Z uznaniem pociągnęła nosem. Do południa posiedzi sobie w wygodnym krześle popijając kawę. Gdy rozejrzała się wokół, doszła do wniosku, że w tym spokojnym, otoczonym murem ogrodzie będzie umiała podjąć konkretne życiowe decyzje. Jeśli Sophie nie przyjedzie na ślub, Jessie spakuje się i odjedzie w niedzielę. Napisze do niej długi list i zostawi go pod poduszką. Taki sam, jaki zostawiła w domu w Atlancie. Nie będzie myślała o Tannerze Kingsleyu ani dzisiaj, ani jutro, ani pojutrze. Tanner Kingsley jest po prostu kimś, kogo niegdyś знаła.

Mój umysł wie o tym, pomyślała, ale moje serce ma kłopoty z zaakceptowaniem tego faktu.

Wiele godzin później, gdy słońce było już wysoko na niebie. Jessie wzięła kolorową sukienkę druhny, by rozpruć szwy. Jakie to podobne do Sophie – wybrać na ślub suknię w kolorach tęczy.

Sophie, gdzie jesteś?

Na tęczowy jedwab padł cień. Jessie spojrzała w górę i zobaczyła, że naprzeciwko niej stoi Tanner.

– Dzwoniłem do drzwi, ale chyba nie usłyszałaś. Tęskniłem za tobą, Jessie. Przepraszam, że zmusiłem gospodynię, by podała mi twój adres. Słuchaj, cokolwiek zrobiłem, przepraszam. Powiedziałem coś, czego nie powinienem był mówić. Za to też cię przepraszam. Czy mogę usiąść? Co robisz?

– Popuszczam szwy w sukience. Sophie ma jutro wyjść za mąż, ale jej tu nie ma. Chyba nie będzie ślubu.

– Więc po co to robisz?

- Mogę się mylić, więc na wszelki wypadek chcę być przygotowana. Co tu robisz? Rozmawiając ze mną rzuciłeś słuchawką, pamiętasz?

- To dlatego, że martwiłem się z powodu Irene. Przepraszam. Zadzwo- niłbym, ale ojciec wrócił na ranczo po pogrzebie. W dwa dni później miał atak serca. Przez kilka dni nie było wiadomo, czy przeżyje, ale powoli wraca do zdrowia. Chciał, byśmy... Resa i ja... byli bez przerwy przy nim. Chyba przejdzie na emeryturę. Dzwoniłem do twojego mieszkania chyba z tysiąc razy. Bez skutku. Zadzwo- niłem do domu w Atlancie, ale powiedzieli mi, że wyjechałaś. Nie chcieli podać numeru telefonu tego domu, więc poszedłem do twojej gospodyni. Jeśli Sophie nie ma, to co ty tu robisz? Muszę to zrozumieć, Jessie.

- Sophie jest moją przyjaciółką. Kiedy tak bardzo zaangażowałam się w związek z tobą, zawiodłam ją. Nie odpowiadałam na jej telefony, dałam ci się nakłonić do zdejmowania słuchawki z widełek. To moja wina. Byłam tak zajęta naszym związkiem, że zostawiłam ją samą, chociaż borykała się z trudnościami. Wiedziałam, że przeżywa ciężki okres. Czuję się tak, jakbym ją zdradziła. Nienawidzę samej siebie za to, co zrobiłam. Chyba pomyślałam, że jeśli tu przyjadę, ona jakoś się o tym dowie i wróci. Zbyt dużo nieszczęść spotkało Sophie ostatnio, i jeszcze ja ją zawiodłam. To koniec. Przez całe lata byłam jedynym stałym elementem jej życia i vice versa.

- Dlaczego po prostu nie wynajęłaś prywatnego detektywa? Ojciec zna naprawdę dobrego. Korzysta z jego usług, gdy chce dokopać się do czyichś brudów. Mogę podać ci nazwisko tego człowieka.

Jessie popatrzyła na Tannera, jakby wyrosła mu druga głowa.

- Nigdy o tym nie pomyślałam.

- To nie powinno zająć zbyt wiele czasu. Ci faceci nie muszą nawet wychodzić z biura, bo korzystają z komputerów. Czerdzieści osiem godzin powinno im wystarczyć. Gdzie jest telefon?

- W kuchni.

- Masz numer jej ubezpieczenia społecznego i prawa jazdy? Świat kręci się wokół tych dwóch numerów, wiesz przecież.

- Nie, nie wiedziałam. Zaraz je przyniosę.

- Hola, poczekaj, panienko. Przytyłaś trochę, odkąd cię ostatnio wi- działem. Wiem, że jedzenie kreolskie jest ostre, ale nie przypuszczałem, że takie tuczące.

- Tuczące? Nie. Jestem w ciąży – rzuciła przez ramię wychodząc z pokoju.

- Jessie, stój!

Jessie zatrzymała się i odwróciła z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

- Możesz to powtórzyć?

- Jestem w ciąży. Której części zdania nie rozumiałaś?

Jak buntowniczo i agresywnie brzmiał jej głos!

Tanner wyrzucił ręce w powietrze i znieruchomiał z wyrazem kompletnego niedowierzania na twarzy.

- Rozumiem, ale po prostu nie mogę w to uwierzyć. Kiedy miałaś zamiar mi o tym powiedzieć?

- W ogóle nie miałam takiego zamiaru. Kropka.

- Do diabła, dlaczego? – wybuchnął Tanner.

Jessie pomyślała, że oto na jej oczach niedowierzanie zmieniło się w ulgę.

- Bo wiem, jakie są twoje poglądy na temat dzieci. Pamiętasz ten dzień, kiedy mała dziewczynka skakała na ulicy przez skakankę? Widziałam twoją twarz, słyszałam, co powiedziałeś. Nie bój się, poradzę sobie. Sophie mi pomoże. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Posłuchaj, od chwili gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, dużo o nas myślałam. Nie kochasz mnie... W każdym razie nie w taki sposób, w jaki chciałabym być kochana. Nie jestem pewna, co w tej chwili do ciebie czuję. Nie mamy ze sobą wiele wspólnego. Nawet nie zadzwoniłeś do mnie po promocji, a przecież zajęłoby ci to tylko chwilę. Wystarczy trzy minuty, by napisać pocztówkę i wrzucić do skrzynki. Myślę, że nie jesteś dobrym matrialem na ojca. Nie jestem nawet pewna, czy ja nadaję się na matkę, ale się nauczę. To wszystko mnie przytłacza. Na dodatek martwię się o Sophie. I ostatnia sprawa, choć wcale nie najmniej istotna – nie wolno nam zapomnieć o uczuciach, jakie wobec mnie żywi twoja matka.

Tanner usiadł na jasnoczerwonym krześle.

- Ale czego ty oczekujesz? Czy chcesz wyjść za mnie?

- Nie oczekuję niczego, Tanner. Nie muszę ci chyba przypominać, że to ty przyszedłeś do mnie. Ja cię nie wzywałam. Miałam zamiar zostawić te sprawy za sobą. Nie można budować małżeństwa i całego życia na seksie. Chcę czegoś więcej. Muszę pomyśleć o dziecku, które noszę w sobie i o tym, jakie życie chciałabym jemu czy jej zgotować.

- Nawet nie pracujesz, Jessie. Jak zamierzasz utrzymać siebie i dziecko? Musisz być realistką.

- Poradzę sobie, Tanner. Teraz mam dyplom, więc mogę dostać dobrą pracę i wynająć opiekunkę do dziecka. Wiele kobiet tak robi. Nie boję się pracy. Chcesz wiedzieć coś jeszcze? Och, właśnie... przykro mi z powodu senatora. Przekaż mu moje pozdrowienia.

- Czy w ten sposób mówisz mi, żebym sobie poszedł?

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. A ty? Jest jak jest, nie mogę tego zmienić. Biorę na siebie całą winę. Wracaj do swojego świata, a ja zostanę w swoim. Jeśli chcesz, możemy pozostać w kontakcie. Prześlę ci zdjęcia.

- W twoich ustach to brzmi jak jakiś załatwiony interes handlowy. Potrzebuję czasu do namysłu. Nie możesz zaskakując mnie czymś takim oczekiwać, że będę skakał do góry z radości. Dziecko to ogromna odpowiedzialność. Muszę przywyknąć do tej myśli.

- Nie, Tanner, nie musisz. Spuszczam cię z haczyka. Naprawdę niczego od ciebie nie chcę. Możesz wrócić do Teksasu, a ja zdecyduję, co robić. Naprawdę poradzę sobie. Poczekaj, tylko powieszę tę sukienkę, potem zrobię nam kawę. Przed twoim wyjazdem możemy posiedzieć chwilę w ogrodzie.

- Jezu Chryste, Jessie, przed chwilą przyjechałem. Walisz mnie obuchem w głowę, aż się zataczam, a potem chcesz wyrzucić dając kopniaka w tyłek. Co, do diabła, w ciebie wstąpiło? Musimy porozmawiać.

- Nie, nie musimy. Jeśli nalegasz, jestem skłonna cię wysłuchać... chociaż ja nie mam już nic do powiedzenia.

W sypialni Sophie wsunęła tęczową sukienkę w plastikowy worek. Wiedziała, że nigdy nie włoży tej przepięknej kreacji. Pod powiekami poczuła łyż. Usiadła na brzegu łóżka. Musiała pomyśleć o Tannerze i o tym, co do niego czuła. Najgorsze, że właściwie nie czuła nic. Jej serce powinno bić szybciej, z pożądania powinno brakować tchu, a niczego takiego nie odczuwała. Była tylko zirytowana, że mężczyzna, którego - jak sądziła - kochała, siedzi na dole w ogrodzie, czekając aż poda mu kawę.

Jessie wpatrywała się w fotografię stojącą na szafce nocnej Sophie. Zdjęcie zrobiono, gdy miały po siedemnaście lat i wyglądały się do aparatu. Wyglądały na nim dość okropnie. Aż dziw, że Sophie zatrzymała tę fotografię. Ramka od Tiffany'ego była prawdopodobnie bezcenna. Pod powiekami znowu poczuła łyż.

- Nie wrócisz, prawda, Sophie? Dlaczego? Muszę to wiedzieć - wyszeptała.

Rozejrzała się wokół. Sophie i Jack jakiś czas mieszkali razem, ale w sypialni nie było niczego, co należało do niego. Żadnej skarpetki bez pary pod łóżkiem, żadnych zdjęć, dodatkowej szczoteczki do zębów, nic. Mężczyźni, tak samo jak kobiety, zwykle coś po sobie zostawiają. Kiedyś przeczytała w jakimś artykule, że lubią znaczyć należące do nich terytorium. Posprzątała pokój i nie znalazła nic, nawet kłęбка włosów w łazience. Wszystko wskazywało na to, że Jack Dawson nigdy nie mieszkał w tym pokoju. A może Sophie posprzątała? Mało prawdopodobne. Pomyśli o tym wszystkim później. Teraz musi zająć się Tannerem Kingsleyem, ojcem jej nie narodzonego dziecka.

Wygląda tak, jakby był u siebie w domu, pomyślała niosąc do ogrodu kawę na małej tacce.

- Dwie kostki - powiedział Tanner.

- Obsłuż się - powiedziała Jessie nalewając śmietankę do swojej filiżanki.

Nachmurzony Tanner nalał sobie kawy, dodał cukru i śmietanki. Wciąż skrzywiony powiedział:

- Możemy wziąć ślub pod koniec miesiąca. Moja matka będzie potrzebowała trochę czasu na przygotowania. Tatusz będzie chciał zaprosić kilku kumpli z Kapitolu.

- Jesteś absolutnie zadziwiający - powiedziała Jessie. - Nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałam, prawda?

- Słyszałem wszystko. Staram się postąpić jak należy. Dziecko potrzebuje rodziców. Zarówno matki, jak i ojca. Powinno też nosić moje nazwisko. Chcesz, by nazywano je bękartem?

- To się nie zdarzy. Dopilnuję tego. Nie chcę wychodzić za męża, Tanner. Miliony kobiet samotnie wychowuje dzieci. Ty zdaje się uważasz, że cię potrzebuję, ale tak nie jest. Nie musisz robić ze mnie przyzwoitej kobiety. Uważasz, że to właśnie mi proponujesz, prawda?

- Załapałem. Teraz, gdy twoja przyjaciółka Sophie nie wychodzi za męża, ty też nie chcesz. Czy ty nie potrafisz myśleć ani działać samodzielnie? Nigdy nie zrozumieć, co jest między wami, że zachowujecie się w ten sposób. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to pieniądze. Ona je ma, a ty nie.

Drażnił ją, czekał co mu odpowie. Widziała to w jego twarzy, odczytała w oczach.

- Pieniądze nie mają z naszą przyjaźnią nic wspólnego, Tanner. Przyjaźń Sophie ma dla mnie większą wartość niż wszystkie pieniądze świata. Jeśli nie jesteś w stanie tego pojąć, to trudno.

- Odmawiasz poślubienia mnie? Odmawiasz dania dziecku mojego nazwiska? Prawnik będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Mój ojciec zna najlepszego z najlepszych.

- To brzmi jak groźba. Grozisz mi, Tanner?

- Ja też mam swoje prawa, tak samo jak ty. Dziecko, chociaż jeszcze nie narodzone, też je ma.

Twarz Jessie pozostała bez wyrazu. To, co mówił Tanner, brzmiało szczerze. Prawnicy to dodatkowy problem. Będą szperać, węszyć i szukać odpowiedzi na różne pytania. Mogą nawet odnaleźć i sprowadzić jej rodziców, by zaświadczyli, jaką okropną była córka. Senator Kingsley naprawdę miał siłę przebicia.

- A więc, jak sądzę, ja też będę musiała wziąć sobie adwokata, prawda?

Zdziwiła się słysząc swój głos, zdecydowany i zimny. Od senatora nauczyła się blefować. Jeśli do tego dojdzie, wynajmie prawnika Sophie, Arthura Mendenaresa.

- To głupota. Wynajęcie adwokata drogo kosztuje. W rezultacie tylko oni są szczęśliwi, bo mają pełne kieszenie. Proszę cię, byś za mnie wyszła. Dla dobra nas obojga i naszego dziecka. Staram się postąpić właściwie. Pomóż mi choć trochę, proszę cię.

- A co ze mną? Co z nami? Gdybyśmy się kochali, byłoby inaczej. Rodzice, którzy się nie kochają, wywierają na dziecko szkodliwy wpływ. To nie jest zdrowe dla nikogo. Jesteś chimeryczny, bezmyślny i kapryśny - nie wspominając o tym, że samolubny. Czuły potrafisz być tylko w łóżku. My nawet nie jesteśmy przyjaciółmi, Tanner. Jesteśmy za młodzi, by wpaść w pułapkę małżeństwa bez miłości. Nigdy nie odmówiłabym ci praw rodzicielskich. Będziesz mógł spotykać się z dzieckiem tak często, jak zechcesz... w letnie wakacje, w czasie ferii. Dziecko musi mieć poczucie stabilności. Jako matka mogę mu to zapewnić. Przykro mi to stwierdzić, ale w tej chwili nawet cię nie lubię. Teraz liczy się tylko to, co jest najlepsze dla dziecka. Zgadzasz się ze mną?

W głosie Tannera przebijał gniew.

- To, co zaszło między nami, było dobre, Jessie. Nie zaprzeczaj.
- Nie zaprzeczam. Ale tylko w łóżku. Poza nim było żalośnie. Zawsze chcesz postawić na swoim, a małżeństwo działa na innej zasadzie. Trzeba dawać i brać.

- Zdaje się, że to sytuacja bez wyjścia. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, Jessie.

- Nie ma już nic więcej do powiedzenia. I dokąd nas to zaprowadzi?
- Nie wiem, Jessie. Chyba wrócę do Teksasu, a ty w jakimś momencie pojedziesz do Waszyngtonu. Przypuszczam, że zmęczy cię czekanie na przyjaciółkę, która, jak się zdaje, porzuciła cię. Myślę, że mogłoby się nam udać, gdybyśmy się postarali. Chciałbym przynajmniej spróbować. Obydwoje będziemy mieli równe szanse. Żadne z nas nie było przedtem rodzicem, ale możemy się tego nauczyć, jeśli zechcemy. Mogłbym stać się najlepszym ojcem pod słońcem. Nie możesz mi tego odmówić... chyba że nie jesteś taką kobietą, za jaką cię uważałem. Przepraszam, jeśli zachowałem się jak lajdak. Przez myśl mi nie przeszło... nie myślałem o dziecku. Ty chyba też nie. Musisz mi trochę popuścić cugli. Zatrzymam się dziś w hotelu „Monteleone” we francuskiej dzielnicy. Gdybyś wieczorem miała ochotę porozmawiać, zadzwoń, pójdziemy się czegoś napić do baru „Carousel”. Jeśli nie, nic nie szkodzi. Zadzwonię do ciebie jutro przed wyjazdem. Mam nadzieję, że twoja przyjaciółka wróci. Naprawdę. Pamiętam, jak się czułem, gdy straciłem przyjaciela. Zostawiłem nazwę i numer telefonu agencji detektywistycznej na ladzie w kuchni. I ostatnia sugestia - mogłabyś zgłosić zaginięcie na policji. Nie wstawaj, wyjdę sam.

Jessie długo siedziała bez ruchu. W głowie jej wirowało, gdy wciąż od nowa odtwarzała słowa Tannera. Miał rację. Skąd mogła wiedzieć, jakim on będzie ojcem? Z powodzeniem mógł być lepszym ojcem niż ona matką. Miał rację mówiąc, że jest w szoku, tak jak i ona. Czy małżeństwo z Tannerem będzie najlepszym wyjściem dla dziecka?

Gdzie jesteś, Sophie? - pomyślała znów.

Po południu nadal siedziała w ogrodzie, kiedy złożył jej wizytę drugi gość. Od razu wiedziała, że to Jack Dawson. Sophie wielokrotnie i ze szczegółami go opisywała. Przedstawił się i Jessie zrobiła to samo. Widząc jego pytające spojrzenie, pokręciła głową.

Jack Dawson wydał jej się równie przystojny jak Tanner Kingsley, choć bardziej zniewieściał. Jego rysy były delikatne, Tannera zaś ostre. Miał takie same przenikliwe niebieskie oczy i mocno zarysowaną szczękę. Zaczesał rudoblonde włosy na lewą stronę, a Tanner na prawą. Był od niego szczuplejszy, ale tak samo muskularny. Ubrał się swobodnie, jak przystało na upały, w wykrochmalone spodnie khaki i białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Na nogach miał drogie włoskie buty.

- Ślub się chyba nie odbędzie - powiedział ponuro.

- Chyba tak. Uporządkowałam ogród w nadziei, że... To niepodobne do Sophie. Nie rozumiem. Czy już ustalono wszelkie szczegóły związane ze ślubem?

- Nie wiem. Sophie zapewniała, że wszystkim się zajmie. Powiedziała, że muszę się tylko pojawić. Moja rodzina przyjechała wczoraj w nocy. Chyba oprowadzę ich po mieście i odeślę do domu. Sophie jest najbardziej sprawnie działającą i sumienną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. To zupełnie do niej nie pasuje. Na litość Boską, to nasz ślub!

- A może się posprzeczałście? Czy Sophie się zmieniła? A ty... zrobiłeś coś, co mogło sprawić, że zmieniła zdanie?

- Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmi: nie. Sprzeczaaliśmy się, owszem. Wszyscy się sprzeczają. Jednak nigdy się nie pokłóciliśmy na serio.

- Sophie powiedziała, że otworzy własną firmę. Co o tym wiesz?

- Powiedziała mi, że najpierw zrobi rozeznanie. Jak długo zostaniesz, Jessie?

- Jeszcze dzień lub dwa.

Nie podoba mi się ten facet, orzekła w myśli Jessie. Założyłaby się o ostatniego dolara, że w mieście nie ma jego rodziny. Więc co on tu robi? Wstała i podała mu rękę.

- Do widzenia.

Zmierzchało, gdy Jessie weszła do domu. Zmusiła się, by wstąpić do sypialni Sophie i po raz ostatni rzucić okiem na wiszącą w szafie ślubną sukienkę. Z bólem serca i ściśniętym żołądkiem zamknęła drzwi szafy. Wczesnie rano zamknie dom i wróci do Waszyngtonu. Może w swoim własnym mieszkaniu będzie w stanie myśleć jaśniej.

Przez resztę wieczoru towarzyszyło jej poczucie straty.

Następnego ranka posprzątała dom, szybko wypila filiżankę kawy i zadzwoniła do hotelu, by zostawić Tannerowi wiadomość, że wraca do Waszyngtonu.

Potem po raz ostatni spojrzała na dom, który Sophie tak lubiła. Była cała spocona, choć dochodziło dopiero wpół do ósmej. Przetarła oczy. Wiedziała, że oszukuje samą siebie; że to nie spływający po twarzy pot szczypie ją w powieki.

Gdzie jesteś, Sophie?

14

Jessie wpatrywała się w dzwoniący telefon. Wiedziała, że to Tanner. Podnieść słuchawkę czy nie? Powinna iść do sklepu spożywczego, rozpakować bagaże, odkurzyć i przewietrzyć mieszkanie, zastanowić się nad wieloma sprawami. Odetchnęła z ulgą, gdy telefon zamilkł. Zamierzała wszystko przemyśleć w czasie długiej podróży z Nowego Orleanu, ale całą drogę słuchała radia, nad niczym się specjalnie nie zastanawiając. Udało jej się jakoś zepchnąć zniknięcie Sophie do najgłębszych zakamarków świadomości. W końcu zrobiła, co mogła, by ją odnaleźć. Teraz musiała myśleć o sobie i swoim własnym problemie.

Było późno, prawie północ, gdy Jessie wytarła naczynia po zjedzeniu skąpej kolacji. Teraz usiadzie, napije się herbaty i zastanowi się nad swoim życiem.

Tanner miał rację twierdząc, że dziecko potrzebuje obojga rodziców. Nie chciała wdawać się w brudną rozgrywkę z bandą łasych na pieniądze prawników. Tanner miał także rację mówiąc, że on może okazać się najlepszym ojcem pod słońcem, a ona najgorszą w świecie matką. Wszystko jest możliwe. Czy miała prawo odmówić mu szansy, jeśli chce tego dowieść? Nie mogła się zdecydować. Czy chciała zostać panią Tannerowi Kinglsey? I tak, i nie. Serce, umysł i dusza podpowiadały jej, że Tanner nie nadaje się do małżeństwa. A skoro już o tym mowa... czy ona się nadawała? Kiedyś zapewne odpowiedziałyby, że tak. Teraz nie była o tym przekonana. Finansowe zabezpieczenie

miała. Jej dziecku nie brakowałoby niczego. Tylko ojca i dziadków. Jeśli wyjdzie za Tannera, dziecko zyska przynajmniej ciotkę w osobie Resy. Senator byłby prawdopodobnie wspaniałym dziadkiem dla pierwszego wnuczka w rodzinie Kingsleyów. Nie mogła tylko znieść myśli o Alexis. Jako żona Tannera w wigilię Wszystkich Świętych mogłaby wyciągać Alexis z domu, by odgrywała rolę zlej wiedźmy. Uśmiechnęła się, na tę myśl. Radość jednak znikła z jej twarzy, gdy telefon znowu zadzwonił. Tym razem odebrała.

- Przepraszam, Jessie, zapomniałem o różnicy czasu. Chyba nie jesteś jeszcze w łóżku? Martwiłem się, czy bezpiecznie dojechałaś na miejsce. Dobrze się czujesz?

Mówi tak, jakby się o mnie troszczył, pomyślała Jessie.

- Czuję się dobrze. Jestem tylko trochę zmęczona. Ostatnie tygodnie były dość stresujące.

- Stres nie służy przyszłym matkom. Czy zastanawiałaś się nad naszą sytuacją?

- Myślałam nad tym, gdy zadzwoniłeś.

- I?

- Gdzie chciałbyś mieszkać, Tanner? Powiedziałam ci, że nie wytrzymam na ranczu.

- A mogłabyś rozważyć zamieszkanie na ranczu jako krótkoterminowe rozwiązanie, dopóki nie znajdę czegoś innego?

- Zdecydowanie krótkoterminowe.

- Miesiąc, sześć tygodni. Rodzicom nic jeszcze nie powiedziałem. Wydawało mi się, że nie chciałabyś, bym to zrobił. Widzisz, jak się staram? Czy moje starania znajdują uznanie w twoich oczach? Pierwszy przyznam, że nie jestem rycerzem na białym koniu. Jeśli kiedykolwiek miałem zbroję, teraz jest podziurawiona.

- Tak.

- Co: tak?

- Wyrażam ci uznanie. To poważny krok. Ale... nie kochamy się. To mnie martwi.

- Jessie, a co to naprawdę znaczy kochać się? Bardzo mi na tobie zależy. Nie chodzi tylko o seks. Wiem, że czujesz to samo. Popatrz tylko na twoją przyjaciółkę. Powiedziałaś, że była do szaleństwa zakochana w tym, jak mu

tam, facecie. Czy to się udało? Wystawiła go. I nawet nie była w ciąży. Możemy sprawić, by nam się udało, Jessie.

Była taka zmęczona... okropnie zmęczona.

- Dobrze. Ale żadnych uroczystości ślubnych. Przyjedziesz do Waszyngtonu i pobierzemy się w obecności sędziego pokoju. Nie obchodzi mnie, czy to się spodoba twojej matce, czy nie. Nie będę tolerowała wtrącania się w nasze życie. Chcę od ciebie zapewnienia, że do tego nie dopuścisz, Tanner. Zgadzam się mieszkać na ranchu tylko przez sześć tygodni. Ani dnia dłużej. Jeśli przekroczysz ten termin chociaż o godzinę, odejdę. Czy potrafisz sprostać moim warunkom?

- Na pewno.

- Chcę to mieć na piśmie.

- Co?

- Chcę spisać te warunki. Chcę, by przejrzał je prawnik. I chcę spisać intercyzę przedmałżeńską.

Tanner milczał przez chwilę.

- A co to takiego?

- Porozumienie finansowe mówiące o tym, że to, co moje, jest moje, a to co twoje - należy do ciebie. Dotyczy to majątku będącego w naszym posiadaniu przed zawarciem małżeństwa. Wszystko, co nabędziemy w czasie jego trwania, zostanie podzielone na pół, jeśli dojdzie do rozwodu. Prawnicy się tym zajmą. Oboje musimy wyrazić na to zgodę. Zadbamy też o dziecko. Na wypadek, gdyby coś się stało tobie albo mnie, będzie zabezpieczone. Zgadzasz się?

- Oczywiście - mruknął Tanner niechętnie. - Zlecę mojemu prawnikowi, by sporządził taki dokument.

Jessie przymknęła oczy, by zwalczyć napływającą falę zawrotów głowy. Jej ogromny fundusz powierniczy będzie bezpieczny.

- Mój prawnik przejrzy to, co przygotowuje twój. Ale zlecę mu przygotowanie drugiej umowy.

- To nie jest konieczne, Jessie.

- Nie, Tanner, to jest konieczne.

Tanner zachichotał. Niegdyś uwielbiała ten chichot, po prostu zapierał jej dech w piersi. Teraz wywołał tylko dreszcze.

- A więc zgadzasz się wyjść za mnie za mąż? Wiesz, zawsze myślałem, że oświadczyzny powinny być romantyczne, a to przypomina transakcję handlową. Kiedy chcesz się pobrać?

- Ile czasu zajmie przygotowanie umowy?

- Pójdę do biura prawnika z samego rana. A ty?

- Ja też.

- To brzmi nieźle. Chyba dadzą radę wysmażyć to w ciągu tygodnia. Jeśli masz pod ręką ołówek, zapisz nazwę i adres firmy prawniczej. Oni się wszystkim zajmą. My tylko podpiszemy dokumenty.

- A odpowiadając na twoje pytanie o termin ślubu dziesięć dni powinno wystarczyć. Mam kilka spraw do załatwienia. Coś jeszcze?

- Czy mogę powiedzieć ojcu?

- Nie. W ciągu dziesięciu dni coś może się popłatać. Chcę z tym poczekać.

- Nie zmienisz zdania?

- Nie. Wyjedziemy w podróż poślubną?

Tanner znowu zachichotał. Jessie poczuła, jak dreszcze przebiegają jej wzdłuż kręgosłupa.

- Chyba dam radę włączyć to do mojego harmonogramu zajęć. Co myślisz o Key West na Florydzie albo o Key Largo?

- A może wybierzemy się na sześciotygodniowy rejs dokądkolwiek?

Ton głosu Tannera zmienił się.

- Tydzień, Jessie. Nie mogę opuścić rancza na dłużej niż na tydzień. Muszę myśleć o ojcu. Możemy zaplanować dłuższy wyjazd w czasie wakacji albo zaraz po Nowym Roku.

- Pomyślę o tym. Teraz idę do łóżka. Dobranoc, Tanner.

Pięć dni po rozmowie z Tannerem Jessie weszła do kancelarii prestiżowej firmy prawniczej Rupert, Rupert, Elton i Stennis, by podpisać ostateczną wersję sporządzonych dokumentów. Firmę tę polecono jej w biurze Arthura Mendenaresa w Nowym Jorku. Uważnie przeczytała papiery, wodząc palcem wskazującym po każdym słowie. Skończywszy przeczytała je po raz drugi.

Adwokat był bystry i sprawny; uważnie przyglądał się Jessie, która trzymała już pióro w pogotowiu, by podpisać stertę dokumentów.

- Jeśli ma pani jakieś wątpliwości, panno Roland, proszę nie podpisywać. Jeśli coś panią niepokoi, trzeba to przedyskutować. Chodzi przecież o dobro dziecka, a papiery jego dotyczą.

- Chcę być absolutnie pewna, że jestem chroniona. Nie pragnę rościć sobie praw do tego, co Tanner w tej chwili posiada, jakiegokolwiek majątku, udziałów czy funduszy. Jednak nasze dziecko po osiągnięciu pełnoletności będzie miało do nich prawo. Czy to się zgadza?

- Tak. Jeśli pani albo pan Kingsley w czasie trwania małżeństwa otworzy firmę, wówczas oboje będziecie mieli prawo do udziałów. Zazwyczaj majątek dzielony jest równo po połowie, chyba że strony dowiodą, że powinno być inaczej.

- Gdzie dokładnie jest powiedziane, że to samo odnosi się do mnie?

Brwi pełnomocnika uniosły się ku górze.

- Strona czwarta, drugi paragraf od dołu. Należące do pani sześć tysięcy dolarów pozostanie nietknięte - powiedział wypychając policzek językiem. - Jednak, jak pani widzi, nie zostały tu wymienione żadne sumy pieniędzy, ani z majątku pana Kingsleya, ani pani. Uważałem, że tak będzie najlepiej.

- Obawiam się, panie Rupert, że chodzi o trochę większą sumę.

- O ile większą, panno Roland?

- Dwadzieścia jeden milionów dolarów. To mój fundusz powierniczy. Dlatego zażądałam sporządzenia interczyzy.

- Rozumiem. Jeśli pyta pani, czy fundusz jest bezpieczny, odpowiedź brzmi: tak. Pan Kingsley nigdy nie będzie mógł go tknąć. Czy spisała pani testament?

- Nie.

- Radzę więc sporządzić go teraz, zanim podpisze pani te dokumenty. To zajmie nie więcej niż dwadzieścia minut. Proszę mi tylko podać nazwisko osoby, która ma zarządzać finansami dziecka na wypadek, gdyby pani coś się stało. Kiedy dziecko się urodzi, telefonicznie poda mi pani jego lub jej imię. Wówczas wpiszemy je do dokumentów.

- Sophie Ashwood i Arthur Mendenares.

- Klientka Arthura? Arthur we własnej osobie? - brwi pełnomocnika jeszcze raz uniosły się ku górze.

- Tak.

- Na pierwszym piętrze jest bardzo dobra restauracja. Proszę zejść na dół i napić się kawy. Kiedy testament będzie gotowy, przysłę po panią sekretarkę. Później będzie pani mogła uaktualnić testament, szczegółowo określając zapisy i temu podobne. Czy pani zrozumiała?

- Tak. Przypadkiem nie wie pan, gdzie jest Arthur Mendenares?

- Sądzę, że w Europie, ale nie jestem pewien.

- Staram się skontaktować z Sophie. Pomyślałam, że może on wie, gdzie ona jest. Czy w jakiś sposób mógłby się pan tego dla mnie dowiedzieć?

- Moja sekretarka się tym zajmie. Trudno go namierzyć. Zrobimy, co w naszej mocy.

- Dziękuję.

Jessie usiadła przy małym biurku w rogu sali. Przed nią leżała sterta papierów. Dokładnie przeczytała każdy z nich. Zadowolona, że wszystko jest tak, jak powiedział pan Rupert, z trzaskiem naciągnęła gumkę na intercyzę. Pobieżnie przejrzała testament, a potem dołączyła do pozostałych dokumentów. Starannie zaadresowała szarą kopertę, pisząc wyraźnie dużymi literami w dwóch różnych miejscach: zatrzymać dla Sophie. Nakleiła dziesięć znaczków - to powinno wystarczyć. Od razu wstała, podeszła do skrzynki w rogu sali i wrzuciła list. Zrobione. Niczego już nie zmieni, nawet gdyby znowu ogarnęły ją wątpliwości.

Miała tydzień na zamknięcie rachunku oszczędnościowego, odwołanie usług komunalnych, posprzątanie mieszkania dla następnego najemcy i zapakowanie rzeczy do samochodu. Powinna też kupić jakąś sukienkę, w której weźmie ślub. Po policzku potoczyła się łza. Starła ją gniewnie. Druga popłynęła w ślad za pierwszą, gdy Jessie zatelefonowała i usłyszała, jak panienka w centrali za granicą rozmawia z paryskim biurem Arthura Mendenaresa i powtarza przekazaną jej wiadomość, że prawnik jest w drodze powrotnej do Stanów.

Miała do dyspozycji czas, który mogła mądrze wykorzystać. Musi kupić sobie odpowiedni strój, uzyskać pozwolenie na ślub i zrobić badanie krwi. Tanner powiedział, że badanie robi w Teksasie i przywiezie zaświadczenie z laboratorium ze sobą. Postara się, by wszystko poszło gładko. Ma przecież do dyspozycji pracowników biura senatora, którzy wiedzą, jak pociągać za

sznurki. Jeśli wymagany jest okres oczekiwania, z pewnością znajdą sposób, by to obejść.

Za cztery dni będzie panią Tannerową Kingsley.

- Jest jak jest, Jessie - wymamrotała do siebie idąc na Czternastą ulicę, żeby kupić sobie kostium na ślub. - Jest jak jest.

Jessie siedziała na tarasie przed domem, wygrzewając się w ciepłym czerwcowym słońcu. Załadowała już torby do bagażnika dżipa i pożegnała się z panią Fisher. Jej samochód stał zaparkowany przy krawężniku. Gdy zerknęła na zegarek, okazało się, że do wyjazdu na lotnisko po Tannera została jeszcze godzina. Pobiorą się podczas pięciominutowej ceremonii, a potem prosto z sądu udadzą się na Florydę.

To była cicha uliczka. Jessie doszła do wniosku, że będzie jej brakowało widoku zadbanych domów z piaskowca i rozłożystych, pięknych drzew rosnących po obu stronach ulicy, które tworzyły prawdziwy tunel. W deszczowy dzień nie trzeba było nawet zabierać parasola, by nie moknąć dotrzeć do rogu ulicy i złapać tramwaj. Rozejrzała się wokół w nadziei, że zobaczy kogoś, kogo zna choćby z widzenia i z kim wita się skinieniem głowy. Kogoś, z kim mogłaby się pożegnać. Jednak nie było nikogo. Zebrało jej się na płacz gdy zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie nigdy już nie wróci do tego domu! Choć nie odznaczał się niczym szczególnym, jednak mieszkając tu cieszyła się pewną dozą niezależności. Płaciła czynsz, gotowała posiłki, sprzątała mieszkanie. Studiowała i pracowała na pełnym etacie. A teraz wyrzeka się tego wszystkiego. Stłumione westchnienie dobyło się z jej ust, gdy ujrzała mężczyznę wysiadającego z samochodu po drugiej stronie ulicy. Zmarszczyła brwi. Wyglądał znajomo. Sprawdzał numery domów, jakby kogoś szukał. I wtedy go rozpoznała.

- Pan Mendenares! Wydzwaniam do pana od tygodni. Czy pan wie, gdzie jest Sophie? Nie musiał się pan fatygować taki kawał drogi. Trzeba było do mnie zadzwonić. Wie pan, to nic naprawdę pilnego. Sophie i ja przyrzekliśmy sobie, że stale będziemy w kontakcie telefonicznym. Pomyślałam, że może pan wie, gdzie ona jest. W zeszłym tygodniu miała wyjść za mąż. Pojechałam do domu w Nowym Orleanie i czekałam tam na nią. Przygotowałam ogród na uroczystość. Wiem, że plotę bzdury, ale w pana oczach widzę coś, co mi się nie

podoba. Dlaczego pan przyjechał? Czy coś się stało Sophie? Czy jest ranna? Nie zniosę złych wiadomości, panie Mendenares. Naprawdę nie zniosę.

Prawnik nie zdążył dokończyć tego, co miał do powiedzenia, a Jessie już zasłoniła uszy rękami. Zbiegła z ganku i rzuciła się biegiem do parku. Padła na drewnianą ławkę, bo zabrakło jej tchu. Po chwili poczuła na ramieniu delikatny dotyk dłoni.

- Nie chciałem pisać o tym w liście. Wiedziałem, że będzie pani chciała zadać mi różne pytania. Tak bardzo mi przykro.

- O czym pan mówi? Gdzie jest Sophie? Dlaczego się ukrywa?

- Sophie nie żyje, panno Roland.

- Proszę nie mówić takich rzeczy. Nie chcę tego słyszeć. Czy pan rozumie? Nie chcę tego słyszeć! - krzyczała Jessie.

- Przykro mi. Nie ma innego sposobu, by panią o tym zawiadomić.

- Dziś po południu wychodzę za mąż. Sophie jest tylko o rok ode mnie starsza. Jest za młoda, by umierać. Sophie... Sophie miała jeszcze tyle do zrobienia i tyle miejsc do zobaczenia. Zawsze tak mówiła. Proszę się przyznać, że pan skłamał.

- Ze względu na panią pragnąłbym móc to powiedzieć. To był wypadek. Przynajmniej tak sądzi policja. Ja nie jestem tego pewien.

- Jaki wypadek? - wyszeptała Jessie.

- Sophie przeżywała trudne chwile po śmierci matki. Nie potrafiła się z tym pogodzić. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób doszło do tego wypadku. Postanowiła przejechać fatalną trasę osobiście, takim samym samochodem, z taką samą szybkością. Jadąc w identycznych warunkach spadła ze zbocza dokładnie w tym samym miejscu i dokładnie o tej samej porze co jej matka. Sądzę, że to zaplanowała. Swoje sprawy zostawiła w porządku. Zajęła się wszystkim.

- Nie wszystkim. Nie odwołała ślubu. Nie zadzwoniła do mnie ani nie napisała.

- Ależ tak, dziecko. Byłem z nią tego dnia, gdy zadzwoniła do pana Dawsona, by powiadomić go, że odwołuje ślub. Wypisała nawet czek, który mam mu przekazać, by pokryć straty, które według niej poniósł. Okazało się później, że torebkę zostawiła w moim samochodzie, gdy wyruszała w tę trasę. Miałem mierzyć jej czas. Użyła podstępny, a ja byłem na tyle głupi, by się na to

złapać. Nigdy nie pomyślałem... a powinienem. W każdym razie w torebce był jej testament, list do pani i paczka gumy do żucia. Wszystko mam w samochodzie.

- Czy pan sądzi, że Sophie się zabiła? Nigdy by tego nie zrobiła! Pogodziła się ze śmiercią matki. Mówiła, że kocha Jacka Dawsona. Miała otworzyć własne biuro. Kiedy... kiedy... ona...?

- Dwa dni temu.

- Kiedy odbędzie się pogrzeb? Nie uwierzę w to, dopóki... nie ujrzę jej na własne oczy na katafalku.

Prawnik zamachał rękami.

- Tak jak matka, życzyła sobie, by jej ciało zostało poddane kremacji natychmiast po śmierci. Bardzo dokładnie sprecyzowała to w swoim testamencie. Nie chciała narażać pani na cierpienia. Powiedziała mi kiedyś, że uważa pogrzeby za barbarzyństwo.

Jessie siedziała zgarbiona, wstrząsana szlochem. Wreszcie zdołała zapytać:

- Dlaczego? Muszę wiedzieć, dlaczego.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, chociaż bardzo bym chciał. Może wyjaśnia coś w liście, który do pani napisała. Testament Sophie jest prosty. Zostawiła wszystko pani. Ale to nie czas i miejsce, żeby rozmawiać o interesach. Kiedy będzie pani gotowa porozmawiamy o szczegółach. Tymczasem sprawy toczą się jak należy. Chyba powinienem pani powiedzieć, że Sophie otworzyła oddziały w różnych miejscach świata. Nie jest ich wiele, ale są rozproszone. Pragnęła stworzyć miejsce będące jednocześnie biurem i salonem wystawienniczym. Kupiła w tym celu cały budynek w dzielnicy francuskiej w Atlancie. Coś podobnego widziała w centrum Corpus Christi. Podatki od transakcji zostały zapłacone, co stwarza nieograniczone możliwości. Wiem, że teraz nie chce pani o tym słyszeć, ale musiałem to wszystko powiedzieć. Podczas lotu do Stanów spisałem to dla pani, a później wyślę bardziej formalną wersję. Chyba najlepiej będzie, jeśli dokumenty prześlę do domu w Atlancie. Będzie nam służył za bazę. Z czasem możemy wprowadzić zmiany. Gdzie będzie pani mieszkać, panno Roland?

- W Corpus Christi w Teksasie. Wychodzę za mąż za syna senatora Kingsleya, Tannera.

- Tak, tak. Sophie mi o tym wspomniała.
- Co... co mam robić, panie Mendenares?
- Oplakiwać jej śmierć. Nic więcej. Czas nie stoi w miejscu, musimy dalej żyć. Jeśli będę mógł w czymś pani pomóc, proszę do mnie zadzwonić. Odprowadzi mnie pani do samochodu? Dam pani torebkę Sophie. Jest w mojej teczce.

- Sophie była moją najlepszą przyjaciółką.
- A pani jej. Bez przerwy o tym mówiła. Powiedziała, że jest pani zakochana. Była taka szczęśliwa.

- Pomyliła się po raz drugi w życiu. Nie jestem zakochana. Jestem w ciąży, ale nie zakochana. Po raz pierwszy pomyliła się oceniając Jacka Dawsona.

- Rozumiem. Opowiedziała mi o Jacku Dawsonie i o tym, jakim się okazał sprytnym łowcą posagów. Bardzo go kochała. Uważała, że zawiodła samą siebie.

- Powiedział pan, że chciała go spiąć. Dlaczego? - spytała Jessie. Miała szklisty wzrok.

- Bo uznała, że pracował ciężko, żeby ją okantować, więc jego wysiłki powinny zostać nagrodzone. Chciała mu dać milion dolarów. Wyobrażam sobie, że dla kogoś takiego jak pan Dawson to fortuna. Dla Sophie - suma bez znaczenia. To był policzek, który mu wymierzyła, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Jessie zatrzęsała się z gniewu.

- Milion dolarów nagrody za kłamstwo! Za podstępne pozbawienie jej złudzeń! Co prawda Sophie nie powiedziała mu, że jest bogata, jednak to nie to samo. Wiem, jak się zadreżczała. Nie chciała kłamać, ale zdecydowała nie chwalić się swoim bogactwem. Proszę nie wypłacać tych pieniędzy. Niech pan podrze czek. I jeszcze jedna sprawa: proszę znaleźć kogoś innego, komu powierzy pan majątek Sophie. Ja mam dość własnych problemów.

- To niemożliwe, panno Roland. Kilka miesięcy temu prowadziliśmy we trójkę dokładnie taką samą dyskusję. Jeśli dobrze pamiętam, spojrzała pani na Sophie i powiedziała: „Jest jak jest”. Teraz ja powtarzam te słowa. Z największą przyjemnością osobiście podrę ten czek. Proszę chwilkę poczekać, dam pani torebkę Sophie i moje notatki zrobione w samolocie.

Jessie przełknęła lzy sięgając po drogą torebkę od Chanel. Przyłożyła ją do policzka. Pachniała Sophie.

- Nie wiem, co mam robić, panie Mendenares - wyznała z płaczem.

Gdy prawnik siadał za kierownicą, Jessie zobaczyła lzy w jego oczach.

- Kiedy nie wiem, co zrobić w jakiejś sprawie, nie robię nic - oświadczył. - Nie wiem, czy to dobra rada, ale... Będę z panią w kontakcie. Życzę pani szczęścia, panno Roland. Sophie też tego pragnęła.

Jessie przeszła przez ulicę i wsiadła do swojego samochodu. Żółty kostium, w którym miała wziąć ślub, wyglądał jak pognieciona szmata; na spódnicy widniała szara smuga brudu. Gdy samochód Arthura Mendenaresa zniknął jej z oczu, Jessie kompletnie się załamała. Jej ciałem wstrząsały drgawki; tłukła z całej siły rękami w kierownicę, aż ból stał się nie do zniesienia. Sięgnęła po czarną pikowaną torebkę i przycisnęła ją mocno do serca.

- Nienawidzę cię, Sophie Ashwood, za to, co zrobiłaś. Słyszysz mnie? Teraz nigdy nie zobaczysz mojego dziecka. Chciałam, żebyś została jego matką chrzestną. Sophie, dlaczego? Dlaczego? Potrzebuję kogoś, kto powie mi, co mam robić. Nie poradzę sobie sama. Cały mój świat rozpada się na kawałki. Boże, Sophie, dlaczego, dlaczego to zrobiłaś?

- Przeczytaj list. Jedyne, co musisz zrobić, to otworzyć go i przeczytać - usłyszała głos.

Jessie rozejrzała się wokół przekonana, że ktoś wypowiedział te słowa, ale to był tylko jej wewnętrzny głos. Po trzech nieudanych próbach udało jej się otworzyć skomplikowany zameczek torebki. Poczowała woń perfum Sophie i słodki zapach gumy balonowej Bazooka. Odwinęła jeden listek gumy i włożyła do ust. Żuła ją energicznie, by powstrzymać płacz, o co Sophie pewnie chodziło. Najpierw przeczytała testament. Był dokładnie taki jak powiedział Arthur Mendenares. Cała fortuna Sophie przypadła jej w udziale z wyjątkiem sporych zapisów dla licznej grupy emerytowanych służących rozsianych po całym świecie. Teraz wszystko należało do niej - nieruchomości, jachty, samoloty, samochody, wyspy, tankowce, firmy. Czytając listę dostała zawrotu głowy. Jak na zwykły testament był to dokument obszerny - liczył pięćdziesiąt sześć stron. Nosił datę sprzed trzech dni.

Jessie starannie go złożyła i wsunęła do teczki. Spróbowała odkleić gumowaną klapkę koperty adresowanego do niej listu. Był taki cienki... Oznaczało to, że zawierał tylko kilka słów, jedną kartkę.

- Sophie, jesteś mi winna więcej niż jedną małą kartkę papieru - zaszlochała Jessie.

Czas przestał istnieć. W końcu rozdarła kopertę i wyszarpnęła dwa cienkie arkusze. Zapomniała o ślubie, o odebraniu Tannera z lotniska.

Sophie miała pismo drobne, ciasne, podobno charakterystyczne dla introvertyków. Jednak ona nigdy nie przejmowała się etykietkami, które do niej dopasowywano.

Jessie położyła list na kolanach, bo ręce drżały jej tak bardzo, że nie mogła go utrzymać. Ze łzami w oczach zaczęła czytać:

Kochana Jessie,

Jeśli czytasz ten list, to wiesz, że nie ma mnie już na tym świecie. Mam nadzieję, że Bóg będzie w dobrym, łagodnym nastroju i pozwoli mojej duszy połączyć się z duszą matki. Nie płacz, Jess. Przebrniesz jakoś przez ten list, żując gumę. Dlatego włożyłam ją do torebki.

Nie chcę, żebyś się zadreczęła próbując dociec, dlaczego to zrobiłam. Jest jak jest... a może powinnam powiedzieć: było, jak było. Absolutnie nie ma w tym Twojej winy. Wiem, że będziesz miała wyrzuty sumienia. Ale to wszystko pieprzone bzdury. Zbyt długo byłam u kresu wytrzymałości. Śmierć matki zepchnęła mnie ku krawędzi, ale przez jakiś czas jeszcze się wahałam. Może mogłabym się cofnąć, gdyby Jack okazał się takim człowiekiem, za jakiego go uważałam. Wpuścił mnie w kanał, a ja się dałam nabrać. Nie powiedziałam mu, że wiem o jego oszustwie. Nawet gdy go porzuciłam, wciąż myślał, że ślub się odbędzie. Pomyślałam, że skontaktuje się z Tobą, więc usunęłam się z twojego życia, żebyś nie była zmuszona do kłamstwa. Poza wszystkim innym, mam oddanych, lojalnych przyjaciół. Każdy z nich przekazywał mi wiadomości od Ciebie. Z Arthurem włącznie. Wiem, że byłeś w Atlantycie i w Nowym Orleanie. Mam przed sobą listy, które dla mnie zostawiłaś. Kocham Cię, Jessie Roland, za to, że mogłam na ciebie liczyć. Zgadnij, co jeszcze wiem. Wiem, że spodziewasz się dziecka. Tak, od początku roku chodzi za Tobą mój ogon. Myślę, że to wspaniale. Ty też tak będziesz uważała, gdy minie pierwszy szok. Wiem też, że wychodzisz za Tannera. Jeśli jest jakiś sposób, by to zagrało, wiem, że go

znajdziesz. Wiem też, że będziesz wspaniałą matką. Taką matką, jakiej ani ja, ani Ty nigdy nie miałyśmy. Widzisz, jednej z nas się poszczęściło.

Chcę, żebyś miała dobre życie, Jessie. Będziesz za mną tęsknić, ale czas leczy rany. Zawsze pozostanę z Tobą. Wiesz o tym, musisz tylko w to uwierzyć. Pamiętaj, co zawsze mówiłyśmy: nie wystarczy przetrwać, trzeba być górą. To tylko inny sposób wyrażenia poglądu, że nieważne, skąd pochodzisz i kim jesteś, ale dokąd zmierzasz i w jakim stylu tam docierasz.

Jessie, daję Ci cały jeden dzień na oplakiwanie mnie. Ani sekundy dłużej. To jedna z moich trzech ostatnich próśb do Ciebie. Druga prośba: chcę, żebyś wróciła do Nowego Orleanu i zrobiła to, co robiłyśmy razem po mojej promocji. Powtórz wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Życzę sobie, żebyś świętowała cały dzień i noc. *Laissez les bons temps rouler*. Trzecia prośba jest trochę trudniejsza: zrób balona z gumy i przestań ryczeć, zanim zaczniesz czytać dalej.

Nie wiem, czy mam prawo Cię prosić, żebyś zrobiła coś, do czego sama nigdy się nie zabrałam. Nie musisz zajmować się tym teraz, lecz kiedy zechcesz. Zbuduj dla mnie most, Jess. Wiem, że zostawiam wszystko w dobrych rękach. Bądź szczęśliwa, droga przyjaciółko.

Czas na mnie, Jess. Moja matka na mnie czeka.

Z miłością i czułością, Sophie.

Oszołomiona Jessie jeszcze raz przeczytała list. *Laissez les bons temps rouler*. Niech nastaną dobre czasy. Wbrew sobie Jessie uniosła kąciki ust w uśmiechu, a potem wydmuchała największego balona w swoim życiu.

- To dla ciebie, Sophie - wyszeptala ścierając lepka gumę z brody. Włożyła kluczyk do stacyjki. Już miała ruszyć, ale zgasiła silnik i pobiegła do domu z piaskowca.

- Pani Fisher, czy może mi pani wyświadczyć przysługę? Gdyby przyjechał ten młody człowiek, którego pani już poznała, proszę mu powiedzieć, że pojechałam do Nowego Orleanu. Jeśli chce się ze mną ożenić, niech mnie tam odnajdzie.

Po drodze Jessie zatrzymała się na poczcie. Kupiła dużą kopertę, włożyła do niej torebkę Sophie i notatki Arthura Mendenaresa, zaadresowała na dom w Atlancie i napisała dużymi literami: ZATRZYMAĆ DLA JESSIE ROLAND.

Zgodnie z ostatnią wolą Sophie służba miała pracować w domu do końca roku, chyba że Jessie wyda inne dyspozycje.

Jadąc samochodem włączyła radio na cały regulator. Wciąż żuła gumę, która straciła już smak.

- Zobaczysz, Sophie Ashwood, zbuduję ci taki most, że aż pospadają ci skarpetki, jeśli tam jakieś w ogóle nosisz. Obiecuję to zrobić - wyszeptwała.

Potem wydmuchała balona wielkości grejpfruta.

Laissez les bons temps rouler, Sophie Ashwood.

W duszny, parny poniedziałkowy poranek Jessie Roland z zupełnie niewłaściwych powodów wyszła za Tannera Kingsleya.

Pięciominutowa ceremonia ślubna odbyła się w przepięknym ogrodzie domu, który przedtem stanowił własność Sophie Ashwood. Panna młoda miała na sobie popołudniową sukienkę w kolorze tęczy i krótki biały welon.

Przez cały czas trwania krótkiej ceremonii żuła gumę balonową. Jeśli nawet wywołało to zdziwienie udzielającego ślubu sędziego albo pana młodego, żaden z nich o tym nie wspomniał.

Jessie wyciągnęła się na leżaku i spojrzała na męża.

- Chcę ci podziękować, że towarzyszyłeś mi w...

- Hej, w porządku, naprawdę dobrze się bawiłem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Zrobiliśmy wszystko, czego chciała twoja przyjaciółka. To było miłe, choć smutne. Będziesz miała co wspominać i z czasem przestaniesz mieć żal do Sophie, że cię oszukała. To właśnie czujesz, choć może nie zdajesz sobie z tego sprawy. Sophie nie oszukała ciebie, oszukała samą siebie. Trzeba odwagi, by żyć dalej. Nasz świat nie jest doskonały, ludzie też nie są doskonali, a w końcu wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Mówię to we własnym imieniu.

- Wiem. Sophie kochała jazz i pożywne kreolskie jedzenie. Była realistką. Nigdy nikomu nie wygadała się, że jest bogata. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam zrozumieć, dlaczego chciała umrzeć. Życie jest tak cenne.

- Kto dziedziczy? Czy Sophie coś ci zostawiła?

- Ulubioną czarną torebkę od Chanel pełną balonowej gumy do żucia. Jestem pewna, że któregoś dnia wszystkiego się dowiemy. Wybrałeś ładne miejsce. Wolę małe domki od pokoi hotelowych.

- Czy to znaczy, że wreszcie zrobiłem coś dobrze?

Jessie uśmiechnęła się.

- Kiedy zamierzasz powiedzieć rodzicom?

- Zadzwoń do nich później. Chciałem, żebyś była przy mnie, gdy będę z nimi rozmawiał. Chcesz chłopca czy dziewczynkę?

- To bez znaczenia. A ty?

- Chcę tylko, by dziecko miało wszystkie paluszki u rączek i nóżek.

- Dobrze zrobiliśmy, prawda, Tanner?

- Myślę, że tak. Postaram się zostać takim człowiekiem, jakim chcesz, żebym był. Z pewnością nie zawsze mi się to uda. Tobie pewnie też nie będzie łatwo. Szturchnij mnie, jeśli zrobię coś nie tak. Ja też ci to obiecuję. Żadne z nas nie jest doskonałe, Jess. Nie mamy żadnych gwarancji, ale potrafię sobie z tym poradzić, a ty?

- Chyba tak, po prostu chcę być szczęśliwa. Nie mogę tak jak Sophie znaleźć się na krawędzi z przekonaniem, że nic mi już nie pozostało. Pragnę, żebyśmy stanowili dobrą rodzinę. Moja wcale nie była szczęśliwa... i chyba twoja też nie. Mam nadzieję, że oboje pokochamy nasze dziecko i że ono będzie kochało nas. To wszystko.

Tanner przysunął swój leżak bliżej Jessie i wziął ją za rękę.

- Jesteś chyba równie zmęczona jak ja. Bawiliśmy się przez dwadzieścia cztery godziny, spaliśmy dziewięćdziesiąt minut i jechaliśmy tu bez postoju. Proponuję drzemkę pod parasolem i dziką, namiętą miłość po przebudzeniu.

- To wspaniały pomysł. - Jessie przymknęła oczy, a po chwili wymruczała:

- Czy ty mnie choć trochę kochasz, Tanner?

- Nie siedziałbym tu, gdyby było inaczej - wymamrotał sennie.

- Dlaczego tak ci trudno wymówić te słowa?

Jeśli była jakaś odpowiedź na to pytanie, Jessie jej nie usłyszała.

- Jesteśmy w domu, pani Kingsley.

- W tymczasowym domu, panie Kingsley. Pięć tygodni.

- Dobrze, pani Kingsley. Gotowa do starcia z lwicą? Miała pięć dni, by przyzwyczać się do myśli, że jestem żonaty. To powinno stłumić jej ryk. Cieszę się, że ustąpiłaś w sprawie przyjęcia.

- Zgodziłam się ze względu na twojego ojca. Rozumiem, że chce się pochwalić synową, żoną jedynego syna. Ważne jest dla niego, by na przyjęcie przybyli przyjaciele z Waszyngtonu. Cieszę się, że postanowił nie przechodzić na emeryturę.

- Lekarz go do tego zachęcił. Tata musi mieć zajęcie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będzie się oszczędzał... To był jeden z warunków. Gdybyś się uśmiechnęła, wyglądałabyś naprawdę pięknie.

Jessie pokazała zęby w okrutnym grymasie.

- Lepiej mieć to z głowy.

- Przyjechali - krzyknął do żony Angus Kingsley.

- Rzeczywiście - bąknęła Alexis Kingsley.

Senator przytulił Jessie i szepnął do ucha:

- Jestem taki szczęśliwy, moja droga. Irene twierdziła, że jesteście dla siebie stworzeni.

Głos Alexis był lodowaty, gdy powiedziała:

- Witam ponownie na ranchu Kingsleyów, Jessica.

- Będziemy tu mieszkać tylko przez jakiś czas, pani Kingsley. Dokładnie pięć tygodni.

Oczy Alexis zwęziły się.

- Co to ma znaczyć, Tanner?

- To znaczy, że zostaniemy tu pięć tygodni. Ani dnia dłużej. Jessie i ja chcemy mieszkać gdzieś indziej.

- To śmieszne, to marnotrawstwo pieniędzy. Przecież tutaj jest tyle miejsca. Na drugim piętrze już pracuje ekipa budowlana. Będziecie mieli własny apartament. Tylko kuchnia będzie wspólna.

- Przepraszam, mam, ale Jessie nie chce tu mieszkać. Właściwie ja też nie. Nie ma sensu, by dziecko płątało ci się pod nogami. To zostało już ustalone.

- Angus, porozmawiaj z synem. Nic nie jest ustalone.

Jessie wtrąciła się do rozmowy, zanim senator zdążył się odezwać.

- Nie, pani Kingsley, tak postanowiliśmy. Wiem, że pani mnie nie lubi, a ja nie mam zamiaru chodzić wokół pani na paluszkach. Nie mam też ochoty bez przerwy zwracać uwagi na to, co mówię. Chcę mieszkać w małym, przytulnym i

wygodnym domku. Nie lubię tej rezydencji. Przypomina mi muzeum. Nie czuję się tu dobrze. Przepraszam, jeśli panią obraziłam, ale gdybym miała możliwość wyboru, wolałabym przez te pięć tygodni mieszkać w hotelu. Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, pójdę wziąć prysznic.

- No wiecie, nigdy...

- To chyba starczy za odpowiedź, Alexis. Ta dziewczyna jest stanowcza. Właśnie dlatego ją zatrudniłem. Mówiłem ci, że nie będą chcieli tu mieszkać, ale czy ty mnie słuchałaś? Nie. A teraz to dziewczę ośmieszyło cię - zachichotał senator. - Muzeum! Nigdy nie wiedziałem, jak opisać to miejsce. Ma rację. Mój Boże, ma rację; Lepiej odwołaj ekipę budowlaną.

- Zamknij się, Angus!

Senator odwrócił się do żony tyłem.

- Bawi cię to, prawda? - warknęła Alexis. - Ona jest nikim, macica, którą twój syn miał nieszczęście zapłodnić. Pracowała w biurze za nędzną pensję. To nie potrwa długo. Tanner jest podrywaczem tak jak ty, Angus.

- Jesteś okropną kobietą, Alexis. Jak możesz znieść samą siebie?

- Ty uczyniłaś mnie tym, czym jestem. Zrobiłaś ze mnie pośmiewisko Corpus Christi. Zrobiłam, co mogłam, by móc chodzić z podniesioną głową. Wszyscy w tym hrabstwie wiedzą, że przez cały czas trwania naszego małżeństwa miałeś romans z Irene Marshall. Nigdy więcej nie mów mi, że jestem okropna. Jeśli to zrobisz, pożałujesz.

- Idź do diabła, Alexis.

- A jak sądzisz, gdzie byłam przez wszystkie te lata?

- Sama stworzyłaś sobie piekło. Ostrzegam cię, nie mieszaj do tego naszego syna. Odepchnęłaś już Resę i mnie. Tanner jest wszystkim, co ci pozostało. Jeśli wbijesz w niego pazury, przyjdzie dzień, że tego pożałujesz. Sprzedam ranczo Luke'owi Holtowi i zostaniesz na lodzie. Zrobię to, obiecuję.

- Przestań mi grozić, Angus. Nie będę tego tolerować.

- Jak już mówiłem, Alexis, idź do diabła.

- Gnojek!

- Suka!

Otwierając drzwi, by wpuścić teściową, Jessie patrzyła na nią nieufnie. Czekała.

- Tanner i ojciec są na dole. Zastanawiałam się, czy nie chciałabyś na dzisiejszy wieczór założyć moich pereł. Oczywiście, jeśli będą pasowały do stroju.

Jessie zamruwała. Czy to gałązka oliwna? Jeśli tak, to jako kobieta potrafiła to zrozumieć i wyjść inicjatywie na przeciw.

- Proszę mi powiedzieć, pani Kingsley, czy pasują do tej sukienki?

Alexis rzuciła krytycznym okiem na sukienkę, którą Jessie wybrała na wieczorne przyjęcie.

- Myślę, że tak. Jest śliczna. Prawie nie widać, że jesteś w ciąży.

Jessie uśmiechnęła się.

- Jestem gruba jak beczka.

- Pozwól, zapnę ci perły. Tak, wyglądają wspaniale. Może zejdziemy na dół i wypijemy drinka, zanim przyjadą goście?

- Ile będzie osób?

- Około stu pięćdziesięciu.

Oczy jej robły się, gdy dodała:

- Pomyśl o wszystkich prezentach, które przyjdzie ci otworzyć.

- Prezenty? Goście przyniosą prezenty?

- Oczywiście. Uwielbiam ładnie zapakowane upominki. Są owiane mgiełką tajemnicy, dopóki się ich nie otworzy. Dostaniecie pewnie z tuzin opiekaczy, ale to żadne zmartwienie, można je będzie później wymienić na coś innego. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, moja droga, chciałabym ci coś zasugerować.

- Oczywiście, proszę.

- Czy masz inne pantofle? Moim zdaniem buty, które masz na nogach nie pasują do reszty. Wydają się takie... obszerne, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ta sukienka wymaga czegoś uwodzicielskiego, z paseczkami, na wyższym, cieńszym obcasie. Te są zbyt... toporne. Buty są bardzo ważne. Jaki rozmiar nosisz?

- Sześć i pół.

- Taki jak ja. Poczekaj chwilę. Mam dokładnie to, czego potrzebujemy. Nigdy tych pantofli nie nosiłam.

Jessie zrzuciła swoje. Alexis miała rację, nie pasowały do sukienki, choć były wygodne.

Alexis wróciła wymachując parą atlasowych pantofelek bez pięt.

– Jak ci się podobają?

– Pewnie skręcę sobie w nich kark.

– Przez większość wieczoru będziesz siedziała. Później możesz je zdjąć, jeśli okażą się niewygodne. Doskonale! Wyglądasz oszałamiająco!

– Och... dziękuję. Pani też wygląda... – Jessie szukała odpowiedniego słowa – elegancko.

Alexis uśmiechnęła się.

– Jesteśmy towarzystwem wzajemnej adoracji, prawda? Chodź, już czas zejść na dół. Uważaj, by suknią nie zaczepić o obcas.

U góry schodów Alexis krzyknęła:

– Panowie! Panowie! Pozwólcie, że przedstawię wam młodą panią Kingsley. Czyż nie wygląda oszałamiająco? Dygnij, Jessie – szepnęła jej do ucha.

Jessie uśmiechnęła się zakłopotana i schyliła głowę, by złożyć ukłon. Poczuli na plecach rękę Alexis. Nagle straciła oparcie dla nóg i spadła ze schodów.

– Dobry Boże! Angus, Tanner, zadzwonić po karetkę! Sprowadźcie lekarza! Nie dotykaj jej, możesz zrobić krzywdę – krzyczała Alexis zbiegając ze schodów.

– Jessie, nie ruszaj się. Tatuś dzwoni po karetkę. Wszystko będzie dobrze. Po prostu się nie ruszaj, kochanie. Mamo, co się, do diabła, stało? Byłaś przy niej.

– Spadła. Nie powinnam była dawać jej tych pantofli. Ale doskonale pasowały do sukienki. Pewnie potknęła się o dywan. Przyniosę koc. Trzeba ją przykryć, by nie doznała szoku pourazowego.

– Jessie, popatrz na mnie. Weź mnie za rękę. Jezu, tato, zobacz, jaka jest błada. Nic jej nie będzie, prawda?

– Oczywiście, synu. Jessie to silna dziewczyna. Dokąd poszła matka?

– Po koc. Mówiła coś o tym, że Jessie może dostać szoku pourazowego. Jak długo trzeba czekać na karetkę?

– Około dziesięciu minut. Może mniej, może więcej. Nie wiem.

– Czy nie powinniśmy czegoś zrobić?

– Uspokajaj ją. Boli cię coś, Jessie?

– Jezu, oczy uciekają jej w tył głowy. Co to znaczy?

- Synu, nie jestem lekarzem. Wiem tylko, że powinna być przytomna. Mów do niej. Pójdę zobaczyć, co zatrzymało matkę.

- Jessie, kochanie, wszystko będzie dobrze, obiecuję. Nic nie mów. Po prostu mrugnij raz na znak, że rozumiesz, co mówię. Możesz mieć wstrząs mózgu, dlatego musisz być przytomna.

Jessie mrugnęła.

- Czy coś cię boli?

Jessie kilka razy opuściła powieki.

- Słyszysz sygnał karetki, kochanie. Nawet się nie obejrzysz, a przyjdiesz do siebie. Pojedziemy samochodem za karetką. Wszystko będzie dobrze, Jessie. Obiecuję. Wiem, że chcesz coś powiedzieć, ale to może poczekać.

Zajechał ambulans.

- Będziemy jechać tuż za tobą, kochanie - krzyknął jeszcze Tanner.

- Ona chce coś powiedzieć - zwrócił uwagę sanitariusz.

- Wiem, że martwi się o dziecko - zwrócił się do niego Tanner. - Słucham, kochanie... o co chodzi? - odezwał się do Jessie.

- Ona... mnie zepchnęła.

Drzwi karetki zamknęły się z trzaskiem. Tanner stał nieruchomo jak rążony gromem, z szeroko otwartymi oczami. Teraz on był w szoku. Angus Kingsley ścisnął go kurczowo za rękę.

- Wejdz do domu, tato. Ja pojadę do szpitala. Jessie majaczy. Widziałem, jak stały u szczytu schodów. Ty też. Nikt jej nie zrzucił. Spozstrzeglibyśmy to. Uspokój się. Musisz jakoś przebrnąć przez to przyjęcie. Jessie jest młoda i zdrowa. Nic jej nie będzie.

Gdy senator się odezwał, jego głos brzmiał ostro i matowo.

- Może to jest odpowiednia chwila, by ci powiedzieć, że sprawdziłem wszystkie przedsiębiorstwa taksówkowe w mieście po włamaniu do domu Irene... tak jak sugerowałaś. Z początku nie miałem zamiaru tego robić, bo wolałem nie wiedzieć. Potem zmieniłem zdanie. W Waszyngtonie mam kopię strony z rejestru kierowcy. To była twoja matka. Poza tym w szafie w przedpokoju stoi para wysokich butów, które należały do Irene. Kierowca bardzo dokładnie opisał Alexis. Nie lekceważ tego, co właśnie powiedziała twoja żona.

- Porozmawiamy o tym później. Muszę jechać do szpitala.

- Jessie nigdy nie kłamie, Tanner.

- Wiem.

Angus Kingsley, przybity, poszedł do domu. Jego żona stała w drzwiach z żółtym kocem w ręku.

- Zabiję cię za to, co zrobiłaś.

- Za to, że przyniosłam koc? Angus, masz przywidzenia od lekarstw, które bierzesz.

- A co powiesz o butach stojących w szafie w przedpokoju? Skąd by się tu wzięły, gdybyś nie zabrała ich z domu Irene? Odnalazłem kierowcę, który zawiózł cię do jej domu i z powrotem na lotnisko. Jesteś chora, Alexis. Postaram się, by zamknięto cię w domu dla obłąkanych.

Alexis zmrużyła oczy w wąskie szparki.

- Nigdy nie popełniam tego błędu, by mi znowu grozić, Angus. Słyszę nadjeżdżające samochody, widzę ich światła. Przybierz wyraz twarzy odpowiedni na przyjęcie. To rozkaz. Zapamiętaj sobie, że wiem, gdzie są pochowane twoje polityczne szkielety.

- Suka! - warknął Angus.

- Gnojek! - syknęła w odpowiedzi Alexis.

Tanner skrzywił się, patrząc na plastikowe filiżanki ustawione w szeregu na stole. Zapełniał petami już trzecią popielniczkę. Pełną po prostu odsuwał i brał czystą z innego stolika. Poczekalnia była pusta o tej późnej godzinie. Do tej pory powinien mieć już jakieś wiadomości. Nigdy w życiu nie był tak zrozpaczony. Nawet jeśli przeżyje sto lat, nie zapomni bladej, naznaczonej bólem twarzy żony i niewiarygodnych słów wypowiedzianych przed odjazdem do szpitala.

Usłyszał skrzypiący dźwięk, jaki wydają noszone przez lekarzy na sali operacyjnej ochraniacze, a potem zobaczył ubranego w zielony fartuch chirurga. Maską zwisała mu na piersi. Tanner skoczył na równe nogi.

- Jak ona się czuje?

- Pańska żona wyzdrowieje. Ale nie udało nam się uratować dziecka, chociaż zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. To był chłopiec.

- Jessie wie o dziecku?

- Tak. Nie mamy całkowitej pewności, ale pańska żona może mieć krótkotrwały zanik pamięci. To zdarza się czasami, gdy umysł nie potrafi poradzić sobie z tak traumatycznym przeżyciem. Zadzwoń do kolegi, by ją jutro obejrzał. Zamówiłem na noc prywatną pielęgniarkę. Będziemy starannie monitorować stan żony. Może pan wejść do niej na pięć minut, ale powinna jak najwięcej odpoczywać. Spadając skrzyła sobie ramię i ma pęknięte żebro, ale to się zagoi. Niech pan jej nie zdenerwuje. Proszę za mną.

- Jessie, to ja, Tanner. Nie śpisz, kochanie?

- Nie. Co się stało? Powiedzieli mi, że straciłam dziecko.

- Tak mi przykro, Jessie.

- Mnie też, Tanner. Gdzie ja jestem?

- W szpitalu.

- To wiem. Ale w jakim? W szpitalu Jerzego Waszyngtona?

- Nie, kochanie. Jesteś w lokalnym szpitalu tutaj, w Teksasie. Przyjechaliśmy do domu dwa dni temu. Dzisiaj odbywa się przyjęcie. Nie pamiętasz?

- Nie. Powiedzieli mi, że spadłam, ale przecież nie jestem niezdara. Jak to się stało?

- Nie jestem pewien. Słuchaj, kochanie, lekarz powiedział, że mogę z tobą zostać tylko pięć minut. Chca, żebyś teraz pospała. W nocy posiedzi z tobą pielęgniarka, a ja przyjdę jutro z samego rana. Przynieść ci coś?

- Tylko siebie. Czy ja wyzdrowieję, Tanner?

- Mniej więcej za tydzień będziesz jak nowa. Obiecuję ci to.

- Jak myślisz, czy Sophie zaopiekuje się naszym dzieckiem?

Tanner odchrząknął. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Jestem tego pewien, Jessie.

- Nic nie dzieje się bez przyczyny. Sophie zawsze tak mówiła. Będzie się nim opiekować. Tylko dzięki tej świadomości potrafię to znieść.

- Będziemy jeszcze mieli dzieci, Jessie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. Teraz zaśnij.

Tanner pochylił się, by pocałować żonę. Jego łza stoczyła się na policzek Jessie. Scałował ją i wyszeptał:

- Śpij dobrze.

CZEŚĆ TRZECIA

Scandalous

Corpus Christi, Teksas

Czerwiec 1981

Uwagę Jessie zwróciło głośne brzęczenie muchy, która wpadła pomiędzy łopatkę wentylatora. Popatrzyła uważnie, ale nie dostrzegła owada krążącego w środku. Jeżeli podniosę osłonę, może odleci, pomyślała. Jednak w tym celu musiałaby wstać z krzesła i zmusić się do wysiłku. Dużo przyjemniej było po prostu siedzieć wdychając zapach świeżo skoszonej trawy. Uwielbiała odgłos kosiarki, tak samo jak wirującego wentylatora. Spojrzała przez okno na jasne letnie słońce. Rój tłustych żółtych trzmieli krążył nad rabatą kwiatową. To wszystko było takie normalne. Idealny letni dzień. Dzień, kiedy czuło się, jak wspaniale jest żyć. W taki dzień można być wdzięcznym losowi za wszystko, co dobre.

Była prawie ósma rano i na ranczu praca szła pełną parą. O ósmej, po trzech godzinach pracy, Tanner przyjdzie na śniadanie.

Jessie rozejrzała się po pokoju, który dzielili z mężem. Był ładnie urządzony i wygodny, ale nie znosiła go. Nie znajdowało się w nim nic, co świadczyłoby o tym, że mieszka tu Jessie Roland Kingsley. To była jej wina. Za bardzo rozkleiła się po wypadku. Wszyscy twierdzili, że przechodzi załamanie nerwowe.

Czy kobiety, które straciły dziecko, zawsze cierpiały na depresję? Czy też lekarzom, którzy ordynowali im środki uspokajające, zależało, by utwierdzić je w tym przekonaniu? Popatrzyła na stosik opakowań lekarstw leżących na jej stoliku nocnym. Były tam pigułki nasenne i na przebudzenie, dla dodania energii i przeciwko depresji, na apetyt i na uspokojenie. Niebieskie, żółte, różowe, zielone i okrągłe czerwone, które przyprawiały ją o mdłości. Zamrugała, gdy mucha usiadła na buteleczce czerwonych pigulek.

Alexis wydzielała Jessie pigułki i pilnowała, by je połknęła. W końcu zabrakło jej cierpliwości, bo Jessie nie chciała brać tabletek. Tanner podstępem starał się zmusić żonę do ich zażywania – podawał pigułki w jedzeniu albo picciu.

Kiedy przed miesiącem zdała sobie sprawę, że przez ostatni rok żyła w stanie zamroczenia, znalazła sposób, by nie brać żadnych lekarstw. Codziennie wyjmowała pigułki z buteleczek, wrzucała do sedesu i spuszczała wodę. Niech Kingsleyowie myślą, co chcą. Psychicznie i fizycznie czuła się tak jak dawniej. Wciąż jednak nie wiedzieć czemu odgrywała rolę inwalidki. Każdego ranka, gdy na ranchu wszystko się uspokajało, gimnastykowała się przez godzinę w przebieiralni.

- Cześć, kochanie. Piękny dziś dzień, prawda? Może zejdiesz na śniadanie?

- A powinnam?

- Oczywiście. Wzięłaś pigułki?

- Zażyłam je z sokiem pomarańczowym, który mi zostawiłeś – skłamała Jessie.

- Myślę, że wyglądasz dużo lepiej. Lucille zrobiła rano naleśniki, a ja umieram z głodu.

- Tanner, kiedy się stąd wyniesiemy?

- Znowu zaczynasz? Przestań i zastanów się chwilę. Gdybyśmy mieszkali gdzie indziej, co by się z tobą stało bez pomocy mojej rodziny? Matka nie opuściła rancha od dnia, w którym wróciłaś ze szpitala. Bała się o ciebie. Wiem, że to do niej niepodobne, ale była naprawdę przejęta. I zaopiekowała się tobą. Nie pamiętasz, co działo się zaraz po powrocie. To był koszmar. Miałas skłonności samobójcze.

- Ja!?

- Ty. Śmierć Sophie i poronienie sprawiły, że znalazłaś się na progu obłądki. A teraz zanim się spostrzeżesz, będziesz zdrowa jak ryba. Matka jest tak zadowolona z twojego powrotu do zdrowia, że wzięła sobie kilka dni wolnego. Wyjechała dziś rano do Dallas, by zrobić zakupy w, jak je nazywa, „lepszych” sklepach. Potem jedzie do Waszyngtonu. Ojciec chce, by się pokazała na różnych uroczystościach. Muszę wiedzieć, czy poradzisz sobie sama.

- Tak, nic mi nie będzie - Jessie ucieszyła się w duchu. Całe trzy dni bez Alexis na karku! - Może nawet wybiorę się na spacer. Przyszły do mnie jakieś listy? A może ktoś dzwonił?

- Żadnej poczty. Nic nie wiem o telefonach. Pytałaś matkę?

- Nie. Zapytam ją jak wróci. Skoro, jak się zdaje, mój stan się poprawia, to oznacza, że się wyprowadzimy. Była mowa o sześciu tygodniach, pamiętasz, Tanner?

- Jessie, teraz nie czas, by o tym mówić. Zastanowimy się, gdy zupełnie wyzdrowiejesz.

- Chcę porozmawiać teraz. Nie lubię tego pokoju. Wolę mieć własną przestrzeń, własną kuchnię.

- Sama dokonałaś wyboru. Nie chciałaś schodzić na dół. Jadłaś posiłki w naszym pokoju. Musiałem cię błagać, żebyś zechciała wyjść na dwór. Jestem szczęśliwy widząc, jakie poczyniłaś postępy. Mackie mówił mi, że jeździłaś konno. To znakomicie, że czujesz się na siłach.

- Na miłość boską, to przez te pigułki. Nie będę ich więcej brała. Otepiają mnie. Nie chciałam schodzić na dół, bo przerażała mnie możliwość upadku ze schodów. Ale to należy do przeszłości. Czuję się już dobrze. Mam jasny umysł. Jestem silniejsza. Pracowałam nawet w ogrodzie. Chciałabym to robić we własnym domu. Chcę się kręcić po własnej kuchni. Czy nie możesz tego zrozumieć?

- Zajmiemy się sprawą przewodniczki, gdy lekarz orzeknie, że jesteś całkiem zdrowa.

- Czy ty masz romans, Tanner?

Tanner przestał jeść.

- Skąd, do diabła, przyszło ci to do głowy?

- Skoro nie sypiasz ze mną, to z kim sypiasz? Jesteś mężczyzną z temperamentem. Po minie poznaję, że masz coś na sumieniu.

- Odepchnęłaś mnie. Przepraszam cię, ale nie zabrzmi to dobrze niezależnie od tego, jak ci to powiem... Więc po prostu powiem. Próbowaliśmy się kochać, ale leżałaś na łóżku niczym kłoda. Kilka razy powiedziałaś... dokładnie cytuję twoje słowa: „Zrób, co masz zrobić i miejmy to z głowy”.

Jessie skuliła się. Jej mąż mówił prawdę.

- A więc miałaś romans?

- Nie chcę cię okłamywać, Jessie. Ale to nie był romans, chodziło tylko o seks. Bez znaczenia.

Jessie poczuła, że opuszczają ją siły, a jej świat rozpada się na kawałki.

- Gdybym ja to zrobiła, czy też nie miałoby znaczenia? - spytała drżącym głosem.

Tanner z brzękiem położył widelec na stole.

- Cholera! Musisz wszczynać kłótnię w twoim pierwszym naprawdę dobrym dniu? A czego się spodziewałaś?

- Spodziewałam się, że będziesz mi wierny. A ty traktujesz małżeństwo według zasady podwójnej moralności. Czy to była Łasica?

- Nie dam się wciągnąć w dyskusję na ten temat. Stało się. Minęło. Koniec pieśni. Pozwól sobie przypomnieć, że przez ostatnich kilka miesięcy nie byłaś dla mnie żoną.

Jej niedawno stworzony nowy świat rozpadał się dalej w rytmie ostrych słów męża.

- Nie wiem, czy potrafię ci wybaczyć. Może byłoby inaczej, gdybyśmy mieszkali sami, we własnym domu. Chcę się przenieść do takiego domu. Chcę mieć ogród. Chcę się czymś zająć. Potrzebuję tego. Gdzie są moje rzeczy? - spytała lodowatym głosem. Wstrząsała nią dreszcz.

- Nie należy nic robić bez zastanowienia. O jakich rzeczach mówisz?

- O tych, które przywozłam ze sobą gdy tu przyjechalśmy. Gdzie jest mój dżip?

- Wszystkie twoje rzeczy są chyba w starym pokoju Resy. Dżip stoi tam, gdzie powinien - w garażu. Muszę wracać do pracy. Zobaczmy się wieczorem. Co powiesz na kolację przy świecach i nastrojowej muzyce?

- Powiem, że chcesz mnie uwieść, by zmasać swoją winę. Nie interesuje mnie to. Przyznajesz się do niewierności, a teraz chcesz...właściwie nie wiem czego chcesz. Nie, dziękuję.

- Nie chciałaś tego dziecka tak jak i ja. Żeniąc się z tobą, zrobiłem, co należało. Chciałem dać dziecku nazwisko. Spójrz prawdzie w oczy, żadne z nas nie było gotowe do rodzicielstwa. Ty to wiesz i ja wiem. Oboje robiliśmy dobrą minę do złej gry. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że załamałaś się z powodu utraty dziecka. To śmierć Sophie sprawiła, że zaczęłaś kręcić się jak pies za własnym ogonem. Ale to przeszłość. Teraz sytuacja jest zupełnie inna.

- Nie mogę uwierzyć, że mówisz coś tak podiego. Kim jesteś, Tannerze Kingsley? - Słuchając okrutnych słów męża Jessie oddychała z trudem. Oczy napęłniły jej się łzami.

Tanner z twarzą wykrzywioną wściekłością ciężkim krokiem wyszedł z pokoju.

Choć Lucille dawno posprzątała po śniadaniu, Jessie wciąż siedziała przy stole. Gdy gospodyni po raz ostatni weszła do pokoju, Jessie spytała:

- Lucille, czy w ciągu ostatniego roku były do mnie jakieś telefony?
- Kilkakrotnie. Pani Kingsley zawsze rozmawiała z tym panem. Był dość uparty. Nie oddzworzyła pani do niego?
- Pamiętasz, jak się nazywał?
- Miał takie hiszpańskie albo włoskie nazwisko.
- Czy to był Arthur Mendenares?
- Tak, właśnie.
- Może zostawił numer?
- Raz. Zapisałam go i dałam pani Kingsley. Mam poszukać?
- Jeśli możesz. Lucille, nie wspominaj o tym pani Kingsley.
- Dobrze. Poszukam go od razu. Podać pani jeszcze kawy?
- Tak.
- Cieszę się, że czuje się pani lepiej.

Dwadzieścia minut później Lucille wróciła trzymając w ręku kawałek papieru. Jessie podziękowała jej i wróciła do swojego pokoju. Czy powinna zadzwonić stąd, czy pójść gdzieś indziej? Instynktownie przeczuwała, że najlepiej będzie zamówić osobistą rozmowę u telefonistki na koszt starego numeru telefonu Sophie w Atlancie. Dziesięć minut później rozmawiała z Arthurem Mendenaresem.

- Moja droga, jak to dobrze, że w końcu się odezwałaś. Mam nadzieję, że podróż dookoła świata spełniła wszystkie twoje nadzieje. Musisz mieć bardzo hojnego męża.

Jessie poczuła nagle łomotanie serca. Dlaczego matka Tannera tak bezczelnie kłamała?

- Nie byłam w podróży dookoła świata, panie Mendenares. Przebywałam tutaj, na ranczu. Spadłam ze schodów i poroniłam. Ostatni rok to tylko mgliste

wspomnienie. Rozumiem, że to moja teściowa powiedziała panu o podróży dookoła świata. Dlaczego chciał się pan ze mną skontaktować?

- Rozumiem. - Ton jego głosu wskazywał jednak wyraźnie, że nic nie zrozumiał. - Musimy się spotkać. Mam teczki pełne papierów do podpisania. Mogę przyjechać do Coorpus Christi jutro w południe. Spotkajmy się w biurze. Pamiętasz, gdzie to jest? Nie? Dobrze, zapisz sobie adres. Może lepiej by było skończyć na razie tę rozmowę. Dobrze się czujesz, Jessie?

- Tak, dziękuję, panie Menddenares. Chciałabym, by istniało jakieś miejsce, do którego mogłabym się udać i mieć wrażenie, że odwiedzam Sophie. Potrzebuję takiego miejsca. Przez ostatnie dwa tygodnie dużo o niej myślałam. Dlaczego tym, którzy zostają, jest tak ciężko?

- Zdecyduj sama, Jessie. Sophie jest wszędzie tam, gdzie ty. Jeśli jakieś miejsce jest dla ciebie szczególnie ważne, wyznacz je, a jej dusza podaży za tobą. To nie są moje poglądy. Sophie tak mi powiedziała. Mówiła, że ogród w Nowym Orleanie był miejscem, które wybrała dla matki. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, moja droga?

- Nie. Muszę się zastanowić. Zobaczymy się jutro.

Przez resztę dnia Jessie przechadzała się po ranczu myśląc o tym, co powiedział jej Arthur Menddenares. Czowała się silna i sprawna fizycznie. Uświadomiła sobie, że nie zamierza już sypiać z niewiernym mężem.

Późnym popołudniem przeniosła swoje osobiste rzeczy do pokoju Resy. O wpół do piątej odszukała pracownika rancza i poprosiła o zainstalowanie w drzwiach zasuw. Nie miała zamiaru ryzykować, korzystając tylko z błyszczącego mosiężnego zamka. Z pewnością ktoś miał do niego klucz. O piątej wyrzuciła cały zapas pigulek do toalety i spuściła wodę, która zabarwiła się wszystkimi kolorami tęczy. Puste fiołki trafiły do kosza na śmieci. O wpół do szóstej siedziała w oranżerii na wiklinowym krześle i szkicowała.

Z całego rancza Jessie czuła się dobrze tylko w oranżerii. Przeszklone ściany o dużych, lekko przydymionych szybach wpuszczały do środka promienie słoneczne, które docierały do każdego zakamarka długiego, wąskiego pomieszczenia, ale nie oślepiały. Dzięki Lucille, która miała dobrą rękę, rośliny rosnące w czarnej, żyznej ziemi były bujne, o zdrowych, szmaragdowych liściach. Jessie bardzo lubiła perkalowe pokrowce na poduszki o żywym, kwiatowym desenie. Resa powiedziała kiedyś, że sama je zrobiła, bo też lubiła

tu przesiadywać, nawet nocami. Zajmowała się wtedy liczeniem gwiazd. O ile Jessie wiedziała, ani Tanner, ani jego matka nie przychodzili do oranżerii, by spoglądać na nocne niebo.

Usłyszała kroki Tannera na długo przedtem, zanim go zobaczyła. Gdy wszedł, poczuła ucisk w żołądku.

- Nie wrócę na kolację. W ogóle nie wiem, o której wrócę. Przeniosłem twoje rzeczy z powrotem do naszego pokoju.

Jessie wcisnęła się głębiej w poduszki fotela. Patrzyła na męża starając się ocenić, w jakim jest nastroju. Jego głos brzmiał przyjaźnie, ale gniew odbijający się na twarzy zadawał kłam głosowi.

- Chciałabym kupić sobie psa - powiedziała cicho Jessie.

- To wykluczone. Zarówno ja, jak i matka mamy alergię na zwierzęta. Przykro mi. Otwierasz usta tylko po to, by powiedzieć, że czegoś chcesz. Dlaczego, Jessie?

- To ja chciałabym wiedzieć, dlaczego twoja matka powiedziała panu Mendenaresowi, że zabrałaś mnie w podróż dookoła świata. Nie miała prawa kłamać mojemu adwokatowi. Mam okropne przeczucie, że ty i matka kombinujecie coś za moimi plecami. Wydaje mi się, że powinniśmy złożyć pozew rozwodowy. Pobraliśmy się tylko po to, by dać dziecku nazwisko. Skoro nie ma dziecka, nie ma sensu być dalej razem. Nie zamierzam spędzić reszty życia z niewiernym mężem i teściową, która mnie nienawidzi i rozpowszechnia kłamstwa na mój temat.

Tanner zsunął stetsona jeszcze bardziej na tył głowy.

- Oto Jessie, którą znam i rozumiem - powiedział rozciągając samogłoski.

- W rodzinie Kingsleyów nie uznajemy rozwodów. Moja matka chciała ci pomóc, bo nie byłaś w stanie rozmawiać z prawnikami. Przez pierwszy miesiąc nie potrafiłaś nawet, sama się ubrać. Starala się tylko ci ulżyć. Tak, skłamała. Tak, wiedziałem o tym. Najwyraźniej rozmawiałaś z nim i wszystko wyjaśniłaś, więc nie ma sprawy, prawda?

- Naprawdę? - Jessie przedrzeźniała go, też rozciągając samogłoski. - A jak nazywa się dokument, który uzyskał twój ojciec, by ożenić się z twoją matką? Nienawidzę kłamców bardziej niż cegokolwiek na świecie.

Nie zdążyła uniknąć nadciągającego ciosu. Siła uderzenia sprawiła, że jej głowa odskoczyła do tyłu. Oszołomiona tym, co zrobił mąż, Jessie skuliła się głębiej w poduszkach.

- To się nazywa unieważnienie małżeństwa - powiedział Tanner ostrym tonem i wyszedł z oranżerii.

Jessie długo siedziała wpatrując się w szkic, który trzymała w ręku. Choć bardzo się starała, nie mogła pohamować łez. Nigdy, nawet w najgorszych rojeniach nie przyszło jej do głowy, że mężczyzna, którego poślubiła, mógłby ją uderzyć. A przecież zadawała mu tylko pytania - do czego miała wszelkie prawo. Każdy czyn wywołuje jakąś reakcję. Tanner sam jej powiedział, że Irene rozwiodła się z ojcem. Resa to potwierdziła. Szanujący się mężczyzna nigdy nie podnosi ręki na kobietę, bez względu na to, co się między nimi wydarzyło.

Zraniona, zła i upokorzona, Jessie poszła na górę do swojego pokoju, by się przebrać. Później przeniesie wszystko z powrotem do starego pokoju Resy. Teraz pojedzie na konną przejażdżkę. Chciała poczuć wiatr na twarzy, chciała poczuć się wolna.

W stajni przeszła wzdłuż rzędu boksów zastanawiając się, którego konia wziąć. Przy pomocy chłopca stajennego wybrała w końcu klacz Sunny.

- Niech pani jej pozwoli robić, co będzie chciała, a pójdzie ładnie do przodu. Z początku może trochę brykać, bo przez kilka dni nikt na niej nie jeździł. Lubi, jak jeździec podśpiewuje. Proszę wziąć kilka kostek cukru i jabłko, a zrobi wszystko, co pani zechce. Boi się tylko psów, ale w okolicy nie ma żadnych, nie będzie więc pani z nią miała najmniejszych problemów.

Sunny wybiegła ze stajni wolnym galopem, z rozdętymi chrapami, zadowolona z perspektywy przejażdżki.

- Spokojnie, koniku, spokojnie. Już dawno na tobie nie jeździłam, więc uspokój się. Wiem, że będę tego żałowała, ale Tulipan jest zbyt opanowana, jak na mój dzisiejszy nastrój. Jutro pewnie nie będę mogła chodzić, nie mówiąc już o siedzeniu, więc zacznijmy spokojnie.

Już dawno nie czułam się tak dobrze, pomyślała Jessie.

Włosy rozwiewał jej wiatr, a twarz była zarumieniona. Zaczęła śpiewać „Yankee Doodle Dandy”, bo w tej chwili tylko ta piosenka przyszła jej do głowy. Sunny uspokoiła się i szła zgrabnie przez pola. Dwukrotnie Jessie pochyliła się, by dać jej kostkę cukru. Zapadał zmrok i trudno było coś zobaczyć.

Usłyszała niskie, groźne warczenie, gdy żółta sylwetka przemknęła obok konia. Sunny stanęła dęba. Przerażona i zdezorientowana Jessie spadła na ziemię. Usłyszała raczej niż zobaczyła, jak Sunny w popłochu ucieka przez pola. Czy coś sobie złamała? Poruszyła się i skrzywiła z bólu. Nagle na szyi poczuła coś ciepłego.

- O, a kim ty jesteś? Boże, jakie piękne zwierzę - powiedziała Jessie, siadając z trudnością. Płowożółty pies pozwolił się wytargać za uszy i podrapać po brzuchu. Słyszając z tyłu jakiś dźwięk odwróciła się i zobaczyła dubeltówkę wymierzoną prosto w swoje serce. Spojrzała ku górze. Ujrzała najwyższego, ale i najbardziej rozgniewanego mężczyznę, jakiego w życiu spotkała.

- Nie umie pani czytać? Nie widziała pani rozwieszonych napisów? To jest własność prywatna, wtargnęła pani na mój teren.

- Nie musi pan wrzeszczeć, nie mam kłopotów ze słuchem. Pana cholerny pies przestraszył mojego konia. Widzi pan tu gdzieś konia? Nie, prawda? Więc może mi pan powie, jak wrócę do domu? A może myśli pan, że rozłożę skrzydła i pofrunę, co? Niech pan odłoży broń. Nigdy nie powinno się w kogoś celować, chyba, że jest się gotowym użyć broni. To pierwsza zasada, jaką przyswoiłam sobie podczas nauki strzelania. Byłam najlepsza w grupie, gdyby to pana interesowało.

- Nie interesuje mnie. Zabieraj się stąd, kobieto!

- Robi się ciemno. Jeździłam przez dwie godziny. Skąd może pan wiedzieć, czy sobie czegoś nie złamałam? Mogę pana pozwać do sądu, bo pański pies przestraszył mojego konia. Nawiasem mówiąc, podoba mi się ten pies. Ma lepsze maniery niż jego pan. No więc jak, pomoże mi pan wstać?

Długie ramię sięgnęło w jej stronę. Stopy Jessie na chwilę oderwały się od ziemi, zanim stanęła obok mężczyzny z dubeltówką.

- Najwyraźniej mieszka pan w tej okolicy. Pożycz mi pan konia? Zwróć go rano. Jeśli nie ma pan wolnego wierzchowca, proszę wskazać mi tylko, gdzie jest droga.

Nogi Jessie po raz drugi w ciągu kilku minut oderwały się od ziemi. W mgnieniu oka znalazła się na koniu, za mężczyzną.

- Niech się pani trzyma - powiedział.

- Czy zawsze jest pan taki podły, czy po prostu nienawidzi pan kobiet?

Nie spodziewała się odpowiedzi i wcale się nie zdziwiła, gdy jej nie usłyszała.

Piętnaście minut później najwyższy, najbardziej wredny i rozzłoszczony mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała, zatrzymał konia i zsunął się na ziemię. Wyciągnął rękę, by pomóc jej zsiąść. Stojąc obok niego poczuła się jak karlica. Pies skomlał u jej stóp.

- Czy nigdy nie głaszcze pan tego psa? Wygląda na to, że wprost umiera z pragnienia, by ktoś zwrócił na niego uwagę.

- Mój pies to nie pani sprawa. Niech mi pani powie, do kogo mam zadzwonić, by przyjechali panią odebrać.

Przyjechali odebrać? Tak się chyba mówi w Teksasie, pomyślała Jessie.

- Nie ma do kogo zadzwonić. Muszę sama wrócić do domu. A gdzie się podziała ta teksańska gościnność, o której tyle słyszałam?

- To mit - odpowiedział mężczyzna szorstko. - Wyprowadzę furgonetkę i odwiozę panią do domu.

- Czy pan zwariował? Nie zamierzam jechać z panem furgonetką. Nie znam pana. Skąd mogę wiedzieć, czy nie jest pan jakimś zboczeńcem polującym na kobiety, które rzekomo wtargnęły na pana teren? Nie widziałam żadnych napisów. Gdzie jest droga?

- Czy pani nigdy nie przestaje kłapać dziobem?

Jessie zacisnęła usta. Ciężkim krokiem ruszyła przed siebie nie wiedząc, czy idzie w dobrym kierunku.

- Wracaj tu, kobieto, i pakuj tyłek do furgonetki.

- Niech mi pan nie mówi, co mam zrobić. Mam powyżej uszu ludzi, którzy mi rozkazują. Najpierw całymi miesiącami szprycują mnie lekami, potem opowiadają kłamstwa mojemu adwokatowi, a w końcu dowiaduję się, że mąż mnie zdradza. Wiele dziś przesłama, proszę pana. Pański pies był jedyną istotą, która zachowała się w stosunku do mnie przyzwoicie. Kocham tego psa. Dlaczego pan go nie głaszcze? A może to jest suczka? Jest pan zbyt arogancki, by mieć sukę.

Nagle kolana Jessie odmówiły posłuszeństwa. Upadła na ziemię. W chwilę później już płakała; gwałtowny szloch wstrząsał jej ciałem. Pies przypadł do niej, liżąc twarz, opierając łapy na ramionach. Przytuliła go tak mocno, że aż zapiszczał.

W przytłumionym, żółtawym świetle przed wejściem do stajni Luke Holt z przerażeniem zobaczył, że oczy Jessie uciekają w głąb czaszki. Krzyknęła: „Jelly! Jelly! Jelly” i straciła przytomność, ale nie wypuszczała psa z ramion.

Luke musiał użyć całej siły, by rozewrzeć ramiona i uwolnić psa.

- Nie wiem, o co tu chodzi, Buzz, ale z pewnością coś w tym jest. Wszystko w porządku, piesku, uspokój się.

Pies siedział na zadzie, gdy Luke niósł Jessie do domu.

- Okay, damy jej się napić czegoś mocnego i zabierzemy tam, skąd przybyła. Chyba wiem, skąd.

- Nic z tego. Nie będzie mnie pan poił alkoholem. Co mi się stało? Dlaczego mnie pan niesie? Proszę mnie puścić. Powiedziałam, niech mnie pan puści.

Luke rzucił Jessie na sofę. Buzz zaskomlał, a potem warknął.

- Straciła pani przytomność i o mało nie udusiła mojego psa. Napędziła nam pani niezłego stracha. Chce pani chleba z galaretką?

Jessie z trudnością usiadła.

- Po co mi chleb z galaretką?

- Bo darła się pani jak szalona: galaretką, galaretką, a potem zemdląła. Myślałem, że może jest pani chora na cukrzycę.

Jessie pomasowała skronie.

- To dziwne. Zwykle to mi się zdarza we śnie. Przepraszam. Naprawdę mi przykro. Nie zauważyłam ustawionych przez pana znaków. Chyba nasza znajomość źle się rozpoczęła. Z tego powodu też mi przykro. - Wyciągnęła rękę.

- Jestem Jessie Kingsley.

- Ty jesteś żoną Tannera! Niech mnie diabli! Słyszałem, że się ożenił, a potem, że panna młoda miała załamanie nerwowe.

Cmoknął językiem i pokręcił głową dając poznać, co o tym myśli.

- Źle słyszałeś - przerwała mu zirytowana Jessie - Nie miałam załamania nerwowego. Ludzie tak mówią, ale to kłamstwo. Poza tym nie zamierzam dłużej być żoną Tannera. Tak czy inaczej, naprawdę chciałabym wrócić do domu.

- Jeśli się nie spieszysz, zostań na kolacji. Przydałoby ci się trochę dobrego, pożywnego jedzenia. Mocny trunek też by nie zaszkodził.

Jessie spojrzała na niego, a potem na psa przyjaźnie machającego ogonem. Nie miała do czego wracać. Pomimo zdenerwowania poczuła wilczy głód.

- Nie chciałabym się narzucać.

- Zgodnie z tym, co powiedziałaś, nasza znajomość źle się rozpoczęła. Mam powiedzieć kucharce, że zostaniesz? - spytał zdecydowanym tonem.

- Zostanę, jeśli nie sprawię zbyt dużego kłopotu. Tak naprawdę, to mam w tej chwili ochotę na bardzo zimne piwo.

- Nie sądziłem, że kobiety jeszcze pijają piwo. Myślałem, że wolą wymyślne koktajle przybrane parasoleczkami.

- Może inne kobiety, ale nie ja. Wolałabym się napić prosto z butelki. Moja przyjaciółka Sophie nauczyła mnie tak pić piwo. Szczególnie w gorący letni dzień.

Na wzmiankę o Sophie oczy Jessie napełniły się łzami. Nie pomogło mruganie.

- Pójdę powiedzieć kucharce, że będziemy mieli gościa na kolacji. Przyniosę piwo i porozmawiamy o Sophie. Ona jest przyczyną twoich łez, prawda?

Jessie skinęła głową. Dlaczego nagle zrobił się taki miły, choć wcześniej był taki okropny? Zgodnie z tym, co powiedział Tanner, Luke Holt to największy wróg Kingsleyów. Czy to jest jakaś sztuczka, by zyskać jej zaufanie i się na nich odegrać?

Nic ją to nie obchodziło. Musiała porozmawiać o Sophie. Rękawem bluzki otarła łzy. Pies obserwował ją machając ogonem. Wyciągnęła rękę. Buzz przetoczył się na grzbiet wystawiając brzuch do pogłaskania. Jessie uśmiechnęła się. Był pięknym zwierzęciem; nie mogła się oprzeć wrażeniu, że już kiedyś takiego widziała.

Luke wrócił niosąc w jednym ręku dwie butelki piwa, a w drugim talerz krakersów.

- To świństwo, czym posypane są z wierzchu krakersy, jest tak ostre, że może ci wypalić dziury w zębach, więc uważaj. Potem zjemy chili. Za co pijemy? - spytał, wyciągając swoją butelkę w jej kierunku.

- Za pokój między nami, za tego pięknego psa i...i za Sophie - powiedziała Jessie, uderzając butelką o jego butelkę.

- Dobra. Za pokój między nami, za Buzza i za Sophie - powtórzył Luke. Oczy Jessie znowu napełniły się łzami. Zamrużyła powiekami, by je powstrzymać. - Jestem dobrym słuchaczem - poinformował ją Luke.

- Kingsleyowie cię nie lubią - wypaliła Jessie. - Gdy byłam tu po raz pierwszy, Tanner ostrzegł mnie, bym nie ważyła się postawić stopy na twojej ziemi. Powiedział, że najpierw strzelasz, a pytania zadajesz później.

- To tylko pół prawdy - powiedział Luke przeciągając samogłoski. - Do ciebie nic nie mam.

- Podoba mi się twój pies. Wiesz, często rysuję psa. Zawsze tego samego. Wszystkie moje szkice przypominają Buzza, ale jest w nich więcej szczegółów. Hola, nie żartowałeś, jeśli chodzi o krakersy - Jessie wypila piwo do końca dwoma dużymi łykami, a lzy spływały jej po policzkach. Z trudem łapała oddech, wachlując usta ręką.

- Mleko! Consuelo, przynieś mleko - zawołał Luke.

Pulchna, niska kobieta z różowymi policzkami i ogromnym siwym warkoczem wtoczyła się do pokoju, niosąc szklankę mleka i dwie butelki piwa. W jej szeroko uśmiechniętych ustach błyskały dwa złote zęby.

- Wypłucz sobie usta, zanim przełkniesz - polecił Luke.

Jessie tak zrobiła.

- Nigdy więcej mi tego nie podawaj. Czy to wypala wnętrzności?

Luke roześmiał się.

Jessie sięgnęła po drugie piwo.

- Nie ululasz mi się, prawda? Wciąż wyglądasz na trochę roztrzęsioną. Jaka jest twoja górna granica?

- Cztery. Sophie może... Sophie mogła wypić sześć piw i nie musiała biec do łazienki.

- Nie!

- Tak!

Luke rozsiadł się wygodnie na krześle i przyjrzał uważnie siedzącej przed nim młodej kobiecie.

- Opowiedz mi o Sophie - powiedział.

Jessie spojrzała w oczy Luke'a. Ujrzała w nich dobroć i łagodność. Wróg, czy przyjaciel... musiała z kimś porozmawiać o Sophie.

- Ona umarła. To znaczy... nie umarła tak po prostu. Ona... ona odebrała sobie życie. Jej matka zginęła w strasznym wypadku samochodowym na krótko przedtem... Myślałam, że do pewnego stopnia pogodziła się z tym.

Przynajmniej tak to wyglądało. Pani Ashwood była trzecią najbogatszą kobietą świata. Sophie odziedziczyła po niej wszystko. Zakochała się w facecie, który był hochsztaplerem. Sophie odkryła, że polował na nią dla pieniędzy. Nie powiedziała mu, kim jest, ale jakoś się o tym dowiedział. Była zdruzgotana, więc odwołała ślub. A potem... Jej ciało zostało poddane kremacji. Dowiedziałam się o wszystkim już po fakcie. Nie ma miejsca... no wiesz, by ją odwiedzić, zmówić modlitwę. Ludziom jest to potrzebne. Pan Mendenares powiedział, że jej duch przebywa w ogrodzie domu w Nowym Orleanie. Chyba niedługo tam pojedę, by sprawdzić, czy mówił prawdę. Czy ty wierzysz w duchy?

Skuliła się, czekając na odpowiedź gospodarza. Boże wszechmogący, zwierzyła się ze wszystkiego kompletnie nieznanemu człowiekowi, który był podobno największym wrogiem jej męża.

Luke Holt niespokojnie poruszył się na krześle. Co, na Boga, ma odpowiedzieć wzburzonej młodej kobiecie siedzącej naprzeciwko niego? Leżący u jego stóp Buzz zaskomlał.

- Nie wiem, czy wierzę. Nigdy osobiście żadnego nie spotkałem. Moja matka za to wierzyła. Nie potrafię udzielić zdecydowanej odpowiedzi, ale jestem otwarty na różne opcje. Rozumiem, co masz na myśli mówiąc o miejscu. Takie miejsce niesie pociechę.

Do pokoju weszła Consuela niosąc tacę i dwie kolejne oszronione butelki piwa. Jessie sięgnęła po jedną z nich jednocześnie z Lukiem. Gdy ich ręce się zetknęły, wzdłuż ramienia dziewczyny przebiegł prąd. Ku rozbawieniu Luke'a szarpnęła rękę do tyłu.

- Sophie była moja przyjaciółką od dzieciństwa. To najinteligentniejsza osoba, jaką znałam. Potrafiła załatwić wszystko, legalnie czy nie, i rozwiązać każdy problem. Znała wielu ludzi. Umiała zarzucać sieci, jak to określała. Była w stanie naprawić wszystko z wyjątkiem własnego życia.

- To brzmi tak, jakby była świętą. Trudno uwierzyć, że ktoś może być aż tak doskonały. To jest słowo, którym ją określasz, prawda? Czy kiedykolwiek choć przez chwilę pomyślałaś, że twoja przyjaciółka sprawowała kontrolę nad innymi?

Jessie pociągnęła nosem.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś tego na odczepne. Masz rację, ona jest... była święta. Mam nadzieję, że została aniołem... pięknym aniołem. Była dla mnie najważniejszą osobą na świecie i zawiodłam ją. Ona przez wszystkie te lata nigdy mnie nie zawiodła. Zawsze mogłam na nią liczyć.

- Ani przez chwilę nie uwierzę w to, że mogłaś ją powstrzymać i myślę, że ty też w to nie wierzysz. Twoja przyjaciółka zrobiłaby to, co zrobiła, bez względu na to, czy byłabyś przy niej, czy nie. Nie możesz obwiniać się za samobójstwo drugiej osoby.

- Pan Mendenares też tak powiedział. Prosił, żebyś mówiła mu Arthur.

- Kto to jest Arthur?

Jessie nie była pewna, czy się jednak nie upiła. Czuła się jak pijana i wiedziała, że za dużo mówi, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Arthur jest prawnikiem Sophie. On wszystkim zarządza. Tego jest naprawdę dużo. Kiedy będziemy jedli? Zaprosiłeś mnie na kolację, prawda?

- Słyszysz dzwonek? Pozwoli pani - powiedział Luke wyciągając rękę. - Kolację właśnie podano.

- Co będziemy jedli? Czy zawsze wiesz, co ci podadzą, czy wolisz niespodzianki? Kiedy człowiek sam gotuje, to zasiadając do stołu zawsze wie, co będzie jadł. Sophie była niczym wiatr w moich żaglach. Czy już ci o tym mówiłam? Pivo uderzyło mi chyba do głowy. Czy jestem... no wiesz, zalana? Nie wyglądasz na złego faceta ani na wroga. Z wyjątkiem tej dubeltówki. Naprawdę lubię twojego psa.

- Niewiele ci brakuje - powiedział Luke odwracając się, by nie dostrzegła jego szerokiego uśmiechu. - Ano, zobaczymy, co my tu mamy. Puree z ziemniaków, pieczona wołowina, sałatka, świeży groszek z marchewką, kukurydza, świeży chleb i pewnie placek z wiśniami na deser.

- To z pewnością dużo jedzenia - powiedziała Jessie, patrząc na stół zmrużonymi oczami. - Nie dawaj mi więcej piwa, dobrze?

- Dobrze.

- Co wieczór jadasz sam?

- Tak.

- A nie czujesz się samotny? Nawet jeśli je się tylko kanapkę, przyjemniej ją zjeść w czyimś towarzystwie. Sophie i ja zawsze jadałyśmy razem, kiedy

przebywała w mieście. Była architektem. Zdała wszystkie dziewięć części testu kwalifikacyjnego za pierwszym podejściem.

- Zadziwiające.

- Nie tylko zadziwiające. Cholernie zadziwiające. Sophie zdobyła dyplom *summa cum laude*. Uwielbiała przeklinać, by szokować ludzi.

Luke pracowicie żuł gumę, by Jessie nie zauważyła, że się uśmiecha.

- Z pewnością bardzo za nią tęsknisz.

Jessie dziobała jedzenie na talerzu.

- Gdybym tylko potrafiła ją zrozumieć, byłoby mi łatwiej sobie z tym porażić. Myślę, że nigdy nie będę w stanie tego pojąć. Ojej, nawet nie umyłam rak przed jedzeniem! Muszę wracać do domu. Czy to wino, czy mrożona herbata?

- Wino.

- Och, w takim razie wypiję.

- Najpierw powinnaś coś zjeść.

- Nie lubię krwistego mięsa. Bardzo rzadko jadam mięso. Zabijanie zwierząt jest okropne.

Luke odsunął swój talerz. Pochylił się nad stołem.

- Opowiedz mi o Jessie Kingsley. Mam po dziurki w nosie słuchania o Sophie - powiedział.

- To samo twierdził Tanner. Szkoda, panie Holt. Powiedziałaś, że jesteś dobrym słuchaczem, a to nieprawda. To nie twoja sprawa, kim jestem. Nie mogę o tym mówić wrogowi. Jestem po prostu Jessie, a Jessie to niepozorna i nudna osoba.

- Skąd pochodzisz?

Jessie upiła łyk wina.

- Stąd, stamtąd... skądkolwiek. Dlaczego pytasz?

- Z ciekawości.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, wiesz? Kim jest Luke Holt? - spytała przebiegle.

- Luke Holt jest po prostu ciężko pracującym ranczerem, którego narzeczona zmarła w wyniku śmiertelnej choroby jakiś czas temu.

- Gdzie twoja rodzina?

- Wyjechali. Mieszkam tu z Buzzem i prowadzę ranczo. Radzimy sobie całkiem dobrze. W przyszłym roku będzie inaczej, bo zamieszkają tu moi przyrodni bracia. Teraz jesteśmy tylko Buzz i ja.

- Nie lubisz Kingsleyów, prawda?

- Nie.

- Oni też cię nie lubią - powiedziała Jessie złośliwie. - Uważasz, że bardzo jestem pijana?

- Myślę, że właśnie przekroczyłaś linię pomiędzy podochoceniem a zalaniem. Nie robi ci się niedobrze, prawda?

- Boże, nie.

- Chwała Bogu.

- Powinieneś się ożenić. Przykro mi, że twoja narzeczona umarła. Człowiek nigdy nie umie pogodzić się ze śmiercią. Masz ładne oczy i uśmiech, gdy nie jesteś nachmurzony. Powinieneś częściej głaskać psa. Naprawdę go lubię. Jak myślisz, czy pozowałby dla mnie? Chciałabym go narysować.

- Pewnie tak, gdybyś dała mu przysmak, który uwielbia: ciasteczka Fig Newtons. Czy to znaczy, że tu wrócisz? Twoje towarzystwo byłoby mile widziane, ale sądzę, że Kingsleyom to się nie spodoba. Bądź ostrożna.

- Nie powinnam tu przychodzić. Nie mieścisz się w zakreślonych granicach. Moglibyśmy się spotkać gdzieś indziej.

- To pewnie też nie jest dobry pomysł. Zawiozę cię do domu. Napij się kawy, zanim wyjdziemy.

- To nie mój dom - prychnęła Jessie. - Po prostu w nim mieszkam Tymcza-so-wo. Nie powinnam opowiadać ci o sprawach osobistych. Wyjadę stąd.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Ludzie zawsze tak mówią, gdy nie wiedzą, co powiedzieć. Och, och, dlaczego pokój wiruje wokół mnie?

- Bo jesteś pijana. Wyjdźmy na świeże powietrze. Nie mogę cię zabrać do domu w takim stanie.

- Dlaczego nie? Nikogo tam nie ma. Pani Kinglsey wyjechała, a pan Kingsley jest w mieście i zabawia się z Łasicą. Ma z nią romans, ale nie chce się do tego przyznać. Wyniosłam się z naszego pokoju. Chyba nie powinnam ci tego wszystkiego mówić. Nie powtarzaj nikomu, dobrze?

- Obiecuję nie puścić pary z ust. Czy świat wciąż wiruje wokół ciebie? Może zawiózłbym cię lepiej do Resy?

- Resa się wyprowadziła. Ona jest bystra. Nie powiedziała nikomu, gdzie mieszka, więc Alexis nie może znowu spięprzyć jej życia. Tego też nikomu nie powtarzaj, dobrze?

- Obiecuję. Wsiadaj do furgonetki i zapnij pas. Wskakuj do tyłu, Buzz.

- Aha, zajęłam jego miejsce. Chodź, Buzz, możesz siedzieć u mnie na kolanach. Naprawdę go kocham, wiesz? Prosiłam o psa, ale Tanner powiedział, że on i jego matka mają alergię na zwierzęta. Kiedy się przeprowadzę, kupię sobie psa. Czy Buzz ma jakieś szczeniaki?

- Nie.

- Szkoda. Jeśli będzie miał, czy dasz mi jednego? Naprawdę będę go kochać. Obiecuję głaskać go po brzuszku i drapać za uszami cały dzień. Potrzebuję kogoś. Tak bardzo tęsknię za Sophie... Tylko ona mnie kochała. Mojej matki nie można liczyć, bo jest nie zrównoważona psychicznie.

Luke spojrział na Jessie z bezradną miną. Nigdy w życiu nie widział bardziej zagubionej i nieszczęśliwej istoty. Chciał ją jakoś pocieszyć, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów, więc po prostu ją przytulił. Przedtem nie miał pojęcia, że jest taka szczupła. Obejmował ją, a ona płakała. Kiedy w końcu wyprostowała się i otarła oczy, powiedział:

- Gdybyś potrzebowała przyjaciół, Buzz i ja jesteśmy na miejscu. Wpadaj, kiedy tylko zechcesz. Jeśli będziesz chciała porozmawiać, mój numer jest w książce telefonicznej. Zostańmy przyjaciółmi, Jessie.

Głowa Jessie kiwała się z boku na bok.

- Naprawdę mi przykro, że pokrzyżowałam ci plany na wieczór. Czasami sprawy trochę mnie przytłaczają. Sophie zawsze mówiła, że każdy czyn prowokuje reakcję. No więc zareagowałam.

- Potrzeba czasu, by rany się zagoiły. Wiem, bo niedawno byłem w takiej samej sytuacji jak ty. Musisz żyć dzień po dniu.

- Wiem, ale żeby rany się zagoiły, trzeba zrozumieć. Co będzie, jeśli nigdy tego nie zrozumiem? A jakby tego było mało, wszystko to należy do mnie. Cholera, znowu cały świat wiruje.

- Weź głęboki oddech. Mam się zatrzymać? Co miałaś na myśli mówiąc, że wszystko należy do ciebie?

Jessie odwróciła się, by spojrzeć na mężczyznę siedzącego obok. Wzięła głęboki oddech.

- Czasami plotę coś trzy po trzy. Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Czy to też mam zachować dla siebie?

Jessie zakręciło się w głowie. Czy właśnie powiedziała to, co jej się zdawało? Znowu zachciało jej się płakać.

- Tak, proszę - wyszeptwała.

- Dobrze, panno Jessie. Oto droga. Nie mogę podwieźć cię do drzwi Kingsleyów i mnie obowiązują wyroki sądowe zakazujące wstępu na ziemie drugiej strony. Muszę pozostać na terenach państwowych. Buzz odprowadzi cię do drzwi. Pamiętaj, co powiedziałem: jestem twoim przyjacielem.

- Pamiętam wszystko, co ważne. Naprawdę cenię przyjaźń. Dziękuję za kolację i za podwiezienie do domu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Luke szarmancko.

Jessie człapała wzdłuż wyboistej drogi prowadzącej do rancza, cały czas przemawiając do płowóżłtego psa, który szedł obok niej. Kiedy dotarli do tylnych drzwi, opadła na kolana, by pożegnać się z psem.

- Chciałabym, żebyś był mój. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że umiałabym cię pokochać. Po prostu to wiem. Chyba wszystko w porządku. Wracaj do Luke'a.

Pies zaszczekał.

- Szczekaj sobie do woli - zachichotała Jessie tuląc zwierzę. - Teraz już idź. Luke czeka na ciebie.

Pies odwrócił się, a z głębi jego gardła dobyło się warczenie, gdy zobaczył zbliżającą się ciemną postać.

- Tanner!

16

- Co tu robisz, Jessie? Czyj to pies?

Jessie była pewna, że mąż jest w paskudnym nastroju, choć nie widziała wyraźnie jego twarzy. Mocno trzymała obrozę Buzza. Czuła, że pies drży.

- Pojechałam na przejażdżkę, Sunny się spłoszyła i spadłam. Ten piękny pies odprowadził mnie do domu.

Boże, czy ten ochrypli, wystraszony głos należał do niej? Od kiedy stała się taka bojaźliwa?

- Czyja to furgonetka stoi zaparkowana na drodze przy naszym podjeździe?

- Jaka furgonetka? - spytała Jessie, starając się zyskać na czasie.

- Dość tej zabawy w kotka i myszkę. Dlaczego ten pies wciąż tu jest? W twoim oddechu czuć alkohol.

- Oczywiście. Piłam. Trzy piwa, może cztery, i kieliszek wina. Co na to powiesz, Tanner? - Nachyliła się nisko. - Spokojnie, piesku, spokojnie. Idź do domu. Idź. Boże, proszę, idź już.

Z głębi gardła Buzza dobywało się warczenie; uszy położył po sobie. Jessie klęczała pomiędzy psem a Tannerem, ale straciła równowagę i przewróciła się. Z przerażeniem zobaczyła, że Tanner unosi do góry nogę w długim bucie. Jeśli pies się nie ruszy, dostanie kopniaka w głowę. Spróbowała chwycić podniesiony but, na tyle skutecznie, że mąż rozciągnął się jak długi. Buzz zaszczekał głośno. Kiedy w chwilę później Jessie otworzyła oczy, zobaczyła, że pies opiera przednie łapy na piersi Tannera. W świetle księżyca widziała obnażone kły Buzza i jego groźny pysk kilka centymetrów od twarzy męża.

- Zabierz tego cholernego psa, bo go zabiję.

Jessie udało się podnieść z ziemi, choć nogi jej się trzęsły.

- Ciekawe, kto kogo zabije. Co z ciebie za człowiek, żeby kopać psa? Nie chcę mieć do czynienia z kimś takim.

- Dobrze, dość tego. Zabierz go.

- To nie mój pies. Nie posłucha mnie. Na twoim miejscu nie ruszałabym się. Zaatakował cię we własnej obronie. Wiedział, co chcesz zrobić. Zwierzęta kierują się instynktem i nigdy nie zapominają.

- Zabierz go ze mnie. Waży chyba z tonę. Przysięgam na Boga, jeśli kiedykolwiek zobaczę tego kundla na mojej ziemi, zastrzelę go.

Nagle Jessie zupełnie wytrzeźwiała. Uklękła, by przyjrzeć się lepiej mężowi w świetle sączącym się przez kuchenne drzwi. W jej głosie, tak samo jak w głuchym pomruku Buzza, brzmiała groźba.

- Jeśli kiedykolwiek podniesiesz rękę na tego psa, będę zmuszona osobiście cię zastrzelić. To nie jest żart, Tanner, to obietnica.

- Taak, taak. Na razie zabierz go ze mnie.

- Chodź, Buzz, dobry piesek. Zejdź z niego.

Pies zignorował jej słowa, znowu zawarczał i położył się Tannerowi na piersi.

- Buzz, dobry piesek, chodź tu - ponownie spróbowała Jessie.

Tanner napiął się, by unieść rękę. Buzz otworzył pysk i zacisnął szczęki na przegubie Tannera.

- Cholera jasna - wykrztusił Tanner.

- Chcesz ciasteczko, Buzz? Chodź. Dam ci parę.

Pies zostawił Tannera i pogonił za Jessie, która pobiegła w kierunku drogi. Wyczerpana oparła się na masce furgonetki i wydyszała:

- Daj mu ciasteczko, Luke. Tylko w ten sposób mogłam go ściągnąć z Tannera. Jeśli kochasz tego psa, zabierz go do domu i nigdy nie pozwalaj wejść na ziemię Kingsleyów. Tanner zagroził, że go zastrzeli. Zrobi to, jeśli będzie miał okazję. Buzz mnie obronił. Dziękuję, że pozwoliłeś mi mnie odprowadzić. Tanner jest w paskudnym nastroju - dodała. Ociekała potem.

- Na pewno nic ci nie grozi? Wiem sporo o napadach gniewu Tannera Masz, to mój telefon - powiedział Luke dając jej wizytówkę, którą wyjął ze schowka na rękawiczki. - Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, zadzwoń do mnie i wyjdź na drogę, a przyjadę po ciebie.

Jessie skinęła głową, włożyła wizytówkę za stanik i pobiegła drogą do domu.

- Nie zapomnij dać mu ciasteczka - krzyknęła przez ramię. Luke grzebał w schowku szukając psiego przysmaku.

- Mam złe przeczucia, Buzz. Boże, szkoda, że nie umiesz mówić. Chyba posiedzimy tu trochę i zjemy sobie paczkę ciasteczek. Nie, nie będziesz siedział mi na kolanach. Ważysz ze czterdzieści kilo. Dobrze się dziś spisaleś. Czestuj się - powiedział wysypując herbatniki na siedzenie obok kierowcy. - Zjedz to, a ja przez ten czas wypalę fajkę. Jeśli nie zobaczymy ani nie usłyszymy niczego

podejrzanego, pojedziemy do domu. To miła dziewczyna, Buzz – Rozsiadł się wygodniej. – Może trochę nerwowa, ale nie bardziej niż im wszyscy. Mieszkanie w tym zoo tylko przysporzy jej kłopotów... no, ale to nie nasza sprawa. Ona potrzebuje przyjaciela, Buzz. Zastanowiłbym się nad wypożyczeniem ciebie na godziny, gdyby nie chodziło o Kingsleyów. Trzymaj się z daleka od miedzy, bo wiem, że świetnie się orientujesz, gdzie przebiega.

Wyczuwając dziwny nastrój pana, pies przestał przeżuwać ciasteczka i położył ogromny łeb na jego kolanach. Zaskomlał, gdy Luke pogłaskał go po miękkiej jak aksamit sierści na łbie.

– Okay, wstawaj. Uważaj tylko na kierownicę, jest mało miejsca. Rozumiem, że się martwisz. Wiesz, skąd to wiem? Bo na siedzeniu leży jeszcze sześć ciasteczek. Ja też się martwię, ale chyba obaj przesadzamy.

Człowiek i pies siedzieli w ciszy aż do wschodu księżyca. W pewnej chwili Buzz poderwał łeb do góry, nasłuchując dziwnych odgłosów. Luke złapał za obroź, bo bał się, że pies wyskoczy z samochodu.

– To chyba nie ona, Buzz. Głos w nocy łatwo się niesie. To było rzenie konia.

Pies znowu zaskomlał i położył łapę na kolanie Luke'a, jakby chciał powiedzieć: „Chodźmy to sprawdzić albo jedźmy do domu”.

Luke przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Jutro też będzie dzień, Buzz. Zrobiliśmy dobry uczynek, a teraz czas do domu. Jeśli nie zjesz ciasteczek, wyrzucę je ptakom.

Buzz nie poruszył się.

– Aż tak źle, co?

Luke zadrżał w ciepłym nocnym powietrzu.

Nie wiedzieć czemu, poczuł na barkach wielki ciężar.

– O co, do diabła, w tym wszystkim chodziło?

Jessie miała nadzieję, że jej głos nie zadrzy, choć była rozdygotana.

– W czym?

– Chodzi mi o tę historię z psem. Skąd się wziął?

– Spotkałam go na drodze. Jestem zmęczona. Idę do łóżka.

- Zrobiło mi się przykro, że cię zostawiłem, więc wróciłem do domu, a ty pozwoliłaś psu mnie zatakować. W twoim oddechu czuć alkohol. Co tu się dzieje?

- Już raz ci to wyjaśniłam. Nie będę tego robić po raz drugi. A tak dla ścisłości: nie pozwoliłam psu zatakować cię. Zrobił to sam. Stanowiłeś zagrożenie. A teraz mówię ci dobranoc.

- Nie tak szybko. Kto był na drodze?

- Nie jestem jasnovidzem. Jechałeś drogą, dlaczego nie spytałeś? Droga to własność publiczna. Idę do łóżka.

- Wrócisz do naszego pokoju?

- Nie.

- Dlaczego kazałaś zainstalować zasuwę na drzwiach pokoju Resy?

- Żebyś nie mógł tam wejść. Puść moje ramię, Tanner. Nie rób niczego, czego będziesz potem żałował.

- Co to, grozisz mi? Nagle zrobiłaś się okropnie bezczelna. Dlaczego?

- Powiedziałam, puść mnie.

- Do cholery, jesteś moją żoną. Nie mów mi, co mam robić.

- Nie jestem twoją własnością.

- Mam kawałek papieru, na którym jest napisane co innego – prychnął Tanner.

- Na tym kawałku papieru napisano, że jesteśmy małżeństwem. A jednak ten kawałek papieru nie powstrzymał cię przed zdradzaniem mnie na prawo i lewo, gdy byłam chora. Nie jestem twoją własnością. I po raz ostatni mówię ci, żebyś puścił moje ramię.

Jessie raczej wyczuła niż zobaczyła szyderstwo na twarzy męża.

- A co mi zrobisz?

- To! – powiedziała Jessie i rąbnęła go kolanem w krocze.

Gdy Tanner zgiał się wpół z bólu i puścił jej ramię, ruszyła biegiem za róg domu do garażu. Kluczyki dżipa tkwiły w stacyjce. Musiała tylko otworzyć drzwi garażu i wyjechać na zewnątrz. A może drzwi były otwarte? Nie mogła sobie przypomnieć. Czy otwiera się je pilotem? O tym też nie miała pojęcia. Trzeba poszukać bocznych drzwi, może nie są zamknięte? Straciła cenny czas daremnie usiłując podnieść bramę garażową. Nie wiedziała nawet, gdzie się

włącza światło. Zanosła się szlochem biegnąc do bocznych drzwi. Klamka ustąpiła pod naciskiem jej ręki.

Jessie zmówiła krótką dziękczynną modlitwę, szukając na ścianie kontaktu. Wyczuwając pod palcami jedynie gładką powierzchnię ściany, po omacku pobiegła do dżipa i wsiadła.

- Dzięki ci, Boże. Dzięki ci, Boże - wykrztusiła.

Nagle zalała ją oślepiająca jasność. Jarzeniówki nad jej głową rozblisły. Odgłos pracującego silnika w zamkniętej przestrzeni garażu brzmiał w jej uszach jak start odrzutowca. Gdy odwróciła się w lewo, by zamknąć drzwi, zobaczyła Tannera. Usłyszała, że drzwi się zatraskują i przekręciła kluczyczek z pozycji „stój” na pozycję, jazda”. Nagle tylne drzwi samochodu otworzyły się i poczuła, jak ramię Tannera zaciska się na jej szyi odcinając dopływ powietrza. Drętwiejącą prawą nogą mocno nacisnęła pedał gazu. Dżip z napędem na cztery koła uderzył w zamkniętą bramę, rozerwał ją i wyjechał na zewnątrz wlokąc Tannera, który musiał w końcu puścić jej szyję, by usiąść na tylnym siedzeniu. W samochodzie rozległy się siarczyste przekleństwa.

Jessie dławiąc się zatrzymała dżipa na końcu podjazdu i puściła kierownicę, by rozmasować szyję.

- Jedź! Jedź! - krzyczał jej głos wewnętrzny.

Jednak posiniaczone i zmaltretowane ciało odmówiło posłuszeństwa.

- Wsiadaj, Jessie.

Jak automat opuściła samochód. Nie stawiała oporu, gdy Tanner chwycił ją za ramię i powlókł przez dziedziniec, do domu i do pokoju, w którym spędziła ostatni rok życia. Wiedziała, co teraz nastąpi. Bez słowa zdjęła ubranie i położyła się na łóżku z baldachimem.

Dużo później spytała zimno:

- Skończyłeś?

Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, zsunęła się z łóżka i nago przeszła przez hol prosto do pokoju Resy. Zamknęła drzwi na zasuwę. W łazience spojrzała w lustro i skrzywiła się. Na widok ogromnych siniaków na szyi i ramionach do oczu napłynęły jej łzy.

Namydlając się i myjąc włosy mówiła do siebie:

- Muszę się stąd wydostać. Muszę stąd natychmiast wyjechać.

Była przekonana, że Tanner zabrał kluczyki od dżipa. Nie miała pojęcia, gdzie mogą być zapasowe.

Ubierała się usiłując ułożyć w myślach jakiś plan. Gdyby nie była tak zmęczona, poskładałaby wszystko do kupy. Co zrobiłaby Sophie? Na pewno by się nie poddała, pomyślała Jessie. Ogarnęło ją przerażenie, bo przypomniała sobie, że wizytówkę Luke'a Holta włożyła za stanik. Ze strachu dawiło ją w gardle. Musi natychmiast wrócić do pokoju Tannera.

Ale co zrobisz potem? – zadała sobie pytanie.

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, gdy na palcach szła przez hol z powrotem do pokoju męża. Nasłuchiwała odgłosów dobiegających ze środka; musiała mieć pewność, że Tanner śpi. Zadowolona, że w pokoju panuje cisza, otworzyła drzwi i wśliznęła się do wewnątrz. Ściskając wizytówkę w rękę, wyszła przytykając drzwi. Udało jej się niepostrzeżenie zejść ze schodów i przemknąć do stajni, gdzie wyprowadziła Tulipana na brukowany dziedziniec. Tym razem nie zwracała sobie głowy siodłaniem klaczy. Wskoczyła jej na grzbiet i mruknęła:

– Jazda, Tulipan.

Chwyciła mocno grzywę w obawie, żeby nie stracić przytomności i nie I spaść. Westchnęła z ulgą, gdy w świetle księżycy ujrzała ranczo Holtów

– Hola, koniku, spokojnie.

Zwierzę cicho zarżało. Jessie ześlizgnęła się z grzbietu klaczy, klepnęła i ją po zadzie i krzyknęła:

– Biegnij do domu, Tulipan!

Klacz pokłusowała w kierunku, z którego przyjechały. Jessie oceniła odległość od domu.

– Dokonam tego. Wiem, że potrafię. Muszę to zrobić. Stawiaj jedną nogę przed drugą i idź do przodu – powiedziała do siebie.

Jakoś dowlokła się do tylnych drzwi. Były zamknięte. Jak dostać się do środka? Walić tak mocno, żeby obudzić Luke'a? A może powinna przespać się w stajni? Wtedy zobaczyła małe drzwiczki, specjalnie dla psa. Upadła na kolana i wczłogała się nimi do środka. O mało nie zemdląła, kiedy zobaczyła czekającego na nią Buzza.

– Cicho piesku – powiedziała. – Po prostu prześpię się tutaj, na tym ślicznym plecionym dywaniku.

Buzz wpatrywał się w śpiącą dziewczynę; obchodził ją dookoła i zawzięcie machał ogonem. Skomlał próbując ją obudzić. Lizał po twarzy i po rękach, a gdy to nie pomagało, szturchał ją pyskiem. Wreszcie zrezygnowany pobiegł do pokoju Luke'a. Wskoczył na łóżko i zaczął ciągnąć za poduszkę, na której spał jego pan. Luke nie obudził się. Buzz ściągnął na podłogę najpierw jego poduszkę, a potem lekką kołdrę. To wystarczyło.

- Buzz, do licha, co ty robisz? Chryste, co ja muszę znosić. Wracaj tu! Gdzie idziesz z moją poduszką? Kołdrę też mi zabrałeś? Okay, pewnie coś spocicieś? Cóż, wypadki chodzą po ludziach. Consuela zajmie się tym rano.

Zastanowiło go, że Buzz ciągnie poduszkę i kołdrę w stronę schodów, a potem usiłuje spuścić je na dół. Pies zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na Luke'a i zaszczekał.

- Cholera, cicho bądź, psie, jest trzecia rano. Dobrze, dobrze, idę, zobaczmy, co narozrabiałeś.

Dotarwszy do kuchni Luke stanął jak wmurowany. Ze zdumienia szeroko otworzył oczy i usta.

- Boże, to ona. Jak, do diabła, się tu dostała?

Spojrzał na zamkniętą zasuwę, a potem na drzwiczki dla psa.

- Gdyby była choć o centymetr grubsza, nie przeszłaby przez ten otwór. Dobrze zrobiłeś, Buzz. Podłóżmy jej poduszkę pod głowę i nakryjmy kołdrą. Ooo, a cóż my tu mamy? - szepnęła do psa.

Na widok wielkiego siniaka na szyi Jessie Luke aż się cofnął. Dostrzegł też siniaki na obu ramionach i zaklął. Buzz zaskomlał do wtóru.

- Cicho, ona śpi. Już w porządku. Spójrz na to od tej strony: była dość bystra, by tu dotrzeć. To chyba coś znaczy, prawda?

Pochylił się nad Jessie po raz drugi i zobaczył malutki skrawek papieru sterczący zza jej bluzki. Rozpoznał swoją wizytówkę. Poczuł, jak wzbiera w nim uczucie, którego nie doznawał od bardzo dawna. Nie miał ochoty o tym myśleć.

- Zostań, Buzz. Wezmę prysznic i ubiorę się. Będę w biurze.

Przed pójściem na górę Luke sprawdził, czy wszystkie drzwi są zamknięte. Upewnił się, że drzwiczki dla psa są jedynym otwartym wejściem i poszedł na górę.

Tanner przekręcił się na drugi bok, sięgając na lewą stronę łóżka. Obudziło go jaskrawe słońce rozświetlające pokój. Natychmiast rozboleła go głowa. Gdy mrużąc oczy zerknął na zegarek, okazało się, że jest już ósma rano. Nigdy w życiu nie spał dłużej niż do szóstej trzydzieści. Obrazy wydarzeń poprzedniego dnia przelatywały mu przez głowę jak pędzący pociąg. Zaklął, bo nie wiedział, co innego mógłby zrobić.

Usiadł na łóżku. Objął głowę ramionami, usiłując usmierzyć pulsujący w niej ból. Musi wziąć aspirynę i napić się gorącej kawy. Idąc do łazienki podeptał rozrzucone ubrania Jessie. Nie będzie o niej myślał. Głupia dziwka. Wydawało jej się, że kim, do diabła, jest?

Przechodząc obok drzwi pokoju siostry zatrzymał się i zajrzał do środka. Zobaczył nieskazitelny porządek. Łóżko wyglądało tak, jakby nikt w nim nie spał.

- Lucille! - krzyknął.

Gospodyni podeszła do podestu schodów.

- O co chodzi? - spytała.

- Gdzie jest moja żona?

- Nie wiem, panie Tanner. Nie widziałam jej dziś rano. Myślałam, że jest na górze. Dzwoni pańska matka.

Tanner zbiegł ze schodów przeskakując po kilka stopni.

- Powiedz jej, że oddzwonię - krzyknął.

Wpadł do kuchni i wyjrzał przez okno. Czerwony dżip Jessie stał dokładnie tam, gdzie zostawiła go przed kilkoma godzinami. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte. Na widok rozwalonej bramy do garażu jego ból głowy się nasilił. Spojrzał w kierunku stajni i oszołomiony zobaczył, że Tulipan przechadza się po dziedzińcu. Dlaczego, do diabła, klacz od samego rana chodziła luzem? Mógł być tylko jeden powód. Sięgnął po filiżankę kawy, którą Lucille podawała mu jedną ręką; z drugiej ręki wyjął jej słuchawkę.

- Dzień dobry, mamó. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chcę się tylko dowiedzieć, jak się czuje Jessica.

- Zniknęła.

- Co to znaczy?

- To, co powiedziałem. Wczoraj powiedziała, że czuje się dobrze i że nie będzie już brała pigułek. Spuściła je w ubikacji. Oskarżyła mnie o romans i

pokłóciliśmy się. Poszedłem sobie, a ona wyjechała na przejażdżkę. Zrobiło mi się przykro, że się pokłóciliśmy i wróciłem wcześniej, a ona pojawiła się w domu z olbrzymim psem. W dodatku wyczułem, że piła. Znowu się pokłóciliśmy i kiedy rano się obudziłem, jej już nie było.

- Zabrała swoje rzeczy?

- Nie wiem. Nie miała kluczyków od dżipa. Myślę, że pojechała gdzieś na Tulipanie i odesłała ją do domu. A co u ciebie?

- Było wszystko w porządku, dopóki do ciebie nie zadzwoniłam. Co dokładnie masz na myśli mówiąc o kłótni?

- Wjechała dżipem w bramę garażową. To powinno dać ci jakieś pojęcie o tym, co zaszło.

- Uderzyłeś ją? Co spowodowało, że odeszła? Co jej powiedziałaś?

- Ano, wiele rzeczy. Ona też. Może trochę za mocno ją przytrzymałem, ale nie...

Teraz dopiero przypomniał sobie cios, jaki wymierzył jej wieczorem.

- Ona nikogo tu nie zna. Dokąd miałyby pójść?

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Gdy wróciłem wczoraj wieczorem do domu, przy drodze stała furgonetka.

- To był Luke Holt?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

- Sprowadź ją z powrotem, Tanner. To nie wyjdzie nam na dobre. Jesteś zupełnie jak twój ojciec. Wpadasz w tarapaty, a potem oczekujesz, że ja cię z nich wyciągnę. Nie pojechałam do Waszyngtonu dlatego, że umierałam z tęsknoty za twoim ojcem. Zdaje się, że wdał się w konszachty z jakimiś podejrzanyymi lobbystami. Powołano specjalną komisję do zbadania tej sprawy. Jest bardzo prawdopodobne, że zechcą porozmawiać z Jessie. Powinieneś ją odnaleźć i ułagodzić. Wiem, że potrafisz to zrobić. Słuchasz mnie?

- Słyszysz cię pewnie połowa stanu Teksas - prychnął Tanner.

- Mogła udać się tylko na rancho Holtów. Jedź tam zaraz.

- Pojechać tam? Żeby mi odstrzelono głowę? To był twój pomysł, żeby uzyskać wyrok sądu zakazujący im wchodzenia na nasz teren. Luke zrobił tylko to, co ty.

- Jessica nie ma z tym nic wspólnego. Jeśli powiesz mu, że jest nierównoważona, wyjaśnisz okoliczności, wysłucha cię. Nie ma innego wyjścia, Tanner.

- Nie mogę uwierzyć, że mówisz coś takiego. Rzeczywiście chcesz, żebym pojechał do Luke'a i udawał, że moja żona jest wariatką? Do Luke'a Holta? Jeśli Jessie tam jest, to Bóg raczy wiedzieć, co mu naopowiadała. Jak myślisz, do diabła, komu on uwierzy?

- Zrób to. A może wolisz zadzwonić na policję i zawiadomić o jej zaginięciu? To wystarczy, by sprawa trafiła do gazet. A na rozgłos nasza rodzina nie może sobie pozwolić, choćby ze względu na to, co dzieje się tutaj, w Waszyngtonie. Muszę już iść. Zadzwonię znowu o dwunastej waszego czasu.

Tanner dopił kawę parząc sobie usta.

Czterdzieści minut później z piskiem opon zatrzymał się przed ranczem Holtów. Nie chciał zrobić kulki, zatrąbił więc nie wysiadając z furgonetki. Wstrzymał oddech, gdy drzwi frontowe otworzyły się i wyszedł Luke Holt w towarzystwie ogromnego psa. Poczul nagłą suchość w ustach, gdy usłyszał repetowanie dubeltówki i zobaczył wylot jej lufy na wprost swojej piersi. Wystawił głowę przez okno i powiedział:

- Poczekaj chwilę, Luke. Moja żona gdzieś przepadła. Klacz, na której jechała, wróciła sama na ranczo. Zastanawiałem się, czy nie przyjechała tutaj.

- Już dawno nie słyszałem czegoś równie idiotycznego. To prawie tak zabawne jak słowa bankierów, którzy odmówili mi udzielenia pożyczki, bo twój ojciec stwierdził, że to zbyt ryzykowny interes. Spieprzaj z mojej ziemi, Tanner, zanim przetrzele ci twój tępą łeb.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy jest tu moja żona?

- Jasne, że odpowiedziałem, dupku. Powiedziałem, że to najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Liczę do trzech. Jeśli natychmiast stąd nie odjedziesz, przetrzele przednią szybę w furgonetce, a jeśli przypadkiem twoja głowa znajdzie się na drodze kuli, to trudno. Wtargnałeś na mój teren. Raz... dwa...

Tanner wrzucił wsteczny bieg i nacisnął pedał gazu do dechy. Za odjeżdżającym samochodem uniósł się tuman kurzu.

Luke zamknął drzwi.

- Chodź, Buzz, zobaczymy, czy nasz gość się obudził.

Jessie siedziała przy kuchennym stole z filiżanką kawy w ręku. Consuelo krzątała się koło niej. Jessie spojrzała na Luke'a, a jej oczy napełniły się łzami.

- Przepraszam. Nie miałam dokąd pójść. Tanner zabrał kluczyki od mojego samochodu. Buzz, przestań. Nie chcę sprawiać ci kłopotu, ale czy mógłbyś podwieźć mnie do miasta?

- Tanner był tu przed chwilą.

- Tak, wiem. Słyszałam. Naprawdę bardzo mi przykro. Nie chcę mieszać cię do tych brudów, a to są brudy. Jeśli nie możesz odwieźć mnie do miasta, czy mógłbyś wezwać dla mnie taksówkę?

- To żaden problem. Odwiozę cię. Może dobrze by było, gdybyśmy wreszcie porozmawiali, pani Kingsley.

- Nie nazywaj mnie tak. Lepiej, żebyś o niczym nie wiedział. Nie chodzi o to, że nie chcę o tym mówić, ale to nie byłoby rozsądne. Wszystko będzie w porządku, gdy tylko dotrę do miasta.

- Masz ze sobą jakąś torebkę? A pieniądze?

- Nie, nie mam pieniędzy. Ale to żaden problem. Prześlę mi je telegraficznie w ciągu kilku godzin.

- A co z ubraniem i innymi rzeczami osobistymi?

- Wszystko zostawiłam na ranczu. Schowali je gdzieś, nie wiem gdzie. Ostatni rok spędziłam ubrana w szlafrok. Rzeczy, które mam na sobie nie są moje. Myślę, że zostawiła je Resa. To zresztą najmniejsze z moich obecnych zmartwień. Umiesz się włamywać?

- Nie - powiedział Luke rozciągając samogłoski. - A ty?

- Też nie. Dlatego spytałam. Muszę się z kimś spotkać w południe. Chyba zaczekam na zewnątrz. Możemy już jechać?

- Czy ktoś ci kiedyś mówił, że można uciekać, ale nie można się ukryć?

- Tak. Sophie. W końcu sama usiłowała to zrobić, ale nie wyszło. Ale ja nie staram się ukryć. I właściwie nie uciekam. Wyjeżdżam. Kiedyś wiodłam wspaniałe życie. Chcę je odzyskać i dopnę swego.

Luke popatrzył na zdecydowany zarys jej brody i na psa, który pozwalał się głaskać i tarmosić. Było jasne, że Jessie uzyskała pełną aprobatę Buzza, a wszyscy wiedzą, że psy najlepiej na świecie umieją ocenić ludzki charakter.

- No to jedźmy. Jadłaś coś?

- Nie. Boli mnie gardło, jak przelękam. W mieście zjem zupę albo coś w tym rodzaju.

Luke zastanawiał się, czy ona zechce wyjaśnić mu pochodzenie fioletowo-żółtych siniaków na jej szyi. Zobaczył, że lekko masuje to miejsce.

- Dobrze by było zrobić zdjęcia tych siniaków.

- Sophie powiedziałyby to samo. Masz aparat fotograficzny?

- Tak. Bez przerwy fotografuję Buzza. To polaroid.

Jessie, nieco skrępowana, ustawiła się pokazując szyję i zsuwając rękawy bluzki. Luke nastawił ostrość i robił zdjęcia. Jedno po drugim wyskakiwały z aparatu.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu, by je dla mnie przez jakiś czas przechować?

- Oczywiście, że nie. Poczekaj, schowam je do sejfu, a aparat odniosę do biura.

W drodze do miasta prawie nie rozmawiali. W końcu Luke przerwał milczenie.

- Kim jesteś, Jessie? - spytał.

- Sama chciałabym to wiedzieć. I na pewno się dowiem. Ale zdaje się, że nim dotarłam do tego momentu w moim życiu, dreptałam w miejscu.

- Jestem dobrym słuchaczem.

- Już to słyszałam. Znasz adres, który ci podałam?

- To budynek stojący przy nabrzeżu. Czysze tam są wysokie. Czy to jakaś firma?

- Mniej więcej. Będę musiała znaleźć sobie jakieś mieszkanie. Nie znam okolicy. Mógłbyś mi coś polecić?

- Interesuje cię dom czy kondominium?

- Jedno i drugie.

- Ocean Drive mieści się w pięknej okolicy. To długa, wychodząca na zatokę aleja, przy której stoją duże, dość dawno wybudowane domy z najlepszym widokiem w mieście. Oczywiście to sporo kosztuje. Wiem na pewno, że firma Arkansas Princess ma kilka lokali na wynajem albo na sprzedaż. Dość drogie, ale ładne. Wjazd od strony drogi 1A, jeśli cię to interesuje. Jest też wiele mieszkań do wynajęcia, gdyby to ci bardziej odpowiadało. Dopóki się nie zdecydujesz, możesz zatrzymać się w hotelu.

- Okolica jest śliczna. Spodobała mi się, gdy byłam po raz pierwszy odwiedzić Resę. Chyba mogłabym zapuścić tu korzenie, ale nie jestem pewna. Lubię też Nowy Orlean. Muszę jeszcze tyle przemyśleć! Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci zbyt dużo kłopotu. Bardzo jestem wdzięczna za pomoc. Nie wiem, jak ci dziękować.

Luke skłonił głowę.

Pół godziny później stwierdził:

- Jesteśmy na miejscu. To wygląda na stosunkowo nowy budynek. Nie mogę odczytać napisu przy drzwiach.

- To Ashwood Designs - wyszeptała Jessie. - Możesz mnie tu zostawić. Znajdę jakąś kawiarnię i przeczekam do południa.

- Nie masz pieniędzy - powiedział zawsze praktyczny Luke.

- Woda jest za darmo.

- Dam ci trochę - Luke sięgnął do kieszeni i wyjął zmięty dziesięciolarowy banknot. - Będziesz mi winna, okay?

- Okay - uśmiechnęła się Jessie targając Buzza za ucho. - Twój właściciel to fajny facet - powiedziała puszczając oko do Luke'a.

Wysiadając z furgonetki zobaczyła rumieniec na twarzy jej właściciela. Buzz cały czas czekał.

- Do zobaczenia.

- Tak. Do zobaczenia. Zadzwońisz do mnie, by mi powiedzieć, czy wszystko jest w porządku? Buzz nie lubi niedokończonych spraw. Jest taki jak ja - obaj wolimy, jak wszystko jest załatwione.

- Zadzwonię.

Jessie stojąc na rogu patrzyła za oddalającą się furgonetką, dopóki nie znikła jej z oczu. Spojrzała na dziesięciodolarówkę, którą trzymała w ręku. Czy naprawdę chciała pójść do restauracji, gdzie ludzie gapiliby się na okropne sińce na jej szyi? Obejdzie się bez zupy czy kawy. Tak naprawdę to miała ochotę na papierosa i zimną wodę sodową. Rozejrzała się po ulicy w poszukiwaniu kiosku albo małego sklepiku. W jednym z pobliskich budynków, gdzie mieściły się siedziby różnych firm, na pewno znajdzie się jakiś barek. Rozejrzała się, czy nic nie nadjeżdża, przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do jednego z budynków. W kiosku mieszczącym się w holu kupiła butelkę coca-coli i paczkę papierosów. Potem znowu przeszła przez ulicę i usiadła na

jasnozielonej ławce w niewielkiej odległości od miejsca, w którym miała się spotkać z Arthurem Mendenaresem. Paliła jednego papierosa za drugim, zaciągając się mocno i krótko, i popijała napój małymi łykami. Prawnik nadjechał piętnaście minut przed czasem. Jessie podbiegła do niego. Ten miły człowiek był jedynym łącznikiem z przeszłością i z Sophie. Padła mu w ramiona i wybuchnęła płaczem.

Prawnik podał Jessie nieskazitelnie białą chusteczkę.

- Chodź do środka, dziecko. Porozmawiamy tam, gdzie nikt nas nie zobaczy ani nie usłyszy.

Jessie obserwowała, jak Mendenares naciska przyciski z liczbami na małej klawiaturze we framudze. Ku jej zaskoczeniu drzwi otworzyły się.

- Sophie zaprojektowała te zamki... budynek zresztą też. Dom w Nowym Orleanie jest taki sam jak ten. Powiedziała, że nie chce, by coś jej się popłatało. Kod to data urodzin Sophie.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, pokój ożył w blasku jasnego jarzeniowego światła.

- To galeria sztuki - powiedziała Jessie z zachwytem.

- Nie tylko galeria sztuki - powiedział Mendenares łagodnie. - Przyjrzyj się uważnie.

- To moje rysunki. Gdzie... jak...

- Pochodzą z domu w Atlancie. Sophie powiedziała mi, że zostawiłaś tam mnóstwo rysunków. Uważała, że są doskonale i warte wystawienia. Naprawdę miałaś kiedyś tak piękne zwierzę? Zdaje się, że rysunki przedstawiają tego samego psa.

- Nie. Nigdy nie miałam psa, ale zawsze chciałam mieć. Sophie wykonała wspaniałą robotę. Ramy są przepiękne, tło znakomite. Więc Sophie sama to wszystko zrobiła?

- Projektując budynek front przeznaczyła od razu na ten cel. Zdawała się czerpać z tej pracy wielką satysfakcję. Pracowała prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ta sala biegnie przez cały front. Z tyłu znajdują się biura, a na górze małe poddasze. Chodź, pokażę ci.

Tu także na klawiaturze umieszczonej obok ciężkich mahoniowych drzwi adwokat wystukał kilka liczb.

- Kod do tych drzwi to twoja data urodzenia. W tym pokoju znajdują się kopie dokumentów dotyczących całego należącego do Sophie majątku. Większość z nich zapisano na dysku. Mamy tu najnowocześniejsze komputery. Sophie uważała, że to wspaniałe. Lubiła elektroniczne gadżety. Ale o tym pogadamy później. Teraz musisz podpisać mnóstwo dokumentów. Jak tylko to załatwimy, wprowadzę je do komputera. Będziesz mogła je później przejrzeć, przedstawić swoje sugestie i zaproponować zmiany, które chciałabyś wprowadzić. Ostatnia strona w zielonej teczce podaje wartość netto całości.

Jessie przerzuciła papiery w zielonej teczce i aż się zachłysnęła.

- Mój Boże!

Arthur Mendenares uśmiechnął się.

- To chyba znaczy, że jesteś zadowolona.

- Brak mi słów.

- Mam nadzieję, że to stan tymczasowy - zażartował prawnik. - A teraz, Jessie, chodźmy na poddasze, które Sophie dla ciebie zaprojektowała. Ma prawie sześćset metrów kwadratowych. Mogłabyś tu zamieszkać, gdybyś chciała. Jest kuchenka, łazienka, salon i dodatkowy pokój przewidziany przez Sophie na sypialnię. Jak widzisz, dominuje tu czerwień, bo Sophie twierdziła, że to twój ulubiony kolor. Z góry roztacza się widok na galerię. Sophie mówiła mi nieraz, że masz podobne jak ona poglądy na temat bogactwa. Myślisz, że będzie ci tu wygodnie?

- Nie wiem. Co mam teraz zrobić?

- Zapoznać się ze wszystkim, co posiadasz. Byłbym bardzo wdzięczny za sugestie dotyczące różnych inwestycji. Skontaktuję się z tobą za dwa miesiące, jeszcze przed podjęciem ostatecznych decyzji. Możesz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy, i pytać o co chcesz. W moim biurze zawsze wiedzą, gdzie jestem. Dobrze by było, żebym ja też zawsze wiedział, gdzie przebywasz. Ostatni rok był bardzo trudny i chciałbym o tym teraz z tobą porozmawiać.

Gawędzili jak para przyjaciół. Czas zleciał szybko. Wreszcie Jessie oparła głowę o zagłówek czerwonego pluszowego krzesła i poczuła, że jej oczy napęlniają się łzami.

- Panie Mendenares, wie pan o mnie wszystko: o okropnych koszmarach, które czasem miewam i o tym, że mój mąż pobił mnie wczoraj wieczorem. Chcę złożyć pozew o rozwód i życzyłabym sobie, żeby pan się tym zajął. Nie mam

pojęcia o prawach obowiązujących w Teksasie ani o ustawach dotyczących podziału majątku. Każdy kawałek papieru, każdy dokument, który miałam w ręku, wysłałam do domu w Atlancie. O ile się orientuję, Kingsleyowie nie wiedzą nic o spadku. Chyba następne pytanie powinno brzmieć: czy Tanner mógł się dowiedzieć, że odziedziczyłam majątek Sophie? Proszę pamiętać, że przez ostatni rok żyłam jak w letargu. To prawda, że oplakiwałam śmierć Sophie i prawdą jest też, że straciłam dziecko. Ale trudno mi uwierzyć, że znalazłam się na krawędzi. Nie jestem typem człowieka, który mógłby doznać załamania nerwowego. Straciłam cały rok życia i nigdy go nie odzyskam. W tej chwili mam w głowie chaos; potrzebuję czasu, by wszystko przemyśleć i zaplanować. Zostanę tutaj, ale... panie Mendenares, nie mam samochodu i będą mi potrzebne pieniądze.

- Miałaś mówić mi Arthur, pamiętasz? Pan Mendenares to mój ojciec. W ciągu godziny mogę podstawić samochód wybranej przez ciebie marki. Jeśli chodzi o pieniądze, to otwarto dość pokaźny rachunek bankowy dla Ashwood Designs. Bank jest niedaleko stąd. Jeśli chwilę poczekaasz, dam ci książeczkę czekową i wyciągi bankowe. A odpowiadając na twoje pytanie: tak, to możliwe, że twój mąż albo jego rodzina chcieli sprawdzić treść testamentu Sophie. Jednak aby to zrobić, musieliby wiedzieć, u którego notariusza została poświadczona jego autentyczność. Biorąc pod uwagę powiązania senatora, jest to niewykłuczone, jednak mało prawdopodobne. Testament został złożony i poświadczony u notariusza w Atenach, w Grecji. Może zechcesz się zastanowić nad uaktualnieniem swojego testamentu? W obecnym stanie rzeczy, ponieważ odziedziczyłaś majątek Sophie przed zawarciem związku małżeńskiego, twój mąż nie ma do niego żadnych praw.

Jessie odetchnęła z ulgą.

- Ile czasu zajęło Sophie przygotowanie tego wszystkiego, Arthurze?

- Niezbyt wiele. Wiedziała, czego chce i miała pieniądze, by zapłacić za wykonanie. Jedyne, czego nie można kupić za pieniądze, Jessie, to szczęście i zdrowie. Sophie korzystała z pieniędzy, by kreować wydarzenia. Myślę, że w ogóle nie sypiała. Teraz, jak się nad tym zastanawiam, sędzę, że miała coś w rodzaju harmonogramu, którego się trzymała. Zamierzasz zostać w Corpus Christi?

- Na razie tak. Muszę jeszcze odzyskać siły. Chyba chciałabym pojechać do Nowego Orleanu, a może i do Atlanty. Nie od razu, ale wkrótce. Potrzebuję trochę czasu, by pogodzić się z tym, co się stało. Czuję się tak, jakby zdjęto mi bielmo z oczu. Zostawiłam wszystko na ranczu Kingsleyów i mam na sobie cudze ubranie. Możesz załatwić mi kartę kredytową?

- W ciągu dwudziestu czterech godzin. Do tego czasu posługuj się gotówką.

Jessie uśmiechnęła się.

- Chyba chciałabym mieć samochód terenowy. Może rangę rovera... zielonego, w kolorze mundurów kadetów szkoły morskiej, jeśli to możliwe. Gdzie go będę trzymać?

- Załatwione. W garażu. Trzeba po prostu zajechać od tyłu. Brama ma zamek elektroniczny. Tam też jest pralnia. Zsyp do pralni jest w łazience. Do garażu można wejść z biurowej części budynku. Sophie pomyślała o wszystkim. Przed odjazdem wypiłbym jeszcze filiżankę kawy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójde teraz zadzwonić w kilka miejsc.

- A gdzie jest kawa?

- W zamrażalniku. Sophie twierdziła, że tam można ją przechowywać wiecznie. Nie wiedziałem o tym. Jest też wymyślny ekspres do kawy, który miele ziarna, a potem parzy. Zupełnie nadzwyczajne.

Jessie roześmiała się, widząc pełną podziwu minę prawnika.

- Zrobię kawę.

Półtorej godziny później adwokat objął Jessie na pożegnanie.

- Pamiętaj, dzwoń do mnie o każdej porze dnia i nocy. Obiecay mi to. Jeśli będziesz wyjeżdżać, zawiadom mnie, dokąd się wybierasz. A teraz zastanów się, czy chcesz, żebym zrobił coś jeszcze poza złożeniem pozwu rozwodowego.

- Nie. Na razie to wszystko. Odprowadzę cię do drzwi, a potem pójde na zakupy.

- Samochód będzie tu o czwartej. Powiedziałem, żeby zaprowadzili go na tyły budynku, a kluczyki zostawili pod wycieraczką. Nie zapomnij wstawić go do garażu po powrocie.

- Chcę wrócić do mojego panieńskiego nazwiska, Arthur.

- Oczywiście. Uważaj na siebie.

Było piętnaście po szóstej, gdy Jessie z pomocą kierowcy taksówki wniosła zakupy do Ashwood Designs. Torby, pudełka i artykuły spożywcze wały się po całej galerii. Jessie dała taksówkarzowi suty napiwek i zamknęli drzwi. Dzięki Sophie była bezpieczna we własnym gnieździe. By wnieść na górę zakupione rzeczy, aż siedem razy musiała pokonać schodki prowadzące na poddasze. Godzinę zajęło jej ułożenie artykułów spożywczych w szafkach kuchennych, rozpakowanie ubrań oraz powieszenie ich w szafie. O dziewiątej wieczorem zaparkowała nowy samochód w garażu, wzięła prysznic, zaparzyła sobie kawę i zrobiła jajecznicę, którą zjadła z apetytem oglądając głupawy program rozrywkowy w telewizji. O dziesiątej zadzwoniła do Luke'a Holta. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, dopóki nie usłyszała jego głębokiego głosu.

- Gdzie jesteś, Jessie?

- Jestem tutaj, w Ashwood Designs, w budynku, do którego mnie podwoziłeś. Znalazłam w nim ładne poddasze, gdzie mogę zamieszkać. Zatrzymam się tu jakiś czas. Chciałam ci tylko podziękować za pomoc. Kiedy się urządzę, zadzwonię i zaproszę ciebie i Buzza na kolację. Przyjmiesz moje zaproszenie? - spytała niepewnie.

- A będę musiał się przebierać?

- Nie. Czy to znaczy, że przyjdiesz?

- Nigdy nie odmawiam zjedzenia darmowego posiłku. Umiesz gotować?

- Niezbyt dobrze, ale radzę sobie. Mam ci odesłać dziesięć dolarów?

Luke zachichotał.

- Myślę, że mogę poczekać.

Jessie uśmiechnęła się.

- Okay. Zadzwonię, jak się urządzę. Jeszcze raz dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Czy zawiadomisz kogoś, gdzie jesteś?

- Boże, nie!

- Okay, chciałem tylko wiedzieć.

- Dobranoc, Luke.

- Dobranoc, Jessie.

Jessie długo siedziała tuląc do siebie poduszkę. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu czuła się dobrze. Wszystko dzięki Sophie.

- Tęsknię za tobą, przyjaciółko - wyszeptala.

Wykręciła numer telefonu na ranczo. Tanner podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Tu Jessie. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że nie wrócę na ranczo. Skonsultowałam się dziś z moim adwokatem i składam pozew rozwodowy. Możesz wyrzucić wszystko, co zostawiłam na ranczu.

- Co, do diabła! Jezu, to była tylko sprzeczką. Składasz pozew o rozwód z takiego powodu?

- Nie zamierzam wdawać się z tobą w żadne dyskusje, Tanner. Jest jak jest. Możesz zatrzymać moje sześć tysięcy dolarów jako pożegnalny prezent.

- Poczekaj jedną cholerną minutę, Jessie!

- Nie, Tanner, to ty poczekaj. Zamierzam oskarżyć cię o napaść i maltretowanie. Sfotografowałam swoje sińce i mogę wszystkiego dowieść. Nie chcę nic ani od ciebie, ani od twojej rodziny. Załatwimy to ładnie. Jeśli jednak mnie sprowokujesz, sprawy przybiorą inny obrót. Dodam oskarżenie o gwałt.

- Nie zgwałciłem cię.

- Zrobiłbyś to, gdybym sama się nie rozebrała i nie położyła na łóżku. Dla mnie to to samo. Żegnaj, Tanner.

17

Alexis rozejrzała się po biurze senatora. Wiele lat temu, tuż po przyjeździe Angusa do Waszyngtonu, biuro, wyłożone nową boazerią i bogato wyposażone, było schludne i panował w nim porządek. Wpadła wówczas na niefortunny pomysł, by zamieszkać w stolicy i pracować u boku męża, choćby przyszło jej spełniać jedynie funkcje o charakterze społecznym. Dzięki Irene Marshall pomysł ten nigdy nie doczekał się realizacji.

Nienawidziła rozmyślań o Irene, ale zmarła wciąż wkradała się w jej myśli.

Co ja tu, na Boga, robię? - zastanawiała się Alexis. Wstała o czwartej trzydziści, bo obudziła się i nie mogła zasnąć. Miała zamiar jechać na lotnisko i wsiąść do pierwszego samolotu odlatującego do Teksasu. W połowie drogi kazała kierowcy zawrócić i jechać do biura Angusa. Nie znalazła tu tego, czego

szukała – cokolwiek to miało być. Czy odważy się otworzyć sejf Angusa? Dlaczego nie? Podczas któregoś pobytu męża w Corpus Christi udało się jej przejrzeć zawartość jego portfela. Znalazła w nim kombinację do sejfu zapisaną na małym skrawku papieru. Całe lata nosiła go w portfelu. Był pomięty i postrzępiony, atrament wyblakł, ale wciąż mogła odczytać cyfry.

Nadeszła pora zapłaty, Angus.

W chwili, gdy usłyszała kliknięcie pokrętła, szarpnęła ciężkie drzwi do sejfu – szybko, zanim zabraknie odwagi. Dzięki Bogu starczyło jej przytomności umysłu, by zamknąć drzwi do biura. Liczyła na to, że znajdzie całe stopy banknotów. Do cholery, nie miała zamiaru mieszkać w mysiej dziurze i żywić się okruszkami. Gdy okazało się, że w środku leżą tylko sterty porządnie ułożonych, ściągniętych gumkami papierów, zebrało jej się na płacz. Nie znalazła żadnych pieniędzy. Nawet jednego poniewierającego się banknotu dolarowego. Przeniosła wszystko na biurko i dokładnie obejrzała każdy kawałek papieru.

Po dwudziestu minutach Alexis naciągnęła gumki na dokumenty. Przez kilka kolejnych minut upychała paczki papierów do torebki, by przeczytać je dokładnie podczas długiego lotu do domu. Chciało jej się płakać. To wszystko było takie niesprawiedliwe. Pohamowała się jednak. Skończyła pić kawę, którą po przyjeździe przygotował jej młody urzędnik. Zamknęła sejf i drzwi wbudowanej w ścianę szafy.

Usiadła w fotelu męża, w którym przez lata odcisnęło się jego ciało. Mebel pachniał Angusem. Rozejrzała się i poczuła smutek. Jak dobrze pamiętała rozpierającą ją dumę, gdy przyszła tu po raz pierwszy. Jaka była wtedy zadowolona z Angusa! I jak krótko to trwało... Znowu zachciało jej się płakać.

– Uczyniłeś mnie tym, czym jestem, Angus – wyszeptwała.

Popatrzyła na kosztowną boazerię, teraz matową, pokrytą szarymi plamami i smugami w miejscach, gdzie osiadł kurz. Pożółkłe rośliny stały w doniczkach wypełnionych suchą, zbryloną ziemią. Dywan, biurko i wszystkie meble poszarzały od kurzu. Angus zawsze był taki dumny ze swojego personelu i jego umiejętności prowadzenia biura. Najwyraźniej nowa ekipa powinna przejść kurs doskonalenia zawodowego. Podniosła wzrok i spojrzała na zdjęcie. Mąż w towarzystwie Johna F. Kennedy'ego, idola Angusa. Na

przeciwległej ścianie wisiał portret Abrahama Lincolna – drugiego wzorca senatora.

– Byłeś takim głupcem, Angus – powiedziała załamującym się głosem. – Nie mogłeś tego przewidzieć? A może nic cię to nie obchodziło? Nie pozwolę ci zrobić nam tego. Nie pozwolę. Nie dopuszczę, byś wszystko zniweczył. Ranczo należy do nas i tylko do nas. Nie przeniosę się do jednego z tych budynków z elementów prefabrykowanych i nie będę nosiła podomki zapinanej z przodu na zamek błyskawiczny. Nie będę kupowała kosmetyków w drogerii ani sama farbowała sobie włosów. Nie pozwolę ci zniszczyć mojego życia.

Plakała, nie dbając o to, że tusz do rzęs rozmazuje jej się po policzkach.

– Jestem zmęczona udawaniem, że nic mnie to nie obchodzi. Niedobrze mi się robi na myśl o tym, czym się stałam. Czy choć raz, Angus, nie mogłeś pogłaskać mnie po głowie i powiedzieć mi czegoś miłego? Tak bardzo pragnęłam zobaczyć twój uśmiech, usłyszeć pochwałę. A teraz, gdy wszystko wali ci się na głowę, chcesz, bym trwała przy tobie, by stworzyć wspólny front. Jaka byłam głupia, że tu przyjechałam... ale przecież mnie o to poprosiłeś. Staralam się, Boże, jak, się na początku starałam. A ty, Angus, jątrzyłeś tylko moje otwarte rany. Afiszowałeś się z Irene, rzucając to w twarz mnie i moim dzieciom. Udana obojętność była moją jedyną bronią. Nawet nie mogę mieć pretensji do Resy i Tannera, że ulegli urokowi Irene. Tylko w ten sposób mogli się do ciebie zbliżyć. Machałeś im przed nosem Irene jak marchewką i nie pozostało im nic innego, tylko skubać.

Krażyły plotki, że Angus otrzymał ogromne sumy pieniędzy z nielegalnych zagranicznych źródeł. Jak to możliwe, że uległ pokusie? Nie mieściło jej się to w głowie. Kim byli obłudni lobbyści, z którymi się zadawał? Czym dokładnie handlował? Gdyby dać wiarę gazetowym historyjkom, zaczęło się to wiele lat temu, gdy zachorował mąż Irene Marshall. Papiery w jej torebce dowodziły, że Angus zapłacił za astronomicznie drogie eksperymentalne leczenie Henry'ego Marshalla w Meksyku. Przez całe lata płacił też za wynajęcie drogiej willi, w której wygodnie zamieszkiwał Henry, podczas gdy Angus przyprawiał mu rogi. Wystarczy dodać do tego koszty leczenia Irene i nietrudno zrozumieć, dlaczego po spłaceniu kredytów hipotecznych i dokonaniu wpłat na fundusze powiernicze konta bankowe rancza świeciły pustkami. A zerowe konta

bankowe oznaczały życie w mysiej dziurze, jedzenie okruszków i podomki na zamek błyskawiczny.

- Po moim trupie! - wymamrotała Alexis.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Alexis otarła oczy i zaczęła zbierać rzeczy przygotowując się do wyjścia. Drzwi otworzyły się i przed nią stanął najwyższy, najbardziej zarośnięty mężczyzna, jakiego w życiu widziała.

Alexis Kingsley gapiała się na stojącego przed nią człowieka i na dokumenty z jego nominacją, które podawał jej do obejrzenia. Joseph Delbert Long. Prokurator specjalny. Jej nozdrza zadrżały, gdy lekko uniosła głowę.

- A cóż to ma znaczyć?

- Chciałbym się zobaczyć z senatorem Kingsleyem.

- Jeszcze nie przyszedł. Proszę na niego zaczekać. Wpadłam, by zabrać osobiste rzeczy - skłamała Alexis. - Senator powinien wkrótce nadejść.

Alexis podeszła do młodego człowieka, który zastąpił Jessie Roland na stanowisku asystenta, i wyszeptiała:

- Pod żadnym pozorem nie wolno panu wpuszczać tego człowieka do gabinetu mojego męża. Nie obchodzi mnie, kim jest.

- Tak, proszę pani.

Alexis opuściła biuro z wysoko uniesioną głową, choć serce biło jej tak szybko, że z trudnością łapała oddech. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Zjechała windą na parter nie zaszczycając współpasażerów ani jednym spojrzaniem.

Na dworze w strugach padającego deszczu otworzyła parasol. Zobaczyła że tuż przed nią idzie jej mąż; poruszał się jak kaleka. Był przemoczony, ale wnioskując z odbijającego się na jego twarzy napięcia, nie zdawał sobie sprawy z tego, że pada.

- Angus, podejdz do mnie. Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała Alexis łagodnie. - W biurze jest mężczyzna, który nazywa się Joseph Delbert Long. To prokurator specjalny - choć nie mam pojęcia, z ramienia jakiej instytucji. Życzy sobie z tobą rozmawiać. Chcę, żebyś mnie bardzo uważnie wysłuchał. Możesz wejść pod parasol, Angus. Leje. Jesteś cały przemoczony. Chodząc po deszczu, nawet w lecie można się przeziębic.

Głos Alexis zabrzmiał teraz jak cichy syk.

- Chciałabym, żebyś rzucił na coś okiem... i radzę ci nie robić scen.

Otworzyła torebkę pokazując mu paczki dokumentów zabrane z sejfu.

- Mam je wszystkie tutaj. Jak tylko pozbędziesz się z biura tego zarośniętego niedźwiedzia, zadzwonisz do doradców finansowych, którzy otworzyli fundusze powiernicze dla bliźniąt Irene Marshall. Zlikwidujesz je i zrobisz, co trzeba, by pieniądze przelano na konto rancza. Jeśli tego nie wykonasz, wywołkę sprawę Irene i Henry'ego Marshallów i będę cię ciągać po wszystkich sądach w kraju. A potem zabiorę się do bliźniąt. Zawsze podejrzewałam, że jesteś ich ojcem. Teraz mam na to dowód. Zniszczę ich, Angus. Nie miałeś prawa zabierać tego, co należy do nas i oddawać im. Zniszczyłeś mnie, ale nie pozwolę ci zniszczyć dziedzictwa Resy i Tannera. Jak śmiesz przynosić nam taką hańbę? Jak śmiesz, Angus! Jeśli choć przez chwilę myślisz, że bliźnięta będą chciały mieć z tobą do czynienia, to popełniasz poważny błąd. Jesteś teraz zbrukany, a one ledwie rozpoczynają życie. Nie będą chciały być zamieszane w ten straszliwy skandal. Daj im wszystkie te pieniądze, które nawiasem mówiąc starczyłyby, by przeżyć życie kilka razy, a nie będziesz im już do niczego potrzebny. Dlaczego to robisz? Muszę wiedzieć, dlaczego!

- To nieważne: Zrobiłem to i na tym koniec. Powtórzyłbym to jeszcze raz, gdyby było trzeba. Jesteś złą, okrutną kobietą.

Alexis zaczęła płakać. Odezwała się do niego głosem znużonym i zdławionym przez łzy:

- Nigdy nie powinnam była uwierzyć we wszystkie kłamstwa, którymi mnie karmiłeś. Uwierzyłam, bo byłam młoda, głupia i kochałam cię. Jeśli dobrze pamiętasz, nie chciałam wychodzić za ciebie za męża. Byłam gotowa się wyprowadzić pod warunkiem, że będzieszłożył na dziecko. Nie chciałeś o tym słyszeć. Irene też nie. Nagle Irene robi się okropnie szlachetna, rozwodzi się z tobą, byś mógł poślubić mnie nie zważając na moje protesty. Obiecałeś mi wiele rzeczy i żadnej z nich nie dotrzymałeś, Angus. Miałam pełne prawo oczekiwać, że będziesz mi wierny. Byłeś? Nie. Od pierwszego dnia naszego małżeństwa romansowałeś z Irene. Jej małżeństwo z Henrym to parawan. Pewnie sam je zaaranżowałeś. Pokrycie kosztów jego leczenia to chyba była zapłata. Posłuchaj mnie uważnie. Jestem gotowa dożyć moich dni okryta hańbą, którą na nas ściągnąłeś, ale nie jestem przygotowana, by żyć w biedzie. Zlikwidujesz fundusze powiernicze, ta decyzja jest ostateczna. Bliźnięta Irene nawet nie wiedzą, że jesteś ich ojcem. Jak poradzą sobie z hańbą i skandalem,

jeśli się o tym dowiedzą? Zapłaciłeś za ich wykształcenie, odziedziczą dom po matce wraz z hipoteką i wszystkim innym i będą żyły dalej. Nie staną się częścią naszego życia. Czy to jasne, Angus?

- Nie! Nie mogę im tego zrobić. Oczekują że dostaną fundusze powiernicze. Irene i ja mówiliśmy im o tym. To są moje dzieci.

- Masz obowiązki przede wszystkim w stosunku do naszej rodziny. To wszystko twoja sprawka, Angus. Ty narobiłeś bałaganu i ty nas z niego wyciągniesz. Pierwszy krok to fundusze powiernicze. Zapamiętaj sobie, Angus: mówiłam serio. Zniszczę ich, a jeśli staniesz mi na drodze, ciebie czeka to samo. Będzie to bez porównania gorsze niż to, czego doświadczyłeś do tej pory. Nadszedł czas zapłaty, Angus. I ostatnia rzecz: wykreśl nazwiska bliźniąt z aktu własności rancza. Chcę, żebyś załatwił to wszystko do końca dzisiejszego dnia. Nie dam ci ani godziny dłużej.

- Alexis?

- Co?

- Nigdy cię nie kochałem.

- Wiem o tym, Angus. Miałam nadzieję, że kiedyś pokochasz mnie tak, jak ja kochałam ciebie. Chyba nawet wtedy wiedziałam, że nic z tego nie będzie, choć wciąż się łudziłam. Dlatego nie chciałam za ciebie wyjść. Zrzuć winę na tego, kto zawinił: na Irene.

- Nie była doskonała.

- Ja też nie jestem. Ani ty. Mówimy o naszym finansowym przetrwaniu. Chyba poradzę sobie ze skandalem i hańbą, ale nie potrafię poradzić sobie z biedą.

- Dziś po południu odbędzie się konferencja prasowa, na której ogłoszę swoją rezygnację. Chciałbym, żebyś była przy mnie.

- Tak, wiem, że bardzo byś tego chciał. Nie jestem ci nic winna, Angus, nie zasługujesz nawet na mój szacunek. Ty zaś jesteś mi winien moje życie. Jak mam ci przebaczyć lata hańby i zaniedbywania? - Alexis powstrzymała szloch. - O której godzinie ma się odbyć konferencja?

- O szesnastej - powiedział Angus, czując, jak napinają mu się mięśnie. - Gdy miałem atak serca, modliłaś się pewnie o mój rychły zgon.

- Wręcz przeciwnie. Modliłam się o to, byś przeżył. Zapaliłam nawet w kościele świeczkę w tej intencji.

- To chyba największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- Wierz albo nie, jak chcesz. Stanę przy twoim boku, Angus. Gdzie będziesz mieszkał, gdy to wszystko się skończy?

- Co to znaczy: gdzie będę mieszkał?

Alexis spojrzała na męża z klinicznym zainteresowaniem. Zobaczyła w jego oczach strach i zagrała na nim.

- O bliźniętach możesz zapomnieć. Nie będą chciały mieć z tobą do czynienia. Resa i jej mąż odjechali Bóg wie gdzie. Tanner mieszka na ranczu. Ja też tam mieszkam. Czy zamierzasz pozostać w mieszkaniu w mieście, z prasą i władzami na karku?

- Ranczo od pokoleń należy do mojej rodziny. Nie jest twoje.

- Należy do nas, Angus. Dzieci i ja nie zamierzamy dzielić się naszą połową. Każdy głupiec zauważy, że nie czujesz się dobrze. Wyjdź mi naprzeciw, Angus, a będziesz mógł wrócić na ranczo. Zaopiekuję się tobą. Poświęcę ci całe moje życie, jeśli to będzie konieczne. Myślę, że powinieneś pójść do biura i przebrać się. Pamiętaj, co powiedziałam. Zadzwoń do Tannera, by odebrał nas z lotniska.

Angus Kingsley stał w strugach deszczu patrząc na odchodzącą żonę, nieświadomy ciekawych spojrzeń, jakie rzucali na niego przechodnie spieszący do środka, by schować się przed deszczem. Wiedział, że zrobi tak, jak powiedziała. Nie miał innego wyjścia i nie starczało mu już sił. Mógł mieć jedynie nadzieję, że przeżyje resztę swoich dni na ranczu, które niegdyś tak kochał.

Gdy szedł powłócząc nogami, poczuł ściskanie w klatce piersiowej. Walczył o głębszy oddech. Gdyby przyszło mu jeszcze raz przeżyć życie, postępowałby tak samo. Nic by nie zmienił... chociaż to, że zataił przed bliźniętami, iż jest ich ojcem, było pewnie jedyną rzeczą, którą zrobił dobrze. Przyznanie tego przychodziło mu z trudnością, jednak Alexis miała co do nich rację. Nie dzwoniły już do niego. Wiedział na pewno, że jeśli nie zrobi tego, czego żądała Alexis, one podejmą pieniądze z funduszków powierniczych, gdy tylko go zabraknie. Czasami życie było takie niesprawiedliwe. Jedyna pociecha, to że gdy rozpoczną się przesłuchania i zostaną wysunięte oskarżenia, on będzie już razem z Irene.

- Co będzie, to będzie - wymamrotał.

Jessie oglądała wiadomości wieczorne jedząc kwaśne zielone jabłko. Oczy jej łzawiły od cierpkiego smaku. Patrzyła na człowieka, którego niegdyś uwielbiała, jak stara się stać prosto przed mikrofonami i kamerami telewizyjnymi, z żoną u boku, trzymającą go opiekuńczo pod ramię. Wyglądał na chorego. Był niczym śmiertelnie ranny wojownik, który wie, że koniec jest bliski. Nie mogła się powstrzymać przed pytaniem, dlaczego jego dzieci mu nie towarzyszą. Czy ona odważy się do niego zadzwonić? Czy w ogóle chce to zrobić? Co mu powie? „Przykro mi, że zdradził pan swoich wyborców i rodzinę?” Ugryzła jabłko, a sok pociekł jej po brodzie.

Niektóre rzeczy, pomyślała, lepiej zostawić w spokoju. Cokolwiek senator zrobił, to nie jej sprawa. Tylko dlatego, że wyszła za jego syna, nie musiała interesować się obecnymi problemami senatora.

Śluchając wiadomości Jessie zorientowała się, że spiker i reporterzy podsycają skandal związany z osobą senatora Kingsleya. Dlaczego bez końca wałkowali ten temat? Dlaczego kopali leżącego? Chciała właśnie wyłączyć odbiornik, gdy prowadzący wiadomości poinformował, że z lotniska w Waszyngtonie będzie na żywo transmitowany odlot senatora i jego żony do Corpus Christi w Teksasie. Czy chciała to oglądać? Nie. Cisza, która zapadła po wyłączeniu telewizora, dzwoniła w uszach. Później, wieczorem, przeczyta gazetę. Jej zdaniem łatwiej było znieść opisy strasznych i smutnych wydarzeń zamieszczone w prasie niż oglądać je na własne oczy.

W kuchni Jessie popatrzyła na telefon. Czy powinna zadzwonić do Luke'a Holta i zaprosić go na kolację? Nie. A może jednak? Nie, chyba nie. Spaghetti miała pod dostatkiem. W końcu wyrzuciła ręce w powietrze w geście bezradności.

Co to za życie? – pomyślała. Przecież nic nie robię, nie biorę w niczym udziału. Snuję się tylko z pokoju do pokoju i chodzę do sklepu spożywczego. Nie jestem chyba aż tak zdesperowana, by zapraszać na kolację kogoś, kogo dopiero co poznałam. To nie jest życie, to egzystencja.

Jessie wróciła do pokoju i znowu zaczęła gapić się w telewizor. Pragnienie, by do kogoś zadzwonić, było tak silne, że mocno zacisnęła dłonie w pięści. Do kogo miałyby telefonować? Do rodziców, Luke'a Holta, Tannera, Arthura?

– Do nikogo z nich – wymarotała przez zaciśnięte zęby.

W chwilę później sięgnęła do szafy po płócienną torbę w kolorze czereśni i zaczęła pakować do niej niektóre z niedawno kupionych ubrań. Gdy torba była prawie pełna, przestała. Co za sens jechać do Atlanty czy Nowego Orleanu? Nikt tam na nią nie czeka. Po co się zadręczać? Rozpakowała torbę i włożyła do szafy.

- Muszę zapuścić gdzieś korzenie - mruzczała. - Muszę coś robić. Muszę znaleźć sobie pracę. Muszę żyć. Jeśli wyjadę, nie będzie komu odebrać i zapłacić za rzeczy, które zamówiłam. To część mojego nowego życia. Muszę tu zostać. Muszę nadać mojemu życiu sens. Od tej chwili będę robiła to, co chcę.

Nienawidziła mamrotać sama do siebie. Gdy ojciec chodził w kółko mamrocząc pod nosem, matka mówiła, że zachowuje się jak półgłówek.

Jessie uderzyła się w czoło otwartą dłonią, bo przyszła jej do głowy genialna myśl. Pobiegła do biura i wybiła na klawiaturze przy drzwiach kod - swoją datę urodzenia. Już po chwili siedziała przed komputerem przeglądając listę posiadanych firm, dopóki nie natrafiła na tę, której szukała - International Designs. Firma wystawiennicza z siedzibą w Mediolanie, handlująca unikalnymi przedmiotami artystycznymi. Zapoznając się z raportami finansowymi i danymi dotyczącymi działania biura natrafiła na nazwisko dyrektora naczelnego galerii oraz listę eksponatów sprzedanych od początku roku.

Jessie popchnęła krzesło obrotowe pod ścianę, gwizdnęła głośno i wstała. International Designs to z pewnością dochodowe, sprawnie zarządzane przedsiębiorstwo. Nie mogła wymarzyć sobie lepszego sprzedawcy swoich prac. Może powinna pomyśleć o błyszczącym katalogu? Była teraz podniecona, jej myśli biegły w różnych kierunkach. Import, eksport, katalogi do użytku krajowego, a może także wysyłane za granicę. Urzeczywistnienie tej wizji wymagało od niej jedynie talentu. Czy trudno byłoby wyrzeźbić to, co namalowała? Do głowy przyszła jej jeszcze jedna myśl. Zanim pod jej wpływem przystąpiła do działania, zapisała adres i telefon International Designs, a potem wyłączyła komputer. Pobiegła do galerii i zaczęła przechadzać się od jednego rysunku do drugiego. Mogła wyjąć je z ram, zwinąć, zapakować do okrągłych pojemników i wysłać pocztą lotniczą, by oprawiono je i wystawiono w galerii International Designs w Mediolanie. Jeśli dołączy do nich metki z absurdalnie wysokimi cenami, na pewno znajdą nabywcę. Każdy wystarczająco

głupi, by zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za tabakierkę, z pewnością wyda pięć tysięcy na jeden z jej szkiców. Zdejmując obrazy ze ścian Jessie powtarzała sobie, że powinna myśleć w dużej skali. Miała tysiące takich rysunków. Dużych, małych, średniej wielkości, rozmiaru plakatu i kartki zeszytowej. Będzie musiała pojechać do Atlanty, by je stamtąd zabrać. Setki jej prac zostało w starym domku do zabawy w Charlestonie. Kilka było nawet w domu Sophie w Nowym Orleanie.

Jessie usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ostatnim razem była tak podniecona i tryskająca energią. Nigdy – oto odpowiedź. Pamiętała uczucie podniecenia perspektywą wyjazdu z Charlestonu, ucieczki od rodziców i samodzielności; jednak nie mogło się ono równać z tym, co czuła teraz. To musi coś znaczyć. Czy w końcu odnalazła swoje powołanie? Czy to jest to, czym powinna się zajmować?

- Kogo to obchodzi? - krzyknęła Jessie, a jej głos dźwięczał czystą radością. - I tak to zrobię!

Może jednak spakuje czerwoną płócienną torbę.

Luke Holt uderzył gazetą o brzeg krzesła na znak, że Buzz ma być cicho, aż jego pan skończy oglądać przedpołudniowe wiadomości. Wtedy dopiero pójda na spacer.

Buzz, z natury spokojny, zachowywał się inaczej niż zwykle. Najpierw warknął, potem opadł na brzuch, by zaraz się podnieść i machać gniewnie ogonem, aż uderzał o kostkę Luke'a. Potem zaskomlał i zaczął drapać łapami dywan pod bujnym fotelem.

- Cicho, Buzz, chcę tego posłuchać. Zdaje się, że Kingsleyowie wreszcie się doigrali. Wiesz, jak to mówią: dobro i zło zatacza krąg i wraca do człowieka. Senator wygląda jak stary zmęczony pies, który się w końcu poddał. Okay, okay, o co chodzi, Buzz?

Okulary zsunęły się z nosa Luke'a, a gazeta spadła na podłogę.

- Poddaję się. Co cię, do diabła, gryzie? Przez cały dzień stroisz fochy. Czego chcesz? Masz już dwa gryzaczki, kość i mnóstwo ciasteczek Fig Newtons. Żadnych smakołyków więcej. Rozchorujesz się od całego tego świństwa, którym cię częstuję. Na kolację dostaniesz psie jedzenie. Doprowadzasz mnie do szału. Przestań patrzeć na mnie tak, jakbym ci obciął ogon. Musisz mi dać

wskazówkę, coś, czego mógłbym się uchwycić. Jezu, jaka szkoda, że nie umiesz mówić. Pokaż mi!

Pies pobiegł do kuchni, rozejrzał się i usiadł koło kuchenki.

- Tak, już prawie czas na kolację. Psie jedzenie. Okay, okay, pójdziemy na spacer. Chodź.

Zamiast stanąć przy drzwiach, jak to miał w zwyczaju, pies pobiegł z powrotem w stronę legowiska, a potem po schodach na górę, na drugie piętro. Luke poszedł za nim klnąc po drodze.

- Lepiej, żebyś nie pokazał mi miejsca, gdzie nasiusiałeś, bo dziś będziesz spał w stajni.

Buzz zaszczekał wskakując na podwójne łóżko Luke'a.

- Robisz to od czasu, gdy skończyłeś dwa miesiące. Musisz wymyślić lepszą wskazówkę, bo ta nic nie znaczy. To nie przejdzie nawet jako sztuczka. Okay, okay, chyba zaczynam łapać, o co ci chodzi.

Luke patrzył, jak pies wyciąga poduszkę spod kołdry i spycha na podłogę.

- Dlaczego ci tego nie ułatwię, skoro wiem, że zdjęcie kołdry z łóżka zajmie ci pewnie z godzinę? - Luke szarpnął za narzutę i opuścił ją na podłogę. - I co teraz?

Buzz usiadł na zadzie z głową przekrzywioną na bok i zaszczekał.

- Polubiłeś ją, prawda? Tak, tak, już rozumiem. Powiedziała, że zadzwoni i zaprosi nas na kolację. To za wcześnie. Chyba moglibyśmy, no wiesz, podjechać do jej mieszkania. Może przypadkiem będzie myła okna i nas zobaczy? To chyba nie zaszkodzi. Moglibyśmy nawet zapukać do drzwi i powiedzieć, że akurat byliśmy w sąsiedztwie. To chyba zły pomysł, ale pójde na to, jeśli i ty się zgadzasz.

Buzz zaszczekał i zanurkował pod łóżko, gdzie znajdowały się jego zabawki. Luke słuchał, jak grzebie poszukując ulubionej piszczącej maskotki. Kiedy w końcu wyczołgał się spod łóżka, w zębach trzymał miniaturę samego siebie wykonaną z lateksu. Upuścił ją Luke'owi na kolana.

- Wiem, że to ma coś znaczyć. Wskazówki, Buzz, potrzebuję dalszych wskazówek.

Buzz przesunął i popychał zabawkę, dopóki nie znalazła się w ręku Luke'a, który dla zabawy ją nacisnął. Pies szczeknął i przesunął zabawkę w zgięcie ramienia Luke'a.

Luke z impetem usiadł przy łóżku i oparł się o nie plecami, patrząc na dyszącego psa.

- Ktokolwiek powiedział, że psy są głupie, z pewnością nie znał ciebie. Chcesz, żebyśmy znaleźli dla niej psa i go jej zawieźli? Chyba o to ci chodzi. Co, nie szczekasz? Mam rację?

Buzz polizał Luke'a po twarzy machając ogonem tak szybko, że od samego patrzenia można było dostać zawrotu głowy.

- Okay, bierzmy się do dzieła! To będzie dobry pretekst, by zapukać do jej drzwi. Ta gadka o tym, że przypadkiem znaleźliśmy się w okolicy, i tak by nie przeszła. Co powiesz na szczeniaka i chińszczyznę?

Buzz wyprysnął na dwór jak smuga złotego światła. Siedział w furgonetce, zanim Luke dotarł do kuchni.

- Zapomnij o kotletach wieprzowych, dziś jemy na mieście - powiedział Luke gospodyni. - Następny przystanek: schronisko dla zwierząt w Corpus Christi.

Buzz zjadł ciasteczko, które wałało się na siedzeniu samochodu. Trzydzieści minut później furgonetka Luke'a, zgrzytając o żwir, który wyprysnął spod tylnych kół, zatrzymała się przed schroniskiem.

- Hej, Alvin, zaczekaj! Nie zamykaj jeszcze.

- Luke, co cię tu sprowadza? Hej, Buzz, jak leci? Popeniłem wielki błąd oddając ci tego psa.

- Twoja strata, mój zysk. Prędzej rozstałbym się z ranczem niż oddał to zwierzę. Słuchaj, szukam psa dla... dla pewnej osoby. Moim zdaniem, i Buzza też, przydałby się jej pies. Nie sądzę, bym się mylił. Wiem, co zaraz powiesz... Ale jeśli sprawa nie wypali, zabiorę psa do siebie. No to jak, umowa stoi?

- To, że wpadłeś, to prawdziwe zrządzenie losu - powiedział Alvin. - Dave Palmer przyprowadził tu w poniedziałek sukę, którą znalazł przy drodze. Była ledwie żywa i miała ze sobą szczeniaka. Zająłem się nią i teraz jest w porządku. Szczeniak też. Nie mogę ich rozdzielać, bo szczeniak wciąż pije mleko matki. Powiedziałbym, że do niedawna ktoś dobrze się nią opiekował. Boże, są dni, gdy żałuję, że zwierzęta nie umieją mówić. Była bez obroży. Dbano o nią, bo ma przycięte pazury. Dzwoniłem do tutejszych weterynarzy, ale to nic nie dało. Czy ta... osoba to taki typ człowieka, co to zająłby się psem, o którym mówię?

- Myślę, że tak, Alvin. Ale, jak powiedziałem, wezmę do siebie oba psy, jeśli to nie wypali. Jakiej jest rasy?

- Czysty retriever. Piękne zwierzę. Jest młoda. Zgaduję, ale wydaje mi się, że miała dopiero jedną cieczkę. Nie podoba jej się klatka i nie znosi psiego żarcia, którym ją karmię. Jej poprzedni właściciel karmił ją resztkami ze stołu, bo zwykle jedzenie pożera bez namysłu.

- Zobaczymy ją.

Buzz cofał się, dopóki grzbietem nie dotknął furgonetki. Zaczął skomleć.

- Pamiętasz, prawda? - powiedział Luke łagodnie. - To dobre miejsce, Buzz. Poczekaj tu na mnie.

- A więc, co myślisz? - spytał Alvin.

- Myślę, że to bardzo ładne zwierzę, Alvin. Szczeniak też jest śliczny. Pies czy suka?

- Pies. Niech suka cię dobrze obwącha. Szkoda, że Buzz nie chce tu wejść. Ona jest nerwowa, jeśli chodzi o szczeniaka. Choć była taka słaba, stawiała się, gdy Dave chciał ją zabrać do furgonetki. Będzie dla kogoś wspaniałym towarzystwem. Zastanawiałem się, czy nie wziąć jej dla siebie.

- Biorę ją Alvin. Idź do Buzza, a ja z nią porozmawiam. Nie chcę, żeby była przestraszona. Postaraj się skłonić Buzza, żeby tu przyszedł. Czy ona ma jakieś imię?

- Dziewczyny nazywają ją Silky, a szczeniak ma na imię Sam. Ale nie reagują na żadne z tych imion, więc możesz nadać im takie, jakie zechcesz. Dostały wszystkie potrzebne szczepionki. Muszę pobrać od ciebie opłatę, Luke.

Pieniądze przeszły z rąk do rąk.

- Kup więcej karmy dla reszty psów. Nie możesz znaleźć dla nich domów?

- Wszystko w swoim czasie. Wiesz, że ich nie usypiamy. Do przyszłego tygodnia większość z nich umieszczę w nowych domach. Ludzie z okolicy zawsze wpadają, gdy pojawiają się w wieczornych wiadomościach. Spróbuje wprowadzić tu Buzza.

Luke otworzył drzwi do budy i sięgnął do środka, by pogłaskać aksamitną sierść na łbie suki. Przemawiał długo cichym, łagodnym głosem, zanim sięgnął po szczeniaka.

- Chodź, piesku, pojedziemy tam, gdzie będziesz szczęśliwa. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem. Nie pojedziemy z pustymi rękami. Kupimy trochę

prawdziwego jedzenia, obrozę, smycz i inne rzeczy dla psów i przewiążemy cię dużą czerwoną kokardą. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odrzuciłby takiego prezentu.

Odwrócił się, gdy poczuł szturchnięcie w nogę.

- A to jest Buzz. Okay, ruszajmy w drogę.

- Tył furgonetki wyłożyłem starymi ręcznikami, Luke. Niech Buzz pojedzie z tyłu razem z nimi.

- Chyba nie sądzisz, że ona wyskoczy?

- Oczywiście, że nie. Przede wszystkim troszczy się o szczeniaka. Spodobaleś jej się, widzę to. Wciąż jeszcze jest trochę słaba, ale kilka dni na dobrym jedzeniu i będzie się aż palić do biegania. Umie chodzić na smyczy. Chyba się zgubiła, tak myślę. Może jej poprzedni właściciele byli tu przejazdem, a ona się niechcący oddała. Najpierw włóż szczeniaka, potem ją, a Buzz wskoczy na końcu. Jeśli się denerwujesz, mogę pojechać z wami, ale chyba wszystko będzie w porządku. Buzz jej przypilnuje.

- Poradzimy sobie, Alvin. Dzięki.

- Przekaż tej osobie, żeby do mnie zadzwoniła, jeśli będzie miała jakieś problemy. Czy to kobieta?

- Tak.

- To będą do siebie pasować. Suki przywiązują się do kobiet. A ten mały się przyłączy. Do zobaczenia, Luke.

Podnosząc sukę do góry Luke poczuł lzy pod powiekami. W chwili, gdy miał ją położyć na legowisku z ręczników, uniosła głowę i polizała go po twarzy.

- Uważaj na nich, Buzz. Będę jechał wolno, ale musimy się zatrzymać w paru miejscach.

Za dwadzieścia ósma Luke zatrzymał się przy krawężniku przed budynkiem Jessie. Sprawdził, jak się czują psy, a potem podszedł do drzwi i zdecydowanie zapukał, marszcząc brwi na widok skomplikowanego elektronicznego zamka. Kiedy drzwi się otworzyły, szeroko się uśmiechnął.

- Miałem opowiedzieć ci bajeczkę o tym, że byłem w sąsiedztwie, ale pomyślałem, że nie dasz się na to nabrać. Buzz chciał do ciebie przyjechać. To naprawdę bardzo długa historia. Przywiozłem ci prezenty. To...och, to jest... taki prezent, który trzeba najpierw zobaczyć. Jest z tyłu furgonetki, tam gdzie

Buzz. Naprawdę chciał do ciebie przyjechać. Obiecałaś, że zaprosisz nas na kolację. Miałem zamiar kupić chińszczyznę, ale nie starczyło mi czasu.

- W porządku. Sama chciałam do ciebie zadzwonić, ale potem pomyślałam, że to za wcześnie. Ugotowałam cały garnek spaghetti. Czy Buzz lubi kulki mięsne?

- Buzz je wszystko. Ja też. Chcesz obejrzeć prezent? Posłuchaj... to taki rodzaj prezentu, którego nie można zwrócić. Jeśli ci się nie spodoba, chyba ja będę mógł go zatrzymać. Ładnie wyglądasz. Do twarzy ci w tym kolorze. Jaki to kolor?

Jessie zarumieniła się. Bogu dzięki, że uczesała włosy i umyła twarz. Spryskała się też odrobiną perfum.

- Śliwkowy. Cieszę się, że wpadłeś, bo naprawdę bardzo nie lubię jadać sama. Mogę już zobaczyć prezent?

Mówiła zdyszonym głosem. Czy Luke to zauważył? Oczywiście, że tak.

- Tak, jasne. To znaczy, tak, czeka na ciebie.

- Jezu, Luke! Ta suczka jest dla mnie? Bo to suczka, prawda? I szczeniaczek! Zrobiłeś to dla mnie? Jesteś taki kochany, taki słodki!

Jessie zarzuciła ramiona na szyję Luke'a. Po chwili odsunęła się czerwona jak burak. Buzz zawył. Szczeniak wydał z siebie odgłos, który miał być warknięciem, ale zabrzmiał jak miauczenie kota. Suka wstała.

- Wniosę ją do domu. To suka. Szczeniak to pies. To dość oczywiste - mamrotał Luke. - Wszystkie te rzeczy są dla nich. Trzeba będzie wrócić po to z sześć razy. Kupiliśmy nawet trochę jedzenia. To jest to, co na początku dawałem Buzzowi. Potem go od tego odzwyczaiłem i karmiłem psim jedzeniem.

- Ona się boi. Patrz, jak drży. A co będzie, jeśli mnie nie polubi?

- Pokocha cię. Musisz tylko przywiązać się do niej. Z tego, co wiem, mniej więcej w zeszłym tygodniu przeszła ciężkie chwile. Weź szczeniaka i idź pierwsza. W ten sposób nabierze do ciebie zaufania.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Więc ją zatrzymasz?

- Tylko spróbuj mi ją zabrać! Szczeniak jest rozkoszny.

- Słyszałeś, Buzz? Powiedziała, że szczeniak jest rozkoszny. A co my tu mamy? - zdziwił się Luke kładąc resztę rzeczy dla psów w małej galerii.

- To moje rysunki. Właściwie szkice, które moja przyjaciółka Sophie opравиła dla mnie.

- Miałaś kiedyś takiego psa? - spytał Luke, przechodząc od jednego rysunku do drugiego.

- Nigdy nie miałam psa. Rodzice mi nie pozwolili. Ale kiedy byłam mała, miałam całe tony książek z obrazkami. Większość to były książki o psach. Jakiś pies musiał mi się spodobać bardziej niż inne. Zdaje się, że bez końca rysuję tego samego. Zdjęłam rysunki ze ściany tuż przed twoim przyjściem. Wysłałam je do Mediolanu, do galerii. Gdzie złożymy wszystkie te rzeczy dla psów?

- Rozejrzyjmy się. Gdzie chcesz, żeby spała?

- W moim pokoju. Na łóżku razem ze mną. Zawsze chciałam, żeby jakiś pies spał w nogach łóżka i ogrzewał mi stopy. A gdzie śpi Buzz?

- Na moim łóżku. Zaczął od nóg, ale stopniowo przesunął się ku górze. Teraz on ma jedną poduszkę, a ja drugą. Moja gospodyni mówi, że Buzz chrapie głośniejsze niż ja.

Jessie roześmiała się. Zebrała rzeczy, by zanieść je na poddasze.

- Rozłóż to legowisko. Jest podbite łatwym do prania kożuszkciem. Okay, teraz połóż na nim sukę, a ty złap szczeniaka i ulokuj go obok matki. Kilka zabawek, może pluszowe albo gumowe, i myślę, że oboje zasną. To ceramiczna miska na wodę. Robi je pewien Indianin z Santa Fe. Jeśli zawieziesz ją później do sklepu, namalują na niej imię psa. Imię psa jest bardzo ważne, więc radzę ci się nie spieszyć. Buzz i ja wyjdziemy z sypialni i zaczekamy na dole. Musisz spędzić z nią teraz trochę czasu, by zrozumiała, że jest bezpieczna i że ma nowy dom. Pogłaszcz ją po łbie i łagodnie przemawiaj.

- Posłuchaj, przepraszam za to, co ci powiedziałam tamtej nocy, że nie dbasz o psa. To była straszna noc.

- Czasami pozory mylą. Oglądałaś dzisiejsze wieczorne wiadomości?

- Właściwie tak, ale nie chcę rozmawiać o Kingsleyach. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, nakryj do stołu. Kuchnia jest mała, więc po prostu się rozejrzyj, a wszystko samo wpadnie ci w ręce.

Jessie zamknęła drzwi za Lukiem i Buzzem. Usiadła obok legowiska i głaskała aksamitny psi łeb. Szczeniak smacznie spał. Łzy napłynęły Jessie do oczu.

- Wiem, że masz za sobą bolesne przeżycia, ale nigdy więcej nie będziesz musiała się o nic martwić. Zajmę się tobą. Na zawsze. Szczeniakiem też. Myślę, że wynagrodzisz mi wiele rzeczy, które mi w życiu nie wyszły.

Przemienne pragnienie, by tulić i ścisnąć psa w ramionach, dopóki nie zacznie piszczeć, było tak silne, że Jessie uderzyła rękami o podłogę. Zmęczony pies otworzył oczy i cicho zaskomlał. Jessie zanuciła mu kołysankę i pogłaskała go po łbie.

- Śpij. Wszystko będzie dobrze. Zostawię otwarte drzwi.

Wychodząc Jessie obrzuciła jeszcze spojrzeniem śpiące zwierzęta.

- Dziękuję ci, Boże - wyszeptwała. - Dziękuję, że zesłałeś mi Luke'a.

Później, gdy Luke już pójdzie, pomyśli o tym, co właśnie dla niej zrobił.

- Wygląda odświętnie - powiedziała wchodząc do pokoju.

- To przez te czerwone serwetki.

- Kocham czerwony kolor, fioletowy też.

- Buzz ma czerwoną chustę, którą zakładam mu latem. Lubisz lato, Jessie?

- Teraz lubię. Zaczynam nowe życie. Podasz mi kolację?

- Ugotowałam jedzenie, więc przynajmniej to mogę zrobić. Ale nie poznywam.

- Nie znoszę sprzątać po posiłku. Idzie szybciej, jak robią to dwie osoby.

Jak ci smakuje? Dobre czy tylko w porządku?

- Smaczne. Wyciągnąłem kilka kulek mięsnych dla Buzza. Psy nie powinny jeść sosu pomidorowego. Wiedziałaś o tym?

- Nie.

- Kupiliśmy ci dwie książki o psach - takie w pytaniach i odpowiedziach. Potrzeba około dwóch tygodni, by suka odzyskała formę. Dawaj jej dużo warzyw z kurczakiem. Kurczaka włożyłem do zamrażalnika. Tego nie ma w książkach. Karmiłem tym Buzza, i popatrz tylko na niego. Nie mogę sobie jednak przypisać całej zasługi, bo to Alvin mi o tym powiedział. Ma psa, który przez dziewiętnaście lat nie jadł niczego poza warzywami i owocami. Alvin jest wegeterianinem, a jego pies miewa się świetnie, poza tym, że jest stary i trochę ospały.

- Zadziwiający.

- Ładne mieszkancko. Co jest za galerią? Będziesz pracowała w galerii, czy co?

- Czy co. - Jessie położyła widelec obok talerza. - Ten budynek należy do mnie. Za galerią jest biuro. Później ci je pokażę. Czasami zupełnie nie mieści mi się w głowie, że sprawy przybrały taki obrót. Mam przeczucie, że ty i ja zostaniemy dobrymi przyjaciółmi, więc nie chcę naszej przyjaźni rozpoczynać od kłamstwa. Jeśli się mylę co do tej przyjaźni, to też nic nie szkodzi. Powiem ci, kim jestem i jaka jestem. Nienawidzę kłamstwa i nienawidzę podstępów. Nienawidzę bez przerwy mieć się na baczności, bać się, że powiem coś, co mnie zdekonspiruje. Nie chcę się kryć. Chcę tylko być sobą ale nawet tego nie mogę robić, bo od jakiegoś czasu sama nie wiem, kim jestem. To długa historia. Chcesz ją usłyszeć?

- Tak.

Jessie opowiadała mu o sobie przez godzinę bez przerwy. Uważnie obserwowała reakcję Luke'a na to, co mówiła. Kiedy nie zobaczyła nic, co mogłoby ją zaniepokoić, skończyła mówiąc:

- ...i tak to jest.

- Nigdy nie powiedziałaś o tym Tannerowi? Dlaczego?

- Przeczucie. Ostrzeżenia Sophie. Mój własny brak zaufania. Nie byłam pewna, czy go kocham. Małżeństwo z nim nie wydawało mi się dobrym pomysłem. To był wielki błąd, ale teraz mam to za sobą. Najgorsze, że nie wiem, co robić z pieniędzmi. Pracuję nad tym, ale z pewnością nie będzie to dzieło mego życia, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Dobra, teraz opowiedz mi o sobie.

Luke zmarszczył brwi.

- To mi nie pasuje... to, że Tanner nie wie. Wiem, że Tanner postawił sobie za zadanie zawsze wiedzieć wszystko.

- Tu mu się nie udało. Sophie była jedyną wtajemniczoną osobą. Nie podoba mi się wyraz twojej twarzy, Luke. Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Wszyscy o tym wiedzą, więc to żaden sekret.

Twarz Jessie stężała.

- Chcę to usłyszeć - powiedziała.

- Gdy chodziłem do szkoły średniej, Angus przywoził na ranczo dzieciaki z miasta. Chodziło o świeże powietrze, zdrowe jedzenie, zwierzęta, przestrzeń...

takie rzeczy. Zostawały przez całe lato. Po raz pierwszy przyjechały z wizyta, gdy chodziliśmy do pierwszej klasy. Co roku przyjeżdżały inne dzieci, z wyjątkiem jednego chłopaka, który bywał co roku. Nie wiem czy to prawda, ale plotka głosi, że Angus zapłacił za jego wykształcenie w college'u. To plus dla Angus. Po ukończeniu szkoły na ranczu odbyło się wielkie przyjęcie. Uczestniczyłem w nim. Było sporo zgielku, wypiliśmy dużo piwa. Siedzieliśmy wokół dużego ogniska piekąc korzenie prawoślazu i rozmowa zesłała na sprawy męsko-damskie. Było późno, dziewczęta zostały odesłane do łóżek, bo pani Kinglsey usłyszała, że Łasica chce odegrać rolę Lady Godivy. Pomiędzy Tannerem a tym chłopakiem rozpetała się dyskusja. Doszli do wniosku, że ich celem życiowym będzie znalezienie bogatej dziewczyny, aby się z nią ożenić. Włożyliśmy do puli wszystkie nasze pieniądze i postanowiliśmy, że pierwszy, który złapie bogatą dziewczynę, dostanie całą pulę. Myślę, że było tego z osiemdziesiąt dolców. Przez całe lato, dopóki nie poszliśmy do college'u, Tanner i ten chłopak spiskowali i intrygowali. Przestałem przyjeżdżać na ranczo mniej więcej w tym czasie, bo ogarnęła ich na tym punkcie obsesja. Szczególnie tamtego. Mówiliśmy na niego J.J. Chyba spędził w bibliotece całe lato szukając informacji na ten temat. J.J. był jednym z najbardziej bystrych chłopaków, jakich kiedykolwiek spotkałem. Wiedział, jak prowadzić poszukiwania i zarzucać sieci. Pod tym względem był podobny do twojej przyjaciółki Sophie. Kiedy pod koniec lata się rozstaliśmy, zdobyli już listę młodych kobiet do wzięcia i ich dane biograficzne. Tanner miał własny samochód i mnóstwo pieniędzy. Wozili się tylko po okolicy i prowadzili poszukiwania. Mniej więcej dwa lata temu, może trochę wcześniej, słyszałem od jednego z chłopaków, że J.J. zarzucił wędkę na naprawę dużą rybę. Małżeństwo z nią miało zapewnić styl życia, o którym on i Tanner zawsze marzyli.

Nie chciała tego słuchać. Wbrew sobie powiedziała:

- Myślałam, że Łasica jest bogata.

Natychmiast z przykrością poczuła, że ciepły rumieniec rozlewa się jej po szyi i pełźnie w górę ku twarzy.

- Z tego, co wiem, dobrze jej się żyje, ale jej rodzice, tak jak i inni ranczerzy, mieli problemy. Duże pieniądze skończyły się im wiele lat temu. Teraz głównie utrzymują pozory. Wiesz, ci chłopcy nie myśleli o zwykłym

bogactwie, jeśli można to tak określić. To miał być taki rodzaj bogactwa, jaki kojarzy się z osobą Onassisa.

- Och.

Sophie Ashwood była jedyną znaną jej osobą, która miała właśnie taki majątek. Teraz należał do niej. Nagle poczuła mdłości.

- Wiem, o czym myślisz i chociaż z przykrością, ale chyba się z tobą zgadzam. Nie wszystko można przypisać zbiegowi okoliczności.

- Jak... jak się nazywał J.J.?

- Nie wiem. Chyba nigdy nie poznałem jego nazwiska. Jeśli nawet kiedyś wiedziałem, zapomniałem. To było dawno temu. Nie zamierzałem się z nim przyjaźnić, nie bardziej niż w owym czasie z Tannerem. Nie lubię o tym mówić. Przynajmniej teraz wiesz coś więcej o Tannerze. Mogło to być dla nich marzenie ściętej głowy. O ile wiem, J.J. nigdy tu nie wrócił. Ktoś w mieście by o tym wspomniał. A teraz, wracając do twojego pytania, jestem jak otwarta księga. Gdzie Buzz?

- Może poszedł sprawdzić, jak się mają moi nowi współlokatorzy. Chodźmy.

Później, gdy położy się do łóżka, przemyśli sobie to, co powiedział jej Luke.

W drzwiach Luke zatkał sobie usta ręką by nie roześmiać się na głos. Jessie zrobiła to samo. Buzz leżał rozciągnięty na łóżku, z łbem na jednej z poduszek. Na drugiej poduszce spoczywała głowa sukki. Spokojnie spali.

- Buzz ma słabość do poduszek - wyszeptał Luke. - Nie żartowałem, gdy mówiłem, że chciał tu przyjechać.

Luke opowiedział jej o rozmaitych wyczynach Buzza na ranczu. Rozbawiło to Jessie.

Gdy wrócili do kuchni, poczęstowała Luke'a kawą.

- A teraz opowiedz mi o sobie. Chcę się dowiedzieć, co zaszło między tobą a Kingsleyami.

- Trzeba zacząć od tego, że nigdy nie chciałem zostać ranczerem, ale nie miałem innego wyjścia, gdy mój ojciec i macocha zginęli w wypadku. Studiowałem leśnictwo na uniwersytecie Penn State. Jestem strażnikiem leśnym, ale nigdy w tym zawodzie nie pracowałem. Udało mi się zrobić dyplom dopiero później, na studiach wieczorowych. Moja matka zmarła, gdy miałem czternaście lat, a po kilku latach ojciec ożenił się ponownie. Mam trzech

przyrodniczych braci. Ted zrobi dyplom w grudniu, Joe w kwietniu i obaj wrócą tutaj, by poprowadzić ranczo. Steve pomagał mi przez ostatnie dwa lata, by poznać specyfikę tej pracy. W styczniu wrócę do Penn State, by uczyć. Ale zawsze w lecie będę pracował w rezerwacie Black Moshannon robiąc to, co kocham.

- Wyjeżdżasz!? - spytała Jessie skonsternowana.

- Tak. Nie jestem stworzony do pracy na roli. Zostałem, bo chciałem spełnić oczekiwania ojca. Moi bracia przyrodni kochają tę pracę. To dla wszystkich najlepsze rozwiązanie. Na ranczu wszystko idzie dobrze. Kilka lat temu dokupiliśmy kilka szybów, które pozwolą przebrnąć przez trudności, jeśli nadejdą złe czasy. A Kingsleyowie kontra Holtowie... to długa historia. Ranczerzy w tej okolicy przeżywali złą passę trwającą sześć lat. Wszyscy mieliśmy w banku mnóstwo weksli. Angus był w tym czasie przy forsie. Kiedy nadeszła pora spłaty, robił wszystko, by wykupić weksle i mieć innych w ręku. Tylko ja to wytrzymałem. Moja macocha wykupiła bardzo dużą polisę ubezpieczeniową na życie, z której po jej śmierci mogły skorzystać jej dzieci. Nie wiedziałem o tym, dopóki chłopcy mi nie powiedzieli. Przekazali mi pieniądze z polisy i tym sposobem spłaciłem bank i innych kredytodawców. Potem pojechałem do Dallas i pożyczyłem pieniądze od przyjaciela, by wykopać szyb. Poszczyliło się nam i trafiliśmy na dwa miejsca, z których naprawę trysnęło. Zwróciłem pieniądze przyjacielowi, ustawiłem braci i spłaciłem hipotekę. Zostało jeszcze sporo forsy. Ale moim zdaniem, to chłopcy są właścicielami rancza, chociaż moje nazwisko figuruje na akcie własności. Nie chcę, żeby musieli się martwić, jeśli znowu nadejdą ciężkie czasy. Odjeżdżając zabiorę ze sobą Buzza i moją furgonetkę, choć niedługo będę chyba musiał sprawić sobie nową. Nie jestem i nigdy nie byłem materialistą, raczej człowiekiem, który ceni sobie spokój ducha. Twoje bogactwo mi nie przeszkadza ani nie przeraża, Jessie... Powód, dla którego Angus tak bardzo pragnął przejąć moją ziemię, jest prosty - mam wodę i przez mój teren przebiegają podziemne kable elektryczne. Nigdy żadnemu ranczerowi nie odmówiłbym wody ani elektryczności, nawet Angusowi. Jednak pobieram za to uczciwą opłatę. Co ty na to? Czy wciąż chcesz, byśmy zostali przyjaciółmi?

- Oczywiście, że tak. To jednak będzie trudne, jeśli ty będziesz mieszkał w Pensylwanii, a ja tutaj.

- To prawda.

Już teraz za tobą tęsknię, pomyślała Jessie.

- Opowiedz mi o sobie i Tannerze.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Potem ja poszedłem swoją drogą, a on swoją. Nie był takim człowiekiem, za jakiego go uważałem. Wyobrażam sobie, że on myślał podobnie o mnie.

- O to właśnie chodzi. Tanner zasugerował mi, że skrywasz głębokie, ciemne tajemnice.

- Jeśli chodzi o mnie, nie mam nic do ukrycia. Jestem typem faceta „dostajesz to, co widzisz”.

- Czy w ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że nie masz ochoty rozmawiać o Tannerze?

- Tak. Nie lubię oglądać się wstecz. Zajmuję się dniem dzisiejszym i myślę o jutrze. Dzień wczorajszy przeminął i nic nie mogę już zmienić. Mam pomysł, chodźmy na lody. Kupimy sobie lody w rożku. Jestem prostym człowiekiem, który lubi proste rozrywki. Buzz może tu zostać i robić za opiekunkę. Przyniesiemy mu loda. Uwielbia truskawkowe.

- Przyznaj się, po prostu chcesz się wykręcić od zmywania naczyń. Z przyjemnością zjem lody w rożku.

- Więc chodźmy, proszę pani.

Jessie była rozdrażniona. Z trudem panowała nad sobą. Tam i z powrotem przemierzała ograniczoną powierzchnią małej, wąskiej kuchni. Sięgnęła po słuchawkę wiszącego za jej plecami telefonu. Wielokrotnie dzwoniła do informacji, a potem do bankierów rodziców usiłując bez powodzenia uzyskać ich numer w Hiszpanii. Kiedy jej się to nie udało, zadzwoniła do Arthura Mendenaresa do domu. Czterdzieści minut później miała numer telefonu w Barcelonie.

Zapaliła papierosa. Zamawiając rozmowę z Europą zaciągała się nerwowo, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego ogarnął ją taki lęk. Czekwała niecierpliwie, a serce biło jej mocno. Dlaczego, na Boga, bała się tej rozmowy? Jednak w chwili, gdy usłyszała głos ojca, jej własny zabrzmiał pewnie i silnie.

- Tatusiu, tu Jessie. Jak się czujesz?

- Kochane dziecko! Wszystko w porządku. A ty?

- W tej chwili też czuję się dobrze. Czy możemy porozmawiać, tatusiu? – Podtekst pytania był dla obojga jasny: czy mama może przypadkowo usłyszeć tę rozmowę?

- Twoja matka jest w ogrodzie. Śpi. Nie czuje się dobrze.

- Przykro mi to słyszeć, tatusiu. Potrzebuję twojej pomocy... nie, to zbyt słabo powiedziane. Rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy. Proszę cię, tatusiu, pomóż mi.

- Kochanie, zrobię, co w mojej mocy. A teraz powiedz, co cię dręczy.

- Opowiem ci, co się działo ze mną przez ten czas. Jestem w Corpus Christi, w Teksasie. Wyszłam za mąż za syna senatora Kingsleya. Nie dlatego, że chciałam, ale z powodu ciąży, żeby dziecko nosiło nazwisko ojca. Miałam poronienie i na rok wypadłam z gry. Właściwie prawie nic nie pamiętam. W końcu kilka tygodni temu otrząsnęłam się z letargu i wyprowadziłam z rancza Kingsleyów. Teraz wiem, że nigdy nie powinnam była wychodzić za Tannera za mąż. Pan Mendenares zajmie się moim rozwodem. Prawdopodobnie wiesz, że Sophie... Sophie odebrała sobie życie. Wciąż trudno mi się z tym pogodzić. W każdym razie mnie zostawiła cały swój majątek. Z tym też trudno mi sobie poradzić, ale akceptuję to i nie będę wymigiwać się od odpowiedzialności ani nie zawiodę zaufania, jakie pokładała we mnie Sophie. Słuchasz mnie, tatusiu?

- Tak, kochanie. Bardzo mi przykro z powodu Sophie. Jak wiesz, uwielbiałem ją. Niektóre moje najlepsze wspomnienia związane są z dwoma łobuziakami biegającymi po ogrodzie. Kilka dni po tym, jak to się stało, Arthur zawiadomił nas listownie.

- Tatusiu, dlaczego ja nigdy nie miałam przyjaciół? Dlaczego Sophie była moją jedyną przyjaciółką? Czy coś było ze mną nie w porządku? Czy kiedykolwiek zabraliście mnie do lekarza, by sprawdzić, dlaczego miewam koszmary?

- Matka zawsze była nadopiekuńcza, Jessie. Kiedy twoja... siostra zmarła jako malutkie dziecko, stała się... bojaźliwa. Nigdy nie pogodziła się z jej śmiercią. Rozmawialiśmy z pediatrą i powiedział nam, że wszystkie dzieci miewają koszmary. Nie przejmował się tym i zapewnił, że z tego wyrośniesz. Wszystko było z tobą w porządku, drogie dziecko. Byłaś zdrową, silną dziewczynką. Z przykrością to stwierdzam, ale twoja matka uważała, że żadne inne

dziecko nie było dla ciebie dość dobrym towarzyszem. Pragnęła, byś zadawała się tylko z osobami, które ona akceptowała. Niestety, nie akceptowała nikogo, nawet starej przyjaciółki, Janice. To nie było w porządku i nigdy nie pochylałem tego, co robiła. Czy to... pomogło?

- Nie, tatusiu. Czas podobno leczy rany. Straciłam dziecko. Muszę teraz nadać mojemu życiu jakiś sens. Mam takie wrażenie, jakby brakowało mi jakiejś części. Nie potrafię tego jaśniej wytłumaczyć. W świetle ostatnich wydarzeń zdecydowałam, że pójdę do psychiatry i spróbuję ustalić, skąd to się bierze. Mogą mnie poddać hipnozie. Zgodzę się na to. Nie chcę i nie będę dalej tak żyła.

- Rozumiem - powiedział Barnes.

- Twój głos dziwnie brzmi, tatusiu. Naprawdę rozumiesz, czy po prostu tak mówisz? A może sądzisz, że popełniam błąd?

- Niektórzy psychiatry to szarlatani. Nie spieszyłbym się z tym.

- Sophie twierdziła, i ja się z nią zgadzam, że coś straszego musiało mi się przytrafić, gdy byłam mała. Jeśli ty nie wiesz, co to było, jedynym sposobem, by się tego dowiedzieć, jest poddanie się hipnozie. Może nic się nie stało, a Sophie i ja nie mamy racji.

- Tak się prawdopodobnie okaże. Przykro mi, że narazisz się na dalsze bolesne przeżycia.

- Muszę wiedzieć, tatusiu. Zawsze podejrzewałam, że coś jest nie tak, ale nigdy nie wiedziałam, co z tym zrobić. Niedawno spadłam z konia i zareagowałam w bardzo dziwny sposób. To było jak w sennym koszmarze, tylko wydarzyło się w dzień. Uznałam, że zbliżam się do wyjaśnienia problemu. Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowałam?

- Martwię się o ciebie. Szkoda, że nie mogę ci pomóc.

- Możesz. Nie mów mamie, że dzwoniłam. Twój głos tak dziwnie brzmi, tatusiu... Jesteś pewien, że nic się nie stało?

- To wina kiepskich połączeń międzynarodowych. Jestem przecież na drugim końcu świata, kochanie. Uważaj na siebie.

- Dobrze, tatusiu. Ciesz się słońcem.

- Czy nie masz przypadkiem na myśli światła księżycowego?

- Światłem księżycyca też. - Jessie czekała na chichot ojca. Kiedy się nie doczekała, dodała: - Zadzwoń i powiem ci, co z tego wynikło... jeśli się na to zdecyduję.

- Dobrze. Do widzenia, kochanie.

- Cześć, tatusiu.

Jessie siedziała długo, gapiąc się na telefon. To nie było przywidzenie, że głos ojca dziwnie brzmiał. Znając go tak dobrze, uważała, że nie skłamał, ale też nie powiedział jej całej prawdy. Dlaczego tak było i skąd ta pewność?

- Przeczucie - wymamrotała.

Była prawie północ, gdy Jessie na palcach weszła do swojej sypialni. Uśmiechnęła się na widok śpiącej suki i wtulonego w nią szczeniaka. Szybko wyszorowała zęby, umyła twarz i ręce, a potem rozebrała się i włożyła nocną koszulę. Nie spuszczać wzroku z psa zdjęła narzutę i poprawiła poduszkę. W przyćmionym świetle sypialni widziała, że suka ją obserwuje. Boso, z poduszką pod pachą podeszła do niej, uklękła i wyszeptwała:

- Bardzo bym chciała, byś pozwoliła mi spać tu z tobą. Nie będę się wiercić. Chętnie bym się do ciebie przytuliła, ale myślę, że wolisz mnie mieć na oku, więc położę się trochę dalej.

Przysięgłaby, że pies westchnął, gdy po chwili położyła głowę na poduszce i skuliła się w pozycji embrionalnej. W nocy obudziła się czując ciepło psiego ciała i łapę spoczywającą na jej ramieniu. Na moment przed zaśnięciem przypomniała sobie, że nie powiedziała ojcu o psie. Westchnęła, gdy sen opanował jej zmęczone ciało.

Barnes Roland wpatrywał się w śpiącą żonę. Była taka szczupła, taka krucha. Ogarnęły go sprzeczne uczucia - miłość i gniew. Ścierały się ze sobą gdy delikatnie potrząsnął ją za ramię.

- Obudź się, Thea. Musimy się spakować. Wyjeżdżamy.

- Nie chcę nigdzie jechać, Barnes. Która godzina?

- Czas jest bez znaczenia. Dzwoniła Jessie.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś? Jesteś taki okrutny, Barnes. Co powiedziało moje słodkie kochanie? Przyjedzie do nas z wizytą? Czy jeszcze zadzwoni? Wiedziałam, że wcześniej czy później opamięta się. Och, Boże, musimy

przygotować dom. Kiedy przyjeżdża? Chciałeś mi zrobić niespodziankę, wiem. Dobrze, wybaczam ci. Muszę wszystko zaplanować. To wspaniale. Czy prosiła, żebyś mnie od niej ucałował i uściskał? Ona mnie kocha, Barnes. Wiem, że tak jest.

- Thea, posłuchaj mnie. Jessie nie przyjedzie. Chcę, żebyś mnie bardzo uważnie wysłuchała, bo nie będę po raz drugi powtarzał. Jessie zamierza iść do psychiatry i poddać się hipnozie. Rozumiesz, co to znaczy?

- Nie, nie rozumiem. Po co miałyby to robić?

- Aby przypomnieć sobie, co się kiedyś stało. Powiedziała, że niedawno spadła z konia i przeżyła jeden ze swoich koszmarów w świetle dnia. Przynajmniej wydaje mi się, że to miała na myśli. Musimy się zbierać, Thea. Mówiłem ci, że może któregoś dnia będziemy musieli nagle wyjechać. Jeśli sobie przypomni, może zawiadomić policję.

- Ale basen, ogród, kort tenisowy... Urządziliśmy to dla Jessie.

- Ty na to nalegałaś, Thea. Mówiłem ci, że Jessie nigdy nie wróci.

Słaby głos Thei wzniósł się do pisku.

- Ale przecież przyjechała. Przywiozła ze sobą Sophie. Skłamałeś, tak jak okłamujesz mnie teraz.

- Jessie sobie przypomni, Thea. Nie mam zamiaru tu być, gdy przyjdzie po nas policja. A więc jedziesz ze mną czy nie?

- Jeśli pojedziemy do Argentyny, Jessie nigdy nas nie odnajdzie. Tam chcesz pojechać, prawda? Tam, gdzie ukrywają się nazistowscy zbrodniarze. Będziemy tacy jak oni, jeśli tam pojedziemy.

- Jesteśmy tacy jak oni. To, co zrobiliśmy, było okrutne, ale jesteśmy za starzy, by iść do więzienia. Więc jak będzie?

- Możemy zostawić wiadomość dla Jessie?

Barnes zobaczył, że oczy żony stają się szkliste.

- Mam jej telefon. Kiedy będziemy bezpieczni, możemy do niej zadzwonić.

- Daj mi jej numer, Barnes. Zrobię, co tylko zechcesz, jeśli mi go dasz. Przrzekam. Chcę z nią tylko porozmawiać. Tylko raz. Moje modlitwy zostały w końcu wysłuchane. Ona żałuje, że sprawiła nam tyle przykrości. Wybaczam jej. Tak łatwo wybaczyć komuś, kogo się kocha. Och, Barnes, co mam zapakować?

- Tylko niezbędne rzeczy. Zapłacimy służącym, zamknijemy dom i będziemy udawać, że wyjeżdżamy na długie wakacje. Chcę tylko, żebyś zapamiętała nazwisko, które figuruje w nowym paszporcie.

- Jak sądzisz, czy Jessie odwiedzi nas w Argentynie? Musisz być szczęśliwy, Barnes... tak długo to planowałeś.

- Dobrze, że to zrobiłem. Sprawdzają się wszystkie moje przewidywania. Pospiesz się.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Kiedy Jessie nas odwiedzi?

- Za dziewięćdziesiąt dni. Trzy miesiące - skłamał Barnes, a pot wystąpił mu na czoło. - Każdy z tych dziewięćdziesięciu dni będzie ci potrzebny, by przygotować się na jej przyjęcie. Chcesz, żeby wszystko było doskonale i piękne, prawda?

- Tym razem udekorujemy jej pokój w kolorach niebieskim i srebrnym. Srebrny tak ładnie wygląda, prawda, Barnes? - spytała Thea rozmarzona. - Kupimy jej też trochę biżuterii. Może nowy samochód.

- Wszystko, co będziesz chciała. Nie zapomnij wziąć pigulek.

- Czy Jessie naprawdę odwiedzi nas w Argentynie?

- Tak - znowu skłamał Barnes prowadząc żonę do domu.

Po półgodzinie Barnes usłyszał słaby krzyk. Dwa razy pośliznął się na marmurowej podłodze, ale udało mu się nie upaść. Oddychając ciężko i nierówno pobiegł do żony.

- Thea! Co się stało? - spytał kłękając przy niej.

Thea z poszarzałą twarzą ciężko oddychała przyciskając ręce do piersi.

- Zadzwoń do lekarza, by wezwał karetkę. Nic nie mów.

Ręce Thei zatrzępotały w powietrzu, oczy poleciały w tył głowy.

- Daj mi jej numer, Barnes. Proszę - wyrzęziła.

Barnes wyjął pomięty skrawek papieru z kieszeni i włożył żonie do ręki.

Zadrzał słysząc wyjacy sygnał karetki pogotowia. Powinien jechać za nią, ale najpierw musi się zastanowić, opracować jakiś zastępczy plan. Argentyna nie wchodziła teraz w rachubę.

Co ma zrobić? Porzucić Theę i wyjechać sam? Wciąż miał przed sobą sporo lat życia, jeśli będzie o siebie dbał. Thea natomiast mogła umrzeć w ciągu kilku godzin lub dni. Mogła też przeżyć i przez wiele lat trwać jak w letargu.

Barnes zamknął oczy podsumowując swoje życie.

Potem zapłakał.

18

- Senator nie będzie tego komentował - powiedziała Alexis rzucając słuchawkę na widełki tak mocno, że odbiła się od obudowy i spadła na stół. Podniosła ją i jeszcze raz z trzaskiem odłożyła. - Musimy wyłączyć ten telefon i postarać się o zastrzeżony numer. Kiedy wreszcie zrezygnują? Upiły się już przecież trzy miesiące! - Jej gniewny głos złagodniał. - Wzięłeś dziś rano pigułki?

- Nie dadzą nam spokoju aż do dnia mojej śmierci, a ja chcę umrzeć. Idź sobie, Alexis. Przetnij te cholerne druty, odłącz telefon, wyrwij ze ściany. Rób, co chcesz. Nie twój interes, czy wzięłem pigułki, czy nie. Co cię to w końcu obchodzi? Następne pytanie samo się nasuwa: dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

Alexis usiadła naprzeciwko męża.

- Złościsz się, Angus, bo sprawy potoczyły się tak, jak przewidywałam. Na tym polega twój problem. Naprawdę mi przykro, że bliźnięta odwróciły się od ciebie, zostawiając cię samego z kłopotami. Wiem, że byłeś zdruzgotany okazaną przez nich pogardą, jesteś przecież ich ojcem. Nietrudno było jednak przewidzieć, że tak postąpią. Ich złe cechy charakteru odsłoniły się, zanim jeszcze zlikwidowałeś ich fundusze powiernicze. To para bystrych, inteligentnych młodych ludzi, którzy dzięki tobie otrzymali solidne wykształcenie. Odziedziczyli po matce farmę, którą sprzedali za blisko dwa miliony dolarów. To przyzwoity kapitał, pozwalający na dobry start życiowy.

- Nie chcę o tym mówić, Alexis. To już skończone

- To się nigdy nie skończy. Gdyby tak było, po co codziennie przyjeżdżaliby tu prawnicy? Dlaczego po ich wyjeździe wyglądasz tak źle? Co się dzieje? Mam prawo wiedzieć, Angus.

- Umrę, ot co. Ale kiedy odejdę, kłopoty się skończą.

- Czy jest jakiś sposób...

Angus przerwał jej zimnym, szorstkim głosem:

- Nie. Nie musisz się martwić, Alexis. Ranczo zostanie w rodzinie. Z Resą i Tannerem też wszystko będzie w porządku.

- Nie to chciałam powiedzieć. Jak możesz odzywać się do mnie w ten sposób, Angus? Na miłość Boską, nie wiemy nawet, gdzie jest Resa. Żona Tannera wystąpiła o rozwód. Dzisiaj rano otrzymał kolejne papiery. I to ma być w porządku?

- Szkoda, że nie przemyślał sobie przedtem wszystkiego. Jest podobny do ciebie, Alexis. Dąży do zniszczenia dobra, które napotka na swojej drodze. Ty postępowałaś tak samo... wciąż tak postępujesz. Jesteś egoistyczna i niewdzięczna. Jessie to wspaniała kobieta. Miałem nadzieję, że pod jej wpływem nasz syn się zmieni. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie dzielące nas różnice, nigdy cię nie uderzyłem. A nasz syn fizycznie znęca się nad żoną. Dlaczego nie martwisz się, że to dostanie się do gazet?

- To też twoja wina. Dzieci, które sprowadzałeś na ranczo, wywarły zły wpływ na Tannera. Szczególnie J.J. Tanner dalej przyjaźni się z tą... z tą pijawką. Nigdy nie zapomnę, co się działo, gdy przywiozłeś tu całą jego rodzinę na dwa tygodnie. Straciłam rachubę, ile mieli dzieci. Byli niechlujni i prostacy. Tanner się do nich upodobił. Chyba uważał, że tak powinna wyglądać prawdziwa rodzina. Nie mogłam sama wszystkiemu podołać. Pełniałam błędy, większe lub mniejsze, ale przynajmniej się starałam. Czy kiedykolwiek zaoferowałaś mi pomoc? Nie. Irene i jej rodzina byli u ciebie na pierwszym miejscu. To jednak należy do przeszłości, i nic nie możemy poradzić.

- To tylko jedna z twoich głupich teorii. Zgadzam się, że J.J. był interesowny i że pochodził z biednej rodziny. Bóg jednak naucza, że mamy pomagać bliźnim. Zrobiłbym to jeszcze raz, Alexis. Teraz się zdrzemnę, więc zostaw mnie w spokoju. Wróć do swojej klatki i nie wtrącaj się do życia Tannera. Niech sam sobie radzi z rozwodem. To powinno być proste, Jessie niczego od niego nie chce.

- Idź do diabła, Angus, ale najpierw weź pigułki - powiedziała Alexis, wychodząc z jasnego, zalanego słońcem pokoju, w którym jej mąż siedział drżąc, chociaż był okryty ciepłym kocem w kratę. Płakała idąc do swojego

pokoju. Angus umierał, a nie stać go było na powiedzenie jej jednego miłego słowa. Tylko jednego. Czy to zbyt wiele?

Jessie zaparkowała na podjeździe z tyłu biura, nacisnęła przycisk pilota, by otworzyć drzwi garażu i zgasiała silnik. Psy podbiegły, by się przywitać. Rozczulona ich serdecznością poklepała je i kazała im wejść z powrotem do garażu. Ciężka brama zamknęła się z głośnym łaskotem. Ze łzami w oczach Jessie rozejrzała się po pokoju, w którym spędziła tyle czasu przez ostatnie trzy miesiące. Uklękła, by przytulić psy.

Wyczuwając zmianę nastroju swojej pani psy próbowały wspinać się jej na kolana i polizać po twarzy. Tak bardzo potrzebowała ich uczucia! Ścisnęła je i tuliła z całej siły.

- Już, już, moje kochane. Nie jest tak źle. Najgorsze, co mogłoby mi się przytrafić, to gdybym dowiedziała się, że jestem w ciąży, a nie miałabym was u boku. Wszystko będzie dobrze. We czwórkę staniemy się rodziną. Dziecku potrzebny jest pies, a dwa psy są jeszcze lepsze niż jeden. Będziecie uważać na dziecko, a ja zaopiekuję się nimi wszystkimi. Musimy się przeprowadzić, najlepiej na jakąś niedużą farmę albo inne miejsce, gdzie będzie pod dostatkiem przestrzeni do biegania. Tym razem nie powiem Tannerowi. Pewnie nic nie rozumiecie, ale to nie szkodzi. Nie wiem dlaczego, ale najbardziej niepokoi mnie, co powie Luke. Jesteśmy przecież bardzo dobrymi przyjaciółmi. Trudno, co będzie, to będzie. Myślę, że to Bóg daje mi drugą szansę i pragnie, żebym mimo wszystko została matką. Poprzednim razem bałam się i byłam nieszczęśliwa. Tym razem, tym razem... czuję, że tak miało być.

Jessie spojrzała na półkę wiszącą nad stołem do pracy, na której porządnie ustawiła suszące się rzeźby. Były dobre, nawet Luke tak twierdził. Każda kolejna była lepsza od poprzedniej, co oznaczało, że te pierwsze można było uznać za wprawki. Nic nie szkodzi. Uwielbiała rzeźbić miniaturowe psy rasy golden retriever. Rzuciła okiem w odległy kąt garażu, gdzie leżała duża sterta gliny przykryta mokrym ręcznikiem. Rzeźbiła postać Buzza wielkości naturalnej, by podarować Luke'owi, gdy będzie odjeżdżał do Penn State. Taką rzeźbę można ustawić przy drzwiach wejściowych; na pewno stanie się przedmiotem komentarzy i wzbudzi podziw gości w chwili gdy zobaczą żywy model.

Jessie drapała sukę po brzuchu, a szczeniak obwąchiwał wejście do garażu.

- Jest jak jest, piesku. Tym razem nie załamię się. Teraz będziemy żyć dzień po dniu, nie oglądając się wstecz, bo jak mówi Luke, dzień wczorajszy przeminął. Nie wiemy, co przyniesie jutro. Mamy tylko dzień dzisiejszy i dni, które nadejdą.

Pies zaszczekał wyrażając swoją aprobatę. Jessie energicznie otrzepała ręce.

- Przebiorę się i zabieram do pracy, ale najpierw musimy zadzwonić do pana Gabriela Montoyi z Mediolanu i zwolnić go.

Zamówiła rozmowę z Mediolanem. Czekając na połączenie otworzyła butelkę coli. W Europie było już późno z powodu różnicy czasu, jednak wiedziała od Arthura, że Montoya rzadko zamykał galerię przed północą.

Ręka Jessie drżała, gdy sięgnęła po list, który Montoya przysłał przed tygodniem. Obrzydliwy, poniżający, okrutny list. Czy napisałby to samo, gdyby wiedział, że jest właścicielką galerii? Prawdopodobnie tak.

- Panie Montoya, tu Jessica Roland. Tak, właścicielka galerii. Tak, mieszkam w Stanach Zjednoczonych. Tak, jak zwykle chodzi o interesy. Sytuacja jednak uległa zmianie, gdy kilka dni temu otrzymałam pański list. Przykro mi, ale nie zgadzam się z pańską decyzją, by nie wieszać w galerii rysunków przedstawiających zwierzęta. Jestem właścicielką International Designs i moja decyzja jest ostateczna. Ni mniej, ni więcej oznacza to, panie Montoya, że dobierze pan odpowiednie tło, oprawi i natychmiast zawiesi rysunki. Jeśli uważa pan, że nie może tego zrobić, jestem gotowa przyjąć pana natychmiastową rezygnację. Uważam pana list za niepotrzebnie okrutny i napisany w sposób bardzo nieprofesjonalny. Nie mogę się oprzeć pytaniu, czy ten pańskiego listu byłby inny, gdyby pan wiedział, że to moje rysunki? Bo są moje, panie Montoya. Nie są prymitywne ani amatorskie. I zawisną w mojej galerii. Z listu wynika, że nie jest pan miłośnikiem zwierząt. Potrafię to zrozumieć, nie zaakceptuję jednak wyniosłego sposobu traktowania mnie. Kiedy przyśle mi pan swoją rezygnację, panie Montoya?

Jessie słuchała, jak zdenerwowany menedżer bełkotliwie wypiera się wszystkiego, a winą obarcza swojego asystenta, Philipa. Jessie przerwała mu.

- Nie interesują mnie te wykręty, panie Montoya. Jako właścicielka International Designs mogę robić, co mi się podoba, a nabrałam akurat ochoty, by zerwać z panem umowę. Może pan mnie oczernić wobec największych klientów galerii, jeśli pan chce, ale wówczas oskarżę pana o zniesławienie. Proszę dać mi do telefonu Philipa. Natychmiast!

- Philip? Tu Jessica Roland. Proszę wyprowadzić pana Montoyę z galerii. Od jutra rana pan nią pokieruje. Pierwsze polecenie: dobrać tło i oprawić rysunki, które posłałam. Proszę powiesić je na jednej ścianie. Chcę, żeby pan mnie dobrze rozumiał. Nie obchodzi mnie, czy ktoś je kupi. Proszę wystawić je do sprzedaży po bardzo wysokich cenach, najwyższych dopuszczalnych w handlu tego typu obrazami. Pan Montoya zdaje się uważać, że moje rysunki są dziecinne, źle narysowane i nieodpowiednie dla wytwornej klienteli galerii. Nie zgadzam się z nim. Panna Ashwood osobiście zaproponowała, by powiesić te rysunki. Zrozumiał pan wszystko, co powiedziałam? W porządku. Pan Mendenares będzie z panem w kontakcie. Oczywiście otrzyma pan wyższe wynagrodzenie. Miło było z panem rozmawiać, Philip. Dobranoc.

Jessie klasnęła w dłonie. Wkrótce przekona się, kto miał rację, ona czy Montoya. Teraz jednak miała do załatwienia i przemyślenia inne sprawy.

Jest w ciąży z Tannerem. Co na to powie Luke i dlaczego jego zdanie tak bardzo się dla niej liczy? Jak mawiała Scarlett: pomyślę o tym jutro. Życie potoczy się dalej bez względu na to, co pomyślę czy powiem. Trudno wyobrazić sobie, by mogło być inaczej.

- Okay, pieski, czas zabrać się do pracy.

Rozbrykany szczeniak zbiegł po schodach do garażu, a dorosły pies siedł statecznie przy jej boku, radośnie merdając ogonem. W garażu szczeniak szalał bawiąc się znalezionymi w koszyku gumowymi zabawkami i wszędzie je roznosił. Gdy Jessie przysiadła na stołku, suka położyła się na podłodze z łbem na łapach i bacznie wodziła oczami za szczeniakiem.

Jessie przyjrzała się malej kolekcji wizerunków zwierząt, którą przysłała jej gospodyni Sophie, Ustawiła je w szeregu obok rzeźb, które zrobiła przez ostatnie kilka miesięcy. Jej pierwsze dzieła przypominały prace z okresu wczesnego dzieciństwa. Każda figurka przywoływała wspomnienia szczęśliwych chwil spędzonych razem z Sophie. Poczwała łyż pod powiekami. Te figurki były jej tak drogie! Zachowa je dla własnego dziecka, gdy będzie gotowe poznać

świat wykraczający poza granice zakreślone przez książki z obrazkami i zabawki. Jeśli odniesie sukces w tym, co robi, może pewnego dnia podejmie z synem czy córką jakieś wspólne dzieło.

Sięgnęła po niedużego wyżła, któremu Sophie nadała imię Elroy. Głaszcząc go uśmiechała się. Lewe ucho figurki było skrzywione, a jedna łapa krótsza od pozostałych. Tym bardziej będzie zwierzątko kochać i pieczołowicie przechowywać. Zastanawiała się, dlaczego nie płacze. Może wyplakała już wszystkie łzy? Może przewyciężyła żal? Może po prostu starała się zyskać na czasie, bo nie miała ochoty przeglądać poczty zawierającej odpowiedź Tannera na pozew rozwodowy? A może chodzi o wszystko po trochu?

Miej to z głowy, otwórz list, pomyślała.

Z jej ust wyrwało się parę przekleństw – od Sophie nauczyła się przecież kląć – gdy przeczytała, że Tanner nie zgadza się na rozwód. Gdyby w dodatku dowiedział się o dziecku, odbiłoby się to niekorzystnie na postępowaniu rozwodowym. Dzięki Bogu, starczyło jej przytomności umysłu, by podać inne nazwisko, gdy była na badaniach kontrolnych. To wszystko było takie dziwne. Kiedy pielęgniarka zapytała ją, jak się nazywa, bez wahania podała nazwisko Sophie. Nigdzie więc nie zanotowano, że Jessie Roland Kingsley była z wizytą u lekarza. Co dokładnie oznaczał brak zgody Tannera? Czy muszą uzgodnić pewne sprawy między sobą, czy też ostateczną decyzję podejmie sędzia? Musi zadzwonić do Arthura. Nie ma mowy o pracy czy przyjemnym spędzeniu czasu podczas wizyty Luke'a, jeśli to będzie wisiało jej nad głową. Spojrzała w dół na stertę papierów. Dlaczego dokumenty prawnicze zawsze szeleszczą? To taki złowroźny dźwięk. Zmiała papiery w małą kulkę i rzuciła na podłogę. Szczeniak natychmiast złapał ją w zęby. Po chwili z papierów zostały tylko strzępy.

Mój adres był w tych papierach, pomyślała przerażona Jessie.

W gnieniu oka podniosła się ze stołka i pobiegła do bramy garażu. Szarpiając ją i popychając, zamknęła ciężki zamek, który stanowił dodatkowe zabezpieczenie. Sprawdziła, czy działa wewnętrzny mechanizm blokujący. Narzuciła mokry ręcznik na glinę, w której zamierzała rzeźbić. Miała teraz co innego do roboty.

Pobiegła na poddasze, a potem do biura; psy za nią, dla zabawy podszczypując ją w pięty. Złapała za słuchawkę usiłując przypomnieć sobie numer

Arthura bez zagładania do notesu. Gdy tylko usłyszała jego głos, zaczęła nieskładnie bełkotać do słuchawki.

- Jessie, Jessie, uspokój się - odezwał się Arthur. - To nie koniec świata. Poradzimy sobie. Jestem z tobą bez względu na to, jaką decyzję podejmiesz. Musisz jednak być ostrożna. Tanner ma swoje prawa. Ojciec zawsze korzysta z pewnych praw. Ma też prawo nie zgodzić się na rozwód. Co nie znaczy, że będzie górą. Liczą się twoje słowa przeciwko jego słowom. Jestem pewien, że zarówno pani Kingsley, jak i Tanner dostarczą dodatkowe dowody na to, że opiekowali się tobą w czasie choroby. Lekarz z pewnością potwierdzi ich zeznania. Jeśli do równania wprowadzisz Luke'a, sprawy mogą przybrać zły obrót. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. Tak, możesz uciec, ale nie zdołasz się ukryć. Ktoś zawsze będzie wiedział, gdzie jesteś. Wystarczy pomyśleć o Sophie, by zdać sobie sprawę z tego, że mam rację. Jeśli uważasz, że podróż do domu rodzinnego może ci pomóc, to wybierz się tam. Musisz tylko mieć pewność, że robisz to z właściwych powodów. Dziecko powinno wiedzieć, gdzie są jego korzenie. I ty też, Jessie. Czeka na ciebie twoje własne miejsce. Nie wiem, gdzie ono jest, ale sądzę, że wkrótce je odnajdziesz. Będzie dla mnie zaszczytem zostać ojcem chrzestnym twojego dziecka, ale chyba trochę wyprzedzamy wydarzenia. Nie, nikt nie może cię ścigać za posłużenie się nazwiskiem Sophie u lekarza. To było z twojej strony bardzo sprytnie posunięcie, moja droga, Sophie by cię pochwaliła. Teraz powiedz mi, jak się sprawują twoje wspaniałe psy?

Jessie westchnęła.

- Są rzeczywiście wspaniałe, Arthur. Nie odstępują mnie ani na krok. Śpimy razem, jemy razem. Szczeniak jest nieznośny i wszędzie go pełno. A propos, prawie zeżarł papiery, które mi przysłałeś. Słuchaj... jeśli Tanner przyjdzie, czy powinnam z nim porozmawiać?

- To zależy wyłącznie od ciebie, Jessie. Większość ludzi w takiej sytuacji do ostatniej chwili chce walczyć o swoje racje. Uważam, że twój mąż właśnie usiłuje to robić. Nie martw się na zapas. Nie ma takiego prawa, które nakazywałoby ci powiedzieć Tannerowi, że jesteś z nim w ciąży. Poruszaj się krok po kroku. Twój numer jest zastrzeżony, więc Tanner nie będzie mógł nękać cię telefonami. Nie czyni żadnych pochopnych kroków ani nie podejmuje

decyzji, z którymi trudno ci będzie w przyszłości żyć. Wyślę ci kopie dokumentów. Jak ci idzie rzeźbienie?

- Bardzo dobrze. Wyrzuciłam pana Montoyę. Chyba wrócę do Charlestonu... tam zaczęło się moje życie. Mówią że nie wraca się po latach do tego samego domu, ale ja nie chcę wrócić. Stworzę sobie własny dom. Chyba że za godzinę znowu zmienię zdanie. Czasami czuję się jak Cyganka.

- Zastanów się, zanim podejmiesz jakieś decyzje. Chyba mogłabyś być szczęśliwa w Charlestonie, gdybyś pogrzebała dawne duchy. Cóż, chyba pora się pożegnać, moja droga. Pamiętaj, jeśli zdecydujesz się wyjechać, zadzwoń, żebym wiedział, gdzie i jak się z tobą skontaktować. Czy w sprawie senatora Kingsleya zaszły jakieś zmiany?

- Luke usłyszał plotki w Klubie Hodowców Bydła, że senator podupadł na zdrowiu i że rokowania nie są dobre. To wszystko, co wiem.

- Przykro mi to słyszeć. Dobranoc, Jessie.

- Dobranoc, Arthurze. - Jessie pokręciła głową. - W Anglii jest chyba teraz noc - powiedziała do psów. Oba smacznie spały u jej stóp. Poczuli się dziwnie spokojnie.

Wystarczająco spokojnie, by podjąć rozsądne decyzje.

Tanner Kingsley zaparkował samochód po drugiej stronie ulicy na parkingu biurowca. Długo siedział wpatrując się w budynek, w którym teraz mieszkała jego żona. Niedawno wyremontowany, robił dobre wrażenie. Czy nad częścią biurową znajduje się mieszkanie? Najwyraźniej tak, skoro całe górne piętro jest oświetlone. Wystarczy przejść przez ulicę i zapukać do drzwi. Albo przejść od tyłu i sprawdzić, czy jest jakieś inne wejście na drugie piętro. Co zrobi, jeśli żona mu nie otworzy? Wróci do domu z podkulonym ogonem?

- Oho, a co my tu mamy? - mruknął.

Zobaczył, że Luke Holt zatrzymuje furgonetkę w wąskiej alejce prowadzącej na tyły budynku

- Ty przebiegła mała czarownico - wyszczał Tanner ze złością.

W oka mgnieniu wyskoczył z samochodu. Rozejrzał się w obie strony, przebiegł przez ulicę i skierował się ku wąskiej alejce. Zaklął, słysząc jak zamyka się ciężka brama garażowa. Dźwięk zatraskującego się drugiego

zamka sprawił, że znowu zaklął. Podbiegł do furgonetki Luke'a i kopnął po kolei wszystkie cztery opony.

- Pieprzony sukinyś!

Biegiem wrócił do samochodu, otworzył bagażnik i wyjął skrzynkę z narzędziami, którą zawsze ze sobą woził. Pięć minut później przekłuwał starannie opony w samochodzie Luka. Z triumfującą miną słuchał, jak z z sykiem ucieka z nich powietrze.

- To cię nauczy nie zabawiać się z moją żoną - wymamrotał.

Ciszę nocy zakłóciło głośne szczekanie psa. Tanner najszybciej jak umiał przebiegł ulicę i ciężko dysząc wskoczył na przednie siedzenie samochodu. Skulił się w nim natychmiast w obawie, że Jessie albo Luke wyjrzą przez jedno z okien drugiego piętra. Uświadomił sobie, że właśnie zrobił coś zupełnie idiotycznego. J.J. by tego nie pochwalił. Lubił planować, spiskować i niszczyć cichaczem. Jednak, jak z satysfakcją pomyślał Tanner, J.J. nie grywał ostatnio w pierwszej lidze.

Czy mam zostać w samochodzie i obserwować budynek? - zastanawiał się. Po co? Żeby zobaczyć, o której wyjdzie Luke Holt? Jeśli pieprzy moją żonę, chcę o tym wiedzieć.

Zapalił papierosa i zaciągał się raz po raz ze złością. Kiedy wewnątrz samochodu wypełniło się dymem, otworzył wszystkie okna. Palił papierosa za papierosem, dopóki nie skończył całej paczki. Dwa razy wysiadał z samochodu, by rozprostować nogi; jego gniew narastał.

Gdy wysiadł z samochodu po raz trzeci, zegarek wskazywał dziesięć minut po północy. W oknach drugiego piętra wciąż paliło się światło. Luke nigdzie nie pojedzie, chyba że na felgach. Twarz Tannera wykrzywiła się w brzydkim grymasie, gdy wyobraził sobie swoją żonę i Luke'a razem w łóżku. Wiedział, że teraz nic nie może na to poradzić. Wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Jutro też będzie dzień. Po przyjeździe do domu wyciągnie J.J. z łóżka. Lepiej, by miał kilka gotowych propozycji, skoro to on jest wszystkiemu winien.

- Ten stek z pieprzem był całkiem niezły. Jak myślisz, Jessie?

- Chyba mam dziś na głowie za dużo spraw, żeby chwalić jedzenie. To miło z twojej strony, że przyniosłeś ze sobą kolację, Luke. Na pewno była bardzo smaczna, ale zdaje się, że po prostu nie mam apetytu. Wieczorem

rozmawiałam z Arthurem. Chyba wróćę do Charlestonu. Za kilka tygodni wypada Święto Dziękczynienia, a chciałabym się urządzić przed Nowym Rokiem. Z każdym dniem coraz bardziej doskwiera mi fakt, że nie znam swoich korzeni. To mi nie daje spokoju. Charleston jest jedynym miejscem, które dobrze znam. Jeśli nawet mieszkając tam z rodzicami nie byłam szczęśliwa, to nie znaczy, że nie mogę być szczęśliwa teraz, z psami i...

- I...?

- Tanner nie wie, gdzie przedtem mieszkałam. Nie będzie mógł za mną pojechać. Arthur zajmie się przekazywaniem mojej poczty. Mam okropne przeczucie co do Tannera. W jakimś momencie zaczęłam się go bać, a to takie do mnie niepodobne. Ty wyjeżdżasz tuż po Bożym Narodzeniu. Jesteś moim jedynym przyjacielem, więc nie ma sensu, bym tu została. Rysować i rzeźbić mogę gdziekolwiek.

Luke popatrzył na Buzza i na sukę Jessie; każde z nich trzymało w pysku jeden koniec plecionego sznurka. Szczeniak usiłował złapać ogon matki.

- Buzz oszaleje, kiedy wyjedziesz. Chyba się zakochał w twojej suce. Powinnas nadać psom imiona, Jessie.

Ręka Jessie zaczęła drżeć.

- Ja...ja... czy jeżeli ci powiem, nie będziesz się ze mnie śmiał?

- Słowo honoru.

- Z początku sukę chciałam nazwać Rosie. Wołałam tak do niej, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Potem z rana tuż przed przebudzeniem znowu śnił mi się ten koszmar. Krzyczałam jak zwykle, to mój stały numer. Może ją przestraszyłam, nie wiem. Półprzytomna zaczęłam wołać do niej Jelly, i zareagowała. Czy to nie dziwne?

- Nie. Czy próbowałaś później nazywać ją tym imieniem?

- Tak, i reaguje na nie. Może podoba jej się brzmienie. Szczeniaka nazwę Fred. Zachowuje się tak, jakby znał swoje imię.

- Pochwalam. Chcesz jeszcze wina, Jessie? Musimy wznieść toast. Jesteś czymś zmartwiona? Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie za bardzo... jednak nie czułabym się dobrze, gdybym ci o tym nie powiedziała. Jestem w ciąży. To... to stało się tej nocy, gdy się poznaliśmy. Z początku usiłowałam walczyć z Tannerem. Zrozumiem, jeśli...

- Jeśli co, Jessie?

- Nie będziesz chciał się ze mną więcej widywać. Jeśli pomyślisz, że nie jestem warta twojej przyjaźni. Wydawało mi się nawet... miałam takie odczucie, że zmierzamy w kierunku... czegoś innego. Od początku byłam z tobą szczerą. Nie lubię niczego ukrywać. Dość miałam tego w moim życiu. Czy to... sprawia ci różnicę?

- Oczywiście, że tak, ale nie w taki sposób, jak myślisz. Nie mogę uwierzyć, że pomyślałaś, iż to wpłynęłoby na naszą przyjaźń. Masz rację... zmierzamy do czegoś, co ma większe znaczenie. Do licha, nie mogłem się doczekać przyjazdu dziś wieczorem. Myślałem, że żal nigdy nie pozwoli mi wrócić do równowagi, ale ty, twoje psy i Buzz wyciągnęliście mnie z tego. Buzz udaje, że ma chandrę, dopóki nie usłyszy, że zapalam furgonetkę. Wiesz, nigdy nie miałem do czynienia z kobietą w ciąży. Wiem o dzieciach tyle co nic. Ktoś powiedział mi, że są jak szczeniaki: dużo płaczą, dużo jedzą i dużo wydalają.

Jessie roześmiała się.

- To dość trafna ocena.

- Czy dlatego chcesz się przeprowadzić?

- To jeden z powodów. Na razie nie chcę, żeby Tanner się o tym dowiedział. Później, kiedy się urządzę i poczuję, że zapaściłam korzenie, powiem mu. Myślę, że w tej chwili nie poradziłabym sobie z rozwodem, w którym dziecko byłoby kartą przetargową. Moim zdaniem Tanner nie jest dobrym materiałem na męża. Myślę też, że nie lubi dzieci. Gdyby się dowiedział o ciąży, wykorzystałby to przeciwko mnie. Jak mogłam być taka głupia, by się w nim zakochać? Byłam taka... złańniona miłości. Dobry Boże, dlaczego te psy tak szczekają?

- Zostań tu, Jessie. Pójdę sprawdzić, co się stało. Poszły do garażu. Na pewno zamknęłaś bramę?

- Widziałeś, jak to robiłam. Dodatkowy zamek zabezpieczający też jest zamknięty. Bądź ostrożny.

Luke wrócił do kuchni po dziesięciu minutach.

- Wszystkie cztery opony w furgonetce zostały przebite, a nie mam zapasowych. Gdy Buzz je obwąchał, cały się najeżył.

- Kto mógł zrobić coś takiego? Nikt nie wie, że tu przyjechałeś.

- Najwyraźniej ktoś wie. Przebito wszystkie cztery.

- Ten adres widniał na papierach rozwodowych. To podobne do Tannera, zrobić coś takiego. Przykro mi, Luke. Możesz pojechać do domu moją furgonetką albo zostać na noc. Wybór należy do ciebie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jeszcze cię nawet nie pocałowałem? Ale dużo o tym myślałem.

- Tak, wiem. Ja też dużo o tym myślałam. Ale nasz czas jeszcze nie nadszedł, Luke.

- A jesteś pewna, że kiedykolwiek nadejdzie?

- Myślę, że tak. Chociaż nie wiem kiedy. Masz swoje zobowiązania, a ja mam sprawy, którymi muszę się zająć. Popelniałam błędy, nie chcę popelniać kolejnych. Nie mówię, że związek z tobą byłby pomyłką, mówię tylko...

- Wiem, Jessie. Jesteś absolutnie zdecydowana na Charleston?

- Nie do końca. Rozważałam też wyjazd do Atlanty albo do Nowego Orleanu. Jednak czuję, że żadne z tych miast nie mogłoby stać się moim domem. Chcę od czegoś zacząć. To właśnie muszę zrobić: znaleźć miejsce, od którego mogłabym zacząć.

- Czy istnieje możliwość, żebyś wzięła pod uwagę Pensylwanię?

Serce Jessie zabiło mocniej. Skineła głową.

- Myślę, że tak.

- Oczami duszy widzę, jak ciągniemy po śniegu dziecko na sankach. Tam w zimie pada śnieg - dodał Luke odkrywco.

- Naprawdę? - odpowiedziała Jessie.

- Moi bracia w przyszłym tygodniu wracają do domu. Od tej chwili będę wolny. Mogłbym pojechać z tobą... no wiesz, sprawdzić, jak tam jest. - Luke odchrząknął. - Cieszyłem się na spędzenie z tobą wakacji. Przez ostatnie cztery lata w święta spałem do późna, otwierałem prezent, który sam sobie kupiłem, a potem znowu kładłem się do łóżka.

- To smutne - powiedziała Jessie. Opowiedziała mu o ostatnim Bożym Narodzeniu spędzonym z Sophie. - Cztery tygodnie to niezbyt dużo czasu.

- Dzwonisz z wyprzedzeniem do pośrednika handlu nieruchomościami i mówisz mu dokładnie, o co ci chodzi. To eliminuje stratę czasu na chodzenie i oglądanie. W taki sposób znalazłem mieszkanie. Jeśli wpłacisz dużą zaliczkę, będziesz mogła wprowadzić się przed zawarciem ostatecznej umowy.

Jessie pochyliła się nad stołem i sięgnęła po rękę Luke'a.

- A co z moją ciążą? Jeśli podejmę kroki, które mi proponujesz, muszę być pewna, że w jakimś momencie nie dojdiesz do wniosku, iż jednak ma to dla ciebie znaczenie.

- Spójrz na mnie, Jessie. Kogo widzisz?

- Ciebie. Luke'a Holta.

- Racja. Nie nazywam się Tanner Kingsley. Nie wyglądam jak on i nie postępuję jak on. Jestem Luke Holt, a Luke Holt jest w tobie od trzech miesięcy zakochany. Do licha, nawet mój pies jest zakochany w twoim.

- A moje pieniądze?

- Rozdaj je, wydaj... nic mnie to nie obchodzi.

Mój Boże, on mówi serio, pomyślała Jessie. Poczuli zawrót głowy, była zdezorientowana.

- Ale nigdy mnie nawet nie pocałowałeś - wyrzuciła z siebie w końcu.

- Pożalowania godny stan rzeczy.

- Zamierzasz coś z tym zrobić?

- Czy dobrze słyszałem? Powiedziałaś, że wybór należy do mnie. Mogę albo spędzić tu noc, albo jechać furgonetką do domu, prawda?

- To właśnie powiedziałam.

- Podjąłem decyzję.

Serce Jessie biło w piersi tak mocno, że z trudem usłyszała wyszeptane przez siebie słowa.

- Jaka decyzję?

- Zostaję. Będę spał na kanapie.

- Chciałabym... tylko... to jeszcze nie pora, Luke.

- Wiem. Chcę po prostu być blisko ciebie. Gdy nadejdzie czas, będę gotów.

- Mówisz serio, prawda?

- Nigdy nie mówię niczego, o czym nie jestem przekonany. Jestem cierpliwym człowiekiem.

- Zapamiętam to sobie, Luke.

Luke szeroko się uśmiechnął.

- Ja myślę.

Jessie budziła się z wolna w zupełnej ciszy. Gdzie są psy? Zachrypniętym, jak zwykle rano, głosem zawołała:

- Jelly! Fred!

Oba wpadły do pokoju, a Buzz tuż za nimi. Wszystkie trzy obwąchały koldrę i poduszkę. Jeśli był z nimi Buzz, to oznaczało, że Luke jest gdzieś w pobliżu. Może wyszedł na dwór, by w jasnym świetle dnia ocenić uszkodzenia furgonetki?

Zazwyczaj przez kilka minut po przebudzeniu bawiła się z psami, ale nie dzisiaj. Gdy szła do kuchni owinęta tylko ręcznikiem, nagle wpadła w panikę. Na widok pozostawionej w kuchni kartki poczuła taką ulgę, że aż ugięły się pod nią kolana.

Kochana Jessie,

najbardziej w świecie pragnęłam zostać z Tobą. Jednak jeśli mamy wyruszyć do Pensylwanii jutro, a nie, jak to poprzednio ustaliliśmy, za tydzień, najlepiej będzie, jeśli teraz uporządkuję sprawy na ranchu. Wrócę późnym popołudniem. Nie bądź zaniepokojona, jeśli po moją furgonetkę podjedzie pojazd holowniczy. Chcę, żebyś się wystroiła. Zabieram Cię do najbardziej eleganckiej restauracji w mieście. Psy zostaną w domu!

Po przebudzeniu wyjrzałem przez okno salonu i zobaczyłem coś, co mnie zaniepokoiło. Musisz wiedzieć, że ktoś Cię pilnuje albo obserwuje budynek. Trudno mi wyrokować, ale z takiej odległości wyglądało to na samochód urzędowy. Radziłbym Ci nie otwierać drzwi nikomu poza mną. Jak widzisz zostawiłem Buzza. Jeśli zechce, potrafi być naprawdę paskudny. A jest przecież zakochany, tak jak jego pan.

Luke

Jessie ucałowała mały skrawek papieru jak spragniona miłości nastolatka, a potem przycisnęła go do piersi. Uśmiechnęła się zadowolona i nalała sobie kawy. Stała oparta o stół kuchenny z wyrazem rozmarzenia w oczach i czytała list w kółko, aż wrył jej się w pamięć. Zakochała się. Jak Buzz. Luke ją kocha. Czy to możliwe? Przeczytała list dziewiąty albo dziesiąty raz i podeszła do okna. Wyjrzała przez pionowe żaluzje, ale nie zobaczyła nic niepokojącego.

Co Luke miał na myśli pisząc „urzędowy”? Może chodziło mu o detektywa, prawdopodobnie wynajętego przez Tannera? A może był to ktoś należący do świata senatora Kingsleya? Słowo „urzędowy” niepokoiło ją. Nie otwieraj drzwi, poradził jej Luke. Jak bez otwierania drzwi pójść do sklepu kupić nową sukienkę? Jeśli Luke zabrał furgonetkę, nie miała czym jechać. Pobiegnęła do

garażu. Rover stał na swoim miejscu. Luke albo pojechał autostopem, albo zadzwonił na rancho i poprosił, żeby ktoś po niego przyjechał.

Jessie spojrzała na zegarek: ósma dwadzieścia pięć. Sklepy otwierano o dziesiątej. Wystarczy czasu na spokojne zjedzenie śniadania i na szybki prysznic. Z pewnością Luke nie mówił poważnie, żeby przez cały dzień siedziała w domu. Czy nie przyszło mu do głowy, że zechce kupić nową sukienkę? Zastanawiała się, jak Luke wyglądałby w garniturze.

Jak facet zapięty na ostatni guzik, pomyślała.

Dzwonek u drzwi galerii zadzwonił, gdy wyskrobywała z patelni jajecznicę i pokrojony bekon na miski psów. Nie zeszła na dół, chociaż psy zbiegły po siedmiu stopniach na parter. Zapach jedzenia przywołał je z powrotem. Pochłonęły swoje porcje i znowu zbiegły po schodach. Głośne szczekanie Buzza brzmiało groźnie. Popiskiwanie Freda wywołały uśmiech na twarzy Jessie. Jelly obwąchiwała próg warcząc.

Kiedy Jessie jadła śniadanie, a potem wkładała naczynia do małej zmywarki i brała prysznic, dzwonek wciąż dzwonił. Nie zwracała na to uwagi podśpiewując na cały głos. Nic nie zakłóci jej pogodnego dnia.

Była dziewiąta trzydzieści, gdy usłyszała jakiś ruch pod bramą garażu. Pobieгла na tę stronę poddasza i wyjrzała przez okno. Zobaczyła holowniczą półciężarówkę z furgonetką Luke'a na lawecie, wyjeżdżającą na ulicę. Teraz będzie mogła wycofać rovera z garażu, by pojechać po zakupy. Dzwonek u drzwi znowu zadzwieczył. Gdy dostrzegła na ulicy pusty, ciemnoniebieski samochód, serce zaczęło jej szybciej bić. Patrzyła w dół przez okno, chcąc sprawdzić, kto dzwoni. Psy szczekały i warczały obwąchując próg. Dzwonienie nie ustawało, a szczekanie psów stopniowo zmieniało ton: od zaciekawionego poprzez groźny, aż do mrożącego krew w żyłach.

Jeśli był to jakiś urzędnik, to musi mieć coś wspólnego z senatorem Kingsleyem. Pomyślała o dziennikach swojej poprzedniczki i o zapiskach, jakie sama prowadziła. Znajdowały się w Atlancie. Czy odważy się tam po nie pojechać? Czy powinna je zniszczyć? Czy chciała stać się częścią będącego w toku dochodzenia, które dotyczyło senatora Kingsleya? Nie, absolutnie nie. Jeśli zatrzyma się w Atlancie w drodze do Pensylwanii, nie ma pewności, czy ktoś nie będzie jej śledził. Czy powinna spalić dzienniki? Można by przepuścić je przez niszczarkę do dokumentów, pomyślała. Po chwili podniosła słuchawkę

i wykreśliła numer w Atlancie. Jej instrukcje były krótkie i konkretne: zamówić niszczarkę do dokumentów, która ma być dostarczona nie później niż jutro rano, i zainstalować ją w sypialni Sophie.

- Z moją własnością mogę zrobić, co zechcę - mruknęła. - To samo odnosi się do własności mojej poprzedniczki, jeśli mi ją powierzyła.

Usłyszała ostrzegawczy głos szepczący jej do ucha: „Może nie powinnaś się tak spieszyć z niszczeniem tych dzienników. Mogą ci się przydać w trakcie procesu rozwodowego”.

W tych dziennikach naprawdę nie ma nic specjalnego, odpowiedziała w myśli temu głosowi. Tylko moje obserwacje i notatki o wizytach, które są też odnotowane w oficjalnych rejestrach.

Ostrzegawczy głos znowu ją nękał:

„A co z wizytami, które odbywały się po godzinach, kiedy senator prosił cię o zostanie do późna i prosił, żebyś nigdzie tego nie zapisywała? Nie spiesz się”.

Ogarnięta wątpliwościami wciąż spierała się sama ze sobą.

Tanner wie o domu Sophie w Atlancie. Senator też, przypomniawszy sobie. Ale czy zdają sobie sprawę, że odziedzyczyłaś majątek Sophie? Czy wiedzą, że dom w Atlancie należy do ciebie? Pomyśl o nakazie rewizji. Może następnym razem, gdy ktoś zadzwoni, powinnaś mu otworzyć. Uprzedzony może się uzbroić.

Jessie rozboleła głowa.

Może rozmowa telefoniczna z Tannerem rzuciłaby na tę sprawę nieco światła, pomyślała. Zawsze mogę powiedzieć, że dzwonię, by dowiedzieć się, jak się czuje senator. Albo mogłabym pojechać na ranczo i sama go o to zapytać.

Spojrzała na zegarek. Była dziesiąta dziesięć. Jeśli się pośpieszy, zdąży kupić sukienkę i pantofle i pojechać na ranczo. Luke'owi pewnie by się to nie spodobało.

- Sama odpowiadam za swoje życie, nikt nie może decydować, co mam robić, nawet Luke - wymamrotała.

Wzięła trzy aspiryny i poszła do garażu. Psy wpatrywały się w nią stojąc w szeregu.

- Przywiozę wam coś do pogryzienia - obiecała. - Pilnujcie domu i nie wpuszczajcie nikogo do środka.

To z pewnością przywidzenie, ale zdawało jej się, że Buzz pokiwał głową. Zamknęła bramę do garażu specjalnym kluczem, który dołączono do wymyślnego mechanizmu zabezpieczającego. Urzędowo wyglądający samochód stał przed budynkiem. W aucie nie było nikogo, a wokół ani śladu przechodniów. Wyjechała na jezdnię zadowolona, że nie ma ruchu. Co dziesięć sekund patrzyła w lusterka wsteczne i boczne sprawdzając, czy ciemnoniebieski samochód nie jedzie za nią. Jeśli ktoś ją śledził, nie dostrzegła tego. Dalej bolała ją głowa.

Na Jessie idealnie pasował rozmiar siódmy, więc bez kłopotu znalazła odpowiedni strój. Spodobały jej się dwie sukienki, a że nie mogła się zdecydować, którą wybrać, poprosiła o zapakowanie obu – jednej z pomarańczowego jedwabiu i drugiej, kosztownej, rozkloszowanej kreacji w kolorze indygo. Na wystawie wskazała parę pantofli zapinanych na paseczek, na niedużym obcasie i poprosiła o numer sześć i pół. Do kompletu weźmie torebkę od Chanel, którą dostała od Sophie, i sprawa z głowy.

Dwadzieścia minut później jechała na ranczo Kingsleyów. Zakupy leżały w bagażniku rovera. Wciąż bolała ją głowa, choć już nie tak mocno. Zastanawiała się, czy nie popełnia błędu. No cóż, czas pokaże.

Spojrzała na zegarek. Tanner wkrótce przyjdzie na lunch, a to oznaczało, że Alexis i senator też będą obecni.

Zatrzymała samochód na wykładanym płytami pdjeździe na tyłach domu, przy wejściu do kuchni. Przez kilka minut zwlekała czekając, aż ktoś podejdzie do drzwi. Wiedziała, że jest obserwowana przez okno pokoju śniadaniowego.

Jak tu cicho, pomyślała.

Wreszcie zdecydowanym krokiem, z głową wysoko uniesioną i wyprostowanymi ramionami podeszła do drzwi i zapukała. Otworzyła gospodyni i uśmiechnęła się.

- Panno Jesssie, jak miło panią widzieć.
- Przyszedłam odwiedzić senatora, Mattie. Czy może przyjmować gości? Jeśli nie, to chciałabym porozmawiać z Tannerem.
- Kto przyszedł, Mattie? – spytała Alexis z pokoju śniadaniowego.
- Panna Jessie, pani Kingsley. Przyjechała z wizytą do senatora.
- Na miłość Boską, nie trzymaj jej w kuchni. Wprowadź do środka. Połóż jeszcze jedno nakrycie. Zostaniesz na lunchu, prawda, Jessica?

- Dziękuję za zaproszenie, ale jadłam przed wyjściem z domu. Wyjeżdżam na kilka tygodni i przed wyjazdem chciałam zobaczyć się z senatorem. Czy może przyjmować gości?

- Ostatnimi czasy właściwie nikogo nie widuję, moja droga. Jednak zawsze tak bardzo cię lubił, że może zechce zrobić wyjątek. Nie wygląda już tak jak kiedyś, Jessica... jest bardzo słaby. Ma dobre i złe dni. Tak się cieszę, że wstąpiłaś do nas. Przykro mi, że nie zostaniesz na lunchu. Tanner wkrótce przyjdzie.

Alexis też wyglądała inaczej. Była szczuplejsza, właściwie koścista. Twarz miała ściągniętą, pokrytą zbyt grubą warstwą makijażu. Wciąż jednak nosiła brylanty i szyte na miarę ubrania.

- Usiądź, Jessica. Powiem Angusowi, że jesteś. Proszę, napij się chociaż kawy i zjedz bułeczkę. Są świeże, Mattie upiekła je dziś rano.

Jessie skinęła głową. Przysiadła na brzeжку krzesła, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Upłynęło sporo czasu, zanim Alexis stanęła w drzwiach i skinęła na nią.

- Wejdz na górę. Angus jest w pokoju na końcu korytarza. Lubi patrzeć na pola i ma stamtąd wspaniałe widoki na stajnie. Swego czasu był doskonałym jeźdźcem. Nie rozmawiaj z nim zbyt długo, moja droga, bardzo szybko się męczy.

A więc Alexis nie zostanie, by przysłuchiwać się rozmowie. Jessie poczuła ulgę, dopóki nie przypomniała sobie o otworach grzewczych.

Słowo „słaby”, którym posłużyła się Alexis, zbyt łagodnie określało stan senatora. Był po prostu wychudzony. Ciemne, błyszczące oczy zapadły w głąb. Broda sflaczała i obwisła. Niegdyś wyraziste rysy twarzy wyglądały jak zamazane. Ciekło mu z nosa, który ciągle wycierał. Na jego widok Jessie zebrało się na płacz.

- Senatorze, to ja, Jessie. Przyjechałam zobaczyć, jak pan się czuje. Miałam zamiar zadzwonić, ale wolałam pana nie niepokoić. Wyjeżdżam na jakiś czas i chciałam się z panem zobaczyć przed wyjazdem. Czy mogę coś dla pana zrobić?

- Niestety nie, dziecko. Pamiętam dzień, gdy po raz pierwszy przyszedł do mojego biura. Wiedziałem, że jesteś jedna na milion.

- Dziękuję, senatorze.

- Chcą mnie dorwać, dziewczyno. Wszystko spieprzyłem. Myślałem, że jestem nieomylny. Długie lata pracy na Kapitolu sprawiają, że człowiek zaczyna tak o sobie myśleć. Zanim wszystkich przygwoźdzą, mnie już nie będzie, więc nie żałuję niczego. Dręczą mnie całymi dniami. Tęsknię za Irene.

Jessie nie wiedziała, co ma powiedzieć, kiwała więc tylko głową, by wyrazić swe zrozumienie.

- Z tobą też chcą rozmawiać. Myślą, że coś wiesz. A wiesz, dziecko?

- Nie. Wszystko jest w dziennikach. Czy będzie pan... czy mogą coś panu zrobić?

- To wszystko sprowadza się do pieniędzy. Irene i Henry potrzebowali forsy. Wiedziałem, jak ją zdobyć, i zdobyłem. Wchodziłem w układy, siedłem na łatwiznę, wyprzedawałem głosy za wszechwładnego dolara. Mówię, że zrobiłbym to jeszcze raz, ale to nieprawda. Nie ma nic gorszego niż umierać w hańbie na oczach całego świata. Nikt nie będzie pamiętał, że zrobiłem dla tego kraju wiele dobrego. Moi współpracownicy przestali do mnie dzwonić mniej więcej w tym samym czasie, co bliźnięta. To najbardziej boli. Co im powiesz, Jessie?

- Nie wiem, senatorze. Chyba to będzie zależało od tego, o co mnie zapytają. Mam tylko mgliste wspomnienia. Wszystko jest w dziennikach.

Senator skinął głową.

- Farma Irene była warta fortunę. Jej sprzedaż przyniosła ponad dwa miliony dolarów. Gdyby ją sprzedała, gdy to wszystko się zaczęło, nie znalazłbym się w takim położeniu. Dlaczego tego nie zrobiła, Jessie? Dlaczego pozwoliła mi nadstawić tyłek?

- Nie wiem, senatorze. Może wtedy farma nie była warta tyle co teraz. Może chciała ją zostawić dzieciom. Po prostu nie wiem.

- W domu nie mówią mi zbyt wiele, ale wiem, że wystąpiłaś o rozwód. Byłoby dobrze, gdybyś pozostała członkiem naszej rodziny, ale nie mogę być ślepy na wady mojego syna. Przykro mi to stwierdzić, ale ulżyło mi ze względu na ciebie.

- Senatorze, kto to jest J.J.?

- Stary przyjaciel Tannera jeszcze z czasów szkolnych. Był jednym z miejskich dzieci, które przyjeżdżały tu każdego lata. Luke go nie lubił. Szkoda,

że Tanner nie jest podobny do Luke'a. Wiesz, ja go okantowałem. Nigdy potem nie mogłem mu spojrzeć w oczy.

- Jakie jest prawdziwe nazwisko J.J.?

- Nie pamiętam. To było tak dawno temu... Nie widziałem go całe lata. Dlaczego nie spytasz Tannera? Byli jak papużki nierozłączki. Zawsze wpadali w jakieś tarapaty. Alexis wpłacała za nich kaucję tyle razy, że straciłem rachubę. J. J. był bystry. Miał głowę na karku i wielkie marzenia.

- Jakie marzenia, senatorze?

- Wiesz, dziecinada, głupoty. Chciał znaleźć najbogatszą dziewczynę na świecie i ożenić się z nią, by nigdy potem nie musieć ruszać tą swoją wspaniałą głową. On i Tanner bez przerwy kogoś obstawiali. Zdaje mi się, że JJ. złowił w końcu dużą rybę, ale sprawa skończyła się fiaskiem. Tanner był tym bardzo przejęty. Załatwił wówczas coś dla siebie. Jeśli cię to interesuje, postaram się czegoś dowiedzieć.

- To nic ważnego, senatorze. Wygląda pan na zmęczonego. Powinam już iść.

- Mówiłaś, że wyjeżdżasz. Dlaczego, dziecko? Czy to z powodu Tannera?

- Częściowo. Muszę gdzieś zapuścić korzenie. Tanner i ja nie byliśmy sobie przeznaczeni. Myślę, że pan o tym wie. Nie można budować z niczego, nawet jeśli bardzo się tego pragnie. Zamierzam zostawić przeszłość za sobą, a Tanner powinien uczynić to samo. Jest pan pewien, że nic nie mogę dla pana zrobić, senatorze?

- Nic nie mów tym sukinsynom, Jessie. Niech grzebią w poszukiwaniu tego, czego, jak sądzą, mogą się dokopać. Pomyśl o mnie dobrze od czasu do czasu.

- Oczywiście, senatorze. Proszę na siebie uważać.

Wychodząc z pokoju słyszała stłumiony dźwięk, który zabrzmiał jak śmiech. Jeden zaliczony i jeszcze jeden do załatwienia. A może jeden zaliczony, a dwoje do załatwienia?

- Jessica, proszę, usiądź i napij się kawy z Tannerem i ze mną. Męczy nas już własne towarzystwo. Dla odmiany byłoby miło porozmawiać jeszcze z kimś. Już wcześniej miałam zamiar ci powiedzieć, że ślicznie wyglądasz. Tak pięknie, że chyba jesteś w ciąży. Nie myłę się, prawda? Cała promieniejesz.

Tanner przestał jeść i zapytał:

- W ciąży? Jesteś w ciąży, Jessie?

Świat Jessie natychmiast zaczął się rozpadać. Niech cię piekło pochłonie, Alexis. Zastanawiała się, czy widać po niej, że kłamie. Starła się uśmiechać beztrzesko. Potrząsnęła głową i wzięła bułeczkę, po to tylko, by mieć co zrobić z rękami. Nie powinna tu się pojawiać. Matka i syn wyglądali jak sępy. Boże, po co ona tu przyjechała? Jak wyjaśni to wszystko Luke'owi? Poczula, że cała sztywnieje.

- Tanner, czy to ty wczoraj w nocy byłeś pod moim domem?

- Nawet nie wiem, gdzie, do diabła, mieszkasz. Posłuchaj, Jessie, nie chcę rozwodu. Jestem mu przeciwny. Jeśli jesteś w ciąży, lepiej powiedz mi o tym teraz. Sędzia nie będzie przychylnie nastawiony, jeśli dowie się o takim przeoczeniu.

- Czy wyglądam, jakbym była w ciąży, Tanner? Dziecko z tobą to coś, o czym nawet nie chcę myśleć. Teraz się pożegnaj. Dziękuję za bułeczkę.

Popędziła roverem wzdłuż drogi dojazdowej i wypadła na autostradę wiodącą do miasta. Odetchnęła swobodnie dopiero w garażu.

Trochę uspokojona, zaprowadziła psy na poddasze, gdzie zwinęła się w kłębek na łóżku. Wiedziała, że przyśni jej się okropny koszmar, ale nie dbała o to. Chciała zasnąć, by wymazać z pamięci obraz rozradowanej twarzy Alexis. Natychmiast zasnęła.

19

Dwa identyczne psy siedziały wyprostowane, wpatrując się w śpiącą kobietę, która niespokojnie przewracała się z boku na bok na łóżku. Szczeniak leżał obok i pracowicie żuł jeden z jej kapci. Z gardła Buzza wydobyło się ciche skomlenie, a jego towarzyszka miała wyraźnie zmartwiony wzrok.

Jessie z wykrzywioną twarzą przekręciła się na łóżku i machnęła ramionami, sięgając ku leżącej obok poduszce. Buzz najeżył się, gdy z ust dziewczyny rozległ się mroźący krew w żyłach krzyk. Jelly natychmiast wskoczyła na łóżko, Buzz tuż za nią.

- Mamooo! Mamusiuuu! Nie, nie, zdejmij to. Mamusiuuu! Jelly! Jelly! Mamusiuuu! To nie mamusia, nie mamusia!

Psy poszturchiwały Jessie nosami, gdy przewracała się z boku na bok.

Buzz zaszczekał raz, a potem drugi tak głośno, że Jessie obudziła się wreszcie i usiadła wyprostowana. Miała szklisty, nieprzytomny wzrok, a łyzy toczyły się jej po policzkach. Walczyła, by wziąć głęboki oddech. W końcu opadła na łóżko z mocno bijącym sercem. Psy lizaly łyzy spływające jej po twarzy.

- Przestraszyłam was, prawda? - wywamrotala Jessie tuląc do siebie zwierzęta. - Tym razem sama się też przestraszyłam. Ale już wszystko w porządku.

Klepała psy po aksamitnych łbach, czekając aż jej tętno powróci do normy. Gdy serce zaczęło bić normalnym rytmem, wstała z łóżka.

- Okay, smakołyki dla wszystkich. Kawa dla mnie. Och, Fred, jeszcze jeden but! A gdzie jest tenisówka, którą ci dałam?

Szczeniak przekrzywił łeb i czekał, aż nowo zdobyty skarb zostanie mu odebrany. Gdy jego pani tylko wzruszyła ramionami, poszedł w ślad za pozostałymi psami.

Jessie wsypała kawę do ekspresu i dała psom kości do gryzienia. Zaczynała ją znowu boleć głowa.

Popijając kawę odtworzyła w myślach koszmar, który dziś jej się przyśnił. Był dużo gorszy i różnił się od poprzednich. Przedtem nigdy nie wołała matki. Co mieli jej zdjąć? Może jeden ze swetrów? Płaszczyk? Za ciasne buty? Czapkę? Zamknęła oczy, bo ból głowy nasilił się. Sięgnęła po buteleczkę aspiryny i wzięła cztery pastylki popijając kawą, chociaż z doświadczenia widziała, że to nic nie pomoże. Głowa będzie ją bolała, dopóki się całkowicie nie odpręży, a wspomnienie koszmaru nie rozwieje.

Może uda jej się uspokoić, gdy pomyśli o Luke'u i o wspólnie spędzonym przyjemnym wieczorze.

Gdy nalewała drugą filiżankę kawy, ktoś zadzwonił do drzwi galerii. Czy powinna je otworzyć? To z pewnością nie był Luke. Zawsze wchodził od strony garażu. Czy wystarczy jej energii, by zejść w dół po schodach, a potem rozmawiać z tym, kto dzwoni? Głowa pękała jej z bólu. Z jakiegoś powodu

dźwięk dzwonka nie zaniepokoił psów. Przyjaciół czy wróg? Oczywiście wróg. Nie miała przyjaciół poza Lukiem i Arthurem Mendenaresem.

Gdy dzwonek zadźwięczał po raz trzeci, Jessie prychnęła ze zniecierpliwieniem. Trzymając filiżankę w ręku zeszła po schodach, a psy tuż za nią. Otworzyła drzwi, zastawiając nogą wąskie przejście, by szceniak nie czmychnął.

- Tanner! - wykrzyknęła.

- Chcę z tobą porozmawiać, Jessie.

- To nieodpowiednia pora. Okropnie mnie boli głowa. Rozmawialiśmy kilka godzin temu i nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

- Chciałbym wejść do środka. A może ukrywasz tajemniczego kochanka, co?

Jessie westchnęła.

- Pewnie - wymamrotała przytrzymując drzwi. Wszystkie trzy psy obwąchiwały przybysza, okrążając go jak Indianie przygotowujący się do ataku. Mimo okropnego bólu głowy roześmiała się na głos, gdy Fred najpierw niepewnie usiłował podnieść łapę, a potem przykucnął i oblał prawy but Tannera.

- Nieladnie, Fred. Masz susiać na gazetę. Dam ci papierowy ręcznik, Tanner. A więc o czym chcesz ze mną rozmawiać? Mogę poświęcić ci dziesięć minut. Jestem zajęta.

Tanner rozejrzał się wokół.

- Co to za miejsce?

- To mała galeria, w której mogę wystawiać rysunki. Mieszkam na poddaszu razem z psami. Tu jest naprawdę wspaniale. O czym chcesz ze mną rozmawiać? - powtórzyła.

- Jessie, nie chcę rozwodu. Ty chyba też nie. Zrobiłem coś głupiego, a ty na to źle zareagowałaś. Naprawdę bardzo mi przykro. To się nigdy nie powtórzy. Nie chcę, byśmy zaprzepaścili nasze małżeństwo z powodu jednego głupiego błędu.

- Nic z tego nie będzie, Tanner. Nie Kocham cię, a ty nie Kochasz mnie. A to jest przecież najważniejsze. Małżeństwo oparte na innych podstawach niż miłość w żaden sposób nie może się udać. Będę żyła dalej i ty też musisz.

- To sprawka Luke'a, prawda? Spałaś z nim? Wiedziałem! Masz to wypisane na twarzy.

- Szpiegowaleś mnie wczoraj w nocy, Tanner?

- Po co miałbym robić takie głupie rzeczy? A może to wy robiliście coś, czego powinniście się wstydzić? Masz taką minę, jakbyś miała nieczyste sumienie. Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Co robię, a czego nie robię, to nie twoja sprawa. Wystąpiłam o rozwód. Jesteśmy w separacji. Dlaczego nie możesz tego zrozumieć? Luke jest moim przyjacielem.

- Jeśli to prawda, to co tu robi jego cholerny pies i skąd wytrzasnęłaś dwa pozostałe?

- Nic ci do tego, Tanner. Wyjdz.

- Nie chcę rozwodu, Jessie. Odmawiam zgody na rozwód. Kogo twoim zdaniem posłucha sędzia, kiedy dowie się, jak się tobą opiekowałem, oczywiście z pomocą mojej matki, gdy byłaś chora i nawet nie wiedziałaś, jaki jest dzień tygodnia? Sprowadziliśmy dla ciebie najlepszych lekarzy z całego Teksasu. Na miłość Boską karmiłem cię łyżeczką. Matka pomagała ci nawet brać prysznic i ubierać się. To musi się liczyć. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy, zdradzasz mnie z Lukiem Holtem!

Jessie zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Czy tego rodzaju zarzuty mogą zaszkodzić Luke'owi w podjęciu pracy w Penn State? Czy niewierność Tannera ma znaczenie? Oczywiście, że nie, przecież on jest mężczyzną.

- O co ci w końcu chodzi, Tanner? Mów.

- Chcę ciebie. Chcę naprawić nasze małżeństwo. Chcę mieć z tobą dzieci.

Jessie poczuła, że zbiera jej się na mdłości.

- Za późno. Nie chciałabym walki na noże, więc czy nie moglibyśmy rozstać się zachowując chociaż pozory przyjaźni? W tej chwili nawet cię nie lubię. Nie doprowadzaj do tego, bym cię znienawidziła.

- Czy ty jesteś w ciąży? Jeśli tak, to wszystko zmienia. Każdy prawnik ci to powie. Jesteś, Jessie?

- Tanner, czas na ciebie. Nie będę tańczyła, jak mi zagrasz. Mój prawnik porozmawia z twoim. Nie powinienes tu przychodzić. Jeśli jeszcze kiedyś wrócisz, nie otworzę ci drzwi.

- Prawnicy tylko pochłaniają pieniądze i zwracają strony przeciwko sobie. Mój ojciec może to poświadczyć... co nasuwa mi następne pytanie: skąd bierzesz pieniądze, by płacić czynsz za to miejsce i za postępowanie rozwodowe? Mam nadzieję, że nie planujesz wepchnąć mi potem rachunków do zapłacenia, skoro mamy na ranchu luksusowe warunki.

- To też zalicza się do spraw, które cię nie obchodzą. Przyjmij do wiadomości, że już nigdy się nie zejdziemy. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla wszystkich.

Jessie podeszła do drzwi z psami u boku. Fred podbiegł do gazety i przewrócił się próbując podnieść nogę. Zrobił jednak siusiu na gazetę.

- Fred, dobry piesek!

- Głupi pies - warknął Tanner. - Wyślę ci rachunek za te buty.

- W porządku.

W drzwiach Tanner odwrócił się.

- Popełniasz duży błąd, Jessie. Należymy do siebie. Jeśli zadajesz się z Lukiem, to pożałujesz tego, kobieto.

Jessie westchnęła. Nie zamierzała zadawać mu tego pytania, ale nie mogła się powstrzymać.

- Co to ma znaczyć? Grozisz mi?

- To znaczy, że on nie pokocha cię tak jak ja. To znaczy, że wymienię jego nazwisko w postępowaniu rozwodowym. Cudzołóstwo nie jest w tych stronach szczególnie popularne. Luke zawsze był samotnikiem. Gdyby jego narzeczona, Alison, nie umarła, znalazłby sposób, by się wykręcić od małżeństwa z nią. Nie jest materiałem na męża. Jeśli te słowa brzmią jak groźba, to chyba nią są.

- Źle znoszę groźby, Tanner. Chcesz powiedzieć, że ty jesteś materiałem na męża? W takim razie dlaczego nie byłeś mi wierny? Nie odpowiadaj i tak mnie to nie obchodzi. A jak sąd odniesie się do twojej niewierności? Wracaj na rancho i więcej tu nie przychodź.

- Jesteśmy żałośni, prawda? - powiedział Tanner.

- Tanner, kto to jest J.J.?

Odwrócił się i z twarzą bez wyrazu gapił się na żonę. Jessie zdawało się, że w jego oczach mignął strach.

- Nigdy o nim nie wspomniałeś, a jak się zdaje, jest twoim bliskim przyjacielem. Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko?

- Po co chcesz wiedzieć? Chyba nazywa się John James albo James John, coś w tym rodzaju. Zawsze nazywałem go J.J.. Tatusi przywoził latem dzieciaki z miasta na ranczo, on też kiedyś przyjechał i zaprzyjaźniliśmy się. Chyba Luke sporo ci o nim nagadał. Nigdy naprawdę nie lubił J.J.

- Myślałam, że może to jest ten przyjaciel, który zginął w wypadku samochodowym w drodze do szkoły.

- Tak, tak, tak właśnie było z tamtym. Mówiłem ci. Nie lubię o tym rozmawiać.

- Ależ z ciebie kłamca, Tanner - powiedziała Jessie. Wypchnęła go za drzwi i zamknęła je na klucz.

Lże jak z nut, pomyślała prowadząc psy na poddasze.

Pytanie tylko, po co miałyby kłamać na temat starego przyjaciela? Poczula mrowienie skóry, gdy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Jessie popijała zimną kawę. Wciąż pogrążona w myślach podniosła słuchawkę. Dziesięć minut później miała zarezerwowany lot do Atlanty na dziś, na dziewiętnastą, i na powrót o ósmej następnego ranka. Nie musiała nic pakować, bo w szafie Sophie było pełno ubrań. Powinna tylko poprosić Luke'a, by zaopiekował się psami aż do jej powrotu. Zadzwoiła do niego. Gospodyni powiedziała, że jest w drodze do miasta.

Jessie pobiegła do łazienki, umyła twarz, uczesała włosy i przebrała się. Przełożyła rzeczy z brązowej skórzanej torebki do czarnej od Chanel którą dostała od Sophie. Była w garażu i właśnie wkładała figurkę wyżła Elroya do torebki, kiedy przyjechał Luke. Zalała go potokiem słów. Kiedy w końcu przerwała, popatrzyła na niego i pocałowała go mocno w usta.

- Wrócę jutro do południa.

Głosem drżącym z emocji Luke powiedział:

- Czy to znaczy, że jutro nie pojedziemy do Pensylwanii?

- Właśnie. Możemy pojechać pojutrze. Czy tak będzie dobrze?

- Zrób to jeszcze raz.

Jessie znowu go pocałowała.

- Odwiozę cię na lotnisko - zaproponował Luke.

- Nie. Potrzebuję czasu do namysłu, a nie mogę myśleć, gdy jestem przy tobie. Zostaniesz tutaj, czy wrócisz na ranczo?

- Chyba zostanę. Jesteś pewna, że tak będzie dobrze?

Jessie uśmiechnęła się.

- Lepiej niż dobrze. Będę za tobą tęsknić.

- Jeśli ci teraz coś powiem, zapamiętasz to? - spytał Luke szorstko.

Jessie przybrała uroczysty wyraz twarzy, skinęła głową, a jej oczy wyrażały zaniepokojenie.

- Pamiętaj, że cię kocham.

Gdy Luke wymówił te słowa, Jessie poczuła, że krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach.

- Myślę, że potrafię to zapamiętać.

- A ty? - ponaglił ją Luke.

- Ja też cię kocham. Nie zapomnij o tym.

- Jedź, zanim postanowię cię zatrzymać. Zadzwońisz do mnie, żeby zawiadomić, że dojechałaś bezpiecznie?

- Oczywiście, Luke. Nie podnoś słuchawki ani nie otwieraj drzwi. Zadzwoń dwa razy, odłóż słuchawkę, a potem zadzwonisz jeszcze raz, żebyś wiedział, że to ja.

- Dobrze.

Czekając na połączenie Tanner chodził tam i z powrotem z kablem telefonu rozciągniętym na całą długość. Unikał gniewnego spojrzenia matki. Kiedy jego przyjaciel w końcu podniósł słuchawkę, Tanner powiedział:

- Wiesz, J.J., jesteś pieprzoną gnidą. Mówiłem ci, że to nie przejdzie. Oboje z matką jesteście zupełnie bezmyślni. Ta Jessie w niczym nie przypomina dziewczyny, z którą się ożeniłem. Zmieniła się. I pewnie puszcza się z Lukiem. Miała to wypisane na twarzy. Moja matka myśli, że ona jest w ciąży, ale to nie znaczy, że tak jest w rzeczywistości. Jessie może stąd prysnąć w każdej chwili. W jakiej mnie to stawia sytuacji? Cała sprawa wiśi na włosku. Zadzwoń do kilku przyjaciół Sophie albo do prawnika i wszystko skończone. Gdzieś w świecie są też jej rodzice. Słuchasz mnie? Odegrałem rolę miłego faceta i co to dało? Uważam, że powinniśmy dać sobie spokój. Znajdź pracę i zacznij zarabiać. Ja to właśnie zamierzam zrobić. Zmarnowałem zbyt wiele lat angażując się w te gówniane sprawy, mam tego dość. Jestem ranczerem. Mogę sprawić, by ranczo znowu rozkwitło, tak jak przed wielu laty. Nie dzwoń do mnie, ja zadzwonię do ciebie.

Alexis skrzywiła się, gdy syn rzucił słuchawką telefonu.

- Cokolwiek chcesz powiedzieć, nie mów tego - ostrzegł Tanner ze złością.

Po chwili rzucił matce w twarz:

- Mam tego gówna powyżej uszu. Ojciec załatwił sprawę z ranczem. Nie jesteśmy milionerami, no i co z tego? Żyjemy wygodnie. Ta awantura z tatą też się skończy... kiedyś. Jeśli martwisz się o pieniądze albo o wnuki, Łasica ciągle jest do wzięcia.

- Nie nazywaj jej tak. Ma na imię Barbara.

- To i tak bez znaczenia.

- Myślę, że powinieneś zrobić jeszcze jedną, ostatnią rzecz. Zgodziłeś się na tę absurdalną intercyzę, więc nie masz prawa do jej pieniędzy. Ale jeśli Jessie zdecydowała się przeprowadzić rozwód, a jest tak bogata, jak mamy powody sądzić i w dodatku w ciąży, jak podejrzewam - może zechce pójść na ugodę. Wiem, że dziecko cię nie interesuje. Ale może warto byłoby pomyśleć o zrzeczeniu się wszelkich praw rodzicielskich za jakąś ładną sumkę. Załadaj, by Jessica poddała się badaniu kontrolnemu. Sądzę, że masz do tego prawo. Jeśli nie ma nic do ukrycia, nie będzie z tym problemu. Jeśli jest w ciąży, załadaj wielu praw do dziecka - odwiedzin w wakacje, w weekendy. Zadzwoń do swojego adwokata i załadaj, by złożył wniosek, czy zrobił coś, co prawnicy w takiej sytuacji robią, by Jessica nie mogła opuścić stanu. Zrób to teraz, Tanner, zanim ci uciekniesz. Sędzia Rickle w ciągu godziny każe dostarczyć dokumenty na miejsce i Jessica będzie uziemiona. To chyba tak się robi. Jeśli twoja żona ma romans z Lukiem i zamierza wyjechać albo, co jest prawdopodobne, wyjść za niego, będzie chciała uregulować sprawy z tobą. Nie radzę mówić o tym J.J. Zrób to teraz, Tanner. Chcę słyszeć, jak będziesz rozmawiał z adwokatem.

Tanner zadzwonił do prawnika i ostrym tonem przekazał dyspozycje. Kiedy odłożył słuchawkę, z wściekłością spojrzął na matkę.

- Czuję się jak najgorszy łajdak. Chcę, żebyś o tym wiedziała, matko. Żałuję udziału w całym tym gównie. Żałuję, że kiedykolwiek spotkałem J.J. i cholernie żałuję przykrości, jakie wyrządziłem żonie. Wiesz co, na mój pokrętny sposób kocham ją. Jest uczciwa, bystra, lojalna i kiedyś mnie kochała. A ja robiłem ją na szaro dla wszechmocnego dolara. Nienawidzę człowieka, jakim się stałem. Teraz wiem, że nie chcę jej pieniędzy. Nigdy ich nie chciałem. Jaki

facet kłamie, oszukuje i okrada kobietę? Facet taki jak J.J., tak cholernie leniwy, że nie chce mu się zapracować na życie. Masz pojęcie, jak ja nienawidzę tego sukinsyna? Jeśli kiedykolwiek dowiem się, że to on jest odpowiedzialny za śmierć przyjaciółki Jessie, Sophie, przysięgam, zabiję tę kanalię. Jeśli byłby jakiś sposób, by wszystko naprawić, zrobiłbym to w mgnieniu oka. Nie chcę skończyć tak jak ty.

Alexis wzdrygnęła się.

- Obawiam się, że będziesz musiał jakoś przejść nad tym do porządku - powiedziała. - Ostrzegałam cię przed J.J., ale nie chciałeś mnie słuchać. Myślę, że powinienś pójść na górę do ojca. Ma dziś zły dzień.

- Teraz nie mogę. Pogram z nim w szachy wieczorem. Gdybyś przypadkiem zapomniała, prowadzę ranczo. Nie czekaj na mnie z kolacją.

Alexis patrzyła na odchodzącego syna, a jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Jak mocno zależało Jessice na rozwodzie? Ile na wolnym rynku było warte nie narodzone dziecko? Tanner tylko gadał, co mu ślina na język przyniosła. Miała resztę dnia i wieczór, by to dokładnie przemyśleć.

Zegarek wskazywał pierwszą w nocy. Czy stara gospodyni przestraszy się, jeśli Jessie otworzy sobie drzwi i wejdzie do środka? A może powinna zadzwonić i obudzić ją? Zdecydowała się w końcu zadzwonić. Po chwili zapaliły się światła nad tylnym wejściem do domu. Stara kobieta wyjrzała odchylając zasłonkę.

- Boże miłosierny, dziecko! Czy coś się stało? - spytała po chwili, gdy już otworzyła drzwi.

- Nie. Przepraszam, że cię obudziłam, Anno. Mój samolot miał opóźnienie. Przyjechałam zabrać stąd pewne rzeczy. Nie zostanę długo. Zamierzam wyjechać jutro z samego rana.

- Nie obudziłaś mnie, Jessie. Ostatnio nie sypiam zbyt dobrze. Raczej ucinam sobie krótkie drzemki. Dalej jesteś pewna, że chcesz, żebym tu mieszkała opiekując się domem, z którego nie korzystasz?

- A dajesz sobie radę?

- Boże drogi, pewnie. Sprzątam tylko w kuchni i w moim pokoju. Przez resztę czasu oglądam opery mydlane w telewizji. Nie chcę, żebyś uważała, że musisz mi płacić z litości.

- Naprawdę nie o to chodzi, Anno. Chciałam, żeby ktoś mieszkał w tym domu. Nie mogę znieść myśli o zamknięciu go na dobre. Tak długo byłaś częścią świata Sophie... Należysz do tego domu. Naprawdę chcę, żebyś tu została, jak długo będziesz mogła. Pieniądze nie mają nic do rzeczy.

- Sophie zabezpieczyła mnie finansowo. Była takim dobrym, uczynnym dzieckiem. Serce mi pęka na myśl, że odeszła. Jesteś głodna, Jesie? Mogę przygotować pyszną kolację. Upiekłam kurczaka. Trzeba go tylko podgrzać.

- Z przyjemnością coś zjem. Zostaw w piecyku, zejde później i wezmę sobie. Napiłabym się wody.

Gospodyni otworzyła butelkę i podała Jessie.

- Będę w moim pokoju, gdybyś mnie potrzebowała.

Idąc przez rezydencję Jessie włączała po kolei światła. Gdy szła na górę po wspaniałych schodach, ogarnęły ją wspomnienia. Przypomniała sobie, jak pewnego razu Sophie głośno piszcząc zjechała po wypolerowanej poręczy ładując na pupie.

- Jesteś tu, Sophie, czuję twoją obecność - szepnęła do siebie wchodząc do pokoju przyjaciółki. Znajomy zapach tego miejsca przyprawił ją o taki zawrót głowy, że musiała się przytrzymać framugi, by nie upaść. Gdy poczuła się lepiej, otworzyła torebkę i wyjęła glinianą figurkę Elroya. Ściskając ją w ręku weszła do garderoby. Tutaj zapach był jeszcze silniejszy. Jessie przykucnęła z Elroym w ręku i ściągnęła długi wąski dywan, którym przykryty był sejf w podłodze. Przy świetle padającym z góry obróciła pokrętło i otworzyła sejf, zdumiona, że tak dobrze pamięta kombinację cyfr. Gdy usłyszała kliknięcie pokrętła, ukłękła na podłodze. Zagryzła dolną wargę aż do krwi.

Boję się go otworzyć, pomyślała.

Ten sejf był dumą i radością Sophie. Jedynym miejscem, w którym mogła ukryć, przechować i zabezpieczyć różne rzeczy.

Sejf senatora Kingsleya w Waszyngtonie robił z zewnątrz imponujące wrażenie, ale w środku był bardzo mały. Mieściły się w nim tylko dwie nieduże półki. Ten sejf był trzy albo cztery razy większy od tamtego. Co Sophie w nim przechowywała? Jessie szarpnęła ciężkie drzwi i pociągnęła ku górze. Wyleciała pojedyncza kartka papieru, niesiona prądem powietrza płynącym od drzwi. Jessie sięgnęła po nią. To był list od Sophie.

- Och, Boże - zanosła się płaczem.

Kochana Jessie,

Skoro zdecydowałaś się otworzyć sejf, sprawy chyba układają się bardzo kiepsko. Mam nadzieję, że to, co tu znajdziesz, pomoże ci wybrnąć z kłopotów. Wiem, że płaczesz. Masz natychmiast przestać. Do cholery, to rozkaz, Jessie. Przecież przeszłość jest wstępem do przyszłości. Przykro mi, że nie jestem z Tobą i nie mogę Ci pomóc. Teraz, gdy wszystko zbliża się ku końcowi, uświadamiam sobie, że każda z nas musi odnaleźć spokój ducha na swój własny sposób. Potrafisz to zrobić, Jessie. Wiem, że nie rozumiesz, dlaczego wybrałam taką drogę, jaką wybrałam. Nic nie szkodzi. Teraz nadeszła pora, by dać do wiwatu komu trzeba, a usprawiedliwień wysłuchać później. Na dnie sejfu jest guma balonowa. Pewnie już zwietrzała, ale co tam, do diabła. Byłaś jedyną stałą wartością w moim życiu i za to Cię kocham. Miej dobre życie, Jessie. Nie zapomnij, co mi obiecałaś.

Z miłością,

Sophie

Becząc jak dziecko, Jessie szperała w głębi sejfu szukając gumy Bazooka, którą Sophie nałogowo żuła.

Wcale nie jest zwietrzała, pomyślała rozpakowując paczuszkę.

- Dalej, Jessie, do dzieła - wymamrotała z gumą w ustach.

Ostrożnie wyjęła zawartość sejfu. Znajdowały się w nim szkatułki na biżuterię, akty notarialne ściągnięte gumkami, akt własności greckiej wyspy - zmięty w kulkę skrawek papieru na dnie Sejfu. Jakże ten dar zranił Sophie! Sterty brązowych kopert zalakowanych czerwonymi pieczęciami. Tylko jedna koperta miała złamaną pieczęć: raport detektywa dotyczący Jacka Dawsona.

- Przykro mi, Sophie, ale muszę to przeczytać. Chyba wiedziałaś, że któregoś dnia do tego dojdzie. No więc, zaczynamy.

Jessie rozplakała się z żalu i cierpienia, gdy skończyła czytać zawartość ostatniej koperty. Oparta plecami o ścianę szlochała, dopóki nie zabrakło jej łez. Upłynęło mnóstwo czasu, zanim zeszywniała wstała z podłogi.

Była czwarta rano, gdy Jessie zamknęła sejf i położyła dywan na swoim miejscu. Sięgnęła po wymiętą torbę leżącą na górnej półce w garderobie, wepchnęła do niej trzy brązowe koperty, akt własności greckiej wyspy, torebkę z Elroyem w środku i szkatułki z biżuterią. W małym biurze mieszczącym się

obok sypialni Sophie włączyła niszczarkę do dokumentów i przystąpiła do cięcia na strzępy zapisków, które latami prowadziła i przechowywała, oraz powierzonych jej przez poprzednią asystentkę senatora dzienników.

Wychodząc z sypialni Sophie, Jessie zatrzymała się na chwilę, by po raz ostatni poczuć woń, którą kiedyś roztaczała wokół siebie jej przyjaciółka.

Nie mieściło jej się w głowie, że po tak długim czasie w pokoju wciąż utrzymuje się ten zapach.

- Wiem, że jesteś tutaj, Sophie. W głębi serca jestem tego pewna - wyszeptwała.

Głęboko odetchnęła, a potem wydmuchała wspaniałego balona.

- Nawet w swoich najlepszych chwilach nie udało ci się zrobić tak dużego, Sophie - wyszeptwała znowu.

Wiedziała, że nieprędko tu wróci... jeśli w ogóle. Może pewnego dnia z córką lub synem. A może nigdy. Schodziła po schodach pogrążona w bólu.

W kuchni, zachowując się jak najciszej, zjadła wysuszonego kurczaka i ziemniaki bez smaku. Wypiła jeszcze dwie szklanki wody i wypaliła pół paczki papierosów, nim nadeszła pora wyjazdu na lotnisko.

Opuściła dom cichutko, nie oglądając się za siebie. Ból i żal przenikały ją do głębi.

Sophie miała rację. Przeszłość to wstęp do przyszłości.

20

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Jessie - powiedział Luke. - Pojadę już, ale zadzwonię rano. Buzz powinien wrócić do domu, na stare śmieci. Czy chcesz, żebym potem jeszcze wrócił?

- Nie, to nie jest konieczne, Luke. Masz rację, jestem zmęczona. Muszę zająć się psami, przejrzeć pocztę... te listy wyglądają na ważne. To była przyjemna podróż, Luke. Cieszę się, że z tobą pojechałam, choć wciąż nie mam pewności, czy Pensylwania jest miejscem, w którym chciałabym zapaść korzenie. Porozmawiamy o tym jutro.

Kiedy ciężka brama garażowa opadła, z głośnym loskotem uderzając o beton, Jessie zamknęła zasuwę zabezpieczającą.

– Odwlekam chwilę, w której będę musiała przejrzeć pocztę i przesłuchać automatyczną sekretarkę, moje drogie – powiedziała do psów.

Nie kwapiła się z zagładaniem do wnętrza samochodu, bo na jego przednim siedzeniu wciąż leżała rzucona przez nią po powrocie z Atlanty torba, którą wzięła z sypialni Sophie. Wkrótce będzie musiała zająć się jej zawartością, zainteresować się, co przyszło w poczcie i kto się nagrał na automatyczną sekretarkę. Jeśli tego zaraz nie zrobi, nie zaśnie.

Stojąc na czwartym stopniu schodów wiodących do małej galerii, Jessie zobaczyła stertę listów, które gospodyni Luke'a położyła na stoliku w foyer. Były tam białe i szare koperty, jakich zwykle używały kancelarie prawnicze, i inne, nadesłane pocztą lotniczą. Gdy pośpiesznie je zbierała, niektóre upadły na podłogę i musiała je wyrywać Fredowi.

W kuchni Jessie położyła pocztę na stole. Zastanawiała się, co lepsze: mocny koktajl czy dzbanek kawy. W końcu zdecydowała się na kawę, wiedząc, że i tak nie będzie mogła zasnąć. Tak wiele wydarzyło się podczas ostatnich dziesięciu dni. Czuli się bardziej zagubiona niż kiedykolwiek.

Parząc kawę myślała o pobycie z Lukiem w małym miasteczku akademickim i o tym, jaka się tam czuła szczęśliwa. Ale czy potrafi żyć w takim miejscu? Luke powiedział, że chce się z nią ożenić, kiedy ona odzyska wolność. Że zaadoptuje jej dziecko i będą żyli długo i szczęśliwie. Czy to możliwe? Zastanawiała się, jakby to było kochać się z tym przystojnym, nieprzystępnym mężczyzną, który kiedyś zagroził, że ją zastrzeli. Był dobrym, uczciwym człowiekiem, lubiącym zwierzęta, mężczyzną, jak sam określił, typu „dostajesz to, co widzisz”. Twierdził, że nie obchodzi go jej pieniądze i wierzyła mu. Mówił, że ją kocha, i w to też uwierzyła. Nie wątpiła, że zostawi jej swobodę w kierowaniu własnym życiem – jak obiecywał.

Jednak Luke zażądał czegoś od niej. Sophie mawiała, że zawsze są jakieś warunki. Luke postawił takie: uporządkuj swoje życie; dowiedz się dlaczego, jak twierdzisz, przesładują cię koszmary; pojednaj się z rodzicami; dowiedz się, dlaczego uważasz, że nienawidzisz swojej matki; skoro moi rodzice nie żyją niech na naszym ślubie będą obecni twój; usuń Kingsleyów ze swojego życia;

zrób, co musisz, a potem odejdz, by nie mogli się do nas mieszać, gdy się pobierzemy.

- Nieźle - mruknęła Jessie. - To jest sześć albo pięć warunków, jeśli nie liczyć obecności rodziców na ślubie.

Nalała sobie kawy i zabrała się do przeglądania leżącej na stole korespondencji. Najpierw posegregowała listy według stempli pocztowych. Kiedy skończyła, miała twarz pozbawioną wyrazu. Pobiegła do rovera zaparkowanego w garażu. Wyszarpnęła z samochodu sponiewieraną torbę; biegnąc do kuchni rozsuwała zamek błyskawiczny. Rzuciła brązowe koperty na stertę dokumentów prawniczych przysyłanych przez Arthura Mendenaresa. Z szybko bijącym sercem, z buzującą w żyłach adrenaliną, segregowała i układała papiery dokładnie tak, jak chciała je mieć ułożone. Potem długo się w nie wpatrywała.

Spędziła nad tymi papierami całą długą noc, segregując, porównując, układając i zapamiętując. Od czasu do czasu palcem wskazującym przesuwiała koperty z jednej sterty do drugiej, a potem jeszcze do następnej.

Kiedy ekspres do kawy na dwanaście filiżanek był pusty, a aksamitna noc ustąpiła miejsca srebrnej mgiełce nowego dnia, Jessie podniosła słuchawkę. Wykręciła numer rancza Kingsleyów. Tanner odebrał po drugim dzwonku.

- Tu Jessie. Chcę się z tobą zobaczyć. Natychmiast. W ciągu godziny. A jeszcze lepiej za trzydzieści minut. Tak, zawsze wcześniej wstaje. Tracisz czas, Tanner.

Jessie przerwała połączenie i zamówiła rozmowę z domem rodziców w Barcelonie. Wzięła głęboki oddech, zdumiona, jak wyraźnie słyhać głos matki, która odebrała telefon.

- Mamusiu, tu Jessie. Czuję się dobrze. A ty? A tatuś? Dlaczego dzwonię? Chcę zaprosić was na mój ślub - skłamała. - Zamierzam wyjść za mąż, jak tylko uzyskam orzeczenie rozwodowe. To już nie potrwa długo. Popelniam okropny błąd. Powinnam być mądrzejsza. Wszystkim zdarza się popełniać błędy, czasem błahe, czasem poważne. Jestem w ciąży. Dziecko urodzi się na wiosnę, gdy rozkwitną kwiaty. Cieszę się, że zostanę matką. Luke chce poznać ciebie i tatusia. Prosił, bym w jego imieniu zaprosiła was na ranczo - skłamała Jessie po raz drugi. - Tak, w ten weekend będzie dobrze. Wiem, mamusiu, że za mną tęskniłaś. Tatuś jeszcze śpi? Możesz go obudzić i spytać, czy będziesz

mogła przyjechać? Luke musi wszystko przygotować, a zostało niewiele czasu. Boże Narodzenie! Byłoby miło razem spędzić święta. Czy możesz obudzić tatusia? Proszę, mamu. Mam tyle spraw na głowie. Nie chcę długo wisieć na telefonie, chociaż tutaj jest jeszcze wcześniej.

- Tato, czy mamusia powiedziała ci, dlaczego zadzwoniłam? Tak? Dobrze, tatusiu, ale co moje koszmary mogą mieć wspólnego z waszym przyjazdem na ślub? Luke chce was poznać. Nigdy cię o nic nie prosiłam, tatusiu. To dla mnie ważne. Mamusia powiedziała, że czuje się dobrze. Z pewnością możesz wynająć pielęgniarkę, by z wami przyjechała. Nie chodzi przecież o to, że was nie stać. Jestem w ciąży. Oczywiście, czuję się szczęśliwa. Luke jest wspaniały. Podam ci numery telefonów, mój i Luke'a, żebyście mogli zawiadomić nas, kiedy przylecicie. Luke i ja wyjedziemy po was na lotnisko. Twój głos dziwnie brzmi, tatusiu. Czy coś się stało? Czekam na telefon. Pomyśl o świętach. Tak, słyszę głos mamusi. Do zobaczenia.

Jessie spojrzała na swoje drżące ręce. Czowała, jak żołądek podchodzi jej do gardła, w końcu jednak uspokoiła się, a oddech powrócił do normy. Popatrzyła na swoje odbicie w szklanej szybie kuchenki mikrofalowej. Oczy miała szkliste, a włosy stały dęba. Przeszła nad śpiącymi psami, by zrobić sobie kawę. Czekając, aż kawa się zaparzy, umyła twarz, zęby i wyszczotkowała włosy.

Wróciła do kuchni i usiadła przy stole. Przenosiła wzrok to na jedną, to na drugą stertę papierów ułożonych w rzędzie, jak żołnierze w żółtych i brązowych mundurach. Dziesięć minut później zadzwonił dzwonek u drzwi. Psy nie zareagowały. Tym razem Jessie wprowadziła Tannera po schodach na górę: na poddasze i do kuchni.

- Mam nadzieję, że to ważne, Jessie. Zanim powiesz, po co mnie tu sprowadziłaś, chcę ci coś powiedzieć. Wysłuchaj mnie i nie przerywaj, dopóki nie skończę. Pewnie nigdy więcej się na to nie zdobędę, więc po prostu posłuchaj, dobrze? Przykro mi z powodu wszystkiego, co zaszło. Nie mam zamiaru sprawiać ci więcej kłopotu. Byłem wkurzony, gdy dzwoniłem do adwokata, by wysunąć wszystkie te żądania. Moja matka i J.J. naciskali mnie, ale nawet ja wiem, że to żadne usprawiedliwienie. Całe półtorej godziny zajęło mi uświadomienie sobie, jaki zrobił się ze mnie gnojek. Tej nocy nie wróciłem do domu, zostałem w jednym z szałasów i rozmyślałem o moim życiu, o tatusiu i o J.J... i o tym, do czego dopuściłem. Następnego dnia zadzwoniłem do adwokata

i odwołałem wszelkie żądania, które wysunąłem poprzedniego dnia, ale papiery już zostały wysłane. Przyjechałem, by ci o tym osobiście powiedzieć, ale cię nie zastałem. Przez drzwi rozmawiałem z jakąś kobietą, która powiedziała, że nie wie, kiedy wrócisz. Nie będę się niczemu sprzeciwiał. Miałaś rację, to bez sensu ciągnąć dalej to gówno. Musimy jakoś żyć. To nie jest żadna sztuczka – powiedział Tanner znużonym głosem.

– Dlaczego tak trudno mi w to uwierzyć, Tanner?

– Nie dałem ci zbyt wielu powodów, byś darzyła mnie zaufaniem. Przykro mi, że dopuściłem do takiej sytuacji. Chyba w większym stopniu niż myślałem jestem synem swojej matki. Wiem, że to, co mówię, ma niewiele sensu, ale może lepiej, żebyś o pewnych rzeczach nie wiedziała. Jezu, gdy pomyślę, co robiłem, rzygać mi się chce. Przepraszam cię za wszystko. Mówię serio i nie tylko dlatego, by ulżyć swojemu sumieniu. Może czegoś ci potrzeba? Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Gdy Jessie pokręciła przecząco głową, powiedział:

– Tak myślałem. Zawsze byłaś taka samowystarczalna. Podziwiam u ciebie tę cechę charakteru. Na swój sposób bardzo cię lubię, Jessie. Nie wiem naprawdę, czy była jakaś szansa, żeby nam wyszło. Część mnie chce wierzyć, że tak. A druga utrzymuje, że nic by z tego nie było. Przyznaję to z przykrością, ale Luke jest przyzwoitym facetem. Myślę, że będzie dla ciebie dobry. Nie wiem, czy – jak sugerowała moja matka – jesteś w ciąży, i nie chcę wiedzieć. Prawdę powiedziawszy, nie zasługuję na to. Możesz mnie znaleźć na ranczu, Jessie... oczywiście, jeśli będę ci jeszcze kiedykolwiek do czegoś potrzebny.

Jessie gapiła się na męża z otwartymi ustami. Tanner wyciągnął do niej rękę. Czy to jakaś sztuczka?

Jej mąż wrzucił ramionami i wepchnął ręce do kieszeni.

– Wiem wszystko, Tanner. Zobacz tam, na stole. Trzecia teczka z kolei dotyczy ciebie.

Zamglonym przez łzy wzrokiem Jessie popatrzyła na wstrząśniętą twarz Tannera.

– Skąd to masz? – spytał szorstko. Wyglądał na zawstydzonego.

– Sophie mi zostawiła. Ona sama nigdy tego nie przeczytała. W zeszłym tygodniu pojechałam po to do Atlanty. Masz pojęcie, jak ja się czułam czytając ten raport? Jak zwierzę rzeźne wystawione na aukcji. Jak mogłeś mnie tak

oszukać? Po co całe to spiskowanie? Skóra mi cierpień na samą myśl o tym. A co z Sophie, Tanner?

Tanner usiadł przy stole.

Wygląda, jakby był w szoku, pomyślała Jessie.

- Usiądź, Jessie. Muszę patrzeć na ciebie, gdy będę o tym mówił - powiedział mąż wskazując na koperty i teczki leżące na stole. - Zaslugujesz, by poznać prawdę. Całą prawdę. Mam nadzieję, że potrafisz poradzić sobie z tym lepiej niż ja.

- Chcę wiedzieć wszystko.

- Ojciec przywiózł J.J. i grupę innych dzieciaków na ranczo tego lata, gdy poszliśmy do pierwszej klasy szkoły średniej. J.J. był sprytny i szybki, miał na wszystko gotową odpowiedź. Był tak cholernie bystry, że aż robiło się od tego niedobrze. Ja w najlepszym razie byłem przeciętnym uczniem, więc podziwiałem go. Chciałem być taki jak on. Wszystko przychodziło mu tak łatwo. Miał cele i marzenia... wielkie cele i jeszcze większe marzenia. Dziewczyny leciały na niego, jednak jego interesowały tylko te, które miały pieniądze. W ostatniej klasie wpadł na pomysł, by wyszukać najbogatsze dziewczyny w Ameryce i rozkochać je w sobie tak, byśmy nie musieli przepracować więcej ani jednego dnia w życiu. W jego ustach brzmiało to tak prawdopodobnie, jakby naprawdę mogło się wydarzyć. Z początku to była tylko zabawa. Myślę, że wtedy ani przez chwilę nie wierzyłem, że naprawdę wypali. Zacząłem się denerwować, gdy J.J. dostał na tym punkcie prawdziwej obsesji. Nie wiem, czy o tym wiesz, ale tata zapłacił za jego studia. Biedny tatuś, nie miał o niczym pojęcia. Teraz już wie. Ze wstydu nie mogę spojrzeć mu w oczy. To okropne, gdy twój stary wstydzi się za ciebie. To tylko moja wina i będę musiał z tym żyć. Ojciec kochał cię jak córkę, Jessie. Wiesz o tym.

- Bardzo lubiłam i wciąż lubię twego ojca. Zawsze był dla mnie bardzo dobry.

- Też popełniał błędy. Zawsze myślałem, że umrze w Senacie. Wiesz, odejdzie w blasku chwały. Gdybym chociaż mógł mu jakoś pomóc, zrobiłbym to natychmiast. Nie zostało mu wiele życia... właściwie to kwestia dni.

- Przykro mi to słyszeć. Cieszę się, że pojechałam zobaczyć się z nim po raz ostatni.

Tanner zapalił papierosa.

- W każdym razie - powiedział wydmuchując chmurą dymu - J.J. przekonał mnie, że jego pomysł może wypalić. Całymi dniami przesiadywaliśmy w bibliotece. Pewnej nocy nawet ukryliśmy się w toalecie i zostaliśmy przez całą noc, pracując przy latarce. Taki był J.J. Miał plan i zamierzał go zrealizować. On wynalazł Sophie, a Sophie przypadkowo miała przyjaciółką, Jessie Roland. Spędziliśmy cały rok zdobywając na jej temat szczegółowe informacje. Z reguły kobiety nie potrafiły oprzeć się J.J. i Sophie nie była inna. Zakochała się w nim. J.J. uważał, że sprawa jest pewna, że położy łapę na tych wszystkich milionach, bo Sophie świata poza nim nie widziała. Przekonany, że to pewniak, sfuszerował z Sophie i zwrócił uwagę na nas. Sophie lubiła rozmawiać z facetem, po tym jak się z nim kochała. J.J. i ja wiedzieliśmy o tobie więcej niż ty sama o sobie wiedziałaś. Kiedy przyszłaś do biura tatusia szukając pracy, myślałem, że na wieść o tym J.J. dostanie zawału. Nie wiem, co nie wyszło pomiędzy Sophie i J.J. Myślę, że do dziś dnia on sam tego nie wie, a jeśli wie, to nie podzielił się tym ze mną. Wtedy zmienił plan. Ja miałem zostać wybawcą. Ty miałaś pieniądze... Sophie powiedziała mi o funduszu powierniczym i o twojej rodzinie. Jak mówiłem, lubiła rozmawiać z facetem w łóżku.

- To jest... niewybaczalne. Sophie nie żyje, bo... Chryste, Tanner!

- Masz rację, to niewybaczalne. Wtedy zamierzałem się wycofać, ale J.J. nie chciał o tym słyszeć. Kiedy powiedziałaś, że jesteś w ciąży, J.J. myślał, że mamy już forszę w ręku. Usiłowałem się wywinąć. Nie chciałem zenić się z tobą na jego warunkach. Dobrze się razem bawiliśmy, seks z tobą był wspaniały, ale miałaś rację: nie kochaliśmy się. Jednak J.J. twierdził, że pieniądze zrekompensują mi te braki. I wtedy moja matka zaczęła realizować swój własny plan. Potrafiła dosłownie wyczuć zapach twoich pieniędzy. W końcu był to trójstronny układ z podziałem na trzy części - po jednej dla J.J., dla mnie i dla matki. A potem... nie będzie to łatwe do przelknięcia, Jessie, więc trzymaj się. Tej nocy, gdy straciłaś dziecko, wyznałaś, że to matka zepchnęła cię ze schodów. To była ostatnia rzecz, jaką mi powiedziałaś, zanim straciłaś przytomność. Matka oczywiście temu zaprzeczyła. Cóż, nie chciała zostać uznana za morderczynię. Nie mogłem uwierzyć, że moja matka byłaby do tego zdolna. Potem nic z tego nie pamiętałaś, więc odpuściłem sprawę. Gdy przywieźliśmy cię do domu ze szpitala, wciąż czekałem, aż coś na ten temat

powiesz, że przypomnisz sobie, co wtedy mówiłaś, ale nigdy do tego nie doszło. Nie wdając się w szczegóły spytałem lekarza, co o tym sądzi i powiedział, że możesz cierpieć na krótkotrwały zanik pamięci. Stwierdził też, że byłaś w stanie szoku i najwyraźniej wciąż nic nie pamiętasz. Z tego wniossek, że lekarz miał rację i że przeżyłaś szok. Wtedy chciałem cię stamtąd zabrać, ale powstał smród wokół ojca. Wpadłaś w depresję i ja też. Matka dostała na twoim punkcie bzika. Dbała o to, żebyś się ubierała, wychodziła na dwór na świeże powietrze. Poleciała kucharce, żeby gotowała najlepsze dania i nakłaniała, byś je jadła. Jeździła do miasta i kupowała ci błyskotki, posyłała kwiaty. Wydawało mi się, że jest szczerą. Dobrze się w tym czasie ze sobą dogadywałyście. To był dla nas okropny okres. Chciałem zrobić to, co należało. Staralem się, naprawdę. Po prostu chcę, żebyś o tym wiedziała. Nie wiem, czy moje zdanie ma dla ciebie jakieś znaczenie, Jessie, ale sądzę, że Sophie nie zabiła się z powodu J.J.. Myślę, że jej samobójstwo było spowodowane śmiercią matki.

Jessie gapiła się na męża usiłując pojąć to, co właśnie usłyszała.

- Szkoda, że mi to powiedziałaś, Tanner. Mam pustkę w głowie, jeśli chodzi o ten wypadek. Teraz to jeszcze jedna rzecz, z którą będę sobie musiała jakoś poradzić.

- Naprawdę mi przykro. Powiedziałem o tym tatusiowi. Jeśli sobie coś przypomnisz, chciałbym o tym wiedzieć. Bez przerwy o tym myślę. Chciwość jest... obrzydliwa.

Jessie potrząsnęła głową, by odzyskać jasność myśli. Później zastanowi się nad tym, co powiedział Tanner.

- Sophie w końcu dowiedziała się o Jacku Dawsonie. To jego prawdziwe nazwisko, prawda? - spytała Jessie ochryplym szeptem.

Tanner skinął głową.

- Gdzie jest teraz J.J.?

- Pewnie się gdzieś przyczaił. Jest chorym sukinsynem, tyle ci powiem. Sam nie jestem od niego wiele lepszy, ale opamiętałem się w porę. Nie znam już J.J. Nie wiem do czego jest zdolny. Odciałem się od niego. Wyjedź stąd, Jessie. Tak daleko jak tylko możesz. Zniknij. Dysponujesz przecież odpowiednimi środkami.

- Co będzie z tobą, Tanner?

- Będę prowadził ranczo. Pewnie skończy się na małżeństwie z Łasicą. Może będziemy mieli dzieci, a może nie. Wszyscy myślą, że ona ma pieniądze, ale to nieprawda. Jej rodzina też ich nie ma. Utrzymują tylko pozory. Ale my zawsze mieliśmy do siebie słabość.

- Co się stanie, gdy odejdzie twój ojciec?

- To będzie koniec z nagłówkami w prasie, prawnikami, skandalami. Oczywiście co roku będą to odgrzebywać. Cóż, muszę nauczyć się z tym żyć. Nie mam prawa rzucić kamieniem, Jess. Pod wpływem nalegań matki, tatuś wszystkim się zajął. Po śmierci Irene, gdy bliźnięta odcięły się od niego, załamał się. Najtrudniej było mu poradzić sobie z tym, że Irene nie sprzedała farmy, gdy jeszcze żyła. Gdyby to zrobiła, ojciec nie wpakowałby się w takie tarapaty. Resa uważa, że w ten sposób Irene zadała ojcu ostateczny cios za to, że miał romans z matką. Nie wiem, co mam o tym myśleć. Ranczo jest zapisane na Resę i na mnie z zastrzeżeniem, że matka może tam dożyć swoich dni. Resa nie chce mieć z tym nic wspólnego i przepisze na mnie swój udział. Jest szczęśliwa. Chce założyć rodzinę. Nigdy tu nie wróci.

- Pan Mendenares dał mi czek wypisany przez Sophie na nazwisko Jacka Dawsona na sumę miliona dolarów. Twierdziła, że Jack zarobił każdego centa. Podarłam czek.

- Dobrze zrobiłaś, Jessie. Słuchaj, muszę wracać na ranczo. Ze swojej strony załatwiłem wszystko z adwokatem. Nie będzie żadnych trudności z rozwodem. Co powinniśmy teraz zrobić? Podać sobie ręce, pocałować się w policzek? Jak myślisz?

Uśmiech Jessie był zmęczony i blady.

- Na co masz ochotę?

- Chciałbym cię przytulić.

Jessie otworzyła ramiona.

- Przyjemnie cię obejmować i ładnie pachniesz - mruknął Tanner.

Jessie roześmiała się.

- Ciebie też. Jestem w ciąży, Tanner.

- Będę udawał, że tego nie słyszałem.

- W jakimś momencie przywożę go... czy ja... do ciebie. Nie wiem, kiedy to nastąpi. Powiem dziecku o tobie. Pewnie zajmie mi to sporo czasu, Tanner. Jeśli urodzę dziewczynkę, dam jej na imię Sophie.

- Sophie to ładne imię - powiedział Tanner ze wzruszeniem.
- A jeżeli to będzie chłopiec, nie wiem, jakie dostanie imię. Coś o zdecydowanym brzmieniu.

- Wybaczysz mi, Jess?

- Na razie nie. Jestem pewna, że któregoś dnia będę w stanie ci wybaczyć, ale jeszcze nie teraz.

- Dam sobie z tym jakoś radę. Co masz zamiar zrobić ze wszystkimi pieniędzmi, które odziedziczyłaś po Sophie?

- Nie mam pojęcia. Coś wymyślę.

- Uważaj na siebie, Jessie.

- Ty też, Tanner.

Po wyjściu Tannera Jessie długo siedziała w ciszy, wpatrując się w śpiące psy. Potem sięgnęła po smycze.

- Muszę się przewietrzyć. Co powiecie na przyjemny, długi spacer i bieg po parku? W drodze powrotnej do domu zjemy sobie lody w rożku.

Było chłodno i zanośliło się na deszcz. Jessie, ubrana tylko w wiatrówkę, trzęsła się z zimna. W parku przysiadła na ławce, odpięła smycze i puściła psy. Biegały wracając do niej co kilka minut, by sprawdzić, co robi. Jessie rozglądała się wokół z pobłażliwym uśmiechem na ustach. Tego dnia po parku spacerowało mało ludzi.

Zbyt ponuro i pochmurno, pomyślała. Rodzice z dziećmi lubią wychodzić do parku tylko gdy świeci słońce.

Dwie godziny spaceru szybko minęły. Psy wróciły do ławki, na której siedziała Jessie. Po raz ostatni dostały po pysznym psim ciasteczku, które ich pani miała w kieszeni. Jessie wzięła na smycz potulne i zmęczone teraz bieganiem psy i powiedziała:

- Czas wracać do domu.

Na wąskiej ścieżce spotkali matką prowadzącą spacerowy wózek. Przy wózku, trzymając się jego burty, szedł mały chłopiec, a obok niego piękny owczarek niemiecki. Psy mijając się w wąskim przejściu zerknęły na siebie. Niemowlę o różanych policzkach spało smacznie w wózku. Dalej wzdłuż ścieżki biegł młody mężczyzna z pudełkiem popcornu w rękę.

- Nakarm kaczki, tatusiu, nakarm kaczki - pisał chłopczyk.

- Przepraszam - powiedziała młoda matka - zdaje się, że zatarasowaliśmy całe przejście.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się Jessie. - Fred nie jest przyzwyczajony do innych psów. Chce tylko obwąchać tego słicznego owczarka.

- Dziękuję. Wygląda na to, że ma pani dość zajęte ręce. Posy jest łagodna. Doskonała dla dzieci.

- W jakim wieku jest niemowlę? - spytała Jessie. - Jestem w ciąży - wyrzuciła z siebie po chwili.

- Gratuluję - powiedziała młoda kobieta. - My na tym poprzestaniemy. Dwoje dzieciaków i pies w zupełności wystarczy.

- Jak masz na imię, wielkoludzie? - spytała Jessie chłopczyka.

- Harry. Przestraszony Harry. Prawda, tato?

- Kiedy byli mały, uwielbiał się chować. To była taka zabawa - uśmiechnął się ojciec.

- A jak się nazywa twoja siostra? - spytała Jessie.

- Hannah. Hannah-Banana - pisnął chłopczyk

Jessie przez chwilę gapiła się na rodzinę, potem oczy uciekły jej w tył głowy i straciła przytomność. Leżała na ziemi, a piskliwe szczekanie psów rozlegało się tuż przy jej uszach. Kiedy się ocknęła, Fred i Jelly lizały ją po twarzy.

- Co się stało? - wymamrotała.

- Usnęłaś na ziemi - powiedział Harry z poważną miną.

- Zemdlała pani - powiedziała młoda kobieta. - Ja też często mdlałam, gdy byłam w ciąży z Harrym. Z Hannah nigdy nie miałam tego problemu. To dlatego, że nie brałam witamin dla kobiet w ciąży. Proszę koniecznie powiedzieć o tym swojemu lekarzowi. Niech się pani nie martwi, ciąża to wspaniały stan. Odwieziemy panią do domu. Nie, nie, to żaden kłopot. Poza tym za chwilę zacznie padać. Filiżanka herbaty albo trochę ciepłej zupy od razu postawi panią na nogi. O, już kolory wróciły pani na policzki. Jak się pani czuje?

- Trochę roztrzęsiona - wyznała Jessie trzymając za rękę ojca rodziny. Chłopczyk zajadał popcorn wprost z ziemi. - Ostatnio miałam sporo stresów - powiedziała spoglądając na śpiące niemowlę. Wydawało się, że ten widok coś

jej przypomina, ale nie potrafiła określić co. – Byłabym bardzo wdzięczna za podwiezienie, jeśli jest pani pewna, że nie sprawiam zbyt dużego kłopotu.

– Nic takiego. Chodzi przecież tylko o jedną osobę dodatkowo... i dwa psy – powiedział ojciec ze zmartwioną miną.

– Też tak uważam – powiedziała młoda kobieta. – Poradzimy sobie. To takie proste.

Muszę wrócić do domu. Muszę wrócić do domu. Muszę wrócić do domu – kołatała w głowie Jessie, gdy razem z psami szła do samochodu, krocząc obok wózka i Przestraszonego Harry'ego, który paplał coś o spaniu na ziemi bez piżamy.

Nerwy Jessie były napięte do ostateczności, gdy usiłowała wystukać numer na klawiaturze skomplikowanego zamka, jednocześnie wylewnie dziękując za podwiezienie do domu.

Czy zna nazwisko i adres tej pary? Jak przez mgłę pamiętała, że w pewnej chwili miała w ręku ich wizytówkę.

Co, na Boga, było z nią nie w porządku? Czy traciła zmysły? Czy była na krawędzi załamania nerwowego? A może to ciąża albo wizyta Tannera sprawiły, że zemdliała?

Ani jedno, ani drugie. To widok niemowlęcia. Niemowlęcia w wózku spacerowym.

Psy biegly na górę, ich smycze objęły się o schody. Jessie poszła za nimi, by odpiąć smycze. Dała im do gryzienia kości, a potem powoli poszła w kąt kuchni i skulona osunęła się na podłogę. Łzy napłynęły jej do oczu i spływały po policzkach, a serce waliło jak młotem.

Upłynęło wiele godzin. Gdy Luke wszedł do garażu, Jessie wciąż siedziała w rogu kuchni. Wchodząc po schodach na poddasze zawołał ją po imieniu. Nie odpowiedziała.

– Jessie? Co się dzieje? Wszystko w porządku? Popatrz na mnie, Jessie. Powiedz mi, co się stało. – Kucnął na podłodze biorąc ją w ramiona. – Powiedz mi wszystko. Razem sobie z tym poradzimy. Jesteś bezpieczna. Psy są z tobą. Wszystko jest w porządku.

Zaczęła mówić tak szybko, że Luke miał trudności ze zrozumieniem.

– W jednej chwili stałam z psami, a zanim się obejrzałam, leżałam na ziemi. Matka tego dziecka powiedziała mi, że powinnam brać witaminy dla

kobiet w ciąży. Lekarz mi je przepisał, ale dotąd ich nie zażywałam. Nie chodzi o Tannera. To już zamknięty rozdział. Nie uderzyłam się głową. Patrzyłam na niemowlę. To ostatnia rzecz, jaką pamiętam. Potem przypominam sobie, że Przestraszony Harry powiedział, że spałam na ziemi bez piżamy. To była taka sympatyczna rodzina, Luke. Podwieźli mnie do domu rozklekotanym samochodem. Na siedzeniach mieli pełno psich włosów, rupieci dzieciaków i artykułów spożywczych. Byli tacy szczęśliwi, chociaż widziałam, że z trudnością wiążą koniec z końcem. Muszę im jakoś pomóc. Zrobię to, jak tylko wykombinuję, co się ze mną dzieje. To ma coś wspólnego z tym niemowlęciem. Wszystko było w porządku, dopóki...

- Co ci jest? Było w porządku, dopóki co?

- Z pewnością chodziło o niemowlę, bo patrzyłam na nie przez cały czas rozmowy. To dziecko leżało w chybotliwym wózku spacerowym, a nie w zamkniętym wózku dla niemowląt.

- O czym rozmawialiście? Może to była reakcja na coś, co któreś z nich powiedziało?

- Normalnie gawędziliśmy. Szli nakarmić kaczkę. Chłopczyk powiedział, że nazywa się Przestraszony Harry, a ojciec wyjaśnił, że jako niemowlę lubił się chować. Potem powiedział... że jego siostra ma na imię...

- Jak, Jessie?

- Hannah. Potem zachichotał i powiedział: „Hannah-Banana”. Chyba wtedy zemdlałam.

Luke roześmiał się.

- Musisz przyznać, że to dość śmieszne. Przestraszony Harry i Hannah-Banana. Wygląda na to, że to bardzo miła rodzina. Czy kiedykolwiek znałaś kogoś o imieniu Hannah?

- Nie, ale... serce bije mi tak szybko, Luke. Nie mogę oddychać.

- Wszystko jest okay, Jessie. Nic złego się nie dzieje. Odpręż się, oddychaj głęboko. Nikt cię nie skrzywdzi. Jestem przy tobie. Psy też są tutaj. Wszystko w porządku, Jessie. No dalej, głębokie oddechy. Raz, dwa. O to chodzi. Odpręż się.

Głos Jessie wznosił się do pisku.

- Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać. Nie! Nie!

- Możesz, Jessie. Spróbuj. Nic ci się nie stanie. Jestem tu. Wszystko w porządku, Hannah - powiedział Luke, śpiewnie wymawiając imię i zwolnił uścisk jej ramienia. - Wszystko w porządku, Hannah - powtórzył.

Oniemiały patrzył, jak Jessie na dźwięk imienia Hannah natychmiast się uspokaja. Przytulił ją do piersi, głaszcząc po głowie i szepcząc słowa, których potem nie potrafił sobie przypomnieć.

- Mam pomysł. Co byś powiedziała na pyszny omlet? Posprzątaj ze stołu, Jessie. Co to jest? - spytał Luke wskazując papiery.

Powiedziała mu. Także o Tannerze.

- Uwierzyłaś mu?

- Tak. Ta część mojego życia się skończyła. Rozwód zostanie przeprowadzony bez żadnych dalszych problemów. Zadzwoń dziś wieczorem do Arthura i mu powiem. Czy dobrze pamiętam, że kilka minut temu nazwałeś mnie Hannah? Dlaczego?

- Nie wiem dlaczego, Jessie. Ale natychmiast się uspokoiłaś. Gdzieś w zakamarkach twojej świadomości tkwi to imię i jest dla ciebie ważne. Co jest w tych kopertach, Jessie?

- Można chyba powiedzieć, że moje życie. Sophie zlecała detektywom sprawdzenie każdego, kogo znała. Jak się okazuje, mnie też sprawdziła. Jest tu raport dotyczący moich rodziców, którego nie rozumiem. A propos, Luke... muszę ci coś wyznać. Zadzwońłam do rodziców i poprosiłam, by tu przyjechali. Zaprosiłam ich w twoim imieniu na ranczo. Wiesz, jest w tym raporcie coś, czego nie rozumiem. Przeczytaj go, a ja zrobię omlet.

- Jesteś pewna, że chcesz, żebym to przeczytał, Jessie? Nie wiem, czy mam prawo dowiadywać się różnych rzeczy o ludziach, których nawet nie znam. To naruszenie prywatności.

- Pragnę, żebyś przeczytał, Luke.

- W porządku.

- Hannah to ładne imię, prawda?

- Tak.

Thea Roland połknęła garść pigułek, które podał jej mąż. Wyglądała tak żałośnie, że Barnes odwrócił wzrok. Były dni, gdy wydawało mu się, że kocha żonę i takie, gdy wiedział, że nienawidzi. Dzisiejszy dzień przepełniony był nienawiścią.

- Jak możesz siedzieć tak spokojnie, Barnes? Czy nie jesteś choć trochę przejęty perspektywą wyjazdu do Stanów, by poznać chłopaka Jessie? Zadzwoń do nas! Po tak długim czasie wreszcie zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo ją kochamy. Chce, żebyśmy byli na jej ślubie. Jej przyszły mąż chce nas poznać. To wspaniale. Modliłam się o to dzień i noc, Barnes. Tak bardzo pragnęłam, by się do nas odezwała. Za kilka dni wypada Boże Narodzenie i dzięki temu to jest jeszcze wspanialsze. Dlaczego nic nie mówisz, Barnes? Nie musisz się o mnie martwić. Zrobiłam, co mi kazałeś. Przestałam pić i palić. Zązywam pigułki. Jem trzy posiłki dziennie, chodzę na spacer i ucinam sobie popołudniową drzemkę. Dam radę pojechać. Nie potrzebuję pielęgniarki... nie chcę jej. Pozbądź się tej kobiety. Nie chcę, żeby moja córka pomyślała, że jestem kaleką. Tryskam zdrowiem. Tętnię życiem. Czuję się kochana. Jeśli zaraz się nie odezwiesz, rzucę w ciebie książką.

- To początek końca, Thea. Nawet przez chwilę nie uwierzyłem w historijkę, którą opowiedziała nam Jessie. Myślę, że w końcu sobie przypomniała i gdy wrócimy, wszystko się zawali. Bezustannie cię przed tym przestrzegałem. Wreszcie stanie się to, czego się obawiałem. Zastanów się, Thea. Co zrobisz, jeśli pojedziemy i okaże się, że Jessie wie? Co jej powiesz? Co będziesz miała na swoją obronę?

- To się nie zdarzy. Nasza córka nigdy by nie... masz przestać tak o tym myśleć. Niepotrzebnie się martwisz. Ona chce, żebyśmy uczestniczyli w ceremonii ślubnej, byś mógł oddać ją mężowi. Ojciec panny młodej. To pięknie brzmi. Prawie tak wspaniale jak matka panny młodej. Czy podczas przyjęcia będę mogła zatańczyć z panem młodym? Chociaż jedno okrążenie parkietu. Czy ktoś kiedykolwiek kapał się w tym basenie, Barnes?

- Nie, i nikt nigdy nie grał w tenisa na tym korcie. Thea... czy ty... czy czułaś kiedykolwiek wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiłaś? Jak udaje ci się je wyciszyć? Ja myślę o tym codziennie. Nigdy w życiu nie byłem tak przestraszony. Czy nie widzisz, co się dzieje?

- W ogóle o tym nie myślę. Jak może cię przerażać zaproszenie na ślub córki? Przesadnie reagujesz z powodu nadmiaru słońca. To było dawno temu. Jessie jest moja. Kto znalazł, może zatrzymać. Ktoś, kto zostawia dziecko samo, zasługuje na to, co go spotyka. Dobrze się stało, że właśnie ja ją znalazłam. Pomyśl tylko, jakie dzięki nam miała wspaniałe życie. Jessie jest moją córką i na tym koniec.

- A co, jeśli mam rację? Co będzie, jeśli Jessie pamięta, jeśli to tylko sztuczka, by zwabić nas do Stanów Zjednoczonych i kazać aresztować? Thea, musisz mnie wysłuchać. Wiem, że ona sobie stopniowo przypomina. Jestem tak pewien jak tego, że tu siedzę.

- Nikt nie potraktuje jej poważnie. Powiemy, że jako dziecko zawsze sprawiała kłopoty i że w okresie wczesnego dzieciństwa zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by z tego wyrosła. Dwuletnie dziecko nie jest w stanie niczego dobrze zapamiętać. Mamy wszystkie jej papiery, kartoteki adopcyjne. Powiedziałam ci, że nie chcę o tym dłużej rozmawiać. Zapłaciłeś za nią, Barnes.

Ramiona Barnes'a zdrząły.

- Na miłość boską, czy wreszcie mnie posłuchasz? Przecież wiesz, że to wszystko jest podrobione. Nigdy nie było prawdziwe. Musisz wreszcie przyjąć do wiadomości prawdę, Thea. Czy ty w ogóle masz pojęcie, przez co przeszedłem od czasu, gdy... Czy masz choć najmniejsze wyobrażenie czym to dla mnie było?

- Jesteś po prostu zdenerwowany. To zdarza się każdemu, gdy się starzeje. Zapłaciliśmy za nią, Barnes, i na tym koniec.

- Wklejałem do albumu wycinki prasowe dotyczące porwania, Thea. Mam wszystkie artykuły, jakie kiedykolwiek na ten temat napisano.

- Nie używaj tego słowa. Adoptowaliśmy Jessie. Po co to robiłeś?

- Porwaliśmy ją a nie adoptowaliśmy. Musiałem to zrobić. Każdego dnia mojego życia wymierzałem sobie w ten sposób karę. Każdego cholernego dnia od tamtego obrzydliwego popołudnia chodziłem do biblioteki i wyszukiwałem

artykuły na ten temat. Kopiowałem je, potem wracałem do domu, wklejałem do albumu i robiło mi się niedobrze. Każdego nieszczęsnego dnia, Thea.

- Nie kazałam ci tego robić. Przestań, Barnes. Nikt poza nami o tym nie wie. Zapłaciliśmy za nią dziesiątki tysięcy dolarów.

- Załóżę się o ostatniego dolara, że rodzice Jessie nigdy nie wydali nawet centa z tych pieniędzy. Jeśli choć przez chwilę sądzisz, że Janice Ashwood o tym nie wiedziała, to jesteś naiwna. Od razu dodała dwa do dwóch. Nie nabrała się na adopcję, tak jak myślałaś. Jak sądzisz, dlaczego zerwała z tobą kontakty?

- Jako młode dziewczęta Janice i ja byłyśmy serdecznymi przyjaciółkami. Po wyjściu za mąż każda poszła własną drogą, a nasza przyjaźń... cóż, skończyła się. Ona była rozpustną kobietą. Nie mogłam czegoś takiego tolerować. Było mi żal Sophie. Teraz obie nie żyją. Jaka matka zostawia dziecko pod opieką niańki i gospodyni? Nikt, kogo chciałabym określać mianem przyjaciółki. Żadne z naszych przyjaciół nie utrzymywało z nią kontaktów. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że dla niej trzy dni w roku spędzone w domu to już było dużo. Była niemoralna, Barnes. Gdyby, jak uważasz, wiedziała, powiedziałałaby Sophie, a Sophie powiedziałałaby Jessie. Niepotrzebnie się martwisz.

- Mówię ci, że wiedziała - upierał się Barnes.

- Nie żyje, więc to i tak bez różnicy. Kiedy wyjeżdżaliśmy do Kalifornii, zostawiłam jej wiadomość. Później do niej napisałam i zawiadomiłam o adopcji. Jeśli pozostali nasi przyjaciele wzięli to za dobrą monetę, dlaczego Janice miałyby nie uwierzyć? Byłam wtedy chora i wszyscy przyjęli do wiadomości fakt, że wyjeżdżamy, bo muszę zmienić otoczenie. Przestań się zamartwiać. Od tej rozmowy robi mi się niedobrze. Ile razy mam ci to powtarzać?

- Wiecznie. Nigdy nie potrafiłem się pogodzić z tym, co zrobiliśmy. Nie ma nic gorszego niż poczucie winy. Gdyby nie świadomość, że nie poradziłabys sobie beze mnie, już dawno popełniłbym samobójstwo. Czy wiesz, ile razy wykręcałem numer telefonu rodziców Jessie? Nigdy ci o tym nie mówiłem, prawda? Dzwoniłem, słuchałem ich głosów przepełnionych nadzieją, a potem odkładałem słuchawkę. Płakałem, Thea. Płakałem, bo było mi ich żal. Zawsze dzwoniłem z budki, by nie można mnie było namierzyć. Okradliśmy ich, Thea. Ukradliśmy im dziecko i utrzymywaliśmy, że należy do nas.

- Znalazłam ją, Barnes.

- Do cholery, Thea, nie znalazłaś jej! Ukradłaś ją, a ja byłem współsprawcą przestępstwa. Musisz zrozumieć tę prawdę, zanim wrócimy do Stanów. Musisz się przygotować.

- Jestem gotowa spotkać się z moją córką i spędzić z nią święta Bożego Narodzenia. Masz już wszystkie prezenty? Czy Luke'owi spodoba się rolex, który mu kupiliśmy? Wiem, że mojemu słodkiemu dziecku sprawi przyjemność diamentowy naszyjnik z dobranymi do niego kolczykami. Chyba powinniśmy im kupić letni dom w St. Simons. Co o tym sądzisz, Barnes? Duży dom z oddzielnym apartamentem dla nas, byśmy mogli ich często odwiedzać.

- Rozejrzyj się wokół siebie - powiedział Barnes znużonym głosem. - Zabierz ze sobą wspomnienie kolorowych kwiatów, złotego blasku słońca i błękitnej tafli wody. Gdy zamkną nas w więzieniu, wszystko będzie szare i w kolorze urzędowej zieleni. Nie zobaczysz tam kwiatów ani słońca. Nie znajdziesz fryzjerki ani manikiurzystki. Będziemy musieli nosić więzienne szmaty i jeść tłuste, kaloryczne posiłki, mieszkać w celi z kratą i zamkiem, ubikacją i zlewem. Za pracę dostaniemy sześć centów za godzinę. Ja będę robił tablice rejestracyjne, a ty będziesz prała brudną bieliznę. Współwięźniowie dadzą nam się we znaki - robią sobie przecież nawzajem okropne rzeczy. Musisz mnie posłuchać, Thea. Nie zostaniemy razem. Rozdzieli nas. Nie będziemy nawet blisko siebie. Jeśli zdarzy się jeden z twoich nawrotów choroby, nie pomogę ci.

Thea wyprostowała się na krześle słuchając męża, w którego głosie brzmiała rozpacz. Po raz pierwszy w życiu zaczęła się bać.

- Dlaczego... dlaczego mi to mówisz? Jessie coś ci powiedziała czy to tylko przeczucie? Znowu zadzwoniłeś do tych ludzi? A może Boże Narodzenie tak na ciebie wpływa?

- Chodzi o to, czego Jessie nie powiedziała, Thea. Moim zdaniem kłamała. To przyszło zupełnie niespodziewanie. Ostatnim razem, gdy dzwoniła, mówiła, że zasięgnie porady psychiatry, by dowiedzieć się co znaczą jej koszmary. Ma psa. Słyszałem w słuchawce szczekanie. To wystarczy, by przywołać wspomnienia. Czy teraz wreszcie rozumiesz?

- Psa! Jessie ma psa! Jakiego psa, Barnes?

- Pewnie takiego samego, jaki był z nią tego dnia, gdy ją porwałaś. Mówiłem ci, Thea, że ona zaczyna sobie przypominać. - Strach, jaki Barnes ujrzał na twarzy żony łamał mu serce. - Posłuchaj, Thea. Mam pomysł. Wiem że ci się nie spodoba, ale wysłuchaj mnie, proszę. Skoro doktor powiedział że możesz podróżować, jedźmy do Argentyny. Zebrałem wszystkie potrzebne dokumenty, bo mieliśmy wyjechać już przedtem. Możemy tam zniknąć i nikt nas nigdy nie odnajdzie. Ale zanim pojedziemy, musimy zadzwonić do Larsonów i powiedzieć im, gdzie jest ich córka. Albo skontaktować się z Jessie i powiedzieć jej prawdę. Spróbujmy jeszcze zrobić coś dobrego, Thea. Może chociaż w niewielkim stopniu zdołamy zadośćuczynić za to, co zrobiliśmy. Mamy mnóstwo pieniędzy, więc moglibyśmy pracować społecznie w sierocińcach. Jesteśmy już za starzy, by zostać rodzicami, ale spróbujmy być dziadkami dla wielu dzieci pozbawionych rodziców. Dzieci, których nikt nie chce. Będziesz mogła im kupować prezenty, Thea, bawić się z nimi i kochać je. Te miejsca są ponure i bezbarwne, ale może nam się uda wnieść trochę słońca w ich życie. W jakiś sposób musimy odpokutować za to, co zrobiliśmy. Proszę, Thea. Potrzebuję trochę spokoju w dalszym życiu i ty też. Jeśli nie chcesz zgodzić się ze względu na nas, zrób to dla Jessie. Zasluguje na to, by poznać swoich prawdziwych rodziców.

- Nigdy już jej nie zobaczymy, Barnes - wyjąkała Thea przez łzy.

- To sprawiedliwa kara, na którą oboje zasługujemy. Gdybyśmy poszli do więzienia, i tak nigdy byśmy jej nie zobaczyli. Nie mamy innego wyjścia, naprawdę.

Thea wciąż płakała.

- A co z prezentami, Barnes? Zbliża się Boże Narodzenie.

- Kiedy Jessie odeszła, nie zabrała ze sobą niczego, co jej podarowaliśmy. Nie zechce przyjąć od nas prezentów. Jeśli wyjedziemy już dziś, możemy urządzić wspaniałe święta dla bardzo wielu dzieci. Możemy sprawić, że Boże Narodzenie potrwa cały rok. Muszę spróbować oczyścić swoją duszę, Thea. Tobie też to jest potrzebne.

- Czy możemy przynajmniej zadzwonić do Jessie i pożegnać się z nią?

- Nie, Thea. Trzeba teraz podjąć decyzję, w jaki sposób się z nią rozstaniemy. Telefon można zbyt łatwo namierzyć. Proponuję, byśmy wysłali Jessie wszystkie albumy z wycinkami. Mogę je zabrać na lotnisko i wysłać lotem,

którym mieliśmy polecieć do Stanów. Jeśli wyjedziemy dziś po południu, to gdy Jessie dostanie przesyłkę, będziemy już w Argentynie. Zamknij oczy, i wyobraź sobie wyraz szczęścia na twarzach Jessie i jej rodziców, gdy się w końcu spotkają. Pomyśl o tym jako o bożonarodzeniowym cudzie, jaki wydarzy się w życiu Jessie. I jak, Thea?

- Nigdy nie zobaczymy jej dziecka, prawda? Czy Bóg mi wybaczy?

- Nie, Thea, nigdy nie zobaczymy dziecka Jessie. I nie wiem, czy Bóg wybaczy któremukolwiek z nas. Modlę się o to.

- Gdy Jessie się dowie, znienawidzi nas.

- Ona już nas nienawidzi, tylko biedne dziecko po prostu nie wie dlaczego. Będziemy musieli jakoś z tym żyć.

- Spróbuję, Barnes. Pomódl się za mnie, dobrze? Myślę, że Bóg nie zechce mnie wysłuchać.

- Bóg słucha wszystkich swoich dzieci, Thea. Musisz w to wierzyć, moja droga. Pamiętaj, że gdy raz się zdecydujemy, nie będzie odwrotu - powiedział Barnes łamiącym się głosem

- Wiem, tylko czuję w sercu taką pustkę. Nie wiem, czy będę umiała pokochać obce dziecko. Chciałam kochać Sophie, ale nie umiałam. Obwiniłam ją o wszystko.

- To był błąd, Thea. Nie myślałaś jasno. Sophie już nie ma. Bóg się nią opiekuje. Myślę, że nie powinniśmy zabierać zbyt wielu bagaży. To, co będzie nam potrzebne, możemy kupić w Buenos Aires. Zapakuję albumy z wycinkami i zabiorę je na lotnisko. Tam odwołam rezerwację do Stanów i zarezerwuję lot do Argentyny. Po drodze wstąpię do banku i wydám nowe dyspozycje. To zajmie mi tylko kilka godzin.

- Czy to naprawdę jedyny sposób, Barnes?

- Tak. Nie ma innego wyjścia.

- Kiedy wrócisz, będę gotowa do wyjazdu.

- Thea?

- Tak.

- Nagle ogarnął mnie spokój ducha. A ciebie?

- Nie, Barnes. Może na to nie zasługuję. Czas pokaże. Idź już sprawić bożonarodzeniowy cud. Nic mi nie będzie... posiedzę sobie na słońcu i policzę płatki kwiatów. W ten sposób czas szybciej minie.

- Niedługo wrócę.

- Nie spiesz się. Nawet ja wiem, że nie da się uczynić cudu w ciągu kilku sekund.

Thea rozparła się w wygodnym krześle, gdzie zawsze siadywała. Zadzwoiła malutkim srebrnym dzwoneczkiem, a potem otworzyła medalion, który nosiła na szyi.

- Przynieś mi papierosy, podwójnego jacka danielsa i czystą popielniczkę, Dolores - poleciła służącej.

Thea długo siedziała w ciepłych promieniach słońca. Nie tknęła napoju z rozpuszczającymi się kostkami lodu ani nie otworzyła paczki papierosów. Spoglądała tylko na miniaturową podobiznę Jessie umieszczoną w medalionie.

- Kto znalazł, ten zatrzyma, moje słodkie kochanie. Kto znalazł, ten zatrzyma.

Kiedy poczuła ból, nie zadała sobie nawet trudu, by przycisnąć ręce do piersi. Wiedziała, że koniec jest bliski. Jeszcze raz ucałowała malutki obrazek i wydała ostatnie tchnienie.

Ciało Thei Roland zostało poddane kremacji sześć godzin później. Barnes niósł kwadratową urnę z metalu, zawiniętą w szorstki brązowy papier i przewiązaną sznurkiem. Gdy wsiadał do odlatującego o północy do Buenos Aires samolotu, urna była jeszcze ciepła. Umieścił ją delikatnie na fotelu pierwszej klasy obok siebie - na miejscu zarezerwowanym dla Thei.

Spał głęboko i spokojnie, ze świadomością, że najstraszniejszy czyn jego życia zostanie w końcu naprawiony.

Jessie cofnęła się parę kroków, by przyjrzeć się wynikom pracy Luke'a.

- Jaka śliczna choinka, Luke. Pięknie pachnie. Skąd masz takie cudowne ozdoby choinkowe?

- Moja matka je zbierała. Niektóre należały jeszcze do moich dziadków, ale ona co roku kupowała nowe. Przechowywała nawet przedmioty, które zrobiłem w szkole na pracach ręcznych. Są dość kruche, ale wieńce zrobione z makaronu mogą wiele wytrzymać, jeśli się je pomaluje farbą w sprayu. Zawsze wieszam je pośrodku choinki. Gdy chodziłem do czwartej klasy, na Boże Narodzenie zrobiliśmy dla matek szkatułki na biżuterię. Najpierw trzeba było pomalować pudełko po cygarach farbą, potem z nitki makaronu ułożyć imię

mamy i przykleić klejem do wieczka pudełka, a na końcu całość pomalować farbą w sprayu na czerwono i zielono. No i dno wykleić kawałkiem aksamitu. Moja matka aż do śmierci trzymała w tej szkatułce biżuterię. Nie jakieś tam błyskotki kupione za grosze w tanim sklepie, ale prawdziwą biżuterię. Tego roku ojciec podarował jej szmaragdową bransoletę. Od razu włożyła ją do srodka. Gdy dorastałem często zaglądałem do jej pokoju, by sprawdzić, czy w szkatułce jest biżuteria. Za każdym razem, gdy odpadał kawałek makaronu, sama przyklejała go na miejsce.

- Jakie to wspaniałe! To takie przyjemne wspomnienie... Ja nie mam takich. Boże Narodzenie było zawsze... nie wiem... zawsze było wszystkiego pełno. Zazwyczaj nie oglądałam nawet wszystkich prezentów, bo nie starczało mi na to czasu. Rozpakowywałam je wiele dni później. Robiliśmy różne rzeczy w szkole, ale matka odkładała je po prostu do szuflady. Kiedyś na Dzień Matki posadziliśmy nagietki w kartonach po mleku. Wyglądało to bardzo ładnie. Dzień czy dwa później zobaczyłam, że posadzone przez mnie w kartonie kwiatki wylądowały w kubie na śmieci. Moje najprzyjemniejsze wspomnienia związane są z Sophie. Bardzo za nią tęsknię. Czy nadejdzie dzień, gdy nie będę czuła żalu na wspomnienie jej imienia?

- Tak, kiedyś. Wszystko wymaga czasu, Jessie. Musisz się jednak najpierw otworzyć na świat. To jak, wieszamy więcej ozdób czy girlandy?

- Ozdoby. One tak pięknie błyszczą, gdy zapali się lampki. Zdradź, co mi kupiłeś w prezencie. Jeśli mi powiesz, ja też ci powiem - drażniła się z nim Jessie

- Mowy nie ma. Trzeba poczekać do Wigili. Takie zwyczaje panują w tych stronach. Buzz w życiu nie dostał tylu prezentów. Dla Jelly też jest sporo. Popatrz... są dwa prezenty dla mnie, dwa dla ciebie i cała sterta dla psów. Trzeba przyznać, że to wygląda odświętnie.

Jessie się roześmiała.

- Papier i wstążeczki kosztują więcej niż sam prezent. Pewnego razu Sophie podarowała mi siedem par majtek z moim imieniem i dniem tygodnia. Zwykle zakładałam je w łazience w szkole, bo matka uważała, że są tandetne. Uwielbiałam je nosić. Byłam zdruzgotana, gdy się okazało, że z nich wyrosłam. Dzwoni telefon - oznajmiła Jessie radośnie.

- Odbiorę. Nawet nie myśl o wchodzeniu na drabinę, by zawiesić gwiazdę na czubku. Sam to zrobię.

- Jesteś dziś dosyć apodyktyczny. To pewnie ma związek z tymi rozwodnionymi drinkami, którymi się raczyliśmy - zachichotała Jessie wieszając na choince bombkę ozdobioną ręcznie malowanym, staromodnym wizerunkiem świętego Mikołaja, tak pięknym, że aż jej zapierało dech w piersi.

- Jessie.

- Tak? Mam nadzieję, że to dzwoni ojciec z informacją, kiedy przylecą. Myślałam, że zaraz tu będą.

- Chyba nie przylecą, Jessie. Dzwonili z lotniska. Mówią, że duża adresowana do ciebie paczka została dziś rano wysłana samolotem. Rodzice mieli rezerwację, ale ją odwołali. Pojadę po paczkę, jeśli chcesz.

- Nie przyjadą? Ale... matka mówiła, że tak. I tatuś się zgodził. Może coś się stało? Może powinnam do nich zadzwonić? To pewnie pudełko ze świątecznymi prezentami. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś je odebrał, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Skończę ubierać choinkę... nie, nie będę usiłowała zawiesić gwiazdy na czubku. Myślę, że zadzwonię do ojca, jak tylko znajdę jego numer telefonu. Notatnik z telefonami mam chyba w torebce.

Nastrój Jessie zmienił się z radosnego na bliski paniki, gdy w końcu znalazła notatnik i zamówiła rozmowę międzynarodową. Była zdenerwowana i roztrzęsiona, bo połączenie zajęło więcej czasu niż się spodziewała. Kiedy w słuchawce usłyszała głos telefonistki informującej ją, że telefon został wyłączony, Jessie spytała:

- Jest pani tego pewna?

- Tak, proszę pani.

- Może pani sprawdzić, kiedy został wyłączony?

- Postaram się, proszę pani.

Jessie czekała, a jej serce biło coraz szybciej. Po drugiej stronie linii długo panowała cisza.

- Proszę pani, telefon został wyłączony dziś o godzinie czternastej czasu europejskiego.

- Rozumiem. Dziękuję. Życzę wesołych świąt.

Jessie przysiadła na ostatnim schodku drabiny. Miała zamęt w głowie. Patrzyła, jak psy obwąchują i drapia stertę prezentów pod choinką.

Która teraz godzina w Barcelonie? – zastanawiała się Jessie. To jest pięć godzin różnicy, to znaczy, że tam jest pierwsza w nocy – pomyślała.

– Cóż za wspaniała dedukcja, Jessie – mruknęła.

Pomału zaczął ją ogarniać strach. Nic poza totalną katastrofą nie było w stanie powstrzymać matki od przyjazdu do Stanów. Po co mieliby wyłączać telefon, jeśli wciąż tam byli?

Coś było nie tak.

O wpół do dziesiątej wieczorem odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych. Psy, przeskakując jeden przez drugiego, pobiegły do holu, gdy Jessie szła otworzyć drzwi.

– Western Union, proszę pani. Mam telegram dla pani Jessiki Roland Kingsley. Proszę podpisać.

Z zamierającym sercem Jessie pokwitowała odbiór. Ręka drżała jej tak bardzo, że z trudem otworzyła kopertę. Wiadomość była krótka i zwięzła.

Pani Dorothea Roland zmarła dziś w południe. Jej ciało zostało poddane kremacji o godzinie szesnastej.

Z trudem łapiąc powietrze Jessie oparła się o balustradę. Po raz drugi spojrzała na telegram. Widniał na nim podpis: „Barnes Roland”. Nie było nagłówka „Kochana Jessie” ani „Ucałowania, tatuś”. Dlaczego napisał „Pani Dorothea Roland”? Dlaczego nie: „Zmarła twoja matka”?

Jessie usiadła na stopniu, a psy położyły się koło niej. Siedziała w tym samym miejscu, gdy godzinę później wrócił Luke z dużym kartonowym pudełkiem pod pachą.

– Hej, hej! Przynoszę świąteczne prezenty! Mam nadzieję, że skończyłaś dekorować choinkę. Jessie! Co się stało? – spytał Luke kłękając przy schodach.

Jessie podała mu telegram.

– Tak mi przykro, Jessie. Czy chcesz tam pojechać? Jeśli tak, wszystkim się zajmę. Może być trochę ciężko w związku ze świątecznym tłokiem, ale w takiej sytuacji masz pierwszeństwo. Jestem pewien, że uda nam się zarezerwować lot. Albo mogłabyś wyczerterować samolot.

Jessie potrząsnęła głową.

– Wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Przeczuałam przez cały dzień, a właściwie to już od dłuższego czasu. Teraz nic nie czuję. Powinnam się smucić, ale nic nie czuję. Zmarła moja matka, a ja nic nie czuję. To nie

świadczy o mnie dobrze jako o córce. Starałam się do nich dodzwonić, ale telefonistka powiedziała, że telefon został wyłączony. To znaczy, że ojciec gdzieś wyjechał. Choć dość często się sprzeczali, jedno było zagubione bez drugiego. Poddał ciało matki kremacji, więc ona zawsze będzie przy nim. Co ja mam teraz zrobić, Luke?

- To, co czujesz, że powinnaś. Myślę, że na razie jesteś w szoku. Zrobię herbatę. Matka zawsze robiła herbatę, gdy coś było nie w porządku. W moim domu herbatę uważano za magiczny napój.

- Kiedy rozmawiałam z mamą, mówiła, że czuje się dobrze. Zwykle, gdy pragnęła, bym poświęcała jej więcej uwagi niż chciałam, symulowała chorobę, by potem zrzucić na mnie za to winę. Tatuś coś by mi powiedział. Ludzie nie umierają tak po prostu. To znaczy... tak, umierają, ale nigdy nie przypuszczałam, że to przytrafi się mojej matce. Była taka podniecona perspektywą powrotu do Stanów. Dlaczego tatuś do mnie nie zadzwonił? Telegram jest taki dziwaczny, jakby wysłany przez kogoś innego. Tatuś musi być w szoku, choć zwykle nad wszystkim panuje. Luke, czy nie sądzisz, że sformułowania użyte w telegramie są dziwne? Brzmia tak, jakby wysłał go ktoś obcy, nie mój ojciec. Dlaczego podpisał go „Barnes Roland”? Czy już nie uważa siebie za mojego ojca?

- Zobaczymy, co jest w pudełku, Jessie. Może do prezentów dołączyli list. Jestem pewien, że twój ojciec był rzeczywiście w stanie szoku. Zrobił to, co musiał. Moim zdaniem mężczyźni nie radzą sobie dobrze w takich sytuacjach. Czy najpierw otworzyć pudełko, czy zrobić herbatę? Usiądziemy z psami przy choince, napijemy się herbaty i otworzymy przesyłkę. Jak ci się to podoba?

- To ponury obraz, Luke. Czy mam teraz rozdać psom prezenty? Słyszysz, co mówię? To brzmi tak, jakby wszystko było w porządku. Matka umarła, ojciec poddał jej ciało kremacji i nie zawiadomił, gdzie wyjechał, a ja nic nie czuję. Będę siedziała popijając herbatę i rozpakowując prezenty. Coś w tej scenie nie pasuje. Co jest ze mną nie tak?

- Wszystko w porządku, Jessie. Nie ruszaj się, dopóki nie wrócę.

Luke zatrzymał się w drzwiach niosąc tacę i popatrzył na Jessie. Wyglądała na taką zagubioną i bezbronną. Poczul, jak ogarnia go ogromne pragnienie, by ją chronić. Musi coś zrobić, by z jej twarzy znikł wyraz przygnębienia. Dlaczego musiało się to stać właśnie teraz, gdy sprawy zaczynały się dobrze

układać? Śmierć bliskiej osoby nigdy nie jest łatwa do zniesienia, sam dobrze o tym wiedział, ale śmierć w czasie świąt była szczególnie bolesna.

- Herbata jest gorąca, Jessie, nie oparz się - powiedział stawiając tacę na podłodze. Usiadł obok niej z nożem kuchennym w ręku. - To pudło jest bardzo starannie zapakowane. Jesteś gotowa, by je otworzyć?

- Chyba tak. Mama lubiła robić zakupy.

Luke otworzył usta ze zdumienia, gdy odgiął sztywne klapki kartonowego pudełka.

- Tutaj nie ma prezentów, Jessie. Tylko jakieś albumy.

Jessie westchnęła.

- Mama uwielbiała robić zdjęcia. To chyba albumy rodzinne. Może tatuś chciał, żebym je dostała. Nie chcę ich teraz przeglądać, Luke. Matka była niesamowicie fotogeniczna, tatuś też. Tylko ja na zdjęciach wyglądałam na taką... kluchę.

- Jeśli pozwolisz mi obejrzeć swoje fotografie z okresu niemowlęctwa, pokażę ci moje. Dlaczego matki robią synom zdjęcia z gołą pupą i z lubością je wyciągają, gdy z pierwszą wizytą do domu przychodzi dziewczyna?

- Z przyjemnością obejrzę twoje dziecinne zdjęcia, ale nie będę miała ci co pokazać, bo sama nie mam nic takiego. Mama mówiła, że tatuś nie umiał jeszcze posługiwać się aparatem fotograficznym, a jej niezbyt dobrze szło robienie zdjęć niemowlęciu. Dopiero gdy miałam dwa lata, zabrali mnie do atelier fotograficznego i zrobili mi zdjęcia portretowe. Od tego momentu mam mnóstwo fotografii. Sophie zawsze zrzędziła, że nie możemy porównać naszych zdjęć, gdy byliśmy niemowlakami. Byłoby miło mieć takie fotki, by je porównać, gdy urodzi się dziecko.

Luke grzebał w pudełku.

- Są tu cztery albumy. Zdaje się, że gdy twój tata wreszcie załapał o co chodzi, trząsał zdjęcia jak szalony. Przejrzyjmy chociaż jeden.

- Dobrze. Ale pamiętaj, że jestem na zdjęciach gruba i pyzata. Taka byłam aż do okresu dojrzewania.

- Spójrz na siebie teraz! Ale... to nie są albumy ze zdjęciami, Jessie. Popatrz, są w nich stare wycinki prasowe. Zdaje się, że zaczynają się około tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Chryste! - Luke z trzaskiem zamknął album i wrzucił go z powrotem do pudełka.

- Co jest w tych wycinkach? Czy dotyczą moich fatalnych występów tanecznych, lichych recitali fortepianowych albo przyjęć urodzinowych na pokaz?

- Nic z tych rzeczy. Dotyczą... porwania dziecka o imieniu... o imieniu Hannah. Hannah Larson.

- Co? Pokaż mi je zaraz! Nic nie rozumiem! - krzyknęła Jessie i zaczęła kartkować album. - Po co moi rodzice mieliby trzymać coś takiego? Kto to jest Hannah Larson?

- Podejrzewam, że to ty, Jessie. Oto twoje brakujące zdjęcia z niemowlęctwa - Luke objął ją ramieniem.

Jessie strząsnęła jego ramię.

- Twierdzisz, że to ja zostałam porwana i że nazywam się Hannah Larson?

- Tak sądzę. To by z pewnością wyjaśniało złe sny. I spójrz na to. Larsonowie mieli psa o imieniu... Jelly. Przeczytaj ten artykuł, tylko uważaj, by nie złamał ci serca. W koszmarach zawsze wołasz: Jelly. Wydaje mi się, że gdy ktoś cię złapał... nazwijmy to tak z braku innego określenia... pies zerwał się i biegł za samochodem.

Jessie objęła kolana ramionami i zaczęła kołysać się w przód i w tył, a łzy spływały jej po policzkach.

- Porwali mnie! Ukradli moim rodzicom! Och, Luke!

- Cicho, kochanie... wszystko będzie dobrze.

- Myślałam, że mnie adoptowali. Sophie poleciła agencji detektywistycznej sporządzić raport na temat moich rodziców. Zawsze tak robiła, ale nie było w nim nic ciekawego. Rodzice mieszkali w Atlancie, a po śmierci mojej siostry przeprowadzili się do Kalifornii. Przenieśliśmy się do Charlestonu w Południowej Karolinie tego roku, kiedy poszłam do przedszkola. Według raportu w archiwach nie było żadnych wzmianek dotyczących mojego urodzenia ani adopcji w Kalifornii. Uważałam, że mogło to mieć miejsce gdzieś indziej. Kiedy wpadłam na pomysł, że zostałam adoptowana, podstępem chciałam zmusić ich, by tu przyjechali i przyznali się do tego. Ale... porwana!

- Zrobimy tak: ty przeczytasz pierwszy album, a ja drugi. Potem ty trzeci, a ja ostatni. Kiedy skończymy, porównamy to, czego się dowiedzieliśmy. Pomyśl o tym w kategoriach bożonarodzeniowego cudu. Pomyśl o tym, Jessie.

Mogę cię tam zabrać. Zapukasz do drzwi... i... powiesz kim jesteś. Uważam, że to cud.

Przez dwie godziny czytali w ciszy, a psy leżały przytulone do nich. Kiedy włożyli albumy do pudełka, Jessie odwróciła się do Luke'a i powiedziała:

- Mój ojciec zwykle nazywał mnie Hannah-Banana. W ogóle tego nie pamiętam.

- Nieważne, czy pamiętasz, czy nie. Wszystko tu jest. Zaufaj mi. Twój rodzice rozpoznają cię, gdy tylko cię zobaczą. Masz jakieś zdjęcia z czasów, gdy byłaś mała?

- Nie, ale Sophie miała w pokoju albumy ze zdjęciami nas obu. Mogłabym zadzwonić do gospodyni i poprosić, by je zapakowała, zawiozła na lotnisko i wysłała pierwszym samolotem. Pewnie jeszcze nie śpi. Mówiła mi, że przeważnie w nocy tylko drzemie. Mogłabym odebrać je z lotniska i... ile czasu zajęłoby nam podróż do Północnej Karoliny, Luke?

- Sporo. Myślę, że żadne z nas nie jest w stanie prowadzić. Moglibyśmy wyczarterować samolot. Stać cię na to, Jessie. Zdażylibyśmy na Wigilię. Jezus, cóż za niesamowity cud. Zrób to, Jessie. Zadzwoń do gospodyni.

- Okay.

Dziesięć minut później Jessie powiedziała:

- Gospodyni wyśle albumy. Będą tu około dziesiątej. A co, jeśli mnie nie pamiętają? A jeżeli przestali mnie kochać? Może powinnam się nad tym dłużej zastanowić. A nuż się wyprowadzili?

- Nie wyprowadzili się. Wciąż mieszkają w tym samym domu. Mają psa, który wabi się Jelly. To już trzecie pokolenie. Twoja matka dalej twierdzi, że za każdym razem, gdy dzwoni telefon albo słychać dzwonek u drzwi, ma nadzieję, że to wieści o tobie. W artykułach zamieszczono różne informacje na twój temat. Możesz je przeczytać w samolocie, linijka po linijce, słowo po słowie. Twój rodzice to wspinali, kochający ludzie.

- Zabieramy psy - wykrztusiła Jessie.

- Racja, bierzemy psy.

- Czy to w porządku, że nie czuję żalu z powodu śmierci... pani Roland?

- W porządku, Jessie.

- Chyba dlatego... pan Roland przysłał mi właśnie taki telegram.

- Myślę, że on się ukrywa. Z tego co wiem, kara za porwanie nie ulega przedawnieniu. Jeśli go odnajdą, może iść do więzienia. Cieszę się, że miał dość rozsądku, by przysłać ci te albumy przed wyjazdem.

- Tyle lat, tyle straconego czasu... Czy ja to kiedykolwiek odzyskam? Boże, tak bym chciała, by Sophie tu była.

- Nie odzyskasz tych lat, Jessie. Masz jednak przed sobą długie, szczęśliwe życie.

- Boże, Luke, nie mogę się doczekać. Jak ja wyglądam? Nie wiem, w co się ubrać. Nie mamy dla nich prezentów.

- Myślę, że prezenty nie będą potrzebne. A wyglądasz pięknie. Mogłabyś wystąpić nawet w szlafroku, nie zrobiłoby to żadnej różnicy.

- Potrzebny mi czerwony sweter, Luke. Nie mogę tam pojechać bez czerwonego swetra.

- A więc jutro z samego rana kupimy czerwony sweter.

- Luke, właśnie zdałam sobie z czegoś sprawę. Mam dom. Prawdziwy dom. Przez całe życie byłam pozbawiona korzeni. Czułam się wszędzie jak gość. Naprawdę, nareszcie mam dom. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to piękne słowo? Dom to miejsce, gdzie człowiek przynależy. Dotychczas nigdy nigdzie nie przynależałam.

Spazmatyczny szloch wyrwał się z gardła Jessie.

- Jak oni mogli to zrobić? Dlaczego? Chciałabym ich zniechęcić.

- Daj spokój, Jessie. Nie patrz wstecz. Przed tobą całe nowe życie. Nie psuj tego przykrymi wspomnieniami. Zadzwoń na lotnisko i zajmę się wycarterowaniem samolotu. Chcę z tobą polecieć, Jessie.

- Ja też chcę, żebyś ze mną poleciał. Posiedzę sobie z psami i wypiję wreszcie herbatę.

- Dobra dziewczynka. Hej, Jessie, kocham cię.

- Wiesz co? Ja też cię kocham.

Padął puszysty śnieg, gdy Luke otworzył przed Jessie drzwi wynajętego samochodu. Zakładając smycze Jelly i Fredowi zadrżała. Nie z zimna, lecz ze zdenerwowania.

- Dom wygląda tak przytulnie, tak... świątecznie z kolorowymi światełkami i wieńcem nad drzwiami. My nigdy nie mieliśmy żadnych dekoracji na

zewnątrz domu, nawet wianka. Choinka zawsze była sztuczna. A tu... wszystko sprawia takie ciepłe wrażenie. Och, Luke, nie pamiętam tego domu.

- Nikt nie twierdzi, że powinnaś go pamiętać.

- Może ja wcale nie jestem Hannah Larson. Może wszystko to jakaś okropna pomyłka. Powinnam coś sobie przypomnieć, choćby jakiś drobiazg. Tak bardzo tego pragnę. Muszę sobie przypomnieć, Luke.

- Kiedy wejdziemy do środka, może coś cię uderzy. Cierpliwości, Jessie. To wigilia Bożego Narodzenia, czas cudów. Nie myśl o niczym specjalnym. Oddychaj głęboko. To będzie najlepsze Boże Narodzenie dla was wszystkich. Gotowa?

- Nie - wykrztusiła z płaczem Jessie. - Może powinniśmy zajrzeć przez okno albo trochę pospacerować, no wiesz... żeby poznać atmosferę.

- Nie, wcale nie musimy tego robić. Teraz podejźmy do drzwi i nacisniemy dzwonek. Słyszę szczekanie psa. To znaczy, że poczuł nasz zapach i wie, że jesteśmy na zewnątrz. To będzie spełnienie wszystkich twoich marzeń, Jessie. Musisz tylko postawić jedną stopę przed drugą i wejść po schodach na ganek. Jestem tuż przy tobie, psy też. Zrób to!

Po chwili Jessie trzęsącymi się palcami naciskała dzwonek. Cofnęła się o krok mocno trzymając smycze psów.

To ładna kobieta i ma taki macierzyński wygląd, pomyślała, gdy drzwi się otworzyły.

Na twarzy kobiety wykwitł uśmiech, gdy wycierała ręce w fartuch.

- Na litość boską, nie spodziewałam się kołędników tak wcześnie. Właśnie skończyłam przygotowywać dania na kolację. Wejdźcie proszę. Pada śnieg, prawda? Zawsze uważam, że śnieg w wigilię Bożego Narodzenia to coś specjalnego. Proszę, wejdźcie. Nie martwcie się o zwierzęta. My też takie mamy.

- Nie... nie jesteśmy kołędnikami, mamó. Myślę, że mam na imię Hannah, a to moje psy Jelly i Fred... i mój przyjaciel, Luke. Czy pani jest moją matką?

- Boże... Ben!

Jessie spojrzała na zbliżającego się mężczyznę.

- Zdaje się, że pan zwykle nazywał mnie Hannah-Banana. Jesteście moimi rodzicami, prawda? - patrzyła na nich błagalnie, a oczy napełniły jej się łzami.

- Dobry Boże - wybąkała Grace.

Ben objął żonę ramieniem usiłując poradzić sobie z tym, co widział.

- A co mi zawsze odpowiadałaś?- zapytał tak cicho, że tylko Jessie zrozumiała, o co mu chodzi.

- Utlucz je, tatusiu - wyrzuciła z siebie, dobywając te słowa z głębi pamięci.

- Dobry Boże - znowu powiedziała Grace.

- Przy moim łóżku wisiał gwizdek. Służył do wzywania dobrych wrózek, gdy miałam złe sny. Jelly miał własny koc, a ja miałam drugi dokładnie taki sam. Zrobiłaś je dla nas.

Grace szlochając głośno otworzyła ramiona, by przytulić córkę.

- Nigdy nie straciliśmy nadziei - powiedział Ben, obejmując je obie.

Luke uśmiechnął się. Psy uważnie się sobie przyglądały.

- Czy mam braci albo siostry? - spytała Jessie z oczami pełnymi łez.

- Masz dwóch braci. Święta spędzają w domach swoich dziewczyn. Wróć w Nowy Rok. Cóż za brak manier, Ben! Proszę, zdejmijcie płaszcze i dajcie mi je. Macie ochotę coś zjeść? Mam doskonałą szynkę i chleb domowej roboty.

- Z przyjemnością coś zjem - powiedział Luke.

- Ja też. Nie starczyło nam czasu, by kupić prezenty.

- Jezu, nie potrzeba żadnych prezentów. Mamusia kupiła ci znowu czerwony sweter. W tym roku kaszmirowy. Jest miękki jak piórko - powiedział Ben z dumą. - Co roku na Boże Narodzenie kupuje ci sweter, pakuje go i kładzie pod choinką. Po Nowym Roku sweter wędruje na strych. Jest tam już cała fura swetrów, które czekają na ciebie.

- Kocham czerwone swetry. Czy miałam na sobie właśnie taki tamtego dnia?

- Tak. Byłaś przeziębiona. Chciałam, żeby ci było ciepło.

Rozmawiali przez całą noc.

Następnego dnia w kościele oczy błyszczały im od łez, gdy pastor oznajmił parafianom, że Hannah Larson wróciła w końcu do rodziców. Na podjeździe, po powrocie z kościoła, Ben spytał:

- Czy pamiętasz, w co bawiliśmy się zimą?

- Jasne, że pamiętam – powiedziała Jessie kładąc się na śniegu. – Orły śnieżne! Małe i duże. Och, Boże, to jest takie wspaniałe, że szkoda mi wyjeżdżać.

- Wyjeżdżasz? – wykrzyknęli jednocześnie Larsonowie.

Jessie podniosła się i otrzepała płaszcz ze śniegu.

- Tak. Muszę wyjechać, żeby dotrzymać obietnicy. Myślę, że nie bylibyście ze mnie dumni, gdybym jej nie dotrzymała. Luke, ja... będziesz musiał sam pojechać do Penn State.

- Co masz do zrobienia, kochanie?

- Muszę zbudować most dla kogoś, kogo kochałam całym sercem. Nie wiem, ile mi to zabierze czasu, jak się do tego zabiorę ani gdzie go zbuduję, ale dokonam tego. Chciałabym stąd odjechać wiedząc, że moje dziecko i ja zostaniemy po powrocie przyjęci z otwartymi ramionami. Luke... powiedz, że rozumiesz. Nie chcę słyszeć żadnych obietnic, bo nie mogę w zamian nic obiecać. Chcę, żebyście wiedzieli, że was kocham i że będziecie w moim sercu zawsze.

- Każdy musi postępować tak, jak uważa za najlepsze. Twoja mamusia i ja nigdzie się w najbliższym czasie nie wybieramy. Będziemy na ciebie czekać. Zawsze – powiedział Ben. Grace skinęła głową.

- Sophie byłaby z ciebie dumna, Jessie – powiedział Luke. – Zrób, co musisz zrobić. Pociągi, autobusy i samoloty kursują do Penn State codziennie. A co z psami?

- Są częścią mojej rodziny. Pojadą ze mną. Wesołych Świąt.

- Wesołych Świąt!

Epilog

Mężczyzna na grzbiecie kasztanowatej klaczy przysłonił oczy ręką, żeby lepiej widzieć, jak listonosz zapelnia skrzynkę pocztową rancza korespondencją. Rachunki, katalogi, z których matka już nic nie zamawiała, biuletyny hodowlane... ale najwięcej rachunków. Podjechał do skrzynki i zabrał się za przeglądanie jej zawartości. Kto, do diabła, mógł napisać do niego z Nairobi w Afryce? Pomacał gruby list ręką i doszedł do wniosku, że ta osoba z pewnością czegoś od niego chciała. Już miał zamiar wrzucić go do sakwy przy siodle razem z innymi listami, gdy zmienił zdanie.

- Co tam, do diabła, muszę się dzisiaj trochę pośmiać. To pewnie od głupiego J.J.

Brwi Tannera uniosły się ku górze prawie do linii włosów, a stetson zsunął się na tył głowy, gdy odczywał nadawcę.

Jessie! Co ona, do licha, robi w Afryce? - pomyślał.

Rozdarł kopertę drżącymi rękami. Napisała przecież do niego po tak długim czasie.

Drogi Tannerze,

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze i że na ranczu wszystko się układa.

Przyjmij moje kondolencje z powodu śmierci ojca.

Mamy syna, Tanner. Skończył niedawno trzy lata. Codziennie z nim o tobie rozmawiam. Nazywam to naszym „czasem rodzinnym”. Ku mojej konsternacji jest bardzo do Ciebie podobny. Uwielbia ten kraj i ma więcej kolegów niż może zliczyć. Zna już litery i cyfry. To silny chłopczyk. Jest serdeczny, kochający, uprzejmy i troskliwy. Powiedziałam mu, że gdy wrócimy do Stanów, odwiedzimy tatusia.

Robię co mogę, by spełnić ostatnie życzenie Sophie. To nie jest łatwe, ale znasz mnie, nigdy się nie poddaję. Kiedyś spytałeś mnie, co zrobię ze wszystkimi pieniędzmi Sophie, a ja odpowiedziałam, że nie wiem. Teraz już wiem. Buduję most. To wspaniały most, Tanner, i kosztuje cholerną fortunę. Gdy będzie skończony... choć nie wiem, kiedy to nastąpi, nazwę go Mostem Sophie Ashwood. Jestem zdumiona, że udało mi się zająć tak daleko, bo o

budowaniu mostów wiem tyle co nic. To chyba dzięki determinacji i miłości. Udało mi się wynająć najlepszych inżynierów i wykonawców, jakich mogłam znaleźć. Nigdy nic nie wiadomo, ale może dziełem mego życia stanie się budowanie mostów. Życz mi powodzenia.

Jeśli będziesz miał czas, napisz do mnie. Przyślij mi zdjęcia swoje i rodziców dla naszego syna. Nazwałam go Angus Tanner Larson Kingsley. Załączam wycinki, które wszystko ci wyjaśnią. W końcu spotkałam moją prawdziwą rodzinę. To było takie wspaniałe uczucie, że aż trudno to wyrazić. Wszyscy przyjadą do mnie w lecie. Mam dwóch braci, wiesz? To jak błogosławieństwo. Czasami nie wiem, czy to nie sen.

Chciałam dojść z tobą do porozumienia przed wyjazdem, ale samo życie stanęło mi na przeszkodzie. To, co załączam, to dar serca, Tanner. Chcę, żeby ojciec mojego dziecka wiódł życie tak samo dobre jak ja i nasz syn.

Od miesięcy nie miałam wiadomości od Luke'a. Chyba lubi uczyć i pracować w lecie jako strażnik. Myślę, że jemu życie też krzyżuje plany. Chyba pewne rzeczy po prostu nie mogą się wydarzyć. Przekaż swojej matce pozdrowienia ode mnie. Załączam zdjęcie Angusa z małym słonikiem o imieniu Polly. Jesteśmy szczęśliwi, Tanner.

Z czułością, Jessie i Angus

- Tam do licha! - powiedział Tanner uderzając kapeluszem o nogą. Wpatrywał się w zdjęcie syna - skóra zdarta z ojca - tak długo, aż łzy zaczęły mu płynąć z oczu. Włożył fotografię do kieszeni koszuli i przejrzał papiery. Akt własności greckiej wyspy.

- Potrafię sobie z tym poradzić - zachichotał.

I jeszcze akty własności dwóch tankowców, galerii sztuki w Mediolanie i konto w szwajcarskim banku na sumę o takiej liczbie zer, że aż zakręciło mu się w głowie.

Tanner popatrzył na wysuszone, zakurzone pola i na niewielkie stado bydła, które mu jeszcze zostało. Potem spojrział w kierunku horyzontu zastanawiając się, ile kilometrów dzieli go od Afryki i ile czasu potrzeba by tam dojechać.

Angus Tanner Larson Kingsley. Wspaniałe to brzmi.

- Tylko tak dalej, Jessie - powiedział.